

ANTONIA SENIOR

CÓRKA
REWOLUCJI

NAJLEPSZA POWIEŚĆ HISTORYCZNA 2014
WEDŁUG MAGAZYNU BBC HISTORY EXTRA



CÓRKA
REWOLUCJI

ANTONIA SENIOR

CÓRKA REWOLUCJI

Przekład
Jakub Jedliński



Tytuł oryginału: *Treason's Daughter*

Copyright © Antonia Senior, 2014

Copyright © for the Polish translation

by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Copyright © by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Sylwia Smoluch

Redakcja: Katarzyna Gwincińska

Korekta: Joanna Pawłowska

Projekt typograficzny i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Projekt okładki i stron tytułowych: Justyna Pietryga

Fotografie na okładce: Jeff Cottenden

www.shutterstock.com/StockPhotoAstur

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-523-2

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1

STYCZEŃ 1640

Henrietta wie, co się wydarzy. Obserwuje cień tańczący na toalecie, rzucony przez pełgający płomień świecy. Szuka znajomych wzorów na drewnianej boazerii, splątanych spirali, które można ułożyć w mapy. „Skup się” – mówi do siebie. „Znajdź góry, doliny, ujścia rzek, bezkresne oceany sięgające Ameryki”. Nie potrafi jednak tego zrobić. Nie umie zapomnieć o kobiecie siedzącej z tyłu ani o oczach, których odbicia w lustrze stara się unikać.

I ten nigdy niemilkający głos. Myśl Henrietty zbacza, próbuje umknąć. Ale stanowcza dłoń wpycha ją z powrotem w fotel, a jej ciało doznaje znanego poczucia niemocy. W końcu – Henrietta od początku wiedziała, że tak to się skończy – dostrzega w lustrze oczy patrzące na nią z wyrazem triumfu.

– To było właśnie tam, panienko, w łóżku – mówi niania, ruchem głowy wskazując stojący z tyłu mebel. – O, jakże ona krzyczała, jakże lamentowała, ta wasza matka. Nie zniosła tego równie dobrze jak pewna osoba, którą znam. Całymi godzinami krzyczała i płakała, a wasz biedny ojciec chodził tam i z powrotem, podczas gdy ona zawodziła tak, że słyhać ją było w całym domu. Nigdy nie słyszeli czegoś podobnego, nigdy. A potem, wreszcie, akuszerka zeszła i powiedziała mu: „Chłopiec!”. Wykrzyczała to raczej: „Chłopiec!”, a jego radość rozbrzmiewała po korytarzach, tam gdzie wcześniej rozlegały się krzyki bólu.

Stara kobieta ma wprawę w opowiadaniu tej wieczornej opowiastki, która stopniowo przechodzi w crescendo. Henrietta ponownie próbuje uciec myślami we wzory tworzone przez sęki na ścianie. Nierówna płycina jest pustynią – tak mówi Sam. Wuj przemierzył ją na grzbiecie wielbłąda, kołyszącego się niczym statek. Pewnego razu wierzchowiec odwrócił głowę i opluł jeźdźca. Wielka, zielona kropla śliny spłynęła mu po twarzy – opowiadał Sam, chichocząc. Henrietta uśmiechnęła się na myśl o jego śmiechu. Niania widzi to w lustrze i odpowiada zawziętym pchnięciem szczotką do włosów, która uderza ją w tył głowy.

Nachylając się bliżej, żeby jej oddech wpłynął do ucha dziewczyny, mówi:

– I już myśleli, że nic jej nie będzie, twojej mamie, bo urodziła tyciego chłopczyka. Tyciego chłopczyka Samuela, żeby rósł w cieniu starszego brata Edwarda, niech Bóg błogosławi jego dobre serce, i by został wielkim kupcem, jak twój tatko, u boku czułej mamusi, która miała go kochać i rozpieszczać. Ale coś było nie tak. „Jak czuje się moja żona?” – pytał twój nieszczęsny ojciec, a kiedy odnalazł odpowiedź w twarzy akuszerki, pobiegł na górę i walił w drzwi, wykrzykując imię swojej ukochanej. Okrzyki nie ustały jak powinny, lecz nadal, bez przerwy, rozlegały się po domu, a twój biedny ojczulek łkał z żalu, tymczasem jego nowonarodzony synek pozostawał zapomniany w rogu pokoju. A potem powiedziano mu, że urodziło się jeszcze jedno dziecko.

Niania wstała i obeszła łożę, żeby odsłonić kołdrę. Niecierpliwym ruchem wskazała je Henriecie, która weszła do łóżka. Opatuliła dziewczynę kołdrą, naciągając pierzynę po samą szyję. Pochyliła się i pocałowała Henriettę w czoło chłodnymi, suchymi ustami. Kończąc wieczorną opowieść, krzątała się po pokoju, gasiła świece, składała ubrania i szturchała polana w kominku.

– „Jeszcze jedno?!” – zawołał twój nieszczęsny tatko. Ależ ja już mam mego ślicznego chłopca i chcę zachować mą piękną żonę. Lecz wtedy rozległ się kolejny okrzyk, inny od poprzednich. Chłopiec przyszedł na świat z szerokim uśmiechem jaśniejącym na jego twarzyczce, za to drugie dziecko płakało i krzyczało. Być może wiedziało, że jest dziewczynką. Być może wiedziało, co stanie się później.

Henrietta naciąga kołdrę na głowę, lecz niania ją odkrywa. Wtyka krańce narzuty pod materac, żeby dziewczyna leżała prosto.

– „Dziewczynka!” – zawołała akuszerka. „Dziewczynka?” – spytał cicho twój tata, jakby zmieszany. „A tak, dziewczynka. Bliźniaki” – odpowiedział sam sobie ze zdumieniem. Tak, bliźniaki. Śliczny, uśmiechnięty chłopczyk i płacząca dziewczynka cała pokryta czerwonymi plamkami, jakby jej skórze zaszkodził kontakt z powietrzem. Wtedy twoja matka wydała kolejny, głośny okrzyk. Później nastąpiła krzątanina i zamieszanie. Twój tatko usłyszał płacz teściowej i już wiedział, moja droga, że zabiłaś swoją mamę, tak, zabiłaś ją. Nie żyła, cały materac był we krwi, a kilka kropel poplamiało nawet ten stary baldachim.

Niania gładzi materię rozpiętą na czterech kolumnienkach. „Nie patrz, nie patrz” – myśli Hen. Ale jest już za późno. Spogląda na jej grube palce przesuwające się po zielonym jedwabiu. Niania wygrała. Obie to wiedzą. A mimo to kobieta nie może powstrzymać się od zadania ostatniego ciosu, śmiertelnego, złośliwego użądlenia.

– Milly, mała Milly, musiała później szorować i szorować, jednak plamy nigdy nie zeszły. Nigdy!

Gasi świecę przy łóżku Henrietty i zabiera drugą. Ochronia płomień, podchodząc do drzwi. Odwraca się, a światło otacza jej twarz złotą łuną, łagodząc i zacierając zmarszczki.

– Dobranoc, moje kochane dziecko – mówi, zamykając drzwi.

Henrietta zostaje sama w ciemności.

Wielokrotnie szukała śladów krwi za dnia, lecz nigdy ich nie znalazła. Cał po cały obejrzała łóżko, trochę mając nadzieję, a trochę obawiając się, że odnajdzie plamy. Ale w nocy, w ciemności, przypomina sobie o krwi. Czuje jej wilgoć przez koszulę nocną. Olbrzymie plamy lśniącej krwi pokrywają baldachim łóżka i powoli, regularnie, miękko kapią z ramy na narzutę. Henrietta ma piętnaście lat, i choć za dnia jest dość odważna, kiedy leży w ciemności, czuje się jak schwytna w pułapkę.

Skrobanie w drzwi, szept. Rozpoznaje ten głos i natychmiast opuszcza ją przerażenie. Drzwi się otwierają i widzi, jak szczupła sylwetka Sama wślizguje się do pokoju.

– Nie płacz – szepcze. – Żeby ją pokręciło, wiedźmę jedną. Zbieraj się, Hen, zbieraj szybko!

– Jak to?

– Mówiliśmy o tym. Sebastian i Viola. Sebastian i Cesario. Przyniosłem ci ubranie.

– Nie możemy.

– On wyszedł. Ona jest na dole w kuchni i rozprawia o tym, jak wspaniała jest błogosławiona dusza naszego Neda.

Henrietta uśmiecha się, a Sam ściska jej dłoń.

*

Hen pierwsza skacze z gzymsu, lądując w błocie. Sam klinuje okno zasupłaną szmatą. Czekać na niego, dziewczyna spogląda w ciemną aleję prowadzącą do Fetter Lane i na nęcące, migoczące światła. „Całe godziny spędzam na czekaniu” – myśli. „Czekam, żeby Sam wrócił do domu, żeby ojciec ze mną porozmawiał, żeby babcia była taka, jak kiedyś. Czekam na koniec dnia i na nadejście świtu, nieustannie odmierzając czas, następujące po sobie dni. Dzielę godziny na możliwe do przełknięcia kęsy, niczym chleb, który kucharka rzuca ptakom. Ale nie tej nocy. Nie teraz”.

Wzbiera w niej uczucie nieograniczonej wolności.

Sam ląduje za nią z chlupotem, przerywając jej rozmyślenia. Łapie siostrę za rękę i ciągnie w stronę światła. Idą Fetter Lane, a następnie gwarną Fleet Street. Powóz skrzypi, końskie podkowy uderzają o kamienie bruku. Grupka trzymających się pod rękę czeladników śmieje się, uskakuje przed kołami rozpryskującymi błoto. Chłopcy z pochodniami walczą o klientów, potrząsają i wymachują trzymanymi żagwiami. Sprzedawca nawołuje, zachwalając gorące, świeże paszteciki, a zapach duszonego mięsa unosi się ponad smrodem moczu dochodzącym z pobliskiego zaułka. Kaznodzieja wykrzykuje swoją dezaprobatę wobec obojętnych pijaków, którzy wylewają się wesołą falą przez otwarte drzwi przepelnionej „Korony”. Jest dużo śmiechu, śpiewu, a skądś dochodzi głos podniesiony w gniewie. Po ciszy panującej w domu ten gwar wydaje się Hen zdumiewający. Oszalamiający.

Zastyga w nabożnym podziwieniu, jedną ręką podpira się o ceglany mur, żeby

zachować równowagę, i pozwala, by obmyły ją te dźwięki i odgłosy życia. Jest kamykiem na przybrzeżu pragnącym, żeby wchłonął go obojętny, potężny przypyływ. Znowu odczuwa owe buzujące wewnątrz poczucie wolności, tę graniczącą z lękiem radość, i odwraca się w stronę Sama, aby mógł odczytać to wszystko z jej szerokiego uśmiechu.

Odpowiada jej uśmiechem, niczym zwierciadło. Zaczynają biec, czują zew londyńskiej nocy, obietnicę przygody i ryzyka oraz duszący zapach węgla, gorzałki, słyszą otaczający ich gwar. Kiedy ustępuje początkowe oniemienie, Hen zaczyna pokrzykiwać i wołać, gdy mija pędem miejskie cuda i biegnie przez zatęchłe uliczki. Jej okrzyki giną w mieszaninie dźwięków, pochłonięte przez londyński harmider wznoszący się ku pociemniałemu od smogu niebu.

Biegną i biegną. Sam z przodu wskazuje drogę w mroku. Podążają wzdłuż zakola Tamizy, które otacza hałaśliwe City. Przez Fleet Street, w górę Ludgate Hill, dysząc, Henrietta wdycha węglowy dym. Pędzą w dół Watling Street, mijają grupki pijaków wysypujące się z narożnej karczmy, podejrzanych klientów wyłaniających się z lupanarów, grzebiących w śmieciach uliczników w slumsach Blackfriars.

Biegną do utraty tchu, a Hen musi starać się ze wszystkich sił, żeby dotrzymać bratu kroku, kiedy chłopak wymija przechodniów, konie, powozy i kałuże. Kluczą między pijakami i omijają świny ryjące w odpadkach zalegających na brzegach rzeki Walbrook. Wieprze kwiczą podczas grzebania w mule i opryskują błotem pozbawione pończoch nogi Henrietty. Mimo to dziewczyna biegnie dalej, ma ochotę śmiać się, ale brak jej tchu. Chce się zatrzymać, lecz z determinacją kontynuuje bieg. Aż wreszcie docierają do wielkiego mostu. Sam zatrzymuje się w połowie i wyciąga ramiona, żeby złapać siostrę.

Wychylają się przez niski, czarny od sadzy murek Mostu Londyńskiego, żeby popatrzeć na rzekę płynącą w stronę ich domu. Z tyłu maszty statków handlowych przycumowanych w przystani potracają się i kołyszą na tle ciemniejącego nieba. Wiatr wzburza powierzchnię rzeki, przynosząc woń dziegiu ze stoczni oraz gwałtowne skrzypienie i pobrzękiwanie napinanych takielunków.

Henrietta i Sam przysiadają w przestrzeni między rzędami koślawych domów oszczędzonych przez pożar. To zakopcona wyrwa zrobiona przez wyrostków lubiących przesiadywać nad rzeką i szydzić z wioślarzy próbujących przepłynąć pod mostem. Teraz łodzie nie płyną. Za późno, prąd pod mostem jest zbyt silny. Przewoźnicy gromadzą się na stopniach po obu stronach, żeby wykłócać się i nagabywać klientów. Hen wychyla się trochę za mocno, wpatrując się w ciemną rzekę. Dostrzega nurt wody i wiry, a także białą kipieli w miejscu, gdzie Tamiza przedziera się między filarami mostu. Nigdy jeszcze nie widziała, aby rzeka była równie piękna. Rzadko jednak miewała wcześniej okazję oglądać ją nocą i zawsze w pośpiechu, z lektyki lub powozu. Teraz, napawając się anonimowością oferowaną przez miasto w nocy, może się spokojnie delektować jej widokiem. Bez pośpiechu patrzeć. Brudna i użytkowa za dnia, nocą wielka rzeka odbija pijaną urodę Londynu. Światła pochodni tańczą na

wzburzonych, czarnych falach, a chłodne, nocne powietrze tłumi fetor brudnej wody.

Za nimi, nad rzeką złowrogo czai się Tower. Przed nimi City ciągnie się aż do Temple, w którego niezliczonych oknach tańczą światła świec za niewyobrażalnie wysokie koszty. Z lewej strony słyszą wrzaski tłumu w jednym z teatrów. Południowy brzeg rzeki należy do nocy: spryciarzy, aktorów, opryszków i ich naganiaczy, rozjuszonych psów i kogutów hodowanych do walki. Królestwo człowieka. A jednak, pomiędzy brzegami rzeki – wrzaskliwym południowym i pełnym zgiełku północnym, Hen odczuwa spokój. Serce przestaje jej kołatać w piersiach. Nadszedł czas, żeby rozkoszować się pięknem skrytej w mroku rzeki i światła pochodni. I jest z nią Sam.

– Czy w nocy zawsze jest tak jak teraz? – pyta go.

Sam słyszy w głosie siostry ledwie tłumione podniecenie.

– Zawsze, zawsze! – potwierdza, składając jej niski ukłon.

Hen śmieje się i dyga, po czym oboje padają na pokrytą błotem ziemię, ogarnięci niepohamowaną radością.

– Och, Sam – mówi, kiedy milknie ich śmiech – dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś.

– Nie ma sprawy. Ależ lanie dostanę, jeśli nas złapią.

– Nie możemy więc dać się złapać.

Chłopak wstaje i pomaga siostrze podnieść się z ziemi.

– Powinniśmy wracać.

– Zgoda, ale nie spieszmy się. Chodźmy okrężną drogą.

– Lepiej nie trzymaj mnie za rękę. Pamiętaj, że udajesz chłopaka.

– Dobrze. To jest wspaniałe!

Sam ściska dłoń siostry i ją puszcza.

Wędrując w stronę domu są cichsi. Zbladła dzika radość, która wcześniej ich ogarnęła. Znajdują czas, żeby zatrzymać się i przyjrzeć interesującym drobiazgom: wielkiemu, połyskującemu wazonowi ze szkła ustawionemu w witrynie sklepowej; obwisłemu biustowi dziwki, próbującej odwrócić uwagę potencjalnych klientów od zniszczonego przez syfilis nosa; pijanemu karłowi leżącemu w błocie i okradanemu przez dwóch bosonogich chłopców z płaszczu obszytego jedwabiem.

– Nie cierpię, jak płaczesz, Hen. To znów ona? – pyta Sam.

Kluczą wąskimi uliczkami, wykorzystując za punkt orientacyjny wieżę katedry św. Pawła.

– Tak. Dlaczego ona tak bardzo mnie nienawidzi?

– Powinnaś powiedzieć o tym ojcu.

– Mówiłam. Wziął jej stronę. Stwierdził, że była też jego nianią, że kocha nas wszystkich, a ja powinnam być jej wdzięczna. Stara suka!

– Hen!

– Jest suką.

Henrietta rozkoszuje się nieznaną jej wygodą chłopięcego stroju. Robi duże kroki, naśladowując brata. Przeskakuje przez ciemne kałuże, kopie kamienie, napawa się

brakiem ciężkich sukni ciągnących się po błocie i nieczystościach. Jakże nie znosi wkładania swoich najlepszych strojów i wszystkich tych zabiegów, które musi podejmować, żeby uchronić cenną tkaninę przed brudem londyńskich ulic. Ubrana w kosztowne szaty musi siedzieć nieruchomo w lektyce, a ciężkie zasłony oddzielają ją od miejskiego zgiełku. Musi niepewnie dreptać w butach na drewnianych koturnach, które ślizgają się w szlamie, sprawiając, że w każdej chwili ryzykuje upadek. Uwolniona od tego wszystkiego, skacze i ląduje z pluskiem w błocie. Buty Sama są ubrudzone po kostki.

We wszystkich kościołach wokół biją dzwony. Jest dziewiąta wieczór. Sam nagle łapie siostrę za rękę.

– Wiem o czymś, co z pewnością ci się spodoba – mówi i popycha ją w Fenchurch Street, biegnącą w kierunku przeciwnym do ich domu. Daje nura w zaułek.

– Skąd znasz te wszystkie uliczki?

– Zagłębiał się w nie za dnia, znam je więc i w nocy. Szkoda, że jesteś dziewczyną. Ja umarłbym z nudów, gdybym musiał cały dzień siedzieć w domu. Musimy wspinać się na ten mur. Słyszysz już coś?

Do Hen dociera cichy szum rozmów dochodzący z okazałego budynku za murem, na którym usiadł Sam. Dziewczyna wdrapuje się na ogrodzenie i siada obok brata.

– Teraz musisz się przechylić, wyciągnąć ramiona i zrobić łuk ponad uliczką. Rozumiesz?

Odsuwa się od siostry, opierając swój ciężar na przeciwległym murze. Hen robi to samo i odkrywa, że może spojrzeć w okno budynku, o którego ścianę się opiera. Pod nimi przemykają szczury.

Wewnątrz budynku, na długich ławach siedzą rzędem mężczyźni i kobiety zarumienieni od ciepła i wina, rozmawiają i się śmieją.

– Co to za miejsce, Sam?

– Sala cechu sukienników. Poczekaj, nie widziałaś jeszcze najlepszego.

Gwar dziesiątek rozmów nagle cichnie, zmieniając się w szum. Na drugim końcu sali wstają mężczyzna i kobieta, rozpościerają ramiona i proszą biesiadników o uwagę. Są strojnie ubrani, a kobieta ma włosy upięte w fale. Nosi suknię z głębokim dekoltem, zgodnie ze stylem dworskim. Niemodnie obfity biust wydaje się wylewać poza brzeg gorsetu. Kiedy kobieta otwiera usta, jej głos niezwyklej urody rozchodzi się ponad głowami gości, nad salą, i przenika między szparami w oknie, przez które zdumiona Hen przypatruje się scenie.

– Czy to jest anioł?

Sam chichocze.

– Coś w tym rodzaju. Taki anioł oprychów. Jeden z tych, co da się posuwać pierwszemu lepszemu bogatemu staruchowi, byleby zapłacił. Po prostu ładnie śpiewa.

Hen daje mu kuksańca w zębra.

– Nie naśmiewaj się ze mnie.

Dziewczyna przypomina sobie znane jej głosy: skrzekliwe kołysanki babci, pohukiwanie ojca, kiedy zasiada w cynowej balii koło ognia, przyśpiewki pijanych, obejmujących się czeladników o kobietach i winie pod jej oknem, napuszoną Lucy Tompkins śpiewającą francuskie pieśni przy wirginalu. Ten śpiew całkowicie różni się od tamtych. Mężczyzna – zupełnie o nim zapomniała – dołącza do śpiewaczki.

– Wydaje się, że ze sobą tańczą, tyle że głosami. Och, Sam, nigdy jeszcze nie słyszałam czegoś równie pięknego.

Sam siedzi na murze i uśmiecha się do zachwyconej siostry.

– Tak myślałem, że ci się spodoba.

Zostali do końca piosenki, wysłuchali też następnej. Hen czuje, że robi jej się zimno, a czoło, którym opiera się o szybę, zdrętwiało. Sam leży na murze i siostra wyczuwa jego zniecierpliwienie. Niechętnie odsuwa się od okna i prostuje. Zeskakują na ziemię, płosząc szczury.

– Musisz obiecać mi, że tu wrócimy, że będę mogła posłuchać tego jeszcze raz. W przeciwnym razie nie będę w stanie stąd odejść.

– Obiecuję. Zabawna jesteś.

– Wolę jak jesteś w domu, Sam. Jeszcze tylko cztery dni i wracasz do szkoły. Nie zniosę twojego wyjazdu.

– Spokojnie, Hen. Musisz dać radę. Będę pisał.

– Zawsze tak mówisz, a później listy ustają. Kim są twoi przyjaciele? Czego się uczysz? Jacy są twoi nauczyciele? Masz wszystko, co nowe i ekscytujące, a ja muszę siedzieć w domu, gapiąc się w ścianę, i czekać na list, który nigdy nie nadchodzi.

– Powinnaś urodzić się chłopcem. To był twój błąd. Masz duszę chłopaka.

– Być może. Ale czy nie jestem tym, kim jestem? Jestem bezużyteczna. Bez znaczenia.

Skręcają na rogu ulicy. Ktoś wybiega z mroku, wpada na Hen i ją przewraca. Dziewczyna, upadłszy na kolana, wpatruje się w buty Sama, zaskoczona nagłością wypadków i zimnym, mazistym błotem na dłoniach. Nad nią rozlegają się krzyki, podnosi więc wzrok i widzi rudego mężczyznę stojącego na szeroko rozstawionych nogach w rynsztoku, unoszącego zakrwawione pięści.

Drugi mężczyzna, ten, który ją wywrócił, nadbiega z pięściami przygotowanymi do bitki, ani na chwilę nie przestając wykrzykiwać przekleństw. Hen widzi początek bójki, słyszy uderzenie pięści o kość. Wrzask zmienia się w bełkot, a ciepła krew pryska na jej uniesioną twarz.

Sam podnosi siostrę z ziemi i odciąga od walczących. Wokół zebrała się grupka spluwających podżegaczy. Wzywa się Boga, przysięga na imię Jezusa. Dwaj mężczyźni okładają się pięściami, podczas gdy dziewczyna cofa się pod mur. Nigdy jeszcze nie widziała krwi przelewanej z taką zajadłością i złością. Nigdy nie przekonała się, jak jaskrawo odcina się od jasnej skóry, jak ciemna wydaje się rozlana na ziemi. Widzi upadek potężnego mężczyzny i wyraz poobijanego triumfu na twarzy rudowłosego.

– Chodźmy – mówi Sam.

Hen wzrusza ramionami. Zawładnęło nią obrzydzenie? Fascynacja?

Brat odciąga ją, trzymając za nadgarstek. Kiedy mijają witrynę złotnika oświetloną kilkunastoma lampami w taki sposób, żeby towary połyskiwały i nęciły w mroku, patrzy na swoją koszulę. Koszulę Sama. Materiał opinający jej obwiązane, spłaszczone piersi został opryskany krwią, błotem i ubrudzony sadzą. Hen niesie ślady przygody, życia przeżywanego w galopie, i z radości podskakuje na czubkach palców jak baletnica.

ROZDZIAŁ 2

Powietrze jest ciężkie, duszne. Brzęk szczypiec do cukru zakłóca ciszę w bogato umeblowanej jadalni pani Birch. Hen siedzi na krześle ze ściśniętymi kolanami. Kołnierzyk i mankiety wydają jej się zbyt ciasne, a upięte z tyłu włosy naciągają nieprzyjemnie skórę na czole. Loczki na skroniach, w których ciągle utrzymuje się gryzący zapach żelazka, wpadają jej w oczy. Pani Birch taksuje dziewczynę wzrokiem znad ręki, którą nieustannie zasłania zniszczone uzębienie. Henrietta słyszy, jak jej szerniały zęb kruszy się na kandyzowanym orzechu.

Lucy Tompkins oczywiście też tam jest. Kolejna pozbawiona matki sierota wybrana przez panią Birch spośród córek biznesowych partnerów jej męża. Lucy z idealnie zakręconymi blond puklami siada obok Hen, uśmiechając się słodko do pani Birch. Tylko od czasu do czasu jej wzroku ucieka na bok, żeby złapać własne odbicie w szybie okiennej.

Towarzyszy im jeszcze jedna młoda kobieta. Starsza od Lucy i Henrietty, pod dwudziestkę, blada i pospolitej urody. To pani Price, jak się wydaje, ciotka Lucy. Najwyraźniej jest purytanką. Hen zauważa jej skromną suknię i prostą fryzurę.

– Henrietto, siedź prosto – zwraca jej uwagę pani Birch.

Dziewczyna usztywnia plecy i podnosi brodę, wywołując uśmiech starszej kobiety.

– Droga mateczka Henrietty zmarła, wydając ją na świat – gospodyni informuje panią Price. – My, najbliżsi przyjaciele jej ojca, robimy, co możemy, żeby zapełnić tę pustkę. Jej babka mieszka z nimi, lecz biedaczka niewiele już może pomóc, czy się mylę, Henrietto?

Hen wierci się na krześle, nie ma ochoty przyznać jej racji, lecz jest zbyt uprzejma, żeby wprost wyrazić sprzeciw. Nie zdradzi babki, która była tak rażna i kochająca, zanim zmarło ostatnie z jej dzieci, a ona sama uznała, że jest potępiona. Biedna babcia. Jakie to musi być straszne, żyć w przekonaniu, że jest się przeklętą. Nieustannie słyszeć bicie dzwonów, nawoływanie demonów.

– Interesujące imię, Henrietta – obca kobieta toczy w ustach okrągłe słowa, nasycając sylaby jadem. Mruży ciemne oczy, obrzucając towarzyszkę wzrokiem od góry do dołu, próbuje właściwie ją umiejscowić, przypiąć odpowiednią etykietkę.

– Urodziłam się w czasie, kiedy Jego Wysokość starał się o rękę królowej. Minęło już niemal szesnaście lat. Ojciec nazwał mnie na cześć Jej Wysokości.

– Zaprawdę, nieszczęsny to był dzień – rzekła pani Birch, pozostawiając swoją wypowiedź wystarczająco niejasną, by zrobić przykrość Henriecie. Lucy uśmiecha się złośliwie, a pani Birch dodaje: – Oczywiście mam na myśli dzień zaślubin.

– Katolicka dziwka – wypala pani Price.

Lucy kiwa głową. „Jak jej się udaje łączyć pompatyczność z kokieterią?” – myśli Hen.

Pani Birch sięga po kolejne ciastko.

– Oczywiście, wszyscy chcielibyśmy, żeby nasz umiłowany król poślubił dobrą, pobożną dziewczynę. Może Niemkę. Przez te wszystkie lata niemal z taką samą siłą bolejemy nad tym, a te biedne dzieci dorastają pod rządami papisty – mówi młoda mężatka, między kolejnymi karmelkami wkładanymi do ust.

– Czy pani słowa nie są jednak nieco zbyt szorstkie, pani Price? – pyta pani Birch.

– Szorstkie? Mój ukochany brat, nazywany przez niektórych wielkim poetą, choć ja takie osądy pozostawiam Bogu, jak wiecie, często bywa na dworze. Mówi, że w styczniu wystawiła wielkie przedstawienie z maskami, w którym damy dworu tańczyły i odgrywały sceny z dziwkami.

– Poetą? – pyta Hen.

Pani Birch pochyla się, przekrzykując pytanie dziewczyny.

– Może pani nam powie więcej na ten temat.

– W obecności dziewcząt wolałabym nie.

Pani Birch niespokojnie kręci się na krześle, spodziewając się pikantnych plotek.

– One muszą zmierzyć się z tymi okropnościami jak wszyscy. Papiści walczą o duszę naszego ukochanego Karola i o jego Kościół. Niech więc usłyszą najgorsze.

– Cóż – odpowiada pani Price, pochylając się z niekłamany zadowoleniem – mój kuzyn mówi, że to przedstawienie było bardziej gorszące od innych. Damy dworu, z naszą królową wszetecznicą na czele, zaaranżowały specjalny finał zabawy. Obnażyły swoje piersi przed dworzanami.

W nagrodę otrzymuje gwałtowne westchnienie oburzenia ze strony pani Birch i Lucy.

– Niemożliwe! A to papieska wszetecznica. Musi być potępiona! – Pani Birch otwiera szeroko usta, ukazując zepsute zęby, które z takim trudem starała się ukryć.

– Oczywiście, że jest potępiona, skoro sprzyja rzymskiej nierządniccy^[1] – mówi pani Price, a w czasie wypowiedzania tych słów oczy jej błyszczą.

– Pani Price – odzywa się Hen – Lucy i ja byłyśmy na próbie generalnej. Ojciec Lucy nas zabrał, pamiętasz Lucy? Nie widziałyśmy gołych piersi, choć suknie z pewnością miały głębokie dekolty.

– Czy mój brat by mnie okłamywał, moja panno?

– To znaczy, że ja kłamię? Lucy, byłaś tam przecież ze mną.

Dziewczyna rumieni się, mamrocząc coś o braku śmiałości patrzenia na gorszące

rzeczy na scenie. Hen pamięta, z jakim zapałem i iskrzącymi się oczami brała udział w przedstawieniu, oglądając królową i damy dworu tańczące przed poważnym obliczem króla.

Zapada cisza, a Henrietta zamyka się w sobie. Okna zasłonięte są kotarami, żeby chronić meble pani Birch przed słońcem. Tylko jeden promień zdołał dostać się do pokoju i drobinki kurzu tańczą w jego świetle. „Gdybym umiała namalować głos tej kobiety, którą wczoraj widziałam – pomyślała Hen – wyglądałby właśnie tak”. Zahipnotyzowana tym widokiem, pozwala myślom podryfować ku wspomnieniom pieśni i stara się odtworzyć to piękno w głowie. Jak przez mgłę słyszy, że Lucy mówi o haftowaniu.

– A ty, Henrietto? – pyta głośno pani Birch.

Jej słowa wyrywają Hen z zadumy.

– Przepraszam, ja...

– Pytałam, Henrietto, czy masz w planach jakąś pracę, jak droga Lucy.

– Owszem – skwapliwie przyznaje. – Pracuję nad przekładem Owidiusza. Na język potoczny, rozumie pani. Kupiłam oryginał na dziedzińcu katedry świętego Pawła i po prostu pomyślałam...

Milknie, zorientowawszy się po minach towarzyszek, że popełniła kolejną gafę, choć nie rozumie jaką dokładnie.

*

Nieco dalej, w karczmie „Pod Łabędziem”, Sam opróżnia pół kwarty wina z dwoma synami Bircha, Robertem i Samuelem. Na stole przed nim piętrzą się ostrygi, białe, drżące w swoich muszlach.

Richard Challoner, jego ojciec, pije niespiesznie. Sam obserwuje, jak powoli podnosi kubek, i stara się naśladować jego ruchy. Tompkins i Birch, też kupcy i wspólnicy Challonera, słuchają Olivera Chettle’a, prawnika. Mówi się o nim, że ma przed sobą przyszłość, słuchają więc w ciszy jego opinii, mimo że jest jeszcze dość młody.

– Mówię wam, on osłabił niezależność władzy sądowniczej, to jest nie do przyjęcia. Może sobie być królem, ale od niepamiętnych czasów sędziowie i prawnicy byli lwami pilnującymi tronu. On zmienił ich w pieski salonowe. Wczoraj, mówię wam, kolejny sędzia został przekupiony wysokim urzędem i sutą pensją.

Prawnik odchyła się na krześle, nieustannie bębniąc palcami o blat stołu. Birch, który przytakiwał jego tyradzie, włącza się do rozmowy.

– Nie zwoływał parlamentu od czasu powołania Lauda na arcybiskupa, chociaż wielu parów przekonuje go, by to zrobił. Tylko czy ich posłucha? Słucha tylko Strafforda i swojej żony papistki. Wąski pas wody oddziela nas od mocarstw europejskich, gotowych zniszczyć naszą wiarę, a ona, mimo to, paraduje wokół Whitehall w towarzystwie falangi papistowskich klechów.

– Próbuje pobić Szkotów bez pieniędzy i odmawia zwołania parlamentu, żeby

wysłuchać uzasadnionych żalów swoich poddanych. Jak zamierza opłacić działania wojenne bez środków uchwalonych przez parlament? Tompkins i Challoner, wy jesteście ludźmi interesów, wiecie, jak działają pieniądze. Czy wyruszylibyście w podróż handlową bez pieniędzy, towarów, kredytu i ze zbuntowaną załogą?

– Nigdy w życiu – odpowiada Challoner. – Mój Sam był w powijakach, kiedy ostatni raz zwołano parlament, a teraz, patrz na niego.

Starszy mężczyzna rzuca okiem na drugi koniec stołu, gdzie siedzi trzech młodzieńców, grając monetami w jakąś grę o skomplikowanych regułach. Sam unosi głowę, zmieszany nagłym zainteresowaniem jego osobą.

– W porządku, chłopcze – mówi Richard Challoner, uśmiechając się do syna. – A twoi synowie, Birch, nosili wtedy jeszcze sukienki. Zgadzam się, że musi zwołać parlament, żeby pozyskać fundusze na wojnę ze Szkotami. Zbuntowali się przeciw jego władzy.

– Mieli po temu powody – stwierdza Chettle, uderzając dłonią w stół. – Powstali przeciw temu papistowskiemu Laudowi i jego próbom zbrukania duszy ich kościoła. Okazali odwagę, której nam brak.

– A więc on chce, żeby pokochali swojego biskupa i modlili się przed ogrodzeniem oddzielającym ich od ołtarza? Możemy się z tym nie zgadzać, ale skoro taka jest wola króla? Wyobraź sobie, wracam do naszego przykładowego statku. Wyobraź sobie, że mówię załodze, żeby minęła wyczekiwany port pełen dziwek i wina. Może im się to nie podobać, lecz oczekiwałbym, że to zrobią i wychłostałbym każdego łajdaka odmawiającego wykonania rozkazu.

Na drugim końcu stołu chłopcy przerwali grę i przysłuchują się rozmowie, a krew w ich żyłach gotuje się od wina.

– Chryste uchowaj, a my niby jesteśmy ciemnymi marynarzami, mamy być chłostani i wykorzystywani? – pyta Birch. Ma zarumienioną twarz, a broda świeci mu się od soku z ostryg. – Czy może jednak jesteśmy Anglikami, którzy zgodzili się, aby nimi władano?

– A cóż to za pomysł? – pyta Challoner. – Co to za pomysł, że król niby potrzebuje naszej zgody, żeby panować? Król rządzi z mandatu Boga, nie ludzi.

– To tylko kolejny argument dla władcy i jego doradców, żeby nie nadużywać tego mandatu – stwierdza Tompkins.

Jest spokojniejszy niż pozostali rozmówcy, a jego wypowiedź łagodzi nastroje rozgorączkowanych mężczyzn. Nagle na drugim krańcu Sam rzuca się przez stół i atakuje Roberta Bircha. Chłopcy koziołkują w tył i upadają na podłogę, a kubki z winem z chlupotem spadają ze stołu. Sam przyciska do podłogi przeciwnika i wymierza cios pięścią zanim zostaje odciągnięty przez starszych mężczyzn.

– Samuel, zapominasz się – krzyczy ojciec chłopaka. – O co poszło?

– O nic – odpowiada syn, uparcie wpatrując się w ziemię.

Jakiś czas później Sam wychodzi z pokoju, w którym dostał lanie, całkiem poblady z bólu i wysiłku powstrzymywania łez. Hen pyta:

– Co się stało?

– Robert nazwał ojca papistą.

– Miałaś rację, że mu przyłożyłeś – obejmuje brata, wypowiadając te słowa. – Też bym mu przylała, gdybym była tam, a nie siedziała zamknięta w pokoju z tymi strasznymi kobietami. Dlaczego nie powiedziałaś ojcu?

– Powiedzieć mu, co ludzie myślą, kiedy broni króla? Zbiłby mnie jeszcze mocniej. Teraz wlewa w siebie kolejną butelkę.

Po opróżnieniu butelki Richard Challoner nadal jest wściekły. Dzieci słyszą go przez zamknięte drzwi.

– A niech cię cholera, przestań kręcić! – wykrzykuje, wygrażając pięściami w stronę buzującego kominka. – Niech cię diabli wezmą. Myślisz, że nie wiem, co knujesz? Ty lisie, ty wilku?

Kiedy Harmsworth, jego służący, wchodzi ze szklanką wina, Hen wślizguje się przed nim do pokoju i obserwuje sługę, który obrusza się i mamrocze, słysząc rzucane słowa i bluźnierstwa, które urażają jego niewzruszoną pobożność. Milcząc, podsuwa tacę swemu panu. Nienawiść Harmswortha przedziera się do zamroczonej winem świadomości.

– Niech cię lichy, Harmsworth. Nienawidzisz mnie, co? – mówi Challoner, uśmiechając się i dźgając służącego palcem.

Harmsworth stawia tacę na stole. Trzęsącymi dłońmi odmierza porcję wina.

– Ależ cię nieustannie męczy i boli to, że beczelnie oddycham tym samym powietrzem, co ty – mówi Richard Challoner. – Bo ja uważam, że Laud ma rację. Że trochę przepychu i ceremoniału jest dobre dla duszy.

Służący klęka, żeby podnieść serwetkę, która spadła na podłogę. Powolnymi, przemyślanymi ruchami składa ją wzdłuż zagięcia i kładzie na kolanach swojego pana. Gdy się nachyla, Challoner łapie za klapę jego kurtki i przyciąga go do siebie. Ich twarze – czerwona, pełna triumfu Challonera i blada, napięta służącego – zbliżają się do siebie.

– Zdrowaś Mario, co, Harmsworth? Niech Bóg błogosławi wszystkim biskupów. Bóg kocha papieża i całą jego purpurową okazałość.

Harmsworth podnosi rękę i wyciera kropelki śliny padające z ust pana. Nic jednak nie mówi. Challoner puszcza służącego. Mężczyzna prostuje się i cofa o krok.

– Czy to będzie wszystko, sir?

Challoner, zawiedziony brakiem reakcji ze strony starszego mężczyzny, unosi gwałtownie rękę

– Nie jestem przeklętym przez Boga papistą, niech cię cholera weźmie – kieruje słowa do wycofującego się służącego. – Bóg powstrzyma rzymską nierządnicę – mówi, kiedy drzwi zamykają się za Harmsworthem.

Zza zamkniętych drzwi dochodzą łoskoty i szepty. Harmsworth padł na kolana i modli się o przebaczenie. Te odgłosy rozśmieszają Challonera. Fale śmiechu dobywają się z jego brzucha. Po chwili podnosi wzrok i spogląda na ściany.

– Niech was diabli wezmą! Czy nie mówiłem wam, żebyście nie wirowały? Mówiłem czy nie?

Ignoruje wodę i sięga po wino.

– Niech was diabli wezmą! – krzyczy ponownie.

Henrietta przechodzi przez pokój i wsuwa swoje dłonie w dłonie ojca.

– O, Hen! – woła z pijackim rozbawieniem. – Och, kochana, dlaczego wstałaś? Jest już tak późno.

– Harmsworth płacze w jadalni.

– Naprawdę płacze? I modli się, mogę się założyć.

Dziewczyna potakuje i kładzie głowę na jego kolanach.

– Dlaczego mu dokuczasz, tato?

– Purytanie! Nie cierpię ich. Pochlipujący fagasi. Głupie parchy. Zadowolone z siebie wyskrobki. Jesteśmy wybrani – mówią, obłudni ponuracy. A co, jeśli nie jesteście? Co wtedy? Harmsworth jest przepelniony odrazą do samego siebie, cały skruszony. Bóg, a to paradne. Robić z siebie nieszczęśnika dla Boga. Czy on tego wymaga od nas, pączusiu? Żebyśmy nienawidzili samych siebie?

– Jesteśmy grzesznikami, ojcze.

– Co złego zrobiłaś, pączusiu? Ja być może jestem grzesznikiem. Przynajmniej miałem trochę uciechy w życiu, kiedy grzeszyłem. – Uśmiecha się na wspomnienie swoich nieszczerych aktów skruchy. – Czy Bóg może mi tego zazdrościć, co, pączusiu? Ale Harmsworth mnie nienawidzi, baran jeden. Nienawidzi mnie, chce zobaczyć, jak czeznę. A chce też, żebym mu płacił i dawał jeść. Wije się więc i mamrocze, a ja kpię z jego rozterek. W przeciwnym razie musiałbym go zwolnić albo obić. Nienawidzić siebie nawzajem z takiego powodu!

Hen obejmuje rękoma nogi ojca, zadowolona, że się uśmiecha, bez względu na przyczynę jego rozbawienia.

– Czy on myśli, że kocham mojego Boga mniej niż on swojego? – pyta cicho Challoner, odgarniając włosy z czoła córki powolnymi, rytmicznymi ruchami.

– Jesteś papistą?

Dziewczyna sztywnieje ze strachu przed spodziewanym policzkiem. Lecz pytanie już padło.

– Nie, Hen, nie jestem – głos ojca nagle brzmi trzeźwo i spokojnie. – Zresztą ty jesteś mądrym koteczkiem, moją kicią, nie będziemy za dużo rozmawiać na te tematy. Mogę się założyć, że więcej wiesz o soborze w Nicei niż o bieżących sporach. O wszystkich tych pogromach z przeszłości, którym przewodziła teologia, a niezbyt wiele o współczesnych przepychankach.

– Opowiedz mi więc o nich – prosi dziewczyna, spoglądając na ojca.

– Cóż, mój aniołku, będzie to pieśń o gniewie purytanów. Oczywiście wiesz, że po

drugiej stronie Kanału papiści toczyli długą i okrutną wojnę z prawdziwymi chrześcijanami. Hiszpanie i święty cesarz zjednoczyli siły przeciwko armiom palatynatu, łajdacy z Dani i Szwecji opowiadali się w zależności od nastroju po jednej lub po drugiej stronie, dobrzy protestanci francuscy starali się zaś zająć swojego króla, wznecając powstania w różnych miejscach kraju.

Hen przytakuje niecierpliwie:

– A ty i sir Horace de Vere w Palatynacie wspieraliście roszczenia siostry królewskiej do tronu czeskiego.

– Tak, minęło już dwadzieścia lat, moja mała.

– Więc to już historia – wzrusza ramionami dziewczyna.

– Cóż, zachowaj ją sobie w łepetynie, bo ci się przyda. Bez tego reszta nie ma sensu.

Challoner wstaje pewniej niż można by się spodziewać po ilości wypitego przez niego wina. Rozjuszony poprawia drwa w kominku.

– Idźmy dalej. Gdy zmarła stara królowa^[2], niech Bóg ją błogosławi, wejrzelśmy na króla szkockiego^[3], bo był dobrym protestantem i miał zdrowych protestanckich synów. Zapowiadało się dobrze. Jeden z jego protestanckich synów zmarł, a mówiąc tylko między nami i w tych murach, był to najlepszy z jego potomków. Tak oto mamy króla Karola, a on lubi swój Kościół z dzwonami i piszczałkami. Podoba mu się łaciński obrządek i księcia trzymający wiernych na dystans, oddzieleni od ludu ogrodzeniem ołtarzowym. A jego arcybiskup Laud, sprawujący tę godność od siedmiu lat, lubuje się w tym wszystkim jeszcze bardziej. Zapach kadzidła dla purytanów, malutka, jest zaś jak piżmo dla młodziutkiej służebnej, popadają od niego w obłęd.

– Dlaczego?

– Zewnętrzne formy kultu są ważne, pączusiu, po części dlatego, że trochę zalatują katolicyzmem, ale przede wszystkim ze względu na to, co symbolizują: Kościół jako pośrednika między Bogiem a człowiekiem. Dodaj do tej mieszanki predestynację^[4], a purytanie zaczynają wpadać w szal.

– Mówisz o kwestii arminianizmu?

– Tak, kiciu. Purytanie są przekonani, że od urodzenia człowiek jest naznaczony, wybrany lub nie, by dołączyć do Chrystusa w niebie. Arminianie, a ja sam siebie do nich zaliczam, wierzą, że to wszystko są bujdy. Czyny człowieka też muszą być brane pod uwagę. Boże, jak my o to walczymy, jakby nasze miejsce w raju zależne było jedynie od pustosłowa i wrzawy.

– Wszystko potwierdza to, co mówisz. Sytuacja na kontynencie pokazuje, jak spory religijne prowadzą do ruiny.

– No właśnie, mądra kiciu.

Ojciec klepie po głowie dziewczynę, a ona odsuwa się, zirytowana tym gestem.

– Boimy się wojen za granicą, a jednocześnie staczamy się w konflikt, bo nasz strach sprawia, że jeszcze bardziej angażujemy się w walki. W tym kłopot, kotku, i to bardziej zaprzęta głowy niż modlitewnik – kontynuuje mężczyzna.

– Ojcie, dlaczego Laud upiera się przy działaniach zbrojnych, skoro są one tak

bardzo niepopularne?

– Chce jedności Kościoła, kochanie. Dąży do całkowitego zjednoczenia dwóch narodów. A Szkotom to nie w smak. To miejsce roi się od purytanów i gnid wszelkiego rodzaju. Choć może się wydawać, że walczymy ze Szkotami o Biblię, w rzeczywistości chodzi o coś znacznie większego.

– Skoro Szkoci są gotowi w obronie Biblii wystawić wojska przeciwko królowi, co na to powiedzą nasi purytanie?

– Właśnie tego obawia się król. Część z nich zamierza na szkocką modłę pomalować twarze na niebiesko i dołączyć do tych obłąkanych łajdaków. Najbardziej jednak pragną obalenia Lauda, mimo że król go kocha. Nawet to nie ma związku z teologią, tylko z tym karłem Laudem. Król nie zwołał parlamentu od czasu uczynienia go arcybiskupem. A bez zgody zgromadzenia nie może podnieść podatków po chrześcijańsku, lecz musi chyłkiem zdobywać pieniądze niczym Maur, nakładając opłaty na co się da. Zmuszony jest zaciągać pożyczki i pobierać samowolnie ustanowioną daninę okrętową, w czym pomaga mu jego faworyt i doradca, Strafford. Dlatego ludzie mający Boga w sercu przeklinają Lauda, a ci, którym łotry grzebią w szkatułach, przeklinają Strafforda. Są tacy, którzy okres niezwoływania parlamentu nazywają panowaniem osobistym, inni mówią o tyrani.

– A ty, ojczy? Jaki jest twój punkt widzenia?

– Ja, kotku, chcę patrzeć na to wszystko z boku, ze szklanką wina w dłoni.

Rozbawiony własnym żartem wybucha dudniącym, zaraźliwym śmiechem. Wypił kolejny haust wina

– Nie jestem papistą, kochanie. Nie jestem również zwolennikiem Kalwina, wiesz to przecież. Każdy człowiek sam musi odnaleźć swoją ścieżkę do Boga, a ja unikam popadania w skrajności. Niepewna jest droga do zbawienia. Być może jednak je osiągnę.

Gwałtownie wstaje.

– Pączusiu, zrobiliśmy się zbyt poważni, ty i ja – mówi.

Podnosi córkę i wiruje z nią w ramionach po pokoju, a córka obejmuje go rękami. Zanoszą się śmiechem, gdy kręcą się, aż w końcu opadają na fotel. Henrietta, jak zawsze, siada ojcu na kolanach. Opiera głowę i wdycha znajomy zapach wina i tytoniu, dostosowując swój oddech do ruchu jego klatki piersiowej.

[1] Purytanie nazywali kościół rzymsko-katolicki *Wielką Nierządnicą, co znieprawiała nierzędem swym ziemię* (...). Ap 19, 2 (przyp. red.). Wszystkie cytaty z Biblii za: *Biblia Tysiąclecia*, Poznań–Warszawa 1980.

[2] Elżbieta I Tudor, królowa Anglii w latach 1558-1603 (przyp. red.).

[3] Jakub I Stuart, król Anglii w latach 1603-1625 (przyp. red.).

[4] Predestynacja – koncepcja, wg której przeznaczenie człowieka (jego zbawienie lub potępienie) jest z góry określone przez Boga; dyskusje nad taką koncepcją wiodli protestanci podczas reformacji w XVI w. (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 3

KWIECIEŃ 1640

Tłum jest gęsty i hałaśliwy. Z tyłu Henrietta słyszy śpiew grupki podchmielonych czeladników. Zataczają się na jedną stronę i ludzie w pobliżu muszą rozejść się na boki, niczym ryby, które wpadły w nieprzychylny prąd wody. W powietrzu czuje się rozgorączkowanie. W końcu zwołano parlament. W końcu!

– Przykro mi, pączusiu! – krzyczy Challoner. – Próbowałem znaleźć miejsce w oknie. To nie jest dobre, ale wszystkie inne zajęte.

Dziewczyna wzrusza ramionami i mocniej ściska jego dłoń. Słyszy głos Sama krzyczącego nad ich głowami. Spogląda w górę i widzi go siedzącego z udawaną nonszalancją na szyldzie karczmy „Pod Łabędziem”, z nogami dyndającymi ponad wyblakłym dziobem ptaka.

– Nadchodzą! – woła, wskazując ręką ponad tłumem.

Hen, wciśnięta w trzeci rząd, niewiele może zobaczyć. Przez prześwity między ściśniętymi ludźmi wypatruje, dokąd idą ludzie króla, uszeregowani w porządku od pazia do osobistego doradcy. Tłum w większości jest dobrodusznie rozradowany. Kiedy rozlegają się gwizdy i buczenie, dziewczyna domyśla się, że w pochodzie pojawił się arcybiskup albo Strafford, na których widok zebrani dają upust wściekłości.

Wybuch radości zapewne oznacza pojawienie się króla. Jedzie konno, więc Henrietta widzi jego dziwnie bezcielesną głowę kołyszącą się ponad zgromadzonymi ludźmi. Jego twarz przypomina maskę. W tej masce mógłby odgrywać postać uosabiającą godność lub wzgardę. Dziewczyna podnosi wzrok i widzi wiwatującego Sama, który w powietrzu wymachuje kapeluszem, a łabędź kołysze się gwałtownie, gdy chłopiec uderza go piętami po bokach.

Wiwaty przemieszczają się wraz z królem. Tłum na chwilę cichnie, po chwili jednak kolejne gromkie okrzyki rozbrzmiewają z prawej strony. Podążają za procesją, po czym milkną.

– Hampden! – krzyczy ojciec do ucha dziewczyny.

„A więc to jest ten parlamentarzysta” – myśli Hen. „John Hampden, bohater oporu

przeciwko daninie okrętowej, i jego współpracownicy”.

Tłum przerzedza się po przejściu ostatnich uczestników procesji. Ojciec zauważa Sama i wygraża mu pięścią.

– Bój się Boga, chłopcze, skręcisz kark!

Staje pod szyldem, a Sam zsuwa się na jego ramiona. Challoner udaje, że słania się na nogach pod jego ciężarem i klęka, żeby chłopak mógł zejść na ziemię.

– Król jest niziutki, co nie? – mówi Sam. – Ale jaki z niego jeździec! Niech mnie kule biją, widzieliście jak pewnie prowadził tę olbrzymią bestię w kłusie i pośród krzyków?

– Nie widzieliśmy zbyt dobrze Jego Wysokości – stwierdza Challoner, obejmuje bliźnięta i prowadzi je między ludźmi. – Jest zupełnie inny niż jego ojciec, który zawsze wywyższał się ponad motłoch. Ośmielam się twierdzić, że urządziliśmy Jakubowi wspaniałe powitanie, gdy przybył ze Szkocji objąć angielski tron.

Ruszyli w stronę domu, mijając resztki pozostawione przez rzednący tłum – skórki pasztecików i puste flaszki.

– Z własnej woli jednak nie wziął udziału w paradzie – zauważa Henrietta. – Król musi uczestniczyć w procesji otwierającej nową sesję parlamentu, prawda ojcze?

– Tego wymaga tradycja. Zauważcie, że tradycją wcześniej było zwoływanie parlamentu. Ostatni raz król zrobił to jedenaście lat temu.

– Dlaczego musiał zwołać zgromadzenie? – Henrietta bierze ojca pod ramię.

– Bo, moja droga, jest bez grosza przy duszy. Jest całkowicie i żałośnie spłukany. A na dodatek wyczerpały się wszystkie jego małe sztuczki i fortele, których używał, żeby wydusić z nas pieniądze. W końcu więc przyszedł z kapeluszem w rękę, żeby poprosić o praworzadne podniesienie podatków.

– A potem – dodaje Sam – rozbije Szkotów. Hurra!

– Być może – odpowiada Challoner, uśmiechając się do syna. – Ale to nie będzie takie proste, jak sądzi, obawiam się. Poza tym dziesiątki parlamentarzystów stoją w ogonku, żeby poruszyć temat wysokości wypłacanych im groszowych diet, a dusili swoje niezadowolenie przez jedenaście lat. Będziemy mieli niezłą zabawę, patrząc na to.

*

Nic nie wskazuje, żeby spektakl nadchodzących dni bawił Challonera równie mocno jak parlamentarnych jakałów. Pewnego rana, zaledwie dwa tygodnie po zwołaniu nowego zgromadzenia, którego obrady najwyraźniej nie są udane, Richard odnajduje córkę – zgodnie ze swoim przewidywaniem – w bibliotece.

– Pączusiu, co byś powiedziała na wycieczkę?

– Dokąd? – Boże! Choćby na chwilę opuścić te mury. Jakże upajająca to myśl. Łapie ojca za rękaw. – Dokąd, tato?

– Do posiadłości twojego wuja Challonera, pod Oksfordem. Jeśli pamiętasz, kiedyś nas odwiedzili. Tam jest dziewczynka w twoim wieku, syn Mathew i inne dzieci,

których wieku nie pomnę. Może byłaś za mała, żeby ich zapamiętać.

– Do Oksfordu? Tak, tato, tak. Kiedy jedziemy? Jak się tam dostaniemy? Co z babcią? Na jak długo?

Ojciec wyciągnął ramiona, udając, że broni się przed córką.

– Hola, mój pączusiu. Spodziewałem się, że spodoba ci się ten pomysł. Wezmę cię, pojedziemy tylko we dwoje. Zostawię cię tam – mam interesy na północy, a w drodze powrotnej cię zabiorę. To dobry czas, żeby wyjechać z miasta. Też tak uważasz?

– Tak.

– Tu zapanowała zbyt rozgorączkowana atmosfera, jest zbyt purytańsko i zrobił się zbyt wielki chaos, jak dla twojego ojca, kotku. – Dziewczyna obserwuje próbującego się rozpogodzić ojca i uśmiecha się do niego, żeby poprawić mu humor. – Mniejsza o to – mówi Challoner i w odpowiedzi szerzej uśmiecha się do córki. – Wyjedziemy o świcie. Więc się przygotuj!

– Tak więc, babciu, wyjadę. Zapewne na miesiąc.

Staruszka wpatruje się w ogień. Henrietta siada obok niej i chwyta jej szczupłą, kościstą, suchą dłoń.

– Żeby spotkać się z kuzynami. Sama. Wreszcie coś nowego, babciu, wyobrażasz sobie? I bez niani!

– Powinnaś wyjść za mąż – odpowiada oschle babka.

– Ach tak? A dokładnie za kogo? Poza tym, nie jestem pewna, czy chcę mieć męża.

Słyszając to, babka odwraca się w stronę dziewczyny i wpatruje się w nią równie usilnie jak wcześniej w ogień.

– Nie bądź głupia, Henrietto! To nie przystoi. Oczywiście, że musisz wyjść za mąż. Bycie mężatką jest dość nudne i żałosne. Spróbuj jednak być starą panną, drogie dziecko.

– To nie wydaje się takie złe. Przynajmniej nikt nie będzie mi mówił, co mam robić.

Babka uśmiecha się. Ogień w kominku roztacza ciepło, Hen sadowi się z zadowoleniem i opiera głowę na ramieniu staruszki.

– A z czego byś żyła? Na łasce braci? Edward z każdym rokiem popada w coraz większą dewocję. Kazałby ci słono zapłacić za opiekę. A ty byś się z nim kłóciła.

– Sam dopilnowałby moich praw.

– Drugi syn? Będzie miał wystarczająco dużo na głowie, próbując samemu się utrzymać. A co z jego żoną?

Hen uśmiecha się na myśl o żonatym Samie.

– Być może wcale nie będzie cię lubiła. Kochanie, zapewne znienawidzi cię za twoją bliskość z Samem. A on będzie czuł się przyparty do muru, chcąc ci pomóc. Nie, moje dziecko, zaznać biedy to nic przyjemnego.

– Na co więc mam liczyć, babciu?

– Wiedz kochanie, że wdowieństwo to najlepsze, co może przydarzyć się kobiecie – mówi staruszka, uśmiechając się do niej. – O ile nie jest się ubogą wdową. Dlatego

zakochaj się w młodym biedaku, jeśli musisz, ale wyjdź za bogatego starca.

– Babciu!

Kobieta śmieje się, lecz po chwili jej twarz się chmurzy. Hen przygląda się zgarbionej babce.

– Tylko nie miej dzieci – przestrzega drżącym głosem stara kobieta. – Stracisz je i to złamie ci życie. Pięcioro, ja straciłam pięcioro. Nie licząc tych, które umarły w moim łonie, albo opuszczając je.

Dziewczyna zrywa się. Mocno łapie babkę za rękę, kiedy staruszka zaczyna płakać.

– Babciu, musisz się przespać – mówi Henrietta.

– Spać, jakże mogłabym spać. Och, jestem przeklęta, moja droga, skazana na potępienie. W dniu Sądu Ostatecznego będę błagała i prosiła, ale łaska będzie mi odmówiona. To jest moje przeznaczenie.

– Ojciec mówi, że predestynacja to absurd – odzywa się Hen, desperacko starając się sparafrazować wyważone wątpliwości ojca na temat tej doktryny i podważyć wiarę babki we własne potępienie. – Mówi, że miejsce, w jakim człowiek znajdzie się po śmierci, musi zależeć od jego czynów.

– Kochana, on może tak myśleć, czy jednak kaznodzieje się mylą, a on ma rację? Czy wiara, którą wyznawałam przez całe życie jest błędna? Czy mój dziadek bez powodu opierał się tej krwiożerczej papistce Marii? Czy to wielka nierządnicą rzymską przemawia przez twojego ojca? Szatan szepcze mu do ucha. Nie słuchaj go. Wszystko zostało już zdecydowane, a ja zostałam wybrana.

Staruszka podciąga koc pod brodę i szczelnie się owija. Upycha krańce narzuty, żeby dokładniej się przykryć.

– Czuję to w sercu, dziecko. Jestem potępiona. Skazana na miejsce, gdzie rozlegać się będzie płacz i zgrzytanie zębów. A dym moich katuszy na wieki wieków będzie się wznosił.

Łzy płyną po policzkach starej kobiety i spogląda poważnie na Hen, jak gdyby dziewczyna potrafiła przekonać ją, że się myli.

– Dlaczego musisz to rozpamiętywać, babciu? Rozmyślać o śmierci i potępieniu? Żyjesz, nie możesz się na tym skupić? Dlaczego myślisz o tej całej reszcie?

– Jakże mogłabym? Co innego się liczy? Życie doczesne to tylko żaloszny antrakt do przyszłego życia wiecznego.

Hen ociera łzy babki ręką swojej spódnicy. Staruszka nie zwraca na to uwagi, tylko wpatruje się w ogień szeroko otwartymi, przerażonymi oczami.

– Nie patrz w ogień, babciu. Nie patrz. Spójrz na mnie. Na mnie.

Henrietta odwraca głowę babki, tak żeby znalazły się twarzą w twarz. Ale kobieta omija ją wzrokiem, wnuczka więc pozwala babci ponownie zwrócić się w stronę paleniska.

– Tam są, dziecko, demony i potwory. Będę siedziała z wiedźmami i papistami i będę płonęła. Nigdy nie oglądałaś palenia na stosie, prawda moje dziecko? Najpierw czujesz zapach palących się włosów, a potem przypalającej się skóry. I cały czas

słyszysz krzyki, dziecko. Cały czas krzyki.

– Skąd wiesz, że to cię czeka? Należysz przecież do ludu wybranego przez Boga.

– Dziecko, on zna moje serce. Poddał mnie próbie. Zabił moje dzieci. I wie, och, wie, jak bardzo go przeklinałam. A to, że zostanę potępiona, zostało postanowione w dniu moich urodzin, podobnie jak to, że odbierze mi dzieci. Jedno po drugim. Odebrał mi je.

Mówi coraz głośniej i zbliża się do granicy hysterii, gdzie nie będzie już dla niej ukojenia.

– A On, moje dziecko, jest taki dobry, taki kochający. Uczynił piekło z mojego życia, żebym lepiej znosiła płomienie w życiu przyszłym. Ale dziecko, ja mimo wszystko tak bardzo boję się tego ognia. Tak bardzo.

*

Hen wysiada z ciemnego powozu obolała od długiego siedzenia z podkurczonymi nogami. Teraz się przeciąga po podróży. Widzi ładny ceglany dom z rozciągającym się przed nim trawnikiem. Gdzieś w pobliżu wartko płynie rzeka. Drzwi domu otwierają się i z wnętrza wychyla się zaczerwieniona twarz mężczyzny, a chwilę później pojawia się kobieta. Hen domyśla się, że to jest jej ciotka. Wkoło, krzycząc, biega dwójka małych dzieci, a pies wymachuje ogonem w przypiływie szaleńczej radości. Na schodach domu stoi nadąsana dziewczyna w wieku Hen.

– Ach, ach! – krzyczy mężczyzna z czerwoną twarzą. – Toż to drogi Richard!

Padają sobie w ramiona, energicznie się ściskają i odsuwają, żeby spojrzeć sobie nawzajem w twarz. Oceniają nowe zmarszczki, pasma siwych włosów, postępy łysienia, po czym ponownie z radością się obejmują.

– Robert, Robert! – ojciec Hen powtarza to imię jak błogosławieństwo. – I Marta, pocziwa Marta – nadal uśmiechając się, zwraca się do ciotki Henrietty. – A to, drogi bracie, bratowo, jest mój pączuś, całkiem już dorosły, albo prawie.

Hen widzi kpiący uśmieszek na twarzy dziewczyny stojącej na schodach. Czuje, że oblewa się rumieńcem. Żeby ukryć zmieszanie dyga, mamrocząc:

– Henrietta, proszę łaskawej pani.

– Proszę, proszę! – woła wuj Robert.

Sprawia wrażenie, jakby nie potrafił wyrażać się w inny sposób.

– Proszę, proszę! Jaka ślicznotka! Zupełnie jak matka!

Żona rzuca mu gniewne spojrzenie i mówi:

– Mniejsza z tym, Robercie. Podejdz, dziecko. Musisz być zmęczona po podróży. Pokażę ci, gdzie możesz się umyć. A to, kochanie, jest twoja kuzynka, Anna. Jestem pewna, że zostaniecie serdecznymi przyjaciółkami.

Hen podnosi wzrok, żeby uśmiechnąć się do kuzynki, ale widzi tylko wzgardę.

– Jakie to nowiny przywozisz z Londynu? – z tyłu słyszy tubalny głos wuja. – Co z parlamentem, bracie? Z jaką niecierpliwością oczekujemy wiadomości na ten temat.

– Nalej mi Robercie kielich twojego najlepszego bordo, a wszystko ci opowiem.

– Jak to dobrze mieć gości. Jakże to podnosi na duchu, jakże poprawiłeś mi nastrój, a jeszcze wypełnisz wiejskie powietrze nowinami ze stolicy. Cóż za radość! – mówi Robert, prowadząc gościa do jadalni.

Anna z naburmuszoną miną wskazuje kuzynce schody na piętro.

– Będziemy mieszkały razem – mówi, popychając drzwi prowadzące do niewielkiego, wyłożonego boazerią pokoju. – Mniejszy niż ten, do którego przyzwyczyłaś się w Londynie, jak się domyślam. I będziesz musiała spać na składanym łóżku.

Hen tylko przytakuje. Podchodzi do okna, gdzie poduszki tworzą siedzisko na szerokim parapecie. Ostatnie promienie zachodzącego słońca żarzą się złotem wokół czarnych ołowianych ramek szybek okiennych. Na zewnątrz doskonale utrzymany trawnik opada w stronę strumienia. Gałęzie wierzby unoszą się nad wodą, a wiatr targa jej liście.

– Jaki piękny pokój!

Hen odwraca się do kuzynki i ze zdziwieniem dostrzega cień uśmiechu na jej twarzy.

– Lubię go – odpowiada Anna. – Choć dla ciebie pewnie nie jest wystarczająco duży. Henrietta wzrusza ramionami.

– Bardziej niepokoi mnie cisza. Czy tu jest zawsze tak cicho?

– Chyba tak. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Nie wiem, czy zasną w tej ciszy podszytej hałasem.

– Jak cisza może być podszyta hałasem?

Hen ponownie wzrusza ramionami. Obie milkną. Wzajemnie taksują się wzrokiem z dołu do góry, porównują się ze sobą – dziewczęta mają wrodzoną umiejętność szacowania swojej urody. Anna jest niższa niż Henrietta i ma jaśniejszą cerę. Jej okrągłe kształty uwydatniają szczupłość Hen. Ma zielone oczy Challonerów osadzone w okrągłej buzi z dołeczkami w policzkach. „Ładna” – myśli Hen. „Ładniejsza ode mnie?”

– Masz piętnaści lat? – pyta Anna.

– Tak, a ty?

– Szesnaście. Całowałaś się już kiedyś?

– Nie, a ty?

– Całowałam.

– Z kim?

– Czytałaś *Romea i Julię*?

Anna sadowi się obok kuzynki w oknie, mocno ściskając poduszkę w ramionach.

– On cytował mi tę sztukę: „To brzask na wschodzie, a słońcem jest Anna”^[5].

– Kto? Jak to jest?

– Co, jak jest? – Anna śmieje się. – Nie mogę nic więcej ci powiedzieć, kuzyneczko. Możesz się wygadać. Będziesz musiała zasłużyć na resztę opowieści.

– W jaki sposób?

– Chodź. – Anna wstaje i podchodzi do drzwi. – Zejdźmy do jadalni. Czekaliśmy na was z kolacją i umieram z głodu.

Dziewczyny schodzą na dół, kierując się w stronę gromkiego śmiechu wuja Roberta. Hen czuje zapach pieczonego mięsa i nagle uświadamia sobie, że jest głodna jak wilk. Siadają przy długim stole: Hen z ojcem, Anna i jej rodzice. Henrietta, zabierając się do jedzenia, przestaje słuchać rozmów i pozwala im przeistoczyć się w cichy szum w tle. Ciotka siada u szczytu stołu, wyraz triumfu i zmartwienia toczą walkę na jej dość surowym obliczu. Stół ugina się od dań, stoją na nim ciasta z owocami, połowa wołu, duszony karp, misa kurczących udek i niewielkie półmiski z solonymi sardelami.

Zaczyna jeść. Kęs wołowiny zaspakaja jej pierwszy głód. Palce ma lepkie od tłuszczu i wyciera je w serwetę, powstrzymując się od oblizania ich do czysta, jakby zrobiła to w domu. Słyszając głośne westchnienie wuja, podnosi wzrok. Ojciec ma triumfujące spojrzenie osoby, która przyniosła ważne informacje.

– Tak – mówi – wygląda na to, że parlament poniesie porażkę.

Wuj Robert cicho gwizdże.

– Ile to czasu minęło, odkąd został zwołany po raz ostatni?

– Jedenaście lat rządów osobistych – odpowiada ojciec Hen.

– Są tacy, którzy nazwaliby to tyranią, bracie.

– A i owszem, wielu to robi, i gardłuje o tym w parlamencie. A on musi tego wysłuchiwać, bo desperacko potrzebuje pieniędzy.

– Mimo daniny okrętowej i rozmaitych opłat wydzieranych takim uczciwym kupcom jak my?

– Nie wszystkim jest tak źle. Ci, którzy mają monopol, nie bez powodu kochają króla. Szkoci dowiedli jednak, że podporządkowanie ich jest trudne i kosztowne.

Wuj Robert potakuje.

– To łajdacy, ci Szkoci, nie? A hrabia Strafford z taką determinacją chce ich ukarać. Spotkałeś się z nim, bracie?

– Nie, i dziękuję za to Bogu. Widziałem go za to wielokrotnie. Pewnego razu jego wzrok padł na mnie, a ja miałem ochotę przeżegnać się jak papista. Samo jego oblicze dostarcza amunicji purytanom – wygląda jakby szatan pożyczył od niego twarz na przyjęcie.

Wszyscy wybuchają śmiechem poza ciotką Martą.

– Dlaczego szatan miałby pożyczać twarz od człowieka? – pyta płaczkliwie.

Wuj Robert pochyla się do przodu, wymachując udkiem kurczęcia z ekscytacją.

– Przejdźmy do sedna, bracie, dlaczego parlament poniósł porażkę?

– Wiesz o Johnie Pymie, parlamentarzysty? Zajmuje się interesami hrabiów Warwick i Bedford. To człowiek mający koneksje i niech Bóg wynagrodzi go za odwagę. Wstał w izbie parlamentu i potępił osobiste rządy króla. To było mądre i wyważone przemówienie. Przywiozłem ci kopię, żebyś mógł przeczytać. Nie oskarżał

króla. Zażądał utworzenia kilku komisji i zbadania nadużyć władzy w latach tyrani. Pym stwierdził, że nielegalne podatki nałożone przez władcę stanowią równie poważne zagrożenie dla naszej własności, jak papistowskie innowacje są zagrożeniem dla naszego Kościoła.

Zarumieniony z zadowolenia wuj Robert wali kielichem wina w stół.

– Dobrze mówi! Dobrze!

Richard Challoner uśmiecha się do brata, najwyraźniej znajdując przyjemność w opowiadaniu tych wydarzeń.

– Podobno król aż gotował się ze złości, ale potrzebował pieniędzy, więc musiał siedzieć spokojnie. Nie wiadomo, co wygra: królewski głód pieniędzy czy jego wściekłość na małego Pyma, który popiskując, głosi swoje żądania. Król chce, żeby zgromadzenie najpierw przegłosowało podniesienie podatków, a potem wносиło skargi. Parlamentarzyści przed udzieleniem mu poparcia chcą naprawienia krzywd.

– Ojczy – odzywa się Anna.

Wszyscy spoglądają w jej stronę. „Jakże ona pięknie wygląda w świetle świec” – myśli Henrietta.

– Czy to znaczy, że król Karol jest niegodziwcem?

Przerażony wyraz twarzy wuja Roberta wydaje się Hen niezwykle zabawny. Tłumi jednak śmiech.

– Niegodziwcem? Ależ nie, moje dziecko.

– Przecież zawsze narzekasz na podatki i mówisz, że powinien zwołać parlament, a jego żonę nazywasz papieską wszetecznicą.

– Anno! – matka ostro gani dziewczynę. Po czym odwraca się do męża i mówi: – Ona ma rację, mężu. Powiedz nam, co sądzisz o papieskiej wszetecznicy.

Atmosfera przy stole się psuje. Ciotka obrzuca zgromadzonych wzrokiem zarazem triumfującym i pełnym smutku. Jej pozbawiona wyrazu twarz zbyt ostentacyjnie unika wzroku męża. Przez chwilę słychać tylko stukanie noży o talerze i powolne, nieśpieszne uderzanie psiego ogona o podłogę. Spaniel leży z pyskiem ułożonym na łapach, rzucając budzące litość spojrzenia na ludzi, którzy tak ostentacyjnie objadają się na jego oczach. Smutnymi oczami śledzi tłuszcz ze skóry kurczaka spływający po brodzie wuja Roberta. Pies skamle żałośnie, ale nawet bez cienia nadziei.

Richard Challoner zabiera głos, jego słowa rozbrzmiewają w ciszy, która zapadła:

– Widzisz, Anno, król nie może być niegodziwcem. Ma po prostu złych doradców. Na przykład hrabiego Strafforda, narowistego despotę. I owszem, królowa jest papistką. Ale jeśli uda się przekonać władcę do słuchania dobrego, uczciwego głosu parlamentu, zamiast złych rad tych, którzy sączą mu do ucha truciznę, wszystko się ułoży.

Wuj Robert żywo potakuje jego słowom, rzucając w stronę Marty nieżyczliwe spojrzenie.

– Jednak – odzywa się Hen, świadoma, iż zuchwałością jest sprzeciwianie się ojcu – my go chyba nie usprawiedliwiamy, prawda? Gdybyś ty, ojczy, zaniedbał swoje

interesy, najłatwiej byłoby obwiniać twoich doradców, żeby zaoszczędzić ci wstydu. Ale byłoby to kłamstwo. Być może uprzejme kłamstwo. To ty jesteś odpowiedzialny za swój business, a nie twoi doradcy.

– Dzieciak ma rację, Richardzie – mówi wuj, uśmiechając się do bratanicy.

– To prawda – przyznaje ojciec. – Jest mądry kotkiem.

Hen patrzy ukradkiem na Annę, ale ona zwraca się ku matce z półuśmieszkiem igrającym na ustach.

Richard Challoner mówi dalej, obracając w dłoni nóżkę kielicha do wina. Hen patrzy na obrączkę matki, którą ojciec nosi na małym palcu. Pierścionek odbija światło świec i migocze w jej stronę.

– Parlament nie może wprost oskarżyć króla, to jest nie do pomyślenia – odpowiada.

– Być może więc zgromadzenie mówi „Strafford”, mając na myśli „Jego Wysokość”, albo „Laud”, kiedy chce powiedzieć „nasz monarcha”.

– To naprawdę dobre! – mówi ze śmiechem wuj Robert.

Patrzy na żonę, próbując skłonić ją do uśmiechu. Kobieta jednak marszczy brwi i uśmiech gaśnie na twarzy jej męża.

– Wujku, a widziałeś króla? – szybko zadaje pytanie Anna.

– Widziałem, dziecko. Hen też.

Kuzynka poważnie przytakuje.

– I jak on wygląda?

– Jak mężczyzna za niski w stosunku do poczucia własnej wartości – odpowiada Challoner.

– To prawda – potwierdza Hen. – A jednocześnie masz ochotę go mocno uściskać i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Chociaż wiesz, że obrzuci cię za to przekleństwami. Tak właśnie wygląda.

– Niech Bóg powstrzyma cię przed ściskaniem władców, kiciu – mówi jej ojciec ze śmiechem.

Jakiś czas później, leżąc w łóżku w ciemnym pokoju, Hen słyszy szept kuzynki:

– Śpisz, Kiciu?

– Nic nie mogę poradzić na to, że ojciec tak mnie nazywa. Co gryzie twoich rodziców?

– Matka przyłapała ojca ze służącą. Papistką. Słyszałam jej wrzask z drugiego krańca ogrodu.

– Służącej czy matki?

– Pocałuj mnie w dupę, kiciu. Kapuściana głowo.

– Przestań! – rozzłoszczona Hen podnosi ton. – Jestem twoim gościem, ty wiedzmo.

Cała się trzęsie z poczucia krzywdy. Została zabrana daleko od swoich książek i domu, żeby taka smarkula traktowała ją z góry.

– Suka! – szeptem odcina się Anna.

Henrietta myśli o bijących się chłopakach, których widziała na ulicy, kiedy kilka

tygodni temu włóczyła się z Samem po mieście.

– Lafirynda – syczy do Anny. – Kokota!

Anna nie odzywa się. Hen słyszy, jak siada na łóżku, którego stara rama skrzypi.

– „Lafirynda”? „Kokota”? O czym ty, na Boga, mówisz? Co to jest „kokota”?

Hen widzi w mrocznym świetle trzęsące się ramię kuzynki. Śmieje się czy zamierza ją uderzyć? Daje jej jeszcze jedną szansę, żeby się zdeklarowała.

– Nie wiem – odpowiada.

Nagle obie wybuchają śmiechem.

– Kokota – powtarza Anna. – Gdzie, do jasnej Anielki, to słyszałaś?

– Powiem ci, ale musisz przysiąc na wszystko, co kochasz, że zachowasz to w tajemnicy.

– Przysięgam.

Hen opowiada jej więc o tym, jak została Cesariem, o przyjemności noszenia spodni brata i wałęsania się po Londynie. O bijących się na ulicy i wykrzykujących przekleństwa chłopkach, o podsłuchiwaniu przewoźników i przeskakiwaniu przez mury. Opowiada jej o siedzeniu na murku przed piwiarnią w Southwark, z której wnętrza wydobywały się gęste opary. O dreszczyku emocji, jaki przeżyła, gdy niemal została przyłapana przez starego pana Bircha, który wymykając się potajemnie z lupanaru w Southwark, zobaczył ją i zaskoczony stanął. O przesiadywaniu z Samem na moście i oglądaniu zachodzącego słońca nad gwarnym City, które rzucało krwawoczerwone plamki na fale Tamizy.

Kiedy skończyła, zapadła cisza. Księżyc oświetlał pokój i Hen widziała sylwetkę kuzynki i jej podkurczone pod kołdrą kolana.

– Nikomu nie powiem – mówi Anna uroczyście. – Obiecuję. Mój brat i jego przyjaciele, kiedy przysięgają, ściskają sobie dłonie w taki sposób.

Wyciąga rękę, łapią się za dłonie i splatają kciuki.

– Teraz – uroczyście oznajmia Anna – przysięgam na krew mojej matki i na głowy moich braci.

Hen uśmiecha się, ściskając dłoń kuzynki.

ROZDZIAŁ 4

Edmund Challoner wyrzuca sobie, że zabrał przyjaciela na spotkanie z rodziną. Powóz telepie się w stronę domu wuja, a on już żałuje nieśmiałych sugestii, jakie robił Willowi na temat opuszczenia uczelni na kilka dni. Siedzi plecami do kierunku jazdy i obserwuje siedzących naprzeciw Willa i ojca, którzy – jego zdaniem – rozmawiają ze sobą zbyt przyjaźnie i swobodnie.

Nie może znieść grubiaństwa, jowialności ojca, sposobu, w jaki jego brzuch trzęsie się, kiedy śmieje się z własnych żartów. Ned wyczuwa zakłopotanie przyjaciela, które tak jawnie wyraża się w fizycznym obrzydzeniu, odcinaniu się od opowiadanych dowcipów, aluzji, wesołego nastroju, o jakim marzy teraz ojciec.

„Kochany Will nie okazuje niesmaku, jaki musi odczuwać. Jest ogromnie życzliwy. Ale co sobie myśli? Soczystość atmosfery, w zderzeniu z powagą uczelnianego życia, jest stanowczo zbyt duża”. Nawet wstrząs związany z przejściem z łaciny na angielski, z całą jego potencjalną wulgarnością, wszystkimi dziwactwami i brakiem precyzji, działa Nedowi na nerwy. „Zapewne musi irytować też Willa?” – myśli Ned.

Przesuwa ręką po swojej wyczyszczonej pumeksem twarzy, wyczuwa obolałe blizny w miejscach, gdzie kamień startł pryszcze. Jest ich chyba mniej niż w zeszłym roku. Opuszczono zasłony na okna z obawy przed późnowiosennym deszczem i w powozie zrobiło się nieznośnie gorąco. Czuje krople potu spływające po plecach i swędzenie na całym ciele. Był już w tym domu wcześniej, zna miejsce, gdzie będą mogli popływać i ta myśl go cieszy. Czy grzechem jest wyczekiwać przyjemności z taką lubością?

Deszcz przestaje padać i woźnica podnosi zasłony, wpuszczając rozkoszny powiew chłodnego powietrza do środka wlokącego się powozu. Wreszcie dojeżdżają, a odgłosy ich przybycia sprawdzają gromadę psów i dzieci trajkoczących na podjeździe. Widzi ciotkę stojącą sztywno na schodach i wuja z szeroko rozstawionymi nogami, w pozie odpowiedniej dla właściciela majątku. A oto Henrietta spaceruje wokół domu pod ramię z kuzynką Anną. We włosach mają kwiaty, na sukienkach plamy od trawy, a ich śmiech słyhać mimo chrzęstu kół na żwirze. Ned wie, że nie powinien pochwalać ich swobody obyczajów, niezaprzeczalnej frywolności, a mimo to uśmiecha się, widząc dziewczyny biegnące w podskokach jak dzieci w stronę powozu

Tubalne powitanie wuja Challonera dobiega ich na stopniach powozu:

– Jakie nowiny, jakie nowiny?

– Parlament został rozwiązany, wuju – mówi Ned, po przedstawieniu przyjaciela. – Doszło do powstania czeladników, którzy zaatakowali pałac Lauda. Na uniwersytecie niemal nie mówi się o niczym innym.

Te wiadomości trzeba dokładnie omówić. Wpadają jak strzały do tego domu na odludziu. Informacje, które trzeba zgłębić i przemyśleć. Tylko Anna wydaje się niczym niewzruszona, zniecierpliwiona przewraca oczami, kiedy wieczorne rozmowy nawracają do gorączkowych spekulacji. Jaki będzie następny ruch króla? Co zrobią purytańscy parowie? Jaki los czeka Johna Pyma i Hampdena? Czy dojedzie do kolejnych zamieszek? Czy grozi nam niebezpieczeństwo? W końcu Anna i Hen idą do łóżek, zostawiając mężczyznę w filozoficznym nastroju z niemal opustoszoną butelką brandy i dogasającym ogniem na kominku. Do czego posunie się król? Gdzie w tym całym zamęcie jest Bóg? Jaki jest nasz obowiązek?

Hen zostałaaby dłużej, żeby posłuchać, widzi jednak, że kuzynka kręci się zniecierpliwiona. Wyczuwa coraz większe i dotkliwsze znudzenie przyjaciółki, poza tym opuszczenie rozmówców nikogo już nie obrazi, więc obie uciekają na górę. Jest zimno, jak na maj, szybko więc rozbierają się, odmawiają modlitwy i wskakują do łóżka. Anna rozśmiesza kuzynkę, kpiarsko krzycząc w poduszkę:

– Kogo to obchodzi? Danina okrętowa to, prerogatywy królewskie tamto... Kogo to obchodzi, Hen? Dlaczego oni ciągle i ciągle do tego wracają? Dlaczego? No powiedz mi, dlaczego?

– Tutaj jest inaczej. Nie dostrzegasz, dlaczego te sprawy mogą być ważne, bo pewnie tu nie są. Gniew króla nie sprawi, że twój strumyk przestanie płynąć, twoja trawa nie stanie się ani trochę mniej zielona. Ale u mnie to ma znaczenie. Król wszystko zatruł. Wybuchają zamieszki, bójki i pożary, które nas martwią. Ojciec prowadzi interesy. Słyszałaś Neda. Czeladnicy z Lambeth wzniecili bunt.

– No i teraz wyszło szydło z worka – odpowiada Anna. – Jesteśmy prowincjuszami i nic nie rozumiemy.

– Nie to miałam na myśli.

W ciągu trzech tygodni jej pobytu w Oksfordzie ich przyjaźń się pogłębiła i stała się żarliwa. Ten ton w głosie kuzynki był czymś nowym i niepożądanym.

– A więc, co miałaś na myśli? – pyta Anna wojowniczo jak uliczny chłopak.

– Nie obchodzi cię, co robi król i jak traktuje parlamentarzystów?

– A czemu miałoby mnie to obchodzić? – Anna brzmi wrogo, gwałtownie wyrzuca z siebie słowa. – W jaki sposób mnie to dotyczy? Nowiny, mawia mój ojciec, i rzuca się na nie jak pies na padlinę. Zagłębia im się we flaki. Wciąga podróżnych w rozmowę. „Jakie nowiny, jakie nowiny” – krzyczy. Natomiast kiedy matka i ja opowiadamy o sąsiadach, ruga nas za plotkowanie. Czy „nowiny” z dworu albo Westminsterusą czymś innym niż plotkami o ludziach, których nie znasz?

– A jednak... – odzywa się Henrietta, starając się załagodzić wrogość Anny. – A jednak, trzeba wiedzieć, co dzieje się na świecie. Nawet jeśli nie dostrzegasz bezpośrednich konsekwencji czynów wielkich panów, czy to ma znaczenie? Myślisz, że kiedy król Henryk walczył o prawowierny Kościół, a ta wiedźma Maria próbowała go zniszczyć, jakakolwiek kobieta stąd zbyła to wzruszeniem ramion? Pomyślała, to mnie nie dotyczy? Czy było tak, kiedy przybyli Normanowie, a Rzymianie odeszli? Te nowiny są po prostu... – rozgląda się po pokoju, jakby szukała inspiracji. – Po prostu tak tworzy się historia.

Czas przecież odfiltrowuje to, co ważne. Tę rozmowę, wszystko to, co pojawia się jako nowiny, całą tę gadaninę.

Anna zatyka palcami uszy i wygaduje bzdury. Hen wali ją poduszką. Jednak pod tą bójką na żarty kryje się oburzenie z powodu niezrozumienia, jakie pojawiło się między nimi.

*

Następnego rana, kiedy Hen się budzi, Anny nie ma już w pokoju. Henrietta schodzi na dół i znajduje swojego ojca w osobliwym nastroju, siedzącego nieruchomo w kuchni wypełnionej krzątaniną. Całuje go w czubek głowy, a on zagarnia ją do siebie i sadza na kolanach.

– Jesteś wciąż wystarczająco mała, żeby przytulić się do swojego starego tatki, kiciu?

Dziewczyna śmieje się i udaje, że chce wyrwać się z uścisku ojca. Nagle do kuchni wchodzi Will Johnson, ziewając. Hen nie rozmawiała z nim zbyt dużo poprzedniego wieczoru. Namiętnie dyskutował, przede wszystkim z jej ojcem, gestykulując żywo rękami, żeby zobrazować swoje poglądy. Czasem, gdy nagle się obróciła, łapała jego spojrzenie, które szybko odwracał, przyłapany na tym, że się w nią, wpatruje. Zapewne uważa, że jest głupia. Patrząc na nią, bez wątpienia zastanawia się, czy to możliwe, żeby była spokrewniona z taką ładną i pełną życia dziewczyną jak Anna. Widząc Willa tego ranka, odpycha z powagą ramiona ojca i szybko wstaje z jego kolan.

– Dzień dobry – wita się.

Johnson spogląda z zaskoczeniem w jej stronę i przeczesuje dłonią gęste, ciemne włosy.

– Will, mój chłopcze – mówi ojciec, podnosząc się z fotela.

– Dzień dobry, panie Challoner.

– Zaobserwowałeś coś, kiedy sobie poszedłem?

– Nie, sir. Nadal było pochmurnie. W nocy jednak musiało padać, bo teraz się przejaśniło.

Will nalewa sobie trochę słabego piwa, zachęcony do tego bezgłośnie przez Challonera, i wypija głęboki łyk. Odstawia kubek i przeciera zaspane oczy.

– Zamierzasz zostać tu jeszcze jedną noc?

Ojciec pyta tonem zarezerwowanym dla tych nielicznych szczęśliwców, do których czuje sympatię. Zazwyczaj dopiero dłuższa znajomość łagodzi typową dla niego szorstkość.

– Tak, o ile pański brat nie będzie miał nic przeciw temu.

– Jestem pewny, że się zgodzi.

Spogląda w przez otwarte drzwi, gdzie kucharka rzuca ziarno rozpychającym się kurom.

– Masz rację, co do pogody. Wygląda na to, że się przejaśniło.

Wstaje i Hen wie, że ojciec zapalił się do jakiegoś pomysłu, jak to ma w zwyczaju.

– Piknik! – woła. – Powinniśmy urządzić piknik!

Kilka godzin później – godzin, które ojciec spędził śpiąc na siedząco z otwartymi ustami w gabinecie, z otwartą książką na kolanach, kucharka na gorączkowym siekaniu, pakowaniu i mamrotaniu, a ciotka Marta na gwałtownych, przepełnionych złością wyrzutach wypowiedzianych szeptem do męża – wyruszają w górę rzeki. Maluchy idą pierwsze, pokrzykując z ekscytacji, a za nimi grono dorosłych: Richard Challoner z bratem pośrodku grupy głośno dyskutują o jakichś kupieckich skandalach na giełdzie. Na końcu idą pod rękę Hen i Anna, pogodzone, choć milczące. Zawieszenie broni nie zostało ogłoszone, lecz widoczne jest w tym, że idą bliżej siebie niż zwykle i mocniej się obejmują.

Hen patrzy, jak Will pomaga Marcie pokonać przełaz na rzece. Ciotka odwraca się i uśmiecha do chłopaka z wierzchołka przełazu, a Hen myśli, jakie to dziwne, że nagły, beztroski uśmiech potrafi obudzić dziecko w najbardziej nawet surowej kobiecie w średnim wieku. „Jaki on miły” – myśli. „Ale dlaczego, kapuściana głowo? Ned zrobiłby to samo. Czy jednak z równym wdziękiem? Teraz kłócisz się sama ze sobą. Głupia jesteś”.

– Dlaczego głupia? – pyta Anna. – Kto jest głupi?

– Powiedziała to na głos? Ja jestem głupia. Chodź, skarbie. Pobiegajmy. Pogońmy maluchy.

Docierają na miejsce pikniku, spragnieni i zarumienieni owym niecierpliwym poczuciem szczęścia typowym dla upalnych dni. Rzeka zatacza szerokie łuki, a kompania wierzb trzyma straż nad roziskrzoną wodą. Maluchy natychmiast wbiegają między zwisające zasłony z liści, żeby chlupać się w wodzie i szturchać patykami kawałki drewna oraz rośliny na brzegu rzeki. Uczestnicy pikniku rozkładają lniane tkaniny na bujnej trawie, rozpakowują koszyki, a butelki z winem umieszczają między kamieniami w rzece, żeby je schłodzić. W końcu siadają i zastygają w bezruchu, jedynie dziecięce śmiechy i piski zakłócają letnią ciszę.

Zręczliwy ton ciotki Marty sprawia, że czar pryska.

– Wystawiasz twarz na słońce, Anno. Wszystko to jest bardzo piękne, ale nie chcesz

chyba wyglądać jak wieśniaczka.

– Chłopskim dziewczuchom nic nie można zarzucić – mówi ojciec Hen, patrząc z ukosa na Martę.

Ned oblewa się rumieńcem.

– Nie zwracaj uwagi na ojca, Will – mówi do przyjaciela. – Lubi się drażnić.

– Prawdziwy z niego benedyktyn – odpowiada Will, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Ej, szczeniaki! Przestańcie ujadać! – mówi Challoner. – Podajcie mi kawałek tego sera, zanim obiję was za bezczelność.

Will przekręca się z pleców na brzuch i włosy opadają mu na oczy. Zakłada je za ucho, krojąc ser. Hen odkrywa, że jest zafascynowana jego uchem, krzywiznami i wgłębieniami, delikatną jak brzoskwinia skórą na płatku. „Dlaczego nigdy wcześniej nie zwracałam uwagi na uszy?” – zastanawia się, myśląc o tym, jak są cudownie dziwaczne. „Czy uszy Prynne’a były równie ładne zanim odcięto je za napisanie pamfletu na królową?”

Nagle ogarnia ją strach, że chłopak ujrzy jej spojrzenie i odwraca wzrok, żeby popatrzeć na trawę. Jej oczy znów zaczynają błędzić aż do miejsca, w którym dostrzegają dłoń zaciśniętą na rękojeści noża. Duże, sprawne dłonie z obgryzionymi, pobrudzonymi atramentem paznokciami. Śledzi żyły na wierzchu jego rąk biegnące ku nadgarstkowi. Delikatny przegub, cienkie włosy widać w miejscu, gdzie podciągnął rękaw koszuli.

Podając ser ojcu, Will podnosi oczy i zauważa, że Hen mu się przypatruje. Oboje szybko odwracają wzrok, oboje się rumienia, choć nie zauważają swojego zakłopotania. Dostrzega je Richard Challoner.

Z większą niż zwykle czułością mówi:

– Ach, pączusiu, popatrz no tylko. Wszyscy dorastają. I ty, moja dziecino, jesteś już całkiem dorosła, kiedy to się stało?

– Kiedy traciłeś czas przy winie – mówi drwiąco wuj Challoner, podając mu kieliszek.

– Zaiste, bracie.

– Will, Ned? – wuj podnosi znacząco butelkę wina.

– Nie, wuju, dziękuję – odpowiada Ned, podczas gdy Will wyciąga rękę.

Ojciec Neda stroszy się.

– Wczoraj wieczorem też nic nie piłeś. Chcesz nam narzucić abstynencję?

– Jeśli potwierdzę, będziesz się ze mnie naśmiewał.

Ned zrywa stokrotkę i skubie liście.

– Więc zaprzecz.

– Nie będę, ojcze, kłamać tylko po to, żeby sprawić ci przyjemność.

– Z pewnością. Chłopcze, gdzie w Biblii jest napisane, że powinieneś wyrzec się przyjemności? Czy kiedy twój miłosierny Bóg zmieniał wodę w wino, zakorkował cholerną butelkę?

Ned nie odpowiada. Panuje całkowita cisza, w końcu Will odchrząkuje i mówi, ważąc słowa:

– Proszę mi wybaczyć, panie Challoner, że nie zaprosiłem pana jeszcze do college’u, by obejrzał pan nasz nowy teleskop.

– Teleskop, chłopcze! To jest coś, istny skarb. Przyjadę, bez dwóch zdań.

Hen spostrzega się, że mówi, kiedy jest już za późno, żeby się powstrzymać:

– Jak bardzo powiększa, panie Johnson? Co można przez niego zobaczyć?

– No więc, panno Challoner, widać ośmiokrotnie dalej niż gołym okiem. Można dostrzec plamy na księżycu.

– Jak bardzo różni się księżyc powiększony?

– Jest piękny, panno Challoner, srebrzysty i błyszczący. Jednak kiedy ogląda się go w powiększeniu, widać wąwozy i kratery. Wygląda jakby przeszedł ospę.

Richard Challoner śmieje się gardłowo, słysząc te słowa.

– Słuchasz tego, Ned, mój chłopcze? Jak będziesz szukał żony, koniecznie weź ze sobą teleskop. Najpierw trzeba sprawdzić towar.

Ned patrzy spode łba na ojca, a Will zwraca się do Hen, która czuje, że koniuszki jej uszu płoną, kiedy patrzy na jego poruszające się wargi.

– Można dojrzeć gwiazdy, tak jakby były z tobą w pokoju, wstęgi gwiazd ciągnące się przez nieboskłon. A jeśli trafi się na bezchmurne niebo i odpowiedni czas, można zobaczyć księżycy krążące wokół Jowisza.

„Jego głos skrzy się” – myśli Hen, czując, że ogarnia ją entuzjazm.

– Jakże to wspaniałe! Czy mogę pojechać z tobą, ojcze? Żeby popatrzeć przez teleskop pana Johnsona?

„Zachowuję się jak dzieciak” – myśli, dostrzegając ekscytację w swoim głosie.

– Może, może. Musimy już wracać do domu, dziecko. Myślę, że rano.

– Jutro! – wołają Anna i Hen jednocześnie, a w ich okrzykach słychać przerażenie.

– Ojcze, a co z zamieszkami?

– Gniew buntowników już się wypalił, nie mam co do tego wątpliwości. Nowiny wędrują wolniej niż ich wściekłość. Muszę być w domu, na wypadek szkód. A ty, pączusiu, musisz jechać ze mną. Nie mogę się bez ciebie obyć.

Po kolacji, kiedy wszyscy zbierają się, żeby posłuchać czytającego Roberta Challonera, Ned próbuje zwiększyć dystans między Willem i swoim ojcem. Drażni go sympatia, która narodziła się między mężczyznami. Jak to możliwe, że Will nie dostrzega jego grubiaństwa? Czy na osobności śmieje się z nich wszystkich i zachowuje w pamięci wulgarne wyrażenia ojca, żeby bawić nimi innych studentów w Oksfordzie? W czasie, kiedy wuj Robert czyta niekończącego się *Faustusa*, Ned boleśnie szczegółowo wyobraża sobie przyszłą zdradę przyjaciela i jego kpiny.

Czytanie skończyło się, Bogu niech będą dzięki, ale Ned z przerażeniem widzi, że ojciec znów osacza Willa. Nie jest najgorzej, przynajmniej chwilowo. Rozmawiają o gwiazdach i meteorach. Wśród niebiańskich równań są raczej bezpieczni. Henrietta

przysłuchuje się rozmowie z napięciem.

„Dlaczego – zastanawia się Ned – ojciec pozwolił, żeby stała się tak nieatrakcyjnie wyedukowana? Żaden mężczyzna nie zechce żony odmieniającej po łacinie *hic, haec, hoc* ani znającej się lepiej od niego na matematyce. Ojca po prostu bawią publiczne występy Henrietty, popisywanie się jej uczością. Biedne dziewczę.

Henrietta dostrzega spojrzenia Neda i uśmiecha się do niego. Jest zadowolona, że brat odpowiada jej uśmiechem. Zawsze był drażliwy, trudny. Anna zaciąga ją do miejsca przy oknie, żeby złożyły sobie przysięgę przyjaźni i wyszeptały ostatnie tajemnice. Podobnie jak Hen, smuci się ich nieuchronnym wyjazdem, spogląda przyjaciółce przez ramię. Kiedy żal kuzynki z powodu rozstania wzmaga się, a obietnice pisania stają się coraz gorętsze, Hen spostrzega się, że jej wzrok nieustannie ucieka w stronę, gdzie Will Johnson żarliwie dyskutuje z jej ojcem o swojej pracy i kreśli w powietrzu gwiazdy pięknymi dłońmi.

ROZDZIAŁ 5

SIERPIEŃ 1640

Dom jest pełen ludzi. Są też Sam i Ned. Gwar i rupiecie wypełniają korytarze. Pojawili się dwaj nowi czeladnicy, którzy już zdążyli zyskać przezwiska: Kołek i Kociołek. Pierwszy jest wysoki, chudy i pryszczaty, drugi – niski i niemal okrągły. Ich przezwiska są stałym źródłem uciechy dla Richarda i Sama, zasilanym daremnymi sprzeciwami Kociołka.

– On nazywa się John, a ja Michael. Albo Chadwick, jeśli wolisz – mówi Kociołek Samowi.

Jego okrągła twarz czerwienieje ze złości, co sprawia, że wygląda jak rozwścieczony burak.

– Wiem, jak się nazywasz, mój drogi Kociołku – odpowiada Sam. – A może wolisz panie Kociołku?

Uszczypliwości wobec Kociołka nawet u Neda wywołują rzadko widywany uśmiech. Starszy brat wrócił z Oksfordu, żeby rozpocząć terminowanie u ojca.

Hen podoba się dom pełen ludzi. Podoba jej się gwar i śmiechy oraz poczucie więzi ze światem, które odczuwa, kiedy chłopcy wracają z giełdy albo hulanek. Ojciec zyskał sobie opinię człowieka surowo przestrzegającego zasad biznesowych, ale luźno zasad moralnych i pobożni rodzice nie wybierają go na pasterza swojej trzódki. Kociołek przychodzi schludnie ubrany i milczący, roztaczając zapach tanich perfum. Kołek częściej przynosi ze sobą cierpki zapach kościoła dominikanów albo areny do walk kogutów. Ned, jedyny purytanin w domu, potępia domy rozpusty i teatry, oba rodzaje przybytków traktując z jednakową, pełną oburzenia pogardą. Jego dezaprobata spływała jednak po chłopcach, odurzonych młodością i londyńską swobodą obyczajów, jak woda po gęsi.

Hen pisze długie listy do Anny, w których opisuje żarty Sama i dąsy Kociołka. Donosi o coraz większej pobożności Neda i coraz bardziej oziębłych relacjach brata z ich ojcem. Obaj są przekonani o wyższości moralnej wybranej przez siebie drogi – każdy z nich uważa, że drugiemu argumenty podszeptuje szatan.

Henrietta przygląda się owemu wzajemnemu niezrozumieniu duchowemu i kolejnym złośliwościom. Dostrzega też to, czego oni nie widzą: że to wzajemna miłość potęguje ich zawziętość – żaden nie może znieść tego, że bliska mu osoba jest sługą szatana. To prowadzi do jeszcze głębszego rozłamu i pcha ich do jeszcze bardziej zatwardziałego nieprzejednania.

Ned spędza czas wolny na czytaniu ulotek i kazań podburzających londyńskich purytanów przeciwko Laudowi i papieżowi. Hen podejrzewa, że porzucił własną parafię i zakrada się do sklepu rymarza na Fleet Street, żeby słuchać kazań wygłaszanych przez laika Praise-God Barebone'a. Czasem widuje Barebone'a przemierzającego Fetter Lane z narzędziami do pracy i miną człowieka poważnie traktującego zbawienie swojej duszy.

Dziewczyna pisze:

Ned powiedział ojcu, że pan Gouge, purytanin nauczający w kościele św. Anny w Blackfriars, wygłosił kazanie, w którym atakował chciwość. Sam próbował kopnąć go pod stołem, ale on powtarzał gniewne stwierdzenia pana Gouge'a. „Przejawem braku umiaru jest, gdy człowiek swój rozum, trud i czas przeznacza na zdobywanie dóbr ziemskich, dla których gotów jest poświęcić mięsne posiłki, sen i pokrzepienie, a nawet zaniedbać starania o skarb niebiański”.

Możesz sobie wyobrazić, droga Anno, jakimi gromami zareagował mój ojciec na te słowa, jak bluźnił i przeklinał. Sama powinnam oblać się rumieńcem, pisząc to. Ale jeśli przeczytasz to, co napisałam, raz jeszcze i wstawisz nieprzyzwoite słowo lub zdanie co trzy wyrazy, będziesz miała o tym jakie takie wyobrażenie. Ojciec powiedział: „Jak możesz być kupcem, nie będąc chciwy? Czy w ogóle rozumiesz, o czym mówisz? Jeśli musisz wybierać między Bogiem i zawodem, sumieniem i pustymi brzuchami własnej rodziny, jaki masz wybór?”. Od tamtej pory ze sobą nie rozmawiają, tylko kiedy się mijają, coś do siebie mamroczą. Sama nie wiem, jak Ned przez te wszystkie lata spokojnie wytrzymywał kuratelę ojca. Po jego stronie stoi nasza babka, ale ona głównie przebywa w swoim pokoju, Ned więc został sam przeciwko ojcu.

Pisze też, z celową niefrasobliwością, o tym, że do jesieni Will Johnson ma mieszkać w Londynie, w związku z rozpoczęciem studiów prawniczych w Temple.

Ned mówi jednak, że chciałby zostać w Oksfordzie i badać gwiazdy między wykładami. Jego ojciec jednak, jak się wydaje, miał inne zdanie na ten temat. Ojciec sądzi, że Willa przekonały zapewnienia, iż astronomia i geometria są traktowane z odpowiednim szacunkiem w Gresham, lecz nie w Oksfordzie. Za to w Londynie będzie miał więcej możliwości spotykania się z tymi, którzy podzielają jego pasję.

Szczęście Hen zakłóca tylko zmartwiony i nieobecny wyraz twarzy ojca.

„To Londyn” – odpowiada na dopytywania córki. „Nie lubię tutejszego klimatu. To miasto jest jak narowisty żrebak. Nerwowe. Kapryśne. Nadal wyczuwa się porażkę parlamentu, a to sprawia, że czuję się nieswojo”.

Tymi słowami równie dobrze mógłby opisać własny stan ducha – uświadamia sobie

Henrietta. Wie, że na giełdzie wrze od niepokoju i plotek. Kosztowna wojna przeciwko Szkotom przeciąga się. Kredyty się wyczerpują. Pieniądze wyciekają z City i zaczyna ich brakować.

*

Pewnego wieczoru, przy pierwszych jesiennych powiewach zimna, zebrali się całą rodziną przy kominku. Wojska szkockie przemierzają angielskie ziemie, armia królewska jest w rozsypce i nawet Kołek woli rozprawiać posępnym tonem za zaryglowanymi i zamkniętymi na zasuwę drzwiami niż wałęsać się po mieście.

Challoner zwraca się do Neda, z którym w obliczu zagrożenia ze stronných Szkotów chwilowo się zbliżył:

– Nie jestem obrońcą rządów osobistych. W żadnym wypadku. Ale dla handlu już lepsze to niż ta mgła niepewności. Rozwiązany parlament jest gorszy niż niezwoływanie parlamentu.

– Jak bardzo jest źle, ojcze?

– Nie jest dobrze. Środki finansowe zostały zamrożone. Dostępne są tylko na zbójceckich warunkach, nawet dla osób o nieskazitelnej wiarygodności. Polegamy więc na własnych księgach rachunkowych, żeby utrzymać się na powierzchni. Ale brak pewności nie sprzyja wydatkom na dom. Liczba zamówień spadła. Ceny stoją w miejscu albo spadają. Radni beczą jak owce i nie wiedzą, do kogo się zwrócić. Nasza gildia kipi od kłótni i niepokoju, a w innych – mówiono mi – jest niewiele lepiej. Lord Mayor [\[6\]](#), cóż, Hen poradziłaby sobie lepiej niż on.

Sięga po swoje wino.

– A jednak dobrze, żebyście, chłopcy, poznali zarówno cienie jak i blaski handlu. Taka jest właśnie natura kupiectwa. Nie wyciągamy jeszcze czapki po zapomogę ani nie dajemy się sprowadzić do handlu obwoźnego. Statek płynący z Lewantu, o którym wam mówiłem, nadal nie jest zbyt późny. Astrolog Penn mówi, że gwiazdy nadal mu sprzyjają. A Szkoci bez wątpienia pozostaną w Newcastle. Kryzys z pewnością niedługo się skończy.

Kociołek przestaje robić maślane oczy do obojętnej Hen i mówi:

– Byłem dzisiaj w Whitehall, sir, i widziałem, jak żołnierze umacniali mury obronne wokół Banqueting House.

– A na ulicach w Cheapside założono łańcuchy, wzmacniana jest też Tower – dodaje Kołek. – Myślicie, że Szkoci rzeczywiście wejdą do miasta?

Hen wyobraża sobie Szkotów ciągnących Fetter Lane takich, jak opisuje ich się w pamfletach: dzikich i z pomalowanymi na niebiesko twarzami.

– Nie, chłopcze – odzywa się Challoner. – Obwarowania nie są przeciw Szkotom, mają bronić przed wami.

– Nie rozumiem, sir?

– Szkoci nie wejdą do miasta. Ale Strafford wie, że jest tu całe mnóstwo ludzi takich

jak nasz Ned, którzy uważają, że Szkoci mają rację i powinni dostać prawo modlenia się bez biskupów i ołtarzy.

– Wszystkim powinno przysługiwać to prawo! – woła żarliwie Ned.

– Pozwól, że nie będziemy się o to już kłócić – odpowiada Challoner. – Rada miejska obawia się was, jakkolwiek może to dziwnie brzmieć. Należałoby przyprowadzić tu Strafforda, żeby zobaczył was, bawidamków wygrzewających się przy kominku. To by uśmierzyło jego strach. Pamiętajcie jednak, że niecałe cztery miesiące temu czeladnicy przeprowadzili szturm na pałac Lauda. Potraficie zebrać się w budzący grozę tłum, kiedy jesteście wzburzeni... A wy, cóż, wy, chłopcy, uważacie się za mężczyzn, gdy w pobliżu dochodzi do bitki.

– Ty okazałeś się mężczyzną, kiedy poszedłeś walczyć w Niderlandach – wtrąca Sam.

– Okazałem się głupcem.

Hen widzi, że Challoner jest podpity.

– Walczyć o to, co uważa się za słuszne, jest męstwem, nie głupotą – zauważa Ned.

Kołek, Kociołek i Sam potakują gorliwie jego słowom. „Ale w sytuacji, gdy każdy inaczej pojmuje, co jest słuszne – zastanawia się Hen – kto jest arbitrem?”

– Też tak uważałem, kiedy wyruszałem walczyć za wiarę – odpowiada Challoner. – Boże, jakim byłem matosem. Słuszne jest także, Ned, i godne mężczyzny robić wszystko, by pozostać całym i zdrowym, żeby móc wykarmić i zaopiekować się rodziną.

Hen spogląda na chłopców. Wszyscy mają ów osobliwy wyraz twarzy, który młodzi przybierają, gdy uważają, że starsi wygadują głupstwa.

– Cóż, chłopcy – mówi Challoner – skoro trzeba to zrobić, to trzeba. Wstańcie, niech wam się przyjrę.

Stają przed nim w szeregu, prężąc się, żeby wydać się wyższymi pod jego badawczym spojrzeniem. Kociołek wypina pierś niby żołnierz i rzuca spojrzenie Henriecie.

– Kociołku – zwraca się do czeladnika Challoner – myślę, że jesteś hazardzistą, choć wypierałeś się tego, przysięgając na życie swojej matki.

Chłopak oblewa się rumieńcem i mamrocząc, zdawkowo zaprzecza. Znów ma zapadniętą pierś.

– A więc jest was czterech. Oto mamy tu takich samych dziwaków jak moja obdarta banda protestanckich świętych wojowników, z którymi w Niderlandach walczyłem przeciwko szatanowi. Przynajmniej jeden z was na pierwszy sygnał do boju narobi w gacie. Na wojnie, jak to na wojnie, przynajmniej przez tydzień nie można umyć się ani wyprać ubrań. Więc nawet jeśli przeżyje bitwę, będzie gnił we własnych nieczystościach. A kiedy w końcu zrzuci swoje cuchnące pludry, odkryje, że załęgły się w nich robaki. Kołku, chłopcze, przyznaj, że tak miałyby się twoje sprawy. Usiądź teraz.

– Ależ, sir!

– Siadaj, chłopcze. A teraz wy trzej. Przynajmniej jeden z was zostanie postrzelony w bebechy z broni trzymanej przez człowieka, który nawet nie zobaczy jego twarzy ani w najmniejszym stopniu nie będzie obchodziła go jego mająca wkrótce odejść dusza. Umierając w błocie, zostanie stratowany przez współtowarzyszy broni. W chwili śmierci będzie wzywał imienia matki. Usiądź, Samie.

Hen siada obok pobladłego brata. Bierze go za rękę.

– Jeden z was odkryje, że jest śmierdzącym tchórzem, którego przerażeniem napawa wróg, ale jeszcze bardziej pobratymcy. Będzie więc rąbał i siekał i zostanie okrzyknięty bohaterem, choć przez cały czas będą nawiedzać go lęki, a w głowie będzie tańczył szatan, aż pewnego dnia wejdzie pod topór wroga z nadzieją, że rozłupie on jego ogłupiały mózg na pół. Co też się stanie. Kociołku.

Challoner klepie chłopca po głowie.

Kociołek uśmiecha się, siadając. Jest to jednak wymuszony uśmiech i nikt nie wierzy w jego szczerość. Ned stoi z oczami zwróconymi ku ojcu. Czeka.

– Ojciec – odzywa się Hen, próbując zapobiec temu, co ma nastąpić, on jednak nie zwraca na nią uwagi.

„Powinam stanąć przed Nedom” – myśli i zaczyna wstawać. Sam jednak łapie ją za ramię i przytrzymuje.

– A jeden z was – mówi Challoner, podchodząc do Neda tak, że ich twarze zbliżają się do siebie – dowie się o sobie czegoś jeszcze. Z mojego doświadczenia wynika, że to ten, który uważa, iż jest najbliżej Boga. Odkryje, że mu się to podoba. Poczucie, jak szła bitewny wlewa się w jego duszę niczym roztopiony ołów i, och, jakże spodoba mu się gromienie wrogów. Spodoba mu się obserwowanie gasnącego blasku ludzkich oczu, gdy obraca pikę w ranie. Spodoba mu się dźwięk cichego stęknienia, wydawany przez niektórych przed wyzionieniem ducha. Spodoba mu się uczucie miażdżonych pod stopami twarzy tych, których zabił tylko dlatego, że mógł. A pewnego dnia, ciągle jeszcze ogarnięty rządzą walki, znajdzie się w obozie pokonanych wrogów, poczuje Boży ogień w lędźwiach i weźmie siłą papistowską wiedźmę. A strach w jej oczach sprawi, że będzie stawał się coraz twardszy i twardszy, aż do wytrysku, i będzie wmawiał sobie, iż jej krzyki są przyznaniem się do winy.

Przestaje mówić i nastaje cisza. Hen uświadamia sobie, że kurczowo ścisną dłoń Sama. Ned i ojciec wpatrują się w siebie. Dziewczynę uderza to, jak bardzo są do siebie podobni: takie same ułożenie szczęk i wysokie czoła. Ned jest blady, ale opanowany, Richard czerwony i wzburzony. Kociołek chichocze, ale reszta nie zwraca na niego uwagi.

– A którym z tej czwórki byłeś ty, ojciec? – pyta cicho Ned.

Chłopak odwraca się i powoli wychodzi z pokoju, pozostawiając wszystkich z poczuciem bezmiernego, zgodnego zakłopotania.

Tydzień później Ned przenosi się do Birchów, żeby rozpocząć praktykę u nowego mistrza.

Atmosfera w domu znacznie się poprawia, ale Henrietta tęskni do brata. Brakuje jej Neda, kiedy zwołany zostaje nowy parlament, a w domu nie ma nikogo, kto kłóciłby się z ojcem o znaczenie tego wydarzenia. Sam jest zbyt niedojrzały, za łatwo się rozprasza. Kołek i Kociołek siłą rzeczy zbyt pełni uszanowania. Brakuje jej żarliwości intelektualnej, którą Ned wypełniał dom, odgrzewanych kazań Williama Gouge'a, recytowanych z pamięci przez starszego brata, który w ten sposób próbował lepiej je zrozumieć. Zazdrości mu jego pasji.

Jeden argument radykalnego duchownego, wypowiediany głosem Neda, szczególnie mocno utkwiał jej w pamięci:

„Dlaczego kapłani i uczniowie Chrystusa, apostołowie i ich następcy, a po prawdzie też Luter i inni duchowni kościołów reformowanych dokonali takiej zmiany? Dlatego, że zerwali z tradycyjnym nauczaniem starszyny uczonej w piśmie. Nie głosili też wymysłów człowieka, jak robi to kościół katolicki. Głosili czyste słowo Boże. Im czystsze słowo Boga się głosi, tym głębiej ono wnika i łagodniej działa”.

Hen pragnie, by wnikało w nią czyste słowo Boże. Czy cotygodniowe kazania w kościele św. Dunstana, którym towarzyszy powolny, ponury rytuał, są tylko – jak twierdzi Ned – pustą tradycją podtrzymywaną przez starszysnę? Czy ogrodzenia ołtarzowe i powolne, nużące kazania to tylko wymysły człowieka?

Czyste słowo Boga. Te słowa rozbrzmiewają w jej głowie. Zaczyna rozumieć, dlaczego bezmyślne pogaduszki Kociołka i Kołka, a nawet Sama i ojca mogły grać na nerwach komuś, kto chciał słuchać takich rzeczy.

Nocą, kiedy niania kończy swoje uciążliwe rytuały, Henrietta leży pod baldachimem, wsłuchując się w ciszę. „Im głębiej wnika, tym łagodniej działa”. Chce, żeby Duch Święty do niej przyszedł. Mocno zaciska powieki i powoli oddycha w ciemności. Czasem wyobraża sobie, jak Duch Święty zstępuje do jej ciała. Otula ją w ciemności, a jej ręce i nogi stają się natychmiast ciężkie i bezwładne. Orientuje się, że Duch Święty przybiera wygląd czarującego Willa Johnsona, dokładnie w chwili, gdy odczuwa jego obecność. Nim odsunie ze wstydem wizję, czuje dotyk ducha o zmierzwionych ciemnych włosach i żywych oczach.

Owo poszukiwanie głosu Boga, które skończy się – jak doskonale wie, choć udaje przed samą sobą, że jest inaczej – widmowym uściskiem, staje się jej osobistym, nocnym rytuałem.

Później z coraz większym, niemal niedającym się znieść zakłopotaniem wita się z przychodzącym z wizytą Willem. Za pierwszym razem, kiedy schodzi do biblioteki, żeby dołączyć do niego i ojca, ledwie śmie spojrzeć na chłopaka podczas wymiany oficjalnych uprzejmości, tak różnych od tych wyszeptywanych jej przez widmowego Willa do ucha ubiegłej nocy.

Zaczyna być świadoma swoich rąk i nóg, ich gigantycznych rozmiarów i niezgrabności. Jest olbrzymia, kolosalna. Niezdarna olbrzymka krocząca na zbyt

dużych stopach. Przechodzi przez pokój, wmawiając sobie, że się zatacza i żałując, że nie ma ani krzty wdzięku. Ma wrażenie, że jej płomiennie ruda głowa nieporadnie chwieje się na szyi. Nawet język wydaje jej się ogromny i niezgrabny. Czy będzie w stanie prowadzić rozmowę, wygiąć swój przerośnięty język, żeby wymówić choćby krótkie, pospolite słowo?

– Hen – zwraca się do niej ojciec – Will przyniósł mi referat, który chciałem od niego pożyczyć.

– O Keplerze – dodaje Will.

– Och, Kepler – mówi Hen z nienaturalną afektacją, jakby astronom był od dawna zmarłym przyjacielem, którego wskrzeszono do życia.

– Tak – odpowiada chłopak radośnie, żeby powstrzymać ciszę, która zmierza w ich stronę.

Challoner obserwuje ich i rozbawiony postanawia być miły.

– Chodźcie dzieci, siadajcie. Hen, ty też. Spodoba ci się napisane przez Willa objaśnienie książki Keplera. Moja córka jest po trosze chłopczycą. Próbowałem zamknąć ją z wirginałem, bić tak długo, aż zacznie tańczyć jak dama. Staralem się nakłonić ją do haftowania, choćby chusteczki do nosa. Na rany Chrystusa. Przywiązałem ją do krzesła w kuchni, kiedy przygotowywano puddingi. Wszystko na nic. Zawsze uda jej się wymknąć, żeby przesiadywać nad łaciną albo dręczyć mnie prośbami, żebym uczył ją matematyki.

Hen ucisza ojca, ale z zadowoleniem zauważa, że Will uśmiecha się i nie wzdryga, słysząc te słowa. Niania nie wzbraniała się przed wrózeniem staropanieństwa mądrej kici.

– Jestem, sir, jedynym chłopcem wśród rodzeństwa lubujących się w dysputach siostr. Zawsze uważałem, że przy właściwym wykształceniu, kobiety mogą opanować większość tej wiedzy, którą mężczyźni zachowują dla siebie.

– Tylko nie popadajmy w przesadę, Will. Za chwilę zacznie rozprawiać na ulicach. A teraz, chłopcze, Kepler.

Will pokazał im książkę, którą przyniósł – *Harmonię świata* Keplera.

– Och, panie Challoner, spodoba się panu to dzieło. Wie pan, co myślę o jego *Tablicach rudolfińskich*? Panno Challoner, czy wie panienka, że Kopernik umieścił słońce w centrum kosmosu? Astronomiczne badania Galileusza dowiodły, że miał on rację i, jak wiadomo, potwierdziły to obserwacje przez teleskop. Ale Kepler zauważył, że czegoś brakuje, by budowa kosmosu była prosta i elegancka. Odkrył mianowicie, że planety poruszają się po eliptycznych orbitach.

Hen przerywa mu. Nie rozumie. Will bierze pióro podane mu przez Challonera i zanurza je w kałamarzu. Pewną ręką rysuje idealne koło.

– Dotąd myśleliśmy, że to wygląda tak. Kiedy starożytni uznali, że Słońce okrąża Ziemię, wyobrazili sobie też perfekcyjnie okrągłe sfery, bez końca obracające się wokół siebie. To jednak zakłócało urodę obliczeń matematycznych i budziło gwałtowny sprzeciw Galileusza.

Narysował kolejny okrąg, tym razem spłaszczony.

– W ten właśnie sposób, panno Challoner, Kepler wyobraża sobie orbity. Trzeba zrozumieć, że dzięki temu obliczenia matematyczne stały się eleganckie i proste. Podkreślają też miejsce Boga w centrum kosmosu.

– W jaki sposób, Will? – pyta Challoner urzeczoną.

– Wie pan, że Antychrysta w Rzymie zaniepokoiło niespodziewane przyjęcie tego odkrycia.

– Mnie też, Will. Jeśli usuniesz Ziemię z centrum aktu stworzenia, gdzie my się znajdziemy jako część planu Bożego?

Hen przytakuje:

– Trzecia skała okrążająca słońce. A dlaczego nie druga albo czwarta? To jest dla nas degradacja.

– I ofiara złożona przez naszego Pana. W istocie, panienko Challoner. Jednak eliptyczny model Keplera ma dwojaki efekt. Po pierwsze, pozwala z niezwykłą dokładnością przewidzieć ruch ciał niebieskich. Jesteśmy w stanie z góry określić tor ich biegu po niebie. Po drugie, nic z tego nie ma sensu bez Słońca, idealnej ognistej kuli znajdującej się dokładnie w centrum orbit, a nie w pobliżu środka, jak myślał Kopernik. A to sprawia, że kosmos rozbrzmiewa harmonią i symetrią. Muzyka jest harmonią. Matematyka też. Ani elegancja, ani piękno odkryte przez Keplera nie mają sensu bez boskiego udziału naszego Pana. – Dotyka książki leżącej między nimi na stole z tego samego rodzaju czcią, z jaką Ned traktuje Biblię. – Nie sposób wyrazić piękna kosmosu, panno Challoner, ani tego, co widać gołym okiem, ani jego ukrytych mechanizmów, które ukazuje nam Kepler.

Jego oczy błyszczą. Kiedy mówi, słowa wypływają z niego i Henriecie kojarzy się z Nędem pochłoniętym jakąś ideą teologiczną. Choć jej myśli są ciepłe w stosunku do nich obu, dziewczyna odczuwa nagłą zazdrość, że Ned i Will mogą włóczyć się po mieście i mieć nieograniczony dostęp do wszystkiego, co nowe i ekscytujące. Wyobraża sobie ich przesiadujących w tawernach, wymieniających idee w atmosferze dyskusji i ożywienia. A ona musi siedzieć tutaj, czekać na to, aż wiedza o świecie przyjdzie do niej za ich pośrednictwem, kiedy mają chwilę wolnego czasu.

Dokładnie w momencie, gdy owa zazdrość zaczyna ją ogarniać, Will uśmiecha się i mówi:

– Jestem pewien, że zrozumiesz ten fragment.

Hen poddaje się beztróskiemu nastrojowi.

*

Henrietta siedzi w bibliotece, czytając, kiedy zaskakuje ją uderzenie w okno. Podnosi wzrok, ale dochodzi do wniosku, że się przesłyszała. Kolejne uderzenie. Orientuje się, że ktoś rzuca w szybę kamieniami, otwiera więc okno. Wychyla się, widzi mur otaczający ogród, dostrzega też ojca na ulicy z nedorzecznym, chłopięcym

uśmiechem na twarzy i ogromną paczką w ręku.

– Ha, Pączusiu! Wiedziałem, że tu cię znajdę! Wpuść mnie drzwiami frontowymi, dobrze?

– Ojczy, o co chodzi?

– Wkrótce się przekonasz, Pączusiu, a teraz pospiesz się. Harmsworth powinien być w piwnicy, posłałem go tam dziś rano, żeby policzył butelki. A reszta w kuchni. Zbieraj się i otwórz mi szybko drzwi, bądź dobrym kotkiem.

Hen robi, jak każe ojciec i wpuszcza go do domu. Challoner kładzie palec na ustach i bez słowa wykonuje ruch głową, wskazując, żeby za nim poszła. Prowadzi córkę do biblioteki. Dziewczyna zamyka drzwi, rozbawiona tajemniczością całego przedsięwzięcia. Mężczyzna też się śmieje i bierze córkę w objęcia.

– Och, spodoba ci się to, mój pączusiu.

– Co to jest, ojczy?

Challoner ostrożnie kładzie przedmiot na stole i odwija z papieru, odsłaniając długą, drewnianą skrzynkę. Wewnątrz, na atlasowej poduszce leży toczony w drewnie statyw z połyskującym mosiężnym pierścieniem.

– Popatrz, to nasz nowy mikroskop. Chyba mówiłem ci o nim.

– Ależ ojczy!

– Wiem, pączku. Statek, w którym mam udziały, przybił wczoraj w Pool. Ajent dostał rozkaz zatrzymania się we Włoszech – jeśli okaże się to możliwe – i przeznaczenia na to urządzenie odpowiedniej sumy.

Challoner podnosi instrument.

– Niemal nie mam odwagi go użyć. A jeśli to będzie rozczarowanie?

– Ja go wypróbuję! – Dziewczyna sięga po mikroskop.

– Nie! Czy nie jestem panem domu? Czy nie jestem mężczyzną? Znaj swoje miejsce, kotku. Cóż my tam zobaczymy? Ta gałka służy chyba do ustawiania ostrości. Ale teraz daj mi rękę.

Bierze dłoń córki i kładzie ją pod soczewką umieszczoną w mosiężnym pierścieniu mikroskopu.

Hen nagle odczuwa strach, wydaje się jej, że zostanie na niej przeprowadzony jakiś straszny eksperyment. Ojciec zniża twarz, żeby popatrzeć przez mikroskop i porusza ręką dziewczyny w tę i z powrotem do czasu, aż w końcu wzdycha z zadowoleniem.

– Och, mój pączusiu! – mówi i podnosi głowę znad soczewek, żeby się do niej uśmiechnąć.

– Pozwól mi popatrzeć, proszę! Proszę!

Ojciec oddaje jej mikroskop. Dziewczyna z trudem utrzymuje dłoń w bezruchu i spogląda przez soczewki. Czuje się zdezorientowana, niemal oszołomiona. Widzi swoją rękę, ale jej nie poznaje. Różowa, pulchna, znajoma, a jednocześnie obca. Dostrzega spirale i wzory, zaskakujące siatki i głębokie linie przypominające ulice.

– To ci dopiero – mówi, podnosząc głowę. – Zobaczyć, jak coś tak zwykłego staje się tak wyjątkowe.

– Zaprawdę, to ci dopiero! – Challoner znów wybucha śmiechem, zachwycony swoją nową zabawką. – Zobaczyć świat zupełnie świeżym okiem! Szybko, znajdziemy liście, pąki i włosy, kryształy i cokolwiek jeszcze przyjdzie ci do głowy. Ty idź, ja się ukryję tutaj.

– Dlaczego będziesz się ukrywał?

– Na Boga, dziecko, pomyśl! Harmswortha doprowadziłoby to do szaleństwa. Już teraz jest napięty jak struna lutni. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby wiedział, jakie czary odprawia się w tym domostwie. Biedaczysko. Nie chciałbym, żeby znalazł się w domu dla obłąkanych. Albo oskarżył nas o czarnoksiężstwo. To musi pozostać naszą tajemnicą, kiciu.

Jest to sekret, którym podzielał się z Willem podczas jego najbliższej wizyty. Hen jest zachwycona tym, że spisek obejmie również jego. Triumwirat czarnoksiężników. Willa, tak jak się tego spodziewała, ogarnia nieopisane podniecenie, kiedy pokazuje mu Instrument, jak nazywają mikroskop. Chłopak wierci się jak piskorz z gorączkowej niecierpliwości, kiedy po raz pierwszy bierze Instrument, żeby przypatrzeć się pająkowi przyszpilonemu do ruchomego stolika urządzenia. Jest niemal komicznie podniecony.

Razem badają roztocza, włosy, owady, rozplywając się nad kunsztownością detali tych nieskończenie małych drobin. Hen najbardziej podobają się liście, to, jak zielona, gładka powierzchnia okazuje się intrygującą plataniną linii i wzorów. Fascynuje ją ukazywana przez Instrument przepaść między tym, czym rzeczy się wydają, a tym, czym są w rzeczywistości.

Hen i Will z nabożnym lękiem rozmawiają o stworzeniu przez Boga zarówno niesamowitego ogromu, jak i niewyobrażalnej maleńkości. Zdumiewiającą cechą ludzkiego umysłu jest, że potrafi on pojąć te ekstrema i wynaleźć narzędzia pozwalające je dostrzec.

Instrument ukazuje też inne cuda wielkiej boskiej tajemnicy. Ciemne włosy Willa opadają na jego czoło, gdy chłopak patrzy przez mikroskop. Hen studiuje go tak, jak on bada inne dzieła stworzenia. Zna go teraz lepiej z profilu niż *en face*. Zna płaszczyzny jego twarzy i miejsca, gdzie światło pada na jego skórę. Ciągle nie jest w stanie patrzeć mu prosto w oczy. Kpi sama z siebie z powodu tego dziwactwa. „Czy roztopię się, jeśli na niego spojrzę, a może zmienię się w słup soli? Czy razi mnie piorun z jasnego nieba?” A mimo to nie potrafi na niego patrzeć.

*

Zwołanie nowego parlamentu i zakup Instrumentu sprawiają, że ojciec jest w weselszym nastroju. Tym razem króla wezwano, aby wysłuchał skarg płynących z kraju – taki warunek został zapisany w traktacie pokojowym ze Szkotami. Perspektywa rozwiązania kryzysu politycznego udrożniła kanały kredytowe w City.

Na giełdzie panuje nowy optymizm. Arogancja City ulatnia się, dając obietnicę zysków.

Challoner zaprasza Neda na niedzielny obiad. Will też jest obecny, ale dziwnie milczący. Bezgłośnie bębni palcami po stole i jedynie od czasu do czasu podnosi głowę, żeby uśmiechnąć się do Hen. Chwilę przed odwróceniem wzroku dziewczyna znów zauważa, że lubi sposób, w jaki się uśmiecha, w jaki mruży oczy i przechyla głowę na bok.

Nedowi i ojcu udaje się dojść do porozumienia. Obaj popierają decyzję Karola o rezygnacji z uroczystości i dyskretnym przybyciu do Westminsteru na spotkanie z członkami parlamentu. Hen widzi, jak Challoner zaciska szczęki, kiedy Ned mówi o nowych ugodach religijnych, które zgromadzenie może przegłosować. Zawiesza na nim wzrok i próbuje przekazać mu nieme wezwanie, żeby był miły. Ojciec niemal niedostrzegalnie kiwa głową i pozwala opaść narastającemu napięciu. Bratu udaje się natomiast przez cały posiłek nie zacytować Gouge'a.

Mężczyźni orientują się, ku ich wzajemnemu zadowoleniu, że mają podobne zdanie na temat obciążeń podatkowych. Ned żywo potakuje, gdy ojciec podsumowuje błędną politykę finansową Karola. Środki podjęte w czasie rządów osobistych są nadużyciem królewskich uprawnień. Sprawa ta stanowi obszar porozumienia, tylko wariat popierałby daninę okrętową czy opłaty od tonażu statku lub prowizje od obrotu towarami. Tylko szaleniec mógłby sądzić, że król ma prawo zmuszać City do udzielania mu pożyczek. Zgadzą się także, że cała nadzieja leży w usunięciu Strafforda, najbardziej zaufanego doradcy królewskiego. Imię Lauda nie pada, obaj wiedzą, że rozmowa na ten temat mogłaby doprowadzić do kłótni.

Will mówi, że w sądzie krążą plotki o możliwości wytoczenia procesu Straffordowi.

– Pojawiło się wezwanie do postawienia go w stan oskarżenia, sir – poinformował Challonera.

– Pod jakim zarzutem?

– Zdrady. Mówi się, że w okresie zarządzania Irlandią zbyt blisko zbliżył się do żołnierzy popierających papieża i doradzał królowi użycie wojsk z Irlandii przeciwko oponentom w Anglii i Szkocji.

– Szatan wcielony – mówi Ned.

– Rzeczywiście tak było? – pyta Challoner.

Will wzrusza ramionami.

– Czy to ma znaczenie?

– Jak możesz tak mówić? – wybucha Ned.

– Ned – odzywa się Henrietta – pan Johnson uważa tylko, że nie ma znaczenia, czy to jest prawda. To tylko fortel mający pozbawić go protekcji królewskiej.

Brat wydaje się zakłopotany tym, że ktoś mu się przeciwstawia, Hen stara się więc wprowadzić go w lepszy humor. W końcu jej próby przynoszą rezultat i Ned opowiada im o tym, co przeczytał na temat kazania wygłoszonego w parlamencie.

– Oto dni trwogi – powiedział pastor. – Powszechnej trwogi.

Obaj, ojciec i syn, pokiwali głowami.

– Po drugiej stronie Kanału też – mówi Challoner. – Na całym kontynencie wszystko nadal w ogniu.

– Nie należy się spodziewać, że przemoc pochodząca z Rzymu szybko ustanie – stwierdza Will.

– Tak, a ludzie muszą walczyć za wiarę albo nie można nazywać ich ludźmi – odpowiada Ned.

Challoner dostrzega coś niezgłębionego w jego oczach.

– Dlaczego wy zawsze mówicie o walce? – odzywa się Hen zaniepokojonym tonem.

Tym razem patrzy na Willa, a nie brata. Zamyślony wzrok Challonera pada między młodzież zebraną wokół stołu.

Kiedy Will i Ned wyszli w ciemną noc, Challoner bierze córkę na bok. Bierze ją w ramiona i przyciąga do siebie.

– Henrietto, kochane dziecko – mówi, odgarniając jej włosy z twarzy.

Patrzy jej w oczy, a ona odwraca głowę, oboje wiedzą, co za chwilę nastąpi.

Ojciec jest bezlitosny.

– Wiesz, że Will jest synem wiejskiego plebana. Wiesz, że jego ojciec ma gromadkę dzieci, dziewczynek, a nie ma pieniędzy? Wiesz, że Willowi zajmie co najmniej dziesięć lat zdobycie na tyle mocnej pozycji, żeby mógł zarabiać pieniądze na utrzymanie domu? Wiesz, że głowa Willa jest tak wypełniona gwiazdami, że prawo nie będzie dla niego żadnym pewnym punktem zaczepienia? Wiesz, że jestem bogaty, ale nie na tyle, by za dużo wyjąć z interesu, jeśli Ned ma odziedziczyć możliwe do utrzymania przedsiębiorstwo? A poza tym jest jeszcze Sam. Wiesz więc, Henrietto, że to niemożliwe.

Dziewczyna wyrywa mu się z objęć, udając wyniosłość, bo nie wie, jak inaczej zareagować.

– Nie wiem, ojcze, o czym mówisz. Nie zrobiłam nic, co uprawniałoby cię do rozmawiania ze mną w taki sposób.

„Teraz – myśli – muszę wyjść z pokoju, to właśnie powinnam zrobić”.

Dziewczyna opuszcza pokój, a Challoner obserwuje wychodzącą córkę. Kiedy zostaje sam, sardoniczne rozbawienie zwykle obecne na jego twarzy ustępuje wyrazowi bezradności i smutku.

[6] Lord Mayor Londynu – odpowiednik burmistrza w City of London, wybierany przez mieszczan na roczną kadencję (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 6

LATO 1641

Henrietta i Will siedzą pod drzewem na dziedzińcu katedry św. Pawła i obserwują sprzedawców książek pospiesznie osłaniających towar przed lekkim deszczem, który przed chwilą zaczął niespodziewanie padać z wiosennie niebieskiego nieba.

Spotykają się tutaj niby przypadkiem w każdą środę w południe – stało się to już ich osobistym zwyczajem, który zaczął się od autentycznego przypadku, a teraz stanowi najważniejszy punkt w tygodniu Hen. Środowe południe stało się jej słońcem, centralnym punktem, wokół którego krążą orbity jej życia. Została mistrzynią we wmawianiu samej sobie półprawd. To przypadek, szczęśliwy zbieg okoliczności pozwala im spotkać się tu dokładnie raz w tygodniu, kiedy dzwony wybijają dwunastą.

Hen podejrzewa, że niania zna prawdę. W środowe ranki taksuje ją z góry do dołu i z pewnością zauważa staranność, z jaką wybiera sukienkę, mimo że desperacko próbuje udawać niedbałość. Usta kobiety wykrzywiają się w złośliwym uśmiechu, w sposobie jej mówienia Hen słyszy coś więcej niż zwykłą kpinę. A jednak niczego nie mówi wprost. Czyżby złagodniała, czy tylko knuje bardziej skomplikowaną intrygę? Hen postanawia, że nie będzie starała się rozwiązać tej zagadki. Poza wszystkim, te spotkania są przecież zupełnie przypadkowe, czyż nie?

Zaczyna od samotnego przeglądania książek. Później czuje jego obecność unoszącą się gdzieś za nią. Nieśmiałe odkaszlnięcie, odwraca się z przygotowanym uśmiechem na ustach.

– Pan Johnson! – mówi, dygając. – Jakże miło pana spotkać.

Później zawsze rozmawiają o książce, którą właśnie trzyma w ręku, co czasem kończy się obciążeniem rachunku jej ojca, a czasem nie. Pan Rowan, księgarz Challonera, jest roztargnionym, uprzejmym człowiekiem. Pobłażliwie podchodzi do erudycji Hen i nawet jeśli zauważa stałą obecność Willa, nie zwraca na nią uwagi.

Następnie przychodzi pora na spacer, przyjacielską, bezcelową przechadzkę wokół dziedzińca katedralnego, wart zbierania przez cały tydzień spostrzeżeń i błahostek,

by podtrzymać lekką i jakże przyjemną rozmowę.

Tym razem w deszczu bębniącym o liście i wśród kilku zlekceważonych kropel, które spadły na ich głowy, rozmawiają, jak wszyscy wkoło, o procesie Strafforda. Jego przeciwnikom w parlamencie, dzięki kilku zręcznym posunięciom, udało się postawić ulubionego doradcę króla przed sądem.

Wielką atrakcją dnia jest powolne osaczanie Strafforda przez purytanów w niższej i wyższej izbie parlamentu. Londyńczycy obserwują, jak wije się, przyprawiają plotką każdy jego wykręt. „Zdrada” – wyrokuje zapalczywie wielu jego przeciwników. „Czy można jednak mówić o zdradzie? Skoro wykonywał bezpośrednie rozkazy króla?” – bardziej umiarkowani kwestionują spokojniejszym tonem te oskarżenia.

– Widziałem jego twarz, panno Challoner, kiedy prowadzono go do sądu. Złowroga to twarz. Rozumiem, czemu ludzie się go boją. Ale jest też dzielny i hardy.

– Ojciec mówi, a ma przyjaciela w kręgach zbliżonych do frakcji królowej, że króla sytuacja ta napawa głębokim smutkiem. Wije się jak piskorz, ale z każdą wymówką jest coraz bliżej wydania zgody na skazanie Strafforda na śmierć.

– Tak, ale jaki ma wybór? Motłoch na ulicy, Izba Gmin i wystarczająco wielu parów opowiedziało się przeciw niemu.

– Powinien poprzeć przyjaciela i doradcę. Nieważne, że Strafford zawinił, zasługuje na obronę ze strony króla – mówi Henrietta.

Takie poważne rozmowy mają jeden rozkoszny efekt uboczny. Mówią szeptem, muszą więc się do siebie zbliżyć. Dziewczyna patrzy na wargi odpowiadającego Willa i czuje ciepło rozchodzące się po brzuchu i lędźwiach. Nie do końca je rozumie. To uczucie gwałtownie wzbiera i Hen musi je zwalczyć, żeby móc skupić się na słowach.

– A jednak wspierał go, kiedy zwoływał parlament. Biednego, osaczonego i coraz bardziej zdesperowanego. Wszyscy wiedzą, że jest to proces pokazowy z naciąganyymi oskarżeniami. Zamierzają wykorzystać wyrok skazujący do wyeliminowania człowieka, to rzadko bywa zgodne z prawem. Król Pym^[7] pomstuje na nadużycia Izby Gwiazdziej i wykorzystywanie uprawnień parlamentu do wydawania wyroków śmierci wątpliwych z prawnego punktu widzenia. A spójrz na siebie, jaka jesteś niespokojna, i jak oglądasz się za siebie, gdy to mówię.

Dziewczyna kiwa głową, potwierdzając swoje obawy. Will chwyta ją za rękę i nie puszcza. Hen ponownie czuje ciepło rozchodzące się po brzuchu.

– Ojciec wmieszał się w uliczną sprzeczkę, ponieważ zbyt głośno mówił – wyjaśnia.

– No właśnie o tym mówiłem.

– I co będzie dalej?

– Bóg jeden wie. – Chłopak ściska dłoń Henrietty, jakby chciał dodać jej otuchy. – Kiedyś – opowiada – widziałem mastyfa zagonionego w zaułek przez grupę wyrostków. Mieli kije i okładali go niemiłosiernie, a uważali się za ludzi. W końcu pies odwrócił się i skoczył. Złapał jednego z dręczycieli za gardło, choć wiedział, że sprowadzi to na niego kolejny grad ciosów. Nie miał wyboru.

– Ojciec myśli podobnie. Mówi, że musimy dać królowi przestrzeń do bycia królem.

Milczą i przez chwilę jego ręka wciąż delikatnie dotyka dłoni Hen. Kruk podskakuje w ich stronę i przechyla łebek, jakby się im przyglądał. „Zdeklaruj się” – myśli Henrietta. „Powiedz. Skąd tu twoja ręka? Czego ode mnie chcesz? Powiedz, kochany”.

Odzywa się spokojnym tonem:

– Ojciec mówi też, że proces Strafforda pokazuje, w jakim znaleźliśmy się zagrożeniu. To członkowie parlamentu uparcie do niego dążyli. Jeśli przegrają, Strafford wróci, szukając okazji do zemsty. Będzie jak rozwścieczony byk, który uciekł z pułapki i zwróci się przeciw tym, którzy go pojмали. Ojca martwi, że schemat ten ma szerszy zasięg, że sprzyjający reformom parlamentarzyści i ich zwolennicy w City są tak bardzo zaangażowani w dochodzenie swych krzywd, że jeśli teraz się zatrzymają, król będzie szukał odwetu. Muszą go powstrzymać, dopóki są bezpieczni.

– Ale jeśli będą kontynuować, król zyska jeszcze więcej powodów do szukania zemsty, gdy wreszcie się zatrzymają. A z pewnością kiedyś będą musieli.

– Być może niektóre trudne do zniesienia sprawy ciągną się w nieskończoność. A może ktoś umrze albo coś się zmieni, i to, co wydaje się beznadziejne, stanie się całkowicie możliwe.

– Być może. – Odwraca się do niej i mocniej ściska jej dłoń.

Hen dostaje zawrotu głowy. Tak jej się wydaje. To się w końcu zbliża, a jego tak znajoma twarz staje się niewyraźna.

– Henrietto – mówi i w tym jednym słowie zawiera całą czułość, na którą liczyła.

Nagle rozlega się krzyk. Kruk odlatuje, kracząc, a Will i Hen odwracają się stronę dziedzińca, żeby zobaczyć skąd dochodzi głos. Krzyki są głośne i uporczywe. Ludzie kręcą głowami w różne strony, żeby odnaleźć ich źródło. Hen czuje w gardle panikę wzbierającą jak żółć. Will mocnej ściska jej rękę, czekają, co się wydarzy. Mija ich grupa mężczyzn o ponurych i zdecydowanych minach. Niosą pałki i noże oraz wszelkiego rodzaju dobraną na chybił trafił broń. Jeden z nich wykrzykuje:

– Papistowski spisek! Papistowski spisek! Babilońska wszetecznicza wysłała swoich szatanów. Kraj spłonie! – Powtarza, wrzeszcząc: – Spłonie!

Jego krzyk wzbudza na dziedzińcu lamenty i gwar. Miejsce codziennej krzątaniny zajmuje teraz zamieszanie i panika. „Jak szybko wszystko może się rozpaść” – myśli Hen, Will tymczasem ją osłania.

– Chodź – mówi – odprowadzę cię do domu.

Najłatwiejszym sposobem powrotu okazuje się podążanie wzdłuż Ludgate Hill za grupą zbierającą uczestników pochodu niczym śnieżna kula. Ludzie na czele kolumny wykrzykują:

– Do Westminsteru, bronić naszego Kościoła! Papistowski spisek, papistowski spisek! Do broni!

Banda obdartusów rośnie, gdy ludzie wylewają się z kramów z pochwyconą na chybił trafił bronią, uzbrojeni w okrzyki i zawołania, jakby szykowali się na wojnę. Przyłączają się ludzie najróżniejszego rodzaju, od bogaczy po żebraków. Podążając za nimi, Hen i Will znaleźli się wystarczająco blisko, żeby wyczuć podniecenie

wzrastające niczym żywa istota. Tłum opanowuje panika, jakby wypuszczono lwa z Tower. Czoło pochodu się rozprasza i ludzie rozbiegają się na boki Fleet Street.

– Na stos z papistami!

– Na stos z nimi! Na stos! Na stos! Na stos!

Henrietta daje się ponieść ciżbie. Czuje, że serce wali jej w rytm okrzyków „Na stos! Na stos! Na stos!”. Ogień pulsuje w jej żyłach, mieszając się z wcześniejszym gorącym wskrzeszonym przez Willa. Czuje się niepokonana, czuje, że żyje.

Chce krzyknąć, stopić się z tłumem. „Na stos! Na stos! Na stos!” Otwiera usta, żeby krzyknąć, by pozwolić ogniovi rozpalającemu jej wewnątrz połączyć się z wściekłością tłumu. Przy pierwszym okrzyku odwraca się do Willa i dostrzega jego ponury, wzdrgliwy wyraz twarzy. Wydaje się, że rozdziela ich wzburzona rzeka, on stoi na spokojnym brzegu, ona zaś znalazła się wśród dzikich wrzasków. Z ogromnym wysiłkiem zamyka usta i wyrywa się temu.

– Na stos! Na stos! – rozbrzmiewa wokół niej, teraz jakby z oddali.

Will toruje im drogę przez Fetter Lane, wreszcie Hen dostrzega znajome drzwi. Gdy gorączka ustępuje i cichną okrzyki, czuje się przybita i z jakiegoś powodu zawstydzona.

– Henrietto – pyta Will – dobrze się czujesz?

Dziewczyna kręci głową. Will wciąga ją w uliczkę za domem, na którą Cesario i Sebastian wyskakiwali na swoje nocne wypady. Obejmuje ją, przytrzymuje, gładzi po włosach. Hen zdaje sobie sprawę, że on myśli, iż ona się boi.

Odsuwa się, by mu powiedzieć, że tak nie jest, ale zatrzymuje się, gdy zauważa, jak są blisko, w jak mocnym uścisku. I nagle się całują, jej ręka obejmuje Willa, jego broda łaskocze ją w podbródek, a jej ciało znów rozpala ogień z taką gwałtownością, że zemdlałaby, gdyby jej nie podtrzymał. Rozdzielają się, pozbawieni tchu i onieśmieleni tym, co właśnie odkryli.

– Och, moja kochana – mówi. – Och, mój aniele.

I ponownie zatracają się w pocałunkach. Ponad nimi skrzypi okno. Hen znów się odsuwa i patrzy w górę, ale nikogo nie dostrzega.

– Powinnam już iść – mówi.

– W następną środę? – pyta Will, łamiąc niepisane prawo.

Dotyka dłonią jego policzka. Decyduj się. Teraz.

– Tak – potwierdza. – W następną środę.

*

Hen zapada w senne otumanienie. W kółko przeżywa ten dzień, starając się wyrycić sobie wspomnienie o nim w pamięci. Wciąż na nowo opowiada sobie historię spotkania z Willem. Próbuje wyobrazić ją sobie bez słów. Jest to seria obrazów, a na każdym kolejnym twarz ukochanego jest bardziej wyidealizowana niż na poprzednim.

Challoner wchodzi do pokoju.

– Cholerne błazny! – krzyczy.

– Witaj, tatku – mówi łagodnie.

– Na rany Chrystusa, powinni zawisnąć. Wisieć i zadyndać. Zobaczyłabyś, jak cholernie byliby odważni z nogami dyndającymi w powietrzu.

– Kto, producenci sztuców? Winiarze?

– Nie, nie diabelscy producenci sztuców. Och, to śmieszne, kotku. Kolejne cholerne zamieszki. Tym razem, uwierzysz, rzekomo uknuto papistowski spisek. Więc wielu porzuciło pracę, jakby City już nie grzęzło w tym gównie, i pomaszerowali na Westminster. Żeby niszczyć wszystko dookoła, wrzeszczeć o stosach i wygrażać biednemu, sędziwemu biskupowi.

– A istnieje jakiś spisek?

– Oczywiście, że nie. Cholerne prostaki. Dlaczego wznoszenie ogrodzeń ołtarzowych i żona rzymska katoliczka miałoby uczynić papistę z króla? Ejże! Dlaczego istnienie biskupstw, będących nieodłączną częścią naszego Kościoła, miałoby uczynić papistami wszystkich, którzy nie załamują rąk z tego powodu? Purytańskie błazny! Wszystkich nas wrzucają do jednego worka jak składniki łojowego puddingu. Dlatego myślę, że Arminiusz miał rację, uważając mnie za papistę. Laud sądzi, że Kościół powinien być ramieniem władzy, a czy to sprawia, że można go oskarżać o ssanie papieskiej piersi?

– Ty robisz to samo, ojcze. Wrzucasz wszystkich purytanów do jednego worka. Nie dostrzegasz różnicy między Nedem, Praise-God Barebonem i samozwańczymi kaznodziejami. Nie dopuszczasz nawet myśli, że mogą się różnić.

Challoner przestaje wściekle spacerować i wbija wzrok w córkę.

– Przestań nieustannie mieć rację, młoda panno. To nie dodaje uroku kobiecie. Nie bądź taka mądralińska.

– Przepraszam, ojcze – odpowiada z przesadną pokorą i otrzymuje uśmiech.

– Słyszałaś, jak Barebone nazwał swojego syna?

– Nie – odpowiada i uśmiecha się zawczasu.

– Bobasek, mała pulchna istotka, całkowicie zwyczajna, występuje pod imieniem Gdyby-Jezus-nie-umarł-za-twoje-grzechy-byłbyś-potępioy Barebone. Jego matka podobno nazywa go w tajemnicy Nicholasem.

Hen wybucha śmiechem razem z ojcem i po raz pierwszy czuje w sercu ukłucie winy. Ma tajemnicę przed ukochanym człowiekiem. Przyciska mocno do siebie ów sekret i owo poczucie winy.

*

Rok upływa Hen w rytmie wyznaczanym przez spotkania z Willem. Ledwie zauważyła egzekucję Strafforda i plotki dotyczące królewskiego spisku z milicją, mającego na celu przejęcie kontroli nad parlamentem. Wszystko to ustępuje ważnością środom spędzaniem w cieniu iglicy katedry św. Pawła. Rozmawiają, dotykają się nieśmiało,

a nawet potrafią tylko milczeć. Will patrzy na nią oczami anioła, które zdają się przenikać jej skórę. Są już po słowie i Hen wspomina swoje zakłopotanie, jakby dotyczyło innej osoby. W jego obecności jest leciutka, czuje się tak lekka, jakby tylko przyzwyczajenie i nawyk trzymały ją na ziemi. Najśłabszy powiew wiatru wystarczyłby, żeby wzniosła się ku niebu razem z jaskółkami i poszybowała ponad kominem dziekana, okrążyła wieżę, zwiewna i radosna.

Tego lata odbywają się też inne spotkania. Pamiętny piknik, jak o nim później myśli Hen. Bierze w nim udział razem z ojcem, Nedom i Willem oraz rodzinami Birchów i Tompkinsów. Płyną łodzią w górę Barn Elms, zabierając koszyki wypełnione butelkami wina i jedzeniem. Podziwiają nadrzeczne łąki i siedzą w cieniu, podczas gdy letnie słońce szuka ich pośród liści wznoszących się nad nimi drzew. Sam i Will idą popływać w górę rzeki z chłopcami Birchów, a Hen leży na plecach, przypatrując się wzorom, które liście tworzą na niebie. Słyszy ich okrzyki i śmiech, odgłosy pluskania się w wodzie. Próbuje wyobrazić sobie, jak cudownie byłoby zdjęć wszystkie warstwy przepoconych ubrań i najpierw zanurzyć stopy w chłodnej wodzie.

Wyobraża sobie pływającego Willa, odgarniającego mokre włosy z czoła, słońce połyskujące na jego mokrej skórze.

Wracają z błyszczącymi oczami, wilgotni, a Will szuka jej wzrokiem. Ich tajemnica jest w niej zwinięta niczym sprężyna i z największym trudem ukrywa, jak bardzo jest szczęśliwa.

Pani Birch, czerwona i spocona z powodu słońca i tuszy, sprawuje pieczę nad wykładaniem wiktuałów. Wydobywa pieczone kawałki mięsa na zimno, wilgotne z gorąca plastry sera. Chleb z drobno mielonej mąki oraz paszteciki wypełnione mięsem i owocami. Siadają wszyscy na minutę przed zmówieniem modlitwy, rozkoszując się obfitością frykasów. Dziękują Bogu ze szczerego serca za wyniesienie ich nad żebraków, których mijali po drodze. Stało się tak tylko dzięki Jego łasce.

Ned, ojciec, Tompkins i Birch rozmawiają o wyciszaniu nastrojów w City wraz z nadchodzącym letnim przesileniem i opadaniem napięcia spowodowanego spiskiem wojskowym. Rozmawiają o handlu, uzależnieniu źródła utrzymania od politycznych intryg w państwie. Poruszają problem niewidocznych nici łączących Westminster z giełdą. W jaki sposób zaufanie i dyskrecja ułatwiają ruch pieniędzy w City i jak szybko zarówno jedno, jak drugie można stracić.

– To przypomina pajęczą sieć – mówi ojciec, a Ned mu przytakuje. – Siedzę w środku, a wszystkie trzymające mnie tam nici są targane przez wiatr. Niektóre mają charakter czysto fiskalny, inne polityczny, a jeszcze inne są dziwnym połączeniem jednego i drugiego. Zerwanie którejkolwiek spowoduje nasz upadek.

– A więc – odzywa się Birch – to nie sumienie, lecz kiesa dyktuje ci, jak zareagować na kryzys.

– Czy czasem jedno nie równa się drugiemu? Mam dzieci, dom, czeladników i pracowników na utrzymaniu. Moje pieniądze zapełniają statki, a bele mojego płótna magazyny sklepów. Jeśli ja upadnę, to samo spotka ich wszystkich. W City mnóstwo

ludzi przymiera głodem, tymczasem my siedzimy sobie tu na słońcu, popijając wino. Po prostu nie chciałbym, żebyśmy do nich dołączyli.

Tompkins przytakuje:

– Sumienie jest luksusem sytych.

– W istocie – odpowiada Challoner. – Czy sądzisz, że biedaków czekających na chleb w ogonku u bram kościoła obchodzi, gdzie znajduje się ogrodzenie ołtarzowe? Albo jak bardzo król okradł nas, nakładając podatki niezgodnie z prawem?

– Ojciec, czy na pewno ma to więcej wspólnego z sumieniem niż z własną korzyścią? Z ludzkim honorem niż z potrzebą napełnienia brzucha? – odzywa się Ned.

– Podejdź do mnie chłopcze i powiedz, kiedy byłeś głodny i nagi?

Hen przestaje słuchać ich rozmowy, skupia się na zbliżającym się Willu i przywdziewa pancerz spokoju.

Will siada na trawie obok niej. Zrywa stokrotkę i po jednym odrywa jej płatki. Tylko Hen wie, że w myślach powtarza „kocha, nie kocha”. Przy ostatnim płatku podnosi głowę i uśmiecha się jak sztubak. Dziewczyna nie może się powstrzymać i odpowiada mu uśmiechem, a jej ciało wypełnia rozkoszne mrowienie.

Później idą na spacer po lesie, zostawiając za sobą uczestników pikniku, i Will przyciska ją do drzewa i całuje. Ryzykowne pocałunki odurzają, Hen zastanawia się, czy nikt niczego nie zauważy na ich twarzach. Czy taka rozkosz nie naznaczy jej ciała tak, jak Kain został naznaczony przez swoją zbrodnię?

„Oto Noc Pełni. Przybędzie posłaniec z niespodziewaną wiadomością” – powiedziała mu. „Bądź przy wrotach Temple o zmierzchu”.

Cesario idzie w kierunku bramy i dostrzega Willa, czekającego w cieniu. Klepie go w ramię i przyjaciel się odwraca.

– Sam – mówi.

– Nie – odpowiada.

Przechodzi chłopak z pochodnią i Hen widzi zaskoczoną minę ukochanego, kiedy światło pada na jej twarz.

Śmieje się i gładzi go, ale dopiero kiedy pojawia się drugi człowiek z pochodnią zauważa, że Will się nie uśmiecha.

– Pewnie brzydko wyglądam w męskim przebraniu – mamrocze. – Pełnia. Myślałam, że obejrzymy ją razem z dachu, tak jak mówiłeś.

Niewiele mówi, gdy wychodzą przez jego okno na dach siedziby Inner Temple Hall. Tej nocy odgrywane jest przedstawienie, więc śmiechy i przytłumione fragmenty recytowanych dialogów wydobywają się z komina razem z dymem. Nisko na niebie, nad miastem wisi olbrzymi, mlecznobiały księżyc. Srebrzyste chmury płyną po rozświetlonym niebie, a londyńskie wieże i kominy złowieszczo spoglądają na stolicę.

Wszystko to jest hipnotyzujące. Henrietta ma ochotę rozłożyć ramiona i śpiewać w świetle księżyca. Siada po nawietrznej komina, przez spodnie Sama czuje chłód dachówek. Krzyżuje nogi i wygodnie się usadawia, żeby kontemplować widok.

Will siada trochę z boku, a ona wyczuwa jego dezaprobatę.

– Jak inaczej mogłabym przyjść? – pyta.

– W ogóle nie powinnaś przychodzić. To nie w porządku.

– Dlaczego?

– A gdyby cię przyłapano?

– Nie przyłapią.

Zapadła cisza.

– W takim stroju wyglądasz trochę jak dziwka. Jak aktorka albo zbereźny chłopak.

– Będę dziwką jedynie wówczas, gdy mnie nią uczynisz.

„Na Boga, to brzmi jak propozycja” – myśli.

Zupełnie inaczej wyobrażała sobie tę noc. Mieli leżeć obok siebie, trzymając się za ręce, patrzeć na księżyc i rozmawiać o gwiazdach. Tymczasem są wymówki i obopólne rozczarowanie.

– Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało – odzywa się. – Zaufałam ci, Will, skoro tu przyszłam.

Trwa cisza. Hen widzi profil przyjaciela, którzy wpatruje się w ciemność skrywającą ogrody Temple, w miejsce, gdzie musi płynąć rzeka. „Jakże mało go znam” – myśli Henrietta. „Jest zbiorem cech, które uważam za fascynujące. Jego zamiłowanie do gwiazd, jego piękne dłonie, falujące włosy, odrobinę szelmowski uśmiech. Ale tak naprawdę nie znam go, nic nie wiem o tym chłopaku, który siedzi obok mnie”.

Will kieruje podbródek w stronę nieba, kiedy patrzy na gwiazdy. Jego twarz rozświetlona blaskiem księżycy jest piękna, ale całkiem dla niej nowa w tym świetle. „Kim on jest? A jeśli go nie znam, czemu jestem taka wzburzona w jego obecności?” – zastanawia się Hen.

– Powinam już iść – mówi, choć niczego nie udało jej się lepiej zrozumieć.

– Jeszcze nie.

Odwraca się w jej stronę. Ma zupełnie inny, nieznaną jej wyraz twarzy. Nie sposób go odczytać.

– To był wstrząs, zobaczyć ciebie taką. – Przesuwa się bliżej.

Całują się, Will jest niecierpliwy. Jego dłonie wędrują dalej niż zwykle, po jej nogach i między uda, gdzie powinna być jej ciężka spódnica. Odpycha go, ale pragnie odpowiedzieć, otworzyć swoje ciało przed nim, takim silnym, takim namiętym. To ją przeraża.

– Will, nie!

– Hen, kochanie – mówi niskim, obcym głosem.

Henrietta wstaje.

– Muszę już iść.

Nie mogą na siebie patrzeć po powrocie do pokoju oświetlonego świecą. Tak jakby porzucając damski strój, straciła swoją zbroję.

Oboje drżą z pożądania i są tym zawstydzeni. Nie dotykając się, schodzą po schodach i wychodzą na ulicę. Na dole rusza przed siebie biegiem, nie oglądając się

w tył. Wraca przez okno do domu i idzie spać. Nawiedzają ją dziwne, ponure sny, w których Księżycowy Człowiek przywiązuje ją do łóżka.

Jest kolejna środa. Hen czuje zdenerwowanie, zbliżając się do dziedzińca katedralnego. Czuje nieprzyjemne ściskanie w żołądku. Dostrzega Willa i witają się ze sobą chłodno. Jednakienne światło, rozgardiasz przy kramach z książkami i sukienka Henrietty sprawiają, że czują się swobodniej. Mroczna namiętność wcześniejszego spotkania wydaje się teraz taka nierzeczywista, pozostał jedynie cień wspomnienia o tym, co się wydarzyło.

Siadają na tym samym murku, co zawsze, a Will rozśmiesza ją opowieściami o swoim mistrzu – człowieku z jednej strony przepełnionym patosem, a z drugiej nieznośnie pedantycznym.

- Obawiam się, że tym właśnie odznacza się dobry prawnik.
- Powinieneś więc się od niego tego nauczyć, Will.
- Przysięgam, Hen, nie wiem, czy dam radę.
- Uważam, że bez problemu.
- Uznaję to za zniewagę.
- I taki był mój zamiar.
- Sądzi, że jestem w bibliotece i zgłębiam prawo. Wolałbym, żeby moje życie inaczej wyglądało. Jestem pewny, że będę bardzo osobliwym prawnikiem.
- Nie możesz żyć wyłącznie gwiazdami.
- Ani wyżywić rodziny ciasteczkami księżycowymi.

Siedzą w ciszy, ale atmosfera jest miła. Oboje są świadomi beznadziejności swojej sytuacji, po co więc o tym mówić. Lepiej posiedzieć tutaj na dziedzińcu katedralnym, stworzyć sobie bańkę, której nie może przebić ani tętniące życiem City, ani brak szansy na wspólną przyszłość.

[7] Pym zdobył tak ogromny wpływ na postanowienia parlamentu, że zaczęto o nim mówić „Król Pym” (przyp. red.).

[8] Twierdza Tower była wówczas więzieniem państwowym, ale też zwierzyńcem królewskim, gdzie trzymano lwy i inne groźne zwierzęta darowane kolejnym królom angielskim przez innych monarchów. Pierwsze lwy sprowadził do Tower Jan bez Ziemi w XIII w.

ROZDZIAŁ 7

LISTOPAD 1641

Na polu w Hoxton Henrietta obserwuje ojca przejeżdżającego na wysokiej, siwej klaczy. Czterdziestu mężczyzn z jego gildii bierze udział w triumfalnym pochodzie króla do City po powrocie ze Szkocji.

„Marny to triumf” – z satysfakcją zauważył Ned w drodze na miejsce. Królewskie siły na północy są nieliczne w wyniku kosztownych porażek poniesionych w Szkocji, a pobożni obrońcy szkockiego prezbiterianizmu zdobyli duszę narodu. Ned jednak przybył tu, żeby pomachać ojcu, nie królowi. Richard Challoner płynie na fali. Jest liczącym się graczem w City. Cieszy się dobrym zdrowiem, własnymi włosami i zębami. Jest człowiekiem, któremu się zazdrości – bogatym, odnoszącym sukcesy i obdarzonym dwoma krzepkimi synami oraz pozbawioną znaczenia córką. Dzisiejszy dzień stanowi jego triumf, został wybrany z całej gildii, by towarzyszyć władcy.

Hen razem z Samem, Nedom i czeladnikami głośno wiwatuje i macha do ojca. Kociołek przekrzykuje gwar tłumu:

– Czyż nie prezentuje się stosownie?

Dziewczyna potakuje z zadowoleniem. Wyobraża sobie, że myśli Kociołka wypełniają obrazy jego samego, tęgiego i zamożnego, jadącego jako członek gildii londyńskiej wśród wiwatującego tłumu.

Ned również się uśmiecha. Po wyzwoleniu spod ojcowskiego jarzma wydaje się szczęśliwszy. Obaj znaleźli teraz sposób, by zachować przyjacielskie stosunki, mimo że należą do wrogich obozów politycznych.

– Pewnego dnia też będziesz jechał w paradzie, Kociołku, stary druhu – Ned zwraca się do czeladnika.

– Kociołek! – krzyczy Sam. – Ależ to cymbał i półgłówek.

– No cóż, Samie, większość z tych, którzy biorą udział w paradzie, to są kapuściane głowy – odpowiada Kociołek. – Bycie półgłówkiem nie stoi w sprzeczności z wypchanym portfelem.

– Za pieniądze wszystkiego nie kupisz – zauważa Ned.

– Zobaczmy – mówi Kociołek. – Władza, kobiety, jedzenie, gorzałka.

– Jak dla mnie wystarczy – wtrąca się Kołek.

Ned powstrzymuje się od śmiechu.

– Popatrzcie na Gurneya – mówi Sam, wskazując na Lorda Mayora niosącego miecz City za księciem Walii, a przed Lordem Szambelanem oraz Lordem Marszałkiem.

– Miałem rację! – woła Kociołek. – Spójrzcie na tego starego capa i jego pyszałkowaty uśmiech. Oto nowo ukuty baron. Dzięki czemu? Pieniądzom. Właśnie dzięki nim!

Kiedy władca przejeżdża na wspaniałym, białym rumaku, Kołek zarzuca rękę na ramię Kociołka i wołają razem z tłumem:

– Boże chroń króla Karola!

Za nim jedzie powóz z Henriettą Marią, księciem Yorku i księżniczką Marią.

– Królowa niesamowicie się postarzała – mówi Hen do Neda.

Jej mała lalkowata twarz cała pokryta jest zmarszczkami. Stara twarz wprawiona w postać dziewczynki.

– Tak starość zaleca się do babilońskiej wszetecznicy – odpowiada brat ponuro.

„A może to rezultat tego, że jej mąż jest obiektem nieustannych ataków” – myśli dziewczyna. „Biedna kobieta. Papistka czy nie, taka presja musi być nieznośna. Mówią, że jest bardziej wojownicza od męża, że to wpływy królowej stoją za kłopotliwym wahaniem monarchy między rozejmem a konfrontacją z przeciwnikami. Kiedy jej głos zyskuje przewagę, monarcha staje do walki, a swoją królewską godność wykorzystuje, żeby się wywyższyć”.

Nagle staje przy nich uśmiechnięty Will. Rozlega się bębnienie werbli i wystrzały z działa. Rozbrzmiewają grzmoty i huki. Artylerzyści z okrzykiem ładują muszkiety i strzelają. W samym środku tego zgiełku znajduje się Will, który uśmiecha się do niej w słabym, zimowym świetle słonecznym.

– Wiedziałem, że was tu wszystkich spotkam! – woła, patrząc na Neda, ale zwraca się do Hen.

Ned klepie go po plecach i mówi coś, czego siostra nie słyszy. Sam jednak przygląda się siostrze, jakby oceniał jej reakcję na nagłe pojawienie się Willa. Dziewczyna czuje, że się czerwieni i zaczyna znów krzyczeć, żeby ukryć swoje zmieszanie.

– Boże chroń króla Karola! – woła, a jej głos ginie we wrzawie.

Will staje obok niej. Czy to tłum na nią napiera, czy jego dłoń muska jej rękę, kto to może wiedzieć?

*

Richard Challoner, wyższej rangi członek stołecznej gildii, pewny kandydat do rady miejskiej City i jeden z najważniejszych londyńskich mieszczan, przesiaduje w swojej bibliotece. Wokół niego piętrzą się gazety różnego rodzaju: wywrotowe, lojalne wobec władz, pełne tyrad i całkowicie pozbawione umiaru. Petycje, manifesty, pamflety,

biuletyny, obelżywe wiersze i buntownicze ballady. Cały zalew rozgrzanej do białości londyńskiej prasy piętrzy się na podłodze.

Spogląda na Henriettę siedzącą pomiędzy stosami ze skrzyżowanymi nogami i zmarszczonymi brwiami.

– Spalą cię na stosie jako wiedźmę, pączusiu, jeśli nie będziemy uważać.

– Chcę pomóc, ojciec.

– To herkulesowa praca, kiciu. Prasa jest jak głowa Hydry, spal jedną gazetę, a natychmiast pojawi się nowa. Zamknij w więzieniu jednego buntownika bez licencji pismaka, a wyskoczy trzech innych drukujących ulotki o męczeństwie pierwszego. Utoniemy w papierze, pączusiu.

Hen uśmiecha się, słuchając jego zrzędzenia. Jest szczęśliwa przy tej pracy. Jej ojciec, człowiek umiarkowanych poglądów, utrzymujący przyjazne stosunki z członkami obu coraz bardziej oddalających się obozów, otrzymał od ławników swojej gildii zadanie przeanalizowania prasy wydawanej w Londynie. Jest to tajna misja, niektóre z tych druków doprowadziły autorów pod pręgierz albo do więzienia. Jednak starszyzna chce wiedzieć, co się mówi, kto mówi i jak bardzo prasa wymknęła się spod kontroli rządu.

Strafford nie żyje od ponad pół roku, został skazany przez retorykę Olivera St Johna, za niechętnym przyzwoleniem króla. Stracono go w Tower pośród wrzasków zadowolenia, które musiały dotrzeć aż do Whitehall, gdzie władca zamknął się w swojej komnacie, przybity żalem i poczuciem winy. Wraz ze zwycięstwem parlamentu i powstaniem ziejącej pustki po Straffordzie w orszaku króla, doszło do gwałtownego rozłamu religijnego. Król otrzymywał petycje od ludu i z Izby Lordów. Niektóre pisały kobiety, na co wielu kryptokatolików kompulsywnie robiło znaki krzyża. Tysiące mężczyzn ruszyło pod Westminster, żeby wygwizdać biskupów i parów królewskich. Grad skarg spadł na obłożonego władcę: drukowanych, przekazywanych osobiście i wykrzykiwanych przez tłum, a końca zamętu nadal nie widać.

Challoner, oszołomiony ogromem zadania, jakie otrzymał, przyjął pomoc córki w przesłedzeniu w prasie oznak kryzysu. Pokrywa swój niepokój, wygłaszając niekończące się kazania na temat jej obowiązków wobec ojca, Korony i państwa. Hen udaje zaś, że bierze te wykłady na poważnie i oboje są zadowoleni.

– Kolejny artykuł o Irlandczykach. Ich bunt ma być realizacją pierwszego etapu spisku papistowskiego – mówi dziewczyna, rzucając ulotkę na stos „Żli Irlandczycy”.

– Czy zostaniemy zadźgani nożami w łóżkach, czy przybici do krzyży? – pyta Challoner.

– Ani jedno, ani drugie. Irlandczycy są kanibalami i zjadają protestanckie niemowlęta z chlebem i galaretką pigwową.

– Byłoby to, kiciu, tak śmieszne, jak ci się wydaje, gdyby nie to, że ludzie naprawdę w to wierzą.

Henrietta przytakuje, wyciągając kolejną ulotkę ze stosu.

Challoner rozsiada się w wygodnym krześle z pismem wzywającym do marszu na domy rozpusty. Hen wie, że ta przesadna poza zapowiada powolne zapadanie w głęboką drzemkę, znaczoną gwałtownymi ruchami głowy.

– Będziesz spał, ojcze?

– Spał! – woła zaskoczony – Nie, pączusiu. Tę pracę trzeba wykonać.

Chwilę później po raz ostatni unosi głowę i pogrąża się w śnie. Hen przyzwyczała się już łączyć radykalną retorykę z pomrukami i poświstywaniami śpiącego ojca.

Są też traktaty poświęcone królewskim żądaniom finansowym i, równie gniewne, poruszające temat nałożonego przez parlament pogłównego. Są diatryby przeciwko biskupom i perory biorące ich w obronę. Mówi się o papistowskim spisku i skazaniu arminian. O tajnych sektach i prześladowaniu niezależnych kongregacji, o ich pojawiających się co jakiś czas prorokiniach, nazywanych nierządnicami.

Ta gwałtowna retoryka fascynuje Henriettę. Czy ludzie bardziej wierzą słowom, kiedy umieści się je na papierze? Uważa, że nigdy nie doszło do spisku papistowskiego. Czy wszystkie te wydane drukiem słowa uczyniły ów spisek prawdziwszym? Gdzie dochodzi do spotkania słów i czynów? Czy istnieje przestrzeń, w której nie sposób już mówić o różnicy między nimi?

Kiedy w październiku zwołano parlament, pojawiła się ulotka, od której City zawrzało dysputami i plotkami. Ponoć jakiś przekłety zdrajca zawinał plaster skażony dżumą w list i taki pakunek posłał do Pyma. Ponoć Pym otworzył przesyłkę i plaster z zarazkami przyłgnał do niego. Ulotka cytowała ten list, a tekst opływał rycinę przedstawiającą lidera partii reform w Izbie Gmin. Domniemany nadawca nazywał Pyma zdrajcą i przysięgał go zabić. Pisał: „Wysłałem do ciebie wiadomość na papierze, a jeśli nie poruszy ona twego serca, zrobi to sztylet, gdy tylko pokonam zarazę, żałuj za grzechy, zdrajco”.

Hen przypomina sobie swoje przerażenie, gdy pierwszy raz czytała ulotkę. Słowo „dżuma” ma moc, zawiera w sobie wspomnienie przeszłości, groźbę i przerażenie całego miasta.

– To nieprawda, kotku – stwierdził ojciec z pogardą w głosie, kiedy pokazała mu druczek.

– Jak to?

– Pym potrzebuje spisku, żeby zjednoczyć zwolenników i sprawić, by przeciwnicy wydali się groźniejsi.

– Są więc powody, żeby nienawidzić Pyma.

– Być może.

Hen niepokoi, że w gruncie rzeczy bez znaczenia było, czy przedstawiona historia jest prawdziwa. Ci, którzy chcieli w nią uwierzyć, i tak wierzyli, podobnie jak nic nie było w stanie zmienić zdania sceptyków. A opowiadka była tak pełna mocy, że wzniosła się ponad takie pojęcia jak prawda i fałszerstwo, by stać się czymś zupełnie nowym – ostrym atakiem w wojnie na słowa, podczas której ludzie przesiewają pogłoski, by znaleźć te, w które już wcześniej uwierzyli.

Niejednoznaczność słów również ją niepokoi. Na wskroś wieloznaczne jest Zapewnienie, uchwalone przez parlament jako próba stworzenia nowego poczucia wspólnoty. Przysięgają na nie zarówno ojciec, jak Ned – obaj w dobrej wierze. Wszyscy dorośli mężczyźni mają taki obowiązek, teraz jest to wymóg prawny. Skoro jednak obaj na to przysięgają, jaki jest z tego pożytek?

Ja, Richard Challoner, przed Bogiem wszechmogącym przysięgam, ślubuję i zapewniam, że będę wspierać i bronić – dopóki będzie to zgodne z prawem – moim życiem, władzą i majątkiem prawdziwej, zreformowanej protestanckiej religii, wyrażonej w doktrynie Kościoła Anglii, przed wszelkim papizmem i próbami wprowadzenia papistowskich nowinek w tym królestwie, sprzecznych z tą doktryną, zgodnie z obowiązkiem posłuszeństwa wobec Jego Królewskiej Mości, honoru i państwa, a także władzy i przywilejów parlamentu, legalnych praw oraz wolności poddanych i każdej osoby, która złożyła owo Zapewnienie, cokolwiek będzie czyniła, realizując je w ramach obowiązującego prawa...

Później Hen zapytała go:

– Ale ojcze, czym jest owa „prawdziwa, zreformowana protestancka religia”? Jakie są „władza i przywileje parlamentu”? Ty i Ned obaj przysięgacie i ślubujecie tego bronić, a przecież nawet gdybym na miesiąc umieściła was w jednym pokoju, nie doszlibyście do wspólnej definicji.

Challoner przytaknął z żalem.

– Wiem to. Ustanowiliśmy ten dokument, żeby nas wspierał, a mimo to...

– Jest bez znaczenia.

– Nie, nie jest bez znaczenia. Jest raczej wyrazem rozpaczki.

Hen przerywa przeglądanie papierów, przypominając sobie tę rozmowę, i patrzy na ojca śpiącego w krześle. Teraz by się pod tym nie podpisał. „Zapewnienie” stało się symbolem reformatorów. „Prawdziwa, zreformowana protestancka religia” jest teraz zwyczajowo definiowana jako nie-Laudiańska. Jest okrojona i kalwińska. Zwolennicy Lauda skupiają się wokół pochwalanego przez Karola Modlitewnika Powszechnego, liturgicznej księgi Kościoła Anglii. obrońcy szkockiego presbiterianizmu i ich zwolennicy w Anglii żywią przekonanie, że ta książka „wyłoniła się z trzewi wszeteczniczki babilońskiej” i jest to najczęściej cytowane stwierdzenie we wzburzonym morzu retoryki.

Rośnie też liczba pamfletów i afiszy wzywających: „Precz z biskupami! Precz z papistowskimi lordami!”. Gdy w Izbie Lordów zwolennicy kursu umiarkowanego zostali przyparci do muru przez króla, głosy biskupów zyskały tam jeszcze większą wagę. Reformatorska żarliwość Izby Gmin kilkakrotnie została zgaszona przez Izbę Lordów. Reformatorzy boleją nad zablokowaniem reform. Im bardziej stają się wojowniczy, tym chętniej stronnictwo umiarkowane bierze stronę króla.

W kominku buzuje ogień, na zewnątrz panuje przejmujący mróz, jak to w grudniu. Sam jest na piętrze, też śpi. W tym przytulnym pokoju trudno wyobrazić sobie poruszenie wrzące na ulicach, podsycane przez nieszkodliwe stosy papieru zalegające

na podłodze. Hen wie, że to poczucie spokoju jest iluzoryczne. W maju, niedługo po tym, jak Will po raz pierwszy ją pocałował, rodzina siedziała stłoczona z tyłu domu, podczas gdy czeladnicy świętujący śmierć Strafforda wybijali frontowe okna. Hen schowała wówczas twarz w ramionach ojca i po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że ojciec nie jest w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa. Że słowa, które szeptał do niej w dzieciństwie: „Tatusz jest tutaj. Jesteś bezpieczna, pączusiu. Bezpieczna.” były pustymi kłamstwami. Zaczęła płakać, a on pomyślał, że to ze strachu i szeptał jej do ucha kolejne słodkie obietnice bez pokrycia. Tymczasem na zewnątrz motłoch oblegał dom, a szyby trzaskały.

W to spokojne zimowe popołudnie żałuje, że nie może trzymać świata na dystans, nakreślić nieprzekraczalnej linii wokół siebie i swojej rodziny. Chciałaby móc skropić odrzwia krwią baranka, żeby odpędzić anioła śmierci.

Ojciec porusza się, a później znów wygodnie usadawia, a ona bierze pled i nakrywa jego wyciągnięte nogi. Wysiłek prowadzenia interesu w czasach osłabienia kondycji finansowej City odciska na nim swoje piętno. Postarzał się i zmarniał.

Hen podnosi jedną z broszur, *Uzasadnienie niezależności Kościołów Chrystusowych*. Z ekscytacją zauważa, że napisała ją kobieta – Katherine Chidley. Zaczyna od przeprosin za to, że choć ma słabe wykształcenie i jest kobietą, ośmiela się pisać o państwie i Kościele. Przedstawia swoje argumenty ze zniewalającą prostotą. To Bóg przyznaje prawo odprawiania obrzędów religijnych i składania petycji, nie rząd. Kościół państwowy może być „królewską kaplicą”, ale nie jest Domem Bożym. Wszędzie, gdzie zbierają się pokorne dusze i otwarte serca, w separatystycznych kongregacjach i podczas spotkań w domach prywatnych, można odnaleźć Dom Boży. „I to właśnie w tych domach – myśli Hen – kobiety mają prawo pisać petycje, takie jak ta, a nawet wygłaszać kazania”. Kobiety cieszą się duchową równością przed Bogiem, dowodzi Chidley. Ta idea oszałamia Henriettę. Dziewczyna zastanawia się nad nią, obraca w myślach na różne sposoby. Rozumie, dlaczego takie twierdzenie może być traktowane z lękiem i nieufnością. „Ale czyż nie jest prawdą – pyta samą siebie – że najprostsze, najprawdziwsze idee to te, których przeciwnicy najbardziej się obawiają?”

Drzwi otwierają się i do pokoju wchodzi babcia. Rzadko zdarza się widywać ją tutaj i Hen zrywa się na równe nogi. Dostrzega stojącą za nią nianię i nagle ogarnia ją lęk. Babka rozgląda się po bibliotece. Wnuczka wygląda niechlujnie, siedziała na podłodze, jest poplamiona atramentem jak błotem. Challoner chrapie w otoczeniu papierów ułożonych w wysokie, rozsypujące się sterty. Stara kobieta wyciąga rękę, a Hen podaje jej broszurę Chidley. Babka ogląda okładkę.

– Ależ Henrietto, to napisała kobieta.

– Tak, babciu.

Staruszka zaciska dłoń, gniotąc papier.

– Niech Bóg ma nas w opiece.

– Ale babciu, spodobałoby ci się to, co ona napisała. Że państwo nie może mieć

monopolu na sumienie.

– Henrietto, ona jest kobietą.

To ostatnie, głośno i ze złością wypowiedziane słowo sprawia, że Challoner zaczyna mamrotać i się budzi.

– Ejże, ejże – woła, widząc zaczerwienioną twarz i arogancką minę córki, stojącej naprzeciw babki zaciskającej wargi z wściekłości.

– Richardzie, to twoja sprawka. Znajduję tu moją wnuczkę, córkę mojej córki, czytającą jakieś obrzydliwości, które zatruwają jej młody umysł tymi bzdurami.

Od wielu lat Henrietta nie widziała, aby babka uniosła się gniewem. W jej drobnej, wypełnionej teraz poczuciem słuszności postaci kryje się przerażająca siła.

– Daj spokój. Henrietta jest wystarczająco rozsądna.

– Do czego, bądź łaskaw wyjaśnić? Wykonywania za ciebie twojej pracy? Czytania bredni tej wariatki? W tym mieście kobiety głoszą kazania, w tym samym czasie, kiedy my tu stoimy. Przeciwstawiają się Bogu i wyznaczonemu im miejscu na świecie, by stawać jak ladacznice w komnatach wypełnionych mężczyznami, pozwalając, aby wstąpiła w nie nierządnicą babilońska. Czy tego chcesz dla swojej córki? Żeby została służebnicą szatana? Tego właśnie chcesz?

Z jej rozwścieczonych ust padają kropelki śliny.

– Szatan działa w tym domu. Szatan! Kusi moją Henriettę, moje dziecko, i to za twoją zgodą, ty zapijaczony, ospowaty głupcze!

Chwyta się stołu, jakby wściekłość i chłoszczące słowa ją przygniatały. Hen i jej ojciec stoją oniemiaли wobec tej napaści. Patrzą na siebie bezradnie.

– I jeszcze przyprowadziłeś do domu tego chłopaka. Tego podstępного chłopaka, który mówi tylko o gwiazdach, jakby miał prawo kwestionować stworzenie! Jakby nie mógł istnieć ideał bez zrozumienia. Jakby nie wystarczyło wiedzieć, że Jego drogi są doskonałe i poza naszym zrozumieniem. I wiesz co, podejrzewam, że ta dziewczyna potajemnie się z nim spotyka.

„O Boże!” – myśli Hen, widząc zmieniający się wyraz twarzy ojca. „O Boże, pomóż mi”.

ROZDZIAŁ 8

Skrzypienie powozu i stukot podków ściąga rodzinę do drzwi. Wszyscy jej członkowie wpatrują się w ciemność, próbując rozpoznać gości. Odwiedziny o tak późnej porze wróżą złe wieści, jest więc powód do niepokoju. Wokół odosobnionego domu, stojącego pod rozległym zimowym niebem, rozbrzmiewają w ciszy odgłosy zmęczonych koni i podków uderzających o kamienie. Oddechy zwierząt tworzą oświetlone blaskiem księżycy kłęby pary. Kiedy Hen wysiada z powozu, nagle rozlega się radosny pisk i Anna wyskakuje zza potężnej postaci ojca, żeby hałaśliwie powitać kuzynkę.

Obejmują się, a Hen robi wszystko, żeby się nie rozpłakać.

– Bardzo przepraszam, ciociu Marto i wuju Robercie, za tak niespodziewany przyjazd – mówi, obejmując Annę w talii. To jest pani Wainwright, która była, to znaczy jest, moją nianią – odpowiada na pytania, którymi wszyscy ją zarzucają, poczawszy od najmłodszych. Niania ociężale dyga.

Wchodzą do hallu. Anna przypatruje się oświetlonej ogniem z kominka twarzy kuzynki.

– Hen, co się stało?

– Czy aż tak źle wyglądam, kochanie? Nikt nie umarł ani nie jest chory – dodaje, żeby uciszyć niepokój malujący się na twarzach zebranych wokół niej osób.

Wręcza list do Roberta Challonera.

– Wszystko bym wyjaśniła, sir, ale lepiej – tak mi się wydaje – żeby zrobił to mój ojciec.

Wuj bierze list.

– Natychmiast go przeczytam – mówi. – Marto, daj naszym podróżnym coś do zjedzenia.

Ciotka prowadzi gości do kuchni i raczy chlebem oraz serem. Pojawia się ciepłe wino z korzeniami. Hen usiłuje przekazać Annie bez słów, że ich sypialnia posłuży jej za konfesjonał. Ale kuzynka nie rozumie dawanych jej znaków i zadręcza pytaniami, od których Hen ze znużeniem się ogania.

– Panienska Henrietta, biedactwo, ma kłopoty z ojcem – mówi niania głosem pełnym

zbołałej troski. – To nie jej wina, tylko tego chłopaka. Mówiłam przecie panu, ale był zbyt wściekły, żeby wziąć to pod rozwagę.

Hen myśli o tym, żeby zakwestionować tę wersję wydarzeń, ale zdaje sobie sprawę, że jej się nie chce. Twarze wokół niej przybrały nużąco przewidywalne maski: mocno zaciśnięte wargi Marty wyrażają potępienie; szeroko rozwarte oczy Anny – entuzjazm, a twarz kucharki – gniew, którego przyczyn nie jest do końca pewna. Zaś blada twarz niani siedzącej w rogu emanuje triumfem z powodu właściwego wyczucia czasu, w którym przekazała informacje.

Hen chce już tylko zostać sama. Przed powrotem wuja z gabinetu ucieka na piętro, wymawiając się zmęczeniem po podróży. Anna jej towarzyszy, zasypując pytaniami. „Czy to był Will? Co się stało? Will będzie walczył? Co teraz będzie?” Hen mamrocze jakieś zdawkowe odpowiedzi ze świadomością, że rozczarowuje kuzynkę. Cała sytuacja przypomina punkt kulminacyjny dramatu: zhańbiona kuzynka przybywa w środku nocy z Londynu. Henrietta jest świadoma, że niewłaściwie odgrywa swoją rolę. Ciotka spodziewa się skruchy, a kuzynka melodramatu i romantycznych gestów, a ona jest w stanie zapewnić tylko milkliwe wykręcanie się od odpowiedzi.

Rozdźwięk między kuzynkami staje się namacalny, kiedy wstają, i utrzymuje się przez cały dzień. Hen nie może otrząsnąć się z nieszczęścia i męczy ją skwapliwość Anny, chcącej dzielić jej dramat. Usycha z tęsknoty za swoim domem i biblioteką, i oczywiście za Willem. Ale najbardziej brakuje jej dobrej opinii ojca. „Nie przeszkadza mi miłość” – powiedział, wsadzając ją do powozu. „Przeszkadza mi kłamstwo”.

Ten dom, który rok wcześniej wydawał jej się rajem, teraz jawi się jako więzienie. Krótkie dni i długie noce do wypełnienia, ponura, brzydka pogoda, która zmusza do pozostawania wśród przygnębiających murów. Oksford znajduje się tuż za horyzontem, wystarczająco blisko, żeby wuj mógł pojechać tam konno i załatwiać codzienne interesy. Lecz stąd nie widać jego zabudowań.

Czuje się odcięta, złapana w pułapkę. Brakuje jej piętrzących się na podłodze stosów ulotek i petycji dających wgląd w stołeczne rozgorączkowanie polityczne, które analizowała i omawiała. W pierwszą środę swojego wygnania budzi się niemal zdruzgotana rozpaczą. Czy Will wie, że nie przyjdzie? Czy mimo to będzie siedział na dziedzińcu z nadzieją, że jednak przyjdzie? Leży w łóżku, wyobrażając sobie, jak będzie wyglądać ten dzień. Zejdzie na śniadanie, żeby dołączyć do milkliwego wujostwa, paplających zamiast nich maluchów i Anny uciszającej rodzeństwo z irytacją. Po śniadaniu poprosi wuja o pozwolenie na skorzystanie z jego biblioteki, żeby otrzymać taką samą jak wcześniej odpowiedź, że uważa, iż nieograniczony dostęp do książek jest szkodliwy dla kobiecego umysłu. Nie dopowie ostatniej części zdania: „zobacz sama, jak skończyłaś”. Ale oboje będą stali, patrząc na siebie przez chwilę konieczną na wypowiedzenie tej myśli.

Jakoś uda jej się wypełnić ten długi poranek. Być może zajmie się haftowaniem. Kiedy kłuje się igłą w palec, przynajmniej coś czuje. Usłyszy, wie o tym, śmiechy dochodzące z rogu bawialni, gdzie siedzą niania i ciotka Marta, zabawiając się

szyciem. Zapałały do siebie niespodziewaną sympatią, „odnalazłszy u siebie nawzajem tę samą cierpkość duszy” – myśli z goryczą Hen.

Jeśli deszcz zelżeje, być może pójdą po zielone gałązki na stroiki, bo zbliża się Boże Narodzenie, a dom nadal nie jest ozdobiony. To byłaby przynajmniej jakaś forma ucieczki, zwłaszcza gdyby udało jej się odłączyć od reszty i znaleźć miejsce z dala od wszystkich.

Nadejdzie obiad i plotkowanie o życiu sąsiadów, które tutaj zastępuje rozmowy. Jak Pan-Taki-i-Owaki obiecał córkę Panu-Temu-i-Owemu, jednak ojcowie pokłócili się o królewską sprawę. Albo jak młody Gołowąs, wiesz, ten rudy z nosem jak pasternak, chciał iść do wojska, ale jego ojciec wolał, żeby został pastorem. On pastorem!

Hen, która nigdy nie widziała tych sąsiadów i dbała jeszcze mniej o ich powołanie niż tajemnice sercowe, jadła w milczeniu, wiedząc, że psuje atmosferę przy stole, ale zupełnie się tym nie przejmowała. Popołudnia i wieczory ciągnęły się w nieskończoność. Czas włókł się nieznośnie do kolacji, na którą podawano chleb, ser i rozgrzewającą polewkę, będącą znakiem, że czas iść do łóżka i w końcu znaleźć pocieszenie w ciszy i snach.

Hen owija się w kołdrę i wyobraża sobie, że stoi z Willem pod jemiołą, dłoń ukochanego obejmuje jej policzek, a mróz sprawia, że jego nos jest zabawnie zaczerwieniony.

Niedługo będzie musiała wstać i stawić czoło tej niewiarygodnej, nieznośnej nudzie. Czuje, że jej ręce i nogi stają się bezładne i sztywne. „Być może – myśli – w piekle nie płonie się, jak jesteśmy nauczani, lecz przez całą wieczność siedzi w zimnym, białym pokoju, gdzie nie ma nic do czytania, i nieustannie prowadzi się te same rozmowy o nużących sprawach obcych ludzi”.

W końcu jednak wstaje, a dzień toczy się dokładnie tak, jak przewidziała, i tylko dzięki mocnemu wbijaniu paznokci w dłonie powstrzymuje się przed wykrzyknięciem w czasie obiadu: „Zamknijcie się! Zamknijcie się! Zamknijcie się!”.

*

Nadchodzi Boże Narodzenie i Hen zmusza się do większej wesołości. Pomaga jej w tym przyjazd kuzyna Mathew, który na święta wrócił do domu ze stacji w Oksfordzie. Jest w wieku Neda, jakieś trzy lata starszy od Henrietty, i odbywa praktykę u kupca winnego. Mathew zachowuje się, jakby nie dotyczyły go żadne ograniczenia. Ciotka Marta go rozpieszcza i jest łagodniejsza wobec syna niż kogokolwiek innego, a pełne uwielbienia maluchy nie odstępują go na krok.

Hen odkrywa, że im pogodniejszą udaje, tym pogodniejsza się staje. Anna też jest mniej nużąca, gdy w pobliżu jest Mathew i dziewczyny częściowo odnajdują dawną zażyłość. W Wigilię rodzina zbiera się w hallu, wszyscy są opatuleni, żeby uchronić się przed mrozem. Robert trzyma puchar z cydrem, wznosi toast, po czym z udawaną powagą podążają w procesji do sadu, żeby pozdrowić jabłonie. Robert wznosi kielich

w stronę gałęzi, a następnie wylewa napój na korzenie drzewa, Mathew tymczasem śpiewa piosenkę, przesadnie fałszując. Hen śmieje się ze wszystkimi.

Dzięki śmiechowi czuje się weselsza i jest za to wdzięczna kuzynowi. W domu grzany cydr sprawia, że ich policzki nabierają kolorów. Kręci się jej w głowie. Prosi o wybaczenie i idzie do sypialni. W hallu Mathew zaczepia ją pod jemiołą i chwyta za rękę.

– A teraz, kuzynko, buziak – mówi.

Hen wybucha śmiechem.

– Nie, nawet gdyby było tu sto jemioł. Pocałuj Annę.

– W Boże Narodzenie nie można pocałować własnej kuzynki?

– Dobrze, jeden w policzek, ze względu na święta.

Przyciąga ją do siebie i daje całusa w policzek.

– Teraz jeszcze jeden, tym razem w usta.

– Nie, Mathew, jeden musi ci wystarczyć.

Próbuje go odepchnąć, ale on mocniej chwyta jej ramię.

– Mathew, puść mnie. To boli.

– Całusa, całusa. Królestwo za całusa!

Znów używa swojego komicznego, śpiewnego głosu, ale tym razem Hen się nie uśmiecha.

– Nie – odpowiada.

Gdy kuzyn nachyla się i przyciska usta do jej warg, gryzie go. Chłopak odsuwa się i puszcza ją, przeklinając.

– Krwawię – mówi, ocierając wargę i spoglądając ze zdumieniem na swoją zakrwawioną dłoń.

– Zasłużyłeś sobie na to.

Hen cała się trzęsie ze złości i strachu, które w dziwny sposób mieszają się ze sobą.

– Słyszałem, że w Londynie nie byłaś tak cholernie wybredna, co do tego, kogo całujesz.

Wbiegła po schodach, spłoszona dźwiękami kolęd.

*

28 grudnia 1641

Kochana Hen,

Będiesz zachwycona, kiedy dowiesz się, że znalazłem się w takiej samej niełasce jak ty. Zawsze wszystko ze sobą dzieliliśmy i uważam za całkiem uczciwe to, że muszę brać na siebie zrzęczenie babci, wściekłość ojca i cały ten domowy bełkot. Jednym słowem – twój Sam to ostatni drań.

A wszystko dlatego, że wymknąłem się z czeladnikami i przyłączyłem się do zamieszek w Westminsterze. Ależ dobrze się bawiłem, Hen, choć gdybym zobaczył cię w towarzystwie ojca, odegrałbym skruszonego grzesznika i przyznał, że to oprychy

i wariaci wystąpili przeciw dokonaniem przez króla wyborowi Lunsforda na porucznika Tower.

Tawerny i zbory obiegrała plotka, że Lunsford, znany z łajdactwa, sprzymierzył się z Francją i zamierzał wziąć szturmem nasze miasto, aby nierządnicę rzymską ustanowić pasterzem naszych dusz. Izba Gmin zgodziła się z nami, że Lunsforda należy usunąć z tego stanowiska zanim, wraz z papistami, podpali Londyn, ale starania parlamentarzystów próbujących uwolnić stolicę od papieskiego spisku zostały udaremnione przez biskupów i parów ze stronnictwa królewskiego, którzy przegłosowali ich słuszne postulaty.

Nie mogliśmy się na to zgodzić, powstaliśmy i ruszyliśmy na Westminster. „Precz z biskupami!” – krzyčeliśmy. „Precz z papistowskimi lordami!” Później zrobiło się odrobinę nieprzyjemnie i mówi się, że arcybiskupowi Yorku podarto sutannę. Uratował go kapitan David Hayde, niezłomny żołnierz wojsk północnych, który nazwał nas „okrągłogłowymi”. Po raz pierwszy słyszałem tę nazwę, ale teraz wszyscy nasi przeciwnicy jej używają, tak samo jak my nazywamy Hayde’a i jemu podobnych „kawalerami”. Nie podobało się nam to, Hen. Niektórzy nie chcieli, by nazywano ich „okrągłogłowymi”, ale ja i kilku moich towarzyszy jeszcze krócej przystrzygliśmy włosy przy uszach, by bardziej zasługiwać na to miano. Ojcu to się nie podoba i zapuścił włosy na uszy. Z tego teraz słyniemy, wiesz. Kołek był ze mną, ramię w ramię w jednym szeregu, i Robert Birch też, ale już jego brat Sam i Kociotek nie dołączyli do nas. Kociotek stwierdził, że kocha biskupów, kiedy z Kołkiem chcieliśmy przekonać go, żeby się do nas przyłączył. Brednie. Już raczej kocha własną skórę, a nie ich. Powiedziano mi, że nasz Ned znalazł się w tłumie, ale ojciec chyba o tym nie wie, więc milcz jak grób, gdyby pytał.

A więc byliśmy tam, robiąc przedni harmider, kiedy na czele bandy jeźdźców nadjechał Lunsford we własnej osobie. Myślimy, że to spisek! Cholerny papistowski spisek i oto dowód przed nami. My nie mamy broni, Hen, a każdy z tych typków trzyma rapier. Więc Kołek i ja daliśmy nura i w nogi, ale te łajdaki zamknęli nam bramę przed nosem. Mogliśmy tylko wejść głębiej do Westminster Hall.

Kawalerowie ruszyli za nami ze szpadami uniesionymi do góry, zabraliśmy się do wyrywania desek z podłogi i zaczęliśmy wywijać nimi ile sił w rękach, podbiegamy do Lunsforda, a ten ucieka! Cóż to było za wspaniałe zwycięstwo, Hen! Miałem całe dłonie poranione drzazgami. To szlachetne rany, cenię je.

Zabraliśmy się więc do sprawdzania powozów jeżdżących między Westminsterem i York House, w poszukiwaniu papistowskich lordów. Cóż za pech, Hen. Otworzyłem jeden z nich, a w środku siedział tłusty i wściekły George Benyon, zwolennik króla, ten, który wystąpił przeciw parlamentowi, gdy próbowali obniżyć haracze, a od kiedy wyjechałaś, coraz częściej bywa w naszym domu i prowadzi rozmowy z ojcem. Jest tak od wyborów, które cię ominęły. Czy wiesz, że nominacja ojca do Rady Miejskiej City została zablokowana? I wszystkie wybory w City miały podobny przebieg, żeby umiarkowani i rojaliści zostali wykluczeni, a pozostali tylko purytanie. Teraz więc Lord

Mayor Gurney i większość ławników jest nastawionych przeciw własnej radzie i każdego dnia nastroje stają się coraz gwałtowniejsze.

Tak więc, ojciec dowiedział się od Benyona, że tam byłem i zamknął mnie w moim pokoju z tak obitym tyłkiem, że jeszcze ten list piszę na stojąco. Powiedział, że to przynosi mu hańbę, iż publicznie protestuję na ulicach, podczas gdy jego nazwisko coraz bardziej jest kojarzone ze stronnictwem nawołującym do pokoju i jedności. Mimo że zostałem zamknięty, słyszałem i widziałem, jak bardzo wściekłość rośnie w City, bo ojciec był tak dobry, że powiedział mi o usunięciu Lunsforda z Tower. Bogu niech będą dzięki. W końcu mnie wypuścił, ale od tamtej pory ustały wszelkie zabawy. Choć dzisiejszej nocy w Cheapside doszło do wielkiej bitwy. Czeladnicy powstali, żeby uwolnić kilku swoich towarzyszy aresztowanych podczas zamieszek. Kołek opowiedział mi o tym, kiedy po wszystkim zakradł się do domu, a ja pomogłem mu ukryć zakrwawione ubrania. Był taki dumny ze swoich ran, ale to były tylko śmieszne skaleczenia, klnę się na mój honor.

A więc zbliża się Nowy Rok, a my wszyscy męczymy się tu i tęsknimy do ciebie. Wielu zostało odesłanych z City, ale zamieszki nadal trwają. Wpadłem na kumpla, którego poznałem w sądzie, tego, którego przyjaciel Cesario został wysłany gdzieś na wieś. Ależ on był wściekły i mówił, że brakuje mu przyjaciela, ale uważał za honorowe zdusić w sobie ból spowodowany rozstaniem.

A więc, moja Hen, mam nadzieję, że zobaczymy się w Nowym Roku. Myślę, że zakończyłem już naukę. Mam nadzieję, że ojciec zgodzi się na to, choć burczy o moim udziale w zamieszkach, braku odpowiedzialności, ogólnej ignorancji etcetera. Mówi też o zakończeniu moich lekcji jazdy. Jak jednak może łudzić się, że będę uchodził za dżentelmena bez umiejętności prowadzenia konia bokiem? Tylko on to wie.

Z serdecznościami

Sam

Hen wygładza strony, żeby jeszcze raz przeczytać list. Pismo Sama jest pospieszne i nieczytelne, słowa układają się skośnie na kartce, żeby czym prędzej zdać relację. Rozumie, że dla Sama zasady liczą się mniej niż działanie – żywiej bijące serce, ryzyko związane z niebezpieczeństwem. Pamięta, jak niewiele obchodziła go historia Grecji, a jednak niektóre opowieści go poruszały: o Aleksandrze i Hefajstionie walczących ramię w ramię. O Świętym Zastępie tebańskim – towarzyszach broni łączących tarcze w nieustraszonym marszu przeciwko wrogom. Kołek był więc absurdalnym towarzyszem jego heroicznych czynów. Ta myśl wywołuje uśmiech na jej twarzy i dziewczyna po raz kolejny czyta list.

*

Dzień po nadejściu listu, w Nowy Rok, przyjeżdża ojciec. Hen widzi, jak wysiada z powozu i jej serce zaczyna kołatać się w piersiach. Trzyma się na uboczu

w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Kiedy widziała go po raz ostatni, był spokojny i precyzyjny w swoim gniewie – z całą pewnością groźnym znakiem było to, że jego zwykła, pełna irytacji wściekłość przerodziła się w coś znacznie głębszego i trwalszego.

Badawczo przygląda się członkom rodziny wychodzącym z domu, żeby go powitać, i odnajduje jej niespokojną twarz. Wyciąga ramiona do córki, a ona pędzi do niego i wtula się w jego pelerynę.

– Przepraszam, przepraszam. Tak bardzo przepraszam – mówi, krztusząc się łzami.

Tak wiele razy wyobrażała sobie tę scenę, zamierzała zachować dumne lekceważenie i spokojną godność. Ale teraz, kiedy ojciec jest tu, a jego zarost delikatnie drapie ją w czoło, kiedy słyszy jego głos – szlocha i ściska go jak mała dziewczynka.

– Cii, pączusiu. Och, moja Hen – szepcze jej do ucha.

Rodzina wyraźnie nie wie, jak się zachować. Henrietta czuje, że ojciec daje jej znaki za plecami.

– Uspokój się, pączusiu. – szepcze. – Porozmawiamy później, tylko ty i ja.

Pod wieczór, w spokojnej porze przed udaniem się spać, siadają w salonie przy kominku.

– Widziałem się z Willem – mówi Challoner.

Córka przytakuje i czeka na ciąg dalszy.

– Wiesz, że lubię tego chłopaka. Naprawdę go lubię. Ale to nie wystarczy, jak już mówiłem ci kilka miesięcy temu, jeśli pamiętasz.

Dziewczyna spogląda na swoje dłonie i splata je na kolanach.

– Nie jest korzystne dla mężczyzny żenić się, zanim będzie mógł utrzymać rodzinę, a panna nie może zabawiać się z takim młodzieńcem. Rozumiesz, kiciu? No, nigdy wcześniej nie miałaś kłopotów z rozumieniem, nie możesz więc teraz mieć z tym problemów.

– Rozumiem, ojcze. A jednak...

Milknie.

– Ja też cię rozumiem, kiciu, i biednego Willa. Więc kiedy przeszła mi złość, pojechałem spotkać się z jego rodzicami.

– Ojcze – mówi Hen, cała rozpromieniona i pełna nadziei.

Bierze ją za rękę w uspakajającym geście.

– Cóż, pączusiu, pomyślałem, że być może ten niewielki majątek, który mogę ci zapisać, razem z kilkoma groszami dla Willa, pozwoli nam coś wymyślić. Ale, przykro mi to mówić Henrietto, nie zawarliśmy porozumienia, nie podpisaliśmy kontraktu małżeńskiego. Jego matka jest wściekła na ciebie, dziecko, choć mimo to zdołała pozostać uprzejma. Uważa, że usidliłaś jej pierwotnego jakimś zmyślnymi, wielkomięskimi sztuczkami. Zdecydowali, że nie ożeni się do czasu zdobycia dyplomu, a jeśli to zrobi, odetną się od niego. A Will, jako dobry syn, nie sprzeciwi się

ich woli.

Hen wybucha płaczem, a potem pozwala ojcu pocieszać się i uspokajać.

– No już – szepcze. – No już. Kiedy to cię dopadnie, czasem jest ciężko. Jak myślisz, kotku, dlaczego pojechałem bić się w Niderlandach?

Córka spojrzała mu w oczy.

– Tak. Ale z czasem o niej zapomniałem, wróciłem i ożeniłem się z twoją matką, kiedy zakończyłem terminowanie i cała nasza rodzina zaaprobowała ten wybór. I choć początkowo nie szalałem z miłości do niej, byłem roześmiany, wesoły i pełen miłości. Zanim ją straciliśmy, oczywiście.

Kłęcząc przed ojcem, Hen nachyliła się ku niemu, a on gładzi ją po włosach.

– A teraz obiecaj mi, kotku. Mam już przyrzeczenie Willa.

– Obiecuję, ojcze. – Hen wie, że ta obietnica, złożona z miłością, w pokoju wolnym od złości i goryczy, musi zostać dotrzymana. – Nie spotkam się już więcej z Willem.

– Ból minie, kotku. Zaufaj w tym swojemu staremu, głupiemu ojcu. Minie. A w międzyczasie, mamy czego się obawiać.

Bierze kubek wina i wypija duży haust.

– Och, Hen. Kochana córeczko, kochany pączusiu. Kiedy pojechałem bić się z papistami w Niderlandach, wypływałem z mnóstwem nadziei i chełpliwym sercem. Jakże byłem niedorzecznie i głupio młody! Wspiąłem się na główny maszt. Dzień był bezchmurny, a statek pewnie trzymał się wody. Wchodząc, patrzyłem w górę, tak jak zawsze się mówi – głowa ponad dłońmi i nie spoglądać w dół. Wspaniałe maszty się kołysały, minąłem bombramreję. U szczytu olinowanie, na którym się stoi, jest cieńsze, więc zginasz tam palce stóp jak małpa, żeby nie spaść. Na szczycie więc zatrzymałem się i spojrzałem w dół. Ależ było wysoko. I chociaż na pokładzie statek zdawał się pewnie stać na wodzie, u góry maszt wyginał się w potężny łuk, kołysał się i podskakiwał. I poczułem taki strach w trzewiach, że cały zacząłem się trząść. I pomyślałem, że spadnę z lin prosto do morza. Stałem tam, kołysząc się i chwiejąc, morze podnosiło się i opadało, nogi mi drżały, a serce waliło jak młot.

Hen patrzy, jak ojciec na nowo przeżywa wielki strach. Jego ręce się trzęsą, a wino w szklance się burzy.

– I teraz w mojej głowie jest jak wtedy. Chciałem zdobyć wiedzę o świecie, dowiedzieć się, jak funkcjonuje. A potem dowiedziałem się, że wszystko jest na odwrotność. Ziemia krąży wokół słońca. Nie jesteśmy centrum wszechświata, pączusiu. Gwiazdy nie są przytwierdzone do nieba, lecz krążą po sferach niebieskich. Niektórzy sądzą, że nad nami istnieją inne światy, zaludnione ludźmi takimi jak my, którzy nic o nas nie wiedzą, jak my nic nie wiemy o nich.

Hen siada, oczarowana tą myślą.

– Myślisz ojcze, że oni nas przypominają z wyglądu?

– Kto wie, dziecko, kto wie. W tym właśnie sęk. Kto to może wiedzieć. Filozofia natury, jak się okazuje, to nie zbiór reguł, jak myślałem, kiedy zostawiałem innym zajmowanie się tymi sprawami. Jest raczej zbiorem obiecujących teorii, butnie

głoszonych, każda jednak jest równie podatna na błędy jak następna. Czymże jest nasza wiedza w porównaniu z naszą niewiedzą?

– Ale dlaczego cię to martwi, ojczy? Czy nie jest to powód do ekscytacji? Pomyśl o tym wszystkim, co zostało jeszcze do odkrycia.

Przyłożył policzek do jej głowy, jak gdyby chciał się podeprzeć.

– To punkt widzenia młodości, Hen. Kiedy odeszły wszystkie pewniki, z czym zostaliśmy? Z lękiem. Chaosem. Siedzimy sobie tutaj razem i wydaje nam się, że jesteśmy bezpieczni. Ale poruszamy się, cały czas się poruszamy, pędzimy przez nieskończoną przestrzeń. I nie jesteśmy bezpieczni, pączusiu. Wcale nie jesteśmy bezpieczni.

ROZDZIAŁ 9

STYCZEŃ 1642

– Wstrzymujemy oddech, pączusiu. Właśnie wszystko dojrzewa.

– Jak to?

Powóz telepie się w stronę Londynu i domu. Niania została, żeby pomóc ciotce Marcie przy maluchach w czasie poprzedzającym jej połów. Henrietta czuje powiew wolności – dom bez niani, za to z Samem. Ulice, korytarze, pokoje i stopnie, które znają kroki Willa.

– Czas, żeby król wybrał – odzywa się jej ojciec. – On to wie. My o tym wiemy.

– Ojczy, jestem jeszcze otumaniona wiejskim powietrzem. Pamiętaj, że mnie skazałeś na banicję.

– Nieposłuszna kicia. Jakże mógłbym zapomnieć.

Ojciec uśmiecha się, a Hen odczuwa ulgę. „Skoro potrafimy się z tego śmiać, możemy znów być przyjaciółmi” – myśli.

– Wiesz, że doszło do zamieszek przeciwko sprzyjającym papieżowi lordom i biskupom. Biskupi byli zbyt miękcy i przerażeni, żeby stawić czoło motłochowi, zostali więc w domu, użalając się nad swoimi kielichami. Napisali błazeński protest. Biadolili, że parlament bez biskupów nie jest parlamentem i nie powinniśmy go uznawać. Ale zapomnieli, pączusiu, że parlament bez biskupów oznacza zmianę układu sił w Izbie Lordów. Bez ich głosów partia królewska jest w mniejszości. Izba Gmin może teraz posyłać swoje projekty ustaw wyżej i ponownie poddawać je pod głosowanie. Użyli więc swej nowej władzy, żeby uwięzić biskupów.

– Zamknęli ich w więzieniu?

– Ciągłe jeszcze gniją w Tower. Pod zarzutem zdrady, rzecz jasna. Ale ogólnie rzecz ujmując, jeśli pominie się Boga, co rzadko ktokolwiek robi, można dostrzec trzy rodzaje postaw. Zdaniem reformatorów przyszłość wygląda następująco: Anglia jako nowa Wenecja, z tytularnym władcą jak doża i trzymającą ster oligarchią, do której zaliczają Pyma, St Johna i purytańskich parów, takich jak Saye, Sele i Warwick. Zgodnie z ich wizją król miałby oddać parlamentowi władzę nad armią

i powoływaniem rządu. W opozycji do nich stoi stronnictwo królewskie, ale jest ono rozbite na dwie frakcje: kooperacyjną i konfrontacyjną. Król ma do wyboru: utrzymać obecny stan prawny albo usunąć oponentów i wzmocnić należną sobie władzę. Czy ma być monarchą ograniczanym przez parlament, trzymający go na krótkiej smyczy fiskalnej, ale zachować prawo wyboru doradców, kierowania swoim Kościołem i dowodzenia armią? Czy też powinien podjąć kroki, żeby pokonać swoich przeciwników w Westminsterze?

Milknie i spogląda na córkę, żeby upewnić się, czy dobrze zrozumiała. Hen pospiesznie potakuje.

– Ale dlaczego teraz? Dlaczego właśnie teraz mamy wstrzymać oddech?

– Bo bez biskupów reformatorzy znów przejęli kontrolę nad parlamentem. Po wyborach w City również tam zdobyli władzę. Przez dwa lata, od czasów zwołania Krótkiego Parlamentu, wahadło wychylało się to w jedną, to w drugą stronę – od króla do jego przeciwników i na odwrót. Od królewskiego triumfu w listopadzie, kiedy przejął inicjatywę, teraz znów przechyliło się na stronę jego przeciwników. Tym razem wydaje się, że się zaklinowało. Król musi przejść do działania w sytuacji, kiedy Westminster i City są przeciw niemu. W minionych tygodniach Digby, doradca króla, kręcił się jak fryga, próbując odroczyć zgromadzenie parlamentu, mimo opłakanego stanu finansów królewskich. Przez cały ten czas Roxburghe, wścibski Szkot, i ta intrygująca papistowska wiedźma, która nosi twoje imię, szeptali władcy do ucha. „Do broni, do broni” – namawiali cichcem. „Pokaż im, kto tu rządzi”. Kiedy wyjeżdżałem do Oksfordu, odbywało się drugie czytanie projektu ustawy o przejęciu przez parlament władzy nad siłami zbrojnymi.

– On się na to nie zgodzi, prawda?

– Nie, kotku, nie może. Człowiek pomniejszego lub większego formatu niż król Karol, być może mógłby pójść na to. Ale on nie. Znajdzie więc jakieś wyjście z tej sytuacji. Tylko jakie?

Hen się zamyśla. Powóz trzęsie się na wybojach. Dziewczyna słyszy za oknami narastający zgiełk i czuje bruk pod kołami. Po pobycie na wsi przenikający do wnętrza zapach wydaje jej się nieświeży. Przytyka chusteczkę do nosa, tłumiąc mdłości. W ciągu najbliższych kilku godzin przywyknie. Ludzi, którzy tego nie potrafią, może doprowadzić do szału – mówi jej ojciec.

Henrietta odpina krawędź płóciennej budki i wygląda na zewnątrz. Lodowaty deszcz kapie z płótna na jej palce i spływa po ramieniu. Wszystko wydaje się takie zwyczajne. Dwory nad Tamizą stoją majestatycznie w deszczu i sprawiają wrażenie nieco opuszczonych. Służący w liberjach kula się pod okapami, przebiega jakiś mężczyzna, trzymając nad głową płaszcz, żeby osłonić się od deszczu. Para bosych dzieci żałośnie, apatycznie stoi w kałuży, patrząc na przyglądającą się im Hen.

– Nie wiem – odpowiada.

– On też nie, obawiam się. Ani nikt z nas. Próbował dokonać zamachu stanu w Szkocji, ale przez to ma tylko jeszcze mniejszą władzę niż wcześniej.

– A jakie jest twoje stanowisko, ojcze?

Nie pamięta, by wcześniej równie otwarcie zadawała mu pytania.

Challoner siada wygodnie i milczy przez długą minutę. W mroku panującym w powozie wydaje się wykończony. Kiedy się odzywa, mówi tak cicho, że Hen musi się pochylić, by rozróżnić wypowiedane przez niego słowa.

– To może zabrzmieć głupio, ale nie wiem nic więcej. Król raz idzie w jedną, raz w drugą stronę. Trudno mu zaufać. Jest drażliwy, mściwy. Nie podoba mi się jego sposób sprawowania rządów, a gdyby był kupcem, już dawno trafiłby do więzienia za długi. Powołuje się na stare zwyczaje i wykorzystuje swoją godność, żeby wydrzeć nam pieniądze. Nie okazał parlamentowi najmniejszego poszanowania. Jednak parlament żąda za wiele i wszystko to pachnie purytanizmem. Popieram monarchię, ale nie tego monarchę. Popieram skargi dotyczące podatków, ale nie purytańską gorliwość. Pytanie, które zadaję, brzmi: czy moje stanowisko pozostanie możliwe do utrzymania, czy okaże się równie mądre w tych nowych czasach? Czy będę jeszcze mógł stać sobie z boku, czy też zacznie mi się palić grunt po nogami?

„A co ja na to?” – zastanawia się Hen. „Co ja o tym myślę?”. Wie, że jej zdanie się nie liczy. Jaki wpływ może mieć kobieta na nadchodzące wydarzenia? A jednak. Wie, jakie są jej przekonania. Że jeśli miałyby wybierać między dalszymi reformami a powrotem do osobistych rządów z czasów Lauda, stanęłyby po stronie parlamentu. Cichutki głos szepcze w jej sercu: „Ojciec czy Ned? Czy w takich sprawach też powinnam zawierzać sercu, czy to jest właśnie babski sposób myślenia?”.

Mówi na głos:

– W całym mieście ludzie tacy jak ty zadają sobie to samo pytanie. Czy można grać na dwie strony?

Challoner przytakuje.

– A teraz będę szczery z tobą, pączusiu. Właśnie dlatego przyjechałem po ciebie. Bezpieczniejsza byłaś u ciotki. Ale ja chciałem, żebyś była przy mnie. Chcę widzieć twoją buzię rano i wieczorem, bo obawiam się tego, co nastąpi.

– Czy ja też powinnam?

– Byłabyś głupia, gdybyś się nie bała. A jesteś mądra. Musisz też porozmawiać z Samem i Nedom. Masz więcej rozumu niż oni dwaj razem wzięci. W czasach takich jak obecne rodzina musi trzymać się razem. Naród ogarnęło gwałtowne niezadowolenie. Niektórzy uważają, że tylko upuszczenie krwi może temu zaradzić.

*

Jakiś czas później siedzą przy ogniu, tylko Hen i jej ojciec. Nagle głośnie pukanie do drzwi zaburza spokój. Dziewczyna spogląda z przerażeniem znad książki. O tak późnej porze nie nadchodzą dobre wieści. Sam i pozostali chłopcy są poza domem, jeszcze ich nie widziała. Wyobraża sobie pobitego brata z twarzą we krwi. Potargany, zaniepokojony Harmsworth wprowadza gości.

Pierwszy wchodzi Tompkins. Jest ponury, ale zarozumiały. Przybywa jako posłaniec. Towarzyszy mu mężczyzna, w którym Hen rozpoznaje dworskiego poetę, Edmunda Wallera.

– Wybacz bracie, że ci przeszkadzamy – mówi Tompkins. – Pozwólcie, że przedstawię Edmunda Wallera. Oto Richard Challoner i panna Henrietta Challoner.

Kłaniają się, a ona odpowiada dygnięciem, wiedząc, że ma na sobie wygnieciony, domowy strój. Waller rzuca na nią taksujące spojrzenie podczas ukłonu. Dziewczyna uznaje jego zachowanie za krępujące.

– A więc, bracie, jesteśmy tutaj w sprawie pięciu członków.

Challoner spogląda na niego skonsternowany.

– Nie słyszałeś? – pyta Waller i patrzy na Tompkinsa, jakby oczekiwał od niego opinii.

– Najwyraźniej – mówi rozdrażniony Challoner. – Niecałą godzinę temu wróciliśmy z Oksfordu.

– Na rany Chrystusa – burczy Waller. – A więc w skrócie. Dziś wczesnie rano Jego Wysokość przyszedł do Izby Gmin w towarzystwie zbrojnych i próbował aresztować pięciu najbardziej podstępnych łajdaków.

– Kogo?

– Pyma, Hampdena, Hollesa, Hesilrige'a i Strode'a.

– Bezpośrednio z sali obrad? – pyta Challoner.

Hen stara się wtopić w tło. Podejrzewa, że kiedy przypomną sobie o jej obecności, zostanie odesłana do swojego pokoju. Widzi, że Tompkins potakuje w odpowiedzi na pytanie i widzi, jak twarz ojca powoli zaczyna odzwierciedlać wagę przekazywanych wiadomości.

– Wbrew tradycji przywileju parlamentarnego?

– Stracili swoje prawa, kiedy zaatakowali władcę.

Dziewczyna zauważa gwałtowność w głosie Wallera.

Próbuje sobie przypomnieć, co o nim wie. Jest członkiem parlamentu i poetą. Oczywiście zna jego wiersze. Podobają się jej, chociaż za dużo pisze panegiryków. Jego poezja miłosna jest wymuszona, ale nikt nie może poddać w wątpliwość elegancji tych utworów. Był umiarkowanym krytykiem w czasie obrad parlamentu, ostro sprzeciwiał się nadużyciom podatkowym w okresie rządów osobistych Karola. Jest kuzynem Johna Hampdena, bohatera oporu wobec daniny okrętowej. Zapewne należy do tych, którzy okazali się monarchistami, gdy parlament popadł w fanatyzm.

– I Jego Wysokości się udało?

– Nie – odpowiada Waller. – Uciekli jak szczury z tonącego okrętu. Zostali ostrzeżeni.

– W jaki sposób?

Wzruszenie ramion. Tompkins relacjonuje:

– Kiedy król zażądał informacji na temat miejsca ich pobytu, spiker William Lenthall odpowiedział...

Tompkins przerwał. Jest to najwyraźniej kulminacyjny moment opowieści. Waller wtrąca się i Tompkins traci pewność siebie.

– Powiedział: „Za pozwoleniem, Wasza Wysokość, moje oczy widzą, a mój język przemawia w tym miejscu tylko dlatego, że ta Izba zechciała, abym nią kierował, i jej tu służę”.

Ojciec Hen gwizdże, a Tompkins mówi na głos:

– Dokładnie takich słów użył.

– Jakże on dzielny! – woła Hen, choć nie zamierzała się odzywać.

Trzej mężczyźni odwracają się w jej stronę.

– Richardzie – pyta Waller – czy to właściwe dla delikatnych kobiecych uszu? Nie zamierzałem przerazić tej uroczej młodej damy.

Kłania się.

– Ma jednak rację – mówi Challoner, ignorując poetę. – Jest odważny.

– To wariat! – stwierdza Tompkins.

– Być może jedno i drugie – zauważa łagodnie Challoner.

Waller mu przerywa.

– Szczury przyczały się w City. Jutro król przyjedzie do Guildhall, żeby porozmawiać z radą i je wyłowić.

– Idziemy do City, do zwolenników króla – wtrąca się Tompkins – żeby przekonać umiarkowanych o korzyści, jaką przyniesie okazanie lojalności królowi w tej kwestii. Twój dom jest jednym z pierwszych. Czy możemy cię nakłonić, żebyś porozmawiał o tym z kilkoma ławnikami swojej gildii?

Ojciec spogląda na Hen, a ona przypomina sobie rozmowę, którą prowadzili w powozie. Musi podjąć decyzję. Ten czas nadszedł zbyt szybko. Och, zbyt szybko!

Waller i Tompkins patrzą na Challonera z przekrzywionymi głowami i podniesionymi brwiami. Cisza zbyt długo się przedłuża. Płonące polano spada i trzaska w kominku.

Ojciec ponownie rzuca spojrzenie córce i uśmiecha się. Następnie odwraca się do Tompkinsa i Wallera ze słowami:

– Oczywiście, panowie. Wybaczcie, przeproszę was na chwilę, żeby ubrać się odpowiednio na wyjście. Henrietto, pogoń Harmswortha. Niech przyniesie gościom wina.

Razem opuszczają pokój, pozostawiając Tompkinsa zadowolonego, że zdecydował zawitać do tego domu, i Wallera niecierpliwie oczekującego na wyjście. W hallu bierze Hen w objęcia, całuje w policzek, szepcząc:

– A więc, pączusiu, zaczyna się.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 10

PAŹDZIERNIK 1642

Ned budzi się. Boże, ale jest przemarznięty. Gdzie ja jestem? – zastanawia się. Zawieszony w lodzie. Zaczyna wyraźnie widzieć. Księżyc, to jest księżyc. Sierp w nowiu, wysoko na niebie. Dlaczego jest tak zimno?

To uczucie znów zakrada się do jego ciała, a kiedy nadchodzi, przyprawia go o drzenie. Trzęsie się i dygocze bez żadnej kontroli. To nie może być piekło. Jest zbyt zimno. Poza tym widzi księżyc, a w piekle chyba z pewnością nie ma księżyca? Zesztywniały i trzęsący się, zmusza się do wstania. W głowie tańczą mu gwiazdy, krzyczy z bólu. Sięga ręką do czaszki i wyczuwa strup. Zasuszoną krew. Jest ranny. Dlaczego? Jak do tego doszło?

Siada wyprostowany z kolanami podkurczonymi pod brodą. Orientuje się, że jest nagi. Jego skórę pokrywa gęsia skórka i wszystkie włoski na jego ciele stoją na baczność. Głowa nieznośnie go boli, a nieustanne szczykanie zębami jeszcze zwiększa jego cierpienie. Jest śpiący. To jest to. Głowa opada mu na klatkę piersiową. Jeśli zaśnie, może obudzi się we własnej sypialni w domu Birchów. Obudzi go jak zwykle poranny okrzyk poławiacza ostryg: „Świeże ostrygi! Świeże ostrygi!”.

W czym siedzi? W błocie, zimnym błocie, które chlupocze, kiedy się porusza. Zimno. Ojciec. Gdzie jesteś? Czy mówię to na głos? – zastanawia się. Którego ojca miał na myśli? Niebieskiego? Czy tego z krwi i kości, z zaczerwienionym nosem i śmiechem, którym się tak długo zaśmiewał, aż stawało się to irytujące. Gdzie jesteś, ojciec?

Nie zasypiaj. Jeśli zaśniesz, już się nie obudzisz. Ned, Ned. Obudź się, głupcze. Podrywa głowę do góry.

Gdzie jesteś? Na placu boju. Dlaczego jesteś tutaj? Nie wiem. Gdzie jest twoje ubranie?

– Halo! – woła, a raczej próbuje głosem, który łamie się i zanika.

W uszach mu dzwoni i tylko wewnątrz głowy słyszy własny głos. Czy jestem głuchy? – zastanawia się. Zimno.

Cisza. Na tym polu widać dziwne, ciemne kształty. Bryły. Dlaczego? Rozgląda się.

Nie mogę tu zostać – myśli. Kołysze się w przód do czasu aż staje na rękach i nogach. Wilgotne, lodowate błoto wpływa między jego palce. Na czworakach podchodzi do jednej z brył.

– Boże mój! – krzyczy, odsuwając się.

To człowiek. A raczej coś, co kiedyś było człowiekiem. Jego twarz zniknęła, została tylko miazga. Też jest nagi. Jego ciało, o dziwo, nie zostało uszkodzone i pozostało całkowicie doskonałe. Tyle że jest sztywne i sinoszare w mroku.

Ned zamyka oczy. Chce odciąć się od tej rzeczy.

Wycofuje się na czworakach, byle znaleźć się dalej. Stopami czegoś dotyka. To zimne ciało. O Boże, o Boże. Kolejne zwłoki. Odwraca się, żeby na nie spojrzeć. Tym razem twarz pozostała nietknięta, ma pogodny wyraz, ale ciało zostało niemal przepołowione. Wnętrznosci wylały się w błoto. Ten smród. Właśnie. Jak na podwórzu rzeźni w Smithfield. Gdybym mógł zamienić ich głowami, powstałaby pełna osoba – myśli.

Czy wszystkie bryły na polu są tym samym? Ciągną się daleko w ciemność. Jedne są dużymi kopcami, inne to mniejsze, samotne kształty.

Jestem nagi na polu pokrytym trupami – myśli Ned z dziwną obojętnością. Nagi na polu pokrytym trupami.

Pomyśl. Dlaczego tu jestem? Czary? Sztuczki diabelskie?

Gdzie jest ojciec? Kiedy widziałem go po raz ostatni? Wieki temu. Na brzegu rzeki. Pięciu członków parlamentu wracało triumfalnie, płynąc w dół rzeki, z City do Westminsteru, po tym, jak królowi nie udało się ich uwięzić. Radość, ogniska. Król zbiegł z Londynu. Pojechał na północ.

Zgadza się. Byłem wesoły, szczęśliwy. Trzymałem pod rękę Olivera Chettle'a, prawnika. Dobry druh. Nie w zupełnej jedności z Chrystusem, ale zacny. Broni parlamentu i prawdziwej wiary. Potem się obejrzałem i zobaczyłem ojca. Stał, patrząc na mnie, teraz sobie przypominam. Ktoś powiedział mi, że pojechał do Guildhall, żeby zmobilizować wsparcie dla króla, kiedy władca przyjdzie po członków parlamentu. Ale im się nie udało, królowi i ojcu. Monarchę wygnano okrzykami: „Przywilej, przywilej!”. Król uciekł, City podzieliło się, a my staliśmy tam, wiedząc, że jesteśmy po przeciwnych stronach. Triumfowałem, a potem zobaczyłem jego twarz. Och, mój ojciec.

Jestem nagi na polu pokrytym trupami – Ned powtarza sobie. Po prawdzie powinienem pomyśleć o matce. Ale nie pamiętam jej twarzy. Pamiętam jej obecność, wielką miłość. Mogę nazwać to uczucie „matką”. Ale to on był zawsze obecny, on tańczył ze mną w ramionach. Kiedy to było? Pewnej wigilii święta Trzech Króli. Pokój, gitara, lutnia, rozpromienione twarze i ja na jego barkach, a on kręcił się ze mną w kółko i w kółko.

Biegał ze mną po lesie. Chowałem się za drzewami z nadzieją, że mnie znajdzie. Udawał niedźwiedzia, ryczał. Gdzie to było? Pocałował mnie i powiedział, że jak dorosnę, zostanę bohaterem, i oto tu jestem, nagi na polu pokrytym trupami.

Ned myśli o ojcu stojącym pośrodku oszalałego tłumu na północnym brzegu, wrzeszczącym na całe gardło. Wszędzie widać kopie Zapewnienia. Trzepoczą pod wstążkami męskich kapeluszy. Plakaty i afisze ogłaszają ucieczkę parlamentarzystów przed tyrańskim królem. Płynęli w dół Tamizy na połączonych barkach. John Pym stał na dziobie łodzi, machając do zebranego tłumu.

„Barka, na którą wsiadł, lśniła od złota!” – zawołał Chettle, na co Ned się uśmiechnął.

Ned pamięta, jak jego radość zwarzyła się, kiedy zobaczył wyraz bezgranicznej rozpacz na twarzy ojca, tak zwykle pogodnej. Przynajmniej – myśli Ned – nie zaparłem się go. Jak Piotr to zrobił nim zapał kogut. Choć to rozważałem, niech Bóg mnie osądzi. A jednak odwróciłem się od niego z obawy przed pogardą Chettle’a.

Znów zaczyna dygotać.

Zimno. Nigdy wcześniej nie było mi tak zimno. Czy ciało może zamarznąć? Kiedy krew zmienia się w lód? Will by wiedział.

Jakże to miało, koniec końców, dziwaczny przebieg – myśli Ned. Po wszystkich tych sporach, kłótniach, można by sądzić, że będziemy krzyczeć na siebie.

Tymczasem szli sobie na spotkanie w milczeniu i mocno się uściskali. Wszystko zostało już powiedziane. Objęli się z całej siły. Ned zdał sobie sprawę, że jest wyższy od ojca, kiedy ten wyszeptał mu do ucha: „Och, synu. Mój Nedzie. Bądź ostrożny. Niech Bóg ma cię w opiece”.

Potem się rozstali i Ned patrzył, jak jego jasnoczerwona kurtka znika wśród buro odzianych, rozradowanych purytanów.

*

„Niech Bóg ma cię w opiece” – powiedział. Czy on się mną opiekuje? – zastanawia się Ned. Próbuje sobie przypomnieć zapach ojca, ale wyczuwa tylko smród wnętrza chłopaka leżącego obok niego. Odór osiada w jego gardle, przenika na wskroś ciało pokryte gęsią skórą. Próbuje wyobrazić sobie, jak wtula się w ciepłe ramiona ojca, ale wizja ta ześlizguje się po jego zlodowaciałej skórze.

Co dalej? Dlaczego tu jestem? – Ned pyta księżycy. Zgłosiłem się na ochotnika. To jest to. Chettle został doradcą w Komitecie Bezpieczeństwa, a Pym objął nad nim dowództwo. Król objeżdża kraj, doglądając zaopatrzenia armii. Rozkazał przeprowadzić mobilizację, podobnie jak Komitet Pyma. Pojechałem z Kołkiem do Guildhall i zaciągnęliśmy się do pułku Denzila Hollesa. Dali mi czerwoną kurtkę. Gdzie ona jest? Gdzie jest moja czerwona kurtka? Nie miałem pieniędzy na utrzymanie konia bojowego. A więc z Kołkiem zostaliśmy pikinierami. Stanęliśmy ramię w ramię z rzeźnikami, piekarzami i producentami lichtarzy.

Stary Birch wpadł we wściekłość. Ned przypomina sobie czerwoną twarz krzyczącego na niego mistrza. „Zaprzepaść swoje życie” – powiedział. „Nie dbam o to. Żołnierka to zajęcie dla idiotów. Nie myśl, że cię przyjmę z powrotem, jeśli teraz

przerwiesz terminowanie”. Ale parlament uwolnił czeladników, którzy złamali przysięgę i Ned odszedł z podniesioną głową.

Jacyż byliśmy z siebie dumni, ja i Kołek, przemierzając wzdłuż i wszerz Artillery Ground – wspomina Ned. Letnie dni spędzone na musztrze, noce na gołej ziemi. Nowe słowa stały się znajome. Długa pika wydała się mniej nieporęczna, a delikatna skóra na dłoniach stwardniała.

W centrum tego wszystkiego znajdował się Holles, bohater parlamentu. Pewnego razu odezwał się do Neda. „Dobra robota, chłopcze” – pochwalił sposób wykonania ćwiczenia z piką. Kiedy Ned był maluchem, Holles już był parlamentarzystą. Wsławił się tym, że osadził na miejscu spikera, żeby odczytać skargi na króla. Często trafiał do Tower.

A więc tym byliśmy – myśli. Chłopcami bawiącymi się w żołnierzy. Cały kraj pokryły drobne utarczki niczym wrzody. Cały kraj kipiał, obie strony toczyły walkę, jakby kula ziemską się przechyliła, a my wszyscy osunęliśmy się w wojnę. W sierpniu król wciągnął swoją flagę w Nottingham, wbił ją w błoto i na nią patrzył. A ona się przewróciła, wystarczył podmuch wiatru.

Ned śmieje się. Żart o królewskiej chorągwi, która tego lata znalazła się w ich rękach, nigdy nie traci świeżości. Jednak śmiech powoduje ból głowy i zamroczenie. Ze wszystkich sił chce zachować jasność umysłu, mimo tętniącego bólu potrząsa głową to w jedną, to w drugą stronę.

Odbyła się bitwa.

– Edgehill – mówi triumfalnie na głos Ned, celebrując wyczyn swojej pamięci.

Jestem pod Edgehill. Jesteśmy pod Edgehill, ja i wszystkie te trupy. Bitwa więc. Kto ją wygrał? Jezu, Boże mój. Może purytanie przegrali. Czy to są trupy okrągłogłowych, czy kawalerów? Trudno powiedzieć, gdy człowiek jest nagi i wybebeszony.

Taffy mówił Nedowi, że po bitwie rabusie ograbiają ciała zabitych. Hołota. Musieli uznać mnie za martwego – myśli. I będę, jeśli nie uda mi się ogrzać. W którą stronę iść? Gdzie jest front, gdzie nasi?

Nedem wstrząsają gwałtowne dreszcze. Ostrożnie wstaje. W głowie pulsuje mu ból. Rozgląda się, ale widzi tylko ciemność i bryły martwych ciał. Może powinien poczekać do rana. „Ale wtedy zamarzniesz, Ned” – słyszy w myślach głos ojca.

Podchodzi do stosu ciał. Kładzie się obok. Zamyka usta i oczy, ścisła nos, szarpie zwisające ramię. Zimne zwłoki, wymachując martwymi członkami, zwalają się na niego. Jest ich za dużo, nie może oddychać. Wierzga i wystawia głowę na powierzchnię. Pozwolą mi utrzymać ciepło – myśli, powstrzymując mdłości. Nadal mu zimno, ale drżenie nieco ustępuje. Nie myśl o nich. Nie patrz. Patrz do góry, w niebo.

Gwiazdy zaszły. Przypomina sobie Oksford i leżenie na dachu college’u z Willem.

– Patrz tam – powiedział Will, wskazując ręką.

Tam, gdzie nie słyszeli ich prepozyci, mówili po angielsku. Początkowo z wahaniem wyzwał język z obowiązującej w Oksfordzie łaciny. Przyjaciel recytował nazwy, które

wpadały Nedowi jednym uchem, a wypadały drugim. Stare nazwy. Angielskie nazwy.

– Hmm – odezwał się Ned – to piękne, jestem ci za to wdzięczny.

– Wyczuwa się w tym dzieło Boże, w tym pięknie.

– Ale gdzie on jest? Gdzie między tymi gwiazdami kryją się niebiosa?

– Tego typu tajemnice zostawiam tobie, który z Nim rozmawiasz. Ja rozmawiam z moimi książkami i tablicami astronomicznymi.

– A jednak o tej samej tajemnicy, nie sądzisz, Will?

– To prawda.

Teraz Ned nie może sobie przypomnieć, która to Gwiazda Polarna. Która? Will byłby zbulwersowany. Dobrze byłoby wiedzieć. Mógłby skierować się na północ. Ale co tam na niego czeka? Może triumfujący król i loch. Lepsze to niż śmierć.

Jeśli umrę tej nocy na tym polu – myśli Ned – czy moja dusza uleci? Czy będę mógł spojrzeć w dół na pokryte trupami pole i zobaczyć własne ciało? Czy może to dzieje się w zupełnie inny sposób, taki, którego nasz umysł nie jest w stanie pojąć? Will mówi, że świat czasem jest skonstruowany w sposób, który przeczy naszemu zdrowemu rozsądkowi. Wydaje nam się, że świat jest płaski. A jednak jest kulisty. Jak piłka. Jak się nazywał ten grecki filozof, który jako pierwszy podejrzewał, że cała materia jest czymś więcej niż możemy dostrzec? Tales z Miletu. Sądził, że cały świat zbudowany jest z wody.

Być może – zastanawia się Ned – tylko zakładamy, że nasze dusze ulatują, bo tak najłatwiej sobie to wyobrazić. Być może rozpadamy się na części, żeby dostać się do nieba. Być może już jestem w połowie drogi. Nagi na polu pokrytym trupami. Tales uznałby je za Pola Elizejskie. Panie, wchodzę na drogę bluźnierstwa. Wybacz mi. To nie jest modlitwa. Dlaczego się nie modlę?

Powinienem modlić się za tych, których kocham. Za ojca, Sama i Hen. Och, Hen. Napisałem do niej – przypomina sobie. Informowałem, że pod dowództwem hrabiego Essexu maszerujemy na spotkanie z wojskami królewskimi. Biedna Hen, alez będzie się martwić. Ned wyobraża sobie siostrę w domu, skuloną przy kominku z książką. Co z nią będzie? Objasni każdy łaciński tekst, jaki jej dadcie, ale nie będzie wiedziała, co robić, jeśli zostawicie ją samą w kuchni. Nie mogę patrzeć, jak ojciec się nią popisuje. Jakby była maskotką. Karłem królowej. Patrzcie! Moja niezwykła córka! Posłuchajcie, jak deklamuje Cycerona! Podziwiajcie, jak córka Ewy posługuje się językami obcymi! Patrzcie, jak rozprawia o filozofii, naukach przyrodniczych i historii starożytnej! Kobieta!

Staruszek zapomniał, co się liczy. Jakaż żoną ona będzie? Kto ją zechce? Mała Hen. Już nie taka mała. Kociołek patrzy na nią maślanymi oczami. Ned uśmiecha się w ciemności, zastanawiając się nad tym, a potem sobie przypomina. Kołek. Gdzie on jest? Czy on to zrobił? A ja zrobię?

Co dalej? – zastanawia się. Myśl. Czemu tu jestem? Długo maszerowałem. Pęcherze. Ned przesuwa lodowatym paluchem stopy po nodze i wyczuwa wiele mówiące zgrubienia. Sądziłem, że są utrapieniem – myśli skruszony, dotykając głowy.

Teraz już wiem, co znaczy utrapienie. Wieczory spędzone wokół ogniska w oczekiwaniu, aż to wszystko się zacznie.

Kto jeszcze wziął udział w tym bałaganie? Kołek. I Stephen Edwards, jeden z niezliczonych czeladników w tym oddziale złożonym z przypadkowych rekrutów, którego wszyscy nazywali Rzepką z powodu jego nieszczęsnego nosa. I jeszcze Taffy, dziwny, mały Walijczyk. Niski, hardy, z bliznami, a mimo to utrzymujący, że jak inni jest nowicjuszem. Święty Joe, który codziennie się modli, mamrocząc do siebie. Najstarszy, dwudziestopięcioletni Atramentowy Pete, syn drukarza, który właśnie kończył terminowanie, ale powodowany pobożnością opuścił swego kochającego biskupa mistrza i przywdział czerwoną kurtkę pułku Hollesa.

Nigdy nie miałem przezwiska – zauważył Ned. Jako jedyny. Kołek próbował pozbyć się swojego. Nie miało sensu bez Kociołka, a jednak przyłgnęło do niego. Dlaczego ja nie mam?

Przypomina sobie pewien posiłek. Pierwszą potyczkę tej wojny wygrała właśnie jazda księcia Ruperta. Pierwsza królewska krew przelana. Ci, którzy przeżyli bitwę, przyczaili się w głębi pola, zbrukani krwią i hańbą. Dwie armie wreszcie się odnalazły i jasne było, że zbliża się bitwa. Chłopcy na zmianę byli rozdokazywani i zamyśleni. Nie mogli wejść we właściwy nastrój. Ned chciał zapytać Kołka, czy pamięta przestrogi ojca dotyczące bitwy, ale nie przy wszystkich.

– Co za ulga – powiedział Taffy, pociągając łyk z płóciennego bukłaka. – Wreszcie się stanie. Nie będzie już gadania ani martwienia się. Tylko krew kawalerów na naszych pikach i leżące w stosach trupy tych łajdaków.

Rzepka przytaknął.

– Żadnych myśli, czy dobrze wybrałem? Czy Bóg jest z nami? Zostaliśmy wybrani. Jesteśmy tutaj.

– Oczywiście, że Bóg jest z nami. Czy nie walczymy o jego Kościół? – zaburczał Ned wspierany przez Świętego Joe.

– Nasza jazda przegrała pierwsze starcie – zauważył nerwowo Kołek.

– Nic się nie bój, Kołku – powiedział Rzepka. – To była potyczka bez znaczenia. Pierwszą krew przelali oni, więc przybyli do nas z całą swoją bezczelnością i arogancją. Później Pan Zastępów dowiedzie, kogo za to obarcza odpowiedzialnością.

Taffy położył się na plecach z rękami pod głową i od niechcienia skrzyżowanymi nogami. Jakby był na pikniku.

– Ulga, jak już powiedziałem, chłopcy. Jak wytrysk po pieszczotach dziwki.

Taffy próbował go podpuścić, Ned to wiedział, więc się nie uniósł.

Kołek w milczeniu patrzył w ogień.

– Boisz się, Kołku?

– Niech cię cholera weźmie, Taff – odparł łagodnie zagadnięty.

– Coś mnie dopadnie, jak nie cholera, to ospa – odciął się Walijczyk. – Chciałbym umrzeć zgnieciony przez olbrzymie cycki, właśnie tak. Ale nie z rąk parszywego kawalera, gdybym tylko miał na to wpływ.

Rzepka wybuchnął śmiechem.

– Już to widzę, jak umierasz szczęśliwy, Taff. Idę o zakład, że w rynsztoku. Z nożem wbitym w plecy przez zdradzonego męża.

Kołek pogrzebał w ognisku patykiem i deszcz iskier uleciał w stronę nieba.

– Czemu tu jesteś, Taffy? – zapytał bez ogródek Ned. – Nie uważasz siebie za purytanina. Głos Chrystusa nie rozbrzmiewa w tobie. Co masz za złe królowi? Ustanowione przez niego prawa? Nakładane przez niego podatki? Naruszanie przywilejów Parlamentu? Dlaczego swoje porachunki chcesz załatwić właśnie tu?

– A dlaczego nie, chłopie? Miałem ochotę na burdę i musiałem wybrać którąś ze stron. Dlaczego nie tę? Gdybym wiedział, że trafię na takich skromnisiów jak ty, być może wybrałbym inaczej. Uważaj, mam ochotę na twój przydział wina.

Pułk był pełen taki Taffych, mężczyzn niepotrafiących wyjaśnić swojego wyboru albo niemających na to ochoty. Ned uważał za niepojęte, że ludziom tym na niczym nie zależało, nie mieli żadnego możliwego do określenia powodu. Wystarczało im, że życie ich tu zaprowadziło. Władanie piką ze znanych sobie powodów, to co innego – myśli Ned. Święty Joe to rozumiał. Dla niego bez znaczenia były półcienie i subtelności, chciał tylko wbijać ostrze w ciała papistów. Ale umrzeć bohaterską śmiercią, nie potrafiąc wyjaśnić dlaczego, jak Taffy?

Ned myśli o Samie. Chłopakowi brakuje przekonania, by przeciwstawić się ojcu. Zapewne siedzi w domu przy kominku. I mnie to cieszy – decyduje. Lepiej przedkładać miłość ponad wiarę, jeśli ta pierwsza jest silniejsza od drugiej. Żałuję jednak, że głos Boga nie rozbrzmiewa głośniejsze w nich, w mojej rodzinie – myśli. Ale gdzie on jest? Gdzie jest jego głos? Dlaczego opuściłeś mnie, Panie?

Myśli Neda błędzą w stronę jego makabrycznego okrycia z ciał, przeciwstawiając się próbom skierowania ich w inną stronę. Nie rozgląda się wkoło, nie odrywa oczu od gwiazd, uparczywie się w nie wpatruje. Gdybym spojrział teraz w ich twarze, nie byłbym w stanie powiedzieć, który jest jak Taffy, który jak Joe, a który mnie przypomina. Twoja sprawa umiera razem z tobą. Czy jeśli walczyłeś bez żadnego powodu, czyni to twoją śmierć w jakimkolwiek stopniu bardziej lub mniej żalosną? A może – i ta myśl sprawiła, że Ned zadrżał pod stosem martwych towarzyszy broni – nie czyni to żadnej różnicy? Twoje oczy patrzą przed siebie jednakowo niewidzącym wzrokiem.

No już! Ned! Pomyśl o czymś innym. Kominek. Zostali zakwaterowani w mieście, Ned przypomina sobie, była to jedna z wielu tych dziwacznych, przedłużających się obław na wojska królewskie. Codziennie marsz, a król tuż za horyzontem. Sam i Ned lubili bawić się w berka na polach za murami, ten dziwaczny marsz był jak ciągnąca się zbyt długo, wojskowa gra w berka. Doprawiona potężną dawką zimna, bólu i głodu.

Niedzielny ranek w tym środku niczego – słoneczny i bezchmurny. Pułk zebrał się wokół kapelana, Obadiaha Sedgwicka. Kaznodzieja wygłosił płomienne kazanie,

a jego chuda, ściągnięta twarz promieniowała siłą prawdy, która płynęła z głębi jego trzewi. Ned stał z towarzyszami, patrzył na niego i odczuwał taki sam żar.

Sedgwick rozkręcał się, mówił coraz głośniejszym głosem, a jego ton stawał się coraz bardziej podniosły.

– Nie ma grzechu równie gniewającego Boga, usuwającego Boga w cień, dzielącego Kościół, prowadzącego do rozłamu w królestwie, jak bałwochwalstwo. Burzcie, burzcie je aż do fundamentów^[9]. Zabobon jest niczym innym jak rajfurką ordynarnego bałwochwalstwa.

Za kaznodzieją majaczył kościół. W jego oknach znajdowały się kolorowe dowody bałwochwalstwa, bałwany nowego, zepsutego przez Lauda Kościoła. Za ogromnymi, drewnianymi wrotami znajdowały się ogrodzenia ołtarzowe, wzniesione, by oddzielić kler od ludu.

Nie sposób słuchać czystego słowa Bożego w miejscu kultu posągów i papistowskich ogrodzeń. Pułk wpatrywał się w zaciśniętą pięść Sedgwicka w ciszy i z zapartym tchem. Nawet Taffy, stojący obok Neda, wydawał się porwany charyzmą mówcy. Kołek z szeroko otwartymi oczami gapił się na niego, przestępując z nogi na nogę. Święty Joe zamknął oczy i pod nosem powtarzał cicho usłyszane słowa, żeby zachować je w pamięci.

Kiedy Sedgwick zamilkł i otworzył zaciśniętą dłoń, żołnierze minęli go i ruszyli w stronę kościoła. Tłukli w ciężkie drzwi do czasu, aż zostały z nich drzazgi. Duchowni siedzieli stłoczeni wewnątrz świątyni. Tylko jeden ośmielił się wstać, ale został odepchnięty na bok uderzeniem pięści, kiedy wkroczyli prawi ludzie. Laudianie wpęzli w róg jak psy i patrzyli na usuwanie ogrodzenia ołtarzowego. Patrzyli, jak kamienie przelatują przez szklane wizerunki Chrystusa, a święte obrazy spadały ze ścian. Patrzyli, jak Taffy wskakuje na ławkę i sika na figurę Marii, jego uryna spływała po twarzy rzeźby niczym łzy.

Jak psy – myśli Ned. Papistowskie psy.

Zrzucili połamane ogrodzenie na stos przed kościołem i podpalili. Przez migoczące płomienie Ned patrzył na twarze swoich druhów i myślał: „To są moi bracia w Chrystusie”.

Ned pamięta to uczucie radości i braterstwa. Przeciwieństwo samotności. W pobliżu świętego ognia było też ciepło. Jakże dziwna i abstrakcyjna jest idea ciepła teraz – myśli. Wydaje mu się, że jego ciało zawisło w lodzie. Chettle kiedyś opowiadał mu o swojej wizycie w posiadłości hrabiego Warwicka i znajdującej się tam piwnicze lodowej. Zimą zbierają lód, składują w piwnicy i podają latem, z truskawkami, na skąpanych w słońcu trawnikach. W takiej piwnicy lodowej musi być jak tu – myśli.

Jak to jest być ciepłym? Czy kiedykolwiek tego doświadczyłem? – zastanawia się. Po prostu nie potrafi sobie wyobrazić ciepła. Księżyc nad nim jest jasny i srogi. Wygląda na zimny, być może człowiek na księżycu nie czuje lodu. Słońce – to wie – jest rozpalone. Ale co to znaczy? Rozpalone słońce. Obraca te słowa w głowie, ale nie jest

w stanie uchwycić ich znaczenia. Puste wyrazy.

Przez chwilę dryfuje po tej lodowatości. Zmusza się do powrotu. Myśl, Ned. Myśl. Ale o czym? O bitwie. To jest to. Bitwa.

Piechota była w centrum. Czerwone kurtki Hollesa ustawiono na skrzydłach w pobliżu jazdy, na pozycji wysuniętej przed brygadą Essexu. Wojska królewskie ustawiły się na wyniesieniu przed nimi. Żadna ze stron się nie ruszała. Ned słyszał w ciszy niekontrolowane odgłosy dobywające się z jelit przerażonych ludzi. Poczł rozbawienie, mimo że też się bał – któż mógłby się spodziewać, że właśnie ten dźwięk będzie towarzyszył początkowi świętej wojny. Później powoli zeszli ze wzgórza i wtedy jego własne trzewia zaczęły dygotać. Przerażająca fala przesuwiała się w jego stronę. Szczęk artylerii jakimś sposobem był głośniejszy i bardziej nienawistny niż podczas ćwiczeń. Później kawaleria przeprowadziła atak na skrzydła i ochotników z City ogarnęła panika.

Zobaczył księcia Ruperta, tak mu się wydaje, prowadzącego prawe skrzydło konnicy królewskiej. Jego młoda twarz nieubłaganie zapowiadała śmierć. Wymachiwał szpadą, a u jego boku paradowało diablę pod postacią psa. Stanęli w ciasnej grupie pośrodku i zobaczyli, że ich flanki kruszą się, jakby były z marcepanu, a strach pułków piechoty cuchnął uryną i mokrą owczą wełną. Ned zobaczył Hollesa stojącego niewzruszenie pośrodku, ponaglającego ich, i chwycił pikę w drżące ręce. Towarzyszący mu Kołek rzucił się w przód. Obie strony starły się, czemu towarzyszyły szczęk metalu i panika. A potem, potem nic.

Ned podnosi rękę, żeby dotknąć głowy. Ciekawy jestem – zastanawia się – co stało się z innymi. Myśli o Taffym i jego prowokacyjnej wulgarności. Mam dwadzieścia lat i zapewne umrę na tym polu. A nigdy nie poznałem dotyku kobiety. Myśli o Lucy Tompkins, jej miękkich lokach i pociągających krągłościach. Jeśli stąd się uratuję, Panie, czy mogę odwiedzić dom rozpusty? Tylko raz, och Panie. Kociołek mówił mi, że wszystkie je zna. Ale ja nie wrócę do domu – myśli – a nawet jeśli, nie wolno mi grzeszyć. Czy mogę? Tylko raz?

Szatan mnie kusi. Jak naszego Pana na pustyni. Ale pustynie są takie gorące, a mi jest tak bardzo zimno. Nawet nie wiesz, jakie miałeś szczęście, Panie.

Teraz jestem bluźniercą i człowiekiem pragnącym popełnić grzech. Poddano mnie próbie, której nie sprostalem. Kim jestem?

W końcu wybucha płaczem. Modli się w ciemności. Nasłuchuje czystego głosu Boga. Ale słyszy tylko własne łkanie.

– Synu Boga – mówi na głos – oświeć mnie.

Jakby kpiąc z niego, księżyc schował się za srebrzystą chmurą.

Próbuje sobie przypomnieć męczenników, którzy zginęli w płomieniach za wiarę. John Hooper, biskup Worcester i Gloucester, który spędził niemal godzinę trawiony przez słaby ogień. W jaki to sposób Foxe opisał jego koniec? „Niby jagnię” Hooper znosił to do chwili, gdy „dolna część jego ciała zwęgliła się, a wnętrzości wypłynęły, wtedy zmarł spokojnie jak dziecko w łóżku”. Hooper zawsze był ulubionym

męczennikiem Neda, spośród tych, których opisał Foxe. To jego wybierał, kiedy jako chłopiec bawił się z kolegami w papistów i świętych.

Czy mistrz Hooper patrzy teraz na mnie z nieba? – zastanawia się Ned.

Samotny i nagi na polu, recytuje szeptem: „Teraz jako błogosławiony męczennik cieszy się miejscem w niebiosach przygotowanym dla wiernych Chrystusowi przed stworzeniem świata, a za jego wierność wszyscy chrześcijanie winni chwalić Boga”.

Ned dodaje do tego prywatną, cichą modlitwę. Chce otrzymać dar wierności i odwagi, chce otrzymać siłę, by znieść tę próbę. Zimno jest lepsze od ognia, przekonuje sam siebie. Twarz Hoopera poczerniała, a cały tłuszcz, woda i krew, którymi wypełnione jest ludzkie ciało, skapywały z wypalonych koniuszków jego palców. Ta próba jest niczym – myśli Ned. A jednak nieustannie słyszy w głowie cichy głos. A jednak. Jestem sobą, a nie nim. Jego męczarnie zostały uwięzione na kartach książki, a moje wypełniają świat. Cały wszechświat teraz kręci się wokół mojego zamierzającego ciała i słabnącego umysłu. Ten sam głos szepcze: „Pieprzyć męczennika Hoopera, co ze mną?”.

Zasypia na chwilę albo przynajmniej tak mu się zdaje. Księżyc zaszedł, czego nie zauważył, a na granicy nieba widzi światłość. Na rany Chrystusa, ależ mi zimno – myśli. Zimno, zimno. Nie jest pewny, czy chce, żeby dniało, czy będzie w stanie zobaczyć twarze martwych towarzyszy. Ale jeśli ciemność nie ustąpi, umrze tu.

– Chryste – zaszlochał.

Zdecyduj się, Ned. Światłością czy mrokiem, czym to jest?

Co ja zrobiłem? – zastanawia się nagle.

Obstawałem przy tym, co uważałem za słuszne, straciłem rodzinę, i oto gdzie się znalazłem. Wydawało mi się, że dokonuję wyboru. Ale czy rzeczywiście? Zniewieściały unika walki, męski ją podejmuje – jakież to wybór? Przez ostatnie kilka lat byłem przyparty do muru. A wydawało mi się, że jestem panem siebie samego.

To w końcu znaczy być człowiekiem. Leżeć nagim na polu, pod rozkładającymi się ciałami innych ludzi, oczekując świtu, którego się boję. I nagle Ned, który najlepsze lata swego życia spędził na ćwiczeniu się w purytańskiej powadze, wybucha śmiechem. Samotny, na polu pokrytym nagimi trupami, śmieje się do utraty tchu. Słońce wreszcie wschodzi, tworząc na niebie różowe smugi różowego światła.

ROZDZIAŁ 11

Wieści o bitwie docierają do Londynu. Pierwsze doniesienia o zwycięstwie i wzięciu księcia Ruperta do niewoli radują ulicę. Dalsze nowiny przechodzą ze sklepu do sklepu, z ust do ust, z kuchni do kuchni. Ani zwycięstwo, ani przegrana. Irytujący brak rozstrzygnięcia. Obie strony po cywilnemu są zdumione koszmarem bitwy.

W niedzielę po obiedzie niespodziewanie pojawia się Birch. Towarzyszył mu młody prawnik Oliver Chettle. Rodzina zbiera się w jadalni: Sam, Hen i ich ojciec. Krzesło Neda jest puste.

Goście zaskakują ich – wizyty stały się czymś rzadkim w tych czasach. Birch hojnie wspierał parlament, a obdarowywani nie pytali, czy sypał groszem z pragmatyzmu, czy z przekonania. Challoner tymczasem omijał podatki, gdzie tylko mógł. Mężczyźni składają sobie sztywne ukłony z przeciwległych stron sceny politycznej.

– Przyszliśmy – mówi Birch – z wiadomościami o Nedzie.

Hen odkłada książkę. Birch powoli siada w wielkim fotelu zwolnionym przez ojca. Poprawia strój, zapinając się na ostatni guzik, jakby celowo wzmagał napięcie. Jest zbyt powolny. Hen myśli, że miałaby ochotę naskoczyć na niego i wydrapać mu oczy. Nadęty stary łajdak zachowuje się, jakby właśnie opowiedział dowcip z puentą.

– Był pod Edgehill i ma się dobrze.

Wydaje się, że cała rodzina Challonerów oddycha z ulgą. Oliver Chettle obserwuje Hen i gdy dziewczyna kładzie rękę na stole, żeby się podeprzeć, robi krok w jej stronę, jakby chciał podać jej ramię. Ale Sam go uprzedza.

Odsuwa krzesło.

– Tutaj, Hen – mówi, a siostra opada na siedzisko.

„Nie rozplączę się w obecności tych mężczyzn” – myśli i wbija paznokcie w dłoń. „Ale Ned, Ned jest bezpieczny. Bogu niech będą dzięki!”

– Został ranny – oznajmia Chettle. – Dostał w głowę i na jakiś czas ogłuchł. Podobno pojawił się rano zalany krwią i całkiem nagi, że początkowo wzięto go za upiora. Ale teraz ma się dobrze i odzyskał słuch. Posłaniec, który przybył do Komitetu, żeby przynieść wiadomość od hrabiego Essexu, opowiedział to jako anegdotę z pola bitwy. Kiedy usłyszałem imię zjawy, pomyślałem, że przyjdę

powiedzieć wam o tym.

– Jestem niezmiernie wdzięczny – odzywa się Challoner z wyraźnym wzruszeniem. Harmsworth wchodzi do jadalni z dzbanem wina.

– Wypijecie szklankę wina, panowie? Harmsworth, powiedz babci, że Ned jest cały i zdrowy po bitwie pod Edgehill.

– Zaprawdę, sir! Jak dobrze to słyszeć, w kuchni też się ucieszą, jeśli mogę tak się wyrazić.

– Dobrze, dobrze – odpowiada Challoner i bierze duży haust wina, zbyt duży. Ręka mu drży.

– Jest hołubiony przez swój pułk – wtrąca się Birch. – O świcie, ot tak, wyłonił się z za symbolicznego frontu. Żywy, gdy wszyscy myśleli, że zginął.

Wino leje się, a atmosfera staje się coraz bardziej serdeczna.

– A bitwa – pyta Sam – jaki miała przebieg?

„Biedny Sam” – myśli Hen. „Jak koń myśliwski ciągnący pług na polu, gdy obok inny rumak czystej krwi bierze udział w polowaniu”.

Chettle ustawia na stole szklanki do wina na kształt pułku.

– Wyobraźcie sobie fronty przebiegające w ten sposób – mówi. – Piechota pośrodku, jazda na skrzydłach. To jest książę Rupert, niech go diabli wezmą. Poprowadził szarżę i flanki załamały się niemal bezgłośnie. Gdyby opanował swoją kawalerię, Jego Wysokość dzisiaj maszerowałaby po Ludgate Hill. Ale ci niezdyscyplinowani dziwkarze ruszyli w pogoń za naszymi uciekającymi chłopcami, zamiast zawrócić, żeby uderzyć na nasze centrum. Potem nastąpił chaos. Pikinierzy starli się z pikinierami. Pułk waszego brata, dowodzony przez generała Hollesa, trzymał się mocno, Bogu niech będą dzięki. Walczyli do zmroku, a później położyli się spać.

Przestał mówić.

– A zatem żadna ze stron nie odniosła zwycięstwa – odzywa się Challoner.

Chettle pochyla głowę. Obecnie dobiega trzydziestki i jest młodym prawnikiem. Promienieje pewnością siebie, ale nie przekracza granicy arogancji. „Jest też przystojny” – myśli Hen. „Nie tak jak Will, ale urodziwy. Jego włosy zawijają się na kołnierzu, kiedy pochyla głowę”.

– Panowie, czy nie można by uznać tego za pojedynek? – kontynuuje Challoner. – Obie strony zgodnie z wymaganiami honoru wypaliły z pistoletów, a teraz możemy wszyscy wrócić do domów i uznać się za przyjaciół.

– Dobrze byłoby wrócić do dawnych zajęć – stwierdza Birch – ale obawiam się, że to zależy od króla.

Chettle potakuje.

– W zaufaniu mogę wam powiedzieć, że obie Izby przygotowują delegację do króla, by omówić warunki. Essex wycofuje się do Warwick i obecnie wojska królewskie mają wolną drogę do Londynu. Jednak tego lata Jego Wysokość dowiódł nieprzejednania.

– Parlament żądał zbyt wiele – mówi wojowniczo Challoner. – Jaki jest sens przedstawiania człowiekowi warunków, których nie może przyjąć, a potem winić go

za ich odrzucenie?

– Ojczy – odzywa się Hen. – Jest niedziela. Panowie Birch i Chettle nie przyszli tu, żeby się kłócić, tylko przynieść nam uspakajające wieści o Nedzie.

Ojciec otwiera usta, jakby chciał zaprotestować, po czym – niemal zmieszany – znów je zamyka.

Chettle spogląda na Hen z błakającym się na ustach uśmiechem.

– Mądre słowa, panienko Challoner. Być może powinna panienka przyłączyć się do naszej delegacji.

Challoner wybucha śmiechem.

– Poślijcie moją Hen, a w ciągu tygodnia zapanuje pokój. Jeśli ktokolwiek potrafi przeciąć ten węzeł gordyjski, to tylko moja kicia.

Birch porusza się z zażenowaniem.

– Nawet tak nie żartuj, Challoner. Byłem świadkiem, kiedy kobiety zeszłej zimy pomaszerowały na parlament, żeby wręczyć swoją petycję pokojową. Kobiety! Mieszają się w sprawy polityczne! Nigdy bym nie przypuszczał, że dożyję takich dni.

Hen otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymuje się, pochwyciwszy spojrzenie Chettle'a. Uśmiechają się do siebie niemal konspiracyjnie. Dziewczyna wstaje i podchodzi do okna, wygląda na ulicę. Patrzy w stronę Temple. „Od jak dawna nie widziałam się z Willem?” – zastanawia się. „Już ponad rok”.

– Jeszcze gorzej – ciągnie Birch – gdy jest to nieszczęsny, złośliwy rodzaj fląder.

– Purytanie otrzymują doniesienia o kobietach kaznodziejkach – wtrąca się Chettle.

– Kobietach, które twierdzą, że są natchnione przez Ducha Świętego i przemawiają głosem Boga.

Szyby w oknie zaparowały. Hen wyciera je rękawem i wygląda na ulicę. Potrafi zgadnąć, co za chwilę nastąpi. Z pewnością w pokoju zabrzmia zarzuty świętego Pawła wypowiedziane nosowym głosem Bircha: „Kobiety mają na tych zgromadzeniach milczeć; nie dozwala im się bowiem mówić”^[10].

Wie, że będą potakiwać w jej obecności, jak to zwykle robią mężczyźni, kiedy święty Paweł wzywa ich, by przypominali swym kobietom o ich słabościach. „Żony, bądźcie poddane mężom, jak przystało Panu”^[11] – myśli. „Jestem własnością ojca, a później będę należała do męża i to nigdy się nie zmieni. Muszę nauczyć się być bardziej posłuszna, zarówno w sercu, jak w działaniu” – postanawia i odwraca się od okna. „Ale Panie, jeśli chciałeś, żebym była posłuszna, dlaczego uczyniłeś mnie taką krytyczną?”

Po wyjściu gości Sam, Hen i Challoner siadają razem, nic nie mówiąc. Są zadowoleni ze swojego towarzystwa.

Sam przerywa ciszę.

– Hen, słyszałaś już balladę, która teraz krąży?

Siostra kręci głową.

Siedzą koło kominka, obejmują się ramionami. Sam śpiewa łagodnie,

wykorzystując melodię starej dziecinniej rymowanki, którą nuciła im babka. Challoner patrzy na nich z krzesła.

*Lamentuj! Płacz, niech płyną ci łzy,
Gdy ujrzysz rozłam Togi i Korony
Wojna jak wąż wsadziła swój łeb
Wybuchła szybciej niż nastanie jej kres.*

Challoner powtarza ostatnią linijkę basem. W trójkę ponownie odśpiewują pieśń, głęboki, donośny lament, który niesie się po domu, sięgając poddasza, gdzie samotnie siedzi stara kobieta.

*

Później, w tym dniu rozrachunków i złych przeczuć, pojawia się kolejny gość. Poeta Waller odwiedza ojca. Jest przesadnie uprzejmy przy powitaniu i twierdzi, że chętnie poczeka na Challonera, który stara się obudzić z popołudniowej drzemki. Waller staje przy kominku w jadalni na rozstawionych nogach i z rękami na biodrach. Zachowuje się, jakby grał w przedstawieniu.

– Droga panna Challoner, piękniejsza niż zwykle – mówi z ukłonem.

Hen dyga, oblewając się rumieńcem. Zła jest na samą siebie za ten rumieniec. Co za wstrętny człowiek. Gość zatrzymuje na niej dłużej wzrok.

– Ciągle jeszcze taka młoda – odzywa się. – „I jakie cuda sprawi ta, która urody swej brzask nam da” – deklamuje własny wiersz, owijając z rozkoszą język wokół wypowiedzianych słów.

Hen zastanawia się, czy powinna udawać ignorancję, czy przyznać, że zna jego utwory. Boże, obdarz mnie skromnością, ale jeszcze nie teraz – myśli i odpowiada:

– „Nadzieja czeka pod pierwszym kwiatem, lecz mniej wesoła będzie latem. A jednak zapowiedzi kresu nie znajdziesz w porze tej, bo szcudrą ręką rozdaje, co wiosna obiecała ku swej chwale”.

Poczucie triumfu ustaje w pół drogi, kiedy zdaje sobie sprawę, jak bardzo mu to pochlebia, jak bardzo on się tym pyszni. Skoro jednak już zaczęła, postanawia dobrnąć do końca zwrotki.

Waller skłania się ponownie, tym razem głębiej.

– Nigdy nie słuchałem napisanych przez siebie słów z równie dużą przyjemnością, panno Challoner.

Hen spostrzega, że przyjmuje jego starania z dziwnym brakiem zainteresowania. Pochlebstwo ze strony mężczyzny ma tylko wówczas znaczenie, gdy wydaje się on atrakcyjny. Rozumie, dlaczego niektóre kobiety mogłyby uznać Wallera za interesującego, jest ugładzony i pozbawiony kantów jak woskowa świeca. Modny i szarmancki. Ma pełne usta, jasną skórę i nawet jeśli staje się zbyt otyły, jego szaty są na tyle dobrze skrojone, żeby to ukryć. Uwaga, jaką zwraca na nią ten mężczyzna, stanowi dla niej nieprzyjemny zgrzyt. Myśli o nieskrywanym uwielbieniu Willa

i szczerym uśmiechu Chettle'a. „Być może jest na dworski sposób zbyt ugrzeczniony dla takiej prostaczki jak ja” – zastanawia się. Spojrzenie poety sprawia, że zaczyna się garbić, żeby ukryć biust i obejmuje ramionami swoje oceniane ciało.

Ojciec wchodzi do pokoju, co Hen przyjmuje z ulgą. Z nim przy boku, odważa się odrobinę bardziej wyprostować.

– Panie Challoner, pańska córka oczarowała mnie swoją erudycją. Stwierdzam, że należy do świata ludzi wykształconych.

Challoner śmieje się czule.

– Oj, należy, należy.

– Być może młoda dama ma teraz jakieś sprawy domowe. Chciałbym porozmawiać z panem na osobności.

– Cóż – Challoner rozgląda się z zakłopotaniem.

Córka podbiega, żeby go ucałować.

– Powinnam zajrzeć do babci – mówi.

Kiedy wychodzi z pokoju i idzie na górę, czuje się w jakiś sposób lżejsza. Chettle mówił im wcześniej, że Waller został wybrany, żeby dołączyć do delegacji pokojowej. „To dobry wybór” – stwierdził. „Reformatorzy w parlamencie ufają mu po jego wystąpieniu na temat daniny okrętowej, nawet jeśli nie można go posądzać o nienawiść do biskupów. Król kocha zaś poetę, a ten rozpowszechnił swoje dworskie pochlebstwa. Należy do tych, którzy potrafią upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu”. „Jeśli jednak otrzymał pilną misję do króla – zastanawia się Hen – dlaczego jest tutaj? Jaki interes może mieć do Richarda Challonera?”

*

Następnego dnia Henrietta jest w Hyde Park Corner z panią Birch, żeby pomóc przy budowaniu jednej z dwóch linii obronnych przed zbliżającym się Karolem. Osobliwa to rzecz, fortyfikować się przed własnym królem.

Hen przenosi kamienie wykopywane przez mężczyzn z ziemi. Pani Birch zdecydowała się udać do Hyde Parku, kiedy usłyszała pogłoski, że kobiety z wyższych klas przyłączają się do pomocy. I się nie zawiodła. Za każdym razem, gdy Henrietta przechodzi przez pas trawy, na którym pani Birch spędza większość popołudnia, otrzymuje nowe ploteczki przekazane szeptem.

– Spójrz, Henrietto! O tam, tam są lady Middlesex i lady Anne Waller! Ciągną wózki z ziemią. Cóż za szkoda pobrudzić takie wspaniałe materie. Nie przypuszczam, żeby lady Middlesex założyła starą suknię do pracy.

Mimo brudu i wstrząsu, jakim jest dla niej praca fizyczna, Hen świetnie się bawi. Pierwszego dnia robót panuje świąteczna atmosfera. Dzieci płaczą się pod nogami. Z City przysłano dla robotników wozy wypełnione jedzeniem. Gdzieś zaczęto bić w bęben, a mały chłopiec czystym altem śpiewa prostą, rytmiczną piosenkę, żeby pomóc kopaczom w pracy.

Hen podoba się poczucie wspólnego celu i łatwość, z jaką zawiera się przyjaźnie podczas wykonywania pracy fizycznej. A potem, nagle, gdy zmierzch zapadał nad świeżo wykopaną ziemią, u jej boku pojawia Will.

– Will!

– Widziałem cię. Pracowałem tam. – Pokazał przypadkowe miejsce na końcu rowu.

Hen odwraca się, szukając pani Birch, ale kobieta jest zbyt daleko, żeby dostrzec ją w mroku.

– Dostaliśmy informację o Nedzie. Był pod Edgehill, został ranny, ale niezbyt poważnie.

– Bogu niech będą dzięki! – woła Will, a ona kocha go za jego szczerość.

Zapada cisza. Niezręczna, przedłużająca się.

Ukradkiem przygląda się jego rysom. Ciemne, niemal czarne włosy opadają mu na oczy, a on odgarnął je tak dobrze zapamiętanym przez nią gestem. Na czole ma smugę z błota i jest zarumieniony od wysiłku. Hen zdaje sobie nagle sprawę, że ona też jest ubrudzona błotem. Zdaje sobie sprawę, że to, co ona uznaje w nim za czarujące, on może postrzegać jako oznakę niechlujstwa. Jej włosy opadają w strąkach na twarz. I jeszcze ta cisza ociąga się z odejściem jak wścibska przyzwoitka.

– Nie powinnam... – zaczyna.

– Muszę... – odzywa się Will w tym samym momencie.

Wybuchają śmiechem.

– Ty pierwsza.

– Nie, ty zacznij.

– Wiem, że to niemożliwe – mówi. – Nie mieliśmy już się spotykać. Obiecałem.

– Ale doszło do tego przypadkiem – odpowiada Hen. – To się nie liczy – dodaje dziecinnie.

Uśmiecha się, a jego męska uroda znów na nią oddziałuje, ściska w żołądku, zatyka dech w piersiach.

– W istocie, to się nie liczy. Och, Hen. Brakuje mi ciebie. Brakuje mi widoku twojej twarzy, słuchania twojego głosu. Tęsknię do naszych pocałunków.

– Mnie też ciebie brakuje.

Znów zapada cisza. Ale tym razem nie jest niezręczna.

Bierze ją za rękę i stoją obok siebie w półmroku. Przy nim czuje się wyższa, bardziej gibka.

– Miałam nadzieję, że to minie – odzywa się Hen.

– Ale nie mija.

– Nie.

– Przenieś się do innej części fortyfikacji – oznajmia.

Hen mocno ściska jego dłoń.

Słyszy, że ktoś w ciemności woła jej imię.

– Muszę już iść – mówi.

I odchodzi.

*

Przez całą tę zimną jesień Hen, gdy tylko może, pracuje przy budowie umocnień. Przepada za tym – praca przynosi wolność, jakiej nigdy wcześniej nie zaznała. Zmęczenie pod koniec dnia wydaje jej się błogosławione i dogłębne. Każdego kolejnego dnia budzi się i rozkoszuje brakiem pytania: „Czym dziś wypełnię dzień?”.

Umocnienia stają się coraz wyższe, mimo że pojawiła się nadzieja na nowe negocjacje pokojowe. Poza tym, za każdym razem, kiedy dociera do szczytu nowo wzniesionych fortyfikacji i stawia stopy na świeżo odwróconej ziemi, przygląda się z nadzieją twarzom robotników. Lecz Willa nigdy tam nie ma.

[\[10\]](#) 1 Kor 14, 34.

[\[11\]](#) Kol 3, 18.

ROZDZIAŁ 12

LISTOPAD 1642

„Ned Challoner. Ned Challoner”.

Nedowi zdaje się, że słyszy swoje imię. Budzi go chłód, trzęsie się. Leżący obok niego Taffy chrapie z niezwykłą energią. Przy drugim boku Walijczyka śpi skulony Święty Joe, dzieląc z nimi ten sam płaszcz. Ned jakoś w nocy wyplątał się spod nakrycia. „To pewnie z powodu twojego smrodu, Taff” – myśli bez urazy. Pamięta – jakże mógłby zapomnieć? – o innym chłodzie.

Ned budzi się z żołnierskim biadoleniem w kiszkiach, w pokrytym gęsią skórą ciele i w duszy. „Cholerny głód, cholerne zimno, cholerna nędza. Kim jest żołnierz?” Słucha jednak gardłowego oddechu swoich kompanów i to łagodzi jego poranny gniew. Ich chrapanie jest głośną, wspaniałą afirmacją życia.

„Ned Challoner, Ned Challoner”. Te słowa wypowiedane śpiewnym, wysokim głosem docierają do jego uszu. Ned opiera się na łokciu i patrzy ponad grupą śpiących mężczyzn. Irytująco dziarsko wyglądający chłopiec szuka go między leżącymi.

– Ned Challoner.

– Chłopcze – szepcze.

– To ty?

– Kto chce wiedzieć?

– A kto pyta?

– Kim jesteś... A niech cię cholera. Jestem Ned Challoner. Czego chcesz?

– Mam wiadomość. Od mężczyzny, który twierdzi, że jest twoim ojcem.

– Ach, tak! – Ned czuje, że serce szybciej mu bije. Siada, ścierając sen z oczu. – I co on mówi?

– Jest tutaj.

– Tutaj! – Ned idiotycznie rozgląda się po śpiących towarzyszach, jakby jego ojciec leżał gdzieś obok niego.

Chłopiec kręci głową.

– Nie tu! – mówi z drwiną. – Chodź, zaprowadzę cię.

Ned szturcha Taffy'ego, który budzi się z pomrukiem.

– Niech cię pokręci, Ned, byłem w cudnym miejscu.

– Ciasnym i wilgotnym?

– Znasz mnie, chłopie.

– Słuchaj, mój ojciec jest tutaj. Idę się z nim zobaczyć.

– A niech to, twój stary? Przynieś nam coś od niego, człowieka,

Ned uśmiecha się, a Walijczyk zamyka oczy i wraca do cudnego miejsca.

Chłopiec prowadzi Neda między śpiącymi żołnierzami, w stronę rzeki i ciągnącej się wzdłuż jej brzegów drogi prowadzącej do City. Za śpiącymi żołnierzami dostrzega jednostki przemieszczające się w ciemnościach. To wyszkolone oddziały przybywające w nocy z Londynu, żeby dołączyć do Essexu i jego ludzi, jak domyśla się Ned. Posiłki, chwała Bogu!

Czuje jakiś zapach. Na Boga, to chleb. Świeżo upieczony, ciepły. Ten zapach sprawia, że z pożądania niemal kręci mu się w głowie. Są i inne wonie unoszące się ponad trawą mokrą od rosy. Mięsnych pasztecików – jak mu się wydaje – i kiełbasek. „Ja nadal śnię. Wyobrażam to sobie. Bez dwóch zdań”.

Mija go wóz i chłopak niosący pochodnię. Ned widzi kontury koszy wypełnionych chlebem.

– Co to wszystko znaczy? – pyta chłopca, kiedy stają na skrzyżowaniu dróg. Powstrzymuje chęć zanurkowania z otwartymi ustami w kosz wypełniony pieczywem.

– City żyje nadchodzącą bitwą. Piekarze byli na nogach przez całą noc. Gosposie gotowały przy świetle świec. Połowa City przygotowuje wam jedzenie albo chce się do was dołączyć. Ja przyjechałem walczyć.

Ned patrzy na idącego obok chłopca, który ledwie sięga mu do pasa. Nic nie mówi.

– Teraz – mówi przewodnik, przeciskając się między dwoma wozami. – Gdzieś tutaj – dodaje i wypatruje między tłoczącym się tłumem. – Powiedział, że przy tym drzewie.

– Ned? – tubalny głos dochodzi z mroku.

– Ojciec.

„Bogu dzięki, Bogu dzięki” – myśli Ned, gdy w półmroku ukazuje się znajoma, zwałista sylwetka ojca.

– Och, mój chłopcze – odzywa się Challoner. – Co się stało z twoimi włosami! I jesteś taki wychudzony.

Ned zapomniał, jak bardzo musiał się zmienić. Chirurg ogolił mu włosy po powrocie z Edgehill, żeby lepiej oczyścić ranę z czerwi. Z zakłopotaniem gładzi szczecinę na głowie. Wie, że schudł, bo ubrania na nim wiszą.

Chłopczyk wyciąga rękę i ojciec wrzuca kilka monet w jego otwartą dłoń.

– Poczekaj! Ojciec, masz coś do jedzenia i jeszcze trochę pieniędzy?

Ojciec wskazuje na kosz stojący obok jego stóp. Ned go przetrząsa. Chleb. Paszteciki. Kurczak! Ser. Powstrzymuje się, tłumi ochotę natychmiastowego opchania się jedzeniem. Walczy o zachowanie kontroli nad sobą. Chleb jest jeszcze ciepły. Łamie go na pół, łapie pasztecika i dwa mniejsze ptaki.

– Dla kumpli – wyjaśnia ojcu.

– Oczywiście.

Zawija jedzenie w kawałek tkaniny i podaje pakunek chłopcu.

– Zanieść to z powrotem do miejsca, w którym mnie znalazłeś. Tam jest chrapiący mężczyzna. Obudź go i powiedz, że te ptaki są zakażone kiłą, a jego matka oszczała ten chleb. Zrób to po cichu, w przeciwnym wypadku będzie musiał się podzielić z innymi.

Chłopiec wkłada monety do kieszeni, bierze tobołek i rusza w drogę powrotną.

Ned odwraca się do ojca.

– Co tu robisz?

– Nie mieliśmy wieści od ciebie od Edgehill i baliśmy się, że zginąłeś podczas ataku księcia Ruperta pod Brentford. Przyjechałem, żeby cię odnaleźć.

– I oto jestem.

– I oto jesteś.

Ned zdaje sobie sprawę, że ojciec płacze. Trzęsie się z zimna i zakłopotania.

– Przepraszam, zupełnie zapomniałem. Przywiozłem ci też to.

Challoner wciska mu w rękę płaszcz, który chłopak natychmiast zakłada. Jest to ciężkie, ciepłe okrycie podbite miękką owczą wełną. Ned owija się nim.

– Skąd wiedziałeś, że tego potrzebuję?

– Pamiętaj chłopcze, że ja też byłem żołnierzem. A teraz jedzenie. O, tu jest porter. Albo wino, jeśli wolisz.

– Porter – odpowiada Ned.

Siadają na wilgotnej ziemi, a Ned w ciężkim płaszczu na ramionach wreszcie przestaje się trząść.

– Kiedy usłyszeliśmy, że ludzie Hollesa są w pobliżu murów, a wojska królewskie depczą im po piętach, Hen z kucharką zabrały się za gotowanie.

– Hen w kuchni?

Wyczuwa, że ojciec uśmiecha się w ciemności.

– Całą noc. Powiedziała, że nie mogłaby usiedzieć, nic nie robiąc. Obawiam się jednak, że odróżnisz jej wyroby od tych, które wyszły spod ręki kucharki.

Kładzie na dłoni syna pulchny pasztecik i skurczony, bezkształtny wypiek. Neda dziwnie wzrusza to śmieszne, małe ciasteczko. Odkłada je jednak i wgryza się w pasztecik kucharki. Jest jeszcze ciepły i para unosi się z niego w chłodnym powietrzu. Pachnie mięsem, porterem i marchwią. Ma zapach domowej kuchni i fartucha kucharki. Ned przez chwilę delektuje się jego aromatem, cieszy oczekiwaniem, ślina napływa mu do ust. W końcu bierze kęs mięsa. „To największa rozkosz, jaką miałem w życiu” – myśli. „Nic już nigdy nie będzie mi tak smakować. Nic”.

Z pełnymi ustami mówi:

– Powiedz Hen, że zjadłem jej, dobrze? I że były pyszne.

Richard Challoner śmieje się.

– Dostaliśmy twój list spod Edgehill – opowiada, podczas gdy Ned je. – Ale już wcześniej wiedzieliśmy, że jesteś bezpieczny. Oliver Chettle przyszedł nam powiedzieć. Doszły do niego słuchy o tym, że błąkałeś się o świcie nago po polu bitwy.

Ned tylko przytakuje kiwnięciem głowy. Odrywa udko kurczaka. Kucharka podczas pieczenia na rożnie posmarowała skórę miodem. Wie, że tak przyrządzony smakuje mu najbardziej. Zlizuje z palców niebiańsko pyszną mieszankę miodu i pieczonej skórki i myśli, że mógłby zemdleć z rozkoszy. „Obżarstwo jest grzechem” – myśli nawet wówczas, gdy odrywa kawałek mięsa z piersi ptaka.

– Chettle dobrze sobie radzi. Szybko awansuje. Doradza Komitetowi w sprawie legalnych źródeł finansowania wojny. Moim zdaniem, nic z tego nie jest zgodne z prawem. – Challoner milknie. – Nie będę rozmawiał o polityce, Ned. Obiecuję. No patrz, obiecałem to sobie po drodze, a już złamałem własny zakaz.

Ned macha obgryzioną kością kurczaka do ojca i bierze spory łyk portera. Ciepły pasztecik, płaszcz, porządny łyk ciemnego piwa sprawiły, że czuje się niemal nieprzytomnie szczęśliwy. Przyjemności związane z drobnymi rzeczami. „Nie doceniłbym tego, gdybym nie został żołnierzem”. Nagle zdał sobie sprawę, że ojciec rozumiał to zawsze i spojrzał na niego z nowym uczuciem.

– Hen czuje się dobrze, ale się niepokoi – opowiada Challoner. – Miałem dać ci tysiąc całusów, gdy cię znajdę. Uznajmy, że je przekazałem.

Ned uśmiecha się ustami wypełnionymi serem i przykłada dłoń do piersi.

– A Sam, biedak, zadrećza się, że nie może do was dołączyć. Przesyła pozdrowienia, zgrzytając zębami.

– Nie pozwól mu – odpowiada Ned, plując okruchami.

– Nie pozwolę. Jest źle?

Syn przytakuje.

– Wczoraj byłem pod Brentford.

– Na rany Chrystusa. Słyszeliśmy o tym zeszłego wieczoru. Złe wieści docierają lotem błyskawicy.

Ned spogląda na ojca.

– Czy w Niderlandach widziałeś przypadki tego, co nazywają panicznym strachem?

– Widziałem raz – potwierdza Challoner i patrzy w przestrzeń, przypominając sobie straszne wydarzenia z przeszłości.

Zapada cisza i Ned pozwala jedzeniu uleżeć się w żołądku. Jego ciało ogarnia ciepło. Porusza palcami u stóp, zadowolony z tego, że jest zdrow i cały. Później odczuwa wstyd towarzyszący radości. Owo nieznośne brzemie, które pojawia się, gdy przeżyjesz przyjaciół.

– W czasie ćwiczeń powiedzieli nam: „Trzymajcie się razem, a wszystko będzie dobrze. Jeśli złamiecie szyki, już po was. Rząd pik może pokonać konnicę. A samotny człowiek z piką? To martwy człowiek biegnący z długim kijem”.

– Tak, ale jedna rzecz to usłyszeć, a druga twardo stać w miejscu – odpowiada

ojciec. –Wystarczy, że zacznie uciekać jeden albo dwóch.

Ned potakuje głową, wspominając.

Było mgliście, zimno. Strach wstrząsał wilgotnym ciałem. Zdrętwiałe ręce trzymały cienkie jesionowe drzewce pik. Stał ramie w ramie ze swoimi braćmi, wśród wielu gotowych do walki przed nim i blisko za nim. Czuł na karku gorący oddech Świętego Joe’ego, słyszał nerwowe dźwięki wydawane przez Rzepkę, który raz po raz klepał się po tylnej części uda. Za nim, stojący obok Rzepki Atramentowy Pete zaintonował psalm. Był to ni śpiew, ni szept, na tyle cichy, że Ned nie potrafił rozpoznać, który to psalm. Uśmiechnął się pod nosem na myśl, jak srogo brzmi ta pieśń śpiewana przez Pete’a. Niczym klątwy rzucone na oddziały kawalerzystów.

Jego uśmiech zbladł równie szybko jak się pojawił. Został przyblokowany. Po lewej stronie stał Kołek, po prawej Taffy. Tak blisko, że spoglądając na bok, widział pomarszczone wypukłości pryszczy Kołka. Z drugiej strony nieruchoma twarz Taffy’ego o tak mocno zaciśniętych ustach, że jego wargi całkowicie zniknęły. Walijczyk zauważył spojrzenie Neda i mrugnął do niego okiem. Stali wszyscy razem, fizycznie zbici w grupę, psychicznie zespoleni przez ćwiczenia, poczucie lojalności i pragnienie nieokazania się tym, który doprowadził do załamania się szyku, który zawiódł innych. Ned rozumiał, że odwaga ma swe źródło w strachu, strachu przed porażką, przed byciem postrzeganym jako tchórz przez ludzi, których się szanuje. Nadal jednak pozostawał na tyle niezależny, myślał na tyle racjonalnie, by bawił go ten paradoks. Jakby przyglądał się temu wszystkiemu z oddali – odwaga to strach noszony na widoku publicznym.

Ściśnięci, razem czekali. Ich dłonie zaciskały i rozluźniały uchwyt na broni. Oddechy i ciepło ich ciał przebijały się przez chłodne powietrze ku chmurom. Niczym smok najeżony pikami falowali, oddychali, czekali, nasłuchiwali.

Nedowi zaczęło burczeć w brzuchu. Usłyszał, że ktoś ma torsje i powstrzymuje szloch. Tu, między pikami, nie ma miejsca na wymiotowanie, nie da się uniknąć pobrudzenia towarzyszy. Kwaśny odór zmieszał się z fetorem przerażonych ludzi. „Czuję woń strachu” – pomyślał Ned. „Pachnie on gównem i rzygowinami”. Na skrzydłach formacji złożonej z pięciu oddziałów pikinierów muszkietarzy niespokojnie sprawdzali broń. Ich palce nerwowo przeskakiwały od lufy do zamka.

Mgła była najgorsza. Pod Edgehill Ned doświadczył oślepienia bitewnego w oparach dymu, który unosząc się grubą warstwą nad polem bitwy, doprowadził do całkowitego zaniku widoczności. Ale walka przynajmniej już się rozpoczęła. Wróg był z przodu, w odległości pchnięcia piką.

To oślepione mgłą czekanie w ciszy było gorsze. Oddział pikinierów wzdrygał się przy szeleście liści, w drzenie wprowadzał go dźwięk łamanych gałązek. Okrzyki zwiadowców wzywających ich pod broń, rozkazy dowódców formujących bojowe szyki, wszystko to zniknęło, pozostawiając jedynie głęboką, niepokojącą ciszę.

Nagle usłyszeli tętent kopyt końskich. Skądś dochodziło do nich podniecone

ujadanie psa, przypominające szczekanie ogara, który chwycił trop. Ned, wciśnięty między towarzyszy, czuł, że szyk słabnie, jeszcze zanim się załamał. Kilku weteranów zaczęło krzyczeć. Stojący obok Taff gardłował: „Trzymajcie szyki, trzymajcie, sukinsyny!”.

Zza lewego ramienia Neda dochodziły słowa wymawiane wysokim głosem:

– Jezu Chryste. Jezu Chryste. Jezu Chryste. Miej nas w swojej opiece, Panie.

– Zamknij się – odezwał się ktoś inny za Nodem.

Jego hełm był gorący i ciężki, spływający pot stygł w listopadowym powietrzu i ziębił mu policzki.

– Jezu. O mój Boże.

– On cię nie słyszy, chłopcze!

– Więc niech chociaż usłyszą pieprzeni kawalerzyści.

Rozległ się śmiech i oddział stanął pewniej. Ned trzymał swoją pikę tak mocno, że wyobraził sobie jak palce zamarzają mu w szpony.

Atramentowy Pete mocno i głośniejsz zaintonował psalm:

– „Bo Pan uznaje drogę sprawiedliwych, a droga występnych zaginie”[\[12\]](#).

– Występnych zaginie. Oni zaginą – mruczał Ned pod nosem.

Tętent narastał i chłopak czuł drzenie ziemi pod stopami. Zmusił się do posłuszeństwa rozumowi, choć nogi drgały mu z pragnienia ucieczki. Uciekaj. Stój, głupcze, jazda nie może przedrzeć się przez pikinierów. Jazda nie może przedrzeć się przez pikinierów. Nie może przedrzeć się przez pikinierów. Nie może przedrzeć się przez pikinierów. Koniec piki oparł o lewy but, ostrze ustawił pod kątem, na wysokości końskiej głowy. Próbował sobie wyobrazić grot przebijający szyję chabety, docierający do jej miękkiego wnętrza.

Wyczuwał u towarzyszy tę samą walkę między rozumem a nogami. Strach pochwycił pikinierów w swoje kleszcze. Stać w miejscu, na miłość boską. W miejscu.

Nagle konie przedarły się przez mgłę rozpościerającą się przed nimi, z rozdętymi chrapami i kopytami bijącymi o darń. Nadeszły z hukiem niczym grom i przy wystrzałach z pistoletów. Rozległ się piskliwy krzyk, po którym szyk przed Nodem się rozpadł. Usłyszał ponaglanie Taffa, dzikie przekleństwa i spostrzegł, że biegnie, biegnie. Strach był jak demon trzymający jego duszę. Próbował uwolnić się od niego, ale kto jest w stanie uwolnić się od własnej duszy? Demon wymazał jego myśli, rozluźnił trzewia, ścisnął żołądek i pędził na jego galopującym sercu. Ned upuścił pikę, nie zatrzymując się, żeby spojrzeć, gdzie upadła.

Biegł, grzęznąc w błocie, jego stopy gorączkowo szukały stałego oparcia. Z każdej strony zabijano ludzi, ich krew pryskała na niego, wpadała mu do oczu z potem tak, że ledwie widział. Nie mógł myśleć ani się modlić, pozostała mu tylko ucieczka, kluczenie, jak osaczonemu lisowi. Rozlegający się z tyłu dziki tętent kopyt obudził zwierzę w oszalałym ze strachu ciele Neda. W końcu dotarł do rzeki i rzucił się w jej nurt. Lodowata woda odebrała mu dech w piersiach, wywołując kolejny wstrząs w jego przerażonym ciele.

Zmagał się z ciężką oponczą, lodowatymi dłońmi szarpnął za trzymające ją sprzączki Wyczuwając coś za sobą, odwrócił się i spojrzał prosto w oczy mężczyźnie siedzącemu na końskim grzbiecie. Jeździec celował obnażoną szpadą w jego gardło. Ned czekał, już nawet się nie bał, w końcu. Opanowało go poczucie spokojnej pustki. Skulił się. Nieme stworzenie wpatrywało się w kawalerzystę szeroko otwartymi oczami Neda.

Mężczyzna przekrzywił głowę i odjechał, rezygnując z zadania śmiertelnego pchnięcia.

Ned słaniał się na nogach, a lodowata woda sięgała mu do pasa. Nagle przed nim zamajaczyła twarz wrzeszczącego Taffa. Nedowi wydawało się, że minęły minuty, godziny, zanim zrozumiał wyrzucane przez niego słowa: „Nie umiem pływać! Pomóż mi, Ned!”. Prąd wody był silny i Ned przewrócił się, kiedy Walińczyk uchwycił się go i przywarł do jego pleców.

Z tyłu nadjeżdżali jeźdźcy, siejąc spustoszenie wśród uciekających żołnierzy. Woda mieszała się już z krwią, kiedy Ned i Taffy rzucili się we wzburzone fale rzeki. Walińczyk wpadł w panikę i ciągnął ich obu na dno. Wstrząs wywołany zinnem sprawił, że Ned przejął nad sobą kontrolę, spychając przerażone zwierzątko w zwykle zajmowany przez nie kącik w umyśle.

Ned przedzierał się przez rzekę, walcząc z prądem i miotającym się towarzyszem. Dopiero kiedy wyszedł na drugi brzeg, całkowicie opanował demona. Jednak wówczas pojawił się nagły wstyd. Bo czy człowiek może przegrać ze zwierzęciem i nie splamić swojego dobrego imienia?

*

Koszmar się oddala, gdy siedzi obok ojca z pełnym brzuchem i otulony ciepłym płaszczem. Odgrywa tę scenę w głowie, ale czuje, jakby była to historia opowiadana przez kogoś innego. Pamięta, jak wola życia podpowiadała mu, by porzucił przyjaciela w lodowatej wodzie, jak niewiele brakowało, żeby zaczął gryźć ramiona Taffy'ego zaciskające się coraz mocniej na jego szyi.

Ojciec patrzy na niego ze współczuciem, z wyrazem twarzy, który niegdyś przybierał, kiedy dzieci obcierały sobie kolana i nabijały siniaki. Ned walczy ze sobą, żeby się nie rozplakać jak mały chłopiec.

– Spojrzałem w tył na drugi brzeg rzeki i zobaczyłem niezliczoną ilość ciał. Można było iść po plecach zabitych. Po drugiej stronie czekał książę Rupert. Wiedziałem, że to on – zauważyłem psa idącego u boku jego konia. To diablę to znak szatana. Nie jest to pies, lecz demon pod postacią psa.

– Feralny dzień – mówi Challoner, kręcąc głową. – To nie przyniesie nic dobrego Jego Wysokości. Do Reading posłano delegację pokojową, a później nadeszły wieści o tym, jak książę Rupert złupił Brentford. To było okrutne – na sposób, który poznaliśmy podczas wojen na kontynencie. Anglicy plądrujący angielskie miasto,

podczas gdy król mówi o pokoju. Teraz stronników króla uważa się za zbyt podstępnych, by ufać im, kiedy mówią o pokoju. Jego ludzi wszyscy obawiają się jak demonów gotowych splądrować Londyn.

– Trudno się dziwić, mam wrażenie, że całe City tu przybyło z poparciem dla Essexu.

W szarym świetle Ned widzi tłum ludzi, wozy i rezerwistów. Kobiety i dzieci – chłopców uzbrojonych w noże kuchenne i starców wymachujących kosturami.

– Lepiej pozostać w tłumie. I się nie ruszać – odzywa się Ned.

– Nie zawsze, chłopcze. Nie zawsze.

Ned spogląda na trawę i zrywa szerokie źdźbło. Jako dziecko rozciągnąłby je między kciukami i zagrał, bawiąc się, że to trąbka wojskowa. To nie było w gruncie rzeczy tak dawno temu.

Odnalazł słowa, których szukał.

– Ojcie, od Brentford nie widziałem Kołka.

Challoner wstrzymał oddech.

– Nie ma żadnej nadziei?

Ned kręci głową.

– Boże, powinienem napisać do jego rodziców. Czy po tej bitwie chciałbyś wstąpić do jazdy? Mam dla ciebie teraz wystarczająco dużo pieniędzy na ekwipunek.

– Dziękuję, pomyślę o tym.

Przez chwilę milczą, Ned teraz je powoli. Skubie jedzenie, już tylko dlatego, że może, nie z głodu.

– Nienajlepszy ze mnie żołnierz.

– Jesteś szczęściarzem, Ned. Dwa razy oszukałeś śmierć. Tylko dobrzy żołnierze mają tyle szczęścia.

– Ciągle myślę o tym kawalerzyście, który trzymał szpadę przy moim gardle. Wszystko, czym jestem, wszystko, co czuję, on mógł zakończyć. A jednak.

– Nie zrobił tego. Bądź za to wdzięczny. Widzę w tym rękę Boga.

– Ale ojcie, czy ty to pojmujesz? Mógł mnie zabić, ale zdecydował inaczej. Dlaczego? Bo spodobała mu się moja twarz? Bo wydała mu się szpetna? Ta przypadkowość mnie przeraża. Może dostał list od kochanki albo ma syna w moim wieku, który obchodził tego dnia urodziny. Kołek jest martwy, ja żywy. Między nami rzut monetą.

Challoner położył dłoń na ramieniu syna.

– To nie rzut monetą, chłopcze. To przeznaczenie. Biedaku. Wojna jest próbą dla ludzkiego umysłu. Czas, który spędziłem na kontynencie, doprowadził mnie do arminianizmu.

– Jak to?

Challoner zrobił przerwę zanim zdecydował się odpowiedzieć, ważąc słowa. Ned rozpoznał w tym lęk ojca przed wywołaniem kłótni.

– Proszę, opowiedz mi – mówi.

– No cóż. Zobaczyłem człowieka, znajomego, jak podnosi noworodka. Dziecko

kwiliło niczym jakiś cholerny kociak. Chwycił je za nogi i roztrzaskał główkę o ścianę. Mózg niemowlęcia rozprysnął się, odrobina padła tutaj.

Wskazał na swoje czoło i potarł je, jakby chciał zetrzeć tę starą plamę.

– Widziałem wiele rzeczy, ale tej nie mogę zapomnieć. To wydarzenie sprawiło, że zacząłem sobie zadawać pytania o to, w co wierzę. Skoro Bóg kształtuje nasz los, czy jest Bogiem, który każe ludzkim ręką rozbijać główki noworodków? Jeśli o tym wszystkim decyduje predestynacja, zabójca może stać ramię w ramię ze świętymi, a dziecko zostać potępione. Wiem! – Macha ręką, kiedy Ned otwiera usta, żeby się odezwać. – Wybrani mają obowiązek poddać się woli Bożej. Ale uznałem ten argument za nieprzekonujący. Później przeczytałem o nauczaniu Arminiusza i poczułem, że to do mnie przemawia. Człowiek ma wolną wolę. To on dokonuje wyboru zabicia dziecka, bez udziału Boga. Jednak, jeśli Arminiusz ma rację, będzie musiał za to zapłacić. Jakże mogłoby być inaczej. Zostanie rozliczony i osądzony. Rozliczony i osądzony.

Przez chwilę milczą. Ned nie może myśleć o ripoście, nie teraz. Wszystko to jest zbyt abstrakcyjne. Rzeczywiste dla niego są tylko jego pełen brzuch i strach przyprawiający go o mdłości. Mająca nadejść bitwa tkwi w jego pamięci jak złowróźbna drzazga.

– Będziemy się o to kłócić przez całe życie, ojczy – mówi.

– Jeden z nas w końcu się dowie, że drugi się mylił. Niech Bóg da, żebym to był ja, mój synu.

– Muszę wracać.

Jest już zupełnie jasno. Być może wojska królewskie zajmują już pozycje ma podmokłych polach. Gwar wokół nich staje się głośniejszy, a zgrzyt ostrzonej stali niesie się ponad łąką. Ned chce zostać, położyć głowę na kolanach ojca i owinąć się swoim ciężkim płaszczem.

– Odszukam cię, kiedy będzie już po wszystkim – mówi Challoner.

– Powinieneś wrócić do domu. Zaopiekować się Henriettą i Samem. Możemy przegrać.

Ned uśmiecha się, zorientowawszy się, jaki paradoks kryje owo „my”.

Odwraca się, żeby wrócić do Walińczyka i Świętego Joe’ego, ostatnich spośród chłopaków, z którymi zaczynał tego lata na Artillery Ground.

*

Na Fetter Lane Hen chodzi po jadalni. Czuje się jak jeden z lwów w Tower, odliczając czas i przestrzeń niekończącym się, bezcelowym chodzeniem w kółko. Dom jest cichy i pusty. Sam wyszedł. Przyszedł do jej pokoju w nocy, żeby powiedzieć, że wyrusza z City do Turnham Green. Wiedziała, że w sytuacji, gdy bitwa ma się rozegrać tak blisko ich domu, a wszyscy jego przyjaciele wstąpili do oddziałów walczących przeciwko królowi, nie będzie w stanie zatrzymać brata. Sam ją pocałował na

pożegnanie, a ona poczekała aż zamknie drzwi, zanim wybuchnęła płaczem.

Harmsworth też wyszedł. Zgorzkniały, zawzięty Harmsworth. Może zmrozi kawalerom krew w żyłach swoją cierpkością. Kilku czeladników, których nie znała, przyszło po Kociołka. Wyszedł z nimi blady i milczący. Pewne było, że go obją, jeśli nie pójdzie, ryzykował śmierć idąc z nimi. Biedny Kociołek. Nie wszyscy mężczyźni rodzą się bohaterami.

Niania nadal przebywa w Oksfordzie, niech Bóg sprawi, żeby została tam na zawsze. Kucharka, kiedy skończyły piec, zapytała, czy może iść do siostry, której trzej synowie też wystąpili przeciwko królowi. Hen pocałowała ją i pobłogosławiła, a ona wybiegła w ciemność, zabierając ze sobą małą Milly. W starym, wspانياłym domu zostały tylko Hen i jej babcia.

Henrietta słyszała o złupieniu Brentford, któż nie słyszał? Podzieliła góry ulotek na sprzyjające rojalistom i radykałom. Popierające króla druki znajdują się w jadalni, żeby w razie potrzeby posłużyć jako dowód lojalności. Radykalne zostały zakopane w skrzyni w ogrodzie, razem z najlepszym winem ojca, srebrnymi platerami i biżuterią po matce. Ojciec, zanim wyruszył na poszukiwanie Neda, zszedł do biura, gdzie został przez cały wieczór. Potem zakopał pełną skrzynię pod głogiem.

Hen idzie do biblioteki, żeby popatrzeć na ogród przez okno. Świeżo skopaną ziemię przysypała suchymi liśćmi. Ogród sprawia wrażenie zaniedbanego, ale przynajmniej nie budził podejrzeń. „Jestem teraz jedyną rzeczą wartą grabieży” – myśli. „Jak Kociołek, stawiam czoło losowi, ale nie mam na niego wpływu”.

Idzie na górę do babki, która leży w łóżku pod kołdrą naciągniętą pod szyję.

– Zejdiesz do jadalni? – pyta Henrietta. – Powinniśmy być razem.

Staruszka potakuje. „Kiedy po raz ostatni wyszła ze swojego pokoju?” – zastanawia się Hen. „Latem? A może wiosną?”.

Na progu pokoju kobieta chwytą wnuczkę. Z szeroko rozwartymi oczami mówi chrapliwym głosem:

– Nie mogę, nie mogę.

– Dlaczego? Chodź, babciu. Co może się stać? To tylko schody.

Ale starą kobietę opanowuje szaleńczy strach.

– Nie mogę, Hen. Nie zmuszaj mnie. Chcę zostać tutaj. Tutaj jest bezpiecznie.

Hen jest rozdrażniona, wściekła. Ma ochotę potrząsnąć drżącą babką, wziąć na rękę, znieść na dół i krzyknąć: „Patrz! Nic tu nie ma! Żadnych demonów ani szatana!”.

Zmusza się, żeby zabrzmieć łagodnie.

– Chodź, babciu, proszę.

Staruszka odsuwa się od wnuczki. Z zadziwiającą zwinnością odkrywa kołdrę i wskakuje do łóżka.

Kiedy Milly odeszła, nikt nie opróżnił jej nocnika i w pokoju mocno cuchnie. Hen daje za wygraną i naciąga kołdrę pod brodę babki. Otwiera okno, a powiew świeżego powietrza uderza ją po twarzy. City jest upiornie spokojne, niedorzecznie puste. Nagle

przychodzi jej na myśl Will. Czy Will poszedł do Turnham Green? Czy jest tam? Wszyscy bliscy memu sercu są wiele mil stąd, stawiają czoło muszkietom, pikom i śmierci pod wszelkimi możliwymi postaciami.

Wzięła nocnik i chlusnęła jego zawartością na ulicę. Nie może zmusić się do wyniesienia jej na zewnątrz. Tak czy inaczej, człowiek wywożący nieczystości zapewne też jest w Green.

Za nią babcia pochlipuje. Stała się jeszcze słabsza i mniejsza. Całkiem już przygasły rozbłyśki żaru, które przetrwały jej zstępowanie w depresję. Zdziecinniała. Zredukowała się do sumy łaknień i wydaliny. Jak to ujął Jakub?

I wreszcie akt ostatni, który kończy

Dziwną i pełną zdarzeń akcję sztuki:

Nowe dzieciństwo, gdy traci się pamięć,

Zęby, smak, włosy, wzrok – i w końcu wszystko[\[13\]](#).

„Żałosny typek ten Jakub” – myśli. Jej ojciec zawsze go lubił. Uśmiecha się na myśl o tym.

Zamyka okno i podchodzi do łóżka. Przyciąga krzesło, żeby usiąść koło babki i odgarnia staruszcze siwe włosy z czoła. „Mogłabym poczytać. Ale jaka książka będzie odpowiednia, kiedy waży się moje życie?” Kładzie czoło na kołdrze i zamyka oczy. Szczypią ją z niewyspania. Całą noc piekła paszteciki dla Neda na wypadek, gdyby ojcu udało się go odnaleźć. Wiedziała, że nie najlepiej się jej udały. „Pani Birch i niania mają rację” – myśli. „Kto będzie chciał mieć mnie w domu? Jaki mają ze mnie pożytek ojciec, Sam i Ned? Mam mnóstwo bezużytecznych umiejętności i żadnych, które się liczą”.

„Jeśli przeżyją, Boże, nauczę się gotować i prowadzić dom. Stanę się twoją lepszą służebnicą, Panie”.

– Babciu – pyta cicho – pomodlimy się?

Staruszka kiwa głową na znak zgody. Hen klęka przy łóżku i ścisną jej dłonie. Znane słowa obmywają ją jak zaklęcie i czuje się spokojniejsza.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie,

święć się imię Twoje;

przyjdź Królestwo Twoje;

bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi.

Hen myśli o ojcu, wyczarowuje w pamięci jego niepohamowany śmiech. Przywołuje obraz poważnego i sumiennego Neda, usiłującego odnaleźć swoją dorosłość. Wyobraża sobie Sama witającego przyjaciół w tłumie, traktującego bitwę jak olbrzymi, rozbudowany kawał. Myśli też o Willu, takim jakiego go ostatnio widziała – ubrudzonym od błota i opuszczonym.

Jej myśli biegną ku Kołkowi, Kociołkowi i chłopcom Birchów. A Oliver Chettle też musi tam gdzieś być. „Czy równie sprawnie posługuje się szpadą jak piórem?” – zastanawia się.

Klęka obok babci i stara się nie targować z Bogiem. Zabierz Roberta Bircha, ale

oszczędź Sama. Weź Kołka, ale oszczędź poczciwego Kociołka. „Przestań!” – rozkazuje sama sobie. „Przestań! Bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Bądź wola Twoja”.

*

– Bo Twoje jest królestwo, potęga i chwała na wieki. Amen.

Nawet Taffy dołączył.

Obok nich, na wilgotnej trawie, leżą resztki jedzenia. Niewiele zostało.

– Powinniśmy zostawić coś na później – mówi Ned po skończonej modlitwie.

Znowu czekają.

– Może nie być żadnego później – odpowiada Walijczyk, sięgając po plaster ciężkiego puddingu śliwkowego.

– Będzie manna niebiańska – odzywa się Joe, wznosząc wzrok ku niebu.

– Z pewnością nie smakuje lepiej niż ten pudding – odpowiada bez zastanowienia Ned. Odwraca się do Taffa, który patrzy na niego z szerokim uśmiechem na swojej lisiej twarzy. – Niech cię cholera weźmie, Taff – mówi i odpowiada mu uśmiechem.

Stojący w pobliżu kapitan krzyczy i mężczyźni wokół niego ustawiają się w coś na podobieństwo szeregu. Ned, Taffy i Joe są niedobitkami bez przydziału. Ich pułk został rozbity pod Brentford, oni i inni ocalali przyłączyli się do wyszkolonych oddziałów Philipa Skippona. Wielu z ich towarzyszy powołano przymusowo, wyrwano z ich drobnych interesów i rodzin, żeby z piką w ręku stawili czoła śmierci. Niektórzy zastąpili zamożniejszych mieszkańców City, którzy zapłacili za zajęcie ich miejsca w szyku bojowym.

A oto sam Skippon, przejeżdża obok, robiąc inspekcję oddziałów. Zatrzymuje się przy grupie Neda.

– Jesteście ludźmi Hollesa? – pyta

Potakują i burczą coś pod nosem.

– Sądzę, że będziecie mieli dziś okazję pomóc kolegom.

Skippon już ma odjechać, ale zatrzymuje się i patrzy na Neda.

– Ned Challoner? – pyta niepewnie.

Ojciec Neda służył ze Skipponem pod sir Horace'em Verem w Czechach i chłopak poznał swojego nowego dowódcę w Londynie. Jeszcze przed wojną.

Ned kłania się.

– Tak jest, sir.

– Ty tutaj? Nigdy bym nie pomyślał.

Chłopak potwierdza kiwnięciem głową.

– I jestem z tego dumny, sir.

– Słyszałem, że twój ojciec, a mój stary przyjaciel, nie jest równie przychylny naszej sprawie.

– Dobrze pan słyszał, sir.

Ned wskazuje gestem swoją pikę i ubłocone łachmany, które teraz uchodzą za jego mundur.

– Smutne to zaprawdę czasy, kiedy rodziny są podzielone. Ale dziś Bóg jest z nami, panowie – mówi głośnej i z jego ust wypływają okrągłe frazesy: – Przeciwwstawimy się bałwochwalstwu oraz papistom i rozproszymy cudzołożników, którzy powstają przeciwko nam, i pójdziemy z Bogiem w sercach przeciwko sługom Baala. – Cicho, na tle pomruku aprobaty, zwraca się do Neda: – Przyjdź do mnie później, chłopcze. Przyjdź i odszukaj mnie.

Kiedy odjeżdża, Ned patrzy z zakłopotaniem na Taffy’ego i Świętego Joe’ego.

– Ned, mój chłopcze – Walijczyk naśladuje sir Philipa, przeciągając samogłoski. – Potrzebuję kogoś do lizania mi tyłka. Słyszałem, że masz miły, delikatny język, młody człowieka.

Obraca się i prowokacyjnie rusza tyłkiem przed Nodem. Święty Joe chichocze.

– Twoja mać – mówi Ned łagodnie.

– I twoja.

– Zobaczysz, że mamy rację – odpowiada Joe. – Nie wiedziałem, że jesteś takim luksusowym chłopaczkiem.

– Może, tylko może – odzywa się Taffy – zobaczy nas przy wypłacie żołdu.

– Wypłacie! Prędzej ujrzysz kawalera niż dzień wypłaty – wtrącił się stojący obok siwy mężczyzna.

Jego słowa wywołały pomruk aprobaty wśród znajdujących się nieopodal pikinierów.

– Wykonujemy Boże dzieło, a co nam dają te łajdaki? Tylko obietnice i kolejne obietnice – mówi jakiś chłopak.

Narzekania przerywa wystrzał broni.

– Dzięki Ci składamy za Twe hojne dary – mówi Taff.

– Będiesz bluźnił też w piekle, Taffy? – pyta Ned

– Będę, chłopie, kiedy zobaczę cię obok siebie.

Ned chwyta pikę, czekając na rozkazy.

– Spójrzcie tam – odzywa się siwy mężczyzna, wskazując na zbocze, gdzie zebrali się obserwatorzy. – Cóż za osobliwy tłum gapiów i kibiców.

„Ojciec pewnie jest wśród nich” – myśli Ned.

– Nie jesteśmy przecie na paradzie majowej – zauważa Joe.

Wystrzał sprawia, że tłum gapiów się cofa, ich panika jest widoczna nawet z miejsca, w którym stoi Ned. Kiedy staje się jasne, że kula nie padła w pobliżu, tłum ponownie przesuwa się do przodu.

– Jak owce, gdy wilk wejdzie do zagrody – mówi Walijczyk. – Głupie dranie.

Strachliwy, ale ciekawski tłum wygląda komicznie i rozbawieni chłopcy wstają, czekając na kolejny ruch zebranych.

– Teraz sobie pójdą – krzyczy Ned, kiedy ciżba znów się cofa na wzgórze.

– Nie, wracają – woła Walijczyk radośnie, gdy gapie znów wysuwają się do przodu.

Czas mija, a oni muszą sobie jakoś z tym radzić. Ranek się ciągnie. Nadal żadnego ruchu. Gorączkowa energia nieco opada, nikt nie może tak długo wytrzymać napięcia. Śpiewali już psalmy i obgadali przeciwników, pozostaje im tylko czekać.

– Miałem więcej powodów do podniecenia, kiedy przerzucałem gnój – zauważa Taffy pośród posępnej ciszy.

Zbliża się południe i nadal żadnego ruchu. Wojska królewskie stoją naprzeciwko. Wystarczająco daleko, by pozostać anonimowe, na tyle blisko, że budzą lęk.

– Co się dzieje, sir? – Ned pyta przechodzącego oficera w pomarańczowej szarfi wojsk Essexu. Przed wstąpieniem do armii Ned nie przypuszczał, że można stać w szyku bojowym i nie wiedzieć, jaki manewr wykonuje cała formacja.

Oficer zatrzymał się i spojrzał na twarz zwróconą w jego kierunku.

– Mamy przewagę liczebną nad tą papistowską hołotą, ale oni mieli nas pobić dzięki jeździe. Patrz tam.

Wskazał niewielki oddział królewskiej konnicy przemierzający teren rozciągający się przed wojskami rojalistów.

– Badają grunt. Panienki z kawalerii twierdzą, że tutejszy grunt jest straszny dla koni. – Wzrusza ramionami. – Bawimy się więc w „kto pierwszy stchórzy”, chłopcy. Zobaczmy, kto pierwszy wykona ruch.

Chwilę później kolejne linie przekazują sobie rozkazy. Stać w szyku, trzymać piki w dłoniach, ale cofnięte. Później z tyłu pojawiają się wozy. Więcej żywności. Z Londynu. Od kobiet na tyłach.

Rozkazy padają rzadko, więc żołnierze rozpoczynają rozmowy w szeregach.

Na twarzy siwego mężczyzny pojawia się nieprzyjemnie szeroki uśmiech.

– Te papistowskie łajdaki nie mają tam jedzenia. A pewnie czują nasze.

Radość ogarnia parlamentarzystów. Wymachują chlebem i mięsem w stronę wroga. Rzucają na wpół obgryzione kości drobiu na ziemię niczyją rozciągającą się między armiami. Parę wydobywającą się z wnętrza otwartych pasztecików dmuchają w stronę rojalistów.

Podczas drugiego posiłku Walińczyk śmieje się do rozpuku na myśl o zmarzniętych, przemoczonych i głodnych zwolennikach króla siedzących po drugiej stronie pola. Wyciera łzy z oczu i wstaje, wymachując wielkim dzbanem portera.

– Popatrzcie na to! – woła do przeciwnej strony. Bierze głęboki łyk. – Smakuje jak cholerny nektar, wy papistowskie dziwki.

W końcu, syci, siadają i znów zapada cisza.

– Myślisz, że będziemy walczyć, Taff? – pyta Ned, patrząc jak zimowe słońce zaczyna chować się za warstwą chmur, które uparcie wiszą nad horyzontem.

– Nie wiem, robi się późno, na rany Chrystusa, ale chciałbym, żeby ci dranie w szarfach w końcu się zdecydowali.

Siwy mężczyzna przerywa im.

– Ruszyli się – krzyczy.

To pewne, pikinierzy z naprzeciwka odchodzą. Cienka, karmazynowa wstążka nieba nad głowami rojalistów została uwięziona między ciemnymi chmurami i horyzontem.

– Chryste, oni sobie idą. Idą!

Pomruk staje się coraz głośniejszy wśród wojsk parlamentarzystów. Rojaliści odchodzą. Odwróciwszy się tyłem do Londynu, odmaszerowują. Ned nie potrafi opisać, jak się czuje. Oszukany? Czy może odczuwa ulgę?

Pada na kolana, a inni żołnierze w pobliżu idą w jego ślady. Modlą się, żeby podziękować Bogu za wybawienie.

Kiedy skończyli, Taffy naśladuje szczekliwy głos sierżanta:

– Panowie, odwrócić się, tyłem!

O dziwo, żołnierze w jego pobliżu wykonują rozkaz.

– Bryczesy w dół! – krzyczy.

Niemal wszyscy go posłuchali. Ned uśmiecha się, spuszczać spodnie.

– Na trzy, wystawić tyłki! – wrzeszczy Taff. – Raz, dwa, trzy.

Nad Turnham Green zapada zmierzch, a wyszkolony oddział Skippona pokazuje rząd gołych tyłków wycofującym się papistom.

[12] Ps 1, 6.

[13] William Szekspir, *Jak wam się podoba*, przekład Stanisław Barańczak, akt II, scena 7.

ROZDZIAŁ 13

JESIEŃ 1642

– Dalej – szepcze Hen. – Zrób to.

Sam nerwowo się rozgląda. Na końcu wielkiej sali rodzina po cichu przemierza komnatę. Troje dzieci zamilkło onieśmielonych przepychem otoczenia. Okna są brudne i promienie słoneczne z trudem dostają się do środka. Jest to teraz ponure, puste miejsce. Ściany są upstrzone ciemnymi i jasnymi śladami, ten wzór zdradza, w których miejscach niegdyś wisiały obrazy.

Naprzeciw nich stoi majestatyczny, straszny tron królewski. Jest znacznie większy niż fotel ich ojca. Na tronie król musiał wydawać się mały jak dziecko, o ile nie było się wystarczająco blisko, żeby dostrzec jego twarz. Drewno jest pokryte złotem. Hen zamyka oczy i próbuje wyobrazić sobie komnatę wypełnioną dworzanami, Karol siedzi w majestatycznej pozie, a oni kłaniają się i płaszczą przed nim. Rozbrzmiewająca w pomieszczeniu pustka kładzie kres jej wyobrażeniom.

– Nie dam rady – szepcze Sam. – Ty to zrób.

Siostra uśmiecha się, podbiega do tronu i na nim siada. Przez długie sekundy odczuwa jednocześnie przerażenie i zachwyty. W końcu zrywa się i oddala. Czuje niepokonowaną niesforność, jakby znów była dzieckiem i ukradła pasztecik albo stłukła cenną filiżankę.

– Twoja kolej – mówi do Sama, wiedząc, że teraz, kiedy ona to zrobiła, będzie chciał iść w jej ślady.

Chłopak szybko zbliża się do tronu i siada na krótką chwilę, która starcza mu, żeby pomachać ręką i skłonić zaśmiewającą się Hen do złożenia mu głębokiego dygnięcia.

Powoli przechadzają się po olbrzymim, pustym pałacu, królewskich apartamentach, kręgielniach, kortach tenisowych i komnatach reprezentacyjnych. Warstwy królewskiej historii układają się cegła na cegle w ogarniętym chaosem pałacu. Na dziedzińcu turniejowym stoi słup w miejscu, gdzie kiedyś trzymano niedźwiedzie na łańcuchach. Hen zastanawia się, co stało się z niedźwiedziami. Z pewnością nie przeniosły się do Oksfordu, jak reszta dworu.

Jakże dziwne to uczucie przechadzać się po pałacu, jakby należał do nich. W City pojawiła się pogłoska, że opustoszała rezydencja nie jest strzeżona i każdy w tych dziwnych czasach może przejść się śladami króla.

Nie są sami. Wydaje się, że pół Londynu skorzystało z przerwy w prawie nieustannym deszczu, żeby zobaczyć opustoszały i wymarły pałac. Zredukowana do minimum służba pozostawiona w rezydencji, widząc napływ gapiów, ukryła wartościowe przedmioty i królewską kolekcję obrazów w kilku strzeżonych, zamykanych na klucz komnatach. W pałacu pod nieobecność dworu rozbrzmiewa cisza. Przy bramie King's Gate nie ma dandysów ani straży. Nie ma dam w szerokich spódnicach przebiegających korytarze ani dżentelmenów przechadzających się z raketami tenisowymi. Muzycy nie spieszą do sali bankietowej. Nie ma też służących, by zamieść i wyfroterować podłogi. Zamiast tego po pałacu przechadzają się drapichrusty, z otwartymi ze zdziwienia ustami podziwiający tutejszy przepych. Rezydencja, mimo że ogołocona z gobelinów i obrazów, zachwyca. Sufity są sklepione łukowato i rzeźbione, a kominki olbrzymie i zdobne. Kiedy jednak spojrzy się w dół, okazuje się, że podłogę pokrywają błotniste ślady butów, a brzegi mat z sitowia są wytarte.

W jednej, szczególnie bogato zdobionej komnacie Sam i Hen natknęli się na grupę ludzi zebraną przed malowidłem ściennym. Ukazywało ono króla Henryka na szeroko rozstawionych nogach i z płonącym spojrzeniem. Wyglądał jakby miał za chwilę zeskoczyć ze ściany i zgromić ich: „Co ta hałastrą, co ci gnojarsze robią w moim pałacu?!”. W komnacie nie słychać śmiechów, tylko szepty i trwożne pytania: „Wygналиśmy naszego króla. Przepędziliśmy go! Cóż najlepszego uczyniliśmy?”.

Idąc do pomieszczeń kuchennych, Hen i Sam mijają parę obdartusów dźwigających wielki wór z węglem skradzionym z komórki. Kobieta, wychudła i siwa, patrzy podejrzliwie na Hen. Dziewczyna odwraca wzrok, kiedy schodzi na bok, żeby ją przepuścić. Zima będzie ciężka dla londyńskich biedaków, bo w rękach króla znajdują się wielkie miasta węglowe, a ceny opału nieustannie rosną. W kuchni panuje zamróz. Wielkie paleniska są zimne i ciemne, a oddechy rodzeństwa zmieniają się w parę w lodowatym powietrzu. Spiżarnia i izba do przechowywania masła zostały ogołocone.

Widok splądrowanej kuchni wywołuje smutek u Hen.

Przechodzą do Banqueting House wzniesionego przez zmarłego ojca króla, pierwszego władcę z dynastii Stuartów. Wcześniej dość często mijali ten budynek. Zdumiewająca nowoczesność monumentalnej kamiennej fasady kontrastuje z wszechobecną cegłą. Jego rozmiary, dostojność i wspaniałe klasyczne proporcje nadal zadziwiają. Londyńczycy beztrudnie odgrywają pantomimę przed budowlą, przyjezdni zadzierają głowy i patrzą z zachwytem. Kiedy wchodzi do środka, odgłos ich kroków głośno rozbrzmiewa, odbijając się echem od ścian. Gobeliny zniknęły i mury są gołe. Ponad nimi, na sklepieniu, rozpościera się jednak olbrzymie malowidło Rubensa, ukazujące chwałę króla Jakuba. Hen i Sam spoglądają w górę.

Przyłączają się do innych londyńczyków, którzy leżą na ziemi, żeby mieć lepszy widok. Ponad nimi królowie i bogowie spływają z niebios i pozują, ich ramiona ożywiają ruch, na obliczach postaci widać grę światła, ich szaty unoszą się w fałdy chwytające cień.

– Nedowi by się to nie spodobało – mówi Sam z oczami wlepionymi w jędrny biust anioła.

– Na Boga, nie – odpowiada Hen. – Miejmy nadzieję, że król zabrał wszystkie drabiny do Oksfordu, w przeciwnym razie purytanie namalują w tym miejscu coś bardziej przyzwoitego.

– Mhm – z roztargnieniem odzywa się Sam.

– Tak, panienko, to byłaby parodia.

Dziewczyna obraca się i widzi niskiego, pomarszczonego mężczyznę leżącego obok i patrzącego w górę z niemal ekstatycznym wyrazem twarzy.

– Czyż to nie wspaniałe? – pyta, nie odrywając oczu od malowidła. Wskazuje na jeden z owalnych paneli. – Spójrzcie tam. Obfitość zwycięża Skąpstwo, tak mi się wydaje.

Złota postać w aureoli przypiera jakieś żalosne stworzenie do ziemi.

– A tam – odzywa się, znów pokazując ręką – Mądre Rządy trzymają za cugle Nieumiarkowaną Niezgodę.

Mądre Rządy mają postać znudzonej kobiety, a Nieumiarkowana Niezgoda nagiego, skulonego mężczyzny. Hen stwierdza, że malowidło w dziwny sposób ją porusza. Patrzy na obojętność malującą się na twarzy kobiety i żalosne poniżenie pokonanego. Nie dostrzega alegorii, którą miał w zamyśle malarz, widzi natomiast „Bezstronną Śmierć odnoszącą zwycięstwo nad Bratem”. Wyobraża sobie Neda, gdzieś daleko, tak samo pokonanego, zmarzniętego, nagiego i samotnego.

Chwyta Sama za rękę.

– Chodźmy już, proszę – mówi.

Zostawiają człowieka leżącego tam bez ruchu i śledzącego dzieło geniusza na sklepieniu.

Przechodzą przez labirynt apartamentów i w końcu znajdują się w ogrodach prywatnych. Bezlistne drzewa wzdłuż ścieżek nadają ogrodowi tragiczny, zaniedbany wygląd. Niezgrabione liście zmieniły się w szlam, sprawiając, że dróżki stały się śliskie. Wyrzeźbione w drewnie figury wyglądają nieśmiało znad żywopłotów i w milczeniu przyglądają się rodzeństwu.

– Trudno sobie wyobrazić, jak wygląda tu wiosną – zauważa Hen, zrywając krnąbrny, rdzawy liść z drzewa i obracając go w palcach.

– Nie jestem pewien, jak długo jeszcze wytrzymam – mówi nagle Sam.

Henrietta dostosowuje się do nagłego zwrotu w rozmowie.

– Nie możesz iść do wojska. To by załamało ojca. I mnie – dodaje cicho.

– Więc mam siedzieć i uczyć się prowadzić księgi rachunkowe, oceniać wartość tkanin i starać się powstrzymać od wyłupienia sobie oczu piórem? Kiedy ojciec był

w moim wieku, uciekł z domu walczyć.

Doszli do zegara słonecznego stojącego pośrodku ogrodu. Przystarzały instrument przykucnął pod niskim szarym niebem.

– To prawda. Ale nie walczył z Anglikami. Wiesz, po której stronie stanąć?

– Neda. Parlamentu.

– Dlaczego? Sam, nie jesteś przecież purytaninem. Nie wierzę, aby w najmniejszym stopniu obchodziły cię prawa dane królowi przez Boga ani prerogatywy parlamentu. Jeśli nie ma się przekonania o słuszności jednej lub drugiej strony, po co walczyć?

– Jest jeszcze honor. Albo raczej hańba, jaką okrywa mnie trzymanie się z boku. Spacerowanie po ogrodach z siostrą, kiedy prawi ludzie walczą i giną.

– Honor, karta atutowa mężczyzn! – odpowiada Hen, odwracając się w jego stronę ze zniecierpliwieniem. – Cóż to za powód do śmierci?

– Nic innego nie jest warte śmierci, Hen, jeśli dobrze się nad tym zastanowisz. Dlaczego miałbym umierać w proteście przeciw Modlitewnikowi Powszechnemu?

Podnosi z ziemi patyk i fechtuje z wymyślonym przeciwnikiem.

– Zabierz swoje cholerne ogrodzenie ołtarzowe, sir, albo cię zabiję! – krzyczy, rzucając się do ataku.

Odwraca się w stronę siostry i udaje, że wbija sobie szpadę w piersi.

– A może byś wołała, żebym umarł za uwolnienie świata od daniny okrętowej, opłaty od tonażu albo prowizji od obrotu. – Pada na ziemię i leży, uderzając nogami o zimne kamienie. Zerka jednym okiem. – Chciałabyś, Hen, żebym poświęcił życie w imię opodatkowania? – Spluwa z teatralnym obrzydzeniem i mruczy ponownie: – Opodatkowanie!

A ona czuje, że jej pełen rezerwy uśmiech zmienia się w śmiech.

– Uważaj, głupi wariacie! – woła i trąca go nogą.

Sam jęczy i przewraca się na brzuch.

– Skopany – mówi. – Przez rodzoną siostrę.

*

W domu czeka na nią dobra wiadomość – list od Anny. Niestety, przywiozła go utyskująca niania, która wróciła, żeby odzyskać swoją zagrożoną pozycję. Choć miała nadzieję, że będzie w drodze powrotnej napastowana przez niezwykle strojnych kawalerów albo choćby grubiańskich czeladników, droga z Oksfordu do Londynu okazała się zdecydowanie nudna. Utraciwszy szansę stania się bohaterką albo ofiarą wykorzystania, niania, burcząc, wręcza list.

– Będą kłopoty, moje dziewczę. Zapamiętaj te słowa, Henrietto. Będą kłopoty.

Odchodzi, powłócząc nogami i burcząc pod nosem, żeby upiększyć tę odrobinę niebezpieczeństwa, które przeżyła, opowiadając o nim kucharce i Milly. Mała Milly siedzi z szeroko rozwartymi oczami, kiedy niania opowiada o żołnierzach i pokrytych wybojami drogach, o chwilach grozy i stoickim spokoju, z jakim je przyjęła. Kucharka

przyjmuje jej opowieści z większym dystansem, ale zachowuje się dyplomatycznie i reaguje w oczekiwany sposób, kiedy niania biadoli nad trudami drogi powrotnej do spokojnej przystani.

Na górze, w jadalni, Hen i Sam rozsiadają się przy kominku i dziewczyna odczytuje list na głos.

Kochana Hen,

jesteśmy, tak jak Jego Wysokość, w Oksfordzie! Ojciec uznał, że nasz dom jest zbyt narażony na ataki przemierzających okolicę oprychów i zbyt oddalony od innych domostw. Wszyscy więc tłoczmy się w trzech pokojach na górze jego biura. Ojcu udało się załatwić transport dla twojej niani. Możesz sobie ją wziąć, cóż za okropna wiedźma, chociaż mama bardzo ubolewa nad jej wyjazdem.

Tutaj nie ma dla niej miejsca. Matka jest przerażona i wściekła tym, że wszyscy musimy cisnąć się na tak małej przestrzeni z jedną tylko służącą, która śpi na podłodze mojego pokoju, i tak już dzielonego przeze mnie z najmłodszą siostrą. Chrapie i ma piegi – mam na myśli służącą.

Ojca nigdy nie ma w domu. Mówi, że przeprowadzka dworu do Oksfordu dostarcza mu nieograniczonych okazji do robienia interesów, ale słyszałam ostatniej nocy, jak narzekał, że wysoko postawieni są mniej skłonni do płacenia gotówką. Oddaliśmy już królowi nasze platerki i musieliśmy ukryć kosztowności. Na osoby noszące cokolwiek cennego na ulicy ciska się gromy, oskarżając je o zdradę, bo nie przeznaczyły swoich dóbr na rzecz króla. Mówi się, że król ma pustą sakiewkę i próbuje tajnymi kanałami wydobyć fundusze z Londynu. Najwidoczniej bez skutku.

Ojciec musi też jeden dzień w tygodniu spędzić na budowie umocnień przeciwko buntownikom. Takie jest zarządzenie króla. Nie przyszło mu do głowy, że ci, którzy w Oksfordzie uchodzą za sprawnych, nie mogą służyć – ależ to widok, zobaczyć potykających się, zgarbionych profesorów, zmuszonych do opuszczenia bibliotek i zagnanych do kopania ziemi!

Dużo się tu kłóć – nie wiem, czy dlatego, że na tej małej przestrzeni więcej słyszę, czy po prostu więcej krzyczą. Maluchy są biedne, stłoczone w tych klitkach. Teraz jest przecież czas budowania wież z suchych liści i skakania na usypane z nich kopce. Tutaj mogą tylko siedzieć w domu i kłócić się, bo mama nie chce im pozwolić wyjść na zewnątrz, gdzie żołnierze i konie nieustannie chodzą w tę i z powrotem po ulicach. Zbliży się Boże Narodzenie i nie wiem, jak uda nam się sprawić, żeby święta były dla nich radosne.

W domu obok mieszkała purytańska rodzina, która po prostu wstała i wyjechała do Abingdon ze swoimi współwyznawcami, kiedy król przybył do Oksfordu. Ich mieszkanie jest teraz pełne żołnierzy, w większości grubiańskich typów, ale dla mnie dość uprzejmych, kiedy przechodzę obok. Ignoruję tych, którzy za mną wołają i mijam ich z podniesioną głową. Nasza dzielnica jest pełna kobiet lekkich obyczajów, przybyłych za dworem i kwaterującymi tu żołnierzami. Pewnej nocy książę Rupert na ulicy pod moimi oknami poprowadził taniec w świetle pochodni, a za nim podążały

kobiety w kapturach! Początkowo nie rozumiałam, kim są, ale Mathew mi wyjaśnił.

Mathew dołączył do wojsk popierających króla. Ojciec wolałby, żeby opowiedział się po stronie parlamentu, jeśli już w ogóle, a ja myślę, że bratu w zasadzie wszystko jedno, byle nie zostać wykluczonym z rozgrywających się wydarzeń. Przedyskutowaliśmy to wszyscy i wyszło nam, że najlepiej, by poparł króla, skoro dwór tutaj osiadł, a interesy ojca finansowane są z kieszeni rojalistów. Wydaje mi się, że Mathew był zadowolony z tego rozwiązania. Okragłogłowi są w większości okropnie poważni i pobożni, a jednak nie cofają się przed barbarzyństwem. Wszyscy mówią o ich niegodziwościach popełnianych w czasie walk, zwłaszcza o niedawnym złupieniu Winchesteru. Zbzcześcić katedrę!

Mathew przywykł do swojego nowego życia i z entuzjazmem hula po karczmach z innymi świeżymi rekrutami, co okropnie złości ojca. Często mówi o swojej ślicznej kuzyneczce Hen i jestem pewna, że przesyła ci całusa.

Mówi, że dopóty nie zazna szczęścia, dopóki nie zanurzy ostrza swojej szpady w trzewiach jakiegoś buntownika. (Mam nadzieję, że nie będzie to nieszczęsny kuzyn Ned).

Jedyną prawdziwą szczęściarą jestem ja. Och, jakże żałuję, że nie ma cię tutaj. Jakie tu panuje ożywienie! Jak jest zabawnie! Czy kiedyś byłyśmy razem w Oksfordzie? Przed przybyciem dworu byli tu tylko poważni młodzieńcy trajkoczący po łącinie i zamykani w kolegiach o zmroku. A teraz! Ulice zatłoczone są wytwornymi wojakami, noszącymi szarfy swoich pułków. Damy z otoczenia króla zbierają się w lasku w New College. Poszłam tam z przyjaciółkami i przechadzałyśmy się wśród drzew przy dźwiękach lutni, a wszyscy mężczyźni kłaniali się najładniejszym z nas. Widziałam nawet króla i królową! Teraz więc, kiedy się spotkamy, będziemy mogły odpowiadać im skinieniem głowy na ukłony, a ja nie będę musiała ci zazdrościć ich spojrzeń (choć całkowicie ci się one należą. Oby to szybko nastąpiło!!!).

Zmienili dziedziniec Christ Church w olbrzymią rzeźnię i kiedy mijaliśmy go dziś rano, jakaś świnia zakwiczała tak głośno, że aż podskoczyłam. A wtedy oficer o najbardziej niebieskich oczach, jakie możesz sobie wyobrazić, uśmiechnął się do mnie. A później skłonił się tak nisko, że myślałam, że się wywróci.

Pogoda jest wspaniała – mroźna, ale słoneczna. Teraz jest wczesny, zimowy zachód słońca i wyglądam przez moje okienko, żeby zobaczyć przechodzącą grupę oficerów. Ich twarze ozłaca niskie słońce, a ich szpady połyskują w jego świetle. Jakże mi się tu podoba – stałam się przez to niemal poetką!

Jedyną przykrą rzeczą są nieustanne dyskusje o bieżących problemach. Wszystkie rozmowy dotyczą teraz rokowań pokojowych. Jakże oni przynudzają! Siedzę jednak cicho i w duszy błogostawię wojnę za wszystkie te ekscytujące wydarzenia w moim życiu i przeprowadzkę dworu do Oksfordu. Żałuję, że nie ma ciebie tu ze mną. Skoro jednak nie możesz przyjechać, pozostaje mi przestanie ci najserdeczniejszych pozdrowień.

Twoja Anna

Sam wstaje i zaczyna chodzić po pokoju.

– A więc jestem jedynym młodym Challonerem, który nie wstąpił do wojska – mówi.

– Anna twierdzi, że są nadzieje na nowe rozmowy pokojowe – odpowiada Hen, wskazując na kartkę. – Waller powiedział ojcu, że w obu Izbach parlamentu pojawiły się głosy za odnowieniem pertraktacji, a zaledwie kilka tygodni temu na ulicach doszło do zamieszek antywojennych. To nie może trwać dłużej.

Brat staje koło okna i wygląda na zewnątrz.

– Sam, poczekaj chociaż do wiosny. Mówi się, że do tego czasu może być po wszystkim. Jeśli stanie się inaczej, może też powinieneś się zaciągnąć.

– Do wiosny. Jeśli poczekam do wiosny, obiecujesz, że pozwolisz mi iść walczyć bez obarczania mnie poczuciem winy, bez wyrzutów?

– Obiecuję.

*

Henrietta unosi głowę znad książki. Siedzi skulona na kilku poduszkach na ławce pod oknem w bibliotece ojca. Na zewnątrz ogrodnik pracuje w ich małym, miejskim ogródku, przycina liście żywopłotu, cicho pogwizdując. Ta część domu jest spokojniejsza, wysoki mur otaczający ogród stanowi barierę między ich prywatnym królestwem a ulicą.

Deszcz ze śniegiem pada bezustannie. Hen nagle zauważa ojca przez zamazaną szybę. Uśmiecha się w odpowiedzi na robione przez niego znaki i patrzy, jak stoi pod drzewem i zagaduje ogrodnika, machając książką. Opiera się na lasce. Zapewne dokucza mu podagra. Widzi jak stary Benny garbi się coraz bardziej w miarę, jak jego chlebobawca wygłasza kazanie. Nie widzi twarzy staruszka, ale wyobraża sobie, jak pogłębiają się jego zmarszczki, a woda kapie z kapelusza o szerokim rondzie.

Hen ma włosy rozpuszczone na ramiona, gors rozpięty do talii, żeby łatwiej jej było oddychać. Jej buty leżą na podłodze, wiązane rękawy i kołnierz zostawiła na górze, sztywno ułożone na komodzie. Istnieją dobre strony braku matki i roztargnionego ojca.

Drzwi otwierają się gwałtownie i Hen siada prosto, z poczuciem winy chowa książkę pod poduszką. Ojciec wchodzi, powłócząc nogami. Jego twarz jest zaróżowiona od zimna, a resztki włosów na głowie są mokre. Córka oddycha z ulgą.

– Ach, to tylko ty.

– Tylko ja? Pączusiu!

– Przepraszam tato, myślałam, że to niania.

– Dziękuj Bogu, że to ja. Spójrz tylko na siebie, gołąbku.

Dziewczyna patrzy na ojca spode łba, a on wybucha śmiechem.

– Nie szkodzi, dziecko. Zajmiesz się sobą, jak mniemam.

– Co to za książka, którą wymachiwałeś biednemu Benny'emu przed nosem?

– Parkinsona. *Paradisi in Sole Paradisus Terrestis*.

– I udało ci się przekonać go, że raj został ujęty na tych stronach?

– Nie, kochana, nie udało mi się. On kpi sobie z historii naturalnej. Śmieje się z błyskotliwości Parkinsona. Broni się przed jakąkolwiek nową wiedzą. Jego dziadek sadił szczaw w taki sam sposób, w jaki robił to jego ojciec i przerwanie tego łańcucha skłoniłoby boga ogrodu do spuszczenia deszczu i piorunów na jego kabaczki. Sam Belzebub przykucnąłby na głogu, a na Fetter Lane rozpętałyby się nowa Sodomia.

Henrietta zanosi się od śmiechu, a ojciec siada obok niej przy oknie. Siadając, krzywi się z bólu.

Oboje patrzą, jak stary ogrodnik pochyla się nad dość żałosnymi zimowymi krzewami.

– Ojczy, nie mogę uwierzyć, że Benny ci złorzeczył.

– Być może tego nie zrobił, ale zamierzał. „Oby Bóg przeklął ciebie i twoje książki” – chciał powiedzieć, ale zamiast tego stał bez słowa, czekając aż opuszczę jego uświęcone królestwo. A więc poczłapałem sobie, całkiem skruszony. Pan okazał się grzesznikiem, a Benny zatriumfował. Ha, ha!

Śmiech i rumiane od deszczu policzki sprawiają, że wygląda zdrowiej i młodziej. Mruży swoje duże zielone oczy, a jego wystający brzuch trzęsie się w zaraźliwym rechocie, któremu nie można się oprzeć. Odgłosy jego wesołości przetaczają się przez korytarze i wylewają do ogrodu, i nawet stary Benny wbrew sobie uśmiecha się, gdy do niego docierają.

– Ten problem, co zawsze? – pyta Hen wskazując na obandażowaną stopę ojca.

– Tak. Podła podagra znów daje znać, kotku. Ku przerażeniu służących zatrzyma mnie w domu przez najbliższe kilka dni.

Kładzie spuchniętą stopę na stojącym naprzeciw krześle, pojękując.

– No dobrze, co to za książkę tam chowasz, moja pustogłowa panno? Jeden z tych okropnych romansów? O tym prostaku Tankredzie i jego nedorzecznych kochankach?

– Nie, ojczy. Czy uważasz, że jestem głupia?

Wyjmuje książkę spod poduszki i podaje ojcu, który odczytuje na głos tytuł:

– *Człowiek z księżycyca?*

– Wzięłam ją na twój rachunek.

– Naprawdę, Panno Psotko?

Rozsiada się wygodniej i mruga do córki zielonymi oczami, podobnymi do jej własnych, tylko otoczonymi siateczką zmarszczek.

– I odnalazłaś swoje inne światy?

– To nie jest dokładnie to, czego się spodziewałam, raczej satyra. Opowiada o innym świecie na księżycu, świecie idealnym. Jego doskonałość wskazuje na niedoskonałości naszego świata.

– Aha. Utopia. Uważaj, pączusiu. Z mojego doświadczenia wynika, że świat idealny

nie istnieje. Utopia jednych staje się więzieniem innych.

– Ależ z ciebie cynik! Z całą pewnością powinniśmy dążyć do stworzenia świata idealnego.

– To niemożliwe, kotku. I zawsze będzie, dopóki istnieją choroby i śmierć. Twoi politycy, biskupi i szlachetni lordowie nic na to nie poradzą. Żadne modlitwy, żadne perorowanie nie zniesie śmierci ani nie uczyni złych ludzi dobrymi.

– A więc naszym celem powinna być nudna przeciętność?

– Zawsze. Ale dość, dość już o tym. Dlaczego ciągle daję się wciągnąć w te rozmowy z tobą? Przyszedłem w określonym celu. Chcę, żebyś odwiedziła Lucy Tompkins.

– Tato!

– Wiem, wiem. Nic ci się nie stanie, moja kochana, jeśli spędzisz godzinkę w jej towarzystwie.

– Ale dlaczego mam to robić? – córka krzyżuje ręce, przyciskając książkę do piersi.

– Czyż całe cierpienie tego świata nie weszło w moją stopę, zatrzymując mnie w domu? Czy cię nie poprosiłem o to? Czy twój stary ojciec nie pada przed tobą na twarz, nie błaga cię o przysługę?

– Nie.

– Cóż, uznaj, że cię błagałem, rozkazałem ci, prosiłem albo robiłem cokolwiek, co skłoni cię do działania i wyświadczenia mi tej przysługi.

– Czy mogę przynajmniej poczekać aż przestanie padać?

– Jeśli musisz. A, i zrób mi tę grzeczność i przekaż ten pakunek jej ojcu.

Podaje jej małą, nijaką paczuszkę. Zna go wystarczająco dobrze, żeby wyczuć zmianę w jego głosie, nagły chłód. Przygląda mu się.

– Dobrze, dobrze – mówi podniesionym głosem ojciec i wychodzi z pokoju, waląc laską o podłogę.

*

W następnych tygodniach Challoner odpowiada zaskakująco wykrętnie. Pytania córki spływają po nim jak woda po gęsi. Co kilka dni Hen odwiedza kobiety, których prawie nie zna – musi wówczas oficjalnie się ubierać i zamęczać prowadzeniem towarzyskich rozmów. Każda wizyta kończy się czymś jeszcze – wręczeniem pakunku albo listu dla pana domu, jakby od niechcienia i nieśmiało.

Czasem przygląda się gospodarzom czytającym list i temu, jak coraz bardziej marszczą brwi, pochylają głowy, a cisnące się na ich usta pytania zamierają niewypowiedziane. I tak nie byłaby w stanie na nie odpowiedzieć. Nie wie, o co chodzi, a ojciec niczego jej nie wyjaśnia.

Wkrótce przestaje się dopytywać, obawiając się odpowiedzi. Objawił się jej pewien schemat. Mężczyźni są wybitnie umiarkowani, usta zamknęło im wciągnięcie królewskiego sztandaru. Są to przedstawiciele stronnictwa pokojowego, kupcy, prawnicy i pośrednicy, którzy przestrzegali przed wojną i próbowali powstrzymać

upadek rozbitego królestwa. To mężczyźni, dla których stabilność, handel i swoboda sądów są ważniejsze od Boga i zasad.

Hen zaczyna myśleć o ścieżkach swoich nieświadomych wizyt w City jako odrażającym, srebrzystym śladzie pozostawionym przez ślimaka. Henrietta dostrzega schemat, ale nie w pełni go rozumie. Czego ci mężczyźni chcą, teraz, gdy pokój wycofuje się chaosie? Kraj trzęsie się u podstaw i każdy musi wybrać którąś ze stron, bez względu na to, czy chce dokonać tego wyboru, czy nie. Gdzie są teraz ci mężczyźni i dlaczego powiązała ich ze sobą siatką swoich odwiedzin?

Postanowiła nie wnikać w to zbyt głęboko. Jakie ma znaczenie jej przychylnie nastawienie do sprawy parlamentarzystów w porównaniu z lojalnością wobec ojca? Mężczyźni mają luksus działania wbrew sumieniu. Kobiety mają obowiązek. Tak przynajmniej wmawia sobie w kolejnej dusznej jadalni podczas rozmowy niemrawo toczącej się wokół niej i koszyka znajdującego się na jej kolanach, do którego ponownie włożono pakunek ciężki jak trzydzieści srebrników.

ROZDZIAŁ 14

GRUDZIEŃ 1642

Kobieta uchyla drzwi, przytrzymując je kciukiem i palcem wskazującym, jakby były czymś odrażającym. Wpatruje się z Henriettę zaczerwienionymi, wpół przymkniętymi oczami. Z wnętrza domu dochodzi oszalałe zawrodożenie malucha, na którego nikt nie zwraca uwagi.

– Czego?

– Pani Pound? – pyta Hen, jękaając się.

– A co ci do tego?

– Przepraszam. Ja... Mój ojciec jest przyjacielem pani męża. On...

– Niech idzie do diabła!

Kobieta rzuca te słowa zza drzwi.

– Przepraszam – mówi Hen. – Czy mogę w czymś pomóc?

– Masz jedzenie?

Dziewczyna kręci przecząco głową. Drzwi gwałtownie się zatraskują.

Wraca jakiś czas później, tym razem z pełnym koszykiem. Kobieta zaprasza ją skinieniem ręki do środka i wygląda na ulicę.

W milczeniu przegląda zawartość koszyka, wyciąga bochen chleba i odgryza kawałek. Wokół zbierają się dzieci, patrząc szeroko rozwartymi oczami i w upiornej ciszy. Jest ich pięcioro w wieku od dwóch do około dziesięciu lat. Nie zwracają uwagi na Henriettę, patrzą na matkę odsuwającą chleb od ust i odkładającą bochenek.

Dzieci rzucają się na chleb jak szczury na otręby i go pochłaniają. Hen z trudem znosi ten widok. Maluchy są porządnie ubrane i wystarczająco dobrze wychowane, żeby podziękować, kiedy zaspokoili pierwszy głód. Ich matka, sama najadłszy się, zachowuje się teraz dziwnie. Widać, że ogarnia ją skrepowanie, jakby dziewczyna nakryła ją na jakimś popełnianym w tajemnicy grzechu. Prywatne cierpienie zostało obnażone przed obcą osobą i kobieta miota się między nadmierną zażyłością a jawną urazą.

– Aresztowali go – mówi. – Pięć dni temu. Nie zostawił nam żadnych pieniędzy.

Służący odeszli. Powinnam chyba sprzedać nasze rzeczy, ale jeszcze tego nie zrobiłam.

– Rozumiem.

– Doprawdy?

Henrietta podnosi uspokajająco dłoń.

– Mówią, że jest szpiegiem rojalistów. Głupi drań. Chyba go powieszają. Ma być przesłuchany przez specjalny komitet.

Jeden z młodszych chłopców zaczyna płakać i pani Pound z roztargnieniem go przytula.

– Tak mi przykro.

– A jak ja mam wykarmić moje dzieci? Lord Portland, protektor mojego męża, też znalazł się w Tower, psiakrew! Co ja pocznę?

– Ja... To jest... Ja...

– Nieważne. W każdym razie dziękuję za jedzenie.

Henrietta wychodzi na ulicę. Czuje głęboką ulgę z powodu uwolnienia się od nieszczęścia tej kobiety, od żałosnych dziecięcych twarzy. I pełnych skargi pytań bez odpowiedzi: „Co ja pocznę? Co ja pocznę?”.

Rozpromienia się pełnym poczucia winy, szczęśliwym uśmiechem. Po chwili, po przeciwnej stronie ulicy, za toczącym się z łoskotem wozem dostrzega przyglądającego się jej mężczyznę.

Skóra jej cierpnie. To oczywiste, że obserwują dom pani Pound, oczywiste. Oczywiste. Oczywiste. Serce zaczyna jej szybciej bić. Kapuś ma szczurzą twarz hycła polującego na ludzi. Jej nogi omdlewają i błagają mózg, by kazał im biec. Jej głupi, głupi mózg. Głód tej kobiety nie jest jej głodem. Te dzieci nie są jej dziećmi. Skóra Hen zbyt mocno ścierpła, by utrzymać w miejscu szaleńczo bijące serce.

„Jezu, uchronń mnie, czy mnie słyszysz?”

Ze wszystkich sił stara się wepchnąć strach do głębi swoich trzewi, powstrzymać go przed ujawnieniem się, zdradzeniem jej. Zmusza swoje oczy, żeby odwróciły się od mężczyzny, który podnosi twarz do słońca, unosi nozdrza, jakby węszył woń jej lęku.

Hen odchodzi i ryzykuje spojrzenie w tył na mężczyznę. Nadal patrzy na dom. Być może to tylko zbieg okoliczności. Być może po prostu wyszedł na spacer, coś sprzedaje, coś łączy go z tym domem. Być może, być może...

Nagle spogląda na nią z nikłym uśmiechem i Hen wie, że okłamuje samą siebie. Czuje nieodrzeczną ochotę podbiegnięcia do niego, zapewnienia o swojej lojalności wobec parlamentu i czystego głosu Boga. Powołania się na swojego brata Neda i sir Philipa Skippona. Zdania się na jego łaskę. Mężczyzna ponownie odwraca wzrok, przybiera celowo niedbałą pozę.

Nie ma żadnego dowodu. W jej koszyku są tylko okruchy. On nawet nie wie, kim jest. Znajduje się dwie ulice od domu, gdzie czeka na nią ojciec zmożony atakiem podagry. Spuchniętą stopę opiera na poduszce, krzyczy i narzeka na Harmswortha,

żeby odwrócić swoją uwagę od bólu. Mężczyzna nie wie tego wszystkiego. „Mężczyzna nie wie, kim jestem”.

Rusza spokojnym krokiem, idzie w górę Bow Lane, w stronę Cheapside. Nie przemyślała trasy ani jej nie zaplanowała. Rozgląda się i oto znów go dostrzega, przed sobą ma ruchliwy i hałaśliwy tłum Cheapside. Kiedy tam dojdzie, będzie musiała zwolnić, wówczas on zyska nad nią przewagę. Dociera do rogu ulicy, dostrzega lukę i wbiega w nią. Rżący koń, wykrzyczane przekleństwo i oto jest po drugiej stronie. Ruch jest nawet większy niż zwykle.

Ojciec uprzedził ją, że może to być niespokojny dzień w Haberdashers' Hall, gdzie miał się zebrać Komitet Obu Izb ds. Pozyskiwania Funduszy. Londyńczycy, ogołoceni do suchej nitki przez finansowe żądania parlamentu, są w nastroju buntowniczym i na nowo odkrywają przywiązanie do władcy, którego wcześniej wygnali z miasta.

Hen przepycha się przez tłum. Widzi hycła idącego po przeciwnej stronie ulicy. Pogwizduje. Ogląda wystawy. Zatrzymuje się przed jednym ze sklepów z towarami luksusowymi między Bread Street i Friday Street, przesadne złożenia w witrynie podkreślają wysoką jakość oferty. Łajdak. Jak się od niego uwolnić? Konieczność podjęcia działania pozwala stłumić strach. Jeśli zatrzyma się, zawaha – znów ją dopadnie.

Nagle myśli o swoich książkach. O bitwie pod Termopilami i o tym, jak wąska szczelina może zmienić przeznaczenie, zakłócić utarty bieg losu. Przeciwiństwo Termopil. Odzyskuje nadzieję na tyle, żeby się uśmiechnąć w myślach. A więc, jak tego dokonać? Myśli o wąskiej płataninie przecinających się ze sobą uliczek, pokrywających obszar na północ od Cheapside.

Skręca, idzie Gutter Lane. Teraz zyska pewność – szpicel nie będzie już się ukrywać ze swoimi zamiarami. Dziewczyna spogląda za siebie, on tam jest. Mniej nonszalancki. Ich oczy się spotykają, nie ma mowy o przypadku. Najwyraźniej musi mieć coś na sumieniu, bo odwraca wzrok. Ktoś niewinny popatrzyłby mu w oczy i pozdrowił skinieniem głowy, a nie unikał spojrzenia, tak jak ona, i nie przyspieszał niemal do biegu, ślizgając się w błocie i na kocich łbach.

Hen wchodzi w wąską uliczkę obudowaną niechlujnymi domami, które stykają się w połowie wysokości, całkowicie odcinając dostęp światła. Z trudem mieszczą się w niej dwie idące obok siebie osoby. Słyszy krzyki zza lichych drewnianych ścian, płaczące dziecko, suszące się pranie, które łopocze i dotyka jej włosów jak upiorni wartownicy. Słyszy odgłosy własnych kroków w błocie i zaczyna myśleć, że wszystko to jest jakąś okropną pomyłką. Czas zwalnia, jak w koszmarze sennym, a ona zaczyna czuć, że traci oddech w tym dusznym zaułku. Odsuwa suszące się ubrania i widzi na końcu światło. Dochodzą do niej okrzyki: „Pokój i prawda” – ktoś woła przed nią. „Do kaduka z prawdą!” – ktoś inny odkrzykuje. „Pokój za wszelką cenę!”.

Mężczyzna orientuje się, że może ją zgubić. Hen po odgłosach jego stąpania poznaje, że robi coraz większe kroki. Nagle dziewczyna wychodzi na zewnątrz, w gęsty, hałaśliwy tłum, który ją połyka i wiruje wokół niej tak, że ledwie dotyka

ziemi stopami. Dziewczyna kuli się i pozwala pochłonąć się ludzkiej fali.

*

Dopiero kiedy jest całkowicie pewna, że go zgubiła – dwa razy zawracała i czekała w zaułkach, przyglądając się twarzom wkoło – dopiero wówczas odczuwa olbrzymią, obezwładniającą radość, która wypełnia ją od palców nóg po czubek głowy. Podskakuje, przeskakuje z nogi na nogę. Jej skóra rozluźnia się i staje się tak cudownie delikatna, że chłodny wiatr odczuwa jak pocałunki kochanka.

Żyje, pokonała wroga i czuje się jak nowo narodzona.

W domu zmusza się do powstrzymania tej nieopanowanej radości, nawet wówczas, gdy opowiada ojcu o całym wydarzeniu. Widzi troskę na jego twarzy już i tak pomarszczonej z powodu cierpienia, jakiego przysparza mu podagra.

– Musimy położyć kres twoim wyprawom, kocie – decyduje ojciec.

Hen omiata wzrokiem pokój i dobrze znane, kochane ściany. Wyobraża sobie powrót do czasów zanim posmakowała miłości i stanęła na fortyfikacjach, które pomagała wznosić. Do okresu sprzed tych nowych przygód, uzależniającej mieszanki strachu i radości, która jest tak całkowitym przeciwieństwem nudy. Wyobraża sobie powrót do dawnego życia i wydaje jej się, że pokryte boazerią ściany napierają na nią, jak rzeźbione, wypolerowane drzewa w złowrogim lesie.

– Nie! – krzyczy. – Nie, proszę. Ja chcę pomagać.

– Królowi? – pyta szeptem ojciec, teraz całkiem otwarcie.

– Do diabła z królem. Chcę pomóc tobie. Sobie. Proszę!

*

Święta Bożego Narodzenia w tym roku są posępne, nawet jeśli nie upływają w zupełnej trzeźwości. Ned przyjechał do domu na święto Trzech Króli. Należy teraz do sztabu Skippona i w czasie, kiedy wojska czekają beczynnie w Windsorze na rozpoczęcie negocjacji pokojowych, jego służba jest lekka. Niewielu rzeczywiście ma nadzieję na pokój. Ale, jak mówi Challoner, strony przynajmniej przystąpiły do rozmów, choćby nawet mówiły niezrozumiałymi dla siebie językami.

Obchody Trzech Króli ograniczają się do zjedzenia cichego posiłku w rodzinnym gronie. Jest to zaledwie cień minionych świąt, ale w tym roku niewielu przyjmuje gości i rodzina zjada w ciszy własne babeczki z bakaliami naprzeciw własnego polana w kominku. Uwiera nieobecność Kołka. Kociołek pojechał do domu na wieś prosić chorą matkę o pozwolenie na wycofanie się z życia w City. Wszyscy spodziewają się, że wróci do Londynu z fasonem, gdy tylko pokój zostanie podpisany. Powiadomi wówczas wszystkich, że matka cudownie ozdrowiała, a on odzyskał synowski zapał do ponownego wstąpienia na ścieżkę prowadzącą do bogactw i rozwiązłego życia.

Jednak, choć przyjęcie jest skromne, panuje serdeczna atmosfera. Richard

Challoner patrzy na swoje zdrowe i bezpieczne dzieci, z każdym rozmawia i się przekomarza. Wojna wydaje się bardzo odległa. Idą na górę wznieść toast, bo starsza pani odmawia opuszczenia pokoju. Sam niesie wazę z ponczem, który chlupocze i kapie po bokach naczynia. Dotarłszy do drzwi babci, Ned i Henrietta naśmiewają się z brata.

Hen puka delikatnie i popycha otwarte drzwi. Babka siedzi prosto na łóżku, jej włosy są uczesane i splecione w warkocz, a koszula czysta i śnieżnobiała. Czekala na ten wieczór, Henrietta to wie. Chwyta Neda, a on siada obok niej na łóżku, trzymając jej kruchą dłoń.

– Ned, chłopcze, mój kochany.

– Już dobrze, babciu. Kolejny rok, a ty ciągle pełna sił.

Staruszka się uśmiecha.

– Kiedy czeka na ciebie ogień, nigdzie się nie spieszysz.

Ned marszczy brwi.

– Niech Bóg ma cię w swojej opiece, babciu!

Spogląda na niego, jakby nadal był dzieckiem.

– On ma ciebie w opiece, Ned. Mnie porzucił.

„Czy choć ten jeden raz – myśli Hen – moglibyśmy mówić o czymś innym? Nie martwić się o zbawienie?” Nie odzywa się jednak i jakby chciała odpokutować nieżyczliwe myśli, czym prędzej poprawia jej poduszkę.

– Jesteś dobrą dziewczynką – odzywa się babka. – Chłopcy, musicie dbać o siostrę. Chuchać na nią. Sama sobie nie poradzi, a jaki mężczyzna będzie chciał ją w dzisiejszych czasach?

– Każdy mężczyzna – opowiada Sam ostro. – Każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, mogąc ożenić się z Hen.

Staruszka prychnęła.

– Doprawdy? Jej ojciec niezbyt skrycie popiera króla w City opanowanym przez zwolenników parlamentu. A ona nie potrafi nawet zszyć dwóch kawałków materiału ani czysto zaśpiewać jednej nuty. Gubi się w kuchni, tańczy jak niedźwiedź, jeśli nie gorzej. Och, Sam, nie bądź zaślepiony, popatrz na nią.

Sam i Ned, posłuszni poleceniu, spoglądają na siostrę. Hen wzrusza ramionami i podchodzi do kominka. „Nie pozwolę sobie dokuczać” – myśli.

– Ona wie, że mówię to tylko z miłości do niej. Wie też równie dobrze jak ja, że to jest ciężki świat dla kobiet i nie może tego zmienić, jedynie przystosować się.

– Nie będzie nas potrzebowała – odpowiada Ned łagodnie. – Ale jeśli zajdzie taka konieczność, ja i Sam zaopiekujemy się nią.

Hen posyła mu błady uśmiech.

– Tak! – mówi babka. – Żołnierz i czeladnik w upadającym przedsiębiorstwie.

Wszyscy czworo przez chwilę siedzą w milczeniu. Na dworze pada śnieg. Kiedyś śnieg sprawiał, że dzieci Challonera nie mogły usiedzieć w miejscu, przewidując zabawę, i za wszelką cenę chciały wyjść do ogrodu, żeby baraszkować w świeżym

puchu. „Zmiana nastawienia do śniegu wskazuje moment przejścia w dorosłość” – myśli Hen. „Pewnego ranka budzisz się i widzisz, że pada. I zaczynasz układać listę wszystkich związanych z tym niedogodności, trochę zrzedzisz, kiedy już wstaniesz. I to jest właśnie ten moment, punkt zwrotny między dzieciństwem a dorosłością. Chwila, w której – bez względu na to, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie – twoje życie zostaje pozbawione tej bezrefleksyjnej radości. Dorosłemu trudniej odnaleźć szczęście. Ojciec szuka go w kielichu, Ned w Biblii, a ja w książkach. Ale wszyscy jesteśmy skazani na porażkę dopóty, dopóki wyglądając przez okno, myślimy: A niech to, pada śnieg!”.

– Pada śnieg! – woła najradośniej jak potrafi.

Wszyscy się odwracają ku oknu i patrzą ponuro na kryształki przywierające do szyby.

*

Challoner wchodzi do jadalni, otrzepując śnieg z ramion.

– Rusz tyłek i zrób mi miejsce przy kominku, Ned – mówi do syna, który wstaje z fotela.

Oczy ojca błyszczą, a policzki są zaczerwienione od mrozu. Zaciera dłonie przed ogniem i śmieje się, kiedy topniejący śnieg ocieka z jego płaszcza.

– Jakże ja lubię porządną śnieżycę. Sprawia, że City jest niemal ładne – mówi tubalnym głosem.

Sam uśmiecha się do niego.

– Święto Trzech Króli bez śniegu nigdy nie wydaje się udane. Gdzie byłeś, ojcze? Czekaliśmy na ciebie z zabawami.

– A więc przyprowadź tu wszystkich – mówi Challoner, ignorując pytanie.

Sam wybiega z pokoju i wraca z pozostałymi domownikami, wypucowanymi i ubranymi w najlepsze odświętne stroje. Niania i kucharka wyglądają, jakby wróciły z portu, zaś mała Milly – już nie taka mała – przepycha się prosto do drzwi, jakby szukała drogi ucieczki. Harmsworth stoi przy ścianie z nieszczęsną miną, jak na mękach. Nie lubi świąt i chce, żeby wszyscy o tym wiedzieli.

Domownicy zbierają się wokół wazy wypełnionej sycącym, ostrym napojem. Challoner uroczyście nalewa poncz. Podaje kubek Nedowi.

– No dalej – mówi cicho. – Być może nie dożyjesz Wielkanocy. A może to ja zginę. Jeśli o mnie chodzi, możesz chłopcze obchodzić święta tak nudno i bezbarwnie, jak ci się podoba. Ale teraz, ze względu na mnie, napij się.

Harmsworth patrzy na Neda wyciągającego rękę po kubek.

– Wąż – nagle syczy służący. – Wąż w ogrodzie.

W wazie pełnej napoju jabłka kołyszają się i wynurzają. Ned trzyma kubek, nagle wygląda śmiesznie i młodo. Rzuca spojrzenia to na ojca, to na Harmswortha, obaj mężczyźni patrzą na niego wyczekująco. Szybko, jakby chcąc zrobić to z zaskoczenia,

bierze haust ponczu.

Sam i Challoner wznoszą toast, a Hen się uśmiecha. Harmsworth zaś zapada się w sobie, a jego twarz ma beznamiętny i nieodgadniony wyraz.

Hen wypija więcej uderzającego do głowy korzennego napoju. Gorący płyn rozlewa się w jej wnętrzu i wypełnia ją uczuciem ciepła, które wzmacnia obecność wszystkich członków rodziny, zdrowych na ciele i wspólnie się bawiących.

Nagle rozlega się stukanie do drzwi. Harmsworth wymyka się, a po chwili wraca z Edmundem Wallerem.

– Ach – woła gość – rodzina się zebrała! I oto ja, nieproszony intruz.

– Ależ nie, wcale nie! – głośno zaprzecza Challoner. – Kubek dla pana, sir?

Napełnia kubek ponczem, a Waller pociąga głęboki łyk.

– Wspaniały – mówi. – Doskonale przyprawiony korzeniami. Moje gratulacje, panno Challoner.

Niania i kucharka chichoczą, słysząc te słowa, i zapada niezręczna cisza.

– Proszę mi wybaczyć, panie Waller, nie zna pan mojego najstarszego syna, Neda. Ned, to jest Edmund Waller, poeta i członek parlamentu z okręgu Hastings.

Mężczyźni kłaniają się sobie nieufnie.

– Ned należy do sztabu Philipa Skippona – mówi Challoner.

– A, Skippon. Pozdrów go ode mnie, kiedy go zobaczysz, chłopcze. To wspaniały człowiek.

– Tak jest, sir – odpowiada lakonicznie Ned.

– Przyjechałem po przepustkę. W przyszłym tygodniu znów jadę do Oksfordu, żeby rozpocząć oficjalne negocjacje z Jego Królewską Mością.

– Wypijmy za pokój! – woła Challoner, a oni z entuzjazmem wznoszą kubki.

– Za pokój!

Ned nie może się powstrzymać.

– I za odpowiedni szacunek do Kościoła Naszego Pana Jezusa Chrystusa oraz przestrzeganie prerogatyw parlamentu – mówi.

– Cóż to za toast, mój chłopcze! – tubalnym głosem krzyczy Challoner. – Za długi, za bardzo przegadany!

Waller przerywa mu spokojnie.

– Za zamęt wśród wrogów króla i Kościoła – mówi.

Wszyscy wznoszą kubki. „Za jakich wrogów pijemy?” – zastanawia się Hen. „Za który Kościół?”

– A teraz – odzywa się Waller – choć przykro mi odrywać cię od rodziny, chciałbym porozmawiać z tobą na osobności.

– Oczywiście – zgadza się Challoner i napełniwszy oba kubki, prowadzi gościa do drzwi.

Zamyka je za sobą.

– O co tu chodzi? – pyta Ned.

– Co za obłudnik! – mówi Hen.

– Zawsze tu jest – wtrąca Sam. – Zamyka się z ojcem na osobności. Prowadzi z nim cichcem rozmowy po kątach. Spiskuje.

Ned marszczy brwi, a słowa młodszego brata rozbrzmiewają po pokoju.

Angażują się w zabawy, z początku z wymuszonym rozbawieniem, które wkrótce staje się autentyczne. Ponownie napełniają wazę wrzącym napojem z garnka stojącego na ogniu w kuchni i tym razem znacznie więcej ponczu wylewa się podczas przenoszenia go do jadalni.

Challoner wraca, kiedy zaczynają się śpiewy. Jest spokojny, radosny i razem z pozostałymi domownikami śpiewa donośnym barytonem:

Nie dawaj nam chleba czarnego z otrębów piezonego.

Nie dawaj nam chleba białego, bo nie jest to nic smacznego;

Lecz daj nam piwa dobrego.

Nie dawaj nam pieczeni z wołu, bo kości pełna jest,

Lecz daj nam piwa dobrego, bo pije się je fest;

I daj nam piwa dobrego.

W nocy, kiedy Hen chwiejnym krokiem idzie do łóżka, słowo „spiskowanie” obija się po jej skołatanej głowie. Wchodzi po kołdrę i błaga ściany, żeby przestały wirować.

Ned zatacza się na schodach, a za nim idzie Milly. Zaproponowała mu pomoc i razem wchodzi na górę, zaśmiewając się do rozpuku.

– Mała Milly, nie taka znów mała – zauważa Ned.

– Starsza od ciebie – odpowiada.

– Ale dwa razy ładniejsza. – Chłopak próbuje się ukłonić, lecz ku własnemu zdziwieniu ląduje na kolanach. – Jak się tu znalazłem? – pyta zaskoczony.

Służąca podchodzi, żeby go podnieść, a on obejmuje jej talię rękami.

– Mała Milly – mówi w jej spódnicę – mała Milly.

Dziewczyna stawia go na nogi i odprowadza do drzwi jego pokoju. Ned wpycha ją do środka, zamyka drzwi i zaczyna gorączkowo obmacywać jej spódnicę.

– Paniczu Nedzie – broni się służąca. – Paniczu Nedzie, nie.

Ale jest mała i potulna, a Ned pocałunkami powstrzymuje ją od mówienia.

– Och, mała Milly – sapie jej do ucha namiętnie.

Popycha dziewczynę na łóżko, a ona poddaje się, kiedy on obłapuje jej gołe ciało pod warstwami ubrań. Wreszcie wchodzi w nią, zamyka oczy, żeby wyraz drobnej, poblądłej twarzy nie odwracał jego uwagi od tego uczucia, tego rozpalającego duszę uczucia ulgi.

*

Nazajutrz w domu Challonerów ranek jest szary i panuje atmosfera pełna zakłopotania. Hen budzi się z uczuciem suchości w ustach i żołądkiem podchodzącym do gardła. Leży w łóżku z kołdrą naciągniętą pod szyję, a strach przed zimnem i pragnienie walczą o pierwszeństwo.

W łóżku Challonera śpi naga i zaróżowiona niania, śliniąc się trochę przez sen. Kiedy Richarda Challonera nagle budzi jego własne gromkie chrapanie, orientuje się, że jest do połowy odkryty i przemarznięty.

– Przeklęta kobieta – mamrocze, ciągnąc kołdrę w swoją stronę i odwracając się do niej plecami. – Cholerna, cholerna kobieta – mruczy, starając się znów zasnąć.

Ned budzi się i przez jedną bezcenną minutę jest świadomy, ale beztroski. Chwilę później ogarnia go wstyd. Wraca do niego obraz pobladłej twarzy małej Milly i uczucie radości z wejścia w nią. Siada i czuje pulsowanie w głowie. Jest sam, ona sobie poszła. Boże, odwróć swój wzrok. Być może mu się to tylko śniło. Nie, to nie był sen. Rzuca się na łóżko i zwiija w kłębek.

Szepcze z głową pod kołdrą:

– „Czyż nie wiecie, że niesprawiedliwi nie posiadą królestwa Bożego? Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy, ani rozwiązli, ani mężczyźni współżyjący ze sobą. Ani złodzieje, ani chciwcy, ani pijacy, ani oszczercy, ani zdziercy nie odziedziczą królestwa Bożego”[\[14\]](#).

Jest mu raz gorąco, raz zimno ze wstydu i cierpienia. Porzucił swojego Boga. Jest cudzołożnikiem i pijakiem. Jest opętany. Choć w myślach przebiega tekst Biblii i szepcze gorączkowe błagania o przebaczenie, jest świadom – ku swemu przerażeniu – że jego ciało go zdradziło. Bo za każdym razem, kiedy w jego głowie pojawia się obraz pobladłej twarzy Milly i jej szczupłych ud, jego przyrodzenie twardnieje. Zwalcza pokusę dotykania się, tylko po to, żeby oddać się myślom o leżącym pod nim ciele dziewczyny. Szatan siedzi na jego ramionach i szepcze mu lubieżne słowa do ucha.

Zaciska dłonie w pięści i przyciska je do oczu. Na głos wzywa Chrystusa, by wybaczył mu i pomógł zwalczyć pokusy cielesne. Czyż Pan nie powiedział: „I jeśli prawa twoja ręka jest ci powodem do grzechu, odetnij ją i odrzuć od siebie. Lepiej bowiem jest dla ciebie, gdy zginie jeden z twoich członków, niż żeby twoje ciało miało iść do piekła”[\[15\]](#).

I leżąc bezpiecznie w ciepłym łóżku, Ned zatęsknił za bitwą. Za szczękiem stali. Za pewnikami i świadomością, że dzieło Boże realizuje się przez pchnięcia piki, a także za docierającym do uszu oddechem Bożym. Za czystością zimna i głodu, i poświęcenia. Za sposobnością szybkiego trafienia do nieba i za aniołami wzywającymi w bezpieczne objęcia Jego łaski.

[\[14\]](#) Kor 1, 9-10.

[\[15\]](#) Mat 5, 30.

ROZDZIAŁ 15

KWIECIEŃ 1643

Splądrowane miasto ma szczególny zapach. Ned idzie w dół Main Street w Reading. Dominuje woń dymu, spod którego wyczuć można ostry smród żołnierskiej uryny i odór zatkanych rynsztoków oraz niesprzątniętych ulic. Nie czuć za to innych znajomych zapachów – chleba czy duszonego mięsa. Zdrowe wonie toczącego się cicho życia znikają, gdy i ono znika, i zastępuje je fetor zgnilizny.

Trzyma chusteczkę przy nosie. Drzwi huśtają się na zawiasach, a szyby w oknach są powybijane. Przy ulicy ustawione są meble, co jest zaskakujące i niedorzeczne – domowe sprzęty wywleczone na zewnątrz. Obchodzi połamane krzesło, a pod jego stopami głośno trzaska zbita szyba. Dzień jest wilgotny i zachmurzony, a niedolę miasta uwypukla śliska warstwa błota pokrywająca ulice.

Gdzieniegdzie widać żołnierzy podtrzymujących się w pijackiej zażyłości. Błąkają się w zamroczeniu, poszukując nowych miejsc, nieograbionych jeszcze piwnic, niespustoszonych piekarni i nieprzetrzęsniętych kufrów. Ned aż zanadto przyzwyczał się do zamroczonego alkoholem klimatu żołnierskiego plądrowania. Stosunek wygląda następująco: osiem części gorzałki do dwóch części rządu krwi. Być może niektórzy zachowali odrobinę wstydu, ale Ned nie widzi na to dowodów. Dwaj trzymający się pod rękę, potykający się żołnierze skręcają za róg i machają do niego. Ich śmiech wydaje się Nedowi do cna dziwaczny, jakby wygłupiali się podczas pogrzebu. Zobaczyli szarfę swojego dowódcy i radośnie wykonują coś na podobieństwo salutu.

Nigdzie nie widać mieszkańców miasta. Musieli niegdyś tu żyć, nawet dzieci i matki, staruszkowie, psy domowe i dziewczęta o policzkach rumianych jak jabłka. Zostały tylko szczury, przeszukujące resztki odrzucone przez żołnierzy. „Czy są gdzieś tutaj?” – zastanawia się Ned. „Być może chowają się w dziurach jak borsuki i tylko czekają na nasze odejście, żeby mogli wypełznąć i próbować odtworzyć swój świat? Zaczynając od zamiecienia szkła i usunięcia nieczystości pozostawionych przez żołdaków. Będą powolnie odbudowywać swoje zrujnowane życie”.

Mija zatłoczoną, hałaśliwą karczmę. Kiedy przechodzi obok, drzwi otwierają się na oścież i na zewnątrz wypada młody mężczyzna. Leży w rynsztoku z policzkiem opartym na zimnym, wilgotnym bruku. Ned zastanawia się, czy mu pomóc, ale ostatecznie rezygnuje. Dokładnie w tym samym momencie chłopakiem miotają potężne torsje. Wymioty kapią po jego pozbawionym zarostu podbródka i płyną po ulicy. Ned mija go i skręca w Broad Street. Odruchowo spluwa w stronę trzeciego domu po lewej. Podobno tu urodził się Laud. Jego dom, z którego mieszkańcy dawno już uciekli, stał się otwartą kloaką, usianą ekskrementami purytańskich żołnierzy. Wszystkie szyby w oknach są rozbite, a mury pokrywają napisy. Ned z pewną satysfakcją przygląda się degradacji domostwa. „Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę” – myśli.

Na rogu ulicy wchodzi do szycowni, wybudowanej z cegły rezydencji miejskiej – Walsingham House. Elegancka sala wewnątrz jest wypełniona wyższymi oficerami, którzy rozsiedli się przy wielkim kominku i leniwie popijają wino. Ned jest teraz niższym oficerem kawalerii i członkiem sztabu generała dywizji Philipa Skippona. Przyjął leniwy krok oficera. Dawno temu już zorientował się, że jeżeli odpowiednio odgrywa się przyjętą rolę, nikt nie zakwestionuje twojej pozycji. Panuje tu atmosfera rezygnacji po niespodziewanym zwycięstwie, odniesionym w wyniku nieporozumienia wśród rojalistów. Wstyd wisi w ciężkim, zadymionym powietrzu niczym miazmaty. Ściany odbijają rykoszetem ryki i wrzaski przebijające się od czasu do czasu przez grube mury.

Skippon jest w rogu, trzeźwy – oczywiście – i otoczony planami. Wygląda na zmęczonego i wymizernionego. Cały triumf związany z dokonaniem wyłomu w murach obronnych Reading dawno już stopniał pod wpływem czarnej rozpacz, w jaką wprawiał go widok własnych oddziałów z obłędem w oczach i bez żadnej kontroli biegających po ulicach miasta. Ned wyczuwa przyptyw uczuć opiekuńczych do siebie ze strony tego cichego, pobożnego człowieka, który nie rozumie skłonności swoich ludzi do wpadania w szal po trudach oblężenia.

Skippon nisko pochyla się nad listem i Ned czeka, aż podniesie na niego wzrok. Nieczęsto się zdarza, aby żołnierze kochali i szanowali swojego dowódcę. Skipponowi jednak udało się to osiągnąć. Kochają go za jego pobożność, siłę i talent żołnierski. W armii dowodzonej przez szlachetnie urodzonych oficerów ochotników, zawodowość Skippona jest cechą rzadką i wysoko cenioną przez ludzi, o których życiu decyduje. Ale przede wszystkim kochają go za jego spokojne dostojeństwo. To właśnie ta cecha zdecydowała o treści odpowiedzi, jakiej udzielił królowi, gdy ten rozkazał mu stawić się pod jego sztandarem zeszłego lata. „Pragnę oddawać cześć Bogu, nie ludziom” – odparł. Ned przypomina sobie to zdanie i uśmiecha się pod nosem. Pośród tych wszystkich przepychanek i pustosłowia, czyż nie było to najprostsze i najdoskonalsze podsumowanie tego, dlaczego się tu znaleźli?

„A jednak, cała ich miłość i szacunek do generała i Boga nie powstrzymały ich przed sianiem zniszczenia” – myśli Ned dokładnie w tym momencie, kiedy Skippon

podnosi wzrok i go zauważa.

– Ned, chłopcze. Miło cię widzieć. Na zewnątrz ciągle panuje chaos?

– Tak, sir. Trochę się uspakaja teraz. Piwo się kończy.

– Jutro niedziela, może uda nam się przemówić im do rozsądku.

Ned przytakuje bez przekonania.

– Chcę, żebyś pojechał do Londynu. Możesz jechać? Oczywiście, oczywiście, że tak.

Weź tę notkę do kwatermistrza, żeby wydał ci konia, a to jest twoja przepustka.

Ned bierze dokumenty, a Skippon wyjaśnia jego zadanie. To rozkaz ustny, nie ma być zapisany. Chodzi o uzyskanie pozwolenia Komitetu Bezpieczeństwa na to, żeby stracić kilku mężczyzn dla przykładu, oraz słowne podsumowanie rozruchów i napadów, których wojska dopuściły się wczoraj w Reading, dla sekretarza Komitetu.

– Wydaje mi się, że znasz sekretarza, Olivera Chettle'a? – pyta

Ned potwierdza kiwnięciem głowy.

– Tak myślałem, właśnie dlatego ciebie do niego posyłam. Nie chcemy, żeby zbyt głośno mówiono o występkach popełnionych w mieście przez naszych ludzi. Słówko z Chettle'em, pozwolenie Komitetu na uchylenie prawa i udzielenie pozwolenia na publiczne, surowe rozprawienie się z kilkoma złoczyńcami. Chcę, żebyś to załatwił.

Służący wnosi talerz z chlebem i serem i stawia go wśród papierów, którymi zarzucony jest stół. Skippon wskazuje puste krzesło.

– Zjedz coś przed podróżą.

Ned z zakłopotaniem siada i przyjmuje poczęstunek. Jest wygłodniały, bo dla tych, którzy brzydzą się grabieżą, niewiele pozostało w mieście.

– Dziękuję, sir – bąka między kęsami.

– Smutne to wszystko – odzywa się generał. – To twoje pierwsze oblężenie i pierwsze plądrowanie, prawda, Ned? Ja widziałem to już nazbyt często. Przynajmniej nie mieliśmy raportów o gwałtach i zabijaniu cywilów, w każdym razie jeszcze nie. Jest w nich jeszcze iskra pobożności pod galonami portera.

– Ojciec mówił, że w Niderlandach było inaczej.

Skippon uśmiecha się ze smutkiem.

– Twój ojciec nie przepadał za żołnierką.

Ned ma ochotę zapytać dowódcę, dlaczego takim ludziom jak on to się podoba, ale zna swoje miejsce. Zezwierżenie żołnierzy na wojnie przeraziło go, mimo ostrzeżeń ojca. Jest wstrząśnięty łatwością, z jaką towarzysze oddają się ekscesom, i rezygnacją, z jaką dowódcy na to przystają. „Dlaczego tak bardzo dziwi mnie podłość natury ludzkiej?” – zastanawia się, kiedy przed oczami pojawia mu się pobladła twarz Milly.

– Mężczyźni to słabe istoty – mówi Skippon, jakby czytał w myślach Neda. – Ta podłość to pokłosie strachu. Nie wiem, czemu Bóg zsyła na nas szaleństwo po bitwie, ale to robi. Potrzeba mocnego, trzeźwego umysłu, żeby się temu oprzeć.

– Ta nienawiść nie może być Jego wolą – oponuje Ned.

– Wszystko jest Bożą opatrnością, Ned, przecież to wiesz.

– Nasze dusze to bagno zepsucia. Jesteśmy bestiami. Obrzydliwymi, nikczemnymi, niegodnymi jego miłości – mówi Ned, odrobinę za bardzo podnosząc głos.

Skippon przechyla głowę na bok i patrzy uważnie na młodego oficera.

– Tak. Nie znam nikogo, kto miałby zupełnie nieskalaną duszę. Gdybyśmy tak bardzo nie potrzebowali łaski Boskiej i wstawiennictwa jego Syna, nie byłyby one takie cenne.

Ned nie jest przekonany, ale mimo wszystko kiwa głową, bo chce zrobić przyjemność generałowi. Myślał o tym trochę w ciągu ostatnich dwóch dni. Boska opatrność przeciw spustoszeniu, jakiego dopuścili się purytanie.

– Ale, sir – mówi, wskazując ręką okno – wszystko to zaprzecza twierdzeniom Arminiusza. Zbawienie jest takim darem, taką bezgraniczną, nieskończoną radością. A my jesteśmy tak odrażającymi, nędznymi, płaszczącymi, nikczemnymi istotami. Nikt z nas nic nie może zrobić, żeby zasłużyć na ten dar, jesteśmy zbyt niegodziwi. Zbawienie nie może więc mieć związku z dobrymi uczynkami, sir, tak to widzę. Jesteśmy zbyt nikczemni, by jakiegokolwiek nasze żalosne działanie mogło zapewnić nam zbawienie.

Ból i samotność Neda pośród łupiestw są tak oczywiste i naturalne, że poruszony Skippon łapie go za ramiona. Neda nagle ogarnia strach, że się rozpłacie. Ten drobny gest zupełnie go roztkliwił.

Jego dowódca uśmiecha się i przymusza do jowialnego tonu.

– Żony ci potrzeba, Ned. Tego właśnie potrzebujesz. Gdy tylko cały ten chaos zostanie opanowany. Nic nie uspakaja duszy mężczyzny jak uczciwa kobieta.

„Jest w tym trochę prawdy” – myśli Ned, wsiadając na konia i kierując się w stronę Londynu. „Żona. Ale jaka i kiedy? Ładna, owszem, ale również pobożna i skromna”. Przypomina sobie, co kiedyś powiedział mu Taffy: „Pospolita Joan jest piękna jak dama, kiedy zgasi się światło”. „Masz rację Taff – przyznaje w myślach – ale najlepiej ożenić się z taką, której twarz możesz uwielbiać”. Obraz Lucy Tompkins samoistnie pojawia się w jego głowie. „Czy to znak, Panie?” – pyta. Jednocześnie Lucy kręci piruety w jego wyobraźni, uśmiecha się do niego nieśmiało rozchylonymi, wilgotnymi wargami.

Ned przez całą drogę do domu oddaje się tym marzeniom, zwalczając narzucające się ciemniejsze myśli – żona bez twarzy rozchyła uda dla niego, a szatan na jego ramionach zachęca go do działania.

*

W swoim gabinecie w Temple, Oliver Chettle siedzi na krześle i słucha doniesień Neda o oblężeniu. Ned opowiada mu o pracach ziemnych, umocnieniach wzniesionych wokół miasta i dziesięciodniowym ostrzale artyleryjskim. Opowiada o Astonie^[16], dowódcy rojalistów, który wywiesił białą flagę na chwilę przed tym, jak posiłki zwolenników króla dotarły na tyły sił parlamentarzystów. Wojska króla

zatrzymały się, oczekując, że Aston poprowadzi swoich ludzi za mury i dołączy do dławienia rebeliantów w śmiertelnych kleszczach, a później obie strony zrozumiały, że dowódca się poddał. Zdaje relację z desperackiej walki na moście Caversham Bridge, żeby odeprzeć rojalistów, podczas gdy nieszczęsny Aston stał za umocnieniami, związany własną, ogłoszoną nie w porę kapitulacją.

– Szlachetny człowiek – stwierdza Ned. – Mógł opuścić wywieszoną flagę i włączyć się do gry. Wówczas wynik byłby zupełnie inny.

Chettle kiwa głową.

– Szlachetny, z pewnością. Niemądry być może także. Ciekawe, jak przyjął to Jego Królewska Mość.

Ned nie jest w nastroju do rozważania niejasności. „Aston postąpił szlachetnie” – mówi sobie. „I niech diabli wezmą zdanie króla”.

Ned nie mówi Chettle’owi, czego jeszcze dowiedział się w czasie oblężenia. Że ciągle strzelanie dział może zszargać człowiekowi nerwy tak, iż staje na granicy załamania. Że wystrzelona z wałów kula z muszkietu wchodzi w ciało człowieka jak nóż w musztardę i rozbryzguje jego mózg na odległość dziesięciu metrów. Że koń uwięziony w wilczym dole będzie kwiczał z bólu, pragnienia i głodu przez wiele dni, zanim wreszcie wyzionie ducha z cichym rzeniem. Te szczegóły wydają się tutaj, w wypełnionym książkami gabinecie Chettle’a, bardzo odległe. Ned stara się je zapamiętać. Są prawdziwsze niż ułożone dysputy w Temple. Za oknem Chettle’a woda w fontannie opada kaskadą.

– A Essex nie rozważał natarcia na Oksford?

Ned kręci głową.

– To stara baba. Pozwolił im uciec spod Turnham Green i teraz krąży wokół Oksfordu jak francuski nauczyciel tańca. I oczywiście... – Chettle robi znak rogowca.

Ned to ignoruje. Stara się pamiętać, że lubi Chettle’a. „Oni i my” – myśli. „Zostałem żołnierzem. Chettle jest inny”. Ned patrzy na młodego prawnika jakby z oddali, zza stosów ciał i przerażenia.

Pokrótkie streszcza Chettle’owi, dlaczego przyjechał, wyjaśnia, jaką misję powierzył mu Skippon. Opisuje deprawację, jaką zostawił za sobą.

– Bydlaki – rzuca prawnik.

Ned stroszy się. On może tak myśleć, bo tam był, ale Chettle siedzi elegancki i zadowolony z siebie za biurkiem i, ot tak, potępia jego towarzyszy. „Sam chwyć za pikę i stań obok Taffy’ego, wtedy będziesz mógł nazywać go bydlakiem”.

– Czy oni nie zdają sobie sprawy, że tracimy naszą moralną przewagę, kiedy oddają się plądrowaniu? Głupcy. Jak możemy zaskarbić sobie serca niezdecydowanych, skoro zachowujemy się gorzej niż ten diabeł Rupert?

– Być może – odzywa się łagodnie Ned – gdybyśmy zapłacili ludziom to, co jesteśmy im winni, nie musielibyśmy tak bardzo martwić się grabieżami.

Chettle rzucił mu ostre spojrzenie.

– Gdyby ludzie tacy jak twój ojciec płacili podatki dobrowolnie, być może

moglibyśmy im zapłacić.

– Nie jestem moim ojcem,

– Nie – przyznaje Chettle. Zapada cisza. – Pójdiesz się z nim zobaczyć?

– Nie miałem tego w planach.

„Jestem tchórzem” – myśli Ned. „Staję naprzeciw szarzy rojalistów, a boję się spojrzeć w smutną, bladą twarz służącej. Jestem nikczemnikiem”.

– To mogłoby być rozsądne – mówi Chettle. – Powiedz mu po cichu, że jego postawa została odnotowana.

Chettle nachyla się do przodu i mówi cicho, mimo że grube ściany i ciężkie dębowe drzwi oddzielają ich od reszty świata.

– Majątek jawnych rojalistów zostanie zarekwirowany.

– Mój ojciec nie jest rojalistą.

– Czyżby? Nie popiera parlamentu. Wydaje mi się, że dawno już minęły czasy, kiedy neutralność była alternatywą. Wyjawilem już wystarczająco dużo. Darzę sympatią twoją rodzinę, w przeciwnym razie nic bym nie powiedział.

Ned dziękuje prawnikowi, a w jego głowie kotłują się myśli. Nie dba o pieniądze ani dom. To są pułapki. Czysta dusza jest ponad chciwość. Jak to ujął William Gouge? „Irytujący grzech, który przysparza stałych zmartwień”. „A jednak. Czy zawsze nie zakładałem, że będę zamożny?” – zastanawia się Ned. „Że jeśli wszystko odziedziczę, moja dusza nie zostanie skalana pogonią za bogactwami, z tego prostego powodu, że i tak zostaną nimi obsypany. Och, Panie, każdego dnia okazuję się bardziej niegodny”.

Głos Chettle’a, tym razem głośniejszy i trochę zbyt beztroski, zakłóca tę gonitwę myśli.

– Gdybyś widział się ze swoją siostrą, przekaz jej moje wyrazy szacunku.

– Oczywiście – odpowiada Ned.

Dopiero później, kiedy skręca w Fetter Lane, zwraca uwagę na te słowa Chettle’a.

W jadalni świecą światła, a dom w ciemności wydaje się przestronny i wygodny. Lektyka zatrzymuje się dokładnie w chwili, gdy Ned dociera do schodów i wypada z niej Hen, podekscytowana jego widokiem.

– Ned! – krzyczy – Ned!

Całuje ją i staje obok, żeby przyjrzeć się siostrze. „Co Chettle w niej widzi?” – zastanawia się. Dla niego zawsze była zabawnym, kochanym, piegowatym stworzeniem. Uśmiecha się do niego, a jej zielone oczy błyszczą w migoczącym świetle okien. Jego siostrzyczka jest – uświadamia to sobie – piękna. Ma kremową skórę i kasztanowe włosy. Oraz zielone oczy, żywe i radosne. Po raz pierwszy to zauważa. Odkrycie jest zaskakujące, ale miłe.

– Witaj Hen, malutka. Gdzie byłaś?

– U Birchów. Ned, to było takie nudne, z tysiąc razy miałam ochotę walnąć głową o mur. Miałam tam jeszcze zostać, ale wymówiłam się bólem głowy. A ty, gdzie byłeś

i skąd się tu wzięłaś?

– Zdobyliśmy Reading, słyszałaś?

– Tak! Całe miasto o tym mówi.

Nadal stoją na schodach, lektyka już się oddaliła.

– Chodź – mówi Hen. – Wejdziemy do środka i wszystko ci opowiem.

W domu kierują się do wielkiej jadalni i stają zmieszani.

Naprzeciw nich, zastygli bez ruchu, stoją ojciec i Edmund Waller. Obaj mają osobliwy wyraz twarzy, a cisza, z jaką witają niespodziewane przybycie Neda i Henrietty, niezręcznie się przeciąga. Waller stoi po jednej stronie stołu, po drugiej zaś nieznaną im kobieta. Jest ubrana na modłę dworską, ma głęboko wycięty gorset, a jej strój cechuje się ostentacyjnym brakiem purytańskiej skromności. Ma około trzydziestu lat i jest piękna. Odznacza się ową niewymuszoną elegancją, którą trzeba sobie wypracować i regularnie o nią dbać, żeby wydawała się naturalna.

Na stole, między trójką obecnych, leżą złote monety ułożone w stosy. Złoto połyskuje w świetle rzucanym przez ogień w kominku. Ned spogląda to na stół, to na ojca.

Challoner odzywa się pierwszy.

– Ned, my nie... To jest... – zacina się i milknie.

– Miałem sprawę w Komitecie Bezpieczeństwa. Pomyślałem, że odwiedzę was przed rannym powrotem do Reading.

– Oczywiście, oczywiście. Reading.

Zapada niezręczna cisza.

– Wallera chyba oboje znacie.

Poeta kłania się i mamrocze:

– Miło mi.

– Lady D'Aubigny, proszę pozwolić mi przedstawić pani mojego syna, Edwarda Challonera, i moją córkę, Henriettę Challoner.

Lady D'Aubigny dyga nisko. Jej dłonie nerwowo zaciskają się na koronkowej chusteczce, rzuca spojrzenie to na Neda, to na Wallera. Ned, mimo młodego wieku, wygląda na żołnierza. Talię ma przewiązaną pomarańczową szarfą Essexu, a dłoń lekko opiera na rękojeści szpady. Jego kubrak jest poplamiony błotem i ciemniejszymi, rdzawymi plamami.

Challoner podchodzi do nich i kładzie ręce na ramionach syna i córki.

– Dzieci, musimy zakończyć pewne sprawy. Poczekaj na mnie w kuchni, Ned, zjedz coś, a ja do ciebie za chwilę przyjdę.

Ned strząsa dłoń ojca.

– Chyba lepiej pójdę sobie, ojcze. Zostawię cię z twoimi... Twoimi interesami.

– Ned, proszę.

Hen i ojciec patrzą na niego z niemą prośbą.

On odpowiada sztywnym kiwnięciem głowy.

– Gdzie jest Sam? – pyta Ned, kiedy schodzą do kuchni.

– Zapewne w biurze rachunkowym przeklina twoje imię. Pała chęcią wstąpienia do armii. Nie jestem pewna, czy dłużej będzie słuchać ojca.

– Czy on wie o... – Ned szuka odpowiedniego słowa. – O tych rzeczach, jak myślisz?

– Nic nie mówił – odpowiada Henrietta.

Zwraca Nedowi uwagę, żeby jej o nic nie pytał. Ona jest tylko dziewczyną. Dziewczyną, która przenosiła z różnych domów w City te złote monety, które teraz leżą ciężko i oskarżycielsko na stole Challonera. Dziewczyną, która wie, jak sprawdzić, czy ktoś ją śledzi i jakie podjąć środki zaradcze, a także które barki łamią zakaz pływania do Oksfordu, oraz kto sprzedaje nielegalne ulotki. Dziewczyną, która ma doskonale niewinny wyraz twarzy, zмага się z własnym sumieniem i wygrywa.

Kiedy wchodzi do kuchni, zaskoczone Sally i niania podnoszą wzrok. Wstają i podchodzą, czule zwracają się do Neda, usadzając go przy stole. Chłopak odpina szpadę i opiera ją o ścianę. Wayneman, nowy służący, staje w pobliżu. Ma oczy jak spodki i aż trzęsą mu się ręce z chęci dotknięcia lśniącego ostrza.

– Spójrzcie na panicza Neda! – woła Sally.

– Wyrósł i jest żołnierzem – mówi niania. – O mało się nie rozplakałam na twój widok!

– Nie będziemy wam tu przeszkadzali na dole? Ojciec ma gości. – Hen odrobinę się zawahała przed słowem „goście”.

– Panicz Ned zawsze mile widziany, zawsze! – Niania i Sally prześcigają się w entuzjastycznym potakiwaniu.

Ned rozgląda się po kuchni i w kącie dostrzega Milly. Stoi przy palenisku, mieszając w garnku, więc rumieniec na policzkach może być spowodowany po prostu ciepłem bijącym od ognia. Rzuca okiem na jej brzuch. Płaski, dzięki Bogu. Służąca nie patrzy na niego, tylko uparcie wpatruje się w płomienie.

– Milly, dziecko – mówi Sally – zostaw ten garnek i dajmy podjeść paniczowi Nedowi. Mam trochę zimnej cielęciny i doskonały ser. Milly, dziewczyno, dołóż do pieca i przynieś trochę piwa korzennego. Spójrz na dłonie panicza Neda, jakie są zimne i czerwone.

Henrietta siedzi obok brata, bierze jego zmarzniętą rękę i rozgrzewa między swoimi dłońmi. Żałuje, że nie mogą porozmawiać na osobności.

– Ogromnie się cieszę, że was widzę, Sally, ciebie nianiu i Milly. Marzyłem o tej kuchni i jej zapachu, leżąc na wilgotnej trawie i jedząc czerstwy chleb.

– Czerstwy chleb! – woła z oburzeniem kucharka.

Wstaje od stołu i dokłada trochę do ognia, popędza Milly, aż stół wreszcie jest zastawiony jedzeniem, a kubek z parującym jeszcze, grzanym piwem zostaje uroczyście postawiony przed Nedem. Wypija szybko jego zawartość i odczuwa rozchodzące się po ciele ciepło napoju. Nigdy nie odrzuca takiej propozycji, od Edgehill już nie. „Nie myśl o tym teraz” – przykazuje sobie. „Nie teraz”. W wyobraźni poszarzałe ciała leżą w obscenicznym pozach. Zamyka oczy, ale wtedy widzi

przerażoną, wpatrującą się w niego twarz Milly.

Do kuchni wchodzi Harmsworth. Na jego widok Ned podnosi się, wdzięczny mu za to, że oderwał go od ponurych myśli. Służący wita chłopaka śmiertelnie oficjalny:

– Często tu o panu myślimy, paniczu Nedzie, jako że pan walczy w imię naszego Boga.

– Dziękuję ci – odpowiada Ned, zastanawiając się, co pobożny i poważny Harmsworth myśli o purytańskich żołnierzach, którzy zarzygali i splądrowali Reading. – Przywiozłem ci coś – dodaje, grzebiąc w torbie. Wyjmuje niewielki, zwęglony kawałek drewna. – To fragment ogrodzenia ołtarzowego, które spaliliśmy w papistowskim kościele. Dowód naszego dzieła, można by powiedzieć.

Służący obraca w rękach drewniany odłamek. Niemal się uśmiecha.

– Zazdroszczę paniczowi. Daleko stąd, broni pan prawdziwej wiary. Gromi wrogów Boga. Tymczasem ja... – Wskazuje gestem kuchnię.

– Zachowam twoje słowa w pamięci – mówi Ned.

Sięga po chleb i odkrawa sobie kawałek sera. Czuje się dziwnie, pełen energii. Ma uczucie, że szykuje się do walki. Na dodatek w głowie mu huczy, szarpie go widmo o rysach Milly. Sprawia, że przestaje jasno myśleć. Spogląda w stronę kąta, gdzie stoi dziewczyna. Jej twarz kryje się w mroku. Czuje potworne zażenowanie, kiedy orientuje się, że jego oczy spoczęły na jej ciele oświetlonym płomieniami z paleniska. Odwraca wzrok. Krew mu gęstnieje, gdy myśli o jej nagim ciele.

Zmuszając się do niedbałego tonu, pyta Harmswortha:

– Czy Waller i ta dama, która jest u ojca, często tu przychodzą?

– Waller coraz częściej. Czasem sam, czasem w towarzystwie. Głównie Tompkinsa. Z nikim, kogo chciałby panicz widzieć tutaj, tego jestem pewny. Jeśli chodzi o nią – sączy słowa – to jest tu po raz pierwszy.

– Widzieliście, jak się ta miotła ubrała? – pyta niania.

– Za nic w świecie nie można tego przegapić – mówi Sally. – Zakradłam się, żeby rzucić okiem – opowiada na boku Hen. – Ledwie mogłam uwierzyć, jaki głęboko wycięty ma gorset.

– Musiałam złożyć ręce za siebie, żeby powstrzymać się przed chwyceniem i podciągnięciem wyżej, żeby choć odrobinę mniej obrażała Boga i poczucie przyzwoitości – oświadcza niania.

– Ja uważam, że wygląda pięknie – sprzeciwia się Hen.

Niania marszczy brwi. Tylko obecność Neda każe jej trzymać język za zębami i Henrietta czerpie małostkową przyjemność z tego, że kobieta będzie w środku wrzała ze wściekłości.

– Taka elegancka – ciągnie Hen. – Taka pełna swobody i wdzięku w zachowaniu.

Drzwi kuchni otwierają się i pojawia się w nich Challoner. Henrietta wstaje, nie patrząc na Neda.

Podchodzi do ojca i całuje go w policzek.

– Pani Birch kazała mi przekazać swoje pozdrowienia. Wróciłam do domu

wcześniej. Rozbolała mnie głowa.

Wie, że wzrok ojca skierowany jest ponad jej głową, w miejsce, gdzie w milczeniu siedzi Ned, patrząc spode łba.

– Czuję piwo z korzeniami – mówi Challoner.

Milly cicho nalewa trochę napoju z garnka.

– Ned, Henrietto, chodźcie napić się ze mną przy kominku w jadalni.

W pustej teraz jadalni ojciec szturcha polana i podsyca ogień. Siada na swoim fotelu i odchyła się do tyłu. Hen klęka u jego nóg ze skrzyżowanymi rękami. Ned czeka na stojąco.

– Świetne piwo z korzeniami – odzywa się ojciec.

Ned chrząka niecierpliwie. Nadal jest podminowany i wybucha:

– Nie wspomnimy nawet o tym, co zobaczyliśmy?

– A co zobaczyłeś?

– Złoto i winę.

– Winę?

Challoner wymawia to słowo tak, jakby smakował jego dźwięk w ustach. Obraca je językiem.

– Winę? – powtarza, tym razem silniej akcentując pytanie. – Pączusiu – zwraca się do Hen. – A ty, co widziałaś?

– Tylko ciebie i Willera. I tę damę.

– Tylko tyle – zwraca się do syna.

Ned robi gniewny ruch. Przemierza pokój, ale nie dotarł jeszcze do granicy rosnącej w nim wściekłej energii.

– Nie rób ze mnie głupca, ojcze. Dobrze wiemy, że kupcy szmuglują złoto z City do Oksfordu. Z daleka było widać, że ta kobieta ubrana jak dziwka jest związana z dworem. A Waller, wszyscy wiemy, z kim jest powiązany.

– A nawet jeśli masz rację, Ned. To co z tego?

– Opłacasz broń, która jest wycelowana we mnie i moich towarzyszy. Co chciałbyś, żebym zrobił?

– Chciałbym, żebyś wreszcie wrócił do domu, żeby zapanował pokój, a kraj nie zmierzał ku chaosowi. Pozwoliłem ci podążać za własnym sumieniem, ale czyż nie mam prawa postępować tak, jak każe mi moje?

Hen patrzy na iskry sypiące się między mężczyznami. Challoner zaczyna wpadać w złość, czerwienieje na twarzy, a jego kciuki bieleją, gdy zaciska dłonie na oparciu krzesła.

– Ja walczę z honorem! – krzyczy Ned. – Z bronią w ręku. Nie przyczajam się, handlując judaszowymi srebrnikami z fircykami i dziewczkami.

– Powiedziałeś już wystarczająco dużo, chłopcze. Wystarczająco.

– Podobnie jak pan, sir.

Ned odwraca się, żeby wyjść, i jakby po namyśle wyciąga rękę do Hen. Siostra zrywa się na nogi i całuje go.

– Ned – odzywa się Challoner. Mężczyźni odwracają się ku sobie. – Idź więc. Ale nie rozpowiadaj o tym. Niech to zostanie między nami.

Ned nie odpowiada. Nie jest w stanie. Zastanawia się, czy jest zdrow. Całe napięcie i wściekłość wylewają się na podłogę. Ten wyłom jest nie do naprawienia. Przepaść między nimi stała się zbyt szeroka, by można ją było przekroczyć. Żeby dodać sobie odwagi, łapie za rękojeść szabli. Patrzy w twarz starego mężczyzny i widzi tylko maskę zdrajcy.

– Ojciec – mówi cicho – szatan przemawia do ciebie. Jest w twoim sercu i twojej głowie, i w tych stosach złota. Ukrywa się w języku Wallera i oczach tej kobiety.

Drzwi trzaskają głośno za wychodzącym Nedom. Zdruzgotani Henrietta i Challoner wymieniają spojrzenia.

*

Will otwiera drzwi i Ned z ulgą widzi szeroki uśmiech pojawiający się na twarzy przyjaciela. Nie wiedział, dokąd pójść.

– Przepraszam, że tak późno – mówi.

– Nie opowiadaj bzdur. Wchodź!

Pokój oświetla pełgający płomień świecy, przy której Will czyta. Ned siada na łóżku, podczas gdy przyjaciel krząta się, dokłada do ognia, wydobywa trochę porteru i sera nie pierwszej świeżości.

Will pokazuje ręką pokój i żaloszny ogień w kominku.

– Zupełnie jak w Oksfordzie, widzisz? Kieszonkowe od ojca nie starcza na wiele.

– A jednak, brachu, niedługo zostaniesz prawnikiem.

– Tak, to samo mówią mi te dranie.

– Zamieńmy się, zostań żołnierzem.

– Bez obaw. Nie mam zamiaru iść do wojska.

– Możesz trzymać się z daleka od tego wszystkiego?

– Nie wychyłam się, więc nikt mnie nie niepokoi. Do perfekcji opanowałem sztukę wymijającego potakiwania.

Demonstruje Nedomu, a przyjaciel wybucha śmiechem.

– Zorientowałem się, że to działa. Kiedy nic się nie mówi i kiwa głową, ludzie dochodzą do wniosku, że się z nimi zgadzam i zostawiają mnie w spokoju. Mój mistrz jest przekonany, że jestem purytaninem do szpiku kości.

– A kim jesteś?

– A, widzisz. Tylko ty znasz mnie wystarczająco dobrze, żeby o to zapytać wprost, a nawet wobec ciebie nie mogę być szczerzy. Ponieważ prawda jest taka, że niewiele mnie to zajmuje. Mam wystarczająco dużo spraw do przemyślenia.

Wskazuje na chwiejny stos książek pod ścianą.

– A to – mówi, uśmiechając się i wskazując znacznie mniejszy stosik, żalosznie porzucony w ciemniejszym rogu pokoju – to są moje książki prawnicze.

– Kraj opanowała wojna. Nasze dusze są w niebezpieczeństwie, a ty zajmujesz się gwiazdami.

– Tak, jestem zbyt prosty, żeby zrozumieć moją duszę, pozostawiam to innym.

– Zazdroszczę ci.

– Wcale nie. – Will uśmiecha się do przyjaciela.

Rozmawiają spokojnie i nieskrępowanie o przyjaciółach i znajomych. Wyliczają, kto stanął po której stronie, kto został ranny lub stracił życie za króla lub parlament. Ned opowiada o Brentford i Reading oraz o zgrozie, jaką wzbudzają w nim wojska puszczane na grabież po bitwie. Opowiada mu też trochę o nocy spędzonej na polu pokrytym trupami po bitwie pod Edgehill.

– Teraz jest już inaczej. Ta pierwsza bitwa była dziwna. Jakby po obu stronach stali chłopcy bawiący się w wojnę. Później jeden zaczął krwawić, a reszta pobiegła z płaczem do domu. Teraz wystarczająco dużo się wydarzyło, żeby walka była bardziej zaciekła i osobista. Jesteśmy silniejsi, twardsi i bardziej wściekli.

– Tak, ale jaki jest tego cel? Kiedy to się skończy? Jeśli on wygra, będziecie zdrajcami, ludźmi naznaczonymi. Jeśli on wygra, pozostanie królem. Król zawsze będzie królem.

Ned zastanawia się w ciszy nad tym zdaniem. Nie znajduje w nim żadnego słabego punktu.

Will się odzywa.

– Porozmawiajmy o innych sprawach. Co słyhać u twojej rodziny, twojej siostry?

– Dość dobrze. Biedna Hen była świadkiem, jak się pokłóciliśmy z ojcem dziś wieczór. To dobra dziewczyna. Myślę, że Oliver Chettle ma do niej słabość.

Zauważa, że przyjaciel nagle sztywnieje, że atmosfera w pokoju odrobinę się zmienia.

– Ty też, Will?

– Nie wiedziałeś?

Ned myśli o kościstym palcu babki wskazującej na Hen i wieszczącej, że umrze w staropanieństwie. Zastanawia go własna ślepotą i błędna ocena babci. Nagle przypomina sobie, że nie przekazał ostrzeżenia Chettle'a. Nie można jednak wrócić po tym, jak wyszło się, trzaskając drzwiami. Chettle przesadzał, przekonuje sam siebie. Podoba mu się Hen, ale nie może ożenić się z nikim, kto nie stoi po stronie Boga i parlamentu. To wszystko. Tak zapewne jest.

– Nie – odpowiada wzruszony wyrazem bólu na prostolinijnej zwykle twarzy Willa. – Nie wiedziałem.

Ned leży wyciągnięty na łóżku przyjaciela i myśli o scenie, której wcześniej był świadkiem. „Jak daleko to zaszło? Jakie są moje zobowiązania? Czy jeśli ojciec finansuje wroga, on sam też staje się nieprzyjacielem?” Wydaje mu się, że Will też nie śpi. Leży z nieruchomym wyrazem twarzy człowieka czuwającego, ale świadomego, że nie jest sam. Pewnie myśli o Hen. Co się stanie, jeśli plan ojca wyjdzie na jaw? Czy troska o jej los kieruje jego decyzjami? Żałuje, że nie jest sam, żeby móc wiercić się

i kręcić, gdy myśli kotłują mu się po głowie. Leży jednak nieruchomo i zwraca się do swojego Boga. „Och, Panie, wskaż mi światło. Wskaż mi właściwą drogę”.

[\[16\]](#) W rzeczywistości to nie sir Arthur Aston poddał miasto. Kilka dni wcześniej został ranny i dowództwo przejął pułkownik Richard Fielding, który za poddanie miasta został skazany na śmierć. Wyrok w ostatniej chwili zawieszono dzięki wstawiennictwu księcia Walii za namową księcia Ruperta (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 16

MAJ 1643

Przyszli o zmierzchu. Łomot żołdaków wdzierających się do domu, rozdzielających się na pary, biegających po schodach, wpadających przez drzwi i krzyczących. Hen jest w bibliotece, czyta przy otwartym oknie. Rozkoszuje się ciepłym, wiosennym powietrzem i ciszą, która zapada nad City między końcem dnia i początkiem wieczornych wypadów.

Wrzaski żołnierzy wyrywają Hen z zamyślenia. Początkowo stara się zrozumieć. Tupot ich kroków i wydawane wrzaskiem rozkazy nie mają sensu. Później orientuje się, z nagłą rozpaczą, z jakiego powodu się tu znaleźli. Łapie garść rojalistycznych ulotek i wkłada je pod spódnicę, wciskając pod gorset. Na stole zauważa stos czasopisma „Mercurius Aulicus”. Zostały przemycone z Oksfordu na nielicznych barkach, które spływają w dół Tamizy. Kupiła je za trzykrotność ceny od zdesperowanej wdowy po księgarzu, przyczajonej na dziedzińcu katedry św. Pawła. Hen zgarnia je i wpycha pod poduszki na ławce pod oknem. Siada na wybrzuszeniu dokładnie w momencie, kiedy drzwi otwierają się z hukiem i do pokoju wpadają żołnierze.

Zauważają siedzącą dziewczynę i zatrzymują się w drzwiach z niemal komicznym zakłopotaniem.

– Bardzo przepraszamy, panienko – mówi jeden z nich, nieco zażenowany.

Hen przypomina sobie sposób bycia lady D'Aubigny, pewność siebie maskującą strach. Zrywa się i z wysoko podniesioną głową mówi głosem tak pewnym siebie, na jaki tylko może się zdobyć:

– Jak śmiecie wpadać w ten sposób do mojego pokoju? Kim jesteście? Co tu robicie?

Żołnierze mamrocą coś cicho. Za ich plecami słyszy głos ojca. Choć nie może rozróżnić słów, po tonie poznaje, że jest wściekły. Później ucieka się do pijackiej jowialności, a ona modli się, żeby to zadziało.

Żołnierze nadal głupio stoją w drzwiach. Wyglądają jak czeladnicy zebrani

z warsztatu garbarza albo z kuźni, którym wręczono szpady i przykazano być groźnymi. Hen nie rezygnuje z przyjętej pozy. Jakiś mężczyzna pojawia się za parą żołdaków.

– Panna Challoner? – pyta.

Jest ubrany zamożnie, ale skromnie. Jego płaszcz został uszyty z najwyższej jakości kruczoczarnego sukna. Nieco łysieje na czubku głowy, ale po bokach i z tyłu ma długie włosy, które miejscami, nad śnieżnobiałym kołnierzem, kręcą się niemal jak u dandysa. Jego oczy są blade i nieruchome. Jego skóra wydaje się jednocześnie lepka i mięsista jak gorące ciasto wyjęte z formy.

Hen przytakuje. Mężczyzna, mniej więcej w wieku jej ojca – jak ocenia – być może odrobinę młodszy, kłania się jej.

– Nehemiah Stroud, panno Challoner, do usług.

– Skoro tak, żądam, żebyście natychmiast opuścili ten dom, kimkolwiek jesteście.

Stroud obnaża zęby w grymasie przypominającym uśmiech.

– Czy to żart, miła pani? Zabieramy pani ojca.

Dziewczyna czuje, że przyjęta przez nią poza opada.

– Dokąd?

– Do Tower, oczywiście.

Henrietta zamyka oczy. Tower. Dobry Boże, miej nas w swojej opiece.

– Za co?

– Za zdradę.

– Przeciwno komu?

– Ponownie, bardzo zabawne, drogie dziewczę. – Skłania głowę w półukłonie. –

A teraz muszę cię prosić o opuszczenie domu. Będziemy go przeszukiwać.

– A jeśli odmówię opuszczenia własnego domu?

– Obawiam się, że panienka nie ma wyboru.

– Panie Stroud, czy tak? Nie mam dokąd iść. Jeden brat tu mieszka, ale dokądś poszedł. Drugi służy z Philipem Skipponem. Jest jego prawą ręką. Ned walczył pod Edgehill i pod Reading.

Stroud znów się uśmiecha, a ona uświadamia sobie, że on wszystko to wie. Wszystko wie na jej temat, a ona zna tylko jego nazwisko. Ta dysproporcja wytrąca ją z równowagi.

– Twój znakomity brat, obawiam się, będzie zrozpaczony, kiedy dowie się o zdradzie dokonanej przez ojca.

Coś w jego sposobie mówienia jej się nie podoba, coś znanego i fałszywego w jego tonie. Ojciec wszedł do pokoju z dwoma żołnierzami, a ona zastanawia się, czy też wyczuł fałsz w głosie Strouda. Challoner zachowuje kamienną twarz, tylko nerwowe podciąganie i ściąganie mankietów wskazuje, że jest świadomy, iż grupa uzbrojonych żołnierzy weszła do jego domu i grozi mu zabranie do Tower. Przynajmniej jest w stanie chodzić. Podagra chwilowo ustąpiła. Chciałaby podbiec i stanąć obok niego, ale boi się, że zdradzi ją szeleszczenie papieru pod spódnicą.

Challoner rzuca spojrzenie na stół, gdzie leżał „Mercurius”, i na miejsce, w którym zostawił najnowsze ulotki rojalistyczne. Starsze umieścił w skrzyni, którą zakopał w ogrodzie.

Stroud bierze z piętrzącego się na stole stosu papierów ulotkę opisującą fikcyjne morderstwo. Jest to sensacyjna opowieść o kryptokatolickimi zabójcy żony i dziecka. Ogląda drzeworyt na pierwszej stronie i obraca na bok, żeby przekonać się, że rzeczywiście leżący na podłodze, tryskający krwią bezgłowy tułów dziecka. Odkłada druk.

– Przejrzę to później – mówi. – A teraz, panno Challoner, może pani – jeśli woli – poczekać w kuchni ze służącymi.

– Wolałabym zostać tu – odpowiada Hen.

Ojciec podchodzi do niej.

– Pączusiu, zrób jak mówi ten człowiek.

Córka próbuje przekazać mu wiadomość spojrzeniem.

– Czy mogłabym na minutę zostać sama z ojcem?

Wyraźnie zniecierpliwiony Stroud lekceważąco macha ręką.

– Panno Challoner, wystarczy już tego. Proszę teraz wyjść.

Ojciec wyciąga do niej rękę, a ona ją chwyta. Stojąc, patrzy na Strouda, gdy jego wzrok mija ją i pada na nieosłonięte niczym, nierówno ułożone poduszki. Natychmiast podchodzi do ławki zamaszystym krokiem i ściąga poduszkę gwałtownym ruchem. Czasopisma spadają na podłogę. Luźne kartki unoszą się jak liście, aby po chwili opaść na pokrytą matami z sitowia podłogę biblioteki.

Stroud schyla się i podnosi jedną z gazet. Na pierwszej stronie wytłuszczoną czcionką jej cel: „Komunikowanie Informacji i Spraw Dworu pozostałym częściom Królestwa”.

Hen nadal trzyma dłoń ojca i teraz ściska ją mocno.

– Będziemy musieli nagiąć i ten śliczny karczek? – mówi Stroud. – Niezgorsza kolekcja, panno Challoner.

– Czasopisma są oczywiście moje, Stroud – odzywa się Challoner. – Możemy teraz się pospieszyć? Hen, idź do kuchni. Idź już, dziecko.

Henrietta sztywno podchodzi do drzwi, starając się nie poruszyć żadnej z ukrytych ulotek. Nagle przychodzi jej do głowy myśl.

– Moja babcia – zwraca się do Strouda. – Proszę, jest na górze. Za bardzo się boi, żeby wyjść z pokoju. Proszę nie zmuszać jej do tego. Będzie przerażona.

Stroud tylko wykrzywia twarz w dziwnym, bladym uśmiechu.

W kuchni Hen siada przy stole z Sally, nianią i Milly. Harmsworth stoi naprzeciw ognia, w taki sposób, że nie widać jego twarzy. Chłopak służebny płacze ze strachu.

– Przestań hałasować, ty żałosny mazgaju – prycha niania.

Milly rozkłada ramiona i chłopiec podchodzi, żeby ukryć twarz w jej sukni.

– Głupi chłopak – rzuca niania.

Znów zapada cisza. Słuchają dochodzącego z góry tupania ciężkich żołnierskich

butów.

– Powiedzieli, że zabierają go do Tower – mówi Hen.

– Na rany Chrystusa – szepcze Sally.

– Co będzie z nami?! – woła niania. – Zostaniemy wyrzuceni z domu, pozostaną nam żebrzy i nierząd, Boże, pomóż nam!

Nagle dochodzi do nich krzyk. Wysokie zawrozczenie rozbrzmiewa po całym domu.

– To babcia – mówi cicho Hen.

Wstaje, idzie do kuchennych drzwi i je otwiera. Żołnierz zastępuje jej drogę.

Krzyk zmienia się w ciche łkanie. Hen widzi trzech żołnierzy znoszących babkę po schodach. Trzymają staruszkę za chude nadgarstki i kostki nóg. Niosą ją jak worek węgla. Wrzucają do kuchni, a ona biegnie do kąta najbardziej oddalonego od paleniska. Tam przykuca, jej siwe włosy opadają luźno i płaczą się wokół twarzy, chudymi ramionami obejmuje kolana. Hen dostrzega na jej skórze purpurowe ślady po żołnierskich dłoniach.

– Babciu – mówi cicho i kuca obok.

Wyciąga niepewnie rękę, żeby dotknąć jej ramienia. Szybkim, mściwym ruchem babka odwraca się i opluwa wnuczkę.

– Widzieliście kiedyś coś podobnego? – szepcze Sally. – Zmysły jej się pomieszały ze strachu, biedna kobiecina.

Hen pozostaje w kuckach, nie bardzo wie, co zrobić. Opiera się plecami o ścianę, odchyła do tyłu głowę. „Boże, daj mi siłę” – modli się. „Proszę, proszę, daj mi siłę”.

– Spójrzcie tylko na nią – mówi niania. – Wygląda na to, że przez te wszystkie lata miała rację. Jest potępiona. Bez dwóch zdań potępiona. Czy dobry Bóg zesłałby taki stan na kogoś wybranego?

Gotująca się ze złości Hen wstaje. Nim zdąży zdać sobie sprawę z tego, co robi, podchodzi do niani i uderza ją w twarz, policzkuje otwartą dłonią tak, że głowa kobiety odchyła się w bok, a usta zastygają w pełnym zdumienia „Och”. Dźwięk uderzenia obiega kuchnię i nawet Harmsworth się obraca. Milly dusi uśmiech, a chłopiec robi zdumioną minę przez łzy ciekące mu jeszcze po twarzy.

Henrietta, zawstydzona aktem przemocy, której się dopuściła, chowa się w kącie. Niania, trzymając dłoń przy płonącym policzku, patrzy na dziewczynę. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, i ponownie je zamyka. Patrzą na siebie, a później odwracają wzrok.

Drzwi znów są zamknięte, żołnierz pilnuje ich z drugiej strony. Hen wstaje i podchodzi do ognia. Nie zwracając uwagi na Harmswortha, sięga pod suknię i wyciąga schowane tam pliki ulotek. Wrzuca je partiami do ognia. Płomienie ogarniają papier i kartki płoną – czarne, zwęglone krawędzie poszerzają się, pożerając słowa. Tyrady przeciwko buntownikom i radykalnym spiskom. Przestrogi przed kobietami-kaznodziejami i społecznym buntem we wszelkim jego diabelskim przebraniu. Wezwania do lojalności wobec króla, peany pochwalne ku czci księcia Ruperta i wojowniczej królowej Henrietty, dzielącej pod Edgehill okopy z żołnierzami,

podczas gdy pociski z dział przelatują jej nad głową.

Wszystkie te słowa kurczą się w ogniu. To gest mający pomóc ojcu, ale to nie wystarczy. Zniszczenie tych słów nie pomoże, Hen to rozumie. Stroud wie. A przede wszystkim ojciec jest najwyraźniej winny. Czegoś. Nie on jeden. Strach ściąga jej skórę w znany sposób. „Jezu, strzeż mnie. Proszę, Boże”.

Hen czuje się roztrzęsiona. Chętnie kucnęłaby w kącie obok babci i zaczęła pochlipywać. „Jeśli stracę rozum – myśl – kto pomoże ojcu? Zostanę poddana próbie jak święty Piotr, i boję się, że zawiodę”.

W końcu drzwi się otwierają i ukazuje się w nich Stroud. Jego pozbawione wyrazu oczy omiatają kuchnię w poszukiwaniu jej twarzy.

– Panno Challoner. Zabieramy pani ojca. Nie mam wątpliwości, że będzie miał swobodę w Tower i będzie pani mogła go odwiedzać.

– Muszę się z nim pożegnać.

– Obawiam się, że jest za późno – mówi ze złośliwym uśmiechem.

Henrietta czuje, że ręce świerzbią ją, żeby wymierzyć kolejny policzek. Czeką do momentu, aż słyszy trzaśnięcie drzwi frontowych, dopiero wówczas wychodzi z kuchni. Wszystko w domu jest wywrócone do góry nogami. Krzesła powywracane, skrzynie opróżnione, łóżka rozebrane. W jadalni fotel ojca leży na boku pośród chaosu. Kredens, w którym trzymają zastawę, leży otwarty, a jego zawartość porzucana jest po podłodze. W bibliotece książki porzucano z półek. Luźne strony walają się po podłodze, niezliczone grzbiety leżą połamane podszewkami butów.

Coś pęka pod jej stopą – szkło. Spogląda w dół i z największą ostrożnością zbiera pokruszone części Instrumentu, mikroskopu jej ojca. Siedzi ze skrzyżowanymi nogami, próbując złożyć razem kawałki przyrządu. Słyszy kroki na dole.

– Hen, Bogu dzięki, jesteś bezpieczna. Chryste, co się tu stało?

– Sam, Sam, nie mogę tego naprawić. Jest popsute. Nie umiem tego naprawić.

Później załamuje się, wybucha wielkim, niepohamowanym szlochem w ramionach brata, który kuca obok niej, patrząc na chaos w zapadającym zmroku.

ROZDZIAŁ 17

Hen przechodzi pod wielkim łukiem Tower, mija strażników i gnuśnych gapiów, przechodzi obok stada kruków, które zebrały się przy wejściu, i żebraczki, która codziennie siedzi tu, prosząc o pieniądze i lamentując z powodu utraty męża. Już tydzień upłynął jej na tej rutynie. To niebywałe, jak szybko to, co niewiarygodne, może stać się codzienne.

Przechodzi w cieniu White Tower i wchodzi do jednej z mniejszych wież osadzonych w murze. Nawet to miejsce ma swoją hierarchię. Jej ojciec zajmuje niewielką celę ze szczelinami w murze w miejscu okien i gołą kamienną podłogą. Jednak w obrębie Tower ma swobodę poruszania się. Hen zrobiła, co mogła, aby nadać celi przyjemniejszy wygląd dzięki poduszkom i tkaninom ściennym. Nie ma tu półek, ale książki piętrzą się pod ścianami. Warstwa kurzu zebrała się na powierzchni tomów znajdujących się najwyżej – to straszne, że w ogóle ich nie rusza.

Ojciec zrywa się, by ją przywitać. Nie znosi jego wymuszonego uśmiechu. Jego kochana twarz zupełnie poszarzała, została z niej tylko skorupa, krucha i pusta. Hen stawia koszyk z jedzeniem i go całuje.

– Kochany ojcie – pyta – jak spałeś?

– Dobrze, pączusiu, dobrze.

Hen wygląda na dziedziniec przez wąskie okno. Gromada dzieci bawi się w zawiłą grę z piłką. Promienie słońca przedzierają się przez obwarowania, rzucając jasne cętki na grupę mężczyzn i kobiet. Jakiś starzec siedzi na ławce w rogu z uniesioną głową, żeby złapać trochę słonecznego światła. Para kłoci się w ciemniejszym kącie dziedzińca, mężczyzna gniewnie wymachuje palcem przed twarzą swojej towarzyszki.

Mogłaby to być zwykła ulica. Gdyby przeszło się szybko wybrukowane ścieżki i starało nie myśleć o tutejszych ciemnych kątach. Podobno gdzieś głęboko, w trzewiach Tower, kryje się Loch Szczurów – podczas przyływu celę zalewa woda i napływają do niej głodne i okrutne szczury. Można tu spotkać starego, zgarbionego mężczyznę, który spaceruje po wybrukowanym dziedzińcu i opowiada każdemu, kto chce słuchać, o swoim pobycie w Czarnej Dziurze, jamie wysokości zaledwie czterech stóp, w której człowiek skazany jest na męczarnie nieprzerwanego pozostawiania

w skurczonej pozycji.

Tower jest dość bezpieczne dla większości osadzonych umieszczonych ponad poziomem bruku i w dziennym świetle. Nocą, kiedy w podziemnych zakamarkach błądzą duchy, cuchnie szatanem.

Mówi się, że gdzieś w twierdzy trzymany jest arcybiskup Laud, ale Hen go nie widziała. Tower pęka w szwach. Thomas Hood, strażnik Challonera, ma wygląd człowieka, który musi wykarmić dziesięć gąb dwoma bochenkami chleba. Nie, żeby było jej go żal. Jest nieugiętym dozorcą, człowiekiem pozbawionym współczucia. Nauczył się widzieć w przetrzymywanych tylko więźniów, nie ludzi. Być może dla strażnika jest to nieodzowna umiejętność.

Hen odwraca się w tę stronę celi, gdzie jej ojciec siedzi na łóżku i wpatruje się w jakiś punkt pośrodku pomieszczenia, jakby miał on jakieś głębsze znaczenie.

– Jadłeś już?

– Tak, dziecko, nie susz mi głowy.

– Co zjadłeś?

– Będziesz też chciała poznać sekrety moich trzewi? Do diabła, Henrietto. Skończ z tym matkowaniem!

Córka odwraca się do okna, żeby poczekać, aż minie jego wybuch gniewu i nadejdzie nieunikniona skrucha, jak zawsze dzieje się w takich wypadkach.

Patrzy na niskiego, radosnego człowieczka przechodzącego przez dziedziniec, który machając rękami, wskazuje młodszego, górującego nad nim wzrostem mężczyznę. Czy to jest Laud? „Jeśli tak – zastanawia się Hen – czy czuje wstyd, że przyczynił się do tego, abyśmy upadli tak nisko? Czy bez Lauda kraj również stanąłby w płomieniach?”

Realizuje kolejne kroki, które podjęli od chwili aresztowania ojca. Wysłała listy do Neda i wuja Roberta. Bóg jeden wie, czy dojdą. Samowi udało się załatwić, ukradkiem przynajmniej, niektóre sprawy ojca zanim wieści o jego aresztowaniu i wiszącej w powietrzu konfiskacie majątku dotarły do giełdy. Twarz mu się rozpromieniła z powodu tego niewielkiego zwycięstwa. Wymienił niewielką ilość towarów na gotówkę, choć zaproponowano mu żałośnie niską cenę. Życie toczyło się zwykłym torem. Służba została w obojętności i zachowała dyskrecję. Dom nadal jest oświetlany świecami z prawdziwego wosku, żadnych ogarków ani tańszych zamienników. Na stole pojawia się mięso, jak dawniej warzy się i podaje porter. Sprząta się i szoruje. Zachowuje twarz. I wiarę, że ojciec uwolni się z tej sieci.

Tompkins i Waller również zostali aresztowani. „Pozwól ich stracić. Boże, proszę, niech to ich powieszają, a nie jego”.

– Pójdę później odwiedzić Lucy i jej ojca – mówi do Challonera. – Masz dla niego wiadomość?

– Nie, ale dziękuję ci. Później i tak się z nim spotkam, zapewne. Ta dziewczyna nigdy nie przestaje się mazać. To mi gra na nerwach. Jeśli jej purytańscy krewni nie zgodzą się jej przyjąć, ty będziesz musiała, kiedy zawiśniemy.

– Ty nie zawisniesz – odpowiada.

Boże, tylko nie Lucy. Hen jest już ciężko z babcią, starą i zdziwaczalą. Nie odzyskała zmysłów. Służący są humorzaści i wiecznie czegoś żądają. Jest już zmęczona utrzymywaniem przyjętej pozy, ale rezygnacja z niej odłoniłaby panikę, jaką odczuwa. I do tego wszystkiego jeszcze Lucy. Śpi na składanym łóżku w celi ojca w Tower. Miota się między łzami a złorzeczeniem. Hen – koniec końców – już woli złorzeczenie. Przynajmniej czasem jest w tym jakiś przejaw zgryźliwej inteligencji, sporadyczny przebłysk cierpkiego humoru.

– Hen, ja zawisnę, musisz to wiedzieć.

– Nie mów tak.

– Mój proces zacznie się za miesiąc. To będzie farsa, ostrzegam cię. Parodia procesu, tak jak w wypadku Strafforda i Lauda.

Sięga po szklanekę z winem. Słońce nadal jest nisko, jeszcze kilka godzin dzieli ich od południa. Hen wie, że ojciec przesiaduje w celi całe dni i pije. Aż do nieprzytomności. W godzinach przed obiadem jest najtrzeźwiejszy.

– Staniemy się kozłami ofiarnymi. Nowymi Hipponaksami.

– Hipponaksami?

– Pharmakosami, kozłami ofiarnymi. To nic nowego w historii ludzkości, kotku. W starożytnych Atenach, w czasach waśni demos wybierał kozła ofiarnego, człowieka składanego w ofierze, żeby odkupił swoją śmiercią to, co w państwie się popsuło. Jednym z nich był Hipponaks, satyryk. Ja jestem kolejnym. – Wstaje i zaczyna przemierzać celę, machając wolną ręką w podnieceniu. – Zostanę poświęcony w imię zepsutego rządu, który potrzebuje mojej krwi, żeby wzmocnić topniejące poparcie. Łajdaki. Waller też! Drań. Powołuje się na swoich przyjaciół i protegowanych. Zapamiętaj to sobie, Hen. Jemu włos z głowy nie spadnie, tymczasem ja i Tompkins będziemy dyndać jak strachy na wróble. Westminster obroni swoich.

– Przestań, ojcze, proszę. Przestań. Chcesz, żebym mazała się jak Lucy? Staram się nie załamać, ale mi w tym nie pomagasz.

– Nie?

Challoner odwraca się, żeby spojrzeć na córkę. Hen widzi, że w ojcu rozgrywa się jakiś wewnętrzny konflikt.

– Tak – mówi, siadając ciężko. – Zostałem nazwany zdrajcą. Zdrajcą! Wobec kogo, Hen? Tych wybrakowanych ignorantów? Jak lojalność wobec króla może być zdradą?

Nalewa sobie kolejną porcję wina.

– Mam zobowiązania wobec ciebie, pączusiu, które muszę wypełnić w czasie, jaki mi został. Oto prawda, żebyś przynajmniej to wiedziała. Zorganizowałem pieniądze, które miały być wysłane królowi. Potajemnie zbierałem złoto i kontaktowałem się w City z osobami lojalnymi wobec króla. – Zniża głos. – Nikomu nie mów o swoim zaangażowaniu, Hen. Nikomu.

Dziewczyna potakuje. Challoner mówi znów głośniej:

– Przekazywałem pieniądze, a lady D'Aubigny transportowała je barką do Oksfordu.

Wszystkie inne niestworzone historie o spisku mającym na celu porwanie dzieci królewskich albo zajęciu murów City to same brednie. Teraz, kiedy już zostałem oskarżony, żałuję zresztą, że nie posunąłem się dalej.

– Naprawdę? Przecież nie sprzyjasz aż tak bardzo królowi.

– Może nie człowiekowi, ale jego urzędowi tak. Czym jesteśmy bez porządku państwowego, dziecko, jak nie dzikusami? Chciałbym, żebyś była bezpieczna w świecie, w którym panuje porządek. Zamiast...

Zawiesza głowę.

Nagle, niczym tęcza, na jego twarzy pojawia się uśmiech, sprawiając, że Henriecie łzy napływają do oczu.

– Cóż to za upokorzenie, pączusiu – mówi cicho, nadal się uśmiechając. – To okrucieństwo zostać powieszonym jako pionek na początku gry. Gdybym nie zawisł, mógłbym odegrać co najmniej rolę skoczka. – Wybuch śmiechem pełnym niedowierzania. – Myślałem, że jestem więźniem, pączusiu, to jest w tym najśmieszniejsze. A jednak cały czas byłem tylko pionkiem.

Bierze jej twarz w dłonie i z uwagą jej się przygląda, jakby czegoś szukał.

– Nie pozwól nikomu zrobić z siebie pionka. Jesteś moim najbystrzejszym i najlepszym dzieckiem. I jesteś dziewczynką.

Całuje ją.

– Czy Will mówił ci kiedyś albo pokazywał, jak patrzeć w słońce?

Hen wzdyga się, słysząc imię Willa w ustach ojca.

– Nie, ojcze.

– Nie możesz patrzeć na nie bezpośrednio, bo oślepniesz. Musisz projektować jego obraz na papier. Dużo na ten temat tutaj myślałem. Żaden człowiek nie jest w stanie spojrzeć w swoją duszę, patrząc na nią bezpośrednio, nie uciekając się do żadnych sztuczek i podstępów, jeśli nie chce popaść w szaleństwo. Opowiadamy więc sami sobie własne historie, czynimy się bohaterami i opowiadamy swojemu sercu kłamstwa o naszych najbardziej nikczemnych czynach. Projektujemy nasze dusze na papier i upiększamy uzyskany efekt bohaterstwem albo uprzejmością. Musimy wierzyć w te wymyślone przez siebie historie, pączusiu.

Wstaje, podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. Wyciąga rękę przez pręty krat i wystawia ją na słońce.

– Wiesz, pączusiu, w pewnym sensie to dar wiedzieć, że śmierć nadchodzi. Czuję jej oddech na sobie i patrzę w moją duszę tak bezpośrednio, jak tylko potrafię.

Przestaje mówić i spostrzega łzy płynące po twarzy córki. Hen zrywa się na równe nogi i pada mu w ramiona, przytulając głowę do jego piersi. Ojciec szepcze jej we włosy:

– I poniosłem porażkę. O Boże, jakąż poniosłem porażkę.

Drzwi się otwierają, uderzając o ścianę, i do celi wchodzi Sam. Jest wymizerniały, blady. Przynosi ze sobą stęchły, zaprawiony chmielem zapach karczmy.

– Nic od Neda? – Sam od razu rzuca pytanie.

Oboje kręcą głowami. Wszyscy troje stoją, patrząc na siebie. Nieobecność Neda sprawia, że tworzą trójkąt, choć po prawdzie powinien być to kwadrat. „Zupełnie źle to rozegraliśmy” – myśli Hen. „Nie udało nam się zachować symetrii”. Jej myśli biegną ku Willowi kreślącemu wszechświat dążący do harmonii, do równoległości. Niebiosy dążą do piękna, a my niszczymy Ziemię naszą brzydota.

– Wojska są dość blisko. Powinniśmy już je słyszeć – głos Sama jest poważny, przepełniony bólem i złością.

Hen patrzy na ojca, który położył dłoń na ramieniu syna.

– Nie dziwi mnie, że Ned się nie odzywa. Zgadliście już pewnie, Samie i ty kotku, że to on mnie zdradził.

– Nie! – woła Henrietta, choć te słowa przemawiają do niewygodnej prawdy, która ukrywa się gdzieś w jej głowie. – Nie.

– Któżby inny?

– Nie – powtarza cicho, jakby przez wielokrotne zaprzeczenie mogła urzeczywistnić swoje pragnienie.

Patrzy na posępną twarz Sama. Wszyscy troje siadają na chwilę w ciszy, patrząc na wydłużające się na murach cienie.

*

Następnego ranka Sam i Henrietta czekają przed biurem Olivera Chettle’a, kiedy młody prawnik przychodzi do pracy. Na ich widok przestaje pogwizdywać i ogląda się za siebie, wprowadzając ich do swojego gabinetu.

Jest uprzejmy, ale wszystko wskazuje na to, że wizyta rodzeństwa go niepokoi.

– Powiniennem wam powiedzieć, że poproszono mnie o pomoc w przygotowaniu sprawy przeciwko waszemu ojcu – informuje, gdy tylko nadarza się sposobność. – Odmówiłem, powołując się na to, że znam waszą rodzinę. Ale być może uniknięcie tego nie będzie takie łatwe.

Hen siada na wskazanym krześle. Jest przezroczyta z głodu, wychudła.

– Miło pana widzieć, sir. Rozumiemy, że w tych czasach... – mówi Sam.

Chettle potakuje.

– Nie jestem jednak pewien, jak mogę wam pomóc.

– Nie rozumiemy, co zarzuca się ojcu – wtrąca się Hen.

Chettle wierci się na krześle. Gdyby była w stanie w jakikolwiek sposób wyrażać rozbawienie, uśmiechnęłaby się, widząc jego wyraźne zakłopotanie.

– Panno Challoner, jak bardzo szczerzy mam być?

– Szczerzy? – Hen prostuje się w krześle. – Nie jestem dzieckiem ani nie jestem głupia. Jeśli będzie pan lukrował słowa, nie podziękuję panu za to.

– A więc dobrze.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– To, co powiem, nie ma charakteru oficjalnego. Ta rozmowa jest czysto

hipotetyczna.

Sam i Hen przytaknęli.

– Wydaje się, z tego, co zrozumiałem, że niemal pewne jest, iż wasz ojciec na jakimś poziomie był zaangażowany w spisek rojalistyczny. Pytanie brzmi: jak daleko się posunął. Jeszcze bardziej nurtującym pytaniem jest: jak daleko parlament chciał, żeby się posunął.

– Nie rozumiem – odezwał się Sam.

Chettle spojrział na niego, po czym ciągnął powoli i z namysłem:

– Stroud jest nowym człowiekiem, ambitnym. Ma posłuch u Pyma. Na horyzoncie jawią się pewne trudne decyzje. Wasz ojciec, Tompkins i Waller są popularni w stronnictwie umiarkowanym. To byłoby – zrobił przerwę, poszukując właściwego słowa – dogodne dla prominentnych członków stronnictwa umiarkowanego, żeby zostali zdemaskowani jako aktywni rojaliści, a wasz ojciec i jego przyjaciele im to ułatwili.

– Czy mówi pan, że to może nie mieć znaczenia, jak daleko zaszedł spisek, liczyć się będzie to, co zostanie uznane? – pyta Hen.

Chettle ponownie potwierdza skinieniem głowy, maska prawnika, którą przywdział, na chwilę ustąpiła, ukazując niespodziewane współczucie.

Hen siedzi na krześle z zamkniętymi oczami.

– Jak sprawa plastra z dżumą – szepcze.

Zaskoczony Sam spogląda na siostrę.

– Plastra z dżumą?

– Nieważne. Proszę nam powiedzieć, panie Chettle, jak to może się skończyć.

– W najlepszym razie? Długotrwałe uwięzienie w Tower oraz nakaz konfiskaty majątku.

Sam chwyta się stołu.

– A w najgorszym?

– Przykro mi – mamrocze Chettle.

– Nie dojdzie do tego – mówi Henrietta zdecydowanym tonem. – Proszę nam wyjaśnić nakaz konfiskaty majątku, panie Chettle.

– Komisja konfiskacyjna wyda nakaz. Wasz majątek – w tym wypadku dom i kapitał płynny – zostaną zajęte na czas przewidziany w nakazie. Dom zostanie wydzierżawiony, a parlament będzie pobierał zyski z najmu. A także zyski z prowadzonych interesów.

– Nie będzie zysków z przedsiębiorstwa w czasie, gdy ojciec jest w więzieniu. Jego interesy to suma jego charakteru i przedsiębiorczości. Bez jego obecności nie ma zysku.

Chettle rozłożył ręce.

– Nakaz działa lepiej w przypadku szlachty, której dochody pochodzą przede wszystkim z majątków ziemskich. Jest to mniej skomplikowane dla komisji.

– Niech nam Bóg wybaczy, ale chyba powinniśmy utrudniać sprawę komisji – mówi

Sam.

Henrietta wstaje.

– Dziękujemy, panie Chettle.

– Wychodzicie?

– Był pan bardzo pomocny. Ale musimy pozwolić panu zająć się swoimi sprawami.

– Przykro mi – mówi prawnik, otwierając drzwi.

Hen spogląda na niego.

– W istocie, wczoraj byliśmy zamożni. Dzisiaj jesteśmy bezdomni, nie mamy grosza przy duszy i prawdopodobnie zostaniemy sierotami. Mnie chyba też jest przykro.

Miłego dnia, panie Chettle.

ROZDZIAŁ 18

LIPIEC 1643

Za tydzień go powieszają. Rozetną jego ciągle jeszcze drgające ciało i wyciągną na wierzch wnętrzości tak, by zdążył je zobaczyć przed śmiercią. Zarzną go jak wieprza przed uczcią. Wszystko, czym jest i był, zostanie sprowadzone do sterty ciepłego jeszcze mięsa i skóry rozciętej nożami. A co z jego duszą? O Boże, miej pieczę nad jego kochaną duszą.

Kiedy rada wojenna ogłasza werdykt, Henrietta ze wszystkich sił stara się utrzymać na nogach. Ma wrażenie, że świat zaczął się szybciej kręcić, że wiruje jej pod nogami z niewiarygodną dzikością, by przywieść ją nieubłaganie na dzień egzekucji. Straciła równowagę, a czas pędzi mimo jej modlitw.

Szubienica zostanie wzniesiona przed jej domem, żeby ojciec mógł patrzeć w stronę drzwi frontowych, kiedy sznur będzie pozbawiał jego ciało ostatniego tchu. Tompkinsa powieszają przed jego domem w Cheapside. A Waller? Waller jest teraz w parlamencie i przemawia w swojej sprawie. Sam słucha go z galerii.

Hen przechadza się apatycznie po dziedzińcu katedry św. Pawła. Próbuje tu i tam przejrzeć jakąś książkę. Książki zawsze były jej oparciem, jej pasją. Teraz jednak nie może się skupić. Słowa płyną. Życie jest zbyt surowe, zbyt rzeczywiste, żeby zapomnieć o nim w linijkach atramentu. Zastanawia się dla zabicia czasu, czy kiedykolwiek odzyska swoją miłość do książek. Myśli o tej dziewczynce, skulonej na poduszkach i zagubionej w słowach, i nie rozpoznaje jej. To obca dla niej osoba.

Nagle, jakby na życzenie, naprzeciw niej staje Will. Przeczesuje włosy dłonią poplamioną atramentem i niepewnie się do niej uśmiecha. Pod cieniem wysokiej iglicy katedry św. Pawła, wśród gwaru kupujących i krzątających się księgarzy, stoi jej ukochany. Odpowiada mu uśmiechem. Jest tak cicho, że słyszy bicie własnego serca.

– Williamie! – woła ktoś nieznanym głosem, ostrym i cierpkim.

Will staje w półobrocie.

– Matko – odpowiada. Hen widzi odzianą w czerń kobietę ze ściągniętymi, ciemnymi

włosami, patrzącą na nią z jawną wrogością. – To jest moja matka, Sara Johnson. Matko, to jest Henrietta Challoner – przedstawia je sobie Will.

Hen zauważa brak wyjaśnień na swój temat. Sara jeży się na dźwięk jej imienia. Kobiety pozdrawiają się. Panuje między nimi nieufność. Hen z ciekawością przygląda się matce Willa. Przypomina to czytanie przepowiedni pokazującej, jak będzie wyglądać Will, gdy zgorzknienie i czas odbiją swoje piętno na jego twarzy.

– Słyszałem o waszym ojcu – mówi Will. – Przykro mi.

– Tak – odpowiada Hen. – Ma trochę książek, które chce ci dać.

– Jakże to uprzejme z jego strony – odzywa się pani Johnson. – Oczywiście, proszę przesłać je do pokoju Williama.

Hen pochyla głowę w ukłonie.

– Co panią sprowadza do Londynu, pani Johnson?

– Tylko odwiedzam mojego syna. Chcę się przekonać, jak mu idą studia. Jakaż góra pracy przed nim, panno Challoner. Miną całe wieki zanim zdobędzie dyplom. Prowadzi życie w znoju i ubóstwie. Potrzebuje matczynej opieki raz na jakiś czas.

Will przestępuje z nogi na nogę. Hen stara się zbyt otwarcie nie śmiać na oczach starszej pani.

– Jest szczęśliwy, na pewno – mówi łagodnie.

Nagle jest tego dla niej za dużo. Bierność Willa, wrogość jego nadopiekuńczej matki. „Nie mogę – myśli Hen – zaprzętać sobie tym głowy. Jestem zbyt zmęczona. To nie ma żadnego znaczenia. Niech ona dalej mnie nienawidzi, niech on się miota”.

– Cóż. Prześlę książki. A teraz muszę już iść do domu. Brat na mnie czeka. Mój brat Sam. Miał pan może jakieś wieści od Neda, panie Johnson?

– Nie, już od dłuższego czasu nic.

– No cóż. Do widzenia, pani Johnson. Panie Johnson.

Pani Johnson lekko się kłania. Ledwie dba o to, żeby ukryć swoją ulgę, kiedy Henrietta odwraca się i odchodzi Ludgate Hill. Henrietta raz spogląda za siebie, żeby zobaczyć, czy odprowadzają ją wzrokiem. Spojrzenie matki Willa spoczywa na synu, na jego twarzy zmienionej w maskę pozbawionego nadziei nieszczęścia. Odwraca się do nich tyłem i schodzi ze wzgórze, krocząc energicznie, jakby miała na sobie spodnie Sama.

*

Wróciwszy do domu, siada w ogrodzie i czeka na powrót Sama, żeby opowiedział jej o przemowie Wallera. Słońce mocno przygrzewa, po plecach spływa jej pot, a wszystko w jej ciele skręca się i kurczy. Ma skórę poplamioną od potu. To znak życia. Martwi się nie pocą.

Ogród, duma jej ojca, gęsto zarósł chwastami, Stary Benny nie pojawił się od aresztowania ojca. Przez chwilę rozważa pomysł zabrania się do pracy, powyrywania zielsk i uratowania duszonych roślin. Ale po co? Ojciec już tu nie przyjdzie. Nie dojrzy

ogrodu z szubienicy. Wkrótce przesiadywał będzie tu ktoś inny, osoba, która będzie płaciła parlamentowi czynsz za możliwość spędzania czasu w ogrodzie jej martwego ojca i spania w jego łóżku. Niech więc ten ktoś zajmie się chwastami.

Odchyła głowę do tyłu i wystawia twarz do słońca. Żadnych wiadomości od Neda. Nie będzie myślała o Willu.

Ojciec poprosił, żeby nie przychodziła. Jak zrozumiała, zbiera odwagę na ostatnie spotkanie. Pośle po nią.

Jej żołądek kurczy się ze złości na apatię, która ją ogarnia. Kucharka odeszła do innego domu, zabierając ze sobą małą Milly i chłopca służebnego. Znała ich przez całe życie, z Milly właściwie dorastała. A mimo to usunęli się z jej życia, prawie nie oglądając się do tyłu. Tylko niania i Harmsworth zostali, oczekując zakończenia. Stronią od siebie, unikają się na schodach, plądrują szybko znikające zapasy w spiżarni i w samotności spożywają posiłki. Jak myszy buszujące po pustym domu. Hen słucha pod drzwiami, żeby upewnić się, że korytarze są puste, zanim wymknie się z pokoju. Nie może znieść widoku niani. Widziała, jak jej twarz, kiedy przyniosła wieści o procesie, nagle się zmieniła. Postarzała, zagubiona, przerażona. Hen musi podtrzymać swoją nienawiść do niej, nie ma miejsca na niespodziewaną falę współczucia dla gnębielki.

W tym domu postawionym do góry nogami Hen opiekuje się babką – robi to jednak źle. Karmi ją co prawda i myje. Opróżnia jej nocnik, przykłada sadło na wrzody i stara się zwalczyć myśli, które przychodzą jej do głowy. Kiedy się w nie wsłuchuje, słyszy jak krzyczą: „Odejdź, stara babo. Proszę, odejdź!”.

Ale babcia nie odejdzie. Niema i z nieruchomym spojrzeniem jakoś nadal chce pozostać przy życiu. Jej strach przed życiem pozagrobowym jest silniejszy od rozpaczliwej spowodowanej tym pół-życiem.

Hen wraca myślami do chwili ogłoszenia wyroku i tego, jak ojciec się skrzywił, jakby go ktoś uderzył. Zakończono prowadzoną przeciwko niemu sprawę. Stroud przekonał wszystkich, którzy go słuchali, że Tompkins, Waller i Challoner planowali zuchwały zamach rojalistyczny. Mieli porwać królewskie dzieci i uwięzić grupę czołowych parlamentarzystów, między innymi Lorda Mayora. Mieli zająć Tower, forty i magazyny oraz, poprzez otwarcie bram, umożliwić wojskom królewskim wkroczenie do stolicy.

„Zastraszyć i opanować parlament. Oto ich nikczemny cel!” – tak Stroud grzmiał, żeby zagłuszyć szmer niezadowolenia. Nie ma znaczenia to, jak gwałtownie zaprzeczali oskarżeniom. Nie ma znaczenia to, jak często jej ojciec kręcił siwiejącą głową i próbował protestować.

Pamięta triumf Strouda przy ogłaszaniu wyroku. I z jeszcze większą urazą przypomina sobie twarz Pyma. Cicha, bezinteresowna satysfakcja. Pionki zostały wzięte, a pozycja Króla Pyma umocniona. Chciała krzyknąć na niego, wytrącić go z jego chłodnego spokoju. „W mojej grze on nie jest pionkiem, lecz człowiekiem. Lubi śpiewać sprośne piosenki i pić wino reńskie. Lubi śnieg, a latem pikniki. Kocha mnie,

moich braci, a w medalionie nosi portret mojej matki. Nie jest cholerną figurką z kości słoniowej, którą możesz zbić wedle własnego kaprysu”.

Później wyprowadzili ojca i usłyszała jego wołanie: „Bądź dzielna, pączusiu! I opiekuj się braćmi!”.

Kiwnęła głową, chwytając Sama za rękę i starając się nie rozplakać dopóki ojciec nie wyjdzie z sali.

Płacze teraz, sama w ogrodzie. Światło igra w jej łzach, wyplakała już studnię łez. Ma nieustanne uczucie suchości w gardle i boli ją głowa. I nadal żadnych wieści od Neda. „Ned. Judasz? Proszę, Boże, żeby tak nie było. Ale dlaczego przynajmniej nie napisał?”

Czas mija. Wie to dzięki wydłużającym się ceniom i chłodniejszemu powietrzu. Może śpi. Może tylko siedzi, starając się usłyszeć ruch świata.

Sam przysiadła obok niej na ławce. Hen opiera się o niego. Żyje. Jest taki ciepły, pełen tętniącego życia. Hen wyobraża sobie, że przez skórę czuje silne bicie jego serca. Ma wrażenie, że tonie i tylko nacisk jego skóry na ciało utrzymują ją ponad powierzchnią wody. Zamyka oczy i wyobraża sobie, że jest trupem spływającym Tamizą, wciągany w głąb i miotany wirami przy London Bridge. Jej twarz jest pozbawiona wyrazu. Jakaż byłaby to ulga. Wyobraża sobie, że otaczają ją fale, rozkosz, jaką jej przynoszą.

Sam siedzi przez chwilę w milczeniu. Proces pozbawił go żywiołowości. Jest teraz cichszy i poważniejszy. Hen dostrzega w nim podobieństwo do Neda, choć kiedyś zastanawiała się, jak to możliwe, że w ogóle są ze sobą spokrewnieni.

– Cóż – odzywa się poważnym głosem brat – było tak, jak się spodziewaliśmy. Waller płaszczył się i kłaniał. Kajał. Tak głęboko lizał tyłek Pyma, że widziałaś, jak od wewnątrz wypycha jego pępek.

– No i?

– Podobno to zadziało. Traf chciał, że jego kuzynem jest John Hampden, ulubieniec parlamentu, a teraz męczennik. Słyszałaś, że tydzień temu w Chalgrove człowiek księcia Ruperta zabił Hampdena? Waller przywdział całun zmarłego kuzyna niczym tarczę i został odesłany do Tower. Mówi się jednak, że to tylko tymczasowe rozwiązanie i wkrótce cały i zdrowy wyjdzie na wolność.

– Czy nie możemy ojcu załatwić pomyślnego końca?

– Już za późno. Rada go skazała, poza tym słyszałem dzisiaj coś jeszcze w Westminsterze.

– Tak?

Głos brata jest szorstki i odległy.

– Pym przygotowuje nową przysięgę, którą będą musieli złożyć wszyscy w parlamencie. Będzie wymagała ślubowania na wierność reformom i potępienia kryptorojalistów.

– Kto nie jest z nami, ten przeciw nam? A więc nie będzie już miejsca dla ludzi

o umiarkowanych poglądach?

– Nie. Osoby, które odmówią złożenia przysięgi, być może będą zmuszone przyłączyć się do króla. Te, które zechcą bawić się w kotka i myszkę, będą zmuszone sprzymierzyć się z Pymem i jego ludźmi. Kiedy raz się opowiedzą po jednej ze stron, nie będą mogli już się wycofać.

Hen przetrawia informacje.

– Oliver Chettle ostrzegał nas. Pym ma zamiar wykorzystać ten spisek do podgrzania sytuacji politycznej.

– Rzeczywiście. Ktoś musi zostać winnym. A jeśli nie jest nim Waller...

Siedzą przez chwilę w ciszy. Hen ze wszystkich sił stara się opanować złość.

W końcu wie, że to się stanie, że nadchodzi.

– Muszę już jechać, Hen. Do Oksfordu.

– A więc nie do wojsk Essexu.

Odchrząkuje.

– Chyba żartujesz. Parlament ma zamiar stracić naszego ojca. Każdy ma swoją skalę wartości, Hen. Ned poświęcił wolność ojca dla swojego sumienia. Ja muszę użyć własnej skali. Weź burzenie kościołów, ogrodzenia ołtarzowe, prerogatywy parlamentu, daninę okrętową i słabość króla z jednej strony. Dorzuć, co jeszcze ci się podoba: spiski katolickie, złych doradców i mieszającą się do rządów królową. Weź to wszystko, a na drugiej szali połóż ciało naszego straconego i sprawdź, która opadnie szybciej. Nie. Do Oksfordu, Hen, żeby dołączyć do króla. Pewnego dnia znajdę się w Westminsterze i zadżgam tych tchórzliwych łajdaków.

Hen kiwa głową.

– Nie zostaniesz do czasu aż będzie po wszystkim?

– Po wszystkim? Nie. Chcę jechać teraz. Zabrać się do roboty. Chcę chwycić szpadę, pikę, muszkiet. Cokolwiek. Pragnę tego całym sobą tak bardzo, że – przykro mi – nie możesz mnie zatrzymać. Proszę cię tylko o błogosławieństwo.

– A więc, oczywiście, daję ci je.

– A ty?

– Ktoś musi zająć się babcią. Jakże ci zazdroszczę. Działać. Walczyć. Jaka to rozkosz. Jaka radość.

Brat posyła jej blady uśmiech.

– Powinno się powołać pułk kobiecy i postawić cię na jego czele – mówi.

– Gdyby tylko było to możliwe – odpowiada żarliwie Henrietta. Robi przerwę, aby po chwili dać wyraz swojemu największemu lękowi. – A co, jeśli natkniesz się na Neda? Mam na myśli bitwę.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, żeby do tego doszło? A poza tym, kiedy okazał się Judaszem, wprowadził w ruch całą tę maszynę.

– A jeśli to nieprawda? A jeśli okazał się Piotrem, nie Judaszem? Tchórzem, a nie niegodziwcem?

Sam prycha.

– Hen, oni przyszli najpierw po ojca, dopiero później po pozostałych. Za dużo wiedzieli. O nim i o nas. Jeśli to nie Ned, to kto? Jak myślisz, co się stało, kiedy umieścił na jednej szali ojca, a na drugiej tego swojego Boga? On i jego cholerne sumienie.

Siostra trochę mocniej przytula się do ramienia Sama.

– Muszę iść go odwiedzić. Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro z samego rana.

*

Po drodze do ojca zatrzymuje się u rzeźnika. W sklepie kobieta około trzydziestki radośnie dzierży tasak. Zrećźnie podnosi narzędzie i opuszcza je na drewniany blat, jakby niepomierne ją to bawiło.

Hen przygląda się sprzedawczyni niezauważona. Jest coś pocieszającego w patrzeniu na tę kobietę o sprawnych dłoniach i wyraźnym poczuciu celu. Rzeźniczka odkłada na stos schludnie odrąbane porcje mięsa, po czym nagle się odwraca. Podnosi tasak i kiedy ma go opuścić, zauważa obserwującą ją Hen.

– Och, panienko – mówi – przepraszam, nie zauważyłam pani.

– Nic nie szkodzi. Patrzyłam.

– Tnę kawałki mięsa na nadzienie do pasztecików. Za przeproszeniem panienki. Lubię, żeby wszystkie były tego samego rozmiaru. O, proszę.

– Rzeczywiście – przyznaje Hen i podchodzi bliżej.

– Panienska Challoner, prawda? – pyta kobieta.

– Tak, przepraszam, ja...

– Wszystko w porządku, widziałam panią w kościele.

– A pani się nazywa...

– Hattie Smith, proszę panienki – przedstawia się i uśmiecha, machając zakrwawioną dłonią w geście powitania.

Zapach pasztecików przenika do sklepu, jest aromatyczny i głęboki. Hen nagle zdaje sobie sprawę, jak bardzo jest głodna, a to sprawia, że jej zmysły się wyostają. Czuje, że kręci się jej w głowie. Mdleje.

– Dobrze się panienska czuje? – dociera do niej głos Hattie Smith, jakby z wielkiej, nieprzemierzonej odległości.

– Tak, ja...

Hattie nagle znajduje się obok niej, trzyma ją za łokieć, prowadząc do krzesła.

– Tutaj, panienko. Proszę się nie martwić.

– Przepraszam – mówi Hen. – Przepraszam. Ja nie... To znaczy... Przepraszam.

– Już dobrze. Nie było paniencie ostatnio łatwo, coś o tym słyszałam. Mam na myśli sprawę ojca. Z niego taki miły, pogodny, stary chłop. Jadła pani coś?

Henrietta kręci głową. Myśli o tym, jak wszyscy dawni przyjaciele ojca przechodzą na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć spotkania z nią. O głuchej ciszy ze strony

wspólników. Myśli o tym, jak za wszelką cenę chce stać z podniesioną głową, podczas gdy wszyscy chcieliby, żeby się schowała.

Hattie wciska jej gorący pasztecik, świeżo wyjęty z pieca.

– Proszę, panienko, to ode mnie. I jeszcze jeden dla ojca.

Ta niespodziewana życzliwość to dla niej za dużo, ostatnia kropla. Hen wybucha niepohamowanym płaczem, po twarzy ciekną jej ciężkie, niepowstrzymane łzy.

ROZDZIAŁ 19

W Tower jest ciemno i chłodno. Wilgoć spływa po ścianach. Hen musi przyzwycząić wzrok po wejściu z zalanego słońcem dziedzińca. Siedzi u stóp ojca, on zajmuje zaś jedyne krzesło. W celi jest cicho, powietrze wydaje się gęste od stęchlizny i nieszczęścia. Światło słoneczne wpadające przez okienko jest oślepiająco jasne. Przez otwór docierają również dźwięki z zewnątrz. Henrietta słyszy zgodny ryk wielkich kotów z menażerii – dozorca zapewne szturcha je kijem albo drażni. Słyszy odgłosy gry w kręgle, łoskot i pobrzękiwanie kul. Ktoś śpiewa psalm – fałszywie. Ktoś inny śmieje się – głośno.

Słyszy szmer odnóży robaków na kamiennej podłodze, ale nie widzi ich w mroku. Spogląda na ojca, na jego zwisające ramiona. Jego głowa kołysze się na boki. Nieustannie, z determinacją podnosi szklankę do ust. Hen słucha pobrzękiwania butelki uderzającej o krawędź szklanki, plusk młodego wina i rytmicznych odgłosów przełykania, regularnych jak bicie serca.

Pozwala, by ten zastój wprowadził ją w stan bliski hipnozie. Nigdy nie umiała pozostawać w bezmyślnym bezruchu. W normalnych czasach nie ruszała się tylko podczas snu i lektury. Ojciec zarzucał jej, że zbyt łatwo się nudzi. Jest zbyt męska – twierdziła niania.

Challoner od czasu do czasu sięga ręką i gładzi włosy córki. Są po prostu związane z tyłu, nieulożone. Kto by miał czas na rozplątywanie loków i lakierowanie dolnych części włosów, kiedy świat zmierza powoli ku katastrofie?

Zauważa, że światło w oknie zaczyna tracić swój blask, przestało być jaskrawe. Ustały dźwięki gry w kręgle. Jak długo już tu siedzi? Powinni niedługo pomyśleć o posiłku.

Wystarczająco długo siedzieli w milczeniu, teraz Hen zmusza się do mówienia.

– Tutaj, ojciec – znów proponuje mu pasztecika. – Proszę, zjedz. Żona rzeźnika dała mi go specjalnie dla ciebie. Kazała upewnić się, że zjesz.

– Nie – odpowiada głosem mętnym od wina.

– Musisz jeść.

– Muszę? A dlaczego? Czy to będzie miało znaczenie, kiedy będę dyndał tam na

górze, czy jadam, czy też nie?

Spogląda na córkę i dodaje łagodniejszym tonem:

– No dobrze, pączusiu, może kawałek bym zjadł. Po prostu chcesz mi dogodzić.

– To prawda.

– Cóż, nie jestem głodny. Zostawmy to.

– Ale musisz jeść. Jesteś zbyt chudy, kochany. Jak tyka barkarza. Ani grama tłuszczu.

Kładzie głowę na jego kolana. Żadne z nich się nie rusza. I znów ogarnia ich odrętwienie.

– Kiedy byłem taki młody jak ty, myślałem, że jeśli będę znał moment swojej śmierci, zapełnię do ostatniej minuty czas, który mi zostanie. Tylko kobiety, wino i śmiech tryskający jak fajerwerki.

– A tymczasem.

– A tymczasem siedzę w mroku jak przeklęty przez Boga kret, czekając na sąd. Zapamiętaj to sobie, pączusiu. Jeszcze jedna rzecz, co do której młodość, choć myśli, że jest tak cholernie mądra, się myli. Młodemu wydaje się, że na starość pozna wielką tajemnicę. Że będzie wiedział, jak umrzeć.

– To nieprawda?

– Nie ma w tym ani krzty prawdy. Po prostu boimy się śmierci. Niczego się nie nauczyliśmy na jej temat. Jest tylko bliżej. Słyszemy kosę tej dziwki świszcząca nam w ciemności nad uchem.

– A więc nie ma znaczenia, czy jesteś stary, czy młody.

– Nie, nie jest wszystko jedno. Słuchasz mnie, pączusiu? Sam strach może jest taki sam. Ale kiedy słyszysz ją nad uchem, znaczy to, że boisz się cały czas. Tylko tyle przychodzi z wiekiem. A nie żadna cholerna mądrość. Jedynie dręczący, nieustanny lek. A więc zostań młoda, moja kochana dziewczynko. Zostań młoda.

*

Hen nie wstała, kiedy Sam wyjeżdżał. Jest późno, a słońce nadmiernie nagrzało zasłony jej łóżka, kiedy wreszcie przytomnieje. Czuje się lepka i ociężała. Gdy udaje się jej przewyciężyć senność, wie już, że brat wyjechał, nie musi wołać go ani szukać. Samotność fizycznie jej ciąży. „Nie złamię się” – przyrzeka sobie. „Nie złamię się”.

Jest głodna. Zakłada starą suknię i wychodzi z pokoju, zapominając wcześniej upewnić się, czy na korytarzu nikogo nie ma. Niemal wpada na Harmswortha, który schodzi po schodach z naręczem bielizny. Nie zwracając na nią uwagi, znosi płótna i wkłada je do kosza pełnego srebrnych naczyń. Są tam również najlepsze szklanki do wina ojca w wyłożonej materiałem skrzyni.

– Co robisz? – pyta Hen, wychylając się przez balustradę.

– Biorę, co mi się należy.

– Co ci się należy? Jak śmiesz! Odłóż to z powrotem, mówię ci. Albo... – jej głos zamarł.

– No właśnie, albo co, panienko?

Uśmiechnął się do niej z dołu schodów.

– Dwadzieścia lat. Dwadzieścia lat wykorzystywania, złośliwości i życia w tym bezbożnym domu. Diabeł tańczy tutaj, a ja za długo mu przygrywałem. Przeklęty przez Boga gogusiowaty palant. A kiedy przyjdzie nakaz eksmisji, znajdę się na ulicy. Stary i bez grosza. Tylko dlatego, że twój ojciec nie umiał trzymać się z dala od szatana.

– To nie daje ci prawa do kradzieży, człowieku.

– Kradzieży? Nie.

Odwraca się do niej plecami i porządkuje swój stos bielizny.

– Harmsworth! – Hen krzyczy z wściekłości. Zbiega ze schodów i staje naprzeciw niego. – Odłóż to!

– Zamknij się, ty wiedźmo! – wrzeszczy na nią służący, a kropelki śliny wylatują mu z ust i osiadają na jej twarzy jak wymierzony policzek. – Zła, wynaturzona kreaturo. Dziwko szatana!

Henrietta robi krok w tył.

– Wiem wszystko o tobie, wiedźmo zamieszana w czarną magię. Czytająca słowa heretyków. Wyprawiająca harce z tym wynaturzonym chłopakiem. Rozstawiasz nogi dla szatana w nocy, ty wiedźmo? Wzywasz go przez okno? Ssie twoje sutki wiedźmy?

Przerażona jego gwałtownością dziewczyna kręci głową. Opiera się o ścianę.

Zauważa na szyi mężczyzny krzyżyk ze spalonego drewna, które podarował mu Ned. Krzyżyk zwisa nad jego sercem. Służący odwraca się, mamrocząc:

– Powiniennem być też na ciebie donieść.

– Też? Co masz na myśli przez to „też”?

– A jak ci się wydaje? Miałem siedzieć bezczynnie i czekać, żeby dzieło szatana dokonywało się tu bez przeszkód? Pozwolić, żeby szatan siedział sobie na tłustym, świńskim brzuchu twojego ojca i zrujnował wszystkie purytańskie reformy? Podczas gdy panicz Edward i jego towarzysze o nie walczą? Twój cholerny, żaloszny ojciec uczynił mnie słabym, ale nie złamał mnie do końca.

– To ty! To ty na niego doniosłeś!

Służący uśmiecha się i wypina cherlawą pierś.

– Oczywiście! A któżby inny!

Schyła się i wszystkie łupy składa na jedną płachtę płótna. Chwyta za końce materiału, skręca je i zarzuca prowizoryczny tobołek na plecy. Kieruje się do drzwi, a Hen schodzi na bok, żeby pozwolić mu przejść. Czeka, aż zatrzasną się za nim drzwi, po czym pada na kolana, żeby wykrzyczeć Bogu swoją wdzięczność.

Hen jest ubrana w stare, znajome bryczesy Sama, ma piersi związane i ukryte pod grubym, szarym kubrakiem. Jest ciężki, bo szybko zaszyła w jego pikowaną podszewkę każdą sztukę matczynej biżuterii, każdy kawałek cennego metalu, który Sam kupił po upłynięciu aktywów ojca. Jej przepustka, wyblągana u niechętnego Chettle'a, została wystawiona na nazwisko Sama Bircha.

Wynajęła konia z gospody za bramą miasta i z niezgrabną desperacją siada w siodle. Przypomina sobie, jak kłusowała na Strawberry wokół padoku w Oxfordshire, ucząc się dosiadać konia po męsku. Wyobraża sobie rozpromienioną śmiechem twarz Anny.

Krótko rozprasza ją ta myśli. Fizyczne trudy podróży zaczynają się odzywać. Udom daje się we znaki nadzwyczajny wysiłek, a ciągle jeszcze – jeśli się odwróci – może dojrzeć mury i umocnienia wokół City.

Pod koniec drugiego dnia jazdy skórę ma obtartą do żywego mięsa. Odczuwa potworny ból. Mięśnie krzyczą, żeby się zatrzymała. Ale nie przerywa podróży, jedzie godzina po godzinie. Ostatni koń, którego wynajęła na przystanku pocztowym, jest płochliwy. Nie cierpi go. Przynajmniej jej przewodnik milczy, w przeciwieństwie do ciekawskiego i gadatliwego chłopaka, którego pozbyła się w Uxbridge. Kilkakrotnie zbywała go, odpowiadając lakonicznymi kłamstwami na wszystkie jego pytania. W ciągu całego długiego dnia powiedział jej tylko jedną istotną rzecz. Maszerujące wojska są jak chmara szarańczy. Ogołacają całe wsie, zupełnie nie przejmując się życiem i poparciem tych, których zmieniają w swoje ofiary.

Przypomina sobie twarz mężczyzny, jego ciekawskie spojrzenie i perkaty nos.

– Taa, zupełnie jak szarańcza – powiedział. – Ale ludzi z odrobiną rozumu ogrodzenia ołtarzowe i komedie wokół tronu obchodzą tyle, co zeszłoroczny śnieg, gdy oplakują obgryzione kości swojej świni.

Te słowa wracają do niej, kiedy dociera na szczyt niewysokiego wzgórza, a jej małomówny przewodnik wskazuje niewielkie, oblegane miasto.

– Great Bicknell – mruczy.

– A to wojsko – mówi Hen niepotrzebnie.

Jak okiem sięgnąć, widać grupki mężczyzn rozłożonych na trawie, a z niezliczonych ognisk unosi się dym. Dźwięk ostrzonej stali i uderzania młotów dochodzą aż na szczyt wzgórza. Hen czuje też zapach dochodzący z setek garnków i myśli, ile trzeba było zgrabić, żeby wypełnić te garnki. Napełnić te wszystkie brzuchy, ugasić głód. Szarańcza.

Wierzchowiec przewodnika zaczyna parskać i przestępować z nogi na nogę, jakby wyczuwał zniecierpliwienie jeźdźca.

– Wezmę teraz konie, panie Birch – mówi.

Wymawia słowa „pan” z naciskiem, który się jej nie podoba

– Nie zabiorę ich na dół, gdzie kwatermistrz wywęszy je z odległości mili i zarekwiruje na rzecz wojska. Ogołocili już całą okolicę, dranie, i nie dostaną jeszcze tych dwóch koni.

Zeszła z szerokiego grzbietu – zmiana ułożenia ciała przynosi nowy ból. Śledzi spojrzenie przewodnika biegnące do miejsca, gdzie krew przesiąkła przez gruby materiał bryczesów. Dźwiga ciężar ukrytych kosztowności i schodzi ze wzgórza, starając się – mimo bólu – robić długie kroki.

Już niemal zmierzcha i żołnierze leżą w niewielkich grupach wokół ognisk. W obozowisku panuje ciężka atmosfera i jest cicho, nędznie mimo pełnej złota urody późnego popołudnia. Kilku mężczyzn podnosi wzrok, ale ich oczy prześlizgują się po niej bez zainteresowania, kiedy przechodzi między namiotami.

Domyśla się, że oficerowie będą w mieście. Jest to niewielka, nieufortyfikowana miejscina i Hen idzie do niej główną drogą. W chwili, kiedy błoto przechodzi w bruk, zostaje zatrzymana. Potężny, brzydki mężczyzna staje naprzeciwko niej z muszkietem w rękach. Jego towarzysze, próżnujący na trawie po bokach ścieżki, leniwie odwracają się, żeby spojrzeć na przybysza.

– A ty, dokąd idziesz?

– Kogoś szukam.

– Oczywiście, taki ładny chłopaczek – mówi jeden z leżących.

– Zejdź na bok – rozkazuje wartownik. Wybuch śmiechem, a ona próbuje go ominąć. On także robi ruch i blokują się w parodii tańca.

– Proszę! – Hen stara się mówić opanowanym głosem, ale puszcza jej nerwy. Strach sprawia, że cierpnie jej skóra

Nagle olbrzym ją łapie i ściska za ramiona.

– Spokojnie mały węgorzu – syczy, kiedy Hen próbuje mu się wyrwać. – Co to za plamy na nogach, co? Sikałeś krwią, chłopcze? Z podniecenia, że mnie widzisz?

Kładzie mięsistą dłoń na jej udach, a ona wije się, żeby się od niej uwolnić, podczas gdy pozostali żołnierze leżący na trawie pękają ze śmiechu.

– Jezu! – nagle ją puszcza.

Hen próbuje mu uciec, ale mężczyzna chwyta ją za płaszcz i przyciska do ziemi. Czuje, że na niej leży, jego oddech cuchnie jak dojrzały ser, a tłuste cielsko dławi oddech w piersiach.

– Chłopaki, to jest dziewczyna – krzyczy. – Albo młody eunuch.

To dopiero wzbudza zainteresowanie żołdaków na trawie, wstają i podchodzą bliżej. Hen leży na ziemi z czołem w błocie i ze wszystkich sił stara się nie rozpłakać.

– Jesteś pewny? – odzywa się nowy głos.

– No, chyba że biedak dostał najnędzniejszy interes w chrześcijańskim świecie.

– Pamiętasz, co zrobiliśmy tej dziwce, którą znaleźliśmy w obozie przed Edgehill?

– A jakże.

Śmieją się i Hen słyszy, jak klepią się po plecach.

Z wysiłkiem odwraca się na plecy.

– Nie jestem dziwką, a wy pozwolicie mi odejść.

– Czyżby, aniołku? – pyta olbrzym.

Stoją wokół niej. Ponad ich głowami chmura przepływa przez okrąg błękitnego

nieba. Zamyka na chwilę oczy i błaga Boga o siłę.

Nagle wstaje na równe nogi i spogląda potężnemu mężczyźnie w oczy.

– Tak, jestem kobietą, ale nie jestem dziwką. Przyjechałam tu, żeby odnaleźć brata.

Pilne sprawy rodzinne. Jest gdzieś tu pod bronią.

– Ach tak – odpowiada. – Nawet jeśli nie jesteś dziwką, na taką wyglądasz. Męski strój i pokrwawione uda. Ktoś inny miał zabawę z tobą?

Sięga pod jej kubrak. Dziewczyna cofa się o krok. Czuje, że ktoś łapie ją za rękę, podczas gdy mięsiste dłonie szperają pod jej ubraniem.

– Proszę, proszę. Ja tylko chcę znaleźć brata.

Czuje, że oczy szczypią ją od łez.

Nowoprzybyły mężczyzna o ziemistej cerze i pożądlivym spojrzeniu pyta:

– A kim jest ten twój brat?

– Nazywa się Ned. Ned Challoner. Jest młodszym oficerem i służy pod Philipem Skipponem.

– Oficer! – odzywa się olbrzym. – Ależ oczywiście.

Mężczyzna wychodzi z koła i patrzy jej w twarz.

– Ned Challoner?

– Tak. Zna go pan? Proszę, proszę mnie do niego zaprowadzić.

– Dobrze, chłopaki – zwraca się do pozostałych żołnierzy, trzymając ją za ramię – koniec zabawy.

– Ona jest moja, Taff, ja ją znalazłem – olbrzym krzyżuje ramiona.

– I tak byś nie wiedział, co z nią zrobić, ty sflaczały draniu.

Mówi to łagodnym tonem, ale Hen wyczuwa, że ten niski, żylasty mężczyzna ma posłuch. Pozostali wybuchają śmiechem, a duży żołnierz spluwa ze złością.

– Proponuję układ, Billy – odzywa się mężczyzna nazywany Taff. – Zaprowadzę ją do człowieka, którego nazywa swoim bratem. Jeśli okaże się, że opowiada nam bajeczki, przyprowadzę ją i osobiście dla ciebie rozbiore.

– Ta propozycja jest uczciwa – mówią pozostali i Billy może tylko powiedzieć, że został przegłosowany.

Taff wyprowadza ją z kręgu mężczyzn, a ona prawie mdleje z ulgi. Nogi trochę odmawiają jej posłuszeństwa i czuje, że ktoś ją podtrzymuje

– Chodźmy – mówi Taff, podtrzymując ją. – Odejdźmy trochę od tych drani, a później znów usiądziemy na trochę.

Hen przytakuje kiwnięciem głowy i zmusza swoje pokiereszowane, trzęsące się nogi do poruszania się. Nagle nawiedza ją obraz ojca, jak idzie przerażony na szubienicę. Gapiący się tłum, jego drżące nogi. Ta myśl dodaje jej odwagi i rusza naprzód.

Dochodzą do ceglanego budynku w centrum miasta, gdzie Taffy sadza ją na niskim murku naprzeciwko karczmy z szybkami w gomółkowymi oknami i połamanym szyldem.

– Poczekaj tutaj – przykazuje.

Wchodzi do budynku, a kilka minut później jakiś mężczyzna wybiega na zewnątrz, rozgląda się po ulicy, ale omija ją wzrokiem.

– Ned – woła Hen, a on znów spogląda w jej stronę.

– Jezu Chryste – mówi i biegnie w jej kierunku. – Hen, Jezu! Popatrz jak ty wyglądasz. Na rany Chrystusa.

– Błóżniesz, Ned?

Brat oblewa się rumieńcem.

– To z powodu wstrząsu – mamrocze.

Pomaga jej wstać i odwraca się do żyłastego mężczyzny stojącego z boku.

– Wszystko w porządku. Dziękuję, Taffy. Dziękuję. Będę ci dozgonnie wdzięczny.

– Stawiałem na to, sir – odpowiada Taffy.

Ned uśmiecha się do niego, po czym odwraca się do siostry.

– Chodź – mówi.

Prowadzi ją przez drogę do karczmy, a później wślizgują się do środka. Zamawia ciemne piwo, nie bacząc na poruszenie, jakie wywołuje jego sponiewierany towarzysz, i prosi o rozmowę z gospodynią. Kiedy pomocnik zostaje posłany po kobietę, Ned sadza siostrę i zaczyna jej się przypatrywać.

– A więc?

– Dostałeś mój list?

– Tak.

– I nie pomyślałeś, żeby odpowiedzieć albo wrócić do domu?

Brat patrzy w kubek.

– Po co? Gdyby był to ktoś inny, cieszyłbym się z jego uwięzienia. Ojciec nie chciałby, żebym tam był i zgrywał hipokrytę. Albo triumfował. Ale dlaczego tu jesteś, Hen?

– Zostanie stracony za trzy dni.

Ned blednie i bierze łyk piwa, jakby chciał się wzmocnić.

– Cóż. Domyślałem się, że tak to może się skończyć.

– Ned, on myśli, że to ty go zdradziłeś. Tego dnia, kiedy nakryliśmy go ze złotem i w towarzystwie lady D'Aubigny. On myśli, że to ty.

Patrzy bratu w twarz, mówiąc te słowa, i widzi ogarniające go powoli przerażenie.

– Ale to nie ja... – zaprzecza, jękając się.

– Wiem – odpowiada Hen żarliwie. – To był Harmsworth.

– Harmsworth? – Ned powtarza nazwisko w oszołomieniu.

– Tak. Przyjechałam więc po ciebie. Żebyś pojechał ze mną do ojca. Musisz powiedzieć mu, że to nie byłeś ty. Zanim, zanim...

W końcu opada z sił, wreszcie dopadają ją głód, zmęczenie, ból i strach. Czuje, jak porter w jej pustym żołądku podnosi się, i wymiotuje musującą pianą na podłogę.

ROZDZIAŁ 20

Nieznani jej strażnicy tarasują bramę Tower. Jeszcze jedna noc. Jeszcze tylko przez jedną noc będzie żył. Mimo to nie wpuszczają ich do niego.

– Proszę – mówi Hen. – Poślij słowo. Poproś Thomasa Hooda. Jego dozorcę, on nas wypuści.

Jeden ze strażników, z krzaczastymi brwiami i gburowaty, wzywa kolegę, który spieszy przekazać wiadomość.

Hen i Ned patrzą na drugi brzeg rzeki. Leniwa woda, dziobana kroplami deszczu, styka się z ołowianoszarym niebem. Z nurtem wody spływają butwiejące kawałki splątanego drewna. Hood wreszcie się zjawia. Jest wyraźnie poirytowany tym, że mu się przeszkadza, i opryskliwie wita się z Henem.

– Wasz ojciec stracił swoje przywileje – informuje.

– Dlaczego?

– Za nieujawnienie większej liczby szczegółów na temat swojego haniebnego czynu. Tompkins i jego przyjaciel Waller wszystko wyśpiewali. Spisek został obnażony w całej swej podłości. Ale wasz ojciec, stary pijus, tylko kłął na Strouda. Czasem wybuchał śmiechem, durny, stary drań.

Ned zrobił krok w jego stronę.

– Sir, przebyłem drogę z obozu wojskowego w Thame, żeby zobaczyć się z ojcem. Błagam, proszę pozwolić mi się z nim widzieć.

– Słuchaj no, synu. Żadnych odwiedzin. – Hood patrzy na Neda, jakby dopiero go zauważył. – Żadnych odwiedzin – powtarza. – Nawet dla żołnierzy wspierających parlament. W każdym razie i tak lepiej, żebyś trzymał się z daleka od tego zdradzieckiego starego sukinsyna. Zobaczysz go, jak zawiśnie. Nie wcześniej.

W końcu odchodzą. Bez słowa. Z ponurym wyrazem twarzy. Każdy, kto by na nich spojrział, odgadłby, że są rodzeństwem. Ale nie zwracają niczyjej uwagi. Są tylko dwojgiem nieznanym włóczącym się po obojętnym City.

Hen i Ned idą pieszo do domu mimo deszczu, podążając wzdłuż rzeki, zerkając w szczeliny między ściśniętymi budynkami. Każde miejsce wypełnione jest wspomnieniami o nim. Tu karczma, którą oskarżył o podawanie nieświeżych ostryg,

po których przez tydzień nie schodził z nocnika. Tam uliczka prowadząca do jego gildii, jej tarcza herbowa wryta jest w ceglany murze. Za chwilę często odwiedzany przez niego sklep kupca winnego i jego ulubiony stragan z książkami. I wreszcie Fleet Street. To miejsce, z którego oglądali wejście Karola do City, a Sam siedział na szyldzie. Przed nimi wieża kościoła św. Dunstana, przypominająca niedziele rodziny Challonerów

Między Nedom i Hen panuje cisza. Zbyt wcześnie jest jeszcze, żeby powiedzieć: „A pamiętasz, kiedy?”. Zbyt to wszystko świeże na wspomnienia. Poza tym on jeszcze żyje. Dopóki jest oddech, dopóty jest nadzieja. Oddech i nadzieja. Oddech i nadzieja. Hen nuci jak pieśń liturgiczną, kiedy skręcają w Fetter Lane.

*

Hen leży w swoim łóżku, czekając aż słońce wzejdzie. Wyobraża sobie nadejście ułaskawienia. Pym wyskakuje z cienia, wymachując aktem łaski. Nadjeżdża król i odcina ojca, a na jego lisiej, smutnej twarzy pojawia się triumfalny uśmiech.

Następnego dnia rano Hen przemywa zaspane oczy, wygląda przez frontowe okno i widzi, że budowa szubienicy została ukończona. Ku jej irytacji, dzień jest piękny. Budowlę opromienia słońce na jasnoblękitnym niebie. Gwoździe zostały białe, a krawędzie spiłowane. Sznur zwisa już na swoim miejscu – przerażająca, kołyszająca się pętla. Tłum zaczyna się gromadzić.

Sprzedawca pasztecików woła: „Paszteciki zdrajcy! Kupujcie gorące paszteciki zdrajcy”. Ze swojego punktu obserwacyjnego Hen widzi złodzieja kieszonkowego przy pracy i życzy mu powodzenia, kierując się pełną goryczy nienawiścią do ciżby zbierającej się, żeby obejrzeć śmierć jej ojca. Dostrzega w tłumie Chettle’a rozmawiającego z mężczyzną, którego nie rozpoznaje. Wygląda stanowczo zbyt zwyczajnie, jakby spacerował po Strandzie i właśnie się zatrzymał na plotki z przypadkowo spotkanym przyjacielem. Kiedy odwraca twarz w stronę okna, Hen cofa się, żeby jej nie zauważył.

Ned stoi koło niej, ale nie wycofuje się z pola widzenia Chettle’a. Dziewczyna widzi skamieniałą twarz brata i jego wysunięty do przodu podbródek. Jest to echo tiku jej ojca, wyraz zaciętego uporu, który przybierał w publicznych sytuacjach. Ned ścisną dłońmi parapet, a pod skórą jego rąk wyraźnie widać napięte niebieskie żyły.

Wszystko wydaje się jej snem. W nocy nie zmrużyła oka i jej umysł nie nadaża za oczami. Nie jest w stanie w niczym szybko dojrzeć sensu. Z tłumu wyłaniają się poszczególne twarze. Oto stara kobieta z pieńkami zębów, która śmiejąc się, odrzuca głowę w tył, mężczyzna odgryzający kawałek kiełbasy, podczas gdy tłuszcz spływa mu po brodzie i połyskuje w słońcu. Za nimi dzieci kłócą się, kto ma być księciem Rupertem. Największy chłopiec odbiera towarzyszowi zabaw drewniany krzyż i – odniósłszy zwycięstwo – wskakuje na konia na patyku, żeby przeprowadzić szarżę. Obalony książę siada w błocie, wyraźnie starając się powstrzymać od płaczu.

Głos tłumu staje się coraz donośniejszy. Brzmi jak wrzask mitologicznej bestii domagającej się krwawej uczty. Wymowa okrzyków zmienia się, jakby tłum wyczuwał nadejście ofiary. Po chwili go widzi, przywiązanego do drewnianego pala i wyciąganego na szubienicę na oczach wzburzonego tłumu. Zmalał. Ramiona mu zwisają, a włosy nie są już przyprószone siwizną, lecz wstrząsająco białe. Południowe słońce jaskrawo oświetla jego pokrytą zmarszczkami twarz. Słyszy, jak stojący za nią Ned wzdycha, całe jego zdumienie nagłym upadkiem ojca zawarte jest w tym gwałtownym westchnięciu. To musi być wstrząs zobaczyć go w takim stanie. Ned nie spędzał z ojcem kolejnych dni w Tower, kiedy niszczał dzień po dniu.

Po raz tysięczny Hen zastanawia się, jak to jest stanąć przed pętlą. Wiedzieć, że będzie zaciskać się na twojej szyi i powoli cię dusić. Wiedzieć, że łapany przez ciebie ostatni oddech jest tylko preludium jeszcze większego bólu, kiedy wyprują ci wnętrzności i odetną członek.

Nagle czuje, że mdleje – z gorąca i przerażenia. Zmusza się do zachowania przytomności i nie potęgowania jego strachu i upokorzenia przez załamanie się w tej chwili. Musi być tu – on potrzebuje kochającej twarzy w tym wrogim tłumie. Ale jakże by chciała ulec tej słabości, zwinąć się w kłębek jak jeź i zamknąć oczy.

Dotarł już na miejsce, a tłum ogrania krwiożercze podniecenie. Ludzie przepadają za publicznym wieszaniem, ale perspektywa patroszenia i ćwiartowania jeszcze wzmacnia ich apetyt na krwawe widowisko. Z radością, zaprawieni w lubieżności, przygotowują się na wstrząs. Wyczekują uczucia przerażenia, czekają na drobny, smakowity moment ulgi, który nadchodzi, kiedy ktoś inny czuje zaciskający się stryczek – czyjś ojciec, czyjś brat zaczyna się dusić.

Dzieci będą podglądać między palcami matki, zachowując w pamięci szczegóły, żeby opowiedzieć je mającym mniej szczęścia, nieobecnym kolegom. Czeladnicy będą przepychać się do przodu w poszukiwaniu lepszego miejsca, z nadzieją – toż to radość nad radością – że spadnie na nich kropla krwi, z którą wieczorem będą mogli obnosić się od karczmy do karczmy. Krew prawdziwego zdrajcy! Ubrani w czerń purytanie będą stroić swoje pełne stoicyzmu miny w obliczu śmiertelnych spazmów jej ojca, mruczając pod nosem przysłowia i dziękując Opatrzności za zdemaskowanie i ukaranie Judasza.

Judasz rozgląda się wkoło. Ma wysunięty podbródek i oczy mokre od łez.

Hen czuje, że ktoś gładzi ją po dłoni. To Ned. Próbuje krzyknąć coś do ojca.

– To nie ja! To nie ja!

Ale wrogość tłumu jest zbyt duża, a głos Neda za słaby. Hen widzi ojca przypatrującego się tłumowi i szukającego ich twarzy.

– Ojciec – krzyczy, ale jej głos do niego nie dociera.

Wreszcie patrzy na dom i dostrzega ich w oknie.

– To nie ja! – woła Ned, ale najwyraźniej Challoner tego nie słyszy.

Spogląda w górę, podnosi dłoń do serca i kiwa głową. Odwraca się, patrzy w tył ponad wielotysięcznym tłumem tych, którzy go nienawidzą – na szydzący,

wykrzykujący, toczący pianę motłoch.

Zakładają mu pętlę na szyję. Hen nadal modli się o cud. Nadal ma nadzieję i pozwala trwać odrobinie wiary. A później... Później ciągną za sznur. A on zawisa.

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 21

14 CZERWCA 1645

– No, Pączusiu, mój Pączusiu.

Porucznik Samuel Challoner gładzi miękki nos konia i uśmiecha się, gdy zwierzę rży z zadowolenia.

– No, no, kochany Pączusiu.

W ciemności Sam widzi tylko białka jej oczu. Ale o obecności klaczy mówi mu jej zapach, sposób, w jaki reaguje na dotknięcie jego rąk, wszystko, czym jest. Kieruje się prosto w jej stronę, mijając inne konie w oficerskiej stajni.

– Nie mogę spać – mówi, gładząc szybkimi ruchami jej długą, elegancką szyję. – Ani oka nie zmrużyłem. Nie mogę. Ty też nie śpisz, moja ślicznoto?

Klacz kładzie łeb na jego ramieniu, a on ponownie się uśmiecha.

– Nic dla ciebie nie mam, kochana. Jesteś głodna? Poczekaj, aż rozbijemy tych ponurych drani, a będziesz mogła sobie wybrać, co tylko zechcesz z ich taboru. Obiecuję, moje ty pączusiowe kochanie.

Spogląda ponad głową konia, przez drzwi stajni, w miejsce, gdzie na horyzoncie widać smugę świtu.

– To będzie dzisiaj, mówią. Ubiegłej nocy doszło do potyczki w miasteczku Naseby. Dzisiaj dojdzie do starcia. Myślisz, że Ned będzie z nimi?

Odwraca się i przestawia wiadro wody w miejsce, do którego klacz sięga. Zwierzę pochyla łeb i długo pije, rozpryskując wodę na boki i ochlapując nogi Sama. Chłopak stoi przy pijącym koniu, po omacku przesuwa dłonie po jej grzbiecie, żeby upewnić się, czy jest cała i zdrowa. Obmacuje miejsce nad prawą nogą i mocny grzbiet, gładząc zwierzę wzdłuż kręgosłupa, gdzie sierść jest przylizana, mimo że siodło leży obok na ziemi. Przeciąga ręką po jej zadzie i tylnej nodze.

Klacz podnosi łeb i ogląda się w tył na Sama. Dotyka mokrym nosem jego karku, a on wybucha śmiechem, kiedy lodowata woda ścieka mu po skórze.

– Aj, Pączusiu, uważaj!

Chłopak bierze szczotkę przymocowaną do siodła i zaczyna po ciemku czesać jej

grzywę. Przemawia niskim, łagodnym głosem, żeby stała spokojnie.

– Pamiętasz, jak po raz pierwszy się zobaczyliśmy, Pączusiu? Ach, ja doskonale pamiętam tę chwilę. Królowo koni. Kiedy król ucałował mnie w uznaniu za lojalność mojego ojca i powierzył mi misję, a potem kazał cię przyprowadzić. A ja tam stałem, bez grosza i przyjaciół, wśród wszystkich tych magnatów, i byłaś tam też ty, taka piękna i pełna gracji. Och, mój Pączusiu. – Przeciąga szczotką po jej sierści szybkimi, wprawnymi ruchami. – Stałem tam. Ubrany w pożyczoną pelerynę i obnosząc się z pistoletem po ojcu. A oni drwili z syna kupca, chłopaka z City, i mówili, że nigdy nie zostanę jeźdźcem kawalerii królewskiej. Ale pokazaliśmy im, że się mylą, Pączusiu, pokazaliśmy im, prawda?

Obchodzi klacz. Obóz zaczyna ożywać, dochodzą do niego ciche głosy, pojawiają się ciemne postacie. Jakiś człowiek przechodzi obok otwartych drzwi, Sam słyszy jego pełne ulgi westchnienie, gdy odlewa się w krzaki. Niebo rozjaśnia się i sylwetka konia zaczyna być widoczna. Widzi kasztanowy pobłysk jej sierści, w miejscach gdzie została wyczyszczona. Pochyla się i całuje klacz w szyję, po czym wraca do czyszczenia.

– Dzisiaj musisz wyglądać najpiękniej, moja królowo. Prześlicznie. Podobno gdzieś tam kryją się te zdradzieckie łajdaki i my się z nimi dzisiaj rozprawimy. Piers mówi, że to ich nowe wojska. „Nowy Łeb”[\[17\]](#), czy jak tam je sobie nazywają. Na ich czele stoi Fairfax. Cromwell jest generałem pułkownikiem. Czy to my wbijemy ich na pikę, Pączku, ty i ja?

Sam czyści konia z kurzu po wczorajszym marszu. Niedługo całkiem się rozwidni. Wkrótce skończy się ten okres ciszy poprzedzający świt, który spędzili tylko w swoim towarzystwie.

Chłopak nachyla się i szepcze koniowi do ucha:

– Zadbasz o mnie, prawda Pączusiu? Tak jak pod Marston Moor, kiedy poniosłaś, byłem znalazł się dalej od żołnierzy Cromwella. – Teraz mówi wprost do ucha klaczy. Zwierzę podnosi je i nastawia do przodu. – Nie mów innym koniom, kochana. Nie mów im o naszym sekrecie – szepcze ledwie słyszalnym głosem, przypominającym bardziej podmuch oddechu.

Klacz grzebie kopytem w cuchnącej podściółce. Stajnia nie została przewidziana dla tak dużej liczby koni. Zasługuje na lepszą. Sam obejmuje ramieniem szyję konia i szepcze:

– Boję się, Pączusiu. Właściwie to sikam ze strachu w bryczesy. Tęsknię do ojca, do Hen, a nawet do tego drania Neda, który pewnie czeka za tym wzgórzem, żeby mnie zabić.

Z tyłu rozlega się głos:

– Sam, to ty?

Chłopak prostuje się i odwraca, cieszy się, że mrok ukrywa jego wzruszenie.

– Tak – odpowiada Sam. – Oporządkam Pączka.

Piers Langton zmierza w jego stronę. Zamaszysty krok oficera królewskiej kawalerii

nie pozostawia żadnych wątpliwości, mimo że widać tylko jego sylwetkę.

– Nigdy nie zrozumieć, dlaczego nazwałś tego szlachetnego wierzchowca równie pospolitym imieniem.

– Mówiłem ci już, po siostrze.

– Musi być z niej ładne dziewczę, co? Końska twarz, figura jak pasztet.

Sam się obrusza, a Piers rozkłada ręce.

– Uspokój się, Samson. Ja tylko się z tobą przekomarzam.

Podchodzi bliżej, Sam może już dojrzeć jego splątane, długie włosy i kilkudniowy zarost. Nawet Piers ma kłopoty z dbaniem o wygląd podczas kampanii. Sennie się przeciąga.

– A jednak, Samson, jest twoją siostrą bliźniaczką, czyż nie? Zapewne jest niewiele ładniejsza od ciebie?

– Jest z pewnością urodziwsza niż ta małpiatka, która ciebie spłodziła, Piers.

– No wiesz, Samie? Żarty sobie stroisz z hrabiny. To niegodne dżentelmena.

Chłopak odwraca się i szepcze Pączkowi do ucha:

– Chyba z hrapindy.

Klacz cicho rzy, pod wpływem jego łaskoczącego oddechu, a chłopak bierze jej reakcję za rozbawienie. Uśmiecha się z miłym uczuciem, że we dwoje konspirują przeciwko wrodzonemu, arystokratycznemu samozadowoleniu Piersa. Mimo że są w tym samym wieku, Piers był zwierzchnikiem Sama do bitwy pod Marston, kiedy to Challoner awansował na stopień porucznika. Teraz są równi rangą i Sam czasem przekomarza się z nim jak równy z równym.

– Jakież wieści na temat buntowników? – pyta Samuel.

– Nie. Ale są w pobliżu. Wyczuwam nosem ich zepsute, zdradzieckie dusze.

– A ja myślałem, że to twoje stopy.

Piers wybucha śmiechem.

– Kurwy u Mamuśki Goffrey umyją mi je miodem, kiedy wrócimy do Oksfordu, brachu.

– W czasie, kiedy będziesz moczył nogi w miodzie, ja zanurzę mój... – Sam robi przerwę – język w paszteciku.

– Mówisz językami? – pyta Piers.

– Nie. Są sprawy ważne i ważniejsze. Najpierw pasztecik, później dziewczucha.

Myśli o Sally, swojej ulubionej dziewczynie u Mamuśki Goffrey, i jej białych jak śnieg piersiach z różowymi sutkami. „Przykro mi, Sal. Gorący posiłek ma pierwszeństwo” – usprawiedliwia się w myślach.

Piers przyjmuje rozmarzony ton człowieka żywiącego się na co dzień nieświeżym serem i starym chlebem.

– Tak. Masz rację. Gorący kurczak. Żeberka baranie.

– W domu moja kucharka robiła polewkę w takie zimne poranki jak ten. Kawałki chleba w porterze. Nie za dużo cynamonu. Gorące, prosto z ognia. Chleb był chrupiący na wierzchu, nasączony pod spodem. Na rany Chrystusa, kiedy pomyślę

o tej szarej brei, którą podała nam wczoraj wieczorem ta starucha... – odpowiada.

– To nie była nasza najlepsza kwatery, kolego. Nie wierzę w ani jedno jej słowo. „Nie mam jedzenia”, cholera jasna! Stara wiedźma schowała wszystkie zapasy. A pilnował ich czort, czekając tylko, żeby wyskoczyć i przyssać się do jej trzeciego sutka.

– Naprawdę musiałeś ją uderzyć?

– Nie zaczynaj znów, Sam. Niech cię piekło pochłonie! Walczymy za króla i ci cholernie lojalni poddani mają cholerny obowiązek nas wykarmić. A jeśli tego nie robią, nie są lojalni.

Sam wzrusza ramionami. Światło zaczyna się wlewać do stajni przez dziury w ścianach. Wielokrotnie już prowadzili tę kłótnię i dzisiaj nie ma siły upierać się przy swoim.

– No dobrze – przyznaje. – Może masz rację.

Piers uśmiecha się, klepiąc przyjaciela po plecach.

– I o to chodzi. Chodź ze mną, weźmiemy coś na ząb. Mam trochę chleba twardego jak serce dziwki. I kawałek sera. I, Sammy-Samsonie, jeśli będziesz dla mnie wyjątkowo miły, dostaniesz też robaki, które zamieszkały w moim serze.

Sam pochyla się w niskim w ukłonie.

– Robaki? To zbyt wielkoduszne z pańskiej strony, sir.

Piers zarzuca Samowi rękę na szyję i wolnym krokiem idą do domu, w którym są zakwaterowani. Sam nie musi sobie przypominać kroku marszowego, stał się dla niego naturalny. Ma dwadzieścia lat i zdobył już doświadczenie na wojnie.

Robi się coraz jaśniej w miarę jak oddalają się od Pączusia. Odwraca się, żeby się z nią pożegnać, a klacz rzuca głową, jakby go pozdrawiała. Chłopak staje i patrzy do tyłu, zapomina o strachu i o trudach – jest oczarowany urodą swojego konia.

*

Podporucznik Edmund Challoner zatrzymuje się po drugiej stronie pokrytego rosą pola. Przekazuje rozkaz sierżantowi Fowlerowi, który wykrzykuje go kompanii.

Wokół niego ludzie ciskają tobołki i urządzają się w nowym miejscu. Rozlegają się ciche pomruki, pierwsze dźwięki odkąd nagle zostali wyrwani ze snu i poprowadzeni przez okolicę. W pobliżu widzi skrzydła wiatraka majaczące na tle jasnego nieba. Stawy Neda są sztywne i obolałe. Nagle przypomina sobie, jak ojciec stękał podczas wstawania i siadania, oraz jak obwiniał ciężki żołnierski los za kłopoty z nogami.

Ned stara się nie myśleć o ojcu. Nawet spod najmilszych wspomnień wyziera twarz ojca patrzącego na nich z szubienicy. „To nie ja” – mamrocze do oblicza pojawiającego się w jego wyobraźni. „To nie ja”.

Potrząsa głową, jakby chciał rozwiać obraz, i rozgląda się wkoło.

– Chorąży! – woła.

– Sir.

Chorąży Somers podbiega do niego. Nie po raz pierwszy przywodzi na myśl zbyt

poufałego prosiaka.

Ned mówi cichym głosem:

– W pospiesznym marszu opuściliśmy modlitwę. Osobistą, odmawianą szeptem modlitwę. Wysłannicy szatana mogą być blisko.

Kłeka, cicho pojękując z wysiłku. Modli się długo i żarliwie, rosa moczy jego gołe kolana. W modlitwie pojawia się Hen i żona Lucy. Strzeż je, Boże. I Sama. Ned prosi swojego Boga o zbawienie brata: „O Panie, spraw, aby zachował się jako ostatni, gdy wszyscy inni wrogowie zostaną pobici naszymi prawymi szpadami. Jest zagubiony i zszedł z dobrej drogi. O Boże, pozwól mu ujrzeć Twoją chwałę i sprowadź go do Swojej owczarni. Ale jego oszczędź, proszę Cię, o mój Zbawco”.

Wyobraża sobie Sama stojącego wśród ciał martwych zdrajców. „Ostatni raz widziałem go ponad dwa lata temu” – myśli Ned. Pamięta go jako chłopca, rozpromienionego, psotnego chłopca, który wchodzi na zbyt wysokie drzewa i przeskakuje zbyt szerokie strumienie. A teraz ten sam chłopiec towarzyszy temu diabelskiemu Rupertowi. „Czy w ogóle go rozpoznam?” – zastanawia się Ned, wstając.

– Sir! – dobiega go głos z szarego, porannego mroku. – Generał pana wzywa.

Pospiesznie udaje się do Skippona, który siedzi osłonięty przed chłodem stosem pleców i je śniadanie. Być może w ciągu dnia robi się gorąco, ale ranki są zimne dla ludzi, którzy przespali noc pod gołym niebem. A jego dowódca – Ned nagle zdaje sobie z tego sprawę – jest zbyt stary, żeby bawić się w takie rzeczy.

– Dzień dobry, Ned – wita się Skippon zaskakująco żywym głosem. – Jaka jest pierwsza zasada prowadzenia wojny, chłopcze?

– Rozpoznać swojego wroga, sir.

– Dobry chłopak. Wiemy, chwała Bogu, że są w pobliżu. Wiesz, jak sądzę, że kilku ludzi Iretona zeszłej nocy stoczyło potyczkę z oddziałem kawalerów.

– Tak jest, sir. Stąd nasz nocny marsz, sir.

– Właśnie. Teraz musimy tylko znaleźć pozostałe siły zdrajców, jeśli taka będzie wola Boża, i możemy stoczyć z nimi bitwę. Lord Fairfax wyjechał przed nami, kierując się wzdłuż grani. – Skippon macha ręką, wskazując kierunek. – Jedź do niego, Ned, i bądź moimi oczami i uszami.

– Tak jest, sir. Tylko że obecnie nie mam konia.

– Oczywiście, oczywiście. Zapomniałem o tym. – Dowódca odwraca się. – Kwatermistrz, wierzchowca dla porucznika!

Wśród panującej krzątaniny Skippon gestem nakazuje Nedowi podejść bliżej.

– Druga zasada, Ned?

Chłopak waha się, niepewny, jakiej odpowiedzi dowódca od niego oczekuje.

– Rozpoznać przyjaciół, chłopcze. Zaledwie dwa dni temu ułożyłem plan bitwy dla lorda generała. Ale to było zanim dołączył do nas generał pułkownik Cromwell. Być może on zasugerował jakieś zmiany, a ja chcę o nich wiedzieć. Ten Cromwell jest przebiegły. Ciagle jeszcze nie mogę wyjść ze zdumienia, jak to się stało, że tylko on zdołał utrzymać dowództwo, kiedy parlament powołał nową armię i usunął z niej

wszystkich politykierów. A więc ruszaj.

– Tak jest, sir.

Nedowi wręczono cugle wysokiej, siwej klaczy. Wsiada na konia, trochę niezdarnie z braku wprawy, i kolanami skłania wierzchowca, żeby ruszył do przodu. Klacz reaguje, a on odczuwa ulgę i zadowolenie, że nie zdradził się przed generałem jako niewprawny jeździec.

Najpierw kieruje się do swoich ludzi. Chorąży Somers stoi z rozpostartym sztandarem, jasnozielony pieńek symbolizuje wysokie miejsce zajmowane przez kompanię.

– Somers, Fowler! – krzyczy i obaj mężczyźni podbiegają.

Nauczyli się już, że trzeba się żwawo poruszać, kiedy Ned wzywa.

– Sir.

– Wiem, że ludzie odbyli długą drogę i niewiele spali. Pozwólcie im zjeść śniadanie, ale niech zostaną w luźnym szyku. Nie rozpalać ognisk. Piki w dłonie. Generał wysyła mnie z misją. Gdy padnie rozkaz, wiecie, gdzie jest miejsce naszej kompanii. Nie czekajcie na mnie, ja was znajdę.

Służący Neda, Wakes, pojawia się, paplając o śniadaniu.

– Później! – woła Ned i zawraca konia.

Klacz wykonuje polecenie, a on dziękuje Bogu za jej potulną naturę. Ciężko pracował na to, żeby zyskać opinię człowieka kompetentnego i odważnego, zdobył rangę starszego porucznika w kompani generała Skippona i dowództwo nad własnym pułkiem. Upadek z konia na tyłek na oczach tych ludzi zniweczyłby miesiące jego starań.

Nienawidzą go, dobrze o tym wie. Przeszli wzdłuż i wszerz tę ograbioną okolicę, są głodni i zmęczeni. A za każdym razem, kiedy zatrzymywali się, Ned wzywał ich na musztrę. Kazał im ćwiczyć, aż popękały im pęcherze i mieli dłonie we krwi. Jakby dostali męczeńskich stygmatów. A w zimowych kwaterach, kiedy byli już po ćwiczeniach i piwiarnie oraz dziewczki wzywały żołnierzy swoim syrenim śpiewem, on zgłaszał ich na ochotnika na kolejną musztrę. Zbyt często wystawali w deszczu i śniegu jako ćwiczebny cel dla jazdy Iretona, by go kochać.

Ale to on stał w czworoboku, który rozpadł się i uległ panice. Widział ludzi umierających tylko dlatego, że ich towarzysze uciekli. Uciekał przed ogierem Ruperta i słyszał ujadanie jego psa, zagnano go jak lisa do lodowatej rzeki. Musztra, musztra i jeszcze raz musztra, aż w kakofonii bitwy ci ludzie będą słyszeli tylko własne bębny mobilizujące ich do trzymania szyku. Musztra, musztra i jeszcze raz musztra, do czasu, aż ludzie staną się bezmyślnymi trybami i dzięki temu będą bezpieczniejsi.

„Zmieniłem się w twardego łajdaka” – myśli. „Ale niech tak będzie. Będę nosił ten pancerz dopóki nie wykonamy naszego zadania”.

Koń kluczy między grupkami ściśniętych mężczyzn, a Ned cieszy się, że nie musi nim kierować. Niebo z każdą chwilą staje się jaśniejsze, skrzydła wiatraka są coraz wyraźniej widoczne. Czerwone kurtki żołnierzy jaskrawo odcinają się od trawy.

Trochę czasu zajęło przyzwyczajenie się do tego jednorodnego umundurowania. Niektórym oficerom nie podobało się odejście od wielobarwnych, mieszanych mundurów, ale Nedowi odpowiada ten nowy wzór. Spogląda na swoją czerwoną kurtkę z niebieską szarfą Fairfaxa i od nowa rozkoszuje się poczuciem celu, jakiego doświadcza w tej nowej armii. Większość starych oficerów odeszła, podobnie jak wszyscy członkowie parlamentu, z wyjątkiem Cromwella. Odszedł też hrabia Essex, zhańbiony podejrzeniami o wzdraganie się przed rozgromieniem sił królewskich. Teraz to armia Boga, Jego mściciele odziani w czerwone kurtki.

„Oni wszyscy nas nienawidzą. Stare kobiety w parlamencie kurczowo czepiające się nadziei na pokój, choć król pluje do wazy za każdym razem, gdy się proponuje ugodę. Prezbiterianie zadowoleni ze starego Kościoła pozbawionego biskupów, którzy nie rozumieją, że świat pękł i ludzie mogą znaleźć własną drogę do Boga. Arystokracja, która nie może pogodzić się z nierespektowaniem tytułów w Armii Nowego Wzoru, dowodzonej przez dwóch baronów i ziemianina. Hrabiowie Essex i Manchesteru czmychnęli chyłkiem, żeby polerować swoje diademy i marzyć o całowaniu królewskiego tyłka. Wszyscy oni nas nienawidzą” – myśli Ned z satysfakcją.

Z zadowoleniem zauważa liczne czerwone kurtki klęczące w porannej modlitwie. Wojownicy Boga. W myślach wraca z rozbawieniem do amatorskich oddziałów, które przystąpiły do walki pod Edgehill. Nowa armia oddana Bożemu dziełu nie odda ani piędzi ziemi temu staremu skurczybykowi nazywającemu siebie królem.

„A potem pojedę do domu i będę mógł zrzucić ten pancerz” – myśli. Dom. Odsuwa myśl o starym domu na Fetter Lane, który natychmiast pojawia się w jego głowie. Myśli za to o dwóch pokojach nad rzeźnikiem, gdzie czeka na niego Lucy.

Rok minął już od ślubu, a jednak mieli niewiele okazji, żeby się widywać.

Wydaje się, że dzień będzie bezchmurny. W innych czasach, w innym życiu, taka pogoda mogłaby zapowiadać piknik za murami City. Ned chce zostać myślami przy Lucy, tylko przez krótką chwilę, kiedy wierzchołek kłusuje. Marzy o jej miękkich blond włosach i niebieskich oczach. Chce myśleć o jej nagości. Chce myśleć o tym, jak leżą w ciemnościach, a on opowiada o wszystkim, co się wydarzyło. Ile z niego się wyleje, kiedy wreszcie zrzuci ten pancerz. Jakie plany będą mieli, jakimi tajemnicami się podzielą!

Jadąc wzdłuż grani, patrzy na horyzont – są tam. Ludzie króla stoją na szczycie odległego wzgórza w – jak się wydaje – pełnym szyku bojowym. W odległości co najmniej pięciu mil, jak ocenia. Zauważa, że Armia Nowego Wzoru stoi poniżej grzbietu wzgórza za nim. „My ich widzimy, a oni nas nie” – myśli. Muszą mieć jednak zwiadowców. Przed nim zgromadziła się niewielka grupa jeźdźców i wypatruje wroga. Na przedzie dwaj żołnierze rozmawiają ze sobą. Jest wystarczająco jasno, żeby mógł ich rozpoznać. Jeden mężczyzna ma szczupłą, pociągłą, przystojną, lecz zmęczoną twarz okoloną burzą ciemnych loków, drugi jest tęższy i mniej atrakcyjny To Fairfax i Cromwell. „Przypominają lisa i ropuchę” – myśli obojętnie Ned. Daje im znać o swojej obecności, a oni odwracają się i wpatrują w niego nieruchomymi oczami.

Henrietta zamyka drzwi obu pokojów w mieszkaniu nad rzeźnikiem. Zamyka drzwi za babką i Lucy, które cały dzień – o ile jej wiadomo – będą siedziały bezczynnie, zbierając skargi na jej powrót. W pokoju okaże się za zimno lub za gorąco. Babcia będzie zbyt małowólna albo za gadatliwa. Być może Hattie na wewnętrznym podwórzu z entuzjazmem zaszlachtuje świnie, której pełne przerażenia kwiki i zapach pośmiertnego wypróżnienia dojdą na górę do Lucy siedzącej w oknie i udającej, że wciąż jest wystarczająco bogata, żeby się lenić.

Henrietta ma nadzieję, że Hattie rzeczywiście zaszlachtuje dziś świnie. Ciągłe jeszcze nie nabrała do tego smykałki, chociaż próbuje, odkąd jej mąż przy ostatnim poborze został wezwany pod broń. Bardziej kwiczą, kiedy Hattie trzyma nóż. Czeladnicy odeszli dawno temu – jeden zmarł, drugi został powołany do wojska. Hen pielęgnuje myśli o niewygodach, jaki musi znosić Lucy, uśmiecha na myśl o jej ładnym, zmarszczonym z obrzydzenia nosku.

Idzie Newgate Street, skręca w stronę katedry św. Pawła, za sobą ma olbrzymie więzienie. Nie patrzy w jego kierunku. W niedzielne noce, kiedy dzwonnik z St Sepulchre ogłasza biciem w dzwony egzekucje mające się odbyć nazajutrz rano, chowa głowę pod kołdrę. Lucy wydaje się tym nieporuszona, choć jej ojciec również został powieszony.

Henrietta wie, że Hattie zanosí resztki ze sklepu do więzienia. Ugotowane podroby, oczy i ryje wrzuca do rynien na jedzenie przeznaczone dla tych skazanych, którzy nie mają krewnych mogących zapewnić im wyżywienie. Mąż Hattie zabrania jej tego, kiedy jest w pobliżu. Hen uśmiecha się, myśląc o rumianej twarzy rzeźniczki i jej soczystym języku. „Niech te nieszczęsne dusze przynajmniej posmakują sobie mięsa zanim zostaną powieszony, oby Bóg miał dla nich miłosierdzie. Może pocałować mnie w mój gruby tyłek, a ja nie ustąpię”.

Niech Bóg pomoże Johnowi Smithowi, jeśli pozwoli wrócić mu żywym z wojny. Hattie zasmakowała w niezależności. „Tak samo jak ja” – myśli Hen, mijając katedrę i dziedziniec pełen straganów z książkami.

Przechodzi przez sklep do tylnego pomieszczenia, witając się kiwnięciem głowy i uśmiechając się do pana Rowana, który rozmawia z klientem. Wie, że nie należy im przerywać – pan Rowan dał Henriecie tę pracę ze względu na sympatię do jej ojca i niemożność znalezienia odpowiedniego czeladnika. Klientom jednak może nie podobać się kobieta zagubiona między półkami, więc pozostaje w ukryciu, w magazynie, wśród stosów zamówionych książek.

Na zapleczu zaczyna od razu wypełniać swoje codzienne obowiązki: zamiatanie i ścieranie kurzu, a także katalogowanie książek i prowadzenie rachunków. Najpierw jednak spogląda na mapę leżącą na stole pośrodku pokoju. Mapę Wysp Brytyjskich, która – o ile wie – ukazuje postępy działań wojennych. Kasztany to wojska

królewskie, a żołędzie – armia zwolenników parlamentu. Jeden kasztan ma wyciętą na powierzchni literę „S”, jeden z żołędzi nosi literę „N”.

Obserwuje, jak wojna rozwija się na stole, jak żołędzie i kasztany maszerują i cofają się przed sobą niczym fale. Śledziła początkowe zwycięstwa króla i gorączkową walkę zwolenników parlamentu o przejęcie inicjatywy. Kreśli trasę Sama na północ pod dowództwem księcia Ruperta i nauczyła się mieć nadzieję, że docierające do Londynu opowieści o ludziach Ruperta i ich grabieżach są przesadzone. Ma niewiele wiadomości od Sama. Zaledwie trzy listy, od kiedy wyruszył na wojnę. Pierwszy, w którym pisał o nadaniu mu rangi oficera, odczytała jako nieco markotny i świadczący o pewnym zagubieniu. Drugi to zaledwie notka nagryzmołona, gdy zeszłego roku zajęli kwatery zimowe. Trzeci dostała tydzień temu i zrozumiała, że większość listów Sama, pisanych w międzyczasie, zaginęła. Ten list napisał w czasie marszu do Leicester. Gazety twierdzą, że złupienie Leicester dokonane przez żołnierzy Ruperta było drugim Magdeburgiem^[18]. Zgwałcone kobiety i bestialsko zabijane dzieci. W wymowie list Sama był radosny, bardziej poufały, pełen długich opisów niezwykłych zdolności jego konia. Nazwał go chyba Pączusiem. Hen uśmiecha się na myśl o tym.

Pisze do brata raz w tygodniu, tego dnia rezygnuje z posiłku, żeby zapłacić za wędrówkę listu po kraju tajnymi kanałami w nadziei, że w końcu do niego dotrą. Nie ma jednak możliwości dowiedzieć się, które listy otrzymał.

Ned częściej pisze i czasem ją odwiedza. W zeszłym roku śledziła pokonywaną przez niego trasę po południowo-zachodniej części Anglii, tej dziwnej części kraju nazywanego Kornwalią, której mieszkańcy posługują się własnym językiem.

Przyznaje, że w jej systemie jest pewien błąd. Sprawia on, że wszystko zmienia się w grę, przesuwanie pionków na mapie przypomina ruchy figur szachowych. Przyjaciele Rowana wchodzą czasem na zaplecze, żeby obejrzeć planszę, a on im wszystko objaśnia. W większości są równie starzy jak księgarz. To ci, którzy zostali na tyłach. Rowan stara się skupić na mapie. Choć jego wzrok się pogorszył, nigdy nie woła jej do frontowej części sklepu, chyba że są sami. Kasztany i żołędzie w razie konieczności można szybko zmieść jednym ruchem albo zbyć śmiechem jako błahostkę. Rowan stara się nie wychylać w tych trudnych czasach.

A przecież pionki, które beztrąsko przesuwa po stole, symbolizują istniejących ludzi. Ned po powrocie z Kornwalii był wychudzony. Nawiedzały go koszmary o poddaniu królowi oddziałów Skippona. Wychudł od długiego marszu powrotnego przez wrogą krainę. Kornwalijczycy podążali za kolumną pokonanych chłopców z Londynu, atakowali ich w nocy, bili i wyśmiewali przez całą drogę do granicy.

Opowiadał o tym jednostajnym głosem, ale za tą monotonią można było dostrzec jego przerażenie. Po raz pierwszy Ned sprawiał wrażenie jakby poważnie się wahał. Czyżby jego Bóg stanął po stronie Króla? Hen myśli o przygarbionym bracie siedzącym przy kominku jak starzec, z Lucy u jego stóp z miną „dobrej żony”. Na dodatek mundur stał się dla niego za duży. Ned się skurczył. Henrietta nie mogła

wyobrazić sobie, jak może dowodzić całą kompanią. Nadal nie jest w stanie tego zrobić.

Nakarmiły go, jedzenie zdobywały przede wszystkim od domokrażców. Nie mają teraz kucharki ani prawdziwej kuchni. Ale Hattie daje im ze sklepu peklowane mięso, a piekarz z drugiej strony ulicy resztki chleba. Odżywiony pasztecikami, puddingami i ostrygami ponownie został odesłany na front.

Patrzy jak żołędź Neda znów zaczyna się ruszać i widzi, że wszystkie pionki raptownie zmieniły swoje ustawienie na mapie, jakby fortuna wreszcie zaczęła dopisywać siłom parlamentu. Bastion rojalistów na północy upadł po bitwie pod Marston Moor, gdzie, jak zrozumiała z aluzji w liście, Sam ledwie uniknął dostania się do niewoli.

Marston Moor. To tam zmienił się bieg wydarzeń. Podobno tego dnia zginęło cztery tysiące zwolenników króla i tylko trzystu purytanów. Władca stracił Północ, natomiast między jego zwolennikami na Południu i Zachodzie a odradzającymi się rojalistami w Szkocji wyrosła nieprzejeżdżalna ściana wrogości. Karol stracił wówczas także porty na Morzu Północnym, dzięki którym utrzymywał kontakt z kontynentem.

Henrietta wyobraża sobie swoją imienniczkę na wygnaniu w Paryżu, z oczami skierowanymi w stronę Kanału i rozpaczliwej walki męża. Czeka na wiadomości, zupełnie tak samo jak ja. To nasz nieszczęsny los w czasie wojny – kolejna kara za to przeklęte jabłko.

Marston Moor. Miejsce, o którym wcześniej nigdy nie słyszała ani ona, ani nikt ze znajomych jej ludzi. A teraz ta nazwa odbija się szerokim echem. To wtedy, przypomina sobie, po raz pierwszy zwróciła uwagę na Olivera Cromwella. Dzięki oddziałom Asocjacji Wschodniej i „żelaznobokim” rozbił jazdę Ruperta i odwrócił losy bitwy.

A jednak nadal nic nie zostało przesądzone. Wszyscy myśleli, że teraz musi nadejść koniec. Ale nie doszło do rozstrzygnięcia. Pamięta, z jakim niepokojem czekała w zeszłym roku na drugą bitwę pod Newbury, godzinami wpatrując się w ustawione naprzeciw siebie, oznaczone literami kasztany i żołędzie. Ta bitwa nie przyniosła jednak rozstrzygnięcia i – dzięki Bogu – żaden z braci nie odniósł ran.

Patrzy na obecny układ sił na mapie. Wie o tym, że Armia Nowego Wzoru otrzymała rozkaz oblegania Oksfordu. To posunięcie rozпалиło emocje w całym Londynie i nadzieje, że konflikt wreszcie się skończy. Nie jest pewna, czy Sam i król są w okolicy. Czy brat wrócił z północy? Gdzie oni są? W pobliżu? Czy rzeczywiście, jak głosi plotka, widziano obu przebiegających chyłkiem w pobliżu Market Harborough?

Mapa jest wyraźniej podzielona niż rok temu. Ziemie leżące na zachód od Oksfordu, tereny obejmujące dzikie obszary Walii i południowo-zachodnią część kraju, znajdują się pod panowaniem króla. Reszta należy teraz do zwolenników parlamentu. Terenami od Reading przez York, Londyn do Ely i Fens rządzi Komitet Obu Królestw. Wojna musi wkrótce się skończyć. Z całą pewnością. I oto tu są: Ned – żołędź i Sam – kasztan, krążące wokół siebie.

Hen sądziła, że nic nie może być gorszego od widoku powieszzonego ojca. Ale to oczekiwanie, ta pełna napięcia nieznajomość losu ludzi, których kocha, jest bardzo trudna do zniesienia. Zatrważająco szczegółowo pamięta śmierć ojca. Przestała patrzeć zanim egzekucja się skończyła, nie chciała oglądać rozcinania i pozostałej części kaźni. Nie wiedziała, czy już nie żyje, czy jeszcze umierał, i nadal nie opuścił jej dojmujący wstyd, że nie wytrzymała do końca egzekucji. Jej oczy zawsze już będzie palił obraz kołyszającego się ciała, nóg rozpaczliwie kopiących w powietrzu, purpurowiejącej twarzy.

Nazajutrz, jak sobie przypomina, poszła do przyjaznej żony rzeźnika, Hattie Smith, żeby zapytać ją, czy wie o jakichś tanich pokojach do wynajęcia, a ona nieśmiało zaproponowała własne dwa pokoiki nad sklepem. „Pomyślane były jako pokoje dziecinne, panienko, ale nigdy nie okazały się potrzebne” – wyjaśniła.

„Kochana Hattie” – myśli Hen. „Jakie to dziwne, dorastać w pobliżu kogoś tak zupełnie odmiennego. Ciekawe, czy ona umie czytać? Nigdy nie widziałam, żeby czytała”.

W księgarni kurz tańczy w kolumnach światła. Hen myśli o tym, gdzie jest dusza ojca, jak wygląda. Myśli o jego doczesnym ciele kołyszającym się na szubienicy, o nożu rozcinającym jego organy. Rowan mówi, że gdziekolwiek się znajduje, odczuwa przyjemność z poczucia, iż miał rację. Bez względu na to, czy osiągnął zbawienie predestynowane, czy zasłużone uczynkami. Wyobraża sobie duszę Challonera perorującego z aniołami.

Hen wzdryga się, choć nie jest jej zimno. Nie znosi myśli o Samie i Nedzie stojących po przeciwnych stronach, nie cierpi jej. Wymyśla skomplikowane historyjki, w których bracia się ze sobą spotykają, obejmują i razem schodzą z pola bitwy. Widzi ich siedzących razem przy kominku w jej mieszkaniu, pijących wino i śmiejących się z udanej ucieczki. Nie będzie myślała o innym możliwym biegu wypadków. Nie będzie.

Przynajmniej jest czerwiec, a nie zima. Biedny Ned, on tak nie znosi zimna. Nic dziwnego, po tym, co przeżył pod Edgehill. Kochany Ned. Jeśli uda im się przeżyć, już ona zadba, żeby nigdy nie zmarł.

*

Pączuś powłóczy nogami, Sam poklepuje klacz po szyi.

Słyszysz dochodzący z tyłu głos:

– Cholerne cioty, pełen szyk bojowy i ani jednego łajdaka w zasięgu wzroku.

„Może walczymy przeciwko ich krowom?”

Przed nimi, na obniżeniu terenu pod granią, pasie się stado krów. Pasterz wspiera się na kijku i najwidoczniej nic sobie nie robi z nagłego pojawienia się armii. Sam przypomina sobie pasterza z Marston Moor i spokojne zdziwienie, jakie wywołało ukazanie się oddziałów, oraz swoje pospieszne wyjaśnienia dotycząc konfliktu

z królem. A także lakoniczną odpowiedź mężczyzny: „A więc pokłócił się z parlamentem, czyż nie?”.

Żołnierze zaśmiewają się z kilku sprośnych żartów o członkach parlamentu i krowach. Sam uśmiecha się, słysząc z tyłu wybuchy radości. Nagle dochodzi do niego sygnał oznaczający rozkaz uformowania szyku marszowego. Wydaje rozkazy swoim ludziom. Przed nim niespodziewanie pojawia się kapitan Fenwick i ksiązę Rupert we własnej osobie. Masywnej sylwetki dowódcy nie da się pomylić z laskonogim kapitanem.

– Wyjaśnij mi nasz plan – rzuca ksiązę do Fenwicka i robi okrążenie na wolno kłusującym koniu.

– Dobrze – mówi Fenwick cicho, żołnierze wytężają więc słuch, żeby go usłyszeć. – Te zbuntowane łajdaki są gdzieś tutaj. Muszą gdzieś tu być. Nasi chłopcy starli się z nimi dwa dni temu, ale dowódca zwiadowców – Boże, wspomóż tego ślepego, nieszczęsnego drania – nie zdołał ich znaleźć. A więc, jak każdą inną brudną robotą podczas tej cholernej wojny, nasi szlachetni kawalerowie muszą zająć się sami, jeśli chcemy szybko wiedzieć, gdzie ukrywają się parlamentarzyści. Kiedy znajdziemy tych łajdaków, żadnych bohaterских czynów. Ty, poruczniku – wskazuje na Sama – możesz mieć ochotę zająć się tymi łajdakami bez udziału naszych dwunogich, prostych przyjaciół z piechoty, ale ja, chłopcy, zamierzam przed śmiercią jeszcze raz zobaczyć piersi mojej żony. A więc oczy szeroko otwarte, gęby na kłódkę i za mną.

– Tak mawia pańska żona, sir?

– Na szczęście szykujemy się do tego cholernego, samobójczego natarcia, Peters. W przeciwnym wypadku osobiście bym cię ukatrupił – odpowiada Fenwick.

Na spiętych, twardych twarzach mężczyzn pojawia się uśmiech.

Zjeżdżają ze wzgórza. Przy królu zostawili piechotę pod dowództwem Astleya i krnąbrną Kawalerię Północną. Odłączono i wysłano przodem dwie grupy zwiadowców. Jest to dziwny, zdradziecki teren. Faluje i wygina się, tworząc pagórki i wzniesienia. Co chwila doświadcza się tu złudzenia „fałszywego horyzontu” i natyka na zwodnicze zbocza. Te dranie mogą czekać ukryte pod granią dziesięć stóp przed tobą, a nie będziesz wiedział o tym dopóki nie wpadniesz w ich łapy, błagając, żeby cię zabili.

Książę jeździ w tę i z powrotem wzdłuż kolumny, zatrzymuje się co jakiś czas, żeby zamienić słowo z którymś żołnierzem. Cofa się i dołącza do Sama.

– Porucznik... – Rupert zawiesza głos.

– Challoner, sir. Wasza Wysokość, sir.

– W warunkach polowych wystarczy sir – mówi ksiązę.

Ich konie jadą obok siebie. Pączuś wydaje się mały przy wierzchowcu Ruperta i Sam na wszelki wypadek klepie klacz po szyi, żeby dodać jej otuchy. Jest zmieszany towarzystwem tego wielkiego człowieka. Młodszy oficerowie kawalerii otaczają go czcią. Życie księcia Ruperta już otacza legenda, choć ma on zaledwie dwadzieścia sześć lat. Rojaliści opowiadają sobie o jego odwadze, szale bitewnym i chwale. Jest nowym

Aleksandrem. A jednak Sam pamięta, jak biegał z londyńskimi czeladnikami i wyśpiewywał o bestialstwach Ruperta, tańcach w świetle księżyca z szatanem i dzikim spółkowaniu z wiedźmami, które spłodziły Boya, jego diabelskiego psa.

Sam z oddali obserwował zeszłego lata żałobę księcia po śmierci psa i jej makabryczne następstwa pod Marston Moor. Widział Ruperta oplakującego towarzysza młodości i w tym momencie poddał się nieposkromionemu uczuciu podziwu dla bohaterstwa, przepełniającego też innych chłopców z oddziału konnicy. Młodzieńcy pozbawieni dziedzictwa, młodszy synowie i poszukiwacze chwały czcili swego księcia-tułacza. Teraz nie jest już tylko ich dowódcą, ma pod sobą całą armię królewską. Jego towarzystwo jest onieśmielające, jakby sam Jowisz zstąpił z chmur na pogawędkę.

Rupert przerwał ciszę.

– Oczywiście, już sobie przypominam. Syn kupca bławatnego. Słyszałem wiele dobrego o tobie.

Sam jest w stanie tylko przytaknąć kiwnięciem głowy. „Powiedz coś, głupcze” – myśli.

Rupert odzywa się pierwszy:

– Zastanawiam się, czy twój oddział zmieni chorągiew, skoro hrabia Essex nie dowodzi już wojskami wroga?

Sam myśli o chorągwi swojego oddziału, powiewającym sztandarze, który nosił z taką dumą jako młodszy oficer. I o słowach „Rogacze, nadchodzimy” wyszytych na adamaszku w zielone kwiaty.

– Myślę, sir, że te słowa nie straciły na prawdziwości. W czasie, który te łajdaki spędzają na klęczkach, ich żony zapewne aż proszą się o porządnego męża.

Natychmiast pożałował tych słów. Za późno przypomniał sobie, że książę znany jest z wstrzemięźliwości i moralnego prowadzenia się. Z ulgą usłyszał cichy śmiech.

– Cóż, może to zadziała. A teraz musimy być cicho. Zbliżamy się do grani, gdzie mogą czaić się ci rogacze.

Posuwają się naprzód, bez pośpiechu, w ciszy. Jadą pod górę, przejeżdżając przez nienaturalnie spokojną wieś Clipston. Jedynym dźwiękiem jest chlupot kopyt uderzających o błotnistą ścieżkę, który zapewne zapowiedział ich przyjazd ukrytym mieszkańcom. Kto zostanie dowódcą artylerii? Sam wyobraża sobie jaką robotą byłoby przeciąganie ciężkich dział w górę i w dół po tych wilgotnych, błotnistych wzniesieniach. Mijają ostatni dom, wspinają się na szczyt wzgórza i nagle ich widzą. Tysiące ponurych łajdaków szybko pokonujących pagórek po drugiej stronie. Można odnieść wrażenie, że się wycofują. Czyżby? Czy tylko zmieniają pozycje? Nie sposób stwierdzić.

Koń Ruperta zatrzymuje się na znak dany mu przez jeźdźca, a książę przypatruje się wrogim oddziałom. Podenerwowani żołnierze uspakajają nerwowe, zdyszane wierzchowce. Książę naradza się z doradcami i miejscowymi wybranymi poprzedniej nocy w Market Harborough. Sam słyszy charakterystyczny niemiecki akcent

w słowach swojego półboga, gdy przeklina radę królewską za decyzję o konfrontacji z „Nowym Łbem”.

– Mówiłem im, że powinniśmy wycofać się do Leicester póki Goring nie przybędzie ze swoją jazdą.

Cichszy głos przypomina mu zdanie rady królewskiej: wycofanie się skutkowałoby znalezieniem się w potrzasku między siłami Fairfaxa a nadchodzącymi Szkotami.

– A zatem w tym miejscu się znaleźliśmy – mówi Rupert głośniej, chcąc, żeby usłyszał go cały oddział. – Jesteśmy słabsi liczebnie, z niedostateczną liczbą kawalerzystów i za małą liczbą broni. Znaleźliśmy sposób, żeby rozbawić buntowników.

Rupert krzyczy przez ramię:

– Kapitanie Fenwick, do mnie! Z dwoma najlepszymi jeźdźcami w oddziale.

– Jenkins, Challoner! – wywołuje kapitan żołnierzy.

Wysuwają się przed szereg. Jenkins jest drobnym chłopcem, młodszym od Sama. To syn hodowcy koni, mówi się, że jako dziecko ssał klacz, bo jego matka zmarła w połogu. Jest bardziej koniem niż człowiekiem. Sam cwałuje obok, pochylony w przód, ściskając klacz udami, i stara się nie pozwolić, by ta wielka, pęczniejąca duma, którą czuje, go zdekoncentrowała.

– Sir – mówi Fenwick – kapral Jenkins i porucznik Challoner.

Książę Rupert zwraca się do nich:

– Ta ziemia to istne gówno, panowie. Połamiemy sobie karki, zanim zdążymy zamachnąć się szpadą, by zadać cios w głowę buntownika. Fenwick, weź swój oddział i jedź do króla. Daj Jenkinsowi list na wypadek zasadzki. Musi przeżyć. Powiedz królowi, gdzie są nasze pozycje. Tam jest Mill Hill, niech będzie twoim punktem odniesienia. Powiedz im, że musimy zaatakować skrzydła wroga, jeśli chcemy narzucić im swoje warunki. Przekaż im, że nadal stacjonujemy w Dust Hill i miejmy nadzieję, że te łajdaki pójdą za nami. Challonera wysyłam z flagą na Moot Hill, żeby wskazywał kąt natarcia. Wszystko to jest w liście. Hasło to: „Królowa Maria”.

Bierze list od sir Bernarda de Gommera, walońskiego sztabowca, rzuca okiem na dokument, pobieżnie czyta go przed wręczeniem Jenkinsowi.

Odjeżdżają. De Gommer zwraca się do Challonera:

– Zrozumiał pan, poruczniku? Przeciwna strona wzgórza do tej, na której znajduje się wróg, aby nie mogli dojrzeć flagi, ale trzeba umieścić ją w takim miejscu, żeby była widoczna z Dust Hill i by król widział ją ze swojego stanowiska. Rozumie pan? Młodszy oficer zastąpi pana do chwili pańskiego powrotu, kiedy już zajmiemy nasze pozycje.

– Tak jest, sir – mówi Sam, przyjmując flagę Ruperta od adiutanta i opierając grot lancy o biodro, jak zwykł to robić, gdy był młodszym oficerem.

– Nie zawiedźcie – odzywa się książę. – To by było wszystko, panowie – mówi do niewielkiego oddziału konnych. – Albo oni, albo – z Bożą wolą – my. Dziś wszystko się zdecyduje.

Ziemia jest potwornie błotnista i podziurawiona norami. Sam widzi przemykające króliki, obojętne na samotnego konia i jego zdenerwowanego jeźdźca. Złamana kostka byłaby tutaj prawdziwym nieszczęściem. Sam szepcze Pączusiowi do ucha, podczas gdy klacz przemierza zdradliwy teren.

– Ostrożnie, mój Pączusiu, ostrożnie kochana.

Zastanawia się, czy Jenkins dotarł do króla. „A Ned?” – jego myśli błądzą wokół brata do czasu, aż zaczyna przeklinać sam siebie za brak koncentracji.

Teren zaczyna się wznosić i przez krótki moment Sam traci orientację. Czy to właściwe wzgórze? Wyobraża sobie piechotę rojalistów podążającą za flagą prosto w zasadzkę i rebelianckich pikinierów koszących ich jak zboże. Ma spocone dłonie. Trzymanie cugli i lancy staje się trudne. Zatyka broń za pasek. „Wolałbym raczej przeprowadzić szarżę na pikinierów niż żyć z taka odpowiedzialnością” – myśli. „Z czego jest ulepiony książę Rupert, że dźwiga na swoich barkach odpowiedzialność za całą armię?”

Pączuś spokojnie kontynuuje swój poranny spacer po wzgórzu. Sam zmusza się do oddychania. „Myśl. To musi być właściwe wyniesienie”. Stara się przypomnieć sobie mapę, którą wczoraj studiował podczas marszu. „Zaledwie wczoraj? Gdyby było to Moot Hill, minąłbym pikiety wroga. Gdyby było to Mill Hill, zobaczyłbym skrzydła wiatraka, a poza tym buntownicy obcięliby mi jaja. Tak. To jest właściwe wzgórze”.

Nadal się wspinają. To nie są wysokie góry, a jednak wszystko tu igra ze zmysłami człowieka. Inaczej niż na północy, którą przemierzał minionego lata. „Na rany Chrystusa, ależ to była ciężka wyprawa. I przeżyłeś, choć tysiące poległo” – mówi do siebie. „Uszy do góry, chłopaku, uszy do góry”.

Zbliża się do miejsca, które wygląda jak szczyt. Zsiada z konia i wiąże cugle do niskiego krzaka. Obchodzi wzgórze, żeby upewnić się, że nie jest to fałszywy szczyt i ustalić swoje położenie. Depcze po suchych gałązkach, które pękają, wydając trzask przypominający strzał z broni. Serce wali mu tak mocno, że niemal wyskakuje z piersi.

Szczyt wzgórza tworzy niewielką równinę. Przypomina płaską polanę i Samowi przez chwilę się wydaje, że zszedł na dół, zamiast się wspiąć. Idzie do przodu i nagle krawędź polany się urywa. Po jego prawej stronie rozciąga się głęboka dolina, pofałdowana i pełna grani przypominających płataninę kończyn. Przed sobą, w oddali widzi przemieszczających się buntowników. Maszerują na zachód szczytem grani. Podążają za oskrzydłającymi wroga oddziałami prowadzonymi przez Ruperta. „Dziś dojdzie do starcia, jeśli Bóg zechce. Są jak zwierzyna łowna. Głupcy. Zasilają ich kaznodzieje, dowodzą rzeźnicy i piekarze, jakże mogą zdobyć przewagę nad samym królem? Ale, na rany Chrystusa, jest ich tam niemało”.

– Tym więcej będziemy mogli ich zabić – mówi na głos i czuje, że było to głupie.

Jaki jest sens pysznić się odwagą kawalerzysty, jeśli nikt tego nie słucha?

Patrzy za siebie i widzi wojska króla. Zbyt oddalone, by mógł rozróżnić flagi i sztandary, ale wydaje się, że armia jest w ruchu. Maszerują w pełnym szyku bojowym, a oddaleni są o około cztery mile od miejsca przewidzianego przez Ruperta. A więc dotarcie tam zajmie im mniej więcej godzinę. Wcześniej miną go dołem. Podpełza do Pączusi, która kiwa łbem na jego widok. Umieszcza flagę w miejscu, z którego, jak sądzi, musi być widoczna, wbijając lancę w ziemię. Klacz leniwie skubie krzak, a Sam klepie ją po szyi.

– Dołączymy do nich, kiedy nas miną, prawda Pączku? Lepiej żeby mój zastępca utrzymał szyk, w przeciwnym razie skręcę mu kark.

Sam sięga do siodła i wyjmuje ostatni kawałek mięsa schowany na później. Rozkłada płaszcz na ziemi i siada z wyciągniętymi nogami. Zaczyna zmagać się z twardym mięsem, szarpiąc je zębami.

– Jak jakiś cholerny piknik – mówi do konia.

Klacz wyciąga szyję i łaskocząco prycha mu w karku.

– Myślisz, że Ned tam jest? – pyta ją Sam. – Wiesz, Pączku, kłóciliśmy się z Nedem. Ale nie zawsze. Bawiliśmy się też razem, najczęściej w wojnę. Czy to nie śmieszne? Ja i Ned prowadziliśmy oddziały przeciwko sobie, bawiąc się w purytanów i papistów. Przeprowadzaliśmy szarże. Budowaliśmy forty w ogrodzie, choć Benny na nas krzyczał. On, jako starszy, był Gustawem Adolfem. Te ptaki nie robią nawet w połowie takiego harmidru jak my.

Rzuca kamieniem w drzewo, prosząc Boga, żeby udało mu się trafić w któregoś ptaka. Świeże mięso byłoby czymś wybornym. Przepłoszone ptaki odlatują i śpiew ustaje.

Sam zdaje sobie sprawę, że nie jest przyzwyczajony do samotności, żołnierskie życie nie zostawia wiele czasu na prywatność. Orientuje się, że to go niepokoi. Mówienie na głos stępią ostrze grozy, dlatego szepcze i nerwowo rozgląda się wokół.

– Tak, Pączku. Kiedyś Ned zranił mnie do krwi patykiem zaostrzonym jak pika. Byłem mały. Miałem może pięć albo sześć lat. Trafił prosto w policzek. I wiesz, Pączku, co zrobił, kiedy zobaczył, że krwawię? Rozpłakał się, kochana. Rozpłakał.

[17] Gra słów w języku angielskim: Armia Nowego Wzoru – New Model Army i Noddle – głowa, łeb – w wymowie niemal identyczne z Model (przyp. red.).

[18] Chodzi o masakrę nazywaną Ograbieniem Magdeburga w 1631 r. podczas wojny trzydziestoletniej. Po zdobyciu obleganego miasta bronionego przez niemieckich protestantów, zwycięskie katolickie wojska cesarskie dokonały grabieży, ale też rzezi mieszkańców – z 30 tys. mieszkańców przeżyło 5 tys. Na długie lata wydarzenie stało się symbolem gwałtów, grabieży i całkowitej ruiny (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 22

Zaczyna się od wysokiego, natarczywego wołania trąbki.

Sam znów jest tam, gdzie jego miejsce – wśród swoich ludzi. Powoli schodzą ze wzgórza. Buntownicy ustawili się na wzniesieniu naprzeciwko. Między nimi rozciąga się pole bitwy. To miejsce, w którym dojdzie do rozstrzygającej walki. Sam sprawdza szczegóły. Czy szyk jest dostatecznie zwarty – trzy stopy między końskim nosem a ogonem, czy idą równo? Krzyczy na kawalerzystę, którego wierzchowiec odbija na bok:

– Trzymać zwarty szyk!

Ramię przy ramieniu posuwają się wolnym kłusem. Widzą, że dranie z naprzeciwka też zaczynają atak. Rupert osobiście prowadzi wojska królewskie do walki. Oto książę we własnej osobie, krzepki i pełen ognia na czele powolnej szarży. Powinien zostać na tyłach, za królewską strażą przyboczną. To tam jest miejsce naczelnego wodza i Sam słyszał, że niektórzy starzy weterani szemrzą przeciwko jego decyzji. Ale książę postanowił, że razem z nimi pójdzie do ataku i rozbije prawe skrzydło wroga, a później otoczy razem z nimi tych buntowniczych łajdaków i wtedy, dopiero wtedy dołączy do starszyny na tyłach.

– Czy Aleksander przyczajał się za linią frontu? – Sam woła cicho ku niebu. – Czy chronili się tam Hektor i Belizariusz? A król Henryk pod Azincourt? Czy się opieprzali?! – wykrzykuje pytanie, a Pączek potrząsa łbem, słysząc jego głos przebijający się przez dźwięki trąbki grającej sygnał „Carga, Carga”^[19] oraz tętent końskich kopyt tratujących darń.

– Rupert! Rupert! – woła Sam, a pozostali żołnierze podejmują jego okrzyk.

Książę wymachuje szpadą w podzięcie i bez wahania zwraca osłoniętą hełmem twarz prosto w stronę atakujących.

Kłusują przed siebie. Teraz po płaskiej powierzchni. Nagle rozbrzmiewają strzały i okrzyki. Upada jeden z koni w szeregu, powalając wierzchowca obok i zmuszając pozostałe do wykonania manewru w bok. Pączus robi uskok i podnosi łeb ku niebu, oczekując dodania otuchy od najlepiej znanych jej dłoni.

– Prze-gru-po-wać szyki! Prze-gru-po-wać szyki! – krzyczy Sam. – Naprzód!

Naprzód!

Słyszy inne głosy wołające te same słowa, ale odcina się od nich. „Skup się na swojej robocie, chłopcze, a reszcie armii pozwól samej zadbać o siebie” – te słowa usłyszał kiedyś od kapitana Fenwicka. Popędza konia kolanami, pochyla się do przodu. Klacz pędzi. Bóg kocha swojego dzielnego, szlachetnego Pączka.

– Szpady w dłoń! – krzyczy. – Nie wyciągać cholernych pistoletów dopóki ich nie dostaniemy!

Wymachuje swoją solidną, ciężką, śmiercionośną szpadą. Jazda naprzeciwko jest coraz wyraźniej widoczna. Trąbka nawołuje teraz co sekundę i ludzie Sama przyspieszają. Wróg wydaje się niewzruszony. Zbliży się w bezbłędnie ścisłym szyku. Zostaną rozbici. Niczym fale o klif, po których zostaje tylko piana. Za późno już, za późno, żeby się zatrzymać. „Zostanę rozbity, och Boże, zostanę rozbity”.

Trąbka znów rozbrzmiewa, pędzą. Pojawia się strach tak przenikliwy, że nie można go odróżnić od radości. Sam zaczyna krzyczeć, przerażenie i ekstaza wylewają się z jego ust wraz z tym pierwotnym rykiem. Błuznierstwa i plugastwa spływają z jego warg, krople śliny padają na szyję konia, a dłoń tak mocno zaciska się na cuglach, że jego kciuk bieleje, a paznokcie ranią skórę. Jazdę wroga spowija dym, gdy strzelają do ludzi Sama.

– Pocałujcie mnie w dupę! – wrzeszczy żołnierz tuż obok Challonera, kiedy kula ciężko uderza w jego hełm. – Pocałujcie mnie w moją bezbożną dupę!

Pozostało jeszcze tylko kilka metrów.

– Szarża! – krzyczy Sam, zdzierając gardło.

Skupia wzrok na jednym hełmie zbliżającym się w jego stronę. Modli się, żeby Pączek, dzielny Pączek, nie zboczyła, nie złamała szyku, a potem, chwilę później, ścierają się z przeciwnikiem. Mieszają się z wrogami, rozdzielają razy, napierają na nich. I szyki ustępują, nieprzyjacielskie oddziały pogrążają się w chaosie, rozpadają i rzucają do ucieczki.

„Sforsowaliśmy ich obronę! Jesteśmy bogami! Jesteśmy cholernie nieśmiertelni!” Sam czuje niepohamowaną żywotność swojego ciała, śmierć nie istnieje. Z otwartych ust padają krople śliny, serce łomocze mu w piersiach. Jest gigantem! Tytanem. Posłuchaj jego ryku:

– Rupert! – krzyczy. – Rupert!

Znów wyciąga szpadę i wymachuje nią nad głową. Pączuś, dzielny Pączuś, nadal galopuje. Sam zadaje buntownikowi cios szpadą w szyję i śmieje się z radości, gdy trafia w miękką skórę między hełmem i napierśnikiem. Krew tryska. Fontanny krwi strzelają ku niebu i Sam znów wybucha śmiechem. „I kto teraz jest martwy, draniu? Nie ja! Nie ja! To ty nie żyjesz! Ty!”

Nie czeka, żeby popatrzeć, jak mężczyzna upada, lecz znajduje kolejnego i kolejnego. Szpada staje się częścią jego ramienia. Broń i ciało Sama są skapane we krwi.

– Nie moja! – krzyczy. – To ich krew! Ich!

Czuje się tak lekki i tak żywy, że mógłby wzlecieć ku niebu. Mocniej ściska konia drżącymi udami i znów krzyczy:

– Rupert!

*

Ned patrzy, jak jazda Iretona ustępuje przed szarżą Ruperta.

– Chryste, co za dupy wołowe – ktoś burczy z tyłu.

– Cisza! – wrzeszczy Ned. – Sierzancie, zapiszcie nazwisko tego człowieka, jeśli przeżyje, osobiście go wychłostam.

Mężczyźni za nim nieruchomieją na swoich pozycjach. Powinni jednak bardziej obawiać się rojalistów niż surowego porucznika. Jazda pierwsza ruszyła do ataku, teraz czas na piechotę.

– Strzelcy do szeregu! – krzyczy Ned.

Pierwsza linia muszkietarów klęka i strzela. Powoli, w odpowiednim porządku. Boże, dzięki Ci za tych ludzi, za tych wspaniałych ludzi. Ich piki jeżą się w stronę wroga, a Ned jest tak bardzo dumny z ich odwagi, czuje, że oddech Boga pcha ich wprzód. Chwilę później ścierają się z królewską piechotą wśród odgłosów bólu, ulgi i przerażenia.

*

Pączuś leci. Jak pegaz mknie ponad rowami, unosi się nad zoraną trawą. Sam śmieje się z uciechy, jaką daje pogoń. Jeździec i jego koń stają się jednością, odkryli ten sekret. Wiedzą, jak tego dokonać. Mogliby galopować tak całą wieczność. Całą wieczność. Klacz wyciąga długą szyję i jeszcze dłuższe nogi. Jest boginią wśród koni, jego Pączek. Krew wyschła na ramieniu Sama, sprawiając, że jego ruchy stały się niezgrabne. Wie, że pragnie jej jeszcze więcej, świeżej i płynnej. A Pączek mu w tym pomoże. Buntownicy rozbiegają się, ale on zdobędzie kity zdobiące ich hełmy. Będzie ich siekał i ciął, i patroszył – łajdaków. Razem z nim pędzą w grupie inni żołnierze, gnając nieprzyjaciół w dół zbocza.

To jego bracia! Jego zwycięscy, piękni bracia. Widzi tych wrogich sukinsynów przed sobą. Przerażonych i zrozpaczonych. On i jego ludzie mogliby być na ich miejscu. Rogacze, nadchodzimy!

W głębi duszy coś go dręczy. Jakiś głos próbuje mu przeszkodzić. Jak śmie? Jest przecież bogiem zemsty! Potrząsa głową, ale głos nie znika. Trąbka wzywa. Sam stara się zignorować ów natrętny głos. Ale on brzęczy w jego głowie, aż wreszcie chłopak się w niego wsłuchuje.

– Stój! – krzyczy i gwałtownie ściąga cugle, powstrzymując chwalebny lot biednej klaczy.

Koń gwałtownie staje, potrząsając głową, jakby chciał wskazać mu drogę. Sam

klepie go po spoconym kłębie, żeby dojść do siebie. Jest cały, ma twarz pociemniałą z wysiłku, wzburzoną krew i ogień w żyłach. „Rozkazy, Sam, wydaj jakieś rozkazy”. Krzyczy:

– Prze-gru-po-wać się! Prze-gru-po-wać się! Wycofać do sztandaru. Do sztandaru!

Niektórzy żołnierze wykonują rozkaz. Walczy o odzyskanie kontroli nad nimi. Dokonuje inspekcji. Połowa oddziału stoi, wpatrując się w niego, konie dyszą, ludzie odzyskują rozum. Kilku innych nadal galopuje, na nic nie bacząc, łamiąc dyscyplinę. Kawalerzyści, którzy zostali, wydają się zdezorientowani. Rozglądają się po polu, jakby obudzili się z jakiegoś niesamowitego snu. Sam szuka właściwych słów, żeby sprowadzić ich na ziemię, ale ich nie znajduje. Słowa wydają się pustymi frazesami. Rządza krwi go opuszcza i znów jest tylko chłopcem na koniu, który trafił na pole bitwy.

Tam, tam! Tam jest Rupert. Nieomylny Rupert. Sam czuje wypełniającą go ulgę. Księżę wzywa ich do siebie, a oni galopują w jego stronę. „Powiedz nam, co robić” – myśli Sam. „Nadaj temu sens”.

*

– Powstrzymać ich! Powstrzymać ich! – krzyczy wściekle Ned, przewyciężając rozczarowanie.

Żołnierze zaczynają się cofać. Powoli, nieubłaganie. Ślizgają się w błocie, rozpaczliwie próbując utrzymać się na nogach. Upaść oznacza zginąć.

– Wstawać! Wstawać! – wrzeszczy Ned, nawet wówczas, gdy sam walczy o zachowanie równowagi.

„Och, Boże, czy możliwe, by z Twojej woli te papistowskie szuje zmusiły nas do cofnięcia się? Żebyśmy zginęli? Gdzie jesteś, Panie? Gdzie jesteś?”

Ned ogląda się za siebie, żeby spojrzeć na Hugh'a Petera, kapelana Cromwella, który jedzie na tyłach. W jednej ręce trzyma Biblię, w drugiej pistolet. Krzyczy coś, ale Ned nie słyszy go. Skippon został ranny. Och, Boże, twój najlepszy sługa. Czuje, że jego ludzie upadają na duchu. Skippon powalony. Ludzie oklapli jak świński pęcherz na wietrze.

Ned próbuje ich zmobilizować. Wrzeszczy, robi co może, by skłonić swoich żołnierzy do działania. Widzi jednak, że pikinierzy na przodzie osuwają się, stapiają z błotem i krwią. Z lewej strony gwałtownie atakowane są skrzydła odsłonięte po ucieczce konnych oddziałów Iretona. Muszkieteryści zostali otoczeni przez własne oddziały pikinierów, wykonujące gorączkowe manewry, żeby obronić się przed konnicą rojalistów. Przeciwnik atakuje z zawziętą gwałtownością, której żołnierze Neda nie są w stanie odeprzeć.

Wroga armia naciera od frontu i z lewej, napiera i miażdży, wyciska broniących się jak dojrzałe owoce. Krew tworzy kałuże na dnie okopów rozdeptanych butami zdesperowanych żołnierzy. Obok Neda chorąży Somers trzyma sztandar, który nadal

powiewa na wietrze. Ale chłopak płacze i drży z wysiłku, starając się utrzymać flagę. Stracił hełm w szamotaninie i wydaje się groteskowo młody. Z nosa zwisają mu smarki i Ned odczuwa absurdalną ochotę podania mu chusteczki.

– Głowa do góry, chłopcze! – woła zamiast tego. – Pokaż tym papistowskim szumowinom, jak umiera pomazaniec Boży.

Chłopak spogląda na niego jakby przez mgłę, niewidzącymi, zaczerwienionymi oczami, z których płyną rzęsiste łzy. A potem nagle kula z muszkietu w tajemniczy sposób odnajduje drogę między zastępami, żeby zrobić dziurę między jego zapłakanymi oczami. Głowa chłopca opada w przód, broda kołysze się na piersiach, ale ścisnięci mężczyźni wkoło utrzymują go w pozycji pionowej. Ned rzuca się, żeby odebrać sztandar z rąk chorążego. Puszczą szpadę, żeby złapać drzewce, i jego broń upada w błoto.

Trzyma chorągiew z desperacką żarliwością. Boży sztandar jest naszym mieczem. Myśli o słowach wyhaftowanych na kawałku jedwabiu ponad jego głową.

– Bogu ufamy! – woła. – Bogu ufamy!

Po chwili z tyłu dochodzi do niego ryk, rosnąca fala napływających mężczyzn i okrzyków. Żołnierze bardziej przeczuwają nadejście posiłków niż je widzą, odzyskują jednak siły i dzięki temu wzmocnieniu odpierają natarcie. Ned po raz pierwszy myśli, że może wyjdą z tego żywi. Bóg go wysłuchał.

*

– Sir! – krzyczy jeden z oficerów sztabowych Ruperta. – Musimy wrócić na pole bitwy!

Przed nimi stoi wóz taborowy. Wypełniony żywnością i zapasami. Kulami do muszkietów i do dział. Uginający się pod ciężarem monet od bogatych sukkinsynów z Londynu, którzy wspierają buntowników. To musi być to. W przeciwnym razie, po co broniliby go z taką niezłomnością? Grupa niewzruszenie pilnujących wozu żołnierzy wystrzeliwuje salwy w kierunku jazdy Ruperta, która krąży wokół taboru, od czasu do czasu atakując jak kruki kołujące nad padliną.

„Potrafimy go odbić” – myśli Sam. „Jeszcze tylko trochę więcej czasu. Trochę więcej czasu”.

Jakby słysząc jego myśli, książę odzywa się:

– Nie mamy wystarczająco dużo czasu – i gromko przeklina w swoim ojczystym języku.

Odwracają się w stronę pola bitwy, ku dźwiękom bębnów i hukom broni palnej. Ruszają w górę wzniesienia, wspinając się po ścieżce, którą wcześniej pędzili w dół. Nie udało im się dotrzeć tam, gdzie planowali – na tyły prawego skrzydła buntowników, żeby z zaskoczenia zaatakować „żelaznobokich” Cromwella. Zbyt niewielu przegrupowało się, mimo ponaglających sygnałów trąbek, by mogli przeprowadzić szarżę. Całe zastępy tych łajdaków czekają po drugiej stronie szczytu Moot Hill, niewidoczne dla króla z jego pozycji na Dust Hill. Musieliby przebić się

przez te rezerwy, żeby dopaść Cromwella.

Wracają zatem drogą, którą przyszli. Robią postój na szerokiej, krętej ścieżce otaczającej pole bitwy, żeby dotrzeć na tyły własnej armii. Z wyniesionej grani obserwują bitwę przypominającą partię szachów. Są zbyt daleko, żeby słyszeć pojedyncze krzyki czy poczuć gęstą woń krwi, gówna i dymu z wystrzelwanej broni. Widzą dwa wzgórza, z których obie armie przyglądały się sobie z oddali i zbocza opadające ku równinie rozciągającej się między nimi. Krajobraz przypomina płaskodenną miskę na pudding, której środek ogarnął chaos. Sam słyszy, że książę znów klnie w swoim szorstkim, ojczystym języku. Owe stłumione samogłoski i nienawistnie brzmiące spółgłoski muszą być – jak mniema – przekleństwami. Z wyniesionego miejsca oczywiście bowiem staje się, że sprawy nie potoczyły się w dobrym kierunku. Szarża na lewe skrzydło wroga przeprowadzona przez najlepsze oddziały konne i piesze Ruperta miała je zniszczyć i otworzyć drogę do serca Armii Nowego Łba. A jednak dranie utrzymali pozycje. Ze wzorów na sztandarach można wywnioskować, że rezerwowe oddziały pułkownika Pride'a wsparły Skippona.

Co gorsza, na prawym skrzydle Cromwell osadził Kawalerię Północną i teraz atakuje odsłonięte lewe skrzydło wojsk królewskich. Rojaliści rzucili do walki już wszystkie swoje rezerwy, a buntownicy za wzgórzem i wśród skał na grzbiecie pochowali jeszcze setki żołnierzy.

O dziwo, po drugiej stronie wzgórza pasie się stado krów skubiących liście krzaków i trawę. Jedna z nich podniosła głowę i wpatruje się w Sama, przeżuując leniwie.

W czasie postoju Rupert i jego towarzysze obserwujący szachownicę, na której rozgrywa się bitwa, czują przedsmak zbliżającej się porażki. Dostrzegają majaczącą na horyzoncie przegraną. Wiedzą w głębi swojej żołnierskiej duszy, że ten dzień źle się skończy. Sam spogląda na księcia, który przybrał napięty, kamienny wyraz twarzy i stara się objąć spojrzeniem całość sytuacji. To on zostanie uznany za winnego tej przegranej. Sam przez sekundę myśli o zawróceniu Pączka. „Moglibyśmy uciec, Pączusiu. Ta bitwa jest już przegrana. My nie musimy”. Niemal wykonuje ruch. Mięśnie prawego uda zaczynają się napinać, żeby dać klaczy znak: „Uratuj nam życie, kochana, uratuj nam życie”.

Nagle książę zwraca się w ich stronę i pyta, jakby proponował partię tenisa:

– Panowie, jedziemy?

W istocie to nie jest pytanie. Sam patrzy prosto przed siebie, starając się omijać wzrok towarzyszy. „Co, jeśli wiedzą, o czym myślałem?” Mimo strachu zawraca Pączka na pole walki. Podczas drogi powrotnej w chaos tworzony przez dym i śmierć, odruchowo ogląda się przez ramię. Wyraźnie widzi sylwetkę Piersa Langtona galopującego w przeciwnym kierunku na swoim bezcennym czarnym koniu bojowym.

*

Nastąpiła chwila wytchnienia. Linia frontu przesunęła się w przód. Pokieroszowane

oddziały Skippona zyskały trochę czasu na złapanie oddechu i opatrzenie niezliczonych ran. Ned widzi nadjeżdżającego jeźdźca bez hełmu. Kawalerzysta wymachuje szablą i woła:

– Dobra robota, mój dzielny chłopcze. W Bogu nasza siła!

To Fairfax. Jego postaci nie da się pomylić z nikim innym. Ludzie w pobliżu Neda z uznaniem wymieniają ciche uwagi o odwadze generała i o tym, że nie bał się ubrudzić w błocie i z ochotą walczył w samym sercu bitwy.

Ned przekazuje rozkazy sierżantowi Fowlerowi:

– Ranni tam, zajmiemy się nimi później. Przygotujcie się do powrotu. Zostało pięć minut, później wydam dalsze rozkazy. Idę zobaczyć, co u generała majora.

Wspina się na wzgórze, ślizga w błocie i, żeby złapać równowagę, chwyta się kolczastego krzaka, który boleśnie rani go w dłoń. Wyciąga ciernie zębami. Nagle widzi Skippona schodzącego ze wzgórza, za nim biegnie protestujący porucznik. Generał jest blady, a bandaż na jego ramieniu czerwony od krwi.

– Ned – woła – świetna robota! Tak, mój chłopcze.

– Tak jest, sir – odpowiada Ned, dołącza do Skippona i wraca ścieżką, którą przyszedł.

Przed nimi dowódcy przegrupowują oddziały piechoty rozbite przez pierwszą szarżę rojalistów w coś na podobieństwo szyku. Wielu piechurów poległo, liczni zdezerterowali, ale mimo wszystko są gotowi do ponownego natarcia na wroga. Poniżej szyki piechoty wojsk królewskich rozciągają się i są bliskie ustąpienia. A przy tym zupełnie nie spodziewają się nowej fali natarcia, które się zbliża.

– Cóż, Ned – mówi Skippon – wykończmy ich.

*

Sam jedzie z kapitanem wśród uciekających żołnierzy Kawalerii Północnej, próbując zmusić ich do powrotu. Konie i jeźdźcy zbytnio jednak zatracili się w przerażeniu i żądzy zachowania życia.

Za nimi – Sam to wie – „żelaznobocy” spokojnie przegrupowali szyki i nacierają na skrzydło rojalistów. „My też powinniśmy to zrobić” – myśli nielojalnie. „Jakiż trening musieli przejść, żeby tak szybko wziąć się w garść po szarży, uspokoić krew i zdusić buzujące pragnienie życia. Jakże trzeba mieć uznanie i umiejętności przywódcze, żeby zebrać, przegrupować i ponownie posłać żołnierzy do walki w szyku bojowym”. Myśli też o własnej szaleńczej szarży na jazdę Iretona.

„Tak, ale musieliśmy spróbować ich odeprzeć” – myśli, decydując się koniec końców pozostać lojalny. „Rupert miał rację” – mówi do siebie, ściągając cugle i podejmując ostatnią próbę okiełznania uciekających kawalerzystów. „Z pewnością, Rupert miał rację”.

*

O chwało! Nękają i ścigają króla. Muszkietrzy Jego Wysokości próbują wykorzystać ogień osłaniający, ale na niewiele się to zda w obliczu niepowstrzymanego natarcia armii Boga. „Naprzód, klękni, strzelaj, przeładuj! Naprzód, klękni, strzelaj, przeładuj!” – te słowa brzmią jak psalm. „Naprzód, klękni, strzelaj, przeładuj”. To pieśń skierowany do Boga opiewający ogromne zwycięstwo, które im zapewnił. „O mój Panie!” – Ned śpiewa w duszy. „O mój Panie”.

*

Kapitan Fenwick pojawia się obok Sama, razem nawołują i zbierają ocalałych ludzi z rozbitych oddziałów jazdy. Ani śladu chorągwi. Dziesięciu. Tylko dziesięciu żołnierzy. Przez chwilę bez celu galopują po polu, pobrzękując szablami. Stracili orientację, ale nie chcą się do tego przyznać nawet przed sobą nawzajem. Każdy ma skrytą nadzieję, że pozostaną zagubieni wśród tych przeklętych, nieprzyjaznych wzgórz.

Wjeżdżają na pagórek i odnajdują swój wóz taborowy. Wciągają go na szczyt wzgórza, torując sobie drogę poprzez bezlitosne ciernie. Konie i ludzie mają zamglone oczy i spływają potem z wysiłku i przerażenia. Żałośnie nieliczny oddział Sama pilnuje tyłów. Zza grani nadjeżdża grupa konnych. Kim są? Trudno powiedzieć. Trzeba założyć, że to wrogowie. Wystrzały z pistoletu potwierdzają te podejrzenia. Z tyłu dobiega go dźwięk łamiącej się ośki, tupot nóg i przekleństwa. Uciekają, i tylko Bóg może ich winić. Żałosne opieprzające się durnie, które nic nie zrobiły, gdy nadjeżdżali „żelaznobocy”. Bez przekonania obrzuca ich wyzwiskami, ale wie, że sam na ich miejscu zrobiłby to samo. Bóg z nimi. Nie ma łatwiejszego celu dla szpady kawalerzysty niż pojedynczy człowiek, biegnący zygzakiem przez pole bitwy niczym ścigany zając.

Na komendę wykrzyczaną przez Fenwicka stają i wyciągają pistolety.

– Nie strzelać, do cholery, dopóki nie będzie mógł spojrzeć ci w oczy – krzyczy kapitan wysokim, załamującym się głosem.

Przeciwnicy nadchodzą i kiedy w końcu wbiegają na środek pola w niepohamowanym szyku, Sam czuje, że pęcherz mu puszcza – oblewa się wstydem i moczem.

Nagle przypomina sobie twarz ojca. Jego zmarszczki wokół śmiejących się oczu. Biedny, stary drań starał się nas przestrzec właśnie przed tym, co się tu dzieje. O Boże, teraz myśli o Nedzie. Wyobraża sobie triumfującą twarz brata. Nie może znieść myśli o współczuciu tego łajdaka i o jego prawości. Obezwładnia go konieczność upokorzenia się przed Nedem i jego nieprzejednanym Bogiem.

– Ognia! – krzyczy kapitan i Sam pociąga za spust.

Wyciąga drugi pistolet i celuje w jednego z „żelaznobokich”. Coś w sposobie, w jaki siedzi na koniu, coś w ułożeniu jego ramion sprawia, że Sam czuje do niego

gwałtowną nienawiść. Strzela i mężczyzna spada z konia, zaczyna się bijatyka, szpady rozdzielają razy, rozlegają się odgłosy stali uderzającej o zbroje, a jęki ludzi mieszają się z kwikiem przerażonych koni. Nagle Sam zdaje sobie sprawę, że furia tej utarczki mija go bokiem. Widzi Fenwicka nadal trzymającego stopy w strzemionach, ale jego ciało osunęło się na chroniony zbroją grzbiet wierzchowca. Kapitan ma obcięty nos i brodę. W Samie wzbiera wściekłość. Pragnie gnać w pościgu, znów podjąć walkę i pozabijać tych niegodziwców. Ściska kolanami boki klaczy, ale Pączek, dzielny Pączek, po raz pierwszy i ostatni w życiu buntuje się. Odmawia ruszenia w pogoń. Odwraca się i galopuje w przeciwną stronę, a Sam, za podjęcie tej decyzji, kocha ją bardziej niż jakąkolwiek inną istotę na świecie w całym swoim krótkim życiu.

Wspinają się na grzbiet wzgórza, Pączek i Sam, a później na kolejne, dopiero wówczas spostrzega, że koń idzie zbyt wolno. Za późno, spogląda w dół i widzi krew spływającą po jej prawym udzie. Bada ją i zeskakuje na ziemię. Zwierzę uwolnione od jego ciężaru pada na przednie kolana, jakby się złożyło. Wpadło w jeden z dołów pokrywających ten zdradliwy teren. Klacz szarpie się, a następnie nieruchomieje zdyszana.

– No chodź, Pączku, kochany Pączku – przemawia do niej Sam.

Ale ona zapada się i zastyga pod gładzącymi ją dłońmi. Chłopak obejmuje jej ciepłą, zakrwawioną szyję i chowa twarz w grzywie. Z oddali słyszy apokaliptyczny tętent końskich kopyt. Wybucho płaczem.

*

Wreszcie jest po wszystkim.

Tabor zajęty i zabezpieczony, jeńcy spędzeni. Parę setek papistowskich zasrańców, błagających o litość swoimi dziwkarskimi ustami. Zostali załadowani na kilka wozów, a jego ludzie patrzą na nich pożądliwie.

Za wcześniej, żeby zabrać się za zdejmowanie zbroi poległych wrogów. Gorąco jest tego czerwcowego dnia – zdaje sobie sprawę Ned. Czuje smutek i znużenie, które zwykle pojawiają się po bitwie. Jest już do tego przyzwyczajony i wie, że to uczucie mija. Zdejmuje hełm i pozwala wietrzykowi ochłodzić rozpalone czoło, osuszyć pot przyjemnie orzeźwiającym powiewem.

Później znajdzie czas, żeby podziękować Bogu – gdy skończą pracować i będzie mógł skupić się na czystym głosie Boga. Na razie mamrocze podziękowania nieustannym, roztargnionym potokiem słów. Przygląda się zakrwawionym, zrozpaczonym twarzom jeńców. Nie wie, co zrobi ani co powie, gdy znajdzie go żywego. Myśli o Edgehill i stosach ciał migoczących w zimnym świetle. Zastanawia się, czy powinien wrócić na pole bitwy, kiedy ludzie zostali już zakwaterowani i nakarmieni prowiantem z zapasów rojalistów. Wyobraża sobie zgrozę podnoszenia ciał martwych chłopców, kolejno jednego za drugim. Poszukiwania śladów promiennej twarzy brata

w obliczach pokrytych szarą skórą i w szklistych oczach zabitych. A jednak odszukanie go jest jego obowiązkiem wobec Hen, ojca i – chyba też – Sama.

Za wcześnie jeszcze na szacunki, ale to zwycięstwo wydaje się pełne. Ned to wie. Prawdą jest więc, że są armią Boga, że Bóg ich umiłował. Jakże mogłoby być inaczej, skoro dał im zwycięstwo w pierwszej bitwie, wbrew lekceważeniu i pogardzie przeciwnika?

A oni, przekłęci Amalekici, czyż Pan ich nie rozgromił? Tak, i kobiety też. Powtarza słowa Hugh Petera wygłoszone ostatniej niedzieli podczas kazania z Księgi Samuela: „Pan wysłał cię w drogę i nakazał: Obłożysz klątwą tych występnych Amalekitów, będziesz z nimi walczył, aż ich zniszczysz”^[20].

Aż ich zniszczysz. Spogląda w stronę, gdzie siedzą skulone kobiety i przywołuje skinieniem sierżanta.

– Wszystko zabezpieczone, sir – mówi czerwony na twarzy, spocony mężczyzna.

Okrzyki wznoszą się w zastygłym powietrzu. Ned patrzy na tulące się do siebie dziwki, między którymi przechadzają się piechurzy Armii Nowego Wzoru, wymachując szpadami jak sierpami. Kobiety zostały otoczone, nie mają drogi ucieczki. Te, które rzucają się na niewzruszony krąg żołnierzy, są wiązane i wynoszone na zewnątrz. Druga grupa ze spokojną precyzją obcina im nosy – żeby napiętnować jako wiedźmy – nie zwracając uwagi na ich krzyki i błagania.

Ned podchodzi i myśli o tym, żeby interweniować. Pytającym wzrokiem spogląda na sierżanta, który tylko wzrusza ramionami i mówi:

– To papiści, sir.

Kilku jeńców wstaje, przepycha się i przeciwstawia agresorom, ale nie mają broni i muszą zrezygnować.

Targany wątpliwościami Ned odchodzi na bok, żeby pomyśleć. Zamyka oczy, nie chce widzieć otwartych ust, zniszczonych twarzy i przeszytych szpadami kobiecych ciał, które nie pozwalają mu się skupić i zaciemniają umysł. I wtedy słyszy dobiegający z zakamarków jego umysłu głośny, ponaglący krzyk:

– Ned, Ned!

^[19] Carga (hiszp.) – szarża (przyp. red.).

^[20] 1 Sm 15, 18.

ROZDZIAŁ 23

16 CZERWCA 1645

Pięść wali w drzwi.

Henrietta siada, serce podskakuje jej do gardła. Przez otwarte okno wpada ciepłe powietrze, wypełniając pokój intensywnym zapachem City. Niebo jest ciemne. A więc panuje późna, czerwcową noc. Czy to, co ją obudziło, przyśniło się jej? Obok Lucy śpi głęboko, ani drgnie. Odrzucona kołdra leży zwinięta w nogach. Jest gorąco, duszno i cicho.

Nagle hałas znów się rozlega. To samo gromkie walenie. Tym razem Lucy budzi się, gwałtownie przechodząc z głębokiego snu w budzącą strach jawę.

– Kto to? – szepcze.

– Nie wiem – dopowiada Hen.

Wysuwa nogi spod kołdry. Nie chce otwierać drzwi. Tylko złe wieści nadchodzą o tak późnej porze. Wczoraj mówiło się w City, że w środkowej części kraju doszło do ogromnej bitwy, w czasie której wojska królewskie zostały całkowicie rozbite. „Och, Sam, czy moje serce wiedziałyby, gdybyś zginął?”

Zapala świecę od żarzących się węgielków i idzie do drzwi, gotowa, by je otworzyć. Z tyłu babcia wygląda z zajmowanej przez siebie wnęki. Hen próbowała nakłonić ją do zajęcia łóżka w dużym pokoju, ale ona lubi to ciasne pomieszczenie. Podoba jej się, że może sięgnąć ścian i sufitu. Staruszka zaszywa się w kącie i obserwuje sytuację z miejsca, w którym czuje się bezpieczna. Czasem ma przebłyski świadomości. Zazwyczaj jednak mamrocze pod nosem, ogarnięta obsesją zbliżającego się potępienia. Zaczęła rozmawiać z szatanem, którego błaga, by potraktował ją łagodnie.

Hen robi, co może, ale wie, że to za mało. Wprawia ją w zakłopotanie, że babcia zmienia się zwierzątko, ale wszelkie próby pomocy, jakie podjęła, zostały odrzucone. Staruszka przycupnęła przestraszona pukaniem. Hen widzi białka jej oczu zza splątanych kosmyków. Babka mamrocze:

– Widzisz, przyszedł! Wie, że tu jestem. Wie, czym jestem. Przejrzał mnie. Chce

mnie wrzucić w ogień. Chce mnie. Pochłania mnie. Stoi u drzwi. Przyszedł po mnie z ogniem. Gdzie jest jego ogień? Jeszcze nie, Panie. Proszę, jeszcze mnie nie zabieraj.

Pukanie znów się rozlega, wzmagając przerażenie staruszki. Hen ją uspokaja, stara się nie dopuścić do tego, aby owładnęła nią panika.

– Hen, Lucy, to ja, Ned. Otwórzcie.

– Ned! Babciu, to Ned, nasz Ned!

Z ulgą otwiera drzwi i widzi ponurą, poważną twarz brata. Ktoś stoi za nim, majająca w ciemności, znajoma sylwetka ożywia wspomnienia.

– Hen, to ty? – odzywa się gość znajomym głosem.

To niemożliwe. Ona przecież jest w Oksfordzie. To pewne.

Ned wchodzi do środka i słaby blask świecy pada na brudną twarz okoloną kłębowiskiem włosów.

– Anna!

– Witaj, Hen.

Kuzynka wchodzi do pokoju nerwowym krokiem i mówi wzburzonym głosem:

– Tym razem to ja zjawiam się niespodziewanie w środku nocy.

Lucy w ramionach Neda patrzy z przerażeniem na Annę, której całe ubranie pokrywają plamy błota i rdzawe smugi, zapewne od krwi. Ma skołtunionie włosy. A mimo to Anna, niezastąpiona Anna, uśmiecha się i dyga.

– Pani Challoner, jak się domyślam.

Nosi się jak dama, ma wysoko podniesioną głowę i proste plecy, ale wygląda jak żebraczka i Lucy najwyraźniej się jej boi.

– To jest Anna Challoner – zwraca się Ned do żony. – Nasza kuzynka.

Mówi obcym głosem i dziwnie akcentuje jej nazwisko, Hen jednak zostawia na później zmartwienia.

Całuje kuzynkę w brudne policzki.

– Witaj, z daleka przyjeżdżasz?

– Właśnie przechadzałam się po pałacu świętego Jakuba, nie zauważyłaś? – odpowiada i dumnym krokiem przemierza pokój. – Ależ to dziura, Hen.

– W sam raz dla ciebie – odgryza się kuzynka. Uśmiechają się do siebie.

– Co tu robisz?

– Znalazłem ją – mówi Ned – między dziwkami w królewskim taborze.

Dziewczyna patrzy na niego otwartym, spokojnym spojrzeniem. Wzrok Neda ucieka w bok, a on ukrywa swoje zakłopotanie, sięgając po dzban i nalewając sobie porteru.

– Czy to wszystko? To wszystko, co zamierzasz im powiedzieć? Powiedz im, co twoi przyjaciele zrobili – mówi Anna do jego pleców. – Powiedz, co widziałeś.

– To były papistowskie kurwy – odpowiada Ned.

Dla podkreślenia swoich słów, wali pięścią w blat. Nadal nie patrzy na żonę. Lucy wpatruje się w przestrzeń między nimi z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Czy ja jestem papistowską kurwą? – Chłopak milczy, Anna ponawia więc pytanie: – Czy jestem papistowską kurwą?

Odwraca się w jej stronę z wyraźnym zmieszaniem.

– Nie, papistowską nie.

– Chcieliście obciąć mi nos? No, dalej, obetnij więc, ty płaczący gnojku. Utnij. Albo ucho. Nie jesteś już taki cholernie odważny, co? Przy swojej żonie i siostrze.

– Ned, o czym ta kobieta mówi? – Lucy podchodzi do niego.

– Nie przejmuj się, laleczko.

– Ned! – krzyczy Hen – Ned!

Brat zwraca się do niej.

– Nie zrozumiecie. One w każdym razie były papistkami.

Stoją nieruchomo, patrząc po sobie.

Anna przerywa ciszę.

– Och, mieliśmy wyborną podróż po Midlands, w starym stylu, prawda? Całymi godzinami jechaliśmy w milczeniu na pożyczonych chabetach, Ned cały czerwony ze wstydu, że musi pokazywać się w moim towarzystwie.

– Czy można mnie za to winić? – odzywa się kuzyn, patrząc na Lucy, swoją naturalną sojuszniczkę.

– Tak, za to i za to, czego dopuścili się twoi przyjaciele!

– Ja niczego nie zrobiłem.

– Stałeś z boku.

Hen podchodzi do Anny i bierze ją za rękę.

– Dostyc już, uciszcie się oboje. Chodź, kochanie, umyjemy cię i nakarmimy.

Wszystko teraz będzie dobrze.

Widzi, że kuzynka mięknie po wpływie jej dobroci i ze wszystkich sił stara się nie rozkleić.

– Wszystko będzie już teraz dobrze? Tak? – odpowiada Anna i znów się uśmiecha.

Hen odwraca się do brata.

– Jak bitwa?

– Chwalebne zwycięstwo, Bóg był z nami. Rozbiliśmy siły króla.

– Co z Samem?

– Ani śladu po nim. Szukałem go, ale jeśli zginął albo został ranny, nie udało mi się go odnaleźć.

Hen oddycha z ulgą, brak wiadomości jest lepszy od złych wiadomości. Niepewność denerwuje, ale jest lepsza od żałoby.

Odwraca się do Anny i mówi:

– Umyjemy cię. Ned, idź do drugiego pokoju – rzuca przez ramię. Słyszy, jak brat z Lucy wchodzi do sypialni i zamykają drzwi.

Anna drży, kiedy kuzynka zdejmuje z niej ubranie. Na obu ramionach widać sińce w kształcie palców, a wokół szyi i nadgarstków grubą warstwę brudu. Przypomina Cyganekę. Jej ubrania cuchną i są pokryte kurzem i zeschniętym błotem.

Hen bierze jej rzeczy i wrzuca do miski ustawionej w kącie na trójnogu.

– Jutro pójdziemy do łaźni – mówi. – Ale najpierw się tu rozgościsz.

Nawet przy słabym świetle Hen dostrzega wiele mówiące blizny po pchłach, które uctowały na skórze Anny. Brud tworzy kilka warstw i woda szybko robi się czarna, kiedy Hen płucze płócienną myjkę. Mimo letniej pogody w zawilgoconym pokoju jest chłodno, a zimna woda sprawia, że Anna dostaje gęsiej skórki.

Początkowo nic nie mówią, jakby chciały słuchać pluskania myjki w wodzie.

Po chwili ciche słowa zza zasłony splełanych włosów przerywają ciszę.

– Dziękuję.

– To nic takiego. Moja biedna Anna.

Hen bierze grzebień i zaczyna czesać zmierzwione, opadające na plecy włosy kuzynki. Zaczyna tuż przy skórze i Anna znosi cierpliwie ten zabieg.

– A zatem król musiał uciekać? Jak do tego doszło?

– O Boże, Hen, nie pytaj mnie o to. Niemal nie sposób dojść do tego, co się stało, kiedy jest się w samym środku wydarzeń. Próbowałam dowiedzieć się od Neda, ale kiedy raczył mi odpowiedzieć, bredził tylko o opatrności.

– Ale co ty tam robiłaś, kochanie?

– Tam był pewien chłopak...

Hen po raz pierwszy zwróciła uwagę na jej widocznie wypukły brzuch i pełne piersi.

– O Boże – westchnęła.

*

Leżą na wąskim, rozkładanym łóżku przeniesionym z sypialni Lucy do dużego pokoju i rozmawiają.

– Był synem hrabiego, rozumiesz? Obiecał mi, że się ze mną ożeni. Obiecywał mi parki, fontanny i ukłony. Wierzchowce i służących, a także rolę w sztuce z maskami. Lody latem, dziesiątki kominków zimą. A nawet ananasy!

Hen uśmiecha się i dotyka głowy kuzynki.

– Och, Hen, i poszłam za nim. Pewnej nocy uciekłam z Oksfordu, kiedy jego pułk opuszczał miasto. Obiecywał mi cały świat.

– A dał ci to.

Henrietta wskazuje na brzuch Anny opięty tkaniną. Kuzynka zasłania się dłonią i wybucha śmiechem.

– Tak, dał mi to, zapomniałam mu podziękować.

Dobry humor Anny jest zaraźliwy i obie zaczynają chichotać. Hen pyta łagodnym głosem:

– Ale, kochana, co teraz? Gdzie on się podział?

– Chyba martwy. To bez znaczenia. Przed bitwą wpadł w złość. Myślę, że ze strachu, ale jasno wyraził się, że jego obietnice były tyle warte, co pierdnięcie. I tyle.

– I tyle. – Hen ściska dłoń kuzynki.

– Spróbuję się tego pozbyć. Musi być gdzieś tu w okolicy jakaś znachorka. Nie patrz tak na mnie. Co byś chciała, żebym zrobiła? Nie mam pieniędzy. Rodzice najchętniej

zobaczyliby mnie w rynsztoku. Musisz mi pomóc.

Hen przytakuje kiwnięciem głowy, mamrocząc pod nosem modlitwę przebłągalną. To były ponure czasy, być może usprawiedliwiały podejmowanie drastycznych środków. Ned nie zgodziłby się z tym, ale on nie jest kobietą i nie był od urodzenia ćwiczony w zawieraniu kompromisów.

– Hattie – odzywa się Henrietta – żona rzeźnika. Ona zna się na ziołach i nawet jeśli sama nie wie, jak temu zaradzić, będzie wiedziała, kogo prosić o pomoc.

Obie milkną, Hen myśli, jak to wszystko zorganizować. Zna właściwości mikstur wywołujących krwawienie u kobiet. Hattie warzy własny napar z wawrzynu, kłącza marzany, pieprzu i szałwii. Czy wystarczy zwiększyć dawkę, żeby usunąć żywą istotę? Istotę? Czy to jest w ogóle istota?

Anna odzywa się, jakby czytała w jej myślach:

– Pastor mówił w domu rodzicom, że dziecko dziedziczy grzech pierworodny dopiero, kiedy zaczyna się ruszać. A jeszcze nie zaczęło. To jeszcze nie jest istota.

Nieustannie wybija palcami łagodną melodię na brzuchu i opowiada różne historie, Hen jednak udaje, że jej nie słucha.

Leżą pod wspólną kołdrą, ogrzewając się wzajemnie. Bliskość skłania do intymnych zwierzeń. Anna zaczyna mówić o miłości, o delikatnych ustach jej szlachetnie urodzonego chłopca i jego kłamliwym języku. O uldze, jaką odczuła po ucieczce z domu, o ekscytacji, poczuciu przeżywania przygody, kiedy nocą wykradała się, by wpaść w jego ramiona.

Jakaś niewielka częśćka Hen odczuwa zazdrość, a potem myśli o Willu takim, jakim widziała go po raz ostatni – zmieszanym i niezdecydowanym, z matką uwieszoną na jego ramieniu. Kawaler w opowieściach Anny jest bohaterem, mężczyzną pełnym wigoru. A przecież odszedł, a kuzynka znalazła się tutaj. W ciąży i zdana na samą siebie.

Próbuje przekazać Annie choćby niewielką część tego wszystkiego, kuzynka odwraca się w jej stronę i obejmuje ramieniem. Leżą blisko siebie w ciepłe pod kołdrą.

– Widziałaś Sama?

– Kilka razy. Ale mnie nie poznał. Chciałam poczekać do ślubu, zanim się ujawnię. Jest teraz całkiem przystojnym porucznikiem jazdy. Wolałam poczekać z tym, aż stanę się godną szacunku mężatką. A to stawało się tym odleglejsze, im dłużej byłam z moim kochankiem, Richardem. Nie widziałam jednak Sama pod Naseby. Był z Rupertem i razem brali udział w szarzy. Richard był w Kawalerii Północnej, a oni wszyscy zginęli albo zbiegli z pola walki. Obaj mogą być równie dobrze wśród żywych jak wśród martwych, albo gdzieś pomiędzy.

„Och, Samie, gdzie jesteś? Moja druga połowo, mój bracie. Niech Bóg cię strzeże. Niech Bóg cię chroni”. Anna wrywa ją z zamyślenia.

– A ty, Hen? To jest przecież życie w nędzy.

– Być może.

– No dalej, opowiadaj.

– Wiesz, Anno, odpowiada mi takie życie. Mam jakiś cel. Lubię pracować. Przypominam sobie te dni na Fetter Lane, te niekończące, ciągnące się dni. Wiesz jak to jest, jak było. Przez cały dzień zachwycać się nowym czepkiem. Wówczas nie miałam zmartwień, teraz mam. Czym nas wyżywić i jak ogrzać. Ale jakże kiedyś się nudziłam! Jak bardzo się nudziłam!

– Oby Bóg zesłał mi trochę tej nudy. A może chciałabyś też podążać za jakimiś wojskami? Na ranny Chrystusa, Hen!

– Naprawdę wolałabyś zostać w domu?

– W domu? Nie. Ale musi być jakiś stan pośredni między nudą i przerażeniem.

– Nędza?

Anna wybucha głośnym śmiechem, a potem odpowiada szeptem:

– Tak, nędza.

– Jest też poczucie winy, Anno. Cena za wolność, jeśli wolisz. Mojego ojca powieszono. Za każdym razem, kiedy odczuwam radość z tego wszystkiego, przypominam sobie jego twarz.

– Biedaczko. Mój ojciec szlochał, kiedy się o tym dowiedział. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby płakał.

– Zresztą nie tylko mojego ojca, wszystkich tych chłopców zabitych i okaleczonych na wojnie, dzięki którym uzyskałam to... – Milknie, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa. – To odrodzenie.

Anna naciąga kołdrę pod brodę i spogląda przez otwarte okno na czarne niebo.

– Czasem na wozie taborowym bywało zabawnie. No wiesz, kobiety same ze sobą. Początkowo się bałam. Odzywały się ordynarnie i soczyście. Ale w gruncie rzeczy okazały się życzliwe. A te, które nie były życzliwe, były zabawne. Co może być lepszym lekarstwem na pęcherze niż życzliwość i modlitwy?

– Co się wydarzyło tam, pod Naseby?

Hen chciałaby zadać to pytanie bardziej wprost, ale coś nie pozwala jej użyć właściwych słów. Czego dopuścił się Ned? Księżyc wzniósł się wysoko na niebie i jego światło wpada do pokoju przez uchylone okno. Zawsze przywodzi jej na myśl Willa. Szuka człowieka z księżycą, ale dziś nie może go dojrzeć.

– Trudno powiedzieć. Wiedziałyśmy, że przegrali, kiedy pojawili się pierwsi dezertery, tchórzliwe dupki. Słyszałyśmy sygnał ogłaszający wycofanie się, ale to był teren pokryty pagórkami. Padało, ziemia była rozmiękła i bagnista. Koła wozów grzęzły w błocie, a my byłyśmy przerażone. Boże, jakżeśmy się bały. Ja i kilka innych zeszłyśmy z wozu i pobiegłyśmy, tymczasem buntownicy zbiegli ze wzgórza i nas otoczyli. Myślałyśmy, że wezmą nas w niewolę. Podeszłyśmy więc do nich z rękami w górze, wymachując szarymi skrawkami materiałów, bo białych nie było, i prosiłyśmy o litość. Bałam się, że zostanę zgwałcona. – Cicho się zaśmiała. – Idę o zakład, że każda rozłożyłaby nogi, byle tylko się uratować. Wiele dziewczyn miało dzieci ukryte na wozach albo pod nimi. Lepiej być zgwałconą matką niż martwą. Ale

oni nie chcieli wziąć nas w taki sposób, zwyrodniałe dranie. Zaczęli nas zabijać. Niektóre okaleczać. Krzyczały wniebogłosy: „Nie jestem papistką, nie jestem papistką, nie jestem papistką”. Ale wszędzie wkoło było tyle cholernych wrzasków. – Wzdryga się i zaciska powieki. – Hen, dlaczego oni nas tak bardzo nienawidzą?

Spogląda na księżyc, jakby mógł odpowiedzieć jej na to pytanie. Hen szuka właściwych słów, ale nie potrafi ich znaleźć. Czuje się oderwana od rzeczywistości, mała. Sięga ręką i odgarnia kuzynce włosy z czoła. Anna chwyta ją za dłoń i ściska.

– A jednak jestem tu cała i zdrowa, a wiele nie miało takiego szczęścia. O Boże, Hen, jak to dobrze być żywą. A co do reszty, cóż, to twoja wina – mówi z uśmiechem majaczącym na ustach.

– Moja!

– Kiedy przyjechałaś tamtego Bożego Narodzenia, cała przepełniona miłością i rozpaczą, byłam zazdrosna. Pragnęłam przeżyć taką samą namiętność. Ekscytację. A potem, pewnego dnia, mnie też się to przytrafiło.

Hen podciera się na łokciu, żeby spojrzeć na kuzynkę.

– Tak, Anno, ale ja nie oddałam się Willowi.

– To prawda. – Anna milknie w zamyśleniu. – Nie zamierzałam tego robić. Kiedyś opowiedziałas mi o Achillesie. Miał wybrać między krótkim życiem pełnym chwały i długim, ale nudnym. Postawiłam wszystko na jedną monetę. Orzeł – hrabina. Reszka – dziwka.

– To nie jest taki sam wybór – odzywa się Hen.

– Jak to nie? Mężczyźni mają swój nieboskłon, my mamy swój.

– Ale nie postawiłaś na monetę, tylko na słowo tego chłopaka. Także na jego życie, a był żołnierzem.

– To prawda.

Na chwilę zapadła cisza.

– Tak bardzo chciałam mu wierzyć. Tak bardzo. A kiedy zdałam sobie sprawę, że nie powinnam, było już za późno. Kiedy galopuje się na spłoszonym koniu w stronę urwiska, nie wiadomo, kiedy należy zeskoczyć.

*

W sypialni Ned i Lucy leżą obok siebie. Za drzwiami słyszą ciche rozmowy przerywane śmiechem. Drażni go beztroska Anny. Wierci się i kręci, dręczy go ton i ciężar niewypowiedzianych słów, ciężących mu na sercu. Pamięta kuzynkę biegnącą w jego stronę z szeroko rozwartymi oczami i w podartym ubraniu. Nie rozpoznał jej, struchlał zdumiony, widząc to stworzenie wołające go po imieniu.

„Ned, Ned” – wołała nieustannie, wyciągając ręce pokryte grubą warstwą brudu, żeby uchwycić się jego skórzanego płaszcza. „Anna, Anna” – szlochała bezładnie w rozpacz i wtedy ją poznał. Zabrał ją sprzed zdumionych oczu swoich ludzi, z dala od pytań, które zawisły wokół nich jak krzyk. „Nie wiem, co jest gorsze – zastanawiał

się, popychając ją do przodu – że to stworzenie z taboru papistów jest moją krewną, czy to, że oni myślą, iż jest moją kurwą. Co sobie o mnie pomyślą?”.

To zażenowanie! Przypomina sobie wyraz twarzy sierżanta Fowlera. Ani śladu szacunku, pozostała surowa, nieustępliwa wzgarda. Musiał prosić Skippona o pozwolenie na nagły wyjazd, choć ranny generał przygotowywał się, żeby pozwolić tym rzeźnikom zająć się jego rozwartą raną w piersi. Musiał znieść pełen dezaprobaty wzrok swojego dowódcy i graniczące z bólem zręczliwe przyjęcie, z jakim spotkała się jego prośba. A jednak, jakimś cudem, to on jest tym złym w opowieściach Anny! Drży z przerażenia na wspomnienie o rozbiciu na oczach swoich ludzi tak starannie uszczelnionego pancerza, w którym się zamknął.

Zaniepokojona tym Lucy przestaje udawać, że śpi i odwraca się w jego stronę.

– Jak długo zostaniesz?

– Tylko tę noc.

– Tak krótko?

„Zapytaj mnie o bitwę. Zapytaj mnie o te kobiety” – myśli Ned.

– Możesz zostawić mi trochę pieniędzy? Muszę kupić sobie nową suknię, ta jest nedorzeczna.

– Oczywiście, kochanie.

„Zapytaj o to, jak krzyczały, kiedy chłopaki je cięli. Zapytaj mnie o cokolwiek, czy bym ich powstrzymał, gdyby nie pojawiła się Anna. Zapytaj o Sama”.

– Babcia staje się coraz bardziej nieznośna. Jak długo będę musiała z nią mieszkać?

– Już niedługo. Wojna powinna wkrótce się skończyć. Tym razem odnieśliśmy pełne zwycięstwo. Król poniósł klęskę.

– A co potem, Ned? Nigdy nie skończyłeś terminowania. Nie mamy pieniędzy. Co potem?

– Coś wymyślę, kochanie.

Lucy pociąga nosem i odwraca się plecami do męża. Łuk jej ramion jest piękny. Ned ma ochotę ją pocałować, ale boi się, że się rozplacze.

„Zapytaj mnie o to, jak szukałem ciała wśród trupów. Zapytaj o to, jak odwracałem jednego po drugim tych zabitych chłopców. Zapytaj o robaki, szczury, wrony, muchy i wszystkie inne pasożyty, które żywią się martwymi ciałami chłopców”.

Z wahaniem, cicho, Ned pyta:

– Lucy, cieszysz się, że mnie widzisz, kochana?

– Oczywiście mężu. Cóż to za pytanie.

Przez chwilę leżą w milczeniu.

Ned, zagubiony w bezbrzeżnej samotności, szuka ciała Lucy. „Czy to wszystko?” – pyta swojego Boga, a potem z ulgą osuwa się w pożądanie, które zagłusza myśli. Czy to wszystko? Obcy sobie ludzie pojękujący w nocy.

ROZDZIAŁ 24

18 LIPCA 1645

Dwa dni później Anna i Hen oglądają pochód wziętych do niewoli żołnierzy armii królewskiej. Idą pod swoimi chorągwiami zwisającymi smętnie w ten bezwietrzny dzień – cóż za dziwaczna parodia defilady wojskowej. Ich dewizy brzmią jak policzek wymierzony pysze. Bóg ich nie ustrzegł, król nie okazał się zwycięski ani nie udowodnił swojej potęgi. Hen przygląda się twarzom uczestników marszu, nie śmiejąc odwrócić się z obawy, że mogłaby go przegapić. Za nią Anna nieruchomymi oczami wypatruje kuzyna. Hattie też przyszła. Masywna i nieruchoma pośród tłumu, z zaciętym wyrazem twarzy i rękami skrzyżowanymi na piersiach.

Hen próbuje wykrzyczeć imię Sama do przechodzących chłopców, ale jej głos ginie pośród szyderstw. Cały głód i strach mieszkańców City spływa na jeńców potokami żółci i wściekłości. Ściągają na siebie też pogardę, jaką mieszkańcy Londynu żywią wobec obcych, biednych głupców znajdujących darń, nie cegłę, prowincjuszy oszołomionych skalą miasta, ogromem jego nędzy i niebotycznym przepychem.

Niektórzy więźniowie odpowiadają na zaczepki, ale większość wlepia oczy w plecy mężczyzny z przodu. Maszerują, maszerują tak samo jak maszerowali z domu do zbiorowego grobu pod Naseby.

Śniło jej się, że odnajdzie brata, a bezsenne godziny między snami wypełniała modlitwami. „Ocal go, Boże. Ocal go. Ogrzej, nakarm i uczynić szczęśliwym”. Myśli o mapie w księgarni i wyobraża sobie inne rozpaczliwe modlitwy w całym kraju. Wszelkie wariacje tych samych słów wędrujące do nieba. Wyobraża sobie kakofonię błagań, której musi wysłuchiwać Wszechmocny. Być może w tym harmidrze nie jest w stanie odróżnić poszczególnych imion.

Czy królowa modli się za króla? Czy On wysłuchuje modlitw papistki? Czy patrzy na nas z góry tak, jak my oglądamy mrówki pod mikroskopem? Czy śmieje się z naszych błazeństw, nieustannej krzątaniny?

Takie myśli nawiedzają ją nocami, zapędzając w pułapkę bezsenności.

Ale sny są bezwartościowe. Nie ma go tu. Od wypatrywania bolą ją oczy, zatraca się

w litości nad tymi przegranymi w łachmanach, ich nieszczęściu promieniującemu z przygarbionych ciał. Hattie zniknęła na samym początku pochodu, mamrocząc coś pod nosem. Teraz wraca z koszem chleba i razem z Hen rzuca go w ręce przechodzących.

– Przestańcie, głupie gęsi! Przestańcie! – krzyczy mężczyzna z podwójnym podbródkiem i fioletowym nosem pijaka. – Nie karmcie tych sukinsynów. Wstydu nie macie?

Ludzie wokół mamroczą, przyznają mu rację i Hen czuje w brzuchu łaskotanie strachu. Hattie jednak nie przerywa rozdawania chleba. Anna robi krok naprzód i jej pomaga, mimo okrzyków mężczyzny.

– Jesteście równie głuche jak głupie? – inny gap przyłącza się do pierwszego, jeżąc się ze złości.

Rozwścieczona Hattie odwraca się w jego stronę.

– Ten człeczyna to twój fagas, ty przeklęty durniu? Z kołyski na głowę wypadłeś w dzieciństwie, czy co? Czy ci chłopcy nie zostali zmuszeni do walki tak samo jak nasi? Czy nie wyrwano ich z domów i nie rzucono w wir tej wojny jak zające ogarowi? Czy nasi chłopcy gdzieś nie są tak samo głodni, zmęczeni i spragnieni odrobiny życzliwości?

– Stul pysk, dziwko! – krzyczy pierwszy mężczyzna. – Znam cię, jesteś żoną rzeźnika. To są zdrajcy i dranie.

– Ja też cię znam, Jeremiahu Weeksie. Oto kapcan, panie, panowie! – Kobieta odwraca się ku tłumowi, który zgromadził się wokół. – Jaja jak pomarańcze, mówiono mi, ale fiut wielkości mojego palca.

Macha zgiętym palcem mężczyźnie przed nosem, rozśmieszając zebranych, a chwilę później opuszcza rękę.

– Tak, to kapcan. Musi płacić podwójnie za dodatkowy czas, żeby wynajęte przez niego dziwki zdążyły się wyśmiać.

Anna śmieje się na całe gardło, a stojąca obok niej Hen patrzy na mężczyznę, który zaczyna wrzeszczeć. Ale stracił już sympatię tłumowi i wie to, więc ucieka truchtem, wykrzykując przez ramię.

– Nie zapłaciłbym tobie ani pensa, dziwko!

– Wolałabym umrzeć z głodu, kapcanie!

Odwraca się do dziewcząt i spogląda na nie, jakby zapomniała o ich obecności.

– Wybaczcie mi mój język. Tak mnie rozwścieczył, że aż cała się trzęsę.

– Hattie – odzywa się Anna – uwielbiam cię!

Zarumieniona Hattie uśmiecha się. Ciągłe jeszcze trochę nieswojo się czuje przy swojej lokatorce i nowoprzybyłej. To są poprawnie wysławiające się, wykształcone dziewczęta. W innych czasach kłaniałyby się im, a Lucy wyraźnie obrusza się, że tego nie robi. Ale gdy nie mają grosza przy duszy i czasowo są uzależnione od jej dobroczynności, relacje między nimi ukształtowały się dziwnie i zupełnie na nowo. Na odwrotną.

Hen bierze Hattie pod wolną rękę.

– Byłaś wspaniała, Hattie. Jakby to była wina tych chłopców.

– Winny jest ten podejrzany skurczybyk, który nazywa siebie królem, Anno. O, przepraszam, pani Wells.

Anna wzrusza ramionami. Nosi obrączkę matki Henrietty i wymyśliła historię o zabitym kapitanie Wellsie, na wypadek, gdyby napar Hattie nie zadziałał. Krwawienie jeszcze się nie pojawiło. Nie doszło też do zmiany położenia płodu. Lucy musiała o tym opowiedzieć wszystkim wkoło, mimo usilnych próśb Henrietty. Anna została już potępiona w parafii jako słomiana wdowa.

Mijają żonę pastora, panią Pike, która pozdrawia je, ale ostentacyjnie ignoruje Annę. Pędzi na jakieś rzeczywiste albo wymyślone pilne spotkanie.

Hattie po chwili mówi głosem ściszym przez zakłopotanie:

– Pani Wells, muszę pani odradzić uczestniczenie w porannej mszy w kościele parafialnym. Ostrzeżono mnie, że nie zamierzają przyjąć pani do wspólnoty.

Hen wzdycha, ale Anna nie zatrzymuje się.

– Języki latają jak łopaty, pani Wells, cóż, tak to już jest. Kiedy świat staje na głowie, niektóre kobiety jeszcze bardziej dbają o moralność. Jakby to mogło pomóc przywrócić świat do dawnej pozycji.

– Och, Anno – odzywa się Hen.

– Ach, nic nie szkodzi, będę musiała się uniezależnić. Jest tak, jak mówi Hattie – świat stanął na głowie i skoro prezbiterianie nie chcą mnie u siebie, z pewnością znajdzie się sekta, która mnie przyjmie. Która? Baptyści? Reformowani baptyści? Kwakrzy? Socynianie? Latitudinarianie?

Hen uśmiecha się, ale nie może zmusić się do śmiechu. Z pewnością niektóre sprawy wykraczają poza pojmowanie kuzynki.

Hattie za to uśmiecha się szeroko i dodaje głosem naśladowującym śpiewną intonację Anny:

– Arminianie? Antytrinitarianie? Antynomaniści? Adamici?

Anna podejmuje grę:

– Browniści? Traskite sabatarianie?

Hattie milknie w zamyśleniu.

– Pokonała mnie pani, pani Wells.

Skręcają w Newgate Street.

– Mam jeszcze jedną – krzyczy Hattie, podskakując z ekscytacji – Grindletonianiści.

– Wymyśliłaś tę nazwę – protestuje Hen.

– Wcale nie. Jest taka para, która przybyła tu z północy po tym, jak ludzie króla spalili ich gospodarstwo. Głoszą kazania w okolicach Three Tuns. Zgromadzili całkiem spory tłumek.

– W co wierzą?

– Boże – odpowiada Hattie – można się pogubić. Dzwoni mi w uszach, kiedy zaczynam myśleć o tych sprawach. Są przeciwni ustanawianiu Kościoła

i sakramentów, jak większość kongregacjonalistów. Sądzą, że duch Boży i Pismo Święte mogą doprowadzić człowieka do osiągnięcia doskonałości.

– A więc są antynomistami.

– Naprawdę? Boże.

Skrecają do zamkniętego sklepu Hattie i idą na jego tył, gdzie na ogniu gotuje się rosół, a Jenny, służąca, zamiata. Hattie nalewa obu dziewczynom pełne miski, a one łąpczywie biorą się do jedzenia.

– Tak czy inaczej, Anno – mówi Hen – nie możesz wybierać sobie wiary w taki sposób.

– Nie? Co więc mam zrobić?

– Musisz modlić się, rozmyślać i słuchać wskazówek Boga.

– A co, jeśli nie będą umiała go usłyszeć? Nie mogę po prostu wybrać sobie sekty, która da mi największą szansę zbawienia, mimo wielkiego grzechu, jaki popełniłam?

– Nie!

– Dlaczego?

To pytanie zbija Hen z tropu. Szuka argumentów na poparcie swojego stanowiska. Hattie im przerywa.

– Widziałyście informacje o liście od Cromwella zlekceważonym przez parlamentarzystów? W liście tym, zanim został ocenzurowany, wzywał do przyznania żołnierzom wolności religijnej. Skoro mieliby ją dostać żołnierze, to dlaczego nie my? Tak mówi Mary Overton. Znasz ją, Hen? Jej mąż był podżegaczem, zanim tego zabroniono.

Hen przytakuje. Widziała Overtonów i słyszała, jak sąsiedzi sarkali przeciwko nim.

– Ned uważa Cromwella za wielkiego człowieka – mówi. – Twierdzi, że armia aż kipi od niezależnej myśli, a prezbiterianie nigdy nie zdołają powstrzymać tego niekontrolowanego przypływu wiary.

– No dobrze, Hen – odzywa się Anna. – Ty jesteś tu tą mądrą. Powiedzmy, że możesz wybrać. Co by ci podpowiedziała twoja mądra głowa?

– Gdybym sama mogła wybierać, zostałabym baptystką.

– Arminiańską czy reformowaną?

– Arminiańską, choć Ned wyrzekłby się mnie z tego powodu. Zbawienie dzięki dobrym uczynom – nie predestynowany podział na wybranych i potępionych. Ale to nie jest mój wybór, lecz Stworzyciela.

– Ale skąd mamy wiedzieć, jaki był jego wybór? – pyta Hattie.

– Rozbolała mnie głowa – mówi Anna. – Za dużo rozprawiania o doktrynie, jak dla mnie.

Przechodzi przez pokój, kierując się w stronę schodów. Bez wątpienia, żeby się położyć. Hattie mówi, że ciężarne kobiety potrzebują więcej snu, ale Hen podejrzewa, że nieustanna senność kuzynki jest wymówką, żeby się nią zajmowano. Kolejna gęba do wykarmienia, kolejne ciało do ogrzania.

Kiedy zostają same, Hattie odzywa się:

– Przykro mi, że nie odnalazłaś brata, Henrietto.

– Wiem. Ale Ned mówił, że szukał wśród jeńców, nie spodziewałam się więc tego.

– A jednak miałaś nadzieję?

– Tak.

Hattie nalewa jej jeszcze rosółu, nie zwracając uwagi na podziękowania Hen.

– Czy wspominałam ci, jak na początku tego wszystkiego próbowaliśmy protestować przeciwko wojnie? Przygotowałyśmy – kobiety z pobliskich parafii – petycję i udałyśmy się do parlamentu. Zrobiłyśmy to z pokorą. Jesteśmy tylko ubogimi kobietami, taka gadanina, ale ty jesteś taka mądra. Na tym polega problem z mężczyznami, kochana. Trzeba najpierw napaść ich jak wieprze przed świniobiciem. A potem zadawać pytania. Oczywiście nie zwrócili na nas najmniejszej uwagi. Zajęci byli łamaniem swoich szabl, kutasy. Tak więc świat się zmienił i teraz możemy mówić i myśleć, co nam się podoba. Kobiety głoszą kazania, a reszta może robić, co chce i kierować sprawami wedle własnego uznania. Ale jest tak tylko dlatego, że połowa tych sukinsynów wyjechała na wojnę, a druga połowa szuka swojej drogi.

– Rozumiem, co masz na myśli, Hattie. Ale żaden z tych u góry nie jest wart mojego ojca, Sama ani Neda. Jeden nie żyje, drugi zaginął, a trzeci... – pozostawia zdanie niedokończone.

– To prawda. Nie dbam o to, czy mój żołnierz wróci do domu. Porzucił mnie dla picia przed końcem miesiąca miodowego. To idzie mu prosto do łba, który całkiem mu nasiąkł gorzałką.

Hen patrzy na Hattie poprawiającą drwa w kominku, na jej zręczne dłonie i szerokie ramiona. Stara się wyobrazić ją sobie w innej roli niż samotnej kobiety prowadzącej własny sklep i wspomagającej sąsiadki radą i wiedzą zielarki. „Ona pewnie stara się wyobrazić sobie mnie jako rozpieszczoną córeczkę bogatego kupca. A przecież tym też jestem” – myśli. „Być może jesteśmy jak galareta, potrafimy dostosować się do różnych form”.

ROZDZIAŁ 25

PAŹDZIERNIK 1645

W ten jesienny, promiennie-złoty dzień Hen wraca przez City do domu z dziedzińca katedry św. Pawła i ma ochotę skakać jak dziewczynka. Chłód szczypie ją w policzki i dłonie, a ona kipi ze szczęścia. Niskie słońce pokrywa złotem budynki, jakby otaczając miasto aureolą. Bóg jest dobry. Bóg jest dobry.

W kieszeni ma wypłatę, a pan Rowan dał jej pół dnia wolnego. Pod pachą trzyma książkę, którą chciała wziąć do domu. Znalazła ją w magazynie: *Hrabina Montgomeries z Uranii* autorstwa lady Mary Worth. Długo wpatrywała się w nazwisko na stronie tytułowej. Lady Mary Worth. Kobieta! Na jednej ze stron ktoś napisał ze złością rozlewającym się atramentem i mocno przyciskając, jakby z wściekłości drapał igłą: „Nikczemny HERMAFRODYTA. Zostaw w spokoju jałowe książki, bo mądrzejsze i więcej warte kobiety nie napisały ŻADNEJ”.

Myśli o tych zdaniach przed włożeniem książki do skrytki, żeby później zabrać ją do domu. Nie ukraść. Tylko pożyczyć.

Przybądź o najciemniejsza nocy, stań się najwspanialszym smutkiem

Światłość, pozostaw światłość, bardziej promiennej duszy.

Książka zapowiadała cierpienie i odrzuconą miłość. Jakaż to radość. Poczyta ją Annie. Biednej, grubej, rozdrażnionej Annie, cierpiącej z powodu palących zgag i bezsennych nocy. Brzuch Anny staje się coraz większy, rośnie i pulsuje życiem mimo wszelkich jej starań. Wypiła napar, który spowodował, że jej ciało rzygało oboma końcami. Hattie nazywała to „dogłębnym pierdnięciem”, co wywoływało uśmiech u Anny, mimo że nurkowała głową w nocniku. Skakała po ścianach i stawała na głowie. Błagała Hattie, żeby użyła igły, ale ostatecznie pogodziła się z jej odmową. „To zbyt niebezpieczne dla matki” – stwierdziła kobieta. Aż w końcu Anna nauczyła się akceptować to życie wewnątrz niej, a nawet z przyjemnością przewidywać jego gwałtowne kopnięcia. Teraz jego harce w brzuchu dobiegają końca i zaczyna domagać się wyjścia na zewnątrz.

Lady Mary Worth odwróci jej uwagę od zbliżających się wydarzeń. Niech Bóg ją

chroni.

– Panno Challoner!

Zatrzymuje się, mrużąc oczy w słabym, zimowym już słońcu.

– Pan Chettle!

Oboje zaczynają mówić równocześnie. Chettle dobrze wygląda. Ma ciemny, dobrze skrojony garnitur i wydaje się zdrowy, a nawet przystojny. Ma zaróżowione policzki, bez wątpienia z zimna.

– Mam się bardzo dobrze, dziękuję – odpowiada, jękając się.

– A pani bracia, jak się miewają?

– Ned jest teraz kapitanem. A o Samie po raz ostatni słyszeliśmy pod Naseby.

Całe szczęście, którym tak umiejętnie gospodarowała, wyciekło w jednej chwili.

– Proszę mi wybaczyć – mówi Chettle. – Niewinne pytania w tych czasach często wywołują ból. Czy mogę panią odprowadzić?

Hen nagle ze wstydem myśli o swoim mieszkanku nad rzeźnikiem. Zaczyna wymawiać się, ale po chwili dochodzi do wniosku: „Do diabła z moimi kłamstwami. Jestem w miejscu, w którym jestem”.

– Tak, dziękuję. Idę do domu.

Zawracają i idą razem.

– Miło spędziła pani rano, panno Challoner?

– Byłam w pracy.

– W pracy?! – Zatrzymuje się z utkwionym w nią wzrokiem.

– Przepraszam, panie Chettle, czy ja pana wystraszyłam? Tak, w pracy. To pomaga kupić jedzenie, chyba. Użyteczne jest też przy opłacaniu czynszu.

– Cóż, no tak, ja... – milknie i ponownie ruszają w drogę.

– Wie pan, że własność mojego ojca została zarekwirowana. A Komitet, w którym jest pan sekretarzem, okropnie spóźnia się z wypłacaniem żołdu. Ned nie jest w stanie sam utrzymać mnie, swojej żony i babki.

Chettle wymamrotał coś niezrozumiałego.

Hen myśli o Annie i zaczyna bawić się całą sytuacją. Ależ będzie z tego opowieść, kiedy wróci do domu.

– Pracuję w księgarni. Jeszcze tylko jeden rodzaj kariery jest przewidziany dla kobiet. Ale chyba zaryzykuję zacięcia papierem, wolę nie kusić francuskiej choroby. Dość lubię swój nos.

– Panno Challoner!

– Drogi panie Chettle, przykro mi. Czy ma pan inny pomysł na to, jak mogłabym zarabiać na utrzymanie?

– Godne szacunku kobiety... – zaczyna, ale milknie.

– ...mają pełną sakiewkę. Cóż, ja nie mam.

– Przykro mi, panno Challoner.

– O dziwo, mnie chyba nie – odpowiada.

„A teraz – myśli – scena końcowa”.

– Oto jesteśmy – oznajmia.

– To tu? – mężczyzna spogląda na sklep.

Hattie, która siedzi na schodach i radośnie skubie kurczaka z piór, przerywa na chwilę zajęcie, żeby pomachać do Hen. Ptak ma poderżnięte gardło, a jego głowa kołysze się w przód i w tył na kawałku skóry. U stóp kobiety zebrała się kałuża krwi, a na jej twarzy widnieje czerwona smuga.

Henrietta wskazuje górne piętra, które chwiejnie wznoszą się nad cuchnącą uliczką. Miejsce wydaje się tanie i brudne.

– No cóż, panie Chettle, bardzo dziękuję za odprowadzenie mnie do domu. Do widzenia – żegna się.

Przesadą byłoby usiąść i zabrać się z Hattie do skubania kurcząt. Tego byłoby za wiele. Przechodzi obok swojej gospodyni, w stronę schodów z tyłu sklepu, pozostawiając Chettle'a gapiącego się na nią jak sroka w gnat.

*

Ostatnie dni babci zbliżają się. Dzień wcześniej szalała. Demony tańczyły w jej głowie, a piekło ją wołało. Babka czepiała się rąk wnuczki, bełkocząc ze strachu.

– Idzie po mnie. Idzie. Tańczy, a oni są nadzy, jego słudzy – dziecko – i chcą mnie. Będą palili moje ciało, smażyli mnie, przypiekali i dusili we wrzątku. Opiekali na ruszcie, polewali moją własną krwią. Henrietto. Nadchodzą. Och, nadchodzą.

Lucy i Anna porzuciły swoje sprzeczki, żeby pomóc. Przynoszą ciepłą wodę na kąpiel. Zbierają brudną pościel i wrzucają ją do kotła razem z przerażeniem starej kobiety, od tak dawna przewidującej trafienie do piekieł.

Jest tak, jakby staruszka wisiała uczepiona palcami urwiska, a ognie z otchłani lizały jej spódnice. Wydaje jej się to tak rzeczywiste, a jej strach jest tak ogromny i namacalny, że dziewczęta niemal czują zapach dymu i słyszą syk płomieni.

Przeniosły babcię z zajmowanej przez nią wnęki i otoczyły troskliwą opieką. Leży drobniutka, wstrząsana dreszczami w najlepszym łóżku. Ogromne oczy patrzą z pokrytej zmarszczkami twarzy. Wreszcie, gdzieś około drugiej w nocy, zapada w ostatni sen. Henrietta kładzie się obok niej. Obejmuje wklęsłą talię babki i czuje wstrząs z powodu upływu czasu. Jakie to dziwne być uspakajającą, a nie uspokajaną. Jakie bezgranicznie smutne, pieścić i uciszać babcię jak dziecko. „Cicho, kochana. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze”.

„Jakież kłamstwa opowiadamy tym, których kochamy najbardziej” – myśli Hen w tę długą ciemną noc.

Rano pojawia się Hattie, konkretna i cudowna. Jej szeroka, rumiana twarz jest gładka, błyszcząca i piękna dla Hen, która przez wiele godzin patrzyła na ból i strach przemykające po zniszczonej twarzy babci. Z tyłu stoi Claire Baker, sąsiadka i sprytna kobieta. Jest starsza od Hattie, ma siwe włosy. Jej twarz jest dziwnie gładka, niemal bez zmarszczek. Wita się z Henriettą skinięciem głowy i szybko

przechodzi przez pokój. Pochyliła się, żeby posłuchać oddechu staruszki. Babka lekko się rusza i coś mamrocze.

– Z życia do śmierci – stwierdza łagodnie Claire. – Wkrótce odejdzie. Prosto w Jego ramiona. Chodź no tu, dziecko. Nie czas na łzy. Wreszcie znajdzie się w Jego ramionach.

– Ona tak nie myśli – mówi Hen, szlochając. – Myśli, że czeka na nią szatan. Uważa, że jest potępiona.

– Pomodlimy się za nią, dziecko?

Klękają, ale przed rozpoczęciem modlitwy Claire bierze Henriettę za rękę i mówi:

– W czasach naszych ojców wierzono, że modlitwy mają moc wstawienniczą, mogą pomóc zagubionym duszom odnaleźć światło. Dziś wiemy, że to tylko przesąd, nadzieja triumfująca nad Pismem Świętym. Ale możemy pomodlić się, żeby jej ścieżka była spokojna, a przewidywania nieprawdziwe.

W momencie rozpoczęcia modłów Hen słyszy dobiegający z łóżka jęk. Wstaje, żeby uspokoić babcię, ale jest za późno. Odeszła.

*

Hattie stoi niespokojnie w drzwiach.

– Gość do panienki Challoner – informuje.

Z tyłu stoi jakaś wspaniale ubrana postać. Jedwab szeleści, kiedy mężczyzna wchodzi do pokoju, pióra na kapeluszu powiewają, gdy odkrywa głowę. Jego twarz okalają kędziory, a wąs jest kunsztownie zakręcony.

– Panna Challoner – mówi nieznajomy, kłaniając się. Tego głosu nie można pomylić z niczym innym.

– Kociołek! – woła Henrietta, a Lucy podnosi głowę znad robótki, słysząc okrzyk.

Przygląda się gościowi z góry do dołu i ostatecznie stwierdza, że jest wart zaniechania robótki i dygnięcia.

– Proszę mi wybaczyć – mamrocze Hen, widząc wyraz jego twarzy. – To z zaskoczenia. Michael Chadwick, były czeladnik mojego ojca, Lucy Challoner, żona mojego brata, Neda.

Mężczyzna robi krok wprzód, a ona nie może wyjść ze zdumienia, jak bardzo się zmienił. Nadal jest niski, ale szczuplejszy i mniej toporny. Z pewnością siebie i galanterią składa ukłon przed Lucy, a ona uśmiecha się niemądrze i zachwycona szczebiocze. Gość odwraca się do Hen.

– Cóż, panno Challoner, jakież ma pani uroczę towarzystwo, nawet jeśli warunki życia wydają się mniej przyjemne niż kiedy widzieliśmy się po raz ostatni.

Lucy uroczę oblewa się rumieńcem, a Hen skłania głowę.

Hattie zagląda zza drzwi, zahipnotyzowana ostentacyjnym przepychem stroju Kociołka.

– Hattie – mówi Hen, prostując się i rumieniąc – mogłabyś przysłać Jenny z piwem

i tymi ciasteczkami kminkowymi, które wczoraj upiekła?

Zmieszana Hattie bez słowa przytakuje ruchem głowy i znika.

– Panno Challoner, cieszę się, że panią odnalazłem – mówi Kociołek i siada niezgrabnie na krześle.

Hen błogosławi w myślach Jenny za to, że rano zajrzała do ich mieszkanek. Trzy kobiety w dwóch pokojach sprawiają, że życie toczy się na granicy chaosu. Kufer, na którym przysiadła, pęka w szwach, wieko podnosi się przy każdym jej ruchu.

– Miałem sprawę do załatwienia w Komitecie i pan Chettle wspomniał mi, że panią spotkał.

Przytakuje, ale czuje się dziwnie, jakby nie mogła wykrztusić słowa. Zmiana ich wzajemnych relacji jest dezorientująca, a nawet przyprawia o zawrót głowy.

– A cóż to są za sprawy, panie Chadwick? – pyta Lucy.

– Zaopatrzenie, proszę pani. Kiedy wojna przerwała moje terminowanie u drogiego pana Challonera, wróciłem do domu. W rodzinnej firmie wcześniej było miejsce tylko dla jednego syna, ale wraz z wojną pojawiły się większe możliwości.

– Widać, że dobrze się panu powodzi – odzywa się Hen.

– To prawda. Mój ojciec kilka lat temu otrzymał monopol na dostawę kul armatnich, wcześniej było wysokie zapotrzebowanie na działa. Teraz, oczywiście, popyt też nie stanowi problemu...

– Jakież to szczęście – woła Lucy, klaszcząc w ręce.

– W istocie, proszę pani. Zaopatrujemy obie strony konfliktu. Kule armatnie, naboje, granaty. Czymkolwiek broń strzela, my to mamy.

– Musi być pan niesłychanie z siebie dumny – zauważa Hen.

– Nie przeczę.

– Słyszał pan o Kołku, prawda?

Kociołek potwierdza kiwnięciem głowy.

– Tak, niestety. Zbyt wielu porządnych ludzi zginęło przez to zamieszanie.

– Myśli pan, że mogła przyczynić się do tego jedna z pańskich kul?

– Dlaczego panienka mi dokucza?

Hen wybucha wymuszonym śmiechem.

– Proszę mi wybaczyć, panie Chadwick, odzwyczaiłam się do kulturalnego towarzystwa.

– Zapewniam pana, że mnie nie miała na myśli – mówi Lucy, śmiejąc się perliście. – Nasza Henrietta bywa nieznośnie surowa.

– Pamiętam to z dawnych czasów.

Prowadzą uprzejmą pogawędkę. Owszem, to zamieszanie jest już męczące. Owszem, król z pewnością został pokonany. Jeden Bóg wie, jakie będą warunki pokojowe. Oby przyniósł uspokojenie cen pszenicy i spadek cen słoju.

„Czemu tu przyszedłeś? Dlaczego właśnie teraz” – zastanawia się Hen.

Wreszcie gość wykonuje ruch.

– Pani Challoner – zwraca się do Lucy – muszę panią prosić o przysługę. Chciałbym

przez chwilę porozmawiać z pani szwagierką na osobności, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Lucy ma, Hen może od razu to powiedzieć. Ukrywa urazę za pokazem kokieterii i wybiega do swojego pokoju. Gdy tylko zamyka drzwi, Kociołek podchodzi bliżej do Henrietty.

– Cieszę się, że wreszcie panienkę odnalazłem, panno Challoner. Mogę zwracać się do ciebie Henrietto? Szukałem cię. A kiedy pan Chettle powiedział mi o twoim nieszczęściu, o nieszczęśliwych okolicznościach... Cóż, przyjechałem najszybciej, jak było to możliwe.

Przysuwa się jeszcze bliżej i Hen rozpoznaje pod jego fircykowatą powierzchownością chłopaka, którego niegdyś znała

– Od tak dawna, panno Challoner, Henrietto, zachwycam się tobą. A teraz mam niewielki majątek, a ty jesteś tylko ubogą kobietą, żyjącą, proszę mi wybaczyć, w taki sposób. – Szerokim gestem wskazuje pokój. – Pomyślałem, że być może... – milknie niepewny.

– Panie Chadwick, czy proponuje mi pan małżeństwo?

W momencie wypowiedzenia tych słów wie, że popełniła straszny błąd. Mężczyzna oblewa się niemal purpurowym rumieńcem i próbuje wykrztusić słowo. Pierwsza próba kończy się odchrząknięciem i kaszlem, wreszcie jednak udaje mu się wydusić z siebie:

– Niedokładnie, Henrietto. Musisz zrozumieć moją sytuację. Może coś mniej formalnego, układ oparty na wzajemnej korzyści?

Hen wymierza mu policzek. Mocny, ostry, zdecydowany. Jego głowa odchyła się w tył, a z ust pada pełne zdumienia „Och!”. Stoi w milczeniu, patrząc na nią.

– A pan musi zrozumieć moją sytuację, panie Chadwick.

Mężczyźnie zajmuje chwilę pozbieranie się. Wypina pierś jak kogut bojowy.

– Wybacz, Henrietto. Myślałem, że mieszkanie z dziwkami jest wystarczająco złe. Widzę jednak, że awanturujesz się tak jak one.

– Wyjdź. Natychmiast.

– Poczekaj – mówi i odwraca się, żeby poszukać czegoś w torbie, którą przyniósł ze sobą. – Z jeszcze jednego powodu szukałem cię, choć nie zasługujesz na ani trochę więcej względów. Proszę – wyciąga drewniane pudełko – prezent od kogoś, kto martwi się o twoje bezpieczeństwo.

Hen otwiera skrzynkę. Wewnątrz znajduje się para pistoletów z długimi, połyskującymi lufami i z kunsztownie zdobionymi rękojeściami.

– Najlepsze, jakie produkujemy, wyposażone w najnowszy zamek skałkowy, a dorzuciłem jeszcze naboje.

– Są piękne – mówi Hen.

Po chwili zauważa list wsunięty za pistolety, biały papier odcina się od zielonego płótna, którym wyłożona jest kasetka. Charakter pisma działa na nią jak cios.

– Żegnaj więc – rzuca Kociołek i opuszcza pokój, nie zwracając uwagi na prośby,

żeby został.

– Wszystko jest w liście! – krzyczy, zbiegając po schodach.

Hattie wchodzi w pokoju chwilę po jego wyjściu. Wygląda, że na to czekała.

– Och, kochane dziecko! – woła od drzwi, widząc strumienie łez na twarzy Hen. – Kochanie, co się stało? Czy kapitan Obrażalski zrobił ci przykrość?

– Hattie – odpowiada Hen. – Nie o niego chodzi.

Macha listem. Płacze ciężkimi, gorącymi łzami, które spływają jej do gardła, utrudniając mówienie.

– To od Sama. Sama! Hattie, on żyje!

ROZDZIAŁ 26

LISTOPAD 1645

Ned kładzie na biurku kopię listu Sama, którą Hen dołączyła do swojego. Jego okna wychodzą na Wine Street i wejście do wartowni. Drewniany kozioł jest gotowy i bristolski motłoch oraz żołnierze zbierają się, by uczestniczyć w wymierzeniu kary. Dla nich to doskonałe widowisko. A jednak ten tchórz na to zasłużył. Fairfax obiecał wojsku żołd za dwa tygodnie, jeśli nie splądrują miasta po zajęciu Bristolu. Jednakże David Curtis, znudzony nocną służbą w garnizonie, zignorował rozkaz generała i rozpoczął szaleństwo łupieży. Tylko wtedy uda nam się z tym skończyć, gdy okiełznamy grabieże i plądrowanie.

Musi wyjść, żeby pokierować wymierzaniem kary. Będzie miał później wystarczająco dużo czasu, żeby zastanowić się nad listem Sama. „Żyje! Dzięki Bogu. Ale jeszcze nie został uratowany. Był w Bristolu. Dziwne, że się nie spotkaliśmy, kiedy pokonane oddziały Ruperta opuszczały miasto” – myśli Ned. „To opatrność. Bóg ustrzegł moje kule przed zranieniem go. To opatrność”.

Czyta jeszcze raz ostatnią stronę listu.

A więc jesteśmy tu, bezczynni i znudzeni, w Woodstock Castle, czekamy, czy parlament pozwoli nam bezpiecznie udać się do Niderlandów. Członkowie parlamentu zaproponowali to księżętom Rupertowi i Maurycemu, jeśli przysięgną, że nie będą już służyli królowi, jednak choć lojalność władcy w stosunku do nich jest słaba, oni niewzruszenie przy nim trwają i nie mogą zgodzić się na tę ofertę. Wiemy jednak – nawet jeśli król nie dopuszcza tego do siebie – że przegraliśmy tę wojnę. Trzeba w końcu wypracować warunki zawarcia pokoju.

Pójdę za Rupertem tam, dokąd mnie poprowadzi. Jestem teraz żołnierzem, najdroższa Hen. Nie mam innego powołania. Mój księżę nawet w połowie nie jest taki straszny jak go malują. W istocie jego prowadzeniu się nie można nic zarzucić. Przesyłam ci całą swoją miłość. Miałem klacz, którą kochałem. Ale zginęła.

Twój kochający brat,

Sam

Wszystkie gazet huczały od wiadomości o kłótni króla z siostrzeńcem. Władca winił Ruperta za poddanie Bristolu.

Ned nie jest wielbicielem księcia, a jednak ujęło go zachowanie Ruperta. Dokonano wyłomu w zewnętrznych murach miasta, mieszkańcy byli przerażeni, a jego ludzie przygotowywali się na śmierć, kiedy książę zdecydował się zaufać ciężko zapracowanej przez Fairfaxa reputacji, głoszącej, iż jest litościwy i godny zaufania. Wierzył, że ten mało znaczący człowieczek – król – pomyśli o swoich ludziach i wykorzystanych mieszkańcach Bristolu, rzuconych na stracenie dla przegranej już sprawy. Mówi się, że król jest niewolnikiem swojego doradcy Digby’ego, który nienawidzi młodego księcia i sączy truciznę do ucha jego wuja. „Co jest nie tak z tym człowiekiem – zastanawia się Ned – że nieustannie wpada w ręce doradców uważanych przez wszystkich innych za głupców albo łajdaków?”

„Czy Sam brał udział z Rupertem w tej szaleńczej gonitwie po kraju w poszukiwaniu króla, żeby po znalezieniu go przedstawić mu swoją wersję wydarzeń?” – zastanawia się Ned. Tak można przypuszczać, skoro teraz mu towarzyszy. Doszło do połowicznego zbliżenia między królem i jego siostrzeńcem. Karol ponownie dał dowód, że nie jest godny zaufania. Ned myśli o dokumentach zdobytych pod Naseby, które dowodzą, że król negocjował sprowadzenie wojsk papistów z zagranicy. Chciał wezwać je z dwóch stron, żeby ścisnąć nieszczęsną protestancką Anglię w kleszczach między papistowskimi dzikusami z bagien a płacziwymi Francuzami.

Ned wstaje i wygładza kurtkę, wkłada kapelusz i prostuje się. Dziękuje Bogu, że musiał tylko walczyć podczas tych ostatnich niby-bitew, a nie negocjować warunki pokoju z ludźmi Karola, kłamiącymi jak tanie kurwy i wijącymi się jak robaki.

Wychodzi na zewnątrz, na lodowate powietrze. Werble zapowiadają wymierzenie kary i złoczyńcę poprowadzono przodem. Jest młody i ma bezmyślny wyraz twarzy, obwisłe wargi i długie, niezgrabne kończyny. Kozioł czeka ustawiony na prowizorycznym postumencie. Wygląda jak drewniany konik dla dzieci, poza tym, że na jego grzbiecie widnieją zastrzone kolce. Curtis zostaje podprowadzony do kozła i zmuszony, żeby na nim usiadł. Jego kumple musieli przeszmuuglować dla niego jakiś alkohol, Ned domyśla się tego po zwisającej beładnie głowie i słabych oznakach strachu, który powinien go zżerać. Kiedy jednak siada na narzędziu tortur, ból dociera do jego zamroczonego umysłu.

Ned czyta artykuły prawa wojennego dotyczące kradzieży uroczystym, dźwięcznym tonem, który zwykle zachowuje na czytanie niedzielne. Jego głos miesza się z coraz głośniejszymi jękami skazańca. Na jego znak sierżant Brakes podchodzi z dwoma kapralami i do każdej kostki mężczyzny przywiązuje ciężkie muszkiety.

Złoczyńca wyrwa się i miota w kajdanach krępujących mu ręce na plecach. Jego ruchy sprawiają, że tortura staje się bardziej bolesna, ale znoszenie bólu w bezruchu jest niemożliwe. „Biedny głupiec” – myśli Ned. Ludzie za nim zaczynają szemrać.

Uważają, że skazaniec ma już dość. Z jego jąder przeoranych kolcami zostały tylko strzępy skóry i przez tydzień będzie srał krwią.

Ned nie zwraca uwagi na ich mamrotanie, choć wrzaski skazańca wzbijają się w powietrze. „Siódme przykazanie mówi *Nie kradnij. Nie kradnij. Nie kradnij*. O Boże, daj mi siłę. Boże, pomóż mi kroczyć twoją ścieżką”. I nagle pojawia się nowa, silna i niespodziewana myśl: „Chcę mieć dziecko. Dziecko”.

*

Hattie trzyma obrączkę na żyłce nad wydatnym brzuchem Anny.

– Dziewczynka – mówi. – Biedny berbec.

Anna naciąga ubranie, drżąc w listopadowym chłodziu. Naciąga kołdrę na brzuch, upychając ją pod spód i wygładzając materiał na wierzchu.

– Chłodno dziś – zauważa.

– Tak, dziecko. Ale musimy oszczędzać węgiel. Żeby zapewnić berbeciowi ciepło, kiedy się urodzi. Rozgrzejmy się plotkami.

Z kąta przy oknie odzywa się Lucy:

– Kiedy się urodzi?

– Już tylko kilka tygodni – mówi Hattie, a Anna się krzywi.

Lucy znów pochyla głowę nad robótką.

Henrietta wchodzi i nurkuje pod kołdrę obok kuzynki, po czym kładzie przemarznięte dłonie na jej brzuchu.

– Och, czuję zimno nawet przez ubranie, ty jędzo!

– Cóż, skoro leżysz sobie tu pod kołdrą, podczas gdy ja pracuję. O, czuję, jak się rusza.

Dziecko kopie i obraca się pod dłońmi Hen. Życie wewnątrz życia – cud nad cudami.

Anna krzywi się.

– Też je czuję.

– To jest ona – mówi Hattie. – Zobacz na sposób, w jaki je nosi.

– Po prostu chcesz, żeby to była dziewczynka – oponuje Hen.

– Oczywiście, że chcę. Jestem tylko głupią prostytutką. Któż by nie chciał wychowywać ślicznej dziewczynki?

Hen czuje, że ręce zaczynają się jej rozgrzewać, a odtajane palce wracają do życia.

– Hat, widziałaś dzisiaj matkę Wilkes?

– Nie. Muszę zanieść jej coś do jedzenia. W przeciwnym razie zagłodzi się na śmierć, biedaczyna. Straciła wszystkich trzech synów na wojnie, ostatnio najmłodszego podczas próby powstrzymania ataku pikinierów. Myślę, że się załamała. Widziałam się z Goody Simmonds.

– Położną? – pyta Anna.

– Tak.

Hattie milknie, owija kosmyk włosów wokół palca. Hen nauczyła się już, co znaczy ten gest – zakłopotanie i zmieszanie.

Dziewczęta patrzą na nią wyczekująco. W końcu kobieta podejmuje temat.

– Rozmawialiśmy hipotetycznie. Powiedziała, że pastor wywiera na nią naciski w sprawie pomocy przy narodzinach bękartów. Że jej licencja zależy od duchownego i potrzebuje jego życzliwości. A także, że będzie musiała w czasie porodu ostrzej przesłuchiwać niezamężne matki.

– To dzięki Lucy – mówi Anna, cedząc słowa – znalazłam się w tej sytuacji, gdy podważa się moje słowa i dobre imię.

– Nie bez powodu, pani Wells – odcina się Lucy.

– Starczy już tego – wtrąca się Hattie. – Goody Barker jest moją bliską przyjaciółką, plotkowałyśmy o wielu narodzinach w tej parafii. Mówi, że jeśli młoda dama chce uniknąć takich pytań w czasie porodu, jest pewne miejsce, do którego powinna się udać. Wymieniła pewien dom na Stepney, gdzie nikt o nic nie pyta.

– A co mi grozi, jeśli zostanę oficjalnie zdemaskowana?

– W najlepszym razie chłosta. Odnalezienie ojca i zmuszenie go do zapłaty grzywny.

Anna prychnęła.

– Przecież on najpewniej nie żyje. Cóż, Lucy. Dziękuję ci. Zastanawiam się, czy powiedzieć Nedowi o naporze, który wypijasz każdego ranka. Czy on wie, że wypłukujesz jego nasienie?

– Nic takiego nie robię!

Lucy wstaje i podchodzi do okna, wachlując się jedną ręką, w drugiej trzyma robótkę. Hen spogląda na bratową. Ta kobieta jest niezgłębiona. Gdyby Ned był tutaj, wybuchłaby płaczem w odpowiedzi na zarzuty. Jest twarda jak kamień, a jednak udaje delikatną. „Ckliwa” – ojciec użyłby tego określenia. Tymczasem Anna, niech Bóg ma ją w opiece, jest krucha jak muszelka, kiedy ludzie na nią patrzą.

– Ty mogłabyś odebrać dziecko, Hattie – mówi Hen. – Anna zostałaby tutaj, z ludźmi, którzy ją kochają.

– Owszem, jeśli nie będzie komplikacji i przy pomocy bardziej doświadczonych koleżanek. Na przykład Claire Baker. I Mary Overton. Poznałaś ją, Hen? Mieszka po drugiej stronie, w domu z zielonymi drzwiami. Ma kilkoro dzieci i, co najważniejsze, wcale nie boi się żony pastora. Jej mąż jest zaprzyjaźniony z Johnem Lilburnem. Zyskała sławę na froncie agitacji dotyczącej wolności sumienia i wyznania. No, wicie.

– O ile tylko nie będzie wygłaszała kazań podczas porodu – odzywa się Anna – ta Mary Overton wydaje się idealna. Wygląda więc na to, że Hattie przyjmie poród?

Kobieta odgarnia włosy z twarzy i zaczyna nerwowo chodzić po pokoju.

– Rozumiesz ryzyko, Anno. Umiem pomóc oprosić się maciorze, to pewne. Ale asystować przy narodzinach dziecka? Jeśli pojawią się jakiegokolwiek kłopoty, będziemy musiały wezwać akuszerkę. A pierwszy poród może być trudny.

Przez okno dobiegają okrzyki. Hattie przechodzi przez pokój, żeby wyrzucić na ulicę.

– To Stary Joe – mówi.

Hen słyszy uderzenia jego drewnianej nogi o bruk. Głos mężczyzny niesie się w lodowatym powietrzu:

– I ty zostaniesz potępiony. I ty zostaniesz potępiony. „I ujrzałem wychodzące z paszczy Smoka i paszczy Bestii, i ust Fałszywego Proroka trzy duchy nieczyste jak ropuchy”^[21]. A nosiły imię Karol, Rupert i Laud! I ty zostaniesz potępiony. I ty zostaniesz potępiony. „Potem usłyszałem donośny głos ze świątyni, mówiący do siedmiu aniołów: Idźcie i wylejcie siedem czar gniewu na ziemię!”^[22].

Anna przewraca oczami.

– Bądź miła – odzywa się Hen. – Dostał pomieszania zmysłów pod Newark.

– Londynie, jesteś Niniwą! Niniwą! Niniwą! „Biada miastu krwawemu, całe kłamliwe i grabieży pełne, a nie ustaje rabunek. Skutkiem mnóstwa nierządów ladacznicy pełnej wdzięku, władczyni czarów, która uwodzi narody swymi nierządami, a plemiona swoimi czarami. Oto ja przeciw tobie! – Wyrocznia Pana Zastępów! – i podniosę twe szaty na oblicze twoje, i ukażę narodom twą nagość, a królestwom twoją sromotę. I rzucę na ciebie obrzydliwości, i zelżę ciebie, i wystawię cię na widowisko”^[23].

Anna z trudem się podnosi, podchodzi do okna i otwiera je, żeby wpuścić do pokoju lodowate powietrze i zawodzenie starego żołnierza.

– Rzucę na ciebie obrzydliwości, Joe, jeśli się nie zamkniesz. Mam tu pełen nocnik, ty bezmózgi kutasie.

– Widzę cię, dziwko. Widzę twego rogatego bachora. Kto ci włożył do brzucha tego bękarta, dziwko? „I rzecze do mnie: A dziesięć rogów, które widziałeś i Bestia – ci nienawidzić będą Nierządniczy i sprawią, że będzie spustoszona i naga, i będą jedli jej ciało i spalą ją ogniem”^[24].

Hen uśmiecha się, a potem widzi twarz Anny. Kuzynka stara się odpowiedzieć jej uśmiechem, ale Henrietta przez ułamek sekundy dostrzega ukryte pod nim strach i niepewność.

Hattie, świadoma nastrojów panujących wśród lokatorek, odzywa się:

– Macie jakieś wieści od braci?

– Tak, od Neda. Jest zajęty w Bristolu. Od Sama nic. A twój brat odezwał się, Anno?

– Nadal nie odpowiada na moje listy. Odsyła nieotwartą pocztę z tej dziury, w której stacjonuje. Gdzieś na zachodzie. A twój mąż, Hat?

– Ani słowa. Ale on jest rzeźnikiem, nie uczonym. Koniec jednak wkrótce nadejdzie, a wtedy przekonamy się, czy wróci – odpowiada Hattie.

Wszystkie kiwają głowami i patrzą po sobie. „Dlaczego nie cieszy nas koniec wojny?” – zastanawia się Hen. „Skąd ten bezdenne lęk?”.

*

– Hen!

Budzi ją wołanie i zdezorientowana siada.

– Hen, chyba się zaczyna – głos Anny jest spokojny, opanowany.

Hen czuje, że dopada ją panika. Wstaje na równe nogi, z trudem łapie oddech, kiedy dotyka palcami lodowatej podłogi. Poza kołdrą panuje straszliwy chłód. Obrzmiałe, brzemiennie ciało Anny promieniuje ciepłem i życiem.

– Sprowadzę Hattie – mówi Henrietta.

– Nie, poczekaj. Skurcze są regularne, ale dość rzadkie i niezbyt mocne. Pozwól jej spać. Przepraszam, że cię obudziłam.

Jej głos trochę słabnie.

Hen wraca do łóżka.

– Nie martw się, Anno, jestem przy tobie.

Anna łapie kuzynkę za rękę. Nagle jej uścisk staje się mocniejszy, a oddech staje się nierówny.

– Czy to już? – pyta Hen.

– Nic. Po prostu puściłam wiatry – odpowiada Anna, chichocząc. – Żartuję. Tak, to już.

– Myślałam, że urodzi się dopiero po Bożym Narodzeniu.

– Cóż, dziecko najwidoczniej nie usłuchało. Nadchodzi.

– Kupiłam ci prezent. Nową pościel. Teraz użyjemy starej. Dorzucę do ognia.

– Jeszcze nie. I pomyśleć, że kiedy byliśmy dziećmi, miałyśmy pościeli ile dusza zapagnie. Skąd wzięłaś pieniądze?

– Nieważne – odpowiada Hen, myśląc o topniejącym zapasie biżuterii po matce. Zniknęła tylko para kolczyków i naszyjnik.

W ciemności Anna odzywa się słabym głosem:

– Boję się, Hen.

– Niepotrzebnie, kochanie. Bóg jest z tobą. Ja też jestem z tobą. Wszystko będzie dobrze.

Wszystko będzie dobrze. Ileż razy wypowie to zdanie w ciągu niekończących się, mających nadejść godzin? „Wszystko będzie dobrze” – szepcze do pojękującej Anny, gdy skurcze stają się częstsze. „Wszystko będzie dobrze” – mówi sobie, kiedy dzień mija, a Anna siedzi przycupnięta przy kominku, zatracą się w bólu, który atakuje i wycofuje się w bezlitosnych szarżach. Nie krzyczy, raczej jęczy, głęboko, gardłowo zawodzi.

Okna są zamknięte, a zasłony zaciągnięte, w pokoju jest ciepło i mrocznie. Ciemno jak w macicy. Tylko ogień w kominku jest świadkiem porodu. Anna, Hen, Hattie i Claire, która przychodzi i wychodzi w ciągu dnia, spowite całunem pomarańczowego światła. Przychodzi też Mary Overton, kobieta o wyrazistych rysach, mocno obgryzionych paznokciach i udręczonej twarzy. Sprawia wrażenie surowej, ale jej dłonie, kiedy ocierają pot z czoła Anny, okazują się delikatne, a ona szepcze łagodnie: „No już, kochanie. Cichutko. No już”.

W tym pokoju nie ma poczucia czasu, żadnych śladów ich miejsca w świecie. To

miejsce odosobnione, tu czas się zatrzymał.

Pokój jest smutnie pusty. Gdyby Anna miała męża i rodziła w domu w okresie pokoju, byłoby tłoczno od kobiet. Gwar i głosy pełne ekscytacji wypełniałyby jego ściany i dorównywałyby donośnością jękom położnicy. Pełen byłby spokojnej, dostojnej kobiecości, która osiadałaby na łożu rodzącej i podtrzymywała ją przy życiu.

Tymczasem towarzyszyły jej zaledwie trzy, czasem pięć kobiet i dziecko próbujące utorować sobie drogę na świat. Boże, dlaczego w tak okrutny sposób? Czy grzech popełniony przez Ewę był tak wielki, że musimy poddawać się takim cierpieniom w czasie porodu? Czy to jest kara, którą musimy znosić? Nowa myśl nawiedza Hen. Czy poród Anny jest bardziej bolesny, bo popełniła cięższy grzech? Czy bękarty zadają większy ból, kiedy przychodzą na świat?

Dzień – jak jej się wydaje – przeszedł w noc. Żadna nie spała. W końcu skurcze się nasiliły i stały się niemal nieustające. Jęki Anny zmieniły się w krzyki. Hattie zachęca ją, żeby parła. Kucnęła z rozstawionymi nogami. Zapiera się o Henriettę, która trzyma ją w pozycji pionowej, obejmując pod ramionami. Trzymają się siebie kurczowo, pot Anny kapie na kark Hen, dziewczyna krzyczy prosto do ucha kuzynki.

– Wyczuwam ją – woła Hattie. – Wyczuwam główkę. No dalej, Anno, już prawie jest.

Anna krzyczy, zmuszając się do ostatniego, gwałtownego wysiłku. Hen spogląda pod ramieniem rodzącej i widzi czerwone, zakrwawione kończyny.

– Widzę je! Anno! Anno! Widzę je!

– Ją! – woła Hattie – Ją.

Nagle słaby płacz miesza się ze szlochem wykończonej Anny i szybkim oddechem Hen. Hattie odwraca noworodka, daje klapsa i odcina pępowinę. Szare, pokryte żyłkami dziecko leży między nogami Anny.

Pojawia się nowy odgłos. Hattie klnie. Owija niemowlę w kołdrę i wciska Hen w ręce. Dziewczyna patrzy ze zdumieniem na jego rozwścieczoną twarzyczkę starca.

– Usiądź, kruszynko – mówi Hat, pomagając Annie ułożyć się w pozycji półleżącej.

Po chwili Hen widzi krew. Za dużo krwi.

– Hen, biegnij po akuszerkę.

– Ale...

– Szybko!

Anna zwiesza głowę, jej twarz jest poszarzała i spocona. Spogląda w stronę niemowlęcia niewidzącymi oczami.

Hen wybiega z pokoju, zapominając, że wciąż trzyma noworodka w ramionach. Spotyka na schodach Mary Overton i z ulgą oddaje jej wiercące się zawiniątko. Na zewnątrz panuje mrok, a powietrze jest mroźne. Hen nie jest pewna, czy jest to zmierzch, czy świt, i niewiele o to dba, gdy biegnie przez skutą mrozem ulicę, uderzając bosymi stopami w oblodzone kamienie bruku.

Odnajduje dom pani Simmonds. Gwałtownie puka i prosi o pomoc kobietę, która jej otworzyła drzwi. Goody Simmonds opatula się chustą, wydając polecenia osobie

ukrytej wewnątrz. Henrietta nienawidzi jej za tę powolność, która sprawia, że sekundy rozciągają się w minuty. Przeskakuje z jednej zdrętwiałej z zimna nogi na drugą. Wreszcie wyruszają z powrotem. Hen pędzi przodem, zatrzymując się na nieznośnie długie chwile, żeby biegnąca truchtem kobieta mogła ją dogonić.

W końcu docierają do drzwi i wchodzi na piętro. Hen wskakuje po dwa stopnie na raz. Otwiera drzwi na górze i światło wpada do zaciemnionego pokoju. Hattie odwraca się w kierunku światła i jej pozieleniała, przerażona twarz wszystko im mówi. Kałuże krwi zbierają się na podłodze, krew ścieka do szczelin między deskami, przesiąka przez płótno gorszego gatunku. Mary chodzi po pokoju z płaczącym zawiniątkiem. Zwraca się do Hen, a rysy jej twarzy łagodzą współczucie.

Anna, wsparta na wsparta na poduszkach, wygląda dziwnie spokojnie, choć życie wycieka spomiędzy jej rozchylonych ud. Za nią na łóżku wyprawka dziecięca lśni nieskazitelną bielą kości słoniowej.

[\[21\]](#) Ap 16, 13.

[\[22\]](#) Ap 16, 1.

[\[23\]](#) Na 3, 1, 3, 4-6.

[\[24\]](#) Ap 17, 15-16.

ROZDZIAŁ 27

ZIMA 1645

List do rodziców Anny wrócił. Z nagryzmołonymi ze złością na kopercie, czarnym atramentem, słowami: „Nie mamy córki. Nie mamy wnuczki”.

Następnego dnia, w Nowy Rok, Hen idzie do lichwiarza, który już ją rozpoznaje i wita po imieniu. Jego sklepik wypełniony jest błyskotkami, świecidełkami, rzeczami pozostawionymi przez ofiary wojny. Nikt nie ma pieniędzy, żeby wykupić zastawione rzeczy, właściciel robi więc na tym niezły interes. Proponuje śmiesznie niską sumę za naszyjnik matki, jednak ona właśnie takiej się spodziewała. Cóż, będzie musiała się tym zadowolić.

Dziś po południu odbierają niemowlę do mamki na Wapping, zbyt pijanej, żeby na cokolwiek zwracać uwagę lub o cokolwiek zadbać. Snuje się z obnażonymi piersiami i karmi to dziecko, które akurat najgłośniej krzyczy. Hen czuje wyrzuty sumienia, że zostawiła tam małą na tak długi czas. Podnosi niemowlę, ale nic nie czuje. Zapach dochodzący z becika mówi jej, że jest brudne. Zdejmuje zabrudzone warstwy materiału i wrzuca je w ogień, podczas gdy Hattie ruga niańkę za niedbalstwo.

– A czego się spodziewałyście za te grosze – odkrzykuje – cholernego, złotego mleka? Muszę sama się umyć i inne dzieciaki. A teraz bierzcie ją i odpieprzcie się!

Owijają dziewczynkę w chustę Hen i uciekają do siebie. Czują się źle, zostawiając tam pozostałe dzieci, ale mają wystarczająco dużo pracy, żeby utrzymać to jedno.

Niemowlę tuli się do piersi Hen jakby szukało mleka. Jest takie bezradne. Zamyka oczy, pociąga nosem i zмага się z jej koszulą. Henrietta czuje się zbyt zakłopotana, żeby wyszeptać na głos czułe słowa, które wypełniają jej myśli.

Wracają do murów miejskich i biorą powóz do Highgate. Zaledwie kilka mil od miasta niebo robi się jaśniejsze. Ze szczytu wzgórza, ponad lasem, widzą w oddali Tamizę, City i czarne wstęgi dymu unoszące się na niebie.

Odnajdują dom, który opisała im Goody Baker. Drzwi otwiera im kobieta w wieku Hen – Alice Harper. Wygląda na zmęczoną, każdej jej nogi czepiają się dzieci. Mimo wszystko uśmiecha się do nich i wprowadza do środka. Zjednuje ich sympatię

uprzejmością i spokojnym wdziękiem.

Podczas rozmowy dziecko zaczyna płakać.

– Ktoś tu jest głodny – mówi Alice, wyciągając ręce. – Mogę?

Hen podaje jej niemowlę i obserwuje, jak Alice wyjmuje pierś i podaje ją dziewczynce.

– Proszę, skarbie – zwraca się do niej łagodnie.

Hattie niedostrzegalnie kiwa głową do Hen z aprobatą.

– To dziecko kuzynki, panno Challoner? – pyta Alice.

– Tak, biedna Anna zmarła przy porodzie, a ojciec małej zginął na wojnie.

Hen stara się wypowiedzieć to białe kłamstwo z przekonaniem, ale Alice nie ma zamiaru kwestionować jej słów. Uśmiecha się tylko i dalej prowadzą rozmowę o wojnie, przegranej sprawie króla, jego odmowie poddania się i marszu Fairfaxa po kraju, podczas którego rozbija resztki oddziałów kawalerów. Tymczasem noworodek z zadowoleniem ssie pierś.

– Ciebie nie obchodzą wszystkie te bzdury, prawda kochanie? – mówi Alice. – Uważam, że powinniśmy o tym wszystkim zapomnieć i znów żyć w przyjaźni.

Kobiety cicho przyznają jej rację.

– Jak dziewczynka ma na imię?

– Nazywa się po matce – mówi Henrietta, decydując się w tej samej chwili na jedyny możliwy wybór. – Anna.

Kiedy zima przeszła w wiosnę, zaczęły odwiedzać małą Annę raz na tydzień. Po mszy robią wycieczkę do Highgate, a wraz z wydłużeniem się dnia, czasem wracają do domu pieszo. Obserwują jak dziecko rośnie i staje się coraz trudniejsze. Jest niecierpliwie i wymagające. Pulchnymi rączkami łapie Alice za piersi, krzyczy, gdy mamka nie dość szybko do niej przychodzi. „Ta mała wyssie mnie do szpiku” – mówi i rzeczywiście wygląda na zmęczoną. Ma troje własnych dzieci i córkę Anny do wykarmienia.

Pewnego majowego dnia kobiety wpadają do domu Alice z niecierpliwym podnieceniem

– Słyszałaś najnowsze wieści?! – woła Hen, natychmiast biorąc na ręce małą Annę, która siedzi na podłodze podparta na poduszce i gaworzy z najmłodszym, rocznym dzieckiem Harper, Peterem.

Alice, ubrudzona mąką i wymizerowana, spogląda sponad ugniatanego ciała.

– Wieści? – pyta wymijająco.

– Król poddał się Szkotom.

Mamka otwiera usta ze zdziwienia i rozsmarowuje mąkę na twarzy. Wygląda jak zdumiony duch, Hen i Hattie wybuchają więc śmiechem. Alice bez słowa wybiega z pokoju i wraca z mężem, potężnie zbudowanym, małomównym kowalem, z którym kobiety witały się wcześniej kiwnięciem głowy, ale nigdy nie zamieniły słowa.

– O co chodzi? – pyta mężczyzna.

– To prawda – mówi Hen. – Przynajmniej ludzie tak mówią, choć może to plotka

„szybkie nogi mająca i skrzydła”^[25]. – Dziewczyna spogląda na ich zaskoczone twarze.

– Wergiliusz – szepcze, a Hattie niecierpliwie się wtrąca:

– To wszystko bez znaczenia. Król poddał się Szkotom pod Newark. Nasze wojska oblegają Oksford, który z pewnością upadnie, a wtedy z nimi koniec. Podobno wymknął się chyłkiem z miasta trzy dni temu. Parlamentarzyści mają przesłać mu propozycje pokojowe.

– Pokój – mówi Alice.

– Tak, ale na jakich warunkach? – grzmi kowal. – Walczyliśmy za naszego Boga i parlament, a jeśli on wróci do Londynu jak gdyby nigdy nic, to będzie znaczyło, że przelaliśmy naszą krew na darmo.

– Chcą, żeby potwierdził wszystkie prawa uchwalone podczas jego nieobecności, powrócił do prezbiterianizmu, zniósł urzędy biskupie i oczyścił Kościół – wyjaśnia Hen.

– A jeśli się na to nie zgodzi? – pyta Alice.

– No cóż, trudno powiedzieć. Przegrał wojnę, ale nadal jest królem. I kocha swoich biskupów – odpowiada Hattie.

– A co ze Szkotami? – wtrąca się Hen. – Czy stoją po naszej stronie, tak jak stali w czasie wojny? Trzymają króla w niewoli. Co mają zamiar z nim zrobić?

– Nic jeszcze nie wiadomo. Wszystko tylko jeszcze bardziej się komplikuje. Muszę wracać do kuźni, bo ogień wygaśnie – burczy mąż Alice.

Z zewnątrz dochodzi do nich dźwięk powolnego, nieustępliwego, rytmicznego kucia młotem. Hen wydaje się, że wybija czas. Spogląda na córkę Anny, która posyła Hattie nowo wyuczony uśmiech. Król poniósł klęskę, kraj jest rozdarty, dwór ogarnięty anarchią, ale życie toczy się dalej.

*

Pewnej niedzieli wczesnym latem, po powrocie do domu, widzą Lucy siedzącą na stopniach schodów. Jest to tak niepodobne do niej zachowanie, że Hen rusza biegiem w jej stronę.

– Lucy! Co się stało? Coś z Nedom?

– Nie opowiadaj głupstw. Do naszego mieszkania włamał się szaleniec.

Hen słyszy dochodzące z piętra krzyki i patrzy w górę, żeby ujrzeć głowę wychylającą się przez okno.

– Aha! – krzyczy mężczyzna. – Dzielki wracają. Pobaraszkowały sobie, prawda Henrietto? Poflirtowały?

Hen odwraca się do Hattie, która stoi za nią z szeroko otwartymi ustami.

– To mój kuzyn Mathew, brat Anny – wyjaśnia.

– On jest pijany jak bela – stwierdza Hattie.

– Pijany! Ty wiedzmo. Czy mam cię spalić na stosie? Nie jestem pijany. Jestem smutny, ot co. Gdzie jest moja siostra, Henrietto? Gdzie jest Anna?

– O Boże – mamrocze pod nosem dziewczyna i wchodzi na górę.

Otwiera drzwi i kpiarsko dyga przed kuzynem. Hattie stoi za nią, a Lucy patrzy jej przez ramię.

– Rodzice ci nie powiedzieli, Mathew?

– Nie powiedzieli mi o czym, zdroiro?

– Bądź uprzejmiejszy, chłopcze – wysapuje Hattie.

– Pani wybaczy, ale zachowuję swoją uprzejmość dla tych, które na to zasługują.

Moja siostra-dziwka szukała schronienia w tym burdelu i znalazła sobie towarzystwo jej podobnych. Będę się więc zwracał do tej lafiryndy i sutenerki, jak będę uważał za stosowne.

Bierze głęboki haust z butelki i zadowolony z siebie obrzuca je wzrokiem. Jest nieogolony i brudny, ubrany w mundur żołnierza piechoty. Przyniósł ze sobą smród przegranych, odór klęski. Każdego dnia przybywa ich do Londynu coraz więcej, jako że pozycje rojalistów padają jedna po drugiej. Ściągają do stolicy, która oferuje zhańbionym anonimowość i nadzieję.

Mathew wygląda jakby od dłuższego czasu nie spał, a jego buty powiązane są sznurkiem. Pod rudym zarostem ma zapadłe policzki. Hen pamięta blask dobrze odżywionego pierworodnego syna, z jakim się wcześniej obnosił. Nagle robi mu się go źal. Skurczył się i postarzał jak porzucone jabłko.

Oczywiście, przecież Oksford jest oblężony. Gdzie indziej mógł się udać?

Hen kładzie dłoń na ramieniu Hattie. Przyjaciółka nadal jest nastroszona i w wojowniczym nastroju.

– Mathew, przykro mi, Anna nie żyje.

Te słowa najwyraźniej robią na nim wrażenie, bo krew odpływa mu z twarzy. Przez moment patrzy na nie w milczeniu, a później gwałtownie się odwraca, żeby zwrócić zawartość żołądka na podłogę.

– Przepraszam – bełkocze, łapiąc oddech przed kolejnym atakiem torsji. – Jak?

– Była w ciąży. Dziecko żyje, ale...

– W ciąży? Ale...

Hen widzi, że nagle wszystko zaczyna mu się układać w głowie. Wyjaśnia się milczenie rodziców.

– Co jej zrobiłaś?

Z wściekłością odwraca się w stronę kuzynki. Robi zamach i pięścią zadaje jej cios w policzek. Głowa dziewczyny odchyła się w bok, a na jej twarzy pojawia się grymas bólu.

Hattie wchodzi do pokoju, Lucy kuli się za drzwiami.

– Cofnijcie się, cofnijcie się więdźmy. Mnie nie zdeprawujecie. Moja biedna Anna! Moja biedna Anna!

Wyciąga szpadę w kierunku Hen, dziewczyna stoi nieruchomo, gdy koniuszek broni zbliża się do jej twarzy. Patrzy zahipnotyzowana tym okrutnym, tnącym ostrzem. „Stój spokojnie – mówi do siebie. „Daj mi siłę, Boże. Och Boże, daj mi siłę”.

– To twoja sprawka, suko.

Hen czuje ostrze szpady na swoich sutkach, najpierw jednym, a potem drugim. Zaczepia się o materiał sukienki. Obserwuje kuzyna, starając się przewidzieć kolejny ruch, widzi, jaką przyjemność sprawia mu jej przerażenie. Wydaje się, że czas zwolnił. Istnieje tylko ta chwila. Tylko ich dwoje i szpada zawieszona w nieskończoności. Jego ciemne oczy taksują ją z góry na dół.

W końcu podnosi ostrze i cofa się dwa kroki.

– Wyjdź – warczy Mathew.

Dziewczyna wycofuje się. Napięcie opada i Hen zaczyna się trząść. Hattie łapie ją i razem wybiegają z pokoju, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. W korytarzu obie się wywracają.

Na klęczkach, w objęciach przyjaciółki, oddzielona drzwiami od Mathew, Hen czuje przyływ dziwnej, niepokohamowanej radości.

– Czy przedstawiłam ci oficjalnie mojego kuzyna? – pyta.

Hattie wybucha śmiechem. Starają się śmiać bezgłośnie, zasłaniając usta dłońmi. Ale śmiech jest silniejszy, przyprawia je o ból brzucha i wyciska łzy z oczu. Trzymając się za ręce, schodzą na dół, nadal się uśmiechając. Tam znajdują Lucy.

– Hen! – woła bratowa.

– Tak? – odpowiada dziewczyna i znów wybucha śmiechem, prosto w przerażoną, nic nierozumiejącą twarz Lucy. Hattie jej wtóruje.

– Bardzo śmieszne – mówi Lucy. – Ale co my zrobimy z tym szaleńcem, który zamknął się w naszym mieszkaniu z dwoma butelkami francuskiej brandy?

– Nieczęsto zdarza mi się to mówić – stwierdza Hattie – ale tym razem potrzebujemy mężczyzny.

– Znam jednego – odpowiada Hen.

*

W ogrodzie otaczającym Temple panuje nienaturalny spokój. Przybywający z Fleet Street mają wrażenie, że z Gomory przenieśli się do Edenu. Trawnik opada ku połyskliwej rzece, falującej w promieniach słońca. Nad głową Hen z drzewa na drzewo przeskakuje wiewiórka, po czym zatrzymuje się, żeby na nią popatrzeć, przekrzywiając główkę niczym wścibski uczeń. Powietrze jest nieruchome i duszne.

Hen szuka właściwych drzwi. Podchodzi do nich. Żołądek skręca jej się ze zdenerwowania. Wchodzi po wewnętrznych schodach, wsłuchując się w odbijający się echem dźwięk swoich kroków. Czuje się duża i niezgrabna.

Na górze odnajduje drzwi z nazwiskiem, którego szuka. Delikatnie dotyka palcem liter widniejących na tabliczce.

Kiedy podnosi pięść, żeby zapukać, zauważa, że jej ręka drży. Cała się trzęsie. Czy to ciągle zdenerwowanie z powodu przejść z Mathew? Stara się oszukać swój umysł. Cicho liczy do trzech, ale puka na dwa. Gwałtownym ruchem.

– Proszę! – słyszy znajomy głos.

Niemal odwraca się, żeby uciec, ale ostatecznie chwyta gałkę. Otwiera drzwi i oto widzi go, stojącego obok półki z książkami i przeczesującego dłonią niesforne włosy.

– Witaj, Will – mówi.

[\[25\]](#) Wergiliusz, *Eneida*, Księga IV, przekład Tadeusz Karyłowski (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 28

CZERWIEC 1646

Ned wbiega, pokonując dwa schody naraz. Tryska radością, bo jako pierwszy poznał nowiny. Zaniósł je już do parlamentu. Pławił się w górnolotnych pochwałach, pozwalał starcom ścisnąć sobie dłoń i ukląkł z purytanami, żeby oddać cześć Bogu. Jakże dziękowali Mu za Jego chwałę! W końcu się wyrwał i pobiegł nad rzekę. Podzielił się wiadomością z przewoźnikiem, który za darmo zabrał go do mostu, wykrzykując nowiny w kierunku innych łodzi przemierzających rzekę.

W jednej z łodzi pasażer zerwał się na równe nogi i zaczął wymachiwać kapeluszem. Stracił równowagę, zachwiał się i runął głową do rzeki. Ned odwrócił się i patrzył, jak wyciągają mężczyznę z wody. Mimo wypadku nadal się uśmiechał i radośnie mu pomachał.

Przy brzegu wyskoczył na mostek. Idąc ulicą, decydował, z kim podzielić się wieściami. Przyglądał się twarzom, żeby zdecydować, kto najbardziej zasługuje na wiadomości od bohatera dnia, zwycięskiego Jowisza rozdzielającego radość jak błogosławieństwo. Szeptem przekazał wiadomość ubranemu po purytańsku kaznodziei, który słysząc ją, stanął na środku ulicy z otwartymi ze zdumienia ustami. Dwóm młodym, ładnym kobietom też podarował wiadomość, z wytwornym ukłonem i skromnym uśmieszkiem, jako trybut złożony ich urodzie.

A teraz do domu. Do domu! Otwiera drzwi z hukiem i znajduje Lucy samą w mieszkaniu. Żona wstaje, a on ją przytula i całuje.

– Ned – woła Lucy na wpół rozbawiona, na wpół zmieszana. – Co tu robisz?

Przerywa jej pytania kolejnym pocałunkiem.

W końcu wyjawia wiadomość tej, z którą chciał zobaczyć się najszybciej.

– Oksford, kochanie. Oksford upadł. Już po wszystkim.

Lucy siedzi oniemiała. Jak wszyscy, którym powiedział o tym wcześniej, wiedziała, że kiedyś do tego dojdzie. Jakże mogłoby być inaczej, skoro król jest praktycznie więźniem Szkotów, a wojska rojalistów w rozsypce? A jednak. Oksford się poddał. Nie ma już dwuwładzy ani dziwnego i wynaturzonego podziału kraju. Cały żar i władza

znów emanuje z tego potężnego miasta. „Oksfordzie – myśli radośnie – szczam na ciebie”.

- A ty tam byłeś? – wreszcie odzywa się Lucy, spoglądając na męża.
- Tak – pręży się z dumy. – Lord Fairfax posłał mnie z wiadomością.
- A co przywiozłeś ze sobą? – pyta rozpromieniona, patrząc na niego wyczekująco.
- Przywiozłeś?
- Tak, z plądrowania i obłączenia.

Wyciąga z koszyka na robótki pogniecioną stronę z gazety. Piszą o obrabowaniu Basing House, domu markiza Winchesteru. O ludziach Cromwella tarzających się w klejnotach, z trudem mogących iść pod ciężarem wynoszonych naczyń i sreber. O prostych żołnierzach ubranych niby królowie, pikinierach ustawionych do końca życia.

– Ależ Lucy, mnie tam nie było.

Słyszając to, jego żona się krzywi.

– A co z Bristolem, co z Oksfordem?

– W Bristolu lord Fairfax wydał rozkaz, żeby nie grabić miasta. Z Oksfordu wyjechałem, gdy tylko wywieszono flagę. Żeby przywieźć tu wieści.

– „Wieści” – Lucy cedzi słowa. – I cóż przyniesie ci przywiezienie „wieści”?

Ned mówi cicho. Przeczuwa nadchodzącą odpowiedź jak szarżę kawalerii nadjeżdżającą zza wzgórza. Ale mimo to, nie bacząc na nic, brnie dalej.

– Obowiązek! Honor!

– Obowiązek! Honor! Ned, ty durniu. Czy najemy się honorem? Poślubiłam głupka, przekłętą przez Boga pustą pałę.

– Lucy!

– Milcz. – Kobieta zaczyna krążyć po pokoju. – Dlaczego za ciebie wyszłam? – Przyciska pięści do oczu. – Dlaczego? Powinnam była zaczekać, aż zjawi się ktoś lepszy. Spójrz na mnie! Spójrz na mnie, Ned! Jaki jest sens wyglądać tak jak ja, skoro jestem tylko przekłętą żebraczką? Nasze sprawy nie mogą toczyć się gorzej. Czy muszę prać własne ubrania, Ned? Ugniatać ciasto? Czy muszę grzebać rękami w rynsztoku w imię twojego obowiązku?

– Przepraszam – mamrocze, próbując ją uspokoić – przepraszam.

– Przepraszam! Upadłeś na głowę? Co mi po twoich przeprosinach? Zostaniesz zbieraczem nieczystości? Czeladnikiem rzeźnika? „Przepraszam”, na miłość Boską!

Jej tyrada staje się coraz gwałtowniejsza. Ned patrzy na jej czerwoną twarz i zionącą z niej nienawiść. Nagle Lucy milknie i patrzy ponad ramieniem męża.

Ned odwraca się i widzi Henriettę z Willem, stojących w drzwiach i patrzących na nich z zażenowaniem.

– Ned – mówi Hen – słyszałeś wieści?

Później w trójkę idą na obiad do pobliskiej karczmy. Lucy zostaje w domu, wymawiając się bólem głowy. Nawet Ned, choć nie może poszczycić się w tym względzie szczególną przenikliwością, dostrzega, że między Hen i Willem coś iskrzy. Wydają się zbyt dobrze znać. Will wlepia wzrok w Neda ze szczególną intensywnością, jakby bał się myśleć o jego siostrze.

Zjedli porządny posiłek i napili się doskonałego bordo. Wszyscy wokoło świętowali, jedząc, pijąc i wznosząc toasty za koniec wojny.

– Jak doszło do waszego spotkania? – pyta Ned.

Hen oblewa się rumieńcem.

– W zeszłym tygodniu... – mówi Will.

– We wtorek – dopowiada Henrietta.

– Tak, we wtorek. Przyszła do mnie, żebym pomógł jej pozbyć się pewnego kłopotliwego gościa.

– Kuzyna Mathew.

– Był pijany i agresywny.

– Był straszny. Ale nic nie wiedział o śmierci Anny.

Krzywi się trochę, a Will robi ruch ręką, jakby chciał chwycić ją za dłoń.

– A więc Will wyprosił Mathew? I?

– I nic – mówi Hen, rumieniąc się zabawnie. – Od tamtej pory się nie widzieliśmy. Spotkałam go dzisiaj w drodze do domu. Szedł przynieść mi nowiny.

Opowieść nie jest kompletna. Hen pomija godziny, które spędzili z Willem po wyjściu w noc zataczającego się i przeklinającego kuzyna. To, jak Will patrzył na siniec na jej policzku i delikatnie przeciągnął po nim palcem. To, jak rozmawiali, jakby czas się cofnął, a ona znów miała siedemnaście lat.

Nie opowiedziała Nedowi nawet o ich dzisiejszym spotkaniu. Nie spodziewała się zobaczyć Willa na ulicy. Stali, patrząc się na siebie w napięciu. Nieruchomi pośrodku kakofonii życia. Nie opowiedziała, jak to jest czuć taki całkowity spokój na zewnątrz, podczas gdy wewnątrz krew się burzy i serce szaleje.

Nie może patrzeć na Neda bez skrępowania, jeszcze nie. Ma dwadzieścia jeden lat, a czuje zawroty głowy jak pokwitające dziewczę.

Will kieruje rozmową. Przenosi konwersację w bezpieczniejsze rejony wojny, rzezi, grabieży i sporów politycznych. Próbuje skupiać się na pozytywnych stronach – koniec konfliktu zbrojnego jest wystarczającym powodem, żeby dziękować Bogu. Ale ciągle wracają do problemów, do tych pokładów nieczystości oddzielających nieszczęsną Anglię od bezpieczeństwa. Króla niełatwo złapać w pułapkę, wije się jak piskorz. A jednak, mimo całej przelanej krwi i wszystkich poległych, przywrócenie króla do władzy jest jedynym pewnym sposobem zapewnienia pokoju.

Lecz ten człowiek w koronie musi mieć ograniczoną władzę, żeby uniemożliwić mu krwawą zemstę – z tym wszyscy się zgadzają.

Panuje teraz powszechna zgoda, że król i człowiek imieniem Karol to dwa niezależne byty. Jak do tego doszło, do owego oddzielenia człowieka od piastowanego przez niego

urzędu? Hen pamięta, jak jej ojciec rozmawiał z bratem o złych doradcach, jakby władca mógł chronić się przed skutkami własnych złych decyzji, przypisując je wrogim osobom postronnym. A teraz wykorzystuje się tę samą sztuczkę w inny sposób. To nie król jest winien, tylko człowiek imieniem Karol. Do czego może doprowadzić oskarżenie króla? Do anarchii? Załamania się ustalonego porządku?

Will wyraża to najlepiej. Hen patrzy na niego. Gdy mówi, jego twarz oświecają płomienie świec, gestykuluje z przejęciem.

– Czymże jest porządek, jeśli nie prawem – mówi. – A czym jest prawo angielskie bez króla?

– Czy to jednak znaczy, że człowiek sprawujący urząd króla sam jest ponad prawem? – pyta Ned, a Will pozostawia to pytanie bez odpowiedzi.

Zamiast tego stwierdza:

– Wychodząc poza temat tej rozmowy, co ze stroną praktyczną? Parlament chce związać tego człowieka prawami bez względu na to, czy uważa się on za źródło prawa, czy za podległego temu prawu. Prezbiteriańscy parlamentarzyści, którzy, kiedy ostatni raz się tym interesowałem, byli wiodącym stronnictwem, chcą, żeby król obalił biskupów i oddał kontrolę nad wojskiem. Tu jednak jest problem. Co jeśli nie zechce?

– Musi – odpowiada Ned.

– Rozumujesz następująco, prawda? Nie ma wojsk, niewielu zwolenników zostało przy nim i w istocie jest więźniem Szkotów. Ale ma jedną kartę, która bije wszystkie inne.

– Jest królem – dopowiada Hen.

– No właśnie, jest królem. Pytam więc raz jeszcze. Chcą, żeby zrezygnował ze wszystkich uprawnień, które miał przed wojną. A co, jeśli nie zechce ich oddać?

– Wojsko tego nie zniesie – mówi Ned. – Ty ich nie rozumiesz. Ja z nimi maszerowałem, z nimi cierpiałem, patrzyłem jak umierają niczym zwierzęta składane w ofierze. Wyśmiewaliśmy się z niego i go zwyciężyliśmy. Zostaliśmy wybrani przez Boga. Pobiliśmy go i on musi przyjąć nasze warunki.

– Albo co? Pokonacie go? Nie ma przecież armii.

– A ty co myślisz, że się wydarzy, Will? – pyta Hen.

Patrzy na niego i rozkoszuje się uczuciem w brzuchu. Zmężniał ten chłopiec, którego niegdyś kochała. Jest pewny siebie, przekonany o swojej racji. Jeśli jego pogoda ducha nieco przygasała, to właśnie z tego powodu. Jest też starszy. Nadal jest tym chłopakiem, który całował ją pod murem, a nawet teraz stał się jeszcze bardziej pociągający. Myśli o pocałowaniu go i czuje, że jej policzki płoną.

– Boże, Hen, spójrz, gdzie się znaleźliśmy. Szkoci, nasi byli sojusznicy, teraz szykują się przeciw nam. Wojsko ma zatarg z parlamentem. Prezbiterianie stają przeciwko kongregacjonalistom. Ojcowie w City trzymają z prezbiterianami, a ich synowie z radykałami. Religia i polityka mieszają się ze sobą. A król siedzi w samym oku cyklonu, ściskając w dłoni swoją kartę atutową. Pamiętasz, jak na początku tego

wszystkiego Jeremiah Whittaker wygłosił kazanie w parlamencie, które wasz ojciec nam odczytał? „Oto dni trwogi” – powiedział. Cóż, trzęśliśmy się ze strachu, aż upadliśmy. A teraz będziemy świadkami dni sporów.

*

Henrietta i Ned nieustannie przypominali sobie słowa Willa pod koniec tego roku. Rzeczywiście zapanowały dni sporów. Politycy i żołnierze, kler i teolodzy – wszyscy przekonani o swojej racji i wszyscy wyczerpani upartym nieprzejednaniem pozostałych uczestników gry.

Hen myśli o tym jak o tańcu w widowisku z maskami – każdy tancerz ma własną historię i własną wizję przyszłości. Mogą poruszać się razem przez pewną część spektaklu, wystarczająco długo, żeby iść w tempie i sprawiać wrażenie spójnej całości. Ale kiedy rytm albo tempo się zmieniają, znów rozpadną się na mniejsze jednostki, okrążające się nieufnie z morderczymi zamiarami.

Opowiedziała Hattie o swoich skojarzeniach, na co żona rzeźnika zareagowała wybuchem śmiechu.

– Dopóki te skurczybyki nie zaczną deptać mi po palcach, dopóty mogą tańczyć, aż ich wszystkich piekło pochłonie.

Pewnego pięknego jesiennego dnia spacerują z małą Anną w lesie Highgate. Dziewczynka siedzi na biodrze Hattie, obejmuje ją w tali i chwyta się jej sukni zachłannymi rączkami. Liście chrzęszczą pod ich stopami, a symfonia czerwieni, brązów i rudości sprawia, że obie czują się szczęśliwe. Hen chłonie piękno z radością osoby zwykle otoczonej pokrytymi sadzą ceglanyymi murami. Nuci, spacerując, i nagle obie zaczynają śpiewać.

Fortuno wrogu mój, dlaczego marszczysz brew?

I twe zamysły skryte zawsze są mym wbrew?

Czy ból smutku zawsze będę cierpieć?

I ze źródeł radości nigdy nie będę już czerpać?

Hattie ściska Annę i łapie ją za palec u nogi.

– Fortuno wrogu mój – śpiewa, a dziecko zanosi się śmiechem.

– Hen – odzywa się Hattie dziwnym tonem – rozmyślałam o tym trochę. Mój stary powinien już się odezwać. Myślę, że nie żyje.

– Przykro mi, Hattie.

– Niepotrzebnie. Mnie nie jest. Podoba mi się niezależność – milknie. – Ale jest jeszcze coś. Przed wojną byliśmy ze sobą jakieś dziesięć lat, ale ani razu nie zaszłam w ciążę. Nie wiem, czy to przeze mnie, czy przez niego, ale najwidoczniej Bogu nie widziało się nam darzyć. A więc myślałam o dziecku, o Annie. Mamusia nie żyje, tatuś zapewne też. Dziadkowie się nie interesują.

Hen zaczyna rozumieć, do czego zmierza przyjaciółka. Kocha Hattie, jest jej też głęboko wdzięczna. Ale ona jest żoną rzeźnika. Jej córka będzie córką rzeźnika.

Dziecko nieodwołalnie spadnie w hierarchii społecznej. Zmusza się do zastanowienia się nad innymi rozwiązaniami. Niemowlę nie może zostać u niańki. „Czy ja mogę je wziąć? Kto będzie jednak opiekował się nią w ciągu dnia? Tak czy inaczej Hattie. Czy mam jakiegokolwiek prawo decydowania o przyszłości dziecka Anny? Ale jeśli nie ja, to niby kto?”.

Tymczasem Hattie szczebiocze do dziewczynki o jej kolejnych prześlicznych częściach ciała. W końcu wraca do swojego pytania.

– No więc jak, Hen? Mogę ją zatrzymać?

– Tak – zdecydowanie odpowiada Hen. Skoro już taką podjęła decyzję, Hattie nie powinna wiedzieć o jej wątpliwościach. – Tak, Hattie.

Patrzy, uśmiechając się, ale nadal dręczona wątpliwościami, obserwuje przyjaciółkę, jak kręci się z Anną w kółko i obie się zaśmiewają.

*

Ned przez całą jesień myśli o słowach Willa. „Dni sporów”. Obserwuje kłócących się wokół niego ludzi rozdartych między utratą źródła utrzymania i przygniatającymi zaległościami w opłatach. Obserwuje oficerów starających się powstrzymać gniew swoich ludzi, a jednocześnie przyznających rację niezadowoleniemu wyrażanemu przez nich buntowniczymi pomrukami. Czyta o coraz bardziej irytujących sporach w parlamencie, dotyczących przyszłości armii. Prezbiteriańscy parlamentarzyści chcą rozpuścić wojsko do domów, boją się bowiem szerzącego się w szeregach armii radykalizmu religijnego oraz władzy znajdującej się w rękach dwóch wielkich dowódców: Fairfaxa i Cromwella. Przygląda się też królowi kłójącemu się ze wszystkimi, włącznie – cóż za historią – ze swoją żoną. Królowa Henrietta chce, żeby zgodził się na obalenie biskupów za cenę odzyskania korony. Odmowa władcy jest zarazem irytująca i godna podziwu. Ned szanuje jego odmowę sprzeniewierzenia się swojej władzy, lecz ubolewa nad źle ulokowaną lojalnością religijną.

Jest to dziwny okres kampanii. Oczyszczają bastiony rojalistów w szeregu małych wojen. Wydaje się nienaturalne, że ludzie wciąż giną, choć wojna się skończyła – powinni przecież mieć prawo wrócić do domów i opowiadać przygody Bożych wojowników pełnym uwielbienia słuchaczom.

Ned stoi przed zrujnowanym zamkiem o pociemniałych murach, wznoszącym się w niezidentyfikowanym przez swoją nijakość miejscu, i spogląda na skrzycone ciało Taffy’ego. Przyjaciel ma zmiażdżoną twarz i wykręcone członki. Jakie to dziwne, że w tej pustej łupinie, w tym pozbawionym duszy, zepsutym obiekcie nadal można rozpoznać Taffy’ego. Że te oczy, mimo iż pokryte bielmem, nadal są jego oczami

Później, podczas kampanii prowadzonej wokół pocerniałego zamku, Fairfax ogłasza post. Ned go podejmuje. Od dwóch dni modlą się, a głód wyostrza ich myśli i otwiera duszę na Ducha Świętego. Kapelani wojskowi przyciągają nieprzeliczone tłumy. Kilku żołnierzy również zaczęło głosić kazania. Ned wyobraża sobie

przerażenie ojca. Skoro prosty żołnierz może uzurpować sobie prawo do bycia duchownym, a skórzany płaszcz zastępuje sutannę, dlaczego nie mieliby uzurpować sobie jeszcze lepszej pozycji? Wolność wyznania i sumienia stają się zarzewiem anarchii społecznej. A jednak Neda coraz bardziej pociągają purytanie wśród kongregacjonalistów. Choć publicznie zwymyślał żołnierzy-kaznodziejów, zazdrości im intensywności relacji z Bogiem. Jego myśli biegną ku niemu: jeśli Bóg rzeczywiście wzywa nas do siebie, każdego z nas, bez względu na noszony mundur i kościół państwowy, musimy go posłuchać, nie dbając o konsekwencje. Czemu mielibyśmy bać się załamania porządku ziemskiego, po co bronić królestwa ziemskiego, skoro robiąc to, sprzeniewieramy się jego wezwaniu?

Drugiego dnia postu Ned czuje, że jego myśli nic już nie ogranicza. Jego ciało stało się lekkie i powolne, jego dusza i umysł obejmują równinę, słuchają kaznodziejów, szukają czystego głosu Boga. Wszyscy są przesyleni podobną czcią. Zwycięstwo ponad zwycięstwami, bo ta armia pokazała im twarz Boga, a On uśmiecha się ponad nimi.

Na polanie przed sadem Ned natrafia na ludzi odprawiających mszę. Rozpoznaje kilku swoich żołnierzy i siada pod drzewem, żeby jako oficer im nie przeszkadzać. Żołnierze nie powinni głosić kazań. Słucha więc słów, siedząc z boku, oparty o pień. Podciąga kolana pod brodę, jakby znów był chłopcem. Patrzy na liście jabłoni szeleszczące na wietrze, pozwalając rdzawym odcieniom tańczyć w rytm słów:

– Kto zakosztował wspaniałości Boga? Kto pragnie mniej? Dalej, bracia, dalej. Nie pozwólmy czasowi ani głodowi, ani śmiertelnemu ciału ostudzić naszej miłości do Chrystusa. Powinniście, bracia, uczestniczyć w chwale Zmartwychwstania.

Głos jest cichy i głęboki. Stęskniona dusza Neda poddaje się jego intonacji. Ja skosztowałem jego wspaniałości! Ja jestem jego narzędziem!

Nagle w skołowanym umyśle Neda pojawia się proste rozwiązanie problemu. Opatrzność. To wojsko odniosło zwycięstwo nad zwycięstwami. Pan Zastępów jest z nimi. Ned wie, że takie dopatrywanie się Bożej woli doprowadzi go do szaleństwa. Ale to jest tak oczywiste, świat nie może być taki jak przed wojną. Boża ręka jest we wszystkim. Świat musi zostać odnowiony, taka jest Jego wola. My jesteśmy tylko jego narzędziami. On pokaże nam drogę.

Ned wyobraża sobie swoje ciało jako wicher przeniknięty Bożym oddechem. To wyobrażenie wywołuje u niego uśmiech, a ów uśmiech wznosi się na słowach kaznodziei, nabiera ostrości, by stać się radością. „Jestem przepełniony radością!” Szczęście Neda jest nieogarnione. Obejmuje oceany, sięga nieba. Zrozumiał z niezwykłą wyrazistością, że jego ciało i dusza nie stanowią jedności, lecz są dwoma oddzielnymi bytami. Oba należą do Chrystusa. A Jego miłość rozproszy samotność.

*

Hen nie jest sama. Opuściła z Willem mury City. Zapadła noc, a on wypełnia daną jej

obietnicę. Leżą na polu w Dalston, na dwóch kołdrach, a trzecią są przykryci. Trzymają się za ręce, a Will opowiada jej o gwiazdach na niebie.

– Syriusz, oczywiście. A tam gwiazdozbiór Cerbera. Widzisz gwiazdozbiór Centaura?

Hen śledzi jego palec i słucha jego głosu, gdy wypowiada kolejne nazwy. Są one swego rodzaju poezją i zatracą się w nich, nawet jeśli nie zawsze nadażą za wyjaśnieniami. Nie widzi w układzie gwiazd żadnego porządku i czasem nie jest w stanie dostrzec kształtu, od którego pochodzi nazwa konstelacji. Za to mity będące ich źródłem są jej doskonale znane. Chiron przemierza antyczną Attykę, złożona w ofierze, przykuta łańcuchami Andromeda. Nie potrafi ich dostrzec. To jednak nie ma znaczenia. Will potrafi.

Później, nadal ściskając Hen za rękę i z wzrokiem utkwionym w niebo, odzywa się:

– Czuję się mniej męski z tego powodu, że nie walczyłem.

– Przecież nie miałeś powodu, a pobór cię ominął.

– Tak, ale zginęło tylu porządnych ludzi, a ja jestem tu z tobą, kochana, i nic nie mogę zrobić z tym, że mam poczucie winy. Mój przyjaciel William Gascoine poległ pod Marston Moor. Och, Hen, był niewiele starszy od Neda. Mógł stać się angielskim Keplerem, gdyby przeżył. Pracował nad budową teleskopów. O jego dokonaniach słuchałabyś z zapartym tchem, zapewniam cię, tyle że nigdy niczego nie opublikował. A teraz nie żyje. Tak samo jak Jeremiaś Horrocks, który tak dokładnie zaobserwował eliptyczny ruch księżyca.

– I po której stronie byś stanął?

– Obie zdają się z tego miejsca równie komiczne.

– Cóż. Wystarczająco źle jest umierać za coś, w co się wierzy. Niepotrzebnie się winisz z tego powodu.

Will wybucha śmiechem.

– Uważasz, że mam inne liczne powody, żeby czuć się winnym? Masz rację.

– Przekonasz się, że często tak jest.

Will bierze jej rękę, kładzie ją sobie na brzuchu i ściska dłońmi. Być tu, poza murami, ma w sobie jakiś posmak grzechu. W tym miejscu oddalonym od miasta panuje głęboka cisza. Ciemność jest nieprzenikniona i nieruchoma. Pod kołdrą jest im ciepło, ale policzki Hen są chłodne, co kontrastuje z napięciem, które odczuwa w całym ciele. Od czubka palców u stóp po czubek głowy świadoma jest jego obecności. Czuje, że dotyka go swoim biodrem. Niby zwykłe dotknięcie, a ma wrażenie, że jego cząsteczki przenikają przez skórę do jej ręki, ramienia i brzucha.

– Będziesz musiał przetrwać śmierć, Will.

Zapadła jeszcze głębsza cisza. Czuje, jak waży słowa, a jego ręce leżą nieruchomo.

– Wiesz Hen, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy, ledwie mogłem oderwać oczy od gwiazd, pamiętasz? A potem ujrzałem w nich nieskończoną ilość możliwości. Ujrzałem zapisaną tam moją przyszłość. Ujrzałem moje imię utrwalone w nowym odkryciu. Myślałem, że nie ma większej nagrody dla człowieka niż sprawić, aby jego nazwisko go przeżyło. Byłem takim dzieciakiem.

– To nie jest takie znów dziecinne marzenie. Wszyscy boimy się zapomnienia. Boimy się, jak mówi Claudio: „Leżeć w ciemności zimnej i gnić z wolna”^[26]. Nie ma znaczenia, jak bardzo to ukrywamy, czy każdy uczony nie chciałby osiągnąć nieśmiertelności dzięki swojemu dziełu?

– Być może, ale to nie powinien być jedyny motyw, prawda? Poza tym, unikam tej prawdy jak wstydliva panienka. Bo najgorsze jest to, że niewiele lepszy ze mnie astronom niż prawnik. Pasja to nie wszystko, zdolności też się liczą.

– Bzdury opowiadasz, masz jedno i drugie, wiem o tym.

Will opiera się na łokciu i patrzy jej w twarz. Widzą tylko swoje zarysy. Cienie. Przesuwa palcem po jej brodzie.

– Jesteś miła, ale ważne jest też mówić prawdę. Prawda musi być pierwszą kochanką filozofa natury. Jestem w stanie podążać za dokonaniem innych, ale nikt nie będzie podążał za moimi. To nic takiego, Hen. Nie martw się. To jest jak żałoba, trzeba zmierzyć się z własną przeciętnością. Ale ja już się z tym zmierzyłem. Już to przebolełem i teraz jestem dobrej myśli. Tak mi się wydaje.

Hen milczy, nie chcą wypowiadać banałów. Wie więcej niż on o granicach jego możliwości. Patrzy w bezlik gwiazd i myśli o niezliczonych mężczyznach i kobietach, których imiona umarły razem z nimi. Kobiety nie pozwalają potomności przyszpilić się. Jesteśmy zbyt blisko prawdy zapomnienia. Ilu może być Cynceronów, ilu Cezarów?

– Jest też pewne pocieszenie w byciu śmiertelnym – mówi dalej, a jego głos obniża się do jawnie poufałego szeptu, pod niezmiernym, usianym gwiazdami niebem.

Pochyla się, żeby pocałować ją w szyję. Hen traci oddech, choć jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, nie widzi go wyraźnie. Jedynie zarys sylwetki, ale zna ją teraz tak dobrze, że potrafi wypełnić kochającym spojrzeniem.

– W tym sęk, kochana. Skoro nie jestem w stanie stanąć w jednym rzędzie z gigantami, mogę przynajmniej stać z podniesioną głową wśród śmiertelnych. Dość już prób przypodobania się innym, Henrietto. Próbowaliśmy trzymać się od siebie z daleka, i oto jak to się skończyło. Zostały mi już tylko trzy miesiące z siedmiu lat studiów, a potem stanę się całkiem wolnym człowiekiem. Zaręczymy się, Henrietto, ty i ja?

– Tak! – krzyczy mu w ramionach. – Tak!

Jego wargi dotykają jej ust, a jej biodra jego bioder. Przez chwilę myśli o Annie, jej brzuchu, krwi, złamanych obietnicach i zmarnowanych nadziejach. Ale odtrąca te myśli, odpędza od siebie. Ponad jego ramionami gwiazdy migoczą i mrugają.

^[26] William Szekspir, *Miarka za miarkę*, przekład Maciej Słomczyński.

ROZDZIAŁ 29

GRUDZIEŃ 1646

W dzień ślubu pada śnieg. Miasto jest spowite bielą. Hen idzie z Nedom do kościoła, po drodze myśli o ojcu. Jakże on lubił śnieg, lubił patrzeć, jak znajome, zwykłe miejsca zmieniają się w magiczne. Jak on narzekał podczas odwilży, jakby każda sterta zabrudzonego sadzą śniegu spadająca z hukiem na ulicę była zastawioną na niego pułapką.

Ned kroczy zamasyście obok siostry, a mróz sprawia, że ma zarumienione policzki i skrzące się oczy. Hen trzyma się jego ramienia, żeby nie upaść. Nie może się przewrócić w tej sukni, z takim mozołem uszytej razem z Hattie i przy niemrawych pochrząkiwaniach Lucy. Ma lodowate dłonie, martwi się, że jej nos stał się spierzchnięty i czerwony. Każe zatrzymać się bratu przed kościołem, nagle ogarnięta zdumieniem. Wewnątrz czeka na nią Will z ojcem, matką i trzema siostrami. Spotkała się z nimi na krótko zeszłego wieczora. Ojciec był przyjaźnie czarujący, pozostawiając wyrazy dezaprobaty swojej milczącej żonie. Młodsze siostry, z których najstarsza jest w jej wieku, a najmłodsza ma szesnaście lat, są tak do siebie podobne, że niemal nie do odróżnienia.

Hen jest tak szczęśliwa, tak zadowolona, że poradziła sobie w ciągu ostatnich kilku lat. Nikomu niczego nie zawdzięczała. Samodzielnie zarabiała i wydawała własne pieniądze wedle swojego uznania. Zaprzyjaźniła się z Hattie, kochaną Hattie. Żona rzeźnika może przyjaźnić się z nędzarką, samotną kobietą robiącą wszystko po swojemu. Być może umawianie się na plotki z żoną prawnika nie będzie już takie łatwe. Hattie zapewne też jest w kościele z Anną, która upiera się, że będzie stała z owym wyrazem triumfu na twarzy i rączkami ściskającymi suknię opiekunki. „Mamo” – mówi. „Mamo”. A twarz Hattie rozświecła się jak stalowe krzesiwo.

Hen czuje się słabo. Stara się skupić na twarzy Willa, wyobrazić sobie jego uśmiech i podskórne drżenie, kiedy stoi obok niego. Panika w niej narasta.

– Hej, Hen? Co się dzieje?

– Ned, co ja robię?

Myśli o księgarni, o panującym w niej zapachu, o godzinach nudy i radości, które przeżyła w pokoiku na jego tyłach. To się skończyło. Pan Rowan podarował jej podręcznik dla gospodyń domowych, jako prezent ślubny i podziękowanie. Wie, że nie wychowywała jej matka. Na jej miejsce w przyszłym tygodniu przyjmie nowego chłopaka na terminowanie. Pan Rowan najpewniej też jest w kościele ze swoją zgorzkniałą żoną.

„O Chryste. A co jeśli ja i Will też staniemy się takim zasuszonym małżeństwem, co jeśli to jarzmo okaże się za ciężkie do uniesienia? Wszystkie stare, nieszczęśliwe małżeństwa zaczynały jako pełne nadziei młode pary”.

– Oddychaj, Hen. Słuchaj. Wdech nosem, wydech ustami. Wdech, wydech, wdech, wydech. Wyglądasz jakbyś miała się zmierzyć z szarżą kawalerii.

Myśli o mieszkaniu nad rzeźnikiem, pomalowanym ochrą, wilgotnym i należącym tylko do niej. Will wynajął nowe mieszkanie obok Temple. Niedaleko miejsca, gdzie powieszono ojca. „Och, ojciec” – myśli. „Szkoda, że go tu nie ma”. Myśli o wadze, którą Sam wykorzystuje jako trick myślowy. Z jednej strony połów wszystko, co tracisz, i jeszcze nową rodzinę, w którą wchodzisz. Wyobraża sobie pełne wściekłości piski teściowej i irytujące szczebiotanie szwagierek. Na drugiej Willa. Tylko jego. Jest wysoko w powietrzu, jego szalka została kilkakrotnie przeważona.

Spogląda na Neda i uśmiecha się, widząc jego zatroskaną minę.

– Gotowa? – pyta nerwowo, jakby dopuszczając odpowiedź: „Nie, uciekajmy! Uciekajmy!”.

Zamiast tego, tylko kiwa głową. Brat popycha drzwi, które się otwierają. Widzi przed sobą liczne twarze, a między nimi Willa, lśniącego wśród zgromadzonych, w szkarłatnej todze prawnika. I wtedy wskazówka wagi znów wraca na środek.

Po ślubie idą do gospody „Pod Syreną” zjeść, napić się i potańczyć. Ojciec Willa zdobył trochę pieniędzy i to jest ich prezent ślubny. Skoro Will musi ożenić się z ubogą córką rojalistycznego spiskowca, niech chociaż zrobi to w dobrym stylu. Goście przystroili się weselnymi kokardami, które trzepoczą, odbijając się jaskrawymi barwami na tle świeżego śniegu. Jedna z sióstr Willa, Patience, chwytą Hen za rękę i uśmiecha się, patrząc jej w oczy, żeby pokazać, jak bardzo się cieszy. Will idzie obok niej, niemal skacząc ze szczęścia i pewności siebie. Mocno ściskają się za dłonie, są dla siebie oparciem pośród gwaru i poruszenia.

Wchodzą do gospody, którą ktoś całą przyozdobił liśćmi ostrokrzewu. Liście i jagody wiją się wokół stołów i krzeseł, każdy zakątek wypełnia zielenią. Sala wygląda jak altanka ślubna. Dostaje kubek wina korzennego i ciepły napój rozgrzewa ją od środka.

Jedzenie jest gorące i w dużej obfitości. Pośrodku bogato zastawionego stołu leży duże prosię, które Hen do zeszłego tygodnia знаła jako Tłuscioszka ryjącego na podwórzu domu Hattie. Na końcu stołu stoją torty weselne, ułożone jeden na drugim. Will chwytą ją za rękę i podprowadza do ciast. Nagle stary obyczaj zdaje się zupełnie

nowy i ekscytujący, kiedy to ona całuje pana młodego nad tortami wśród gwizdów i śmiechów.

Po jedzeniu następują tańce. Will zaprasza ją i zaczynają tańczyć pośród zestawionych krzeseł i odsuniętych stołów. Rytm wybijany przez bębniarza sprawia, że Hen ma ochotę skakać, uśmiechając się do męża jak szalona podczas harców na parkiecie.

– Pani Johnson – szepcze Will za każdym razem, kiedy się zbliżają do siebie.

Za każdym razem wybucha śmiechem, jakby jej mąż był najdowcipniejszym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył na ziemi. On odpowiada śmiechem na jej śmiechem, co wywołuje uśmiech u wszystkich gości, którzy dołączają do tańczących w coraz lepszych humorach.

Nawet purytanie tańczą w najlepsze. Hen podsłuchuje przypadkiem, jak Ned mówi do matki Willa:

– Istnieje różnica, oczywiście, między wesołością świętowania a brakiem umiaru. Bóg przecież kocha śluby. Czyż sam nie brał udziału w weselu w Kanie Galilejskiej?

Kochany Ned. Postanowił zjednać sobie Sarę, żeby przekonać ją, że wybór przyjaciela nie jest całkowicie pozbawiony sensu.

Teść energicznie ściska jej rękę z niekłamany entuzjazmem.

– Nigdy nie byłem przeciw tobie – szepcze. – Ach, bądź miła, Henrietto, dla mojej biednej Sary. Kiedy sama będziesz miała syna, zrozumiesz.

Muzyka się zmienia i Hen znajduje się w parze z Johnem Cooke’iem, mentorem Willa. Twarz mężczyzny jest radosna, nie ma na niej śladu zwykłej solenności. Niedaleko jego żona Frances kiwa się i kołysze. Oboje są znani z purytańskich przekonań i Hen z rozbawieniem obserwuje ich reakcję na przyzwolenie na zabawę. Pozwalają ogarnąć się wesołości, do której nie nawykli. Czasem odsuwają ją od siebie, ale po chwili znów ulegają powszechnej wesołości.

– Pobraliśmy się zaledwie cztery miesiące temu, pani Johnson – mówi Cooke.

Hen podoba się sposób, w jaki odwraca się do żony przy tych słowach. Czuje do niego sympatię. Jeszcze zanim poznała Willa, czytała jego ulotkę *Oczyszczenie prawników i prawa*. W pełni zgadza się z jego twierdzeniem, że dochodzenie prawa znajduje się poza zasięgiem zwykłego człowieka. „Sprawiedliwość – dowodził – nie powinna przysługiwać tylko zamożnym”.

– Niech cię Bóg błogosławi – mówi Frances. – Będziesz tego potrzebowała, skoro wyszłaś za prawnika. Twój mąż w czasie semestru zamieszka w tej karczmie, jak przypuszczam, żeby zagłębić się w swoje książki prawnicze. Może mogłybyśmy dotrzymywać sobie towarzystwa w długie wieczory.

– Chętnie – odpowiada Hen.

Łapie przechodzącego Neda i przedstawia go Cooke’om.

– Pan Cooke jest prawnikiem generała Fairfaxa – mówi i patrzy, jak mężczyźni natychmiast zaczynają rozwodzić się nad zaletami dowódcy.

– Bez niego wojna dalej by się ciągnęła, zapewniam pana – stwierdza Ned,

zaciskając pięści dla podkreślenia swoich słów.

Hen obserwuje Lucy, która podchodzi, żeby zaznaczyć swoje prawo do męża – pani Cooke nie jest brzydka, po czym zostawia ich, odchodząc z poczuciem wolności, jakiego panna młoda oczekuje w dniu ślubu.

Wraca do Willa.

– Ależ jesteś piękny, panie Johnson.

– Poczekaj, mężczyzna nie może być piękny.

– A jednak ty jesteś.

– Żono.

– Mężu.

Znów zostaje porwana, tym razem przez Hattie. Musi prawić uprzejmości nieuprzejmej żonie pastora. Przyłącza się do nich pan Rowan i, gdy uwagę żony pastora odwraca jakieś godne potępienia zachowanie, szepcze do niej:

– Jesteś taka piękna. Zupełnie jak Viola. Twój ojciec...

Kaszle z zakłopotaniem i klaszcze w rękę.

Hen całuje go w policzek i idzie poszukać Willa. Przechodząc obok Neda, słyszy jego słowa:

– To jest najważniejsze! Słowo Boże musi być głoszone prostym ludziom w prosty sposób, podobnie jak prawo.

Cooke'owie potakują mu z zapałem. Wreszcie dociera do Willa, który droczy się z siostrami.

– One nie mają litości, Hen. Mówią, że jesteś dla mnie zbyt ładna i w ogóle zbyt dobra dla takiego niezguły.

– Uważam, że twoje siostry są bardzo mądre i doskonale określiły twój charakter.

Najmłodsza, Patience, której imię jest bardziej wyrazem pokładanych nadziei niż zdolności przewidywania rodziców, rusza w jej stronę i z ekscytacją rzuca się jej w ramiona.

– Siostro! – woła, a Hen całuje ją serdecznie.

Nagle natyka się na Neda i mówi bez zastanowienia:

– Och, jak żałuję, że nie ma tu Sama.

Ze smutkiem patrzy na jego nagle spochmurniałą twarz.

– Sam – wypowiada imię brata głosem rzewnym od wina, którego nie ma w zwyczaju pić. – Och, Hen. Myślałem, że cała zła krew między nami nic nie znaczy w porównaniu z tą, którą dzielimy. Ale teraz, teraz nie jestem już tego taki pewien. On tak bardzo się myli, Hen. Jego cel jest taki zgubny, taki zły. Próbuje odebrać nam szansę utworzenia królestwa Bożego na ziemi. Jak możemy być ze sobą w dobrych stosunkach?

– Musicie – odpowiada siostra, niemal tupiąc nogą.

– Ale jak?

Wyraz rozpaczy na twarzy Neda powstrzymuje jej złość.

– Biedny Ned – mówi, biorąc go pod ramię. – Biedny Ned!

Brat dla żartu odtrąca jej rękę i oboje wybuchają śmiechem.

Ale słowa Neda rzucają cień na jej święto. Podobnie jak on, sądziła, że kiedy minie całe to zamieszanie, ich relacje znów staną się braterskie. Teraz musi stawić czoła nadchodzącej kłótni i żarliwie modli się o to, żeby nigdy nie poproszono jej, by stanęła po jednej ze stron.

Dzień zbliża się ku końcowi. Wreszcie nadszedł ten czas. Kilku nieżonatych przyjaciół Willa odpina jej podwiązki i przyczepia je sobie do kapeluszy, a goście wybuchają śmiechem. Kobiety otaczają Hen, gdacząc jak opiekuńcze kwoki i prowadzą na piętro do sypialni. Najlepsze łóżko w karczmie zostało udekorowane tą samą ręką, co sala weselna, i także przypomina wiejską altankę ślubną. Ozdoby ze splecionych gałązek ostrokrzewu otaczają baldachim, a każda z czterech kolumnienek została obwiązana wstążkami.

Kobiety wspólnie rozbierają pannę młodą, opowiadając sprośne żarty, trącąc się porozumiewawczo. Ubrana w koszulę nocną Hen wchodzi do łóża. Spotyka się wzrokiem z matką Willa, która uśmiecha się do niej zaciśniętymi ustami. Z pokoju obok słychać mężczyzn rozbierających pana młodego, po chwili z hałasem wpadają do sypialni.

– Za bardzo sflaczał, ozdobić go wstążkami – krzyczy jeden z mężczyzn i całe towarzystwo wchodzi do środka. Popychają Willa tak, że pada na łóżko i spogląda na Hen z przepaszającym półuśmieszkiem.

– Dajcie mu worek, włóżcie do środka usztywniacze – woła inny.

Will wchodzi do łóżka. Jego siostra Beatrice, druhna panny młodej, i Steven Abrey, druh pana młodego, siadają u stóp łóża, tyłem do nowożeńców. Trzymają pończochy Willa i Hen. Zebrani chórem odliczają do trzech. Na trzy Beatrice i Steven rzucają pończochami za siebie. Rzut siostry Willa okazuje się trafiony, pończochy lądują na nosie Hen.

– Wyjdę za mąż! – krzyczy Beatrice, a matce udaje się rzucić jej spojrzenie jednocześnie krzywe i pełne ulgi.

Kubek napoju z grzanego białego wina wędruje ponad głowami gości, a kiedy nowożeńcy z niego piją, Hattie intonuje:

– Białe wino na wigor, cukier na czułość.

Napój jest mocny, wyrazisty w smaku i słodki. Hen chichocze, jest lekko pijana i odwraca się z zakłopotaniem. Will wygląda na podekscytowanego i nedorzecznie szczęśliwego.

– Wypij to szybko, a wtedy oni zostawią nas w spokoju – mówi, na co zgromadzeni wybuchają zgodnym śmiechem.

– Na twoim miejscu piłabym małymi łydkami – woła Hattie, a niektóre kobiety kiwają głowami potakująco. Hen spogląda na Willa i wypija napój jednym zdecydowanym ruchem.

ROZDZIAŁ 30

STYCZEŃ 1647

Dziewczyna obok poruszyła się. Na rany Chrystusa, nie pamięta, jak się nazywa. Florence albo Marie, albo jeszcze jakoś inaczej, zgodnie z papistowską modą. Światło wpada przez szczelinę między ciężkimi zasłonami i Sam ponownie sięga po list od Henrietty. Bóg jeden wie, jak tu do niego dotarł.

„Wyszła za mąż, ni mniej, ni więcej. I to za tego Willa. Trochę mól książkowy, ale rozsądny. Kochana Hen, mam nadzieję, że jest z nim szczęśliwa” – myśli. „Jeśli ten drań ją skrzywdzi...”

Florence albo Marie znów się porusza, odkrywając się przez sen. Jej plecy są nagie i białe. Nie pamięta dokładnie twarzy dziewczyny ukrytej pod burzą nieupiętych loków. „A jednak – myśli z nagłym ukłuciem – porządna z niej dupa”.

Nagle czuje się trochę zażenowany. Znudzony, płytki, niezadowolony. Nie znosi życia dworskiego. Wszyscy ci byli żołnierze zebrani razem w *château* – który co prawda wygląda imponująco, ale mogą pozwolić sobie na ogrzanie tylko niektórych komnat – snują się bez celu zmarznięci i znudzeni, współzawodniczą o względy księcia pozbawionego państwa i królowej poślubionej uwięzionemu monarsze.

Okrywa dziewczynę kołdrą. Tu jest cholernie zimno. Może i ma dobre stosunki z księciem, ale ten francuski gnojek przydzielający pokoje zna rodowód każdego i przydzielił synowi kupca pokój na końcu skrzydła, o dwóch nieosłoniętych niczym ścianach i oknach, przez które wlatuje do środka lodowate powietrze. Drży z zimna, przysuwa się więc bliżej do Florence albo Marie.

Niebawem ma się odbyć pojedynek i to ożywi ten dzień. Zwolennicy Ruperta przywlekli się tu obolali i pili na umór od wycofania się z udziału w wojnie francusko-hiszpańskiej. Sam zaczyna być już trochę znużony, zwłaszcza od kiedy najlepsze dziewczęta odkryły, że żaden z nich nie ma złamanego grosza przy duszy.

Księżę Rupert nadal dochodzi do siebie po ranie otrzymanej w głowę podczas nieswojej wojny. Utyskuje i wpada w taką wściekłość, że nawet Sam musi sobie przypominać o miłości, jaką darzy dowódcę. Podobno księżę znów pokłócił się ze

swoim starym wrogiem, lordem Digby, i miało dojść między nimi do starcia na ubitej ziemi. Sam był spokojny o Ruperta.

Ale całe to politykowanie i ubieganie się o względy sprawia, że czuje się podle. Nie ma tu nawet polowań, żeby zużyć trochę energii, wszystko przez śnieg osaczający ich w tej pół-Anglii na obrzeżach Paryża.

Kochana Hen. Wydaje się taka szczęśliwa w tym liście. Dziewczyna odwraca się i spogląda na niego spod gąszczu włosów. Myli jego uśmiech z czymś innym i przekłada przez niego nogę. „No cóż” – Sam odkłada list. „Dlaczego by nie?”.

*

Słyszą tupot butów. Hattie podbiega do okna, które wychodzi ponad dachami na ulicę z tyłu. Grupa mężczyzn ze szpadami w dłoni zdecydowanie okrąża dom Overtonów.

– Mary – mówi Hattie. – Oni idą po Mary

Hen, która właśnie przyszła odwiedzić przyjaciółkę, sadza sobie małą Annę na kolanach, nie zważając na jej protesty. Przyciska nos do rozgrzanej szyi Anny, całuje ją w ramionka. Jest zmęczona. Wszystkie rozkosze małżeńskiego łóża sprawiają, że do późna nie śpi. Cztery tygodnie pożycia małżeńskiego wystarczyły, żeby zaczęła ucinać sobie drzemki podczas dnia. Noce przeznaczają na pocałunki, pogaduszki, miłość i długie, pełne zaspokojenia chwile po seksie, gdy spleceni rozmawiają niespiesznie.

Słyszą krzyk i czyjś płacz.

– Powinniśmy sprawdzić, czy nie można jej pomóc – odzywa się Hattie.

Hen przytakuje bez entuzjazmu. Wie, że jest samolubna. Ale jest tak głupio szczęśliwa, że nie ma ochoty psuć sobie tego uczucia, mieszać się w czyjąś walkę. Już same odgłosy przypominają jej o tym, co przydarzyło się ojcu.

Biorą szale, a Hattie sadza małą Annę na biodrze, owijając ją podwójnie, żeby nie zmarzła. Przed domem Mary zdażył już się zebrać niewielki tłum. Żołnierz prowadzi kobietę za ramię, wlecze ją w stronę swojego dowódcy. Overton niesie niemowlę, a jej spódnicy trzyma się dwójka starszych dzieci.

Protestuje przeciwko zatrzymaniu. Wygląda staro i zdaje się zrozpaczona. Ma palce poplamione farbą drukarską, czarne smugi rozmazane są też na policzkach niemowlęcia, bo ociera mu łzy pobrudzonymi palcami.

– Zamknęliście męża w więzieniu, jak inaczej mam wykarmić dzieci? Powiedźcie mi? Co mam robić? Co mam robić?!

Traci kontrolę nad sobą i ostatnie pytanie wykrzykuje w twarz jednemu z żołnierzy. Ktoś z tłumu wybucha śmiechem, a Hen ma ochotę odnaleźć go i spoliczkować tak mocno, żeby oczy wyszły mu na wierzch.

– Co sobie myślałaś, drukując te ohydzstwa? Dziwko! – wrzeszczy dowódca straży.

Na jego rozkaz dwóch żołnierzy wkłada w dyby kobietę nadal trzymającą dziecko na

rękach.

– Przestańcie! – krzyczy Hattie. – Przestańcie, dranie! Nie widzicie, że nosi dziecko?

Jeden z żołnierzy odwraca się, żeby spojrzeć na kobietę, a potem znudzonym ruchem kopie w brzuch uwięzioną. Mary stoi w dybach na widoku wszystkich, ze stopami w błocie.

Claire Baker przychodzi w samą porę, żeby to zobaczyć i wpada w panikę. Pada na kolana w szlamie i zaczyna się modlić, wpatrując się w Mary.

– Hattie – krzyczy Mary, łkając – zaopiekujesz się Dickiem i Martą?

Chłopczyk i dziewczynka, żadne z nich nie ma więcej niż pięć lat, przytulają się do siebie z płaczem. Dziewczynka przypomina matkę. Ma kwadratową twarz i ciemne włosy. Rozmazane łzy i smarki błyszczą na jej twarzy. Hattie oddaje Henriecie małą Annę i przygarnia zapłakane dzieci, które chowają buzie w jej chuście.

Żołnierze odchodzą, prowadząc przed sobą Mary, która musi skakać przez kamienie bruku i kluczyć między kałużami. Trzyma dziecko przed sobą w wyciągniętych, trzęsących się rękach, starając się uchronić je przed brudem. Otaczający ją strażnicy przeklinają i plują.

– Ladacznic.

– Dziwka.

– W brzuchu nosisz pomiot szatana?

– Idę z nią – oświadcza Claire i podąża za nieszczęsnym pochodem, uporczywie melorecytując psalm.

– Hen, ja zabieram dzieci, a ty idź do domu Mary i zbierz, co się da.

Hattie łapie pulchną rączkę każdego dziecka i odchodzi. Hen wchodzi do domu przez wyłamane drzwi. Znajduje prasę drukarską. Maszyna nosi ślady zniszczenia dokonanego przez żołnierzy. Kartki papieru nadal się suszą. W innym miejscu leży niewielki stos ukończonych egzemplarzy. Wygląda na to, że Mary zszywała wysuszone strony, kiedy żołnierze weszli. Kartki leżą podeptane i podarte na podłodze. Dom wygląda jak kostnica słowa drukowanego.

Hen chwyta ubranka dziecięce i zabiera niewielkie zapasy, które znajduje w spiżarni. Sięga po jedną z suszących się ulotek. Słyszy kroki. Mnie papier i wpycha go między ubrania. Okazuje się, że to tylko Charlie, mąż Claire Baker.

– Trzeba wstawić drzwi – burczy pod nosem.

Hen przytakuje i wychodzi za nim na ulicę.

Po powrocie do Hattie widzi dwójkę dzieci zajadającą miskę rosółu,

– Jeszcze dwoje do wykarmienia, Hattie?

Hen przysiada się do nich, Anna kręci się na kolanach przyjaciółki, zainteresowana nowymi twarzami.

– A miałam wybór?

– Racja. Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

– Cicho, Hen. Wy z Willem dopiero zaczynacie. Przyjdź i pomóż, kiedy nie będziesz chować klejnotów matki na czarną godzinę. Potrzebuję jedynie twojego towarzystwa.

Dobrze, że handel jakoś się kręci. Ludzie muszą jeść.

Krząta się, żeby dać dzieciom więcej jedzenia, a Hen ją obserwuje. Zastanawia się, jakie było życie Hattie przed wojną. Samej ze szkockim, despotycznym mężem. A teraz, nagle, dom pełen dzieci i nikogo, kto mówiłby jej, kiedy przyjść, kiedy wyjść.

Kiedy przyjaciółka odwraca się w jej stronę, Hen dostrzega rumieńce na jej policzkach. Mała Anna wyciąga rączki i kwili głośno. Z udawanym wyrazem wyczerpania Hattie bierze ją na rękę.

– Czy ja nie mogę mieć chwili spokoju, mały potworku?

Zachwycona Anna chichocze i łapie ją za nos.

– Aj – krzyczy Hattie, a dzieci Overtonów spoglądają na nią znad zupy i uśmiechają się na ten widok.

Później nadchodzi Claire. Hattie patrzy jej w twarz i każe dzieciom iść nakarmić świnię. Anna, pogrążona w śnie, leży na poduszce w rogu z rękami wyrzuconymi nad głowę.

– Straciła dziecko – mówi Claire, siadając ciężko przy stole.

– Biedna Mary – jęknęła Hen.

– Wola Boża – stwierdza Claire.

Hattie odchrząkuje. „Traci już cierpliwość do woli Bożej” – myśli Hen, ale nie wypowiada tego na głos. Niektórych obszarów nie porusza się nawet z najlepszymi przyjaciółmi. Kiedyś poszły na jedno ze spotkań Claire. Hen była podekscytowana. Wiele mówiono o słynnej kobiecie-kaznodziei i jej zdumiewającej umiejętności mówienia o Duchu Świętym. Ale po godzinach spędzonych na słuchaniu kazań obie pozostały chłodne, obojętne i z obolałymi od siedzenia tyłkami.

Hen miała nadzieję, że usłyszy czysty głos Boga, jednak wyszła od Claire całkowicie zdezorientowana. W jednym z kazań, wygłoszonym z pasją przez brodatego garbarza, mówca utrzymywał, że nauka jest znakiem szatana, a książki zaciemniają Słowo. „Boża prawda przemawia przez usta prostych i uczciwych” – stwierdził.

Hen wierciła się niecierpliwie przez całą jego długą tyradę. Jak Bóg może gardzić nauką? Czy sam nie dał nam rozumu?

Po zakończonym kazaniu wracała z Claire i Hattie. Hen z zazdrością patrzyła na radość przepełniającą Claire, która była tak wypełniona chwałą Bożą, Duchem Świętym, miłością, że w mroku niemal unosiła się nad nią luna. Ale kiedy usiadły same przy kominku w jadalni Hattie, z kubkiem grzanego wina z korzeniami, przyjaciółka zwróciła się do Henrietty i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

– Zastanawiam się, czy to moja wina, czy też to wszystko było niewyobrażalnie nudne?

Hen uśmiecha się, myśląc o tym. Przed domem słyszy dziecięcy śmiech i kwiki drażnionej świni.

– Wszędzie była krew, a nie pozwolili mi jej umyć – mówi Claire, płacząc ze znużonym współczuciem nad nędzą tego wszystkiego.

– Niech Bóg błogosławi twoje dobre serce, Claire – mówi Hattie i klepie ją po rękę.

– Nie dziwię się, że ją aresztowano – odzywa się Hen. – Jakież ona rzeczy drukowała. Słowo daję. Bez wątpienia wywrotowe. Sam tytuł ulotki: *Tyrania królewska obnażona*.

Wyjmuje wyniesioną stronę i ją wygładza. Farba drukarska jest rozmazana, ale słowa można odczytać.

– Posłuchajcie tego: „Z urodzenia wszyscy ludzie są równi pod względem pochodzenia, prawa moralnego, swobód i wolności, a że to ręka natury przynosi nas od Boga na ten świat – każdego z taką samą naturalną, wewnętrzną moralnością, wolnością i swobodą, jakby były one wyryte w sercu człowieczym niby w kamieniu – żyć mamy równi sobie i równie cieszyć się przyrodzonymi prawami i przywilejami, bo Bóg z urodzenia każdego uczynił wolnym”.

Hattie gwizdże po wysłuchaniu tego fragmentu.

– Nic dziwnego, że po nią przyszli – stwierdza.

– Tego właśnie zawsze obawiali się zwolennicy stronnictwa umiarkowanego, tacy jak mój ojciec – mówi Hen. – Że kiedy nadgryziesz pasztecik, nie spodoba ci się to, co jest w środku.

Kobiety wstają i oglądają tekst. Przerażające, a równocześnie upajające wydaje się posiadanie tego pisma w domu. Całej tej mocy zawartej w słowach.

– Dzielna, biedna Mary. Co ona sobie myślała? – zastanawia się na głos Claire.

Hattie potakująco kiwa głową:

– Dzielna, to prawda. Ależ to wspaniałe! Przeczytaj raz jeszcze, Hen.

Henrietta spełniła prośbę przyjaciółki. Przy ponownym czytaniu majestat słów jeszcze wzrasta. Hen spogląda na Hattie, żonę rzeźnika, i czuje w tym prawdę. Przerażona jednak wzbrania się przed tą myślą.

– Ani słowa o kobietach – zauważa Hattie.

– Mówi się o nich domyślnie – stwierdza Hen. – A poza tym, kto zna lepiej tyranię od nas. „Naturalna wolność wyryta w sercu”, Hattie. Możesz przypomnieć sobie to zdanie, kiedy mąż wróci do domu.

– Uważasz, że to pomoże, kiedy chwyci za pas? – uśmiecha się i pomyślawszy chwilę, dodaje: – Tak, może pomóc.

Claire odkłada kartkę.

– Co z Mary? – zastanawia się Claire. – Kipiała z wściekłości u namiestnika więzienia. Oskarżyła go o ciemnienie ludu angielskiego, narzucanie mu podległości i zniewalanie. Powiedziała mu też, że jest tyranem i uzurpatorem. A także, że pogwałcił jej „prawa i wolności”.

Znając Mary, wszystkie były w stanie sobie wyobrazić tę scenę.

– Naprawdę ją podziwiam – odzywa się Hen.

Stara się wyobrazić sobie, co ojciec powiedziałby na jej przyjaźń z agitatorką myśli lewellerów.

W pierwszych miesiącach małżeństwa Henrietty, przywykły do podziałów Londyn stał się jeszcze bardziej niespokojny. Nastął czas herezji i powstawania wielkich idei. W tle trwają przepychanki parlamentu z armią. Nieopłacane i zbuntowane wojska koczują pod murami miasta, a mieszkańcy Londynu zaczynają się obawiać, że wkrótce mogą ugryźć rękę, która zbyt niemrawo daje im jeść.

Poza zwykłą szamotaniną o przeżycie, istną plagą są spory i podziały, wyolbrzymiane i podsycane przez żądną sensacji prasę. Purytanie, których niegdyś uważano za niebezpiecznych radykałów, teraz są zaliczani do umiarkowanych. Nie wystarczy już obalić biskupów i zlikwidować ogrodzeń ołtarzowych. Bycie radykałem oznacza teraz okazywać pogardę każdej cegle, z której wzniesiono kościół. Oznacza przekonanie, że Duch Święty działa w ubogich i pozbawionych własności. Oznacza odwoływanie się do praw i wolności ludu angielskiego, teraz deptanego przez parlament z taką samą zajadłością jak niegdyś przez króla. Mówienie tego, co się myśli, głośniej niż szeptem wiąże się z coraz większym ryzykiem. A jednak w bieżących wiadomościach i buzujących w mieście opiniach obecne jest to słowo: „republika”.

Późną nocą Will i Hen próbują w tym wszystkim dojrzeć jakiś sens. Polityczne sympatie Willa sytuują się po stronie independentów, którzy postulują konieczność zakończenia konfliktu zbrojnego i wierzą, że założenie jednolitego Kościoła państwowego – być może purytańskiego, ale niekoniecznie – jest najlepszym sposobem zaleczenia głębokich, ropiejących ran zadanych narodowi. Henrietta ripostuje, że wezwanie do Ducha Świętego nigdy nie znaczyło dla niego zbyt wiele. Pospiesznie odmawia modlitwy, by jak najszybciej zająć się swoimi tabelami astronomicznymi.

Poglądy Hen są mniej skryształizowane. Zgadza się z większością radykalnych postulatów, ale obawia się konsekwencji wprowadzenia ich w życie. Można zgadzać się z ideą, że wszyscy ludzie są równi przed Bogiem, ale co to oznacza w praktyce? Pamięta, jak bardzo ojciec bał się anarchii. W każdym razie nie jest łatwo wypracować sobie stanowisko, gdy grunt obsuwa ci się spod nóg.

A Henrietta nagle traci grunt.

Potwierdzają to Hattie i pani Simmonds. Jest w ciąży. Hen nie widziała się z Goody Simmonds od czasu śmierci Anny. Po uzyskaniu potwierdzenia wstaje i odrzuca ich troskę. Nie robi tego, co powinna – wie o tym. Biegnie do domu i czeka na męża w ich nowym mieszkaniu, przy spokojnej ulicy niedaleko Fetter Lane, do którego Will wraca, kiedy nie nocuje w Temple.

Mają niewiele rzeczy. Jedną skrzynię na bieliznę i naczynia, w większości podarowane im przez gości weselnych Willa. Poza tym łóżko i stół. Uwielbia to miejsce, nie dla niego samego, lecz dlatego, że przypomina jej o Willu, którego obecność wyczuwa w powietrzu, nawet gdy go tu nie ma.

Czeka na męża w ciemności, nie przejmując się koniecznością zapalenia świec.

Kiedy wreszcie wraca, znajduje Hen siedzącą w kucki w kącie. Zrywa się, podbiega do niego i wtula twarz w jego ramiona, szlochając tak gwałtownie, że Will musi ją długo uspokajać.

– Ależ Hen, to wspaniale! – woła, odsuwając się, żeby mogła dostrzec w mroku jego uśmiech.

Ale ona wpada w złość, wścieka ją ślepotą Willa.

– Wspaniale! Wiesz, jakie były ostatnie słowa Anny do mnie? „Boję się”. A moja matka? Ja ją zabiłam! Wspaniale! Ty durniu!

Will jest przerażony jej złością i najwyraźniej nie wie, co robić.

– Tu w środku – Hen pokazuje swój brzuch – ono rośnie, rozumiesz to? Rośnie. I będzie chciało mnie zabić. Będzie próbowało. A ja będę musiała opuścić ciebie, Hattie i Annę. I to dziecko.

– Zachowujesz się irracjonalnie – mówi Will, a ona dostaje kolejnego ataku furii.

Jak on śmie! To on powinien je nosić. Dziecko już ją osłabia. Teraz rozumie, dlaczego tak źle się czuje, dlaczego codziennie jest tak zmęczona, że żadna ilość snu jej nie starcza.

Tej nocy śpią po przeciwnych stronach olbrzymiego łóża, oboje boleśnie świadomi dzielącej ich zimnej, ciemnej przestrzeni.

*

Przed kościołem St Mary grupa żołnierzy rozmawia z ożywieniem i żarliwie. Ned chce być sam, schodzi więc nad brzeg rzeki. Tutaj, w Putney, w górnym nurcie, woda jest dość czysta. Londyńskie ścieki i brudy jeszcze jej nie dosięgły. Jest w tym metafora, której Ned nie jest w stanie do końca uchwycić. Głowę ma zaprzątniętą argumentami i kontrargumentami. Kołaczą się one w jego myślach, wywołując zamęt

Nagle słyszy dobiegający zza jego pleców głos:

– Nie wiem jak ty, ale ja się czuję jakby ktoś włożył mi worek na głowę.

To kapitan Shelby z pułku Whalleya. Zaprzyjaźnili się przed dwoma laty w Bristolu, po zakończeniu oblężenia. Ned ściska mu rękę, ciesząc się ze spotkania.

– A ty, John, po której stronie stoisz?

– Bóg jeden wie. Kiedy przemawiali lewellerzy, cały drżałem z podniecenia. Słyszałeś pułkownika Rainsborough? „Sądzę, że najuboższy człowiek w Anglii ma takie same prawo do życia jak najpotężniejszy”. Słuchałem tego i żar w moich trzewiach wołał: tak! O to właśnie walczyliśmy. Taka jest opatrność Boża. Prawa wyborcze dla każdego, sprawiedliwość dla każdego, wolność sumienia. A potem wysłuchałem Iretona pomstującego, że takie myślenie doprowadzi do anarchii, że prawo własności i prawo polityczne muszą iść ze sobą w parze, i rozum przekonał mnie, że on ma rację, więc się wycofałem.

Ned przytaknął. Też czuł to wahanie. Trzy dni debaty zwołanej przez Fairfaksa i Cromwella, żeby wysłuchać coraz silniej zauważalnych w armii różnic poglądów,

zarówno wśród oficerów, jak i prostych żołnierzy. W orgii płomiennych mów wysuwano i cofano argumenty. Nikt nie ma wątpliwości, że spierają się o przyszłość Anglii. W poszukiwaniu pokoju zawiązano dziwny triumwirat, do którego weszli król, parlament i armia. Król, teraz wspierany przez armię, jest uparty i nadal nieobliczalny. Wycofał się w kąt, sam, a mimo to z uporem dąży do stworzenia sytuacji patowej. Parlament sparaliżowały podziały podsycane przez króla i zagrożenie ze strony wojska. Podjęta latem próba rozwiązania armii zakończyła się marszem żołnierzy na Londyn. I chociaż jak zwykle zachowali spokój, tupot ich butów na Strandzie niósł się od Tower po Westminster. A teraz, tego rześkiego jesiennego dnia roku pańskiego 1647, wojsko jest tu, niecałe sześć mil od Westminsteru, rozmawiając o głębinach duszy i warunkach pokojowych.

– Mój ojciec – odzywa się Ned – zwykł mawiać, że nieważne jak bardzo kochasz obie strony monety, kiedy rzucasz los, musisz na którąś postawić.

– Źle obstawił, jak słyszałem.

– Tak, ale myślał rozsądnie. Moneta została rzucona, Johnie. Musimy się na coś zdecydować.

– Cóż, Ned, ja postanowiłem walczyć o mój zaległy żołd i moich ludzi, a politykowanie zostawiam innym. Chcę wrócić do domu.

– Tylko że jeśli wszyscy uczciwi ludzie zostawią politykowanie innym, zostaną sami głupcy i dranie.

John przytakuje jego słowom. Patrzą na przechodzącego pułkownika Rainsborougha. Najwyższy rangą oficer lewellerów jest pełen żaru, zaprawiony w boju i niezłomny. Żołnierze go kochają.

– On nie jest ani głupcem, ani draniem – mów Ned.

– Służyłeś z Hollesem, prawda?

Ned potwierdza. Denzil Holles, który stał obok niego w szeregu pod Edgehill, jest teraz pierwszym wnioskodawcą w parlamencie opowiadającym się za rozwiązaniem armii. Skoro tacy ludzie jak Holles, którego podziwiał, chcą żeby się poddali, muszą dysponować mocnymi argumentami.

– To jest porządny człowiek, Johnie. Dowodzi, że cały ten aparat wojenny, komitety parlamentarne i lokalne są sprzeczne z duchem wolności, nienawidzi też arbitralnej władzy, która przede wszystkim jest odpowiedzialna za tę wojnę.

– Komitety równie złe jak król.

– Właśnie. Podatki i opłaty nakładane są równie samowolnie, tylko w innym przebraniu. Nie można jednak rozwiązać komitetów, nie rozpuściwszy wojsk, które je wspierają.

– Najpierw trzeba nam jednak wypłacić zaległy żołd – mówi John. – Jeśli nie chcą nam zapłacić, gdy trzymamy szpady w dłoniach, dlaczego mieliby to zrobić, kiedy je odłożymy.

Ned przyznaje mu rację i dodaje:

– Ale nie ma pieniędzy.

– Chryste, Ned, jesteś po ich stronie?

Nie zaprzecza, tym samym podważając swoją lojalności wobec armii. Ma jednak mętlik w głowie. Jest tylko jeden klarowny punkt w jego myślach. Król. Wszyscy mówią o wolności ludu angielskiego – król, wysoka kadra wojskowa, parlamentarzyści, lewellerzy, członkowie radykalnych sekt, prorocy, anglikanie. Każdy definiuje ją w inny sposób. Ned postrzega tę plątaninę idei jako węzeł gordyjski uniemożliwiający zawarcie pokoju. Jeden miecz mógłby go przeciąć. „A co by się stało – myśli Ned – gdyby ten miecz ściał głowę króla? Jeśli król nie zniknie, będą bili się po głowach tępymi ostrzami aż do powtórnego przyjścia Mesjasza. Kto jednak, poza Bogiem, może zgładzić króla?”

*

W chłodny listopadowy dzień Ned stawia się przed sir Philipem Skipponem, bo kadra straciła cierpliwość do żołnierzy sprzyjających lewellerzystom. Król uciekł z Hampton Court. Nikt nie wie dokąd. W armii panują buntownicze, niezadowolone nastroje. Ale dowódcy w większości porzucili swoich ludzi. Najpierw król, potem skargi. Fairfax wezwał siedem pułków pod Corkbush Field. Mimo wyraźnych rozkazów przybyły dwa dodatkowe bez dowódców, wymachując kopiami ostatnich żądań, nazywanych Porozumieniem Ludzi. Wydrukowany tekst manifestu żołnierze przyczepili do kapeluszy. Z bliska można było odczytać słowa napisane wyraźną czcionką: „Wolność Anglii, prawa żołnierzy”.

Zbuntowane oddziały wiedzą, że przeciągnęły strunę. Ludzie zachowują się wyzywająco, ale są wyraźnie zdenerwowani. Przez chwilę oficerowie i żołnierze przyglądają się sobie. Nad polem zawisa cisza. Stojący obok Neda koń Skippona parska i niecierpliwie zaczyna grzebać kopytem w trawie pokrytej szronem.

Milczenie przerywa Cromwell. Wpada między nich, kipiąc ze wściekłości. Obnażoną szpadą zrywa kopie Porozumienia i ciska je na ziemię. Jest purpurowy ze złości, która zmieniła jego brzydką twarz. Jego prawość, sława i powierzchowność sugerująca, że Opatrzność znajduje się w jego rękach, sprawiają, że żołnierze nieco przed nim ustępują. Jako jedyny łączy się jeszcze, że utoruje swoim sojusznikom ścieżkę, by mogli ruszyć za nim i z bronią w ręku otoczyć przywódców lewellerów. Bez swoich dowódców buntownicy stracą odwagę i zejda na ziemię.

Fairfax i Cromwell są nieprzejednani. Współpracują ze sobą, zawsze razem – lis i ropucha. Przywódcom lewellerów powiedziano, żeby na oczach żołnierzy ciągnęli losy, który ma zostać kozłem ofiarnym.

Oglądanie tego jest wyborną zabawą. Pierwszy mężczyzna występuje z szeregu, zataczając się, drżący i pobladły, przesadnie okazuje ulgę, gdy wyciąga długi i cienki patyk. Drugi pokonuje strach, zbliżając się do losów. Trzeci zdaje się młodszy od pozostałych. Również jest szeregowcem. Ciągnie. Los jest krótki. Jego twarz kurczy się w grymasie niedowierzania. Bez sensu wydaje mu się, że jego życie zostanie

przerwane przez tak cienkie, krótkie drewno.

Cromwell osobiście podchodzi do niego, chwyta za nadgarstek i przywiązuje do pala, który żołnierze wbili w ziemię. Szeregowiec spogląda na dowódcę szeroko rozwartymi oczami, jakby dostrzegł w jego działaniu jakiś niewybaczalny błąd. Widzi tylko poważne twarze patrzących na niego towarzyszy. Żeby zyskać ich uznanie prostuje się, spogląda przed siebie.

– Wolność Anglii... – zaczyna wołać, ale Cromwell w tym momencie daje znak głową i muszkiety wystrzeliwiają chrapliwą salwę, która przerywa mu w pół słowa.

Chłopak upada na ziemię, a Cromwell odwraca go twarzą w stronę zbuntowanych oddziałów. Masywny, wojowniczy stoi, rzucając milczące wyzwanie. Rebelianci zawracają.

*

Pod koniec roku Henrietta pogodziła się z żyjącą w niej istotą. Rozmawia z nią w ciche wieczory, czasem śpiewa, wybijając palcami rytm na brzuchu. Will śmieje się z niej i nazywa wariatką. Nie powiedziała mu, że rozmawia z dzieckiem, na wypadek, gdyby nie przeżyła porodu. Śpiewa więc, szepcze i poleguje apatycznie podczas krótkich zimowych dni, oczekując na swój los. Postanowiła przyjąć go spokojnie, iść z podniesioną głową w kierunku własnej szubienicy.

Hattie odwiedza ją często, ciągnie na piętro gaworzącą małą Annę, która wchodzi, gdzie nie powinna i wkłada palce w każdą szczelinę. Nieustannie rozmawiają o porodzie. Hattie twierdzi, że strach potęguje ból. Hen uśmiecha się na to, ale nie bardzo wie, co ma zrobić. Boi się, więc będzie bardziej bolało, co sprawia, że czuje jeszcze silniejszy strach.

– Będziesz ze mną, Hattie? – pyta nieustannie i natarczywie.

– Oczywiście, Hen, oczywiście.

Kiedy nadchodzi ten dzień, pierwsze bóle pojawiają się powoli. Niespodziewanie dla samej siebie Henrietta zaczyna chichotać przy każdej fali skurczów, widząc przesadnie zatroskaną minę Willa. W końcu przychodzi Hattie. Anna została z Mary Overton, która wyszła z więzienia i chce spłacić wszystkie długi moralne, jakie ostatnio zaciągnęła.

Hattie wchodzi do pokoju, całuje Willa i prosi, żeby zostawił je same. Klęka naprzeciw Henrietty, która znajduje pewną ulgę w oparciu się tyłem o krzesło. Hattie chwyta ją za dłonie i patrzy z niepokojem.

– I jak się czujesz?

– Trochę boli – odpowiada Hen.

Hattie wybucha śmiechem. Hen też parska, kiedy nadchodzi kolejna fala skurczów. W jakiś sposób ból przynosi ulgę po czasie oczekiwania. Z zapadnięciem nocy pokój wypełnia się kobietami. Dodają jej otuchy i próbują rozbawić. Są Lucy, Frances Cooke i siostra Willa, Beatrice, świeżo po ślubie z londyńskim prawnikiem

i przyglądająca się szeroko otwartymi oczami skurczom Henrietty. Przyszyły też dwie z trzech sąsiadek, przyniosły słodczyce, herbatniki korzenne i grzane wino.

Hen chodzi po pokoju, odkryła, że ruch jej pomaga. Stołek porodowy stoi w kącie, ale jeszcze go nie potrzebuje.

– Dziecko się nie spieszy – zauważa Frances.

– Jak dużą głowę ma twój brat, Beatrice?

– W porównaniu z tym tu, jego głowa jest jej najmniejszym zmartwieniem.

– Spokojnie, kochanie, spokojnie – mówi Hattie, kiedy Hen zgina się pod kolejną falą skurczów.

Są teraz częstsze i mocne, takie mocne. Nadchodzi akuszerka, prosto od innego porodu.

– W samą porę – rzuca Hattie.

– Cóż, pełnia. Rodzą na potęgę w tych dniach. Ma szczęście, że nie poszłam spać do domu, taka jestem wykończona.

Hen tłumi krzyk. Przeskakuje z nogi na nogę. Czuje teraz straszne pieczenie. Leży na plecach, a akuszerka stawia świecę między jej nogami. Nadchodzą silne skurcze i Hen cierpi.

– Nie mogę, nie mogę. Przerwijcie to.

– Zawsze tak mówią, kiedy dziecko ma za chwilę wyjść.

– Wcale nie. Chce mnie zabić. Przerwijcie to.

– No już, spokojnie.

– Spokojnie. Widzę główkę. Główka!

Hattie i akuszerka chwytają ją za łokcie, podnoszą i prowadzą do stołka, na którym kuca i wrzeszczy z bólu. Jest teraz zwierzęciem. Patrzy na dodające jej otuchy kobiety zdziwiałym, obojętnym spojrzeniem.

– Teraz, dziewczyno – mówi akuszerka.

– Teraz, Hen! No dalej, kochanie, przyj!

Hen ma wrażenie, jakby jej ciało wywijało się na drugą stronę, jakby ostry płomień w kształcie gwiazdy wypalał drogę wzdłuż jej pleców i przez jej krocze. Gwiazda obraca się w jej ciele, czuje to. Nagle pojawia się nowy, ostrzejszy ból między udami. Woła Boga, wzywa Jego imię, błaga Go o zlitowanie.

– Jest, jest – Hattie niemal płacze z ekscytacji, a pozostałe kobiety gromadzą się wokół rodzącej i zachęcają do wysiłku natarczywym chórem.

Dziecko się wyslizguje, pojawia się wilgotność i po wszystkim. Nadchodzi przyptyw radości dorównujący bólowi. Akuszerka podnosi noworodka, a ona patrzy na jego wykrzywioną płaczem buzię, jakby zawsze go znała.

– Chłopiec! – rozbrzmiewają okrzyki. – Chłopiec!

*

Okolo południa wszyscy się zbierają, przepelnieni radością, żeby zobaczyc ten mały

cud. Po kolei całują młodą matkę, Hattie jako ostatnia. Opatulony chłopczyk leży w ramionach Hen, a ona ledwie odrywa oczy od jego smętnej buzi, jakby chciała się pożegnać. Maluch pociąga nosem i prycha w nieznanym jej sposób.

– Mam go wprowadzić?

– Kogo?

– Willa, ty głuptasie!

– Will!

Podbiega nieogolony, z zaczerwienionymi oczami, i nagle staje na ich widok. Wydaje się śmiesznie młody i Hen rozbawia to szczególne połączenie podziwu i ekscytacji widoczne na jego twarzy. Spogląda na buzię śpiącego dziecka i odnajduje rysy jego ojca w tej dziwnie plastycznej twarzyczce. Hen patrzy to na jednego, to na drugiego i ogarnia ją taka potężna fala miłości, że jej wykończone ciało może dać jej upust tylko przez ciche sapnięcie. „Od teraz jest nas troje” – myśli.

Will z wahaniem robi krok wprzód. Jest taki męski, musi się czuć niepewnie w tym pokoju przesączonym tajemnicą narodzin i bólu.

– Chłopiec! – mówi przyciszonym głosem.

– A spodziewałaś się kota? – pyta Hen, uśmiechając się przez łzy spływające jej po policzkach.

Will siada obok niej i obejmuje ramieniem ich dwoje.

*

Kiedy na wiosnę wojna znów wybucha, Henrietta wpada we wściekłość. Przyjmuje to osobiście, jakby machinacje króla, arystokracji i zamieszki w armii zostały zaplanowane tylko po to, żeby narazić bezpieczeństwo małego Richarda. Zadowolona jest z tego, że nie mają pieniędzy i sama musi go karmić. Opatulona w łóżku karmi synka i przeklina wszystkich zaangażowanych w konflikt.

W całym Londynie panuje znużenie i smutek. Kiedy wszystko wreszcie wróci do normalności?

Przytyka nos do karku synka, rozkoszuje się jego zapachem i szepcze:

– Jak to możliwe, że pachniesz tak słodko i jednocześnie tak wyraziście, malutki? Jak jeżyny. Moja jeżynko. Tak, tak. Ja cię obronię, moja jeżynko.

I stało się. Całuje go z poczuciem winy. Po raz pierwszy go okłamała.

ROZDZIAŁ 31

LATO 1648

Ulubionym miejscem Sama jest bukszpryt. Teraz z łatwością na nim staje, wyćwiczył się w tej sztuce, pływając na wzburzonym morzu. Stoi w połowie długości belki, pod stopami ma wąskie drzewce, a poniżej fale o białych grzywach. Ręką trzyma się liny, szotu, sztagu czy czegoś innego, równie dziwacznie nazywanego w marynarskim języku. Zgina kolana i rozcapierza palce stóp w butach, znajduje równowagę, nie myśląc o tym, i śmieje się, kiedy kropelki wody opadają na jego odkrytą głowę.

– Hurra! – woła w morze. – Hurra!

Szarpiący koszulę i smagający po twarzy wiatr porywa jego głos. Boże, jakże on to kocha. Statek, ów szlachetny obiekt, pędzi na spotkanie falom i rozbija bałwany, ryzykując zalanie pokładu. Świst wiatru przywodzi mu na myśl jerzyki tańczące nad Marston Moor.

Ma wrażenie jakby przeskakował konno przez wysokie ogrodzenie. Statek wpływa na budzącą przerażenie falę i przez chwilę drży na jej grzbiecie, zanim zanurkuje w dół z drugiej strony. Wody Kanału są burzliwe. Marynarze opowiadają o bałwanach wysokości pałaców, ciskających statkiem jak dziecięcą zabawką. „Chciałbym to zobaczyć” – myśli Sam. Marynarze uważają, że postradał zmysły, widząc, jak stoi na dziobie w tak niespokojną pogodę. Ci, do których należy zwijanie ciężki żagli na rozprzy, burczą na niego. Nazywają bukszpryt „mężobójcą” i klną go za to, że znajduje radość w tym, co dla nich jest pokutą. Ale niech ich diabli wezmą. On rozkoszuje się tym oszałamiającym wichrem, morzem i strachem.

Odsuwa myśli, które go nękają, nękają ich wszystkich. Ta pozbierana na łapucapu, obszarpana flota, która zbuntowała się przeciwko parlamentowi i wiezie księcia Walii przez morze do Anglii, ledwie nadaje się do wykonania powierzonego jej zadania. Między marynarzami prowadzącymi statki i szlachtą mającą na nich walczyć, w większości lojalną wobec Ruperta, pojawiła się wrogość. Za plecami Sama marynarze wykonują swoje tajemnicze, niekończące się czynności, wiążą, czyszczą i wspinają się. Poza statkiem jest tylko wzburzona woda i wiatr. To miejsce

najbardziej przypomina niebo, jakie Sam potrafi sobie wyobrazić. „Ciekawe, czy tego właśnie Ned szuka u swojego Boga? Tej radości”. Zdaje sobie sprawę, że płacze – wiatr wycisnął mu łzy z oczu. Odchyła głowę w tył i śmieje się w niebo.

*

Ned chrząka ze swego rodzaju przyjemnością, gdy jego szpada trafia na nieosłonięte ciało wroga i je przebija. Każdy zabity, każdy trafiony rojalista, każdy poległy Szkot i zapluty zdrajca z Kentu jest dowodem. Bóg znów się do nas uśmiecha. Jesteśmy jego świętymi wojownikami. Jego anioły są u naszych skrzydeł, Jego oddech jest w naszych sercach. I będziemy zwyciężać, wciąż i wciąż na nowo.

Później, kiedy gorączka bitewna opadnie, rozmawiają. Jest tylko jedno wytłumaczenie ubiegłorocznego chaosu i sporów, podobnie jak obecnych chwalebnych zwycięstw. W zeszłym roku rozmawiali z człowiekiem mającym krew na rękach, Karolem, i Bóg odwrócił się od nich. Teraz z nim walczą i Bóg znów jest po ich stronie. Hugh Peter, osobisty kapelan Cromwella, mówi, że korony pragną tylko słabi i omylni. Jaki inny człowiek zająłby miejsce Boga i kazał nazywać siebie królem? Państwo samo w sobie jest grzeszne. Czyż Gedeon nie powiedział Izraelitom: „Nie ja będę panował nad wami ani też mój syn: Pan będzie panował nad wami”^[27].

Zeszłego roku pod Putney nawet Cromwell przestrzegał ich przed uleganiem urojeniom i nazywaniem samych siebie wykonawcami woli Boga. Tego lata nie ma już wątpliwości.

Wygrywają bitwę za bitwą. Miażdżą wszystko, co znajduje się przed nimi. Jego wola jest oczywista. Podczas zgromadzeń modlitewnych Ned patrzy na szlochających, posiwiatłych starych wojaków. Patrzy, jak podnoszą ręce do nieba, dziękując Panu za jego dobroć, za to, że wybrał ich na swoich świętych. Potępiają króla jako fałszywego idola, uzurpującego sobie władzę należącą do Boga. Pan wybrał ich, aby go obalili. Radośnie śpiewają psalmy, gdy krew jeszcze nie obeschła na ich szpadach. Ned też płacze, stojąc ramię w ramię ze swoimi braćmi, kiedy Duch Święty na nich zstępuje.

*

Henrietta usadza Jeżynka na kilku poduszkach i czeka na jego niewymuszony, znajomy uśmiech. Po otrzymaniu go odwraca się do Hattie i Mary Overton. Zorganizowały areszt dla małej Anny i najmłodszego dziecka Mary za stołem przy ścianie. Dały im trochę chleba, kilka łyżek oraz garnków do zabawy. Rozmawiają ściszymi głosami.

– Teraz – mówi Hen – pokażcie mi to.

Czyta tekst na kartce, którą jej podały.

– Doskonałe – ocenia. Sugeruje jedną czy dwie zmiany i odczytuje na głos: – „Ponieważ jesteśmy pewne, że zostałyśmy stworzone na obraz i podobieństwo Boga,

a także żywym przekonanie o naszym równym z mężczyznami udziale w zbawieniu przez Chrystusa, oraz o przysługującym nam proporcjonalnym prawie w korzystaniu z wolności w naszej Republice, ze zdumieniem i smutkiem przyjmujemy, iż okazałyśmy się w waszych oczach na tyle występne, że niegodne składania skarg i przedstawiania naszych żalów w tym czcigodnym zgromadzeniu”.

Przerywa czytanie i spogląda na Hattie i Mary. Kobiety odwzajemniają jej spojrzenie, Mocna rzecz. Nagle czuje, że kręci się jej w głowie, jakby ziemia osunęła się jej pod nogami. To jedno zdanie przyprawia ją o zawrót głowy. Równe z mężczyznami. Równe.

Spogląda w dół i odnosi wrażenie, że słowa skaczą po stronie. Bierze głęboki oddech i czyta:

– „Czyż nie mamy równego udziału z mężczyznami w tym narodzie, w jego wolnościach i gwarancjach zawartych w Deklaracji praw oraz innych słusznych prawach tego kraju?”

Odkłada dokument i wszystkie trzy siadają. Petycja leży między nimi, a one się w nią wpatrują.

– Nie wysłuchają nas – mówi Hattie.

– Ale czy to znaczy, że powinnyśmy milczeć?

Frustracja Mary czasem przeradza się w agresję, Hen kładzie więc uspokajająco rękę na jej ramieniu.

– Oczywiście, że nie.

Nagle podejmuje decyzję. Nie widzi synka, ale wie dokładnie, gdzie jest.

– Pomogę wam, ale tego nie podpiszę.

Hattie wygląda, jakby nie mogła w to uwierzyć, a Mary krzywi się ze złości.

– To z powodu Willa – wyjaśnia. – Nie chcę zaszkodzić jego przyszłości, właśnie zaczął wyrabiać sobie nazwisko.

Kobiety próbują przekonać ją do zmiany zdania i usilnie proszą, ale obstaje przy swoim. Dobrze wiedzą, że nie taka jest prawdziwa przyczyna jej decyzji, za bardzo jednak ją lubią, żeby powiedzieć to wprost. W końcu wychodzą, a Hen bierze Jeżynka na ręce i przykłada twarz do jego pleców, żeby nie widział jej łez.

– Nie opuszczę cię – mówi, płacząc.

Nęka ją wstyd i strach. Została poddana próbie, wezwana do obrony przekonań. I zawiodła.

*

W dniu, kiedy armia robi czystkę w parlamencie, Hen jest w domu. Okna w mieszkaniu są zasłonięte, a ona leży na podłodze i bawi się z dzieckiem. Ned ostrzegł ich, że wkrótce do tego dojdzie. Żołnierze obstawili ulice prowadzące do Westminsteru i zawracają parlamentarzystów, którzy nadal chcą rozmawiać z Karolem. Przegrał rozpętaną przez siebie na nowo wojnę, jego flota chyłkiem

zawróciła do Holandii. A jednak nadal chcą z nim rozmawiać. Angielskie rzeki spłynęły krwią, pola są nią przesiąknięte, a on żyje, wciąż spiskuje i snuje intrygi.

Hen zgadza się ze starszym bratem. Król musi zapłacić za to wszystko. Will też tak myśli. Hen zastanawia się, dlaczego mężczyźni są tak pozbawieni ikry i po prostu nie otrują władcy albo nie zorganizują zamachu. Ktoś powinien przyjąć rolę Brutusa i zadać cios, żeby krew Karola połała się w zadośćuczynieniu za wszystkie krzywdy. Mówi się jednak, że musi dojść do procesu, żeby król wprost mógł zostać oskarżony o popełnione zbrodnie, a cały świat dowiedział się, że tyran nie uniknie kary. Od tego zależy chwała parlamentu, twierdzą.

Wzdryga się na myśl o tym, czym stanie się Londyn, jeśli dojdzie do procesu. Wyobraża sobie przemoc, jaka zapanuje na ulicach, niejawne groźby, które pojawią się wraz z ich głupimi gierkami prawnym.

Kiedy zaczęła się tak bać? Patrzy na niebieskie żyły rysujące się na półprzezroczystej główce Jeżyńka. Wcześniej nie rozumiała, jak bardzo miłość może ubezwłasnowolnić. Zrywa się o zmroku, idzie do synka w nocy tylko po to, żeby posłuchać jego oddechu.

Czy to odgłos żołnierskich butów? Wyobraża sobie trzęsące się ściany. Synek zaczyna płakać, marudzić i pocierać ucho. Przystawia go do piersi, nasłuchując odgłosów zagrożenia. Dziecko, ssąc, posyła jej półuśmiech. Odpowiada mu tym samym, ale uśmiech pojawia się tylko na jej wargach.

Czy można nie uznać tego za pomyłkę? Jak to się stało, że wszyscy z rodzeństwa Challonerów są cali i zdrowi, podczas gdy tyłu zginęło. Jak to możliwe, że Jeżynek żyje i dobrze się rozwija, gdy tyle innych niemowląt umiera zaraz po odcięciu pępowiny? Zaczyna wierzyć, że Bóg trzyma coś dla nich w zanadrzu, jakąś przerażającą karę za szczęście, którym się cieszą. Dlaczego Hiob nosił wysoko głowę? Dlaczego nie lamentował i nie ukorzył się?

Jeżynek puszcza jej pierś i wzdycha, zadowolony i całkowicie spokojny. Opatula go w kołdrę i wychodzi z łóżka. Odruchowo sprawdza, czy odycha.

Podchodzi do kufra i wyciąga szkatułę z pistoletami. Kochany Sam. Gdzie on się podziewa? Czy był z Rupertem na statkach, które zmuszono do odwrotu?

Przed wyjazdem na wojnę Ned nauczył ją posługiwania się pistoletem. Próbuje przypomnieć sobie instrukcje, które wkładał jej do głowy swoim głębokim, posepnym głosem. Proch. Pocisk. Wsypuje miarkę prochu do lufy i wkłada do niej kulę, a później wpycha głębiej jedno i drugie wyciorem trzymanym w kasetce. Sypie proch na panewkę. Umieszcza krzemień. Odciąga bezpiecznik do połowy kurka, do momentu aż słyszy kliknięcie, oznaczające, że zaczep spustowy znalazł się w odpowiedniej pozycji. Ned mówi, że kiedy strzela się z pistoletu, jakiś czas mija między pociągnięciem za cyngiel a wystrzeleniem kuli. Iskra z krzemienia musi paść na panewkę, na której dochodzi do zapłonu wyrzucającego pocisk. Reakcja łańcuchowa, ciąg przyczyn i skutków, którego nie da się zatrzymać, gdy raz zostanie wprowadzony w ruch. Co było spustem, od którego pociągnięcia rozpoczął się cały

ten bałagan? Egzekucja Strafforda? Laud i jego przekłete ogrodzenia ołtarzowe? Śmierć młodzieńca wielkich nadziei, Henryka Fryderyka, starszego brata Karola, który miał zostać królem? Kiedy to się zatrzyma? A może początku należy szukać w chwili, kiedy Adam odwrócił się do Ewy i wziął od niej jabłko?

Odkłada broń w miejsce, gdzie łatwo ją znajdzie. Obchodzi się z nią niezwykle ostrożnie, mimo bezpiecznika. Dziecko sprawiło, że wykształciła w sobie nowy zmysł, rodzaj wzmożonej czujności. Nie jest w stanie przejść obok rzeki, nie wyobrażając sobie, że chłopiec do niej wpada. Podobnie rzecz się ma z oknami. Kiedy odkłada pistolet, w głowie pojawiają się dziesiątki obrazów, ukazujących, jak mógłby przypadkowo wypalić i zranić synka z powodu jej gorliwej chęci zapewnienia mu bezpieczeństwa. Bóg lubi tego rodzaju okrutne żarty.

*

Wyrazisty, biały księżyc wisi nad morzem, znacząc ich drogę srebrem. W innych okolicznościach być może rozkoszowałby się tym widokiem i snuł poetyckie marzenia o księżycowym szlaku prowadzącym go do domu w Anglii. Jest jednak zbyt jasno i zbyt niebezpiecznie, a gwałtowne, wzburzone wody Kanału rozlały tłustą, francuską zupę po jego żołądku. Żałosny, zimny i budzący obrzydzenie sposób rozpoczynania przygody.

Rybaczy wołają do siebie, używając swego osobliwego dialektu, najwidoczniej jest to pilne, mimo ich przesadnego spokoju. Spogląda w dal i widzi nisko położone, zdradzieckie, bagienne obszary ujścia rzeki.

Dno łodzi, gdzie się zgromadzili, jest wilgotne. Woda cuchnie starymi rybami i wodorostami. Czuje kolejną falę mdłości, ale stara się ją powstrzymać.

W końcu słyszy długo wyczekiwany huk bałwanów, niemożliwy do pomylenia dźwięk fal rozbijających się o kamienie. Zbliżają się, wiatr wieje w dobrą stronę, a przed nimi czernieje ląd i cisza. Nagle żagiel zaczyna się trząść. Nawet Sam, choć słabo zna się na żegludze, wie, że wiatr się zmienił. Uratować łódź, gdy wiatr wieje prosto ku brzegowi, byłoby trudne nawet w przypadku najlepszego statku, a ta niesterowna łajba z pewnością będzie w kłopotach.

Z tyłu Francuzi kłócą się. W końcu największy z nich idzie w jego stronę, składa ręce jak do modlitwy i mówi szeptem: „Płyn, płyn”.

Sam przytakuje. To będzie najmniej niebezpieczne. Patrzy w stronę ciemnej smugi przed sobą. Nie jest zbyt daleko, a i tak już przemókł do suchej nitki. Wskakuje do lodowatej, czarnej wody. Słyszy ryk fal, a zimno pozbawia tchu jego zszokowane ciało. Rusza w stronę lądu.

*

To jest król, zdaje sobie sprawę Ned, wstrzymując oddech. Oto on, z krwi i kości,

wysiada z osłoniętej lektyki. Drży – dopadł go styczniowy chłód. Drobne przypomnienie, gdyby tego potrzebowali, że ten człowiek, którego zamierzają osądzić, jest zwykłym śmiertelnikiem. Jest nawet mniejszy niż Ned zapamiętał, przygarbiony. Pułkownik Thomlinson wprowadza go na swoją barcę, zwyczajną łódź pozbawioną ozdób i wygod, pasującą do atmosfery ostatnich dni. Barka podskakuje na wzburzonych falach Tamizy, jakby niecierpliwiła się, żeby odpłynąć. Obija się o schody, za co pułkownik Thomlinson gani przewoźnika, który wlepia wzrok w króla. Król!

Pasma siwizny pokrywają długie włosy króla i zaniedbaną brodę. Jego twarz jest poszarzała jak woda i pocięta zmarszczkami. Gdybyś nic nie wiedział o tym człowieku, zobaczyłbyś napięcie wytrawione na jego skórze, wyczuł rozpacz w przygarbionych ramionach.

Ned prostuje się na siedzisku na dziobie łodzi strażniczej i krzywi w grymasie niezadowolenia. Jego ludzie nie powinni dostrzec w nim tej słabości, tego dziwnego współczucia. Żołnierze siedzą nieruchomo, starając się patrzeć przed siebie i omijać wzrokiem króla. Niepewnie czują się na wodzie, przywykli do uczucia stabilności, jakie daje ziemia pod butami. Dodatkowo peszy ich obecność króla.

Król dziękuje pułkownikowi za wprowadzenie na barcę. Z drugiej łodzi Ned słyszy pułkownika Hackera wykrzykującego ostrzeżenie.

„Cholera!” – Ned klnie do siebie za brak uwagi. Flotyła łodzi płynie w ich stronę. Ned wydaje rozkazy, a jego ludzie podnoszą muszkiety.

– Trzymaj się z daleka – krzyczy Ned – albo będziemy strzelać.

Łodzie nadal się zbliżają. Słaby odgłos wiwatów unosi się ponad wodą.

– Boże chroń króla! Boże chroń króla!

Ned spogląda na barcę, gdzie król stoi wyprostowany, ściskając brzeg ławki tak mocno, że aż pobieleły mu palce.

– Będziemy strzelać! – krzyczy znów.

Król spogląda w jego stronę, słysząc jego głos, i ich oczy się spotykają. Podnosi brew, jakby chciał powiedzieć: „I co teraz, chłopcze?”.

Rozkaz oddania strzałów utknął Nadowi w gardle. Czuje, że ma rozpalone policzki. Oczy króla są spokojne, zmarszczył brwi. Na jego wargach błąka się uśmiech. Ned zapomina oddychać.

Słyszy dochodzący do niego z tyłu krzyk pułkownika i Ned odwraca wzrok.

– Podpłyniemy kilka jardów, kapitanie. Zabezpieczcie ich i strzelajcie tylko, gdy będzie to całkowicie konieczne, ale nie wcześniej. Nie chcemy niczego prowokować.

Dobry człowiek, ten pułkownik Hacker. Purytanin. Służyć pod nim to przyjemność.

Skippon nie będzie miał nic wspólnego z procesem. Wycofał się. Niektórzy ludzie na starość delikatnieją. Fairfax też, wszyscy tak mówią.

Barką kiwa się na boki, wioząc króla do jego kwatery, gdzie spędzi czas do procesu. Gdyby Ned odkrył, że to jeden z jego ludzi ujawnił trasę króla z Windsoru, polałaby się krew. Król ma zostać osadzony w Cotton House, domu kupca znajdującym się

w pobliżu Pałacu Westminsterskiego, gdzie zwołano sąd. Wybrano to miejsce, ponieważ jego bliskość ułatwi ochranianie Karola podczas codziennego przemarszu do sądu. Ned i jego ludzie będą pomagali utrzymać porządek.

Urzędnicy sądowi zostaną przeniesieni do pałacu zgodnie z terminarzem, z którym Ned się zapoznał. Will też tam jest. Pomógł Johnowi Cooke'owi, zastępcy prokuratora, przygotować oskarżenie. Wszystkim tym działaniom towarzyszyły procesje, pompa i bogata oprawa, żeby nadać im zewnętrzne oznaki legalności.

Will uważał to za konieczne, Ned nie był zaś o tym do końca przekonany. Armia dysponuje wszelkimi uprawnieniami do przeprowadzenia procesu. Mieszkańcy Londynu wyczekują tłumnie pod murami, obserwując kontredanse prawników.

„Nikt zwracał uwagi na proces ojca” – myśli Ned. „Wtedy nic nie odbywało się z pompą. Nie zorganizowano ani jednej procesji”. Przypomina sobie szaloną podróż Hen po kraju, żeby odnaleźć go i sprowadzić do domu i stwierdza w duchu: „Teraz by tego nie zrobiła”. Macierzyństwo uspokoiło jego szaloną siostrę. Nie chciała, żeby Will się w to angażował. „A przecież wszyscy jesteśmy w ten czy w inny sposób w to wmieszani”.

Dobili do brzegu i król został odprowadzony do Cotton House, żeby przygotować się do procesu. Ned patrzy, jak oddala się, wspina po schodach i wchodzi do środka przez proste drzwi. O czym myśli? Czy żałuje?

Ned ze swoimi ludźmi od tyłu dociera do Pałacu Westminsterskiego. W hallu dołączają do strażników stojących wzdłuż ścian. Z przodu, na niewielkim podwyższeniu siedzi na fotelu obitym szkarłatem przewodniczący sądu, John Bradshaw. Z obu stron stoją jego asystenci. Mają na sobie togi adwokackie. Ned pozwala sobie na słaby uśmiech. Will opowiadał mu, że nakrycie głowy Bradshawa to nie jest w istocie kapelusz, lecz żelazny hełm pokryty czarnym filcem w kształcie kapelusza. Kazał go sobie zrobić na specjalne zamówienie, kiedy nagle został wybrany spośród młodszych sędziów i wyniesiony ponad jeszcze bardziej bojaźliwe głowy.

Drugi obity czerwonym aksamitem fotel stoi pośród adwokatów, czeka na króla. Pełnomocnicy i obrońcy ubrani są w czarne togi i gromadzą się jak kruki gotowe brać pod lupę każde słowo króla.

Czerwone kurtki Neda i innych oficerów Armii Nowego Wzoru wyróżniają się w tej sali wyłożonej ciemnym drewnem i pełnej mężczyzn ubranych w czerń.

Sekretarz zarządza ciszę i zaczyna odczytywać ustawę Izby Gmin o postawieniu króla przed sądem. Dociera do części, która dwa tygodnie temu, kiedy ustawa została przyjęta, doprowadziła do awantury.

– Członkowie Izby Gmin zgromadzeni w parlamencie oświadczają, że lud oddany Bogu jest źródłem całej prawowitej władzy. Oświadczają też, że Izba Gmin Anglii zgromadzona w parlamencie, jako wybrana przez lud i go reprezentująca, dysponuje zwierzchnią władzą nad tym narodem.

Fragment ten nie mniej szokuje teraz, gdy jest już znany. Ned stara się

przypomnieć sobie dni przed pierwszą wojną. Nigdy byśmy nie marzyli nawet o czymś takim, że „lud jest źródłem władzy”, a nie król, że parlament może rościć sobie prawa do boskiej władzy zmonopolizowanej niegdyś przez króla. Czy cały czas o to walczyliśmy, ale wiedzieliśmy zbyt mało, żeby przedstawić naszą sprawę? Czy też nasza sprawa stawała się coraz większa z każdą kwartą przelanej krwi?

Wyobraża sobie reakcję ojca na to stwierdzenie: „Cholerny lud! Tępe ołowiane jełopy kłębiące się ze skowytem. I oni mają być źródłem władzy?”. Ned wyobraża sobie, jak twarz ojca robi się purpurowa, a inwektywy stają się coraz gwałtowniejsze. Niemal wybucha śmiechem, ale przypomina sobie, gdzie jest.

Sekretarz wywołuje nazwiska komisarzy, ludzi, którzy powołali ten sąd. Każdy wywołany mężczyzna wstaje i odpowiada swoim nazwiskiem. Sekretarz donośnie woła:

– Sir Thomas Fairfax!

Cisza. Z galerii kobiecy głos woła:

– Ma zbyt dużo oleju w głowie, żeby tu być!

Kruki rozglądają się z wyciągniętymi szyjami i przewracając oczami. Kobieta zostaje wyprowadzona. Przez salę przetacza się szmer, gdy rozchodzi się wieść, kim jest. To lady Fairfax we własnej osobie.

Ned jest zadowolony, że nie musi nadzorować wielkich i dobrze urodzonych, którym pozwolono obserwować proces z galerii. Obcesowe traktowanie arystokratek nie jest dla niego, choć Lucy spodobałaby się ta historia. Może nagnie prawdę i powie, że to on wyprowadził lady Fairfax za ramię? A cóż to szkodzi?

Pozostali komisarze wstają i odpowiadają na swoje nazwiska. Większość jest całkowicie pewna swojej racji, Henry Ireton, Oliver Cromwell, Thomas Pride i inni. Teraz są tutaj i zadanie musi zostać wykonane. Inni są bardziej trwożliwi, jakby dopiero teraz jasno dotarło do nich jak strasznego przedsięwzięcia się podjęli. Ich oczy kierują się ku drzwiom, a nogi skracają z chęci ucieczki.

Król się spóźnia i kruki zaczynają mamrotać między sobą. Ned widzi Willa zaczytanego w książce i czuje nagły przyptyw ciepłych uczuć do przyjaciela. Pochłonięty almanachem astronomicznym wygląda tak samo jak w Oksfordzie. Pozostali prawnicy zlewają się w jedno. Potrzeba chwili, żeby wyłowić znajomą twarz spośród jednakowo ubranych postaci.

Nagle pojawia się. Król. Teraz jego wygląd bardziej odpowiada oczekiwaniom Neda. Jest władczy i wyniosły. Obejmuje sąd spojrzeniem. Ned widzi w nim tylko arogancję, nie odwagę. Ubrany jest w czerń, z białym jak śnieg koronkowym kołnierzem. Wysadzana diamentami srebrna gwiazda spina jego pelerynę. Podchodzi do krzesła, siada i pogardliwie rozgląda się w prawo i w lewo. Nie zdejmuje wysokiego kapelusza z szerokim rondem.

Nagle wstaje i powoli się odwraca. Patrzy na żołnierzy strzegących sali. Na ogrodzoną część z tyłu wypełnioną po brzegi ciekawskimi gapiami i na galerię, gdzie siedzi niewielu uprzywilejowanych. Patrzy na wszystkich tych ludzi i Ned zastanawia

się, czy jako jedyny czuje strach przed królewskim spojrzeniem. Żądania ludu zdają się być nieuzasadnione, beznadziejnie nietaktowne. To jest namaszczone przez Boga władca. Co my tu robimy?

Dokumenty szeleszczą. Ned nie chce spojrzeć nikomu w twarz, znajduje punkt na ścianie przed sobą, w który się wpatruje. Nie spuszcza z niego wzroku.

W reakcji na zachowanie króla rozbrzmiewa szmer przerażonych rozmów. Woźny nakazuje ciszę. Kiedy zebrani milkną, przemawia John Bradshaw.

„Mogę się założyć, że ćwiczył tę mowę setki razy” – myśli Ned. „Mogę się założyć, że ćwiczył przed lustrem swoją najlepszą minę sędziego. Wszyscy jesteśmy dzieciakami bawiącymi się w teatr”.

– Karolu Stuarcie, królu Anglii, przedstawiciele gminu angielskiego zebrani w parlamencie, świadomi zła i klęsk, które sprowadziłeś na swój naród, oraz przelanej przez ciebie niewinnej krwi, zdecydowali przeprowadzić dochodzenie i zgodnie z powinnością wobec Boga, sprawiedliwości, Królestwa i siebie samych, a także fundamentalnej władzy nadanej i powierzonej im przez lud angielski podjęli decyzję o przeprowadzeniu procesu i osądzeniu twoich czynów.

John Cooke wstaje, rozwija pergamin i zaczyna odczytywać oskarżenie.

Nagle król przemawia.

– Wstrzymaj się – mówi.

Cooke ignoruje go i nie przerywa czytania.

– Wstrzymaj się – powtarza.

Cooke z determinacją odmawia zwrócenia uwagi na władcę. W sali panuje grobowa cisza, jakby wszyscy wstrzymali oddech.

– Wstrzymaj się.

Król podchodzi do oskarżyciela i uderza go w ramię laską zakończoną srebrną gałką. Raz, dwa. Trzecie uderzenie pada równocześnie ze słowami:

– Wstrzymaj się!

Srebrna gałka odpada i toczy się po podłodze. Ned ze swojego miejsca widzi, jak turla się do miejsca rozpościerającego się między królem i prawnikiem. Przez chwilę ciągnącą się jak wieki dwaj mężczyźni mierzą się wzrokiem. Ned wychyla się, żeby lepiej widzieć i ma wrażenie, że wszyscy zebrani robią to samo. Wyciągają szyje, wspinają się na palce. Wszystkie kruki, upiory i żołnierze pochylają się do przodu, w kierunku miejsca, gdzie król i Cooke stoją nieruchomo i wpatrują się w siebie. Cooke nie ugina się. A król, przy wtórze pełnych zdumienia pomruków, klęka na kolano. On, król Anglii, Szkocji i Irlandii, klęka przed Johnem, synem gospodarza, żeby podnieść swoją srebrną gałkę od laski.

*

W domu Henrietty wszyscy korzystają z każdej okazji, żeby zdobyć nowiny z procesu. Patience, siostra Willa, zostaje u nich. Lucy też czeka do końca rozprawy, żeby pójść

do domu z Nedom. Od kiedy Ned został przydzielony do nadzorowania króla, Lucy nadyma się jak ropucha. Każde zdanie, które wypowiada tej zimy, zaczyna się od słów: „Jego Wysokość powiedział mojemu mężowi...”.

Hen nie wierzy nawet w połowę tych opowieści. Obserwowała Neda rozmawiającego z Lucy o swoich relacjach z królem i zauważyła, jak lekko się rumieni, widząc, że siostra patrzy na nich. Bez wątpienia jest wystarczająco blisko, żeby nadać swoim relacjom posmak prawdy, ale kiedy się go słucha, można odnieść wrażenie, że jest najbliższym zaufanym władcy. Lucy przyjmuje wszystko za dobrą monetę. Niczym ze szmaragdami obnosi się ze swoją odbitą chwałą.

Hattie, która też wpada dość często z mięsem i domowym rosołem, musi odwracać się za każdym razem, kiedy słyszy to zdanie, bojąc się, że natknie się na spojrzenie Hen i wybuchnie śmiechem. Henrietta nie odbiera jednak bratowej jej triumfu. Cieszy się, że jest miłsza dla Neda, nawet z tak nieracjonalnego powodu.

Dzisiejsze przechwałki Lucy są prawie nie do zniesienia. Powierzyła Hen pewną tajemnicę tak głośno, że wszyscy inni też się o niej dowiedzieli.

– Tak, noszę dziecko.

Często i ostentacyjnie gładzi swój płaski jeszcze brzuch.

Jeżynek wypluwa papkę, a w miejscu, gdzie to się stało, na ścianie pojawia się plama. Lucy patrzy na chłopca, marszcząc nos.

– Być może, skoro już... – zaczyna i nagle uświadamia sobie, że sama będzie miała niedługo dziecko. Łapie spojrzenie Hen i milknie.

– Proszę, kochanie. – Henrietta wkłada mu trochę jedzenia do buzi, a synek nagle uśmiecha się do niej, pokazując swoje nowe zęby.

– Will mówi, że król ciągle odmawia przyznania się do winy – odzywa się Patience, zmieniając pospiesznie temat.

– Jego Wysokość powiedział mojemu mężowi – wtrąca się Lucy – że się nie przyzna. Ani nie uzna prawomocności tego sądu, rozumiesz. Mówi, że w *Magna Carta* zostało zagwarantowane, że Anglika może sądzić tylko równy mu stanem. On jest królem i nikt nie jest mu równy, nie może więc być sądzony

– Co mu zależy – mówi Hen poirytowanym tonem. – I tak skażą go na śmierć, bez względu na to, co powie.

– Na śmierć? – piszczy Lucy – Pewnie skończy się na abdykacji. W najgorszym razie grozi mu wygnanie.

Hen odwraca się w jej stronę, nie zwraca uwagi na Jeżynka, który płacze niezadowolony z tego, że łyżka zniknęła.

– Lucy, przecież sama nie wierzysz w to, co mówisz. Spójrz na zarzuty, jakie przedstawił mu Cooke, twierdzi, że jest: „tyranem, zdrajcą, mordercą oraz publicznym i nieprzejednanym wrogiem Republiki Angielskiej”. A ty myślisz, że dadzą mu reprimendę i odeślą z Anglii. Może do Irlandii, gdzie hrabia Ormonde zbiera papistowską armię? Albo do Francji, gdzie książę Walii zrobił sobie wystarczająco długi urlop od dziwek, żeby móc stręczyć żołnierzy? Proszę cię!

– Ale też sąd nie ma legitymacji, Hen. Jego wysokość powiedział to Nedowi. – Lucy robi nadąsaną minę, zapominając, że to Henriette, a nie Neda ma udobruchać.

– *Magna Carta* stwierdza również, że nikt, nawet król, nie jest ponad prawem – mówi Patience, która wygląda żałośnie, podejmując nieudane próby poprawienia atmosfery. – Will mówi, że władza królewska opiera się na zaufaniu i może być tylko sprawowana przy poszanowaniu tradycyjnych wolności.

Wygląda jak uczennica cytująca Cyncerona i Hen posyła jej uśmiech.

– Ale kto ma decydować o tym wszystkim? – prycha Lucy.

Hen podaje opierającemu się Jeżynekowi jeszcze jedną łyżkę papki.

– A więc to może być subiektywne – mówi. – Czym są tradycyjne wolności? Jezynek może powiedzieć, że oznacza to, iż jego matka-tyranka nie będzie wmuszać mu tego kleiku. A co z ostatnią wojną i ludźmi, którzy zginęli? Nie istnieje świat, prawdziwy czy wymyślony, w którym taki rodzaj subiektywności byłyby w interesie narodu. A on sprzeniewierzył się naszemu zaufaniu. A więc? – kończy pytaniem.

– A więc król musi umrzeć – odpowiada Patience.

– Tak, król musi umrzeć – potwierdza Hen.

Jezynek połyka pełną łyżkę, a ona klaszcze, śmiejąc się, gdy dziecko odpowiada jej klaśnięciem.

*

Wraz z postępem procesu dwie sprawy stają się oczywiste dla Neda. Po pierwsze, król wygrywa wojnę na słowa, dzięki konsekwentnemu negowaniu prawomocności sądu. Po drugie, że wygrywając ją, podpisuje własny wyrok śmierci. Jeśli nie przyjmie stawianych mu zarzutów, nie można zawrzeć kompromisu pozwalającego mu zachować twarz. Nie abdykuje na rzecz swojego młodszego syna.

– Ja bronię wolności narodu angielskiego – mówi król.

Nedowi przypomina to zabawy dziecięce. Pod tym pustosłowiem kryje się stwierdzenie „Ja jestem wolnością”, na co Cooke odkrzykuje: „Nie, wolnością jestem ja!”.

Ned jest coraz bardziej poirytowany. W ciągu kolejnych dni wszyscy nabierają przekonania, że typowy dla władcy upór doprowadzi do skazania go na śmierć. A jednak za wszelką cenę chcą nałożyć na to maskę praworządności. Will twierdzi, że koniec nie jest jeszcze przesądzony i że przedstawione zostały ważne precedensy. Prawnik i żołnierz nie dojdą do porozumienia. „Wola Boża musi się wypełnić” – myśli Ned. „Tylko Jego wola się liczy we wszystkich naszych ziemskich sprawach”.

Wreszcie wydano jedyny możliwy wyrok. Żołnierze tracą panowanie nad sobą na widok króla prowadzonego z sądu. Są ich całe setki. Karolowi udaje się umknąć przed nimi, a agenci parlamentarni dostają ostrzeżenia przed nowymi zamieszkami. Wojska jednak są w buntowniczym nastroju. Wrzeszczą i popychają skazańca. Ned

przedziera się, żeby ich odepchnąć. Niektórzy plują na króla, domagając się jego głowy. Jeden samotny głos woła „Boże chroń króla!”, ale oficer stojący najbliżej wymierza zwolennikowi władcy uderzenie trzcinką. Ned wykorzystuje ton zwykle używany podczas musztry, żeby przywołać żołnierzy do porządku. Karol zostaje pospiesznie wpakowany do lektyki, obserwuje Neda, gdy ten przeklina i wrzeszczy na krnąbrnych podwładnych.

Dwaj tragarze zatrudnieni do niesienia lektyki zdejmują kapelusze na znak szacunku. Jeden z nich ma rozciętą wargę i krew spływa po jego brodzie.

Ned i jego ludzie pilnują przejazdu lektyki. Z tyłu dochodzi do niego znajomy głos. Odwraca się i widzi Hugh Petera, kapelana Olivera Cromwella. Wpatruje się w oddalającą się lektykę. W podniesionych rękach trzyma Biblię, tę samą, którą miał pod Marston Moor, Naseby i innych miejscach walki.

– „Niech chwała Boża będzie w ich ustach, a miecze obosieczne w ich rękach, aby dokonać pomsty wśród pogan i karania pośród narodów”[\[28\]](#).

Ned pada na kolana. Zimne, rozmokłe błoto przesiąka jego spodnie. Wsłuchuje się w znajomy głos Petera i czuje, że Słowo go przenika. Chce znów mieć pewność, zaznać owego wspaniałego poczucia Świętej pewności. Słyszy, że jego ludzie rzucają się na klęczki obok niego.

– „Aby ich królów zakuć w kajdany, a dostojników w żelazne łańcuchy, by wypełnić na nich pisany wyrok: to jest chwałą wszystkich Jego świętych. Alleluja!”[\[29\]](#)

*

Londyn wrze.

W mroku słyhać okrzyki: „Niech król nam długo żyje!”. Bandy rozzuchwalonych pijaństwem mężczyzn snują się po ulicach. Żołnierze włóczą się, szukając zaczepki. Za oknem mieszkania Henrietty mieszają się ze sobą podejrzanym wrzaski i wykrzykiwane hasła. Hen siedzi skulona przy kominku, śpiewając Jeżynkowi niemelodyjne urywki piosenek.

Nagle, niespodziewanie rozlega się walenie do drzwi.

– Kto tam? – Brak odpowiedzi. Hen odkłada synka i podchodzi do drzwi. Serce wali jej w piersiach. – Lucy?

Pukanie się powtarza, tym razem słabsze.

Przysuwa skrzynię do drzwi, żeby można było otworzyć je tylko częściowo. Łapie za gałkę i pociąga ku sobie. Pod ścianą bezładnie siedzi jakaś postać. Hen przysuwa świecę bliżej do szpary. Początkowo widzi tylko krew i gąszcz włosów. Później mężczyzna podnosi głowę ku światłu i Hen może przyjrzeć się jego pobladłej twarzy.

To Sam.

[\[27\]](#) Sdz 8, 23.

[\[28\]](#) Ps 149, 6-7.

[\[29\]](#) Ps 149, 8-9.

ROZDZIAŁ 32

STYCZEŃ 1649

Odgłosy kroków zbliżają się do drzwi. Hen spieszy, żeby je otworzyć. To Lucy.

– Wpuść mnie – mówi.

– Nie mogę. To przez Jeżyńka. Jest chory. Ma wysypkę.

Lucy odsuwa się od drzwi. Instynktownie przykładą dłoń do policzka. Panicznie boi się ospy. Hen widzi, że zamyka oczy, żeby nie widzieć oszpeconej twarzy, jakby samo patrzenie mogło ściągnąć na nią chorobę. Jej palce powoli gładzą policzek.

– Czy Will... – milknie, nie skończywszy zdania.

– Nie wiem – odpowiada Hen, prosząc w duszy Boga, żeby puścił to kłamstwo mimo uszu.

„Boże, niech to kłamstwo nie obróci się przeciwko mnie. Niech nie zmieni się w proroctwo”.

– Idę do Neda. Znajdzie coś dla mnie... – przerywa i dodaje: – Być może w pobliżu Jego Wysokości.

Głos Lucy staje się pogodniejszy. Hen mocno trzyma drzwi, ogarnia ją wstręt do bratowej. Jej wyraz twarzy musi to odzwierciedlać, bo Lucy nagle wydaje się tracić pewność siebie. Staje się niemal pokorna.

– Mam nadzieję, że Jeżynek... – zaczyna, ale Hen zatrzaskuje drzwi.

Hattie pochyla się nad Samem, przygląda się ranie na jego boku. Kołdra pod nim jest przesączona krwią.

W pokoju cuchnie gnijącym mięsem. Hattie podchodzi do kominka i wyjmuję spośród węgla kawałek wołowiny. Obcęgami przykładą go do boku Sama. Chłopak jęczy z bólu. Wciąż jest nieprzytomny, mimo skwierczącego, zdjętego prosto z różną mięsa, który Hattie kładzie na jego ranę. Krew nadal cieknie z jego boku, mieszając się z sokiem z kawałka wołowiny. Zapach przysmażanego ciała i kałuże krwi przyprawiają Hen o mdłości, czuje się słabo.

Siada ciężko na krześle obok łóżka. Nieświadomy niczego Jeżynek śpi w pokoju obok.

Hattie prostuje się na krześle i przykłada dłoń do czoła Sama, zostawiając na nim ślad krwi.

– I co?

– Nie wiem – odpowiada. – Powinnaś kogoś wezwać, Hen.

– Nie.

Hattie wstaje, wycierając ręce w umazany krwią fartuch.

– Cóż więc.

– Przykro mi, Hattie, ja po prostu jestem...

– Przerazona. Posłuchaj mnie, kochanie. Nie mów mi nic więcej. Rana jest czysta, od szpady. Niezbyt głęboka, ale być może wystarczająco, zobaczymy. Ale ja nie jestem ślepa, Hen. Obcy, sranie w banie. Dobry Samarytanin, akurat!

Obie kobiety odwracają się, żeby spojrzeć na twarz Sama. Ma zamknięte oczy i włosy zlepione na wilgotnym czole. Jest biały jak kreda, a skóra wokół ust jest fioletowa jak siniak. Mimo wszystko nadal jest odbiciem Hen. Dziewczyna pochyła się i odgarnia kosmyk włosów z jego twarzy.

– Co on tu robi? – pyta Hattie.

– Nie wiem. Nie powiedział. Po prostu upadł w takim stanie, jak jest teraz. Poszłam po ciebie. Przepraszam. Nie powinnam.

– Cóż – odpowiada Hattie. – Anna już wystarczająco długo jest sama.

Wydaje się, że łagodnieje pod wpływem nieszczęśliwego wyrazu twarzy przyjaciółki.

– Gdybym była sama, nie miałabym nic przeciwko. Ale mam dziecko, pamiętaj o tym.

Hen przenosi wzrok z Jeżynka na Hattie.

– Przepraszam – mamrocze i kuli się w krześle. – Nikt się nie dowie. Lucy myśli, że mamy ospę, a Patience pojechała do matki. Jesteśmy tylko ja i mój syn.

Hattie wyciąga rękę i dotyka dłonią jej policzka.

– Nie martw się.

Zbiera swoje rzeczy do torby.

– Posłuchaj, kochanie. Przez kilka dni nie można go ruszać. Rana musi się zasklepić. Jeśli przeżyje ten okres, wyjdzie z tego. Zdrętwiała ze zmartwienia Hen kiwa głową.

– Przepraszam cię – dodaje Hattie – ale czy ty to przemyślałaś? Myślałaś o Jeżynku?

– Oczywiście, że tak. Myślisz, że nie wiem o grożącym mu niebezpieczeństwie? On jest całym moim życiem, Hattie.

– No już, słonko. Nie kłóćmy się. Ale pomyśl o tym. Jeśli zrobili to, co zrobili Mary za drukowanie buntowniczych słów, co zrobią za ukrywanie zdrajcy? Oni wszyscy są całkowicie pewni swej słuszności i pragną królewskiej krwi. Są jak sfera, która złapała trop. A jak myślisz, co zrobią tym, którzy będą chcieli przeszkodzić im w zabijaniu?

– Henrietto.

Wyraźny, znajomy głos wyrywa ją ze snu. Leży na wąskim łóżku z Samem, obejmując brata, starając się go ogrzać.

To Ned. Jego znajoma postać kryje się w mroku.

Hen siada zdezorientowana. W ustach czuje metaliczny smak, jakby krwi, a ramię, na którym leżała, jest obolałe. Między nimi leży Sam, nadal nieprzytomny, ale mniej blady. Henrietta przygląda włosy.

– Ned. Ja spałam.

– Widzę.

– Co ty tu robisz?

– Lucy powiedziała, że Jeżynek jest chory. Chciałem pomóc.

– Och.

Przez okno, na tle którego siedzi Ned, patrzy w pochmurnie tłący się zimowy świt. Wysuwa nogi z łóżka, dotyka palcami stóp lodowatej podłogi. Cicho idzie do pokoju, w którym śpi Jeżynek. Niedługo się pewnie obudzi. Kiedy śpi, przypomina ojca, jest poważny i spokojny. Po obudzeniu jest zbyt żywy, aby przypominać Willa. Energia go rozpiera, daje jej upust w psotach albo wspinaniu się na meble. Zupełnie jak Sam w dzieciństwie.

Ned niecierpliwie tupie nogą.

– Zakładam, że Jeżynek czuje się dobrze.

Hen kręci głową.

Chłopiec porusza się i budzi. Spogląda matce w twarz i sennie się uśmiecha. Hen bierze go na ręce i przytula rozpalone policzki do jego karku.

– Hej, hej, mój Jeżynku. Hej, hej.

Dziecko ponad jej ramieniem wskazuje na Neda.

– Neh – woła uszczęśliwione. – Neh!

Ned uśmiecha się wbrew sobie.

– Tak, ptaszku – mruczy mu do ucha matka. – Wujek Ned.

– Henrietto – odzywa się brat tonem, którego jego żołnierze nauczyli się bać. – Co Sam tu robi?

– Nie wiem.

Ned potrząsa ramieniem brata.

– Sam! – krzyczy. – Sam!

Sam drży i wydaje się, że porusza oczami pod powiekami, ale się nie budzi.

– Ned! On jest ranny.

– Ranny od czego?

– Hattie uważa, że od szpady.

– Boże, dopomóż nam. Od jak dawna tu jest?

– Dwie noce.

– Mówił coś?

Hen kręci głową.

– Niewiele. Majaczył. Gorączkował.

Ned odsłania kołdrę, krew na prześcieradle jest zakrzepła i pociemniała, ale nie widać świeżych śladów krwawienia.

– Boże, Hen. Dwa dni temu próbowano odbić króla. Napastnicy zostali odparci, ale rozplynęli się w tłumie.

Wpatruje się intensywnie w twarz Sama, jakby chciał w niej czytać.

– Jutro mają zebrać się parlamentarzyści – mówi Ned, odwracając się przez ramię do siostry. – Być może dojdzie do egzekucji.

Odchodzi od Sama, zbliża się do okna i rozgląda po ulicy. Z zewnątrz dochodzi do nich gwar City. Przytłumione dźwięki – dudnienie powozów i rozbrzmiewające odgłosy kroków. Gwar targanego konfliktami, przerażonego miasta.

Ned wygląda na zewnątrz, a Hen przeciska mu się przez ramię. Chłodne powietrze na twarzy budzi ją. Bierze głęboki oddech. Za sobą słyszy głos brata i czuje vibracje jego piersi przyciśniętej do jej pleców. Całuje ją w czubek głowy, nieświadomie powtarzając gest ojca.

– Pewnie brał udział w tym spisku. Och, Hen. Co on zrobił najlepszego, dlaczego wmieszał się w to... w to bezceństwo? – Ned spogląda na brata i stwierdza: – Wygląda znacznie starzej. My jesteśmy przyzwyczajeni do swojego widoku i tego, że stajemy się coraz starsi. Ale zobaczyć go takim, to...

– Wiem. Hattie mówi, żeby go nie ruszać.

Ned zaczyna mówić powoli w jej włosy, jak do małego dziecka.

– Hen. On próbował uwolnić Karola. Wie, gdzie ukrywają się jego towarzysze. Hen, muszę go zabrać.

Henrietta wyrywa mu się.

– Nie możesz tego zrobić. Oni go zabiją.

Ned szarpie włosy z głowy, zarzuca pelerynę wokół ramion. Zaciska oczy.

– To jest mój obowiązek.

– On jest twoim bratem. A co z nami, Ned? Myślisz, że nie zauważą opatrzonej rany? Nie pomyślą o mnie, a co z Jeżynkiem?

– Hen, bądź rozsądna. Karol został uznany za mordercę i tyrana.

– Czym autorytetem? Mam wrażenie, że ten twój Parlament Kadłubowy jest równie tyrański jak był Karol. Kim innym jest Ireton? A Cromwell? Gdzie jest twój wspaniały Fairfax? Ukrywa się pod spódnicą swojej żony? Wiesz przecie, że to wszystko to farsa.

– Taka jest wola Boga.

– Jesteś równie nieprzejednany jak twój Bóg?

– Nasz Bóg, Henrietto, jasno przedstawił nam swoją wolę.

– I jego wolą jest, żebyś zabił własnego brata? Stałeś się Kainem, Ned? Zrobisz Samowi to, o co obwiniał cię ojciec w chwili śmierci?

Ned patrzy na nią niewidzącym wzrokiem. Siostra dostrzega wyraz bólu na jego twarzy. To dobrze. Ned jest taki nieprzejednany, kiedy uważa coś za słuszne.

Podchodzi do Sama, odsuwając Hen na bok. Bez słowa gładzi policzek brata. Hen widzi, że płacze.

Łagodniej mówi:

– Z pewnością, Ned, mamy swoje obowiązki wobec tych, którzy nas kochają. A co z twoim obowiązkiem wobec mnie, Willa... – przerywa. Imię Lucy zawisa na jej wargach. – Wobec naszych rodziców – milknie.

– A co z twoim obowiązkiem, Henrietto?

– Moim?

– Czy nauczysz swojego syna, że jedyne, o co warto walczyć, to przeżycie? Ukrywasz się tutaj, trzęsąc się ze strachu. Jesteś tak przerażona, że boisz się stanąć prosto.

– To nieprawda.

– Nie? Jeśli Karol ucieknie dzięki Samowi i naszemu współuczestnictwu, cóż to będzie za świat dla Jeżynka?

– Tak czy inaczej, ten świat nie będzie lepszy. Mówisz o królobójstwie, jakby był to koniec wszystkiego. A co potem? Kto będzie nami rządził? Nikt z was. Ciągłe jeszcze walczyć o to samo, co na początku? Kiedy stałeś się republikaninem? Nie przypominam sobie, żebyś w czterdziestym drugim nim był.

– Wystarczy tego. Jesteś tylko kobietą, nie rozumiesz.

Hen odwraca się, a on dostrzega w niej dawny żar.

– Tylko kobietą? A więc nie jestem w stanie zrozumieć tego, co ty?

– Nie, Hen. Nie jesteś. Ilu towarzyszy broni umarło na twoich oczach, powoli i w cierpieniu przez Karola? Miałem przyjaciela, pod Maidstone rozpruto mu brzuch. Próbował pozbierać własne flaki i wpakować je sobie do środka. Nie uwierzysz, jaki miał wówczas wyraz twarzy. Zdumienie. Bezbrzeżne zadziwienie. Bitwa bez znaczenia na pozbawionym znaczenia zadupiu!

– Ty przecież zawsze patrzysz jednym okiem w przyszły świat. Tam właśnie odszedł, powinieneś się cieszyć. Mnie on nie obchodzi, nie znam go.

– To są słowa niegodne ciebie. Bóg dał nam ten świat. Nie obiecał, że będzie łatwo, ale mamy obowiązek być Jego odbiciem.

– A robimy to właściwie, Ned? Czy On jest równie sprzedajną, głupią, żądną krwi istotą?

– Hen!

Henrietta niecierpliwie macha ręką na jego sprzeciwy.

– Wybacz, ale...

Chodzi po pokoju szukając jakiegokolwiek argumentu, żeby go przekonać.

– Odpowiedzialność. Obowiązek. A co z miłością, Ned? Czy twój Bóg jest nią przepelniony?

– Nikogo nie kocha bardziej od innych. Chcesz, żeby ocalił Samowi życie i pozwolił, by wszystkich innych diabli wzięli?

– Tak.

– Nie!

Stoją, wpatrując się w siebie.

– Pączuś! – nagle głos przerywa ciszę.

Oboje spoglądają w stronę łóżka, Sam się ocknął.

Hen podbiega do niego i całuje jego pobladłą twarz oraz brudne dłonie.

– Już dobrze – mówi, patrząc jej przez ramię, w miejsce, gdzie stoi Ned. – Pić – prosi.

Hen podaje mu wodę do wysuszonych warg. Usadza go na kilku poduszkach i zauważa, jaki jej niegdyś szczupły braciszek zrobił się szeroki w barach i umięśniony. Słońce spaliło jego twarz i przedramiona, ale skórę na reszcie ciała pozostawiło białą jak kość słoniowa.

– Och, Hen, niesamowicie dobrze cię widzieć. Pięknie wyglądasz.

– Chyba uszkodzili ci też oczy, nie tylko bok.

– Tak, być może kopnęli mnie w głowę, dranie, bo wszystko wydaje mi się snem.

– Na miłość Boską! – Ned odwraca się do nich z wściekłością. – Czy jesteśmy na jakimś cholernym przedstawieniu? Wymieniamy ploteczki? Henrietto, Sam jest zdrajcą. Rozumiesz? Przeklętym przez Boga, zdradzieckim szatańskim pomiotem!

– Ciebie też miło widzieć, Ned – odzywa się Sam, przeciągając samogłoski.

Zaniepokojona Henrietta zrywa się na równe nogi. Nie pamięta, kiedy ostatnio widziała, żeby Ned stracił panowanie nad sobą. Brat ma groźny, bezlitosny wyraz twarzy, wygląda zaskakująco młodo. Hen staje między nim a Samem, oczekując raz.

Obserwuje jak Ned odzyskuje kontrolę nad sobą. Podchodzi do fotela – fotela Willa – i gwałtownie w nim siada. Zaciska dłonie na poręczach, jakby starał się pohamować.

– Cóż za doskonały czas na żarty – mówi. – Tobie zawsze cholernie brakowało powagi, Sam.

– Za to ty zawsze byłeś cholernie poważny.

– Byłeś zamieszany w próbę porwania króla? Gdzie są twoi przyjaciele? Powiedz mi teraz, a nie będę musiał cię aresztować.

– Ty masz swoje poczucie obowiązku, bracie, ja mam swoje.

– Wszystko wygadasz pod koniec przesłuchania. Wszyscy to robią. Proszę cię, Samie, proszę, powiedz mi teraz.

Sam szeroko rozkłada ręce i spogląda na siostrę.

– Cóż więc, bracie, oto jestem.

Ned pochyla się w fotelu, a na jego twarzy maluje się ulga.

– Książę Rupert osobiście wyjawiał mi sekrety zdradzone mu przez tego diabła, jego psa, Boya.

– Mów – szepcze Ned.

– Tak, bracie. Nekromancja. Zmiana postaci. Żeby się tu dostać, przybraliśmy kształt mew i na skrzydłach przelecieliśmy ponad morzem...

– Sam. Na Boga, sprawdzasz granice mojej cierpliwości.

Ned odwraca się, żeby brat nie widział jego twarzy i malującej się na niej rozpacz. To były próżne nadzieje, że Sam wyda pozostałych spiskowców, a później cichaczem

się ulotni.

Sam kładzie głowę na poduszce, uśmiechając się szeroko.

– Skończyliście już? – burczy Henrietta. – Ty – rzuca w kierunku młodszego brata – przestań już sobie żartować. Musimy znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Co powstrzyma tych ludzi, których ochraniaasz, przed wyjawieniem twojego nazwiska? I kiedy zaczną ciebie tu szukać? Co stanie się z moim synem, Samie? Z moim Jeżynkiem?

Chłopiec podnosi głowę, słysząc swoje imię, i wyciąga pulchne piąstki, uśmiechając się radośnie.

Hen i Sam odwracają się do Neda. Brat rzuca łagodne przekleństwo, po czym podchodzi do okna. Jest przymarznięte, warstwa lodu pokrywa szybę od wewnątrz. Mimo uderzenia lodowatego powietrza, z trudem łapie oddech.

– Co? – woła do swojego sierżanta czekającego na niego na ulicy.

– Sir, parlamentarzystom przykazano, żeby podjęli decyzję. Niedługo zapadanie. Dziś, może jutro. Musimy...

– Tak, tak, spotkamy się na dole – odpowiada Ned.

„Boże, chroń nas!” Musi wracać. Odwraca się od okna z uczuciem ulgi, że ma pretekst, by odsunąć od siebie sprawę Sama.

– Jeszcze nie skończyliśmy – mówi. – Jeszcze nie.

ROZDZIAŁ 33

Dzień mija szybko. Ned spędza czas, koncentrując się na swoim zadaniu, na tym, żeby jego ludzie zachowywali się jak należy. Jest zbyt zajęty, żeby podejmować decyzje. Kilku żołnierzy go niepokoi. Są spięci, nabuzowani. Zbyt głośno się śmieją i podskakują podczas marszu. Królobójstwo jest odurzające. Jak burzenie murów świątyni.

Roberts, młody chłopak, który przeszedł chrzest bojowy w drobnych utarczkach drugiej wojny i żywi przekonanie o sprawowaniu przez Boga szczególnej opieki nad Armią, jest najgorszy. Ned obawia się, że zrobi coś impulsywnego, haniebnego. Jego rodzice zginęli podczas oblężenia Brampton Bryan. Wojny doprowadziły do pojawienia się zbyt wielu takich chłopaków jak Roberts – wykorzenionych i niespokojnych. Uznających tylko władzę muszkietu.

Roberts, jako strażnik króla, nie spuszcza z niego wzroku, obraca się, żeby popatrzeć na Karola cicho rozmawiającego ze swoim kapelanem, Williamem Juxonem.

Trudno nie patrzeć, nie gapić się na tego człowieka idącego na śmierć. Król znosi to dobrze. Jest spokojny, opanowany. Jego wrogowie rozpierzchli się po całym Londynie, starając się przekonać mieszkańców, żeby podpisywali się pod wyrokiem śmierci. Figurowanie jako jedno z wielu nazwisk na dokumencie skazującym króla daje poczucie bezpieczeństwa. Fairfax – mówi się – trzyma się od tego wszystkiego z daleka. Umywa ręce.

Ned, obserwując Karola, myśli o obu mężczyznach. Obaj zostali zapędzeni w kozi róg. Fairfax, którego Ned podziwiał tak żarliwie, wybrał bierność. Czyż nie powinien, skoro wygrał wojnę, walczyć o pokój? A Karol – otoczony przez wrogów, opuszczony przez przyjaciół – wie, co musi zrobić. Wie, że jego jedynym ratunkiem, jedyną ucieczką jest pokazanie im, jak umiera król.

Hen wchodzi do piekarni z Jeżynkiem na rękach. Na jej obliczu maluje się to samo zmęczenie, które tak dobrze pamięta z czasów, kiedy jej dziecko było całkiem małym szkrabem i całą noc płakało, domagając się mleka. Zmęczenie tak silne, że wnika w kości i odciska piętno na twarzy.

Udało jej się opanować strach, stłumić go za pomocą kłamstw i frazesów, ale teraz znów powrócił. Czuje go w drżących nogach i pocących się dłoniach. Serce nagle zaczyna bić jej tak gwałtownie i szybko, że nie może złapać oddechu. Kurczowo trzyma się synka, starając się odzyskać spokój. Ulica wiruje jej przed oczami.

Sprzedawca ostryg krzyczy i nawołuje, jego słowa są zbyt dobrze znane, by były słyszalne. Dwie kobiety stoją na ulicy, plotkując, owijają się szczelniej chustami i mają spierzchnięte, zaczerwienione policzki. Stary żołnierz przechodzi obok, postukując drewnianą nogą, jego kule grzęzną w błocie, sprawiając, że wylewa się z niego pomruk niczym złorzeczenia głuchego bóstwa. Na rogu siedzi żebraczka, kuląc się pod wznoszącą się nad nią kamienicą. Jest ubogo ubrana i wychudzona, obok niej siedzi dwójka dzieci: niemowlę i kilkuletni maluch. Jednym wstrząsają gwałtowne drgawki, drugie siedzi nieruchomo, tak pobleźnięte, że niemal przezroczyste i z ustami sinymi z zimna.

Hen skupia się na tej kobiecie, starając się być wdzięczna za to, co ma i uspokoić oddech. Opatulony, ciepły i rumiany Jeżynek kręci się na jej biodrze. Żebraczka łapie jej spojrzenie i wyciąga rękę. Hen sięga do torby, odrywa część chleba, jeszcze ciepłego, i wręcza kobiecie.

Patrzy zbulwersowana i zafascynowana, jak łapczywie pożera chleb. Omija wzrokiem obserwujące ją dzieci. Starsze dziecko odwraca się i spogląda na Hen apatycznym, niewidzącym wzrokiem zza zaniedbanej, ciemnej grzywki. Kobieta kończy jeść z westchnieniem i widząc, że Hen nadal stoi, ponownie wyciąga rękę.

Henrietta kręci głową i odchodzi.

Zobojętnienie żebraczki przyprawia o dreszcze. Takiej rozpaczy, głodu i zimnego zobojętnienia na dzieci Henrietta nie była w stanie dotychczas sobie wyobrazić. Słyszy głos tchórza w swojej duszy: „A gdyby ciebie dotknęło bankructwo? Co daje ci podstawę do tego, żeby uważać się za lepszą?”.

Kolejna cegiełka do jej strachu. Kiedyś myślała, że to miłość uczyniła ją taką słabą, że najbardziej boi się, iż ktoś złamie jej serce. Ale teraz dostrzega większe zagrożenia, w obszarach, gdzie jej miłość zawiodła, a mimo to była w stanie egzystować. Boi się swojego wewnętrznego tchórza, boi się dotarcia do granicy miłości i przejścia do miejsca, które znajduje się za nią.

*

Poprzedniego dnia król pożegnał się z dziećmi, które pozostały w Anglii: z księciem Henrykiem i księżniczką Elżbietą. Pułkownik Hacker przekazuje Nedowi tę wiadomość nazajutrz, kiedy oddziały stają w szeregu do inspekcji o mroźnym świcie.

Świcie dnia, w którym król zostanie zgładzony.

– Siwi weterani Armii Nowego Wzoru otwarcie płakali – opowiada Hacker – gdy król padł na kolana obok księżniczki i przykazał, by nie opłakiwała jego chwalebnej śmierci.

Ned przytakuje z roztargnieniem.

– Martwimy się o młodego księcia – mówi Hacker, zwracając się ku pokojom służącym jako kantyna. – Obiecał ojcu, że nie będzie uzurpował sobie praw starszego brata i nie zostanie marionetkowym królem parlamentu. Ale taka obietnica nie musi być wiążąca dla ośmioletniego chłopca otoczonego wrogami.

– Mhm.

– Martwimy się, że rojaliści mogą próbować go porwać. Chcieć posłużyć się księciem jako pionkiem, znaleźć nowe sposoby, żeby odwrócić to, co uczyniliśmy. Będziemy go jeszcze potrzebować.

– Rojaliści, sir?

– Tak, Ned. Czy dziś rano masz przytępiony umysł? Rojaliści, przypominasz sobie? Ich przekłęci londyńscy szpiedzy. Ci, którzy niecałe trzy dni temu próbowali wejść do komnat królewskich, zuchwałe szczeniaki.

Ziemia drży pod stopami Neda. Myślał, że czas podejmie decyzję za niego. Że głowa królewska wpadnie do kosza i zabierze ze sobą wielką rozterkę Neda.

W kantynie Ned spotyka Skippona siedzącego samotnie przy kominku. Jego były przełożony trzymał się na dystans od procesu. Teraz wyznaje, że w końcu doszedł do wniosku, iż chce być wśród towarzyszy broni. Mówi, że nogi zaniósły go do kantyny wbrew jemu samemu. Patrzy na Neda, jakby widział go po raz pierwszy.

– Co cię martwi, Ned?

– Cóż znaczą moje zmartwienia w tych czasach?

– No dalej, mówże.

Ned milczy. Wcześniej nie wiedział, do jakiego stopnia żal może przypominać strach. Ten sam fizyczny ucisk. Te same mdłości. To samo osaczające uczucie upartej obecności, które nigdy nie ustępują miejsca jaśniejszej przyszłości. Patrzy w płomienie. Myśli o Bogu.

W końcu się odzywa.

– Sir, gdyby ktoś, kogo pan kocha, popełnił wielki grzech, przeciwko Bogu i swojemu krajowi, a zatajenie tego oznaczałoby obciążenie własnego sumienia, ale uratowałoby mu życie, co by pan zrobił? Rozmawiamy oczywiście hipotetycznie.

Skippon milczy.

Ned stara się zagłuszyć tę ciszę.

– To znaczy, czy niechęć wyjawienia jego występku jest egoizmem?

– Ależ to nie twoja wina tu się liczy, Ned. Liczy się ten grzech. A wolność od grzechu jest łaską, nie tylko dla sprawiedliwych, lecz także dla grzeszników. Czyż nie jest więc łaską, dobrem uczynionym osobie, którą kochasz, sprawienie by zmierzyła się

z konsekwencjami swego grzechu?

– Ale – pyta Ned, czując cierpienie z powodu samego wypowiedzania tego na głos – co z moją miłością do niego? Co z bólem związanym z zadaniem tego ciosu?

– Wcześniej wspominałeś o egoizmie, prawda?

Ned potwierdza jego słowa wzruszeniem ramion.

– A pamiętaj – mówi Skippon – że jeśli nie jesteśmy w stanie stanąć przed własnym sumieniem, jak będziemy mogli uczynić to przed Bogiem, który wie o nas wszystko? Sumienie jest tylko zastępcą Boga w naszym sercu.

Ned czuje, że ciężar tych słów osiada na jego ramionach.

– Sir – zwraca się do generała – muszę panu coś wyznać.

*

Tłum jest upiornie cichy. „Łajdacy” – myśli Henrietta. „Zastraszeni, głupi łajdacy. Nie byliście tacy cisi, kiedy zabijano mojego ojca. Wtedy nie byliście tacy delikatni”.

Staje obok Willa i chwyta go za rękę. Jeżynek jest z Hattie. Sam śpi. Jego skóra teraz jest lekko zaróżowiona, co sprawiła żarząca się w nim iskierka człowieka, który przywitał się ze śmiercią i przeżył. Ned nie wrócił. Teraz, gdy stoją tutaj i przyglądają się egzekucji króla, jaki byłby tego sens? „Proszę cię, Boże, pozwól mu skłamać, pozwól mu znaleźć trochę litości w jego zatwardziałym sercu”.

Słyszy szmer przypominający szelest płótna. Oto król. Chryste, ależ on wydaje się mały. Spuścili go z okna Banqueting House na pospiesznie wzniesiony, okryty czarnym całunem szafot. Ulicę całkowicie wypełnia tłum. Na dachach stoją rzędy ludzi. W tej ciszy kryje się moc, wszyscy czują jej pulsowanie. Ponad ich głowami unosi się nabożna cześć, świszcze w powietrzu, którym oddychają.

Will i Henrietta stoją między królobójcami zaproszonymi przez Johna Cooke’a. „Niech Pan się nad nami zlituje. Jak do tego doszło? Gdyby ojciec nas widział. A jeśli na mnie patrzy z góry? Ned gdzieś tu dzierży miecz, który zgładzi władzę królewską. Ja ściskam ukochaną dłoń tego, kto napisał słowa zabijające ciało króla”.

Karol spogląda na tłum, patrzy w górę na ludzi siedzących na dachach, na chłopców przycupniętych na niewiarygodnie wąskich gzymsach i dzieci usadowione na ramionach. Na jego wargach pojawia się półuśmiech. Czy to skrucha? Żal?

Ned przygląda się tłumowi, obawia się kłopotów. Jest zbyt cicho, zbyt uroczyście. Przypomina sobie hałaśliwy, rozradowany tłum oglądający egzekucję ojca i szybko zadaje sobie w duszy pytania: „Co będzie, gdy ten złowrogi, ponury tłum zwróci się przeciw nam? Co, jeśli wśród tej całej gadaniny o ludzkiej, lud krzyknie, a okrzyk będzie brzmiał: Nie!”.

Widzi, że młody Roberts mamrocze coś pod nosem, dodając sobie odwagi. Huśta się na piętach w tył i w przód. Ned rozważa udzielenie mu reprimendy, ale rezygnuje.

Odwraca się, żeby spojrzeć na skazańca, który stoi, patrząc na tłum. Karol jest

odważny, to nie budzi wątpliwości. Jego droga została wyznaczona, decyzje podjęte i teraz dumnie stawia im czoła. Ned przyłapuje się, że jego myśli dryfują ku przeszłości. Czuje się tak, jakby przeglądał się w lustrze i zobaczył obcą twarz. „Czy mogę się czegoś nauczyć od tego człowieka, który doprowadził do rozlewu krwi w tym kraju? Cóż ja w końcu wiem o woli Boga? Czy się mylę? O Boże, o Jezu. Co ja uczyniłem najlepszego?”

Henrietta patrzy na króla i myśli o jego dzieciach. Mówi się, że księżniczka Elżbieta nieustannie płacze. Książę Henryk przysiągł, że prędzej da się rozszarpać na kawałki niż spełni wolę parlamentu. Wyobraża sobie wojownicze stwierdzenia padające z ust ośmioletniego chłopca próbującego być mężczyzną, jego drobną, bladą buzią i odwagą dziecka, i czuje, że zaraz się rozpłacze.

„Głupia, głupa. Po co płakać z powodu obcego dziecka, gdy własny syn jest nieustannie w niebezpieczeństwie? Panie Boże, dlaczego uczyniłeś to wszystko takim trudnym? Dlaczego nas depreczujesz? Dlaczego wciskasz stopą w ziemię, choć się przed tobą płaszczymy? Czy dlatego, że zabiliśmy twojego syna?”

Król zaczyna przemawiać. Żołnierze powstrzymują tłum. Ludzie powoli przesuwają się w przód, żeby usłyszeć słowa władcy, ale piki znów każą im się cofnąć. Henrietta dostrzega w końcu Neda. Jest odwrócony plecami do króla i przygląda się tłumowi, wypatrując buntowników. W wyrazie jego twarzy zauważa coś dziwnego, coś niepokojącego. Stara się to odszyfrować. Dochodzi do wniosku, że brat słucha przemawiającego króla. Tylko królobójcy słyszą wyraźnie jego słowa, reszta jest zbyt daleko.

– Poddany i władca to całkowicie różne istoty – mówi. Jego słowa niesie lodowaty wiatr.

Mężczyzna z toporem występuje naprzód, dotyka palcami ostrza. Głos Karola cichnie. Henrietta nie słyszy jego słów, ale Ned, tam z przodu, owszem.

– Uważaj, żeby nie zadać mi bólu – Karol mówi bardziej niepewnym tonem niż Ned kiedykolwiek słyszał.

„O Boże, miej litość na nim” – Ned zdaje sobie sprawę, że taka myśl przychodzi mu do głowy. „Nad nami wszystkimi”.

Głos z tyłu Henrietty mówi:

– Zamówiliśmy mały pień. Dla małego człowieczka. Rozumiesz dowcip?

Ale nikt nie wybucha śmiechem i Henrietta jako jedyna odwraca się, żeby spojrzeć na autora kawału z pogardą, a on burczy coś pod nosem, patrząc w ziemię.

Król podaje Juxonowi swoje podwiązki.

– Pamiętaj – mówi.

Król Karol wygląda niezdarnie na klęczkach. Musi zbyt mocno się pochylić i to pozbawia go godnego wyglądu. Topór wznosi się do nieba i opada z głuchym dźwiękiem duszy wysyłanej na tamten świat. Równocześnie rozlega się długie, żałobne westchnie tłumy, które płynie od Whitehall przez pałac św. Jakuba aż po

Westminster, gdzie wije się zamarznęta, nieruchoma Tamiza.

ROZDZIAŁ 34

Potem następuje oszołomienie. Oczy unikają oczu, słowa zamierają na wargach. Gdziekolwiek spojrzeć, panuje przejmująca niepewność. Starzec ze łzami spływającymi po pokrytej zmarszczkami twarzy wznosi oczy ku niebu. Czy szuka gromów, czy peanów anielskich?

Bezgłowe ciało króla niezgrabnie leży na szafocie. Jego głowę zabrano, obija się w pospolitym koszu. „Ktoś go zrobił” – myśli Henrietta. „Ktoś ściął witki, splatał je i patrzył jak powstaje. Myślał, że będą noszone w nim jabłka. A może chleb. Zamiast tego z jego wnętrza spozierają niewidzące oczy króla”.

Nastrój ulega zmianie, kiedy gapie się rozchodzą odprowadzani przez oddziały kawalerii. Kilku wyrostków przerywa kordon i biegnie przyłożyć chusteczki do królewskiej krwi spływającej z czarnego płótna pokrywającego szafot. Jeden ze śmiałków upada pod lawiną ciężkich żołnierskich butów, ale większości udaje się uciec. Chowają do kieszeni swoją zdobycz i rozpływają się w tłumie.

Panuje teraz zuchwałe zdumienie. Ludzie znów są w stanie na siebie patrzeć. Przeszepują z nogi na nogę pośród szeptu: „Zabiliśmy króla, zabiliśmy króla”. Nad nimi krążą kruki, kracząc: „Zabiliście waszego króla, zabiliście waszego króla”.

Ich głosy powracają, rozbrzmiewa cichy pomruk. To samo pytanie pada z wielu ust, przyjmując różne formy: „I co teraz?”.

Henrietta trzyma dłoń Willa i patrzy mu w twarz.

– Trzymasz się, kochanie? – pyta Will.

Hen przytakuje, dusząc w sobie kłamstwo niedomówienia.

– Muszę wracać, przykro mi – mówi. – Muszę się zająć pewnymi dokumentami.

Ona udaje rozczarowanie:

– Jaki pożytek z kolejnych dokumentów? Przecież nie żyje, prawda?

– Chodź ze mną. Powinniśmy teraz być razem. To nie potrwa długo.

Spogląda przez jego ramię i widzi Neda stojącego z boku grupki żołnierzy. Patrzy obojętnie, dziwacznie nieruchomy wobec ich oczywistego poczucia celu. Starszy mężczyzna przemawia do oddziału, wymachując rękami i z pośpiechem.

Ned wydaje się załamany. Nieruchomy, zgarbiony pośród gwaru tłumu. Całym

sercem mu współczuje. I nagle rozumie.

Odwraca się do Willa, całuje go szybko i mówi:

– Kocham cię.

Toruje sobie drogę pośród tłumu, przeciskając się i pchając pod prąd. Kiedy zbliża się do brata, ten wreszcie ją zauważa. Robi krok w przód i patrzy w bok. Kręci głową, a ona milknie. Znow spogląda w bok, gdzie tyłem stoi grupka żołnierzy, wpatrzonych w mówiącego do nich pułkownika. Przekonawszy się, że nikt nie zwraca na niego uwagi, szepce, wystarczająco wyraźnie, żeby go usłyszała:

– Idź. Idź szybko.

Henrietta przepycha się między ludźmi. Łokciem uderza niską kobietę, która obrzuca ją przekleństwami. Staje na czubkach palców i wymyśla Hen, gdy ta brnie przez tłum. Może rzeką? Zbyt wolna, zbyt zatłoczona. Nie. Pomyśl. Jest zamarznęta, solidnie skuta lodem. Nie może wyobrazić sobie żołnierzy truchtających po lodzie w swoich ciężkich butach. Będą musieli przedrzeć się między tymi wszystkimi ludźmi. Czy ośmieli się zaryzykować?

Pamięta, kiedy ostatni raz Tamiza zamarzła. Miała chyba dziesięć lat. Ned dwanaście i jeszcze był szczęśliwy. Zeszli z ojcem schodami z Temple i gonili się po lodzie. Bawiło ich obserwowanie, jak się ślizgają. Pili grzane korzenne wino sprzedawane na straganach i zajadli kiełbaski pieczone w ognisku rozpalonym na lodzie. Obejrzeliby pokazy mimów i zawody łucznicze. Zwycięzca – przypomina sobie – miał intensywnie rude włosy. Wydawały się płonąć na skutym mrozem lodzie.

Ned i Sam konkurowali w wyścigu, którego zasady sami wymyślili. Polegał on na dobiegnięciu do znaku, ukłęknięciu i jak najdalszym przesunięciu się po lodzie. Pamięta zmarznęte palce stóp i niepochamowane śmiechy, kiedy ją mijali. Sam robił teatralne miny, a Ned uśmiechał się do niej. Aż w końcu przestali się ślizgać i położyli na lodzie z rozpostartymi ramionami, jak upadłe anioły, śmiejąc się ku niebu.

Te wspomnienia zaprowadziły ją nad rzekę. Zmierzcha już. Ponury, krótki zimowy dzień. Schodzi po schodach, a lodowaty wiatr od rzeki zapiera jej dech w piersiach. Na lodzie widzi ciemne postacie. Zatrzymuje się na dolnym stopniu, znajomy strach powraca. „Co mam zrobić?” – krzyczy w stronę cichego nieba. „Co mam zrobić?”.

*

Oddział Neda skręca w róg ulicy, przy której mieszka Hen. Jest już niemal ciemno i pochodnie rzucają migotliwe cienie. Tupot ich butów i pobrząkiwanie szabli sprawiają, że ludzie truchtem chowają się w ciemne kąty. Łapie wyraz twarzy Robertsa oświetlonej płomieniem w momencie, gdy jakiś starzec rzuca się do ucieczki. Rozpoznaje uśmiech chłopaka, jego zadowolone poczucie władzy. „Kiedyś byłem nim” – myśli. „Teraz czuję się stary jak Matuzalem”.

Powiedział im, że Henrietta wyjechała, została na wsi u rodziców męża podczas zamieszek. Will jest w Temple, przy egzekucji króla. Powiedział, że jest tam tylko

Sam. Nieuzbrojony. Ma nadzieję, modli się o to, że Sam już opuścił mieszkanie. On jakoś zatuszuje ślady współudziału siostry. Ochroni ją. „Boże!” – modli się. „Pomóż mi ją ochronić. Poprowadź mnie”.

Podchodzą do drzwi.

– Pokaż nam drogę, Ned – mówi pułkownik Hacker, a on przytakuje mu kiwnięciem głowy.

Bezwiednie przytrzymuje drzwi, kiedy się przed nim otwierają. Bezwiednie cofa się, kiedy z mieszkania wypada kobieta. Jest wysoka, barczysta, a jej suknia – zauważyła to zdumiewająco późno – ledwie sięga górnej części dużych, osobliwych butów.

– Przepraszam panią – mówi Ned, ale czuje, że coś tu nie gra, coś jest całkowicie nie na miejscu. Dostrzega coś jednocześnie znanego i całkowicie niestosownego w tej kryjącej się w mroku kobiecie.

Roberts mija go, wbiega na piętro po dwa stopnie. Jest gorliwy, zjeżony. Musi się sprawdzić. Ned pędzi za chłopakiem, otrząsa się z zamyślenia, ale wciąż zмага się z tą niestosownością.

Henrietta odprowadza wzrokiem jego postać szybko odchodzącą w ciemność. Chwała Bogu, żołnierze nie zwrócili na niego uwagi. Gdyby przyjrzeni się uważniej, zauważyliby rozwiązane sznurówki na plecach sukni – jedynej, która na niego pasowała, tej, którą włożyła na egzekucję króla. Zobaczyliby jego zbyt duże stopy, zarost ukryty pod chustą. Gdyby było więcej czasu, można by go lepiej ucharakteryzować. Ale jest teraz ciemno i kobiecie, nawet niezbyt przekonująco wyglądającej, łatwiej wymknąć się żołnierzom.

Drży w cienkiej bieliźnie. Na schodach słyhać tupot. Chwyta najbliższe ubranie, jakie znajduje się pod ręką, jedną z czystych koszul, które przyniosła wczoraj Samowi. Kochany, głupi chłopak, miał przecież wziąć je ze sobą. Wkłada koszulę przez głowę. Żołnierze uznają, że to koszula nocna. Może będzie pasować na Willa. A kiedy przekłada ją przez głowę, czuje zapach Sama. Mocny i znajomy. Czy to możliwe, że pachnie nim, skoro dzielili łono? – zastanawia się.

Ned wpada do środka. Zaraz za nim Roberts. A przed nimi, w za dużej koszuli, stoi Henrietta. Wygląda jak dziewczyna, którą pamięta – gniewna i dumna.

Zaczyna mówić z uniesionymi rękoma, nie patrzy na Neda, tylko na krzyczącego chłopaka obok. Roberts wykrzykuje słowa, których Ned nie rozumie. A potem następuje błysk, którego nie rozumie, i odgłos strzału. I nagle ona upada. Upada, a krew gwałtownie rozprzestrzenia się na pożyczonej koszuli brata.

ROZDZIAŁ 35

MAJ 1649

Kobiety są wszędzie. Bose kobiety o popękanych, ubrudzonych błotem piętach. Obszarpane kobiety w płaszczach pokrytych łatami, wydętych na wietrze jak żagle. Mają ostre, kanciaste kości policzkowe i zdesperowane twarze. Zbierają się w grupy, idą ramię w ramię, siadają zapłakane w zaułkach.

Ned, który przywykł do otoczenia mężczyzn, czuje się, jakby przeniósł się do świata cieni. Ciągną jego płaszcz, szydzą, gdy przechodzi obok. Odkrywa, że się ich boi. Wstążki koloru morskiej zieleni powiewają na ich ubraniach. Znak radykałów. Bezładna zbieranina szarości, nędzy i zieleni. Ich desperacja klei się do niego jak ulepek. Brnie między nimi, kurczowo ściskając tajny raport boleśnie mocno zaciśniętymi palcami.

Żądają jedzenia dla swoich dzieci. Żądają zwolnienia swoich mężów i synów z wojska, wypłacenia im żołdu i odesłania do domu. Żądają zwolnienia z więzienia lewellerowskich męczenników, ludzi, którzy głosili możliwość stworzenia nowego świata, nowego porządku. Ludzi, którzy wypowiedzieli to, co wydawało się niewypowiadalne – że równość przed Bogiem jest możliwa, pożądana. Większość z nich chciała tylko zostać wysłuchana. Pomaszerowały na parlament, ale zostały przez parlamentarzystów odesłane do domów, wyszydzone i wydrwione. „Wracajcie do domów, do garów. Przyślijcie tu swoich mężów” – myśli Ned, torując sobie drogę między nimi. Nie ma miejsca dla kobiet w życiu publicznym. W tych czasach nawet mężczyznom trudno jest zmagać się z przyszłością.

Wykrzykują hasła i popychają go. Czuje się schwyty w pułapkę ich żarliwości. Zbliża się do młodej, ładnej kobiety. Sprawia wrażenie zamożnej. Jakby wybierała się na piknik nad rzeką. Spostrzega zainteresowanie Neda. W odpowiedzi też wlepia w niego wzrok, jednocześnie otwiera szeroko usta, żeby krzyczeć i nawoływać. Coś na temat samowoli władzy. Widzi jej różowy język i czerń gardła.

Ależ sobie wybrał porę, żeby udać się do Westminsteru. Powinien wcześniej odwiedzić Lucy, pogruchać trochę nad jej rosnącym brzuchem. Ona nigdy nie

dołączyłaby do tych kobiet. Nigdy nie naraziłaby się w ten sposób na potępienie, na śmieszność. Ale Henrietta owszem. Myśl o niej każe mu nagle przystanąć. Jego serce bije jak szalone. Głośno, tłumiąc kobiece krzyki. Kobiety idące za nim wpadają na niego, a on traci równowagę.

Daje nura w bok, w mniejszą uliczkę, chcąc obejść demonstrację. Potyka się o coś. Kiedy spogląda w dół, widzi ciało dziecka. Nagiego chłopczyka. Ma wydęty brzuch i spokojny wyraz twarzy. Gdyby Ned nie widział w Bristolu umierających z głodu dzieci, mógłby nie dostrzec tych oznak. Wyraźnie zarysowane żebra nad wydatnym brzuchem. Zapadnięte policzki i podkrążone oczy.

Czuje narastające mdłości. Pasztecik, którego zjadł poprzedniego wieczoru, uwiera go w żołądku jak wyrzut sumienia. Kosztował małą fortunę. Ceny żywności gwałtownie podskoczyły. Głód dotknął kraj wcześniej nasiąkły krwią. Czy to jest smak piekła poprzedzający nastanie Jego królestwa?

Ned kuca obok ciała martwego chłopca. Czuje, że pot zrasza mu czoło i drażni skórę pod pachami. Drżącymi rękami próbuje zmusić powieki dziecka, żeby się zamknęły. Nie zamykają się. Chłopczyk zaczyna więc się, leżąc między odpadkami. „Jezu, ochroń nas. Jezu, ochroń mnie”.

W ręce trzyma petycję wciśniętą mu przez jedną z kobiet. Wygląda zmięty papier. Czyta:

„Ponieważ jesteśmy pewne, że zostałyśmy stworzone na obraz i podobieństwo Boga, a także żywimy przekonanie o naszym równym z mężczyznami udziale w zbawieniu przez Chrystusa, oraz o przysługującym nam proporcjonalnym prawie w korzystaniu z wolności w naszej Republice, ze zdumieniem i smutkiem przyjmujemy, iż okazałyśmy się w waszych oczach na tyle występne, że niegodne składania skarg i przedstawiania naszych żalów w tym czcigodnym zgromadzeniu”.

„Niech Bóg obdarzy je mądrością” – myśli Ned. „Co myśmy rozpętali, skoro kobiety piszą takie słowa do parlamentu? Równe z mężczyznami, dziwki. Czym to wszystko się skończy?”

Prostuje się, uderza palcami w teczkę z raportami. Wybija z roztargnieniem rytm marszowy na czarnej skórze. Musi ominąć te kobiety albo utorować sobie drogę między nimi. Musi dostarczyć te listy. Stoi bez ruchu. Nogi ma jakby wrośnięte w ziemię, utknął w tej uliczce z ciałem martwego chłopca i pilnymi, niedoręczonymi meldunkami.

Jego pułk jest w Bristolu. Lewellerzy mają poparcie szeregowców. Nawet niektórzy oficerowie są bliscy buntu. Mówią o zaległych żołdach i nadużyciach, jakich w armii dopuszcza się kierownictwo. Są wściekli z powodu zbierania oddziałów na podbój Irlandii. Plują na Radę Państwa, organ powołany przez Parlament Kadłubowy, by rządził wobec braku króla. Nie najlepiej wypełnia pozostawioną po królu pustkę, jak niedbale wykonany kawałek układanki.

Ned musi dostarczyć tę wiadomość. Musi powiadomić o sytuacji w Bristolu. Kto jest pewny, kto podejrzany. Myśli o pamflecie w teczce, który krąży po jego pułku. Czuje,

jak obija się o jego udo, czuje jego żar mimo skórzanej aktówki. To nie wina króla, lecz nasza. Taka jest właśnie jego wymowa. Nasza wina. Moja wina.

Zna jego treść na pamięć, chłonał te słowa w świetle świecy, recytował w rytmie wybijanym przez kopyta jego konia. Szeptem recytuje te słowa martwemu chłopcu „O! Oceanie krwi, którego jesteście winni. O! Nieznośny ucisku, jaki zgotowaliśmy naszym braciom w Anglii. O! Jakże te grzechy śmiertelne dręczą sumienia”.

Chłopiec jest cichy. Jego otwarte oczy stanowią wyrzut. Wpatruje się niewidząco w wieczorne niebo.

Ned zwraca się do niego szeptem:

– Myślisz, że ma rację? Ten, który napisał pamflet? Jesteście winni? Ja jestem winny?

Dziecko nie odpowiada, a w Nedzie zaczyna wzbierać złość. Potrząsa chłopcem. Słyszy trzask łamanych żeber i wrzuca ciało między odpadki. Łka, a jego łzy kapią na poszarzałą skórę dziecka.

*

– Ned.

Głos Willa jest płaski. Nic nie mówi Nedowi, który spogląda w dół i widzi Jeżynka obejmującego nogi ojca stojącego w drzwiach.

– Ujek Ned – mówi chłopczyk i wyciąga do niego dwie pulchne łapki, domagając się, żeby wziął go na ręce.

Ned pochyla się i go podnosi, nagle zapach dziecka go odurza. Czuje, że kolana mu drżą. Bojąc się, że zemdleje, opiera się o ścianę z siostrzeńcem w ramionach.

– Mogę wejść, Will?

Przyjaciół patrzy na niego z obojętnym wyrazem twarzy. Nic nie mówi, tylko cofa się w głąb pokoju, pozostawiając otwarte drzwi. Ned wnosi Jeżynka do środka. W kącie stoi kobieta z szeroko rozwartymi, przerażonymi oczami. Czy to siostra Willa, Patience?

Wygląda na wystraszoną. Ned ledwie się powstrzymuje przed zapytaniem, kogo tak się boi.

– Patience – mówi Will. – Zabierzesz Jeżynka?

Siostra kiwa głową i podchodzi, żeby zabrać chłopca. Unika spojrzenia Neda z ogromnym wysiłkiem. Dopiero kiedy zamyka za sobą drzwi, Will się odzywa.

– Co tu robisz?

– Chciałem się z tobą zobaczyć. Jestem w Londynie przez dwa dni. Później jadę do Bristolu. Zgłosiłem się na ochotnika do Irlandii. Wkrótce wyruszamy. Nie wiem na jak długo.

– Chcesz teraz mordować papistów, Will? Nie przelałeś jeszcze wystarczająco dużo krwi tutaj?

Neda świerzbi język, żeby odciąć się gniewną ripostą. Jednakże stał się mistrzem

w kontrolowaniu swoich myśli i działań. Bierze oddech.

– To prawda – odpowiada, starając się mówić cicho i spokojnie – że chcę znów działać

– Dlaczego?

Ned wzrusza ramionami

– To mój zawód.

To nie to. To wcale nie to. Jak może wytłumaczyć to Willowi? Chce znów przejrzystości. Chce pewności. Chce czuć oddech Boga na swoim policzku, kiedy papiści uciekają przed jego gniewem. Chce porządku. Chce, żeby ryk i huk bitwy wypełnił jego głowę jak powietrze świński pęcherz. Bierze oddech.

– A ty, jak się masz, Will?

Chce klepnąć przyjaciela po ramieniu. Ale zakłada ręce za plecy.

Will wzrusza ramionami.

– Jestem żywy. Ale chyba nie żyję. Oddycham. Mam Jeżynka. W przeciwnym razie nie wiem, czy dbałbym o to. Mówię o oddychaniu. Ostatniej nocy był deszcz meteorów. Wiesz o tym? Patrzyłem przez okno i nic nie czułem. Zupełnie nic.

– To minie.

– Czyżby? Bo ją pochowaliśmy? Ned, znam teraz tylko jedno uczucie. Nienawiść. Boże, jak ja nienawidzę.

– Will, ja...

Will władczo podnosi rękę.

– Nienawiść, Ned. Zostałem wyzuty z miłości. Całkowicie pozbawiony. Szczypta została dla mojego syna. Nic więcej. A chcesz wiedzieć, kogo nienawidzę?

Ned przytakuje milcząco.

– Zmarłego króla i żyjącej królowej. Członków parlamentu. Kobiet, które przechodzą pod moim oknem i biadolą o pustych brzuchach. Sędziów. Hattie, choć nie zrobiła nic złego, ale płacze i płacze, sprawiając, że zazdroszczę jej łez. Sama. Za to, że tu był i naraził ją na niebezpieczeństwo. A potem napisał wesoły, pieprzony list z tego ochłapu ziemi zdobytego przez Ruperta. Opisał w nim swoją brawurową ucieczkę. Pewnie dostał już moją odpowiedź, podejrzewam więc, że nie będzie już teraz tak cholernie wesoły.

Will podchodzi do stołu, na którym stoi butelka wina. Choć nie minęło jeszcze południe, nalewa dwie spore miarki. Jedną szklanekę podaje Nedowi, który bierze głęboki łyk, żeby ugasić palące gardło. Nie jest przyzwyczajony do alkoholu. Bierze jeszcze jeden łyk, obserwując ponad krawędzią, jak Will opróżnia swoją szklanekę.

– Nienawidzę chłopaka, który strzelił do niej. I, oczywiście, Nedzie, nienawidzę ciebie, to się rozumie chyba samo przez się – mówi, składając dworski ukłon.

Ned ściska szklanekę w dłoniach.

– A najbardziej chyba nienawidzę siebie samego. Bawiłem się w prawo, kiedy Hen postrzelono. Kiedy ona starała się chronić kochane osoby. Ciebie też, oczywiście, nie tylko Sama. Ochronić cię przed tobą samym.

Ned zamyka oczy. Osiągnął mistrzostwo w tłumieniu obrazu zdumionej, pobladłej twarzy upadającej Henrietty. Poplamionej krwią ręki, którą wyciągnęła w jego stronę. Mgły przesłaniającej jej oczy.

– Jest teraz z Jezusem – mówi Ned łagodnie.

– Och, odpieprz się, dobrze?

– Will, ja...

– Z Jezusem. A skąd to wiesz? Czy połowa tej krwi nie została przelana dlatego, że ty i ta druga banda walczyliście o to, kto dostanie się do nieba? Chryste, Ned!

Will śmieje się dziwnym, pozbawionym radości śmiechem.

– To jest niemal zabawne. Jeśli to twój ojciec miał rację, a ty się myliłeś, musi tam stać długa kolejka tych, którzy czekają na osądzenie. Niezłą grupkę twoja banda posłała na Sąd. A jeśli ty miałeś rację, a on się mylił, moja Henrietta jest właśnie w piekle. Płonie.

– Nie. Nie. Ona należy do wybranych.

– To zabawne, że takim draniom jak ty zawsze wydaje się, iż wiedzą, kto jest wybrany. Nie myślisz? Bóg osądza, ale ty też robisz to nieustannie.

Ned kończy wino

– Muszę już iść – mówi.

Nie może znieść widoku Willa w takim stanie. Łagodnego, mądrego Willa. Podchodzi do drzwi.

– Powiedz mi, Ned – pyta Will – czujesz się winny za jej śmierć?

Ned zatrzymuje się na progu. Słyszy, że ktoś krzyczy w nieruchomym powietrzu. Czuje ucisk w głowie, jakby zbliżała się migrena.

– To nie ja pociągnąłem za spust – mówi wreszcie.

Will posyła mu uśmiech, którego posepność ściska mu żołądek.

– Żegnaj, Ned – mówi i zatrzaskuje drzwi z głuchym łoskotem.

Ned, odchodząc, kładzie dłoń na rękojeści szpady i przesuwa kciuk po jej ostrzu. Stara się nie myśleć o Henriecie. Stara się nie myśleć o Samie. Wkrótce opuści Londyn. Poczuje słoną mgiełkę na twarzy i wie, że między nim a polityką będzie rozpościerać się morze.

Wielkie trzęsienie ziemi, jakim była śmierć króla, nie zostawiło w kraju kamienia na kamieniu. Myślał, że przyszłość będzie jaśniejsza. Myślał, że wraz z odejściem króla nastanie Nowe Jeruzalem. Okazało się, że to trzęsienie ziemi pozostawiło po sobie rumowisko i nieczystości oraz przerażonych, skłóconych ludzi.

Stara się nie pamiętać o zdumionej, pobladłej twarzy upadającej Henrietty.

Dobrze będzie znów brać udział w bitwie, na serio chwycić za broń. Dobrze będzie otrzymywać jasne, precyzyjne rozkazy. Wykopać okopy. Trzymać wachtę. Używać hasła. Dobrze będzie realizować Jego dzieło. Słuchać czystego głosu Boga wzywającego w ciemności.

ANTONIA SENIOR

Zanim została dziennikarką, studiowała historię na Uniwersytecie Cambridge. Kilkanaście lat pracowała w redakcji „The Times”, obecnie jest freelancerką, a jej artykuły i recenzje książek pojawiają się w najważniejszych brytyjskich gazetach, m.in. „The Guardian”, „The Times” oraz „Financial Times”.

Córka rewolucji to jej pierwsza powieść, a talent Senior jednogłośnie chwali krytycy i powieściopisarze. Druga książka autorki, *The Winter Isles*, niepublikowana jeszcze w Polsce, ukazała się w 2015 r.

POLECAMY



Gdzie kończy się *Wspaniałe stulecie*, zaczyna się powieść Paszyńskiej.

Sułtan Sulejman Wspaniały niespodziewanie umiera, a wielki wezyr Mehmed Pasza Sokollu postanawia zataić ten fakt przed wojskiem, aby nie dopuścić do rozpadu Imperium Osmańskiego...

Napisana z rozmachem, niezwykle plastyczna, porywająca opowieść. Udane połączenie historii i fikcji literackiej, w której na tle wielkiej polityki, intryg, spisków, zdrad, zamachów i brutalnej walki o władzę rozgrywają się ludzkie dramaty: miłość przeplata się z lękiem, a z uspienia budzą się demony uczuć z przeszłości.



XIX-wieczny świat intryg i baśniowej miłości. Przed Marianną wiele wyzwań – musi odnaleźć się w świecie salonowych spisków i nie ulec grze pozorów...

Podczas gdy inne kobiety przygotowywały swoich mężów i synów do powstania listopadowego, charyzmatyczna i odważna Marianna postanowiła zamienić koronki na mundur i wyruszyć do walki. Nie było takiej siły, która mogłaby zatrzymać młodą dziewczynę. Jednak walka poszła na marne, a rodzinie grozi konfiskata dóbr i przyspieszony wyjazd na Sybir... Marianna musi poświęcić się po raz kolejny.

Ratunkiem może być małżeństwo. Upatrzony kandydat w zasadzie ma wszystko – jest bogaty, młody, utytułowany i – co najważniejsze – rozpaczliwie poszukuje żony. No właśnie... Nie zbyt piękne, aby było prawdziwe?

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1. Styczeń 1640

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3. Kwiecień 1640

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5. Sierpień 1640

ROZDZIAŁ 6. Lato 1641

ROZDZIAŁ 7. Listopad 1641

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9. Styczeń 1642

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 10. Październik 1642

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12. Listopad 1642

ROZDZIAŁ 13. Jesień 1642

ROZDZIAŁ 14. Grudzień 1642

ROZDZIAŁ 15. Kwiecień 1643

ROZDZIAŁ 16. Maj 1643

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18. Lipiec 1643

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ 21. 14 czerwca 1645

ROZDZIAŁ 22

[ROZDZIAŁ 23. 16 czerwca 1645](#)

[ROZDZIAŁ 24. 18 lipca 1645](#)

[ROZDZIAŁ 25. Październik 1645](#)

[ROZDZIAŁ 26. Listopad 1645](#)

[ROZDZIAŁ 27. Zima 1645](#)

[ROZDZIAŁ 28. Czerwiec 1646](#)

[ROZDZIAŁ 29. Grudzień 1646](#)

[ROZDZIAŁ 30. Styczeń 1647](#)

[ROZDZIAŁ 31. Lato 1648](#)

[ROZDZIAŁ 32. Styczeń 1649](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35. Maj 1649](#)

[Antonia Senior](#)

[Polecamy](#)